



Sokrat Janovič

Stulecie osztołomów
Stahodździe duratobaŭ

Sokrat Janovič

B.N.V. 2022

Stulecie osztołomów
Stahodździe duratobaŭ

Sokrat Janowicz

Stulecie oszołomów

(Domowe stulecie)

Sakrát Janowicz

Stahodździe durałobaŭ

(Chátniaje stahodździe)

B.N.V. 2022

Z języka wschodniobiałostockiego
(sokolskiego) przełożył Jarasłaŭ Janovič

© B.N.V.
wydanie drugie (internetowe)

ISBN 978-83-964589-1-9

Spis treści

Tekst oryginalny (strony parzyste)	str. 4
Przekład (strony nieparzyste)	str. 5
Przypisy (numeracja arabska)	str. 222
Źródła	str. 237
Aneks – komentarze (numeracja rzymska i nr strony) (w tym komentarz do okładki – str. 319)	str. 238

I

Starý¹ Ściapán ź dziũnym proźwiszczam Kiszkiel pamior ad stáraści, nie chwaréjuczy. Heta byũ toj redki czaławiék, jakí baczyũ calútkaje stahodździe, naradzĩuszysia ũ tĩsiacza dziewiaćsotym. U tuju parũ, kalí ludzi dúmali, szto najhorszaje ũžo było: polski miaciéź i wajná z túrkami, zaboystwa cará j czornyja bunt y haradoch, hoład niedzie ũ Rasi i j pahromy żydoũ u biełaruskich huberniach. Niszto straszniéjszaje nie mahło stacca. Choć źjaũleńnie źaleznych darohaũ nie praroczyła dabrá.

Ściapán Kiszkiel klaũ žyćcio, spadziajuczysia spakajniéj pabyć na świcie. Kab chaciá tak, jak u dziédawu pánszczynu. Jaho sialánskaja natura prahła ładu da adnaznácznaści, kalí nadychodzili czasý, u jakija nawat Słowa Bożaje niczoha nie harantawała. Iszło dwaccátaje stahodździe. Spaczatku cicha j niaprykmieta. U carkwie j miestackowym kaściole malĩlisia za imperátara i ũładykaũ; widaćmie i ũ baźnicach dy wiaskowych miaczeciach, kudý Ściapán nie zachodziũ, bo j czaho jamũ tam bywáć. U kaściole czasam žaniũ i chawáũ swajakoũ z katalickaje czastki rodu, szto była „polskaj”, jak Ściapán – z ruskaj (prawasłaũnaj, daũniéj wunijackaj).

Ažno adnaje niadzielki zimoju ũ miasteczku na rynku *żyde* ũźniali rewalúcyju. Da ich dabiehli dziadźki, szto zapamiatálisia jamũ krýkami, lámantam. Panapiwálisia darémnaje harélicy z raźbitaj manapolnaj kramy, harłasta śpiawali. Strachu Ściapanok nia mieũ: nihto jaho nie dahonić, kalí kiniecca ũ humny. Z Sakołki pryjszlĩ rasiéjskija sałdaty j razahnali hety fest. Kahości zabrali ũ turmũ, kazali: pahnali ũ Sibír. Turmá padałasia chłopczyku kamiénnym sklepam, szto na padworyszczy la aharodu, a Sibír – Łápickimi horami, szto ũzwyszájucca nad harbárniami, i na jakích pałyn. Dziciáczyja hulni nie zastalĩsia ũ pámiaci, mahczyma tamũ, szto była ũ baćkoũ haspadarka i nie paturali synu.

Ściapán nia ciamiũ jaszczé, czamũ *maskalé* kaczali ciotak, zahaliũszy im spadnicy na hałowy, a nie dziadźkoũ, jakích bili. Heta było niezrozumieła, jak i toje, czamũ dzieci padzialájucca na chłopczykaũ i diaũczynak. Lepiej było b bieź diaũczynak, płaksaũ. Niemaũlát prynosiáć busłý – u heta nia wieryũ, májuczy sumniũ ad busłanki na humnié Zolki Waũczycy, biaździétnaje baby.

I

Stary Alik dziwnego nazwiska Kiszkiel¹ umarł ze starości, nie chorując. Był on jednym z tych nielicznych, którzy widzieli całe stulecie, urodziwszy się w tysiąc dziewięćsetnym. W ten czas, kiedy ludzie myśleli, że najgorsze już było: polskie powstanie i wojna z Turkami, zamach na cara i bunty czerni² w miastach, głód gdzieś w Rosji i pogromy Żydów w białoruskich guberniach. Nic straszniejszego nie mogło się zdarzyć. Choć pojawienie się dróg żelaznych nie wieszczyło dobra.

Alik Kiszkiel kłął życie, co nie dawało mu spokojnie pobyc na świecie. Żeby chociaż jak za dziadowej pańszczyzny. Jego włościańska natura łaknęła ładu aż do jednoznaczności, kiedy nadchodziły czasy, w których nawet Słowo Boże niczego nie gwarantowało. Zaczynał się wiek dwudziesty. Z początku cicho i niezauważenie. W cerkwi i miasteczkowym kościele modlono się za imperatora i włodarzy; widać i w bożnicach tudzież wiejskich meczetach, dokąd Alik nie zachodził, bo i czegoż mu tam bywać. W kościele czasem żenił lub chował swojaków, co byli z polskiej części rodu, jak Alik z ruskiej (prawosławnej, dawniej unickiej).

Aż jednej niedzielki zimą na rynku w miasteczku Żydzi podnieśli rewolucję. Do nich dobiegli „wujkowie”, którzy zapadli mu w pamięć krzykami, lamentem. Ponapijali się darmowej gorzałki z rozbitego sklepu monopolowego, gardłowo śpiewali. Stracha Aliczek nie miał: nikt go nie dogoni, kiedy smyrgnie między gumna. Z Sokołki przyszli rosyjscy żołdaci i rozgonili ten fest³. Kogoś zabrali do więzienia, powiadano potem: pognali na Sybir. Więzienie wydało się chłopczykowi kamienną piwnicą, co na podwórzu koło ogrodu, a Sybirem – Łapickie Hory, co wznoszą się nad garbarniami i na których piołun. Dziecięce zabawy nie zostały w pamięci, może dlatego, że rodzice mieli gospodarstwo i nie folgowali synowi.

Alik nie dorozumiewał się jeszcze, dlaczego Moskale turlali ciotki, zarzuciwszy im na głowy spódnice, a nie „wujków”, których bili. To było niezrozumiałe, jak i to, czemu dzieci dzielą się na chłopców i dziewczynki. Lepiej by było bez dziewczynek, płaks. Niemowlęta przynoszą bociany – w to nie wierzył, mając wątpliwość od gniazda na stodole Zolki Wauczycy⁴, bezdziejnej baby.

Ros Ściapán dawoli pamału, doŭha nie zadăuszysia pytańniem, adkŭl sam jon uziaŭsia (zreszty, nikoli jamŭ potym tak i nie adkazali). Nie pacikăwiŭsia, jakoje imiă ũ baćki. Maci nazywali Wolhaju.

Szto moŭa ũpatkăc maŭoha, kalí padrastaje? Wiadoma szto. Szkoła! Ujaŭlălasia jană nieczym ŭachotnym! Maŭa taho, szto znachodziŭlasia ũ wializnaj chacie blizu carkwý. U joj siekli biarozawymi rozhami pa hoŭym zadzie za niepasŭluchmianaŝc, by daŭniěj u wojsku pălkami pa placzách biez kaszuli. Szkoŭy tajé ũ dorosŭlaŝc ũzo nie pamiatăŭ, zadoŭha nie pachadziŭszy wuczniem. Usiaho dŭwie zimy, kalí nia treba paŝwić karoŭ i awieczak abo ŝwiniěj na wýhanie. Zaraz paczaŭlasia wajná niemcaŭ z rŭskimi. Alé pakŭl wajná taja, nachadziŭsia byŭ u pole ũ ŭniwo dy ũ kapańnie bulby; tadý pastŭszyli miénszyja brat i siasirá, ab jakích budzie dalěj.

Pastuchawańnie zhădwajecca milěj. Wa ũsich tak, chto apynuŭsia ũ horadzie Bielastoku paŝlá, u paŭowie dwaccătaha stahodŭdzia. Parabiŭszysia miaszczánami. Kamunízm paŝlá faszyzmu daŭ takuju palohku, szto miesca rozumnych ŭydoŭ zaniałí rodnyma durni. Mŭczyli adŭin adnaho, jak heta durni, pakŭl nie pahadawali rozumniejszych za siabié dziaciěj. Heta narmalna, szto dzieci mudrěj za baćkoŭ, inaczej ŝwiet zastyŭ by, rychtyk mierzŭly haŭniák u luty miesiac.

Pastuszki nie padpuskali da siabié dziaŭczynak, szkadŭjuczy im krădzienaha harochu ũ dalinkach, piéczanaj bulby ũ pieradwosień. Janý, pŭksy, ŝlăzilisia ad kryŭdy, alé chŭlpcy zaŭsiody zapoŭzniemyja ũ emacyjonalnym raŭwićci, ŝlozy nie pakidajuc na ich urăżannia. Ichny pŭcz bywaje tolki ad bolu. Nie pierăzywajuc tyja niékali samcy.

Chŭlpcouŝki falklor niaŭmienna bandycki. Pastuszýnyja dýsputy datŭczyli ŝlawutych razbojnikaŭ, pra jakích niechta nasŭluchaŭsia ad kníŭnaha swajakă, szto ŝlŭŭŭ ardynancam aficera j nawuczyŭsia „bukwaŭ”. Pastuszkăm wymaloŭwaŭlasia szyroznaja Woŭha, szyrěj za aziaryszcza wadzianoha mŭynă la Hrăbszawaha lesu, a na joj krywaŭzerny Ścieńka Razin, szto rabawaŭ kupiécckaje zoŭata, abo Jamielka Puhaczoŭ ŝ jáickimi kazákami, szto balawali ũ panskich majontkach. Na staŭloch wiesialistych abawiazkowa stajali wiodry wina, laŭali piéczanyma parasiaty, horby jábŭykaŭ-malínawak, waskawiny miodu lipniowaha. Wa ũjawie kawalerczukoŭ nia widăc byŭo hoŭych panienak, raskryŭzawanych na padŭozie, ni pălenych u wahní kamandantaŭ carskich harnizonaŭ. Tolki pjánaja wola mroŭŭlasia dy smakoŭnaŝc zăkusi, kudý lepszej, czymŝ na wiasielli bahatyroŭ Anisimowiczaŭ, szto razbudawălisia la haradzienskaj szaszý, uzbocz ad Akopaŭ. Wykrykwaŭ najstarejszy z chŭlpcăŭ, Wadŭim:

„– Hej, ty, hajdŭk ablezŭly na panskaj ŝlŭŭbie: wiazí mianié j majŭ pryukrăsnuju carycu ũ ŭăzniu-baniu z dobra napălenymi kamianiami, kalí choczasz ŭŭc! – kamăndawaŭ Jamielka Puhaczoŭ paŝlá hierojŝkaha boju ũ ŝpiakotnym stepie za

Rósł Aliczek dosyć wolno, długo nie zaprzątnąwszy się pytaniem, skąd on sam się wziął (na to zresztą i tak nigdy mu potem nie odpowiedzieli). Nie zaciekał się, jakie imię ojca. Mamę zwano Olgą.

Co może spotkać malca, kiedy podраста? Wiadomo co. Szkoła! Zdawała się ona czymś strasznym. Mało, że mieściła się w wielgachnej chacie blisko cerkwi; sieczono w niej brzozowymi różgami po gołym tyłku za nieposłuszeństwo, jak dawniej w wojsku pałkami po plecach bez koszuli. Szkoły jako dorosły nie pamiętał, nie za długo był uczniem. Wszystkiego dwie zimy, kiedy nie trzeba paść krów i owiec albo świń na wygonie. Zaraz zaczęła się wojna Niemców z Rosjanami. Ale zanim ta wojna, był się nachodził w pole w żniwa i wykopki; wtedy pastuszili młodszy brat i siostra, o których będzie dalej.

Pastuchowanie wspomina się milej. Tak u wszystkich, co znaleźli się w mieście Białymstoku potem, w połowie dwudziestego wieku. Porobiwszy się mieszczuchami. Komunizm po ostatniej wojnie przyniósł to, iż miejsce rozumnych Żydów zajęli swoi durnie. Męczyli jeden drugiego, jak to durnie, póki nie dochowali się rozumniejszych od siebie dzieci. To normalne, że dzieci mądrzejsze od rodziców, inaczej świat zastygłby niczym zmarzłe łąno w luty miesiąc.

Pastuszkowie nie dopuszczali do siebie dziewczynek, skąpiąc im kradzionego grochu w dolinkach, pieczonych kartofli wczesną jesienią. One, płaksy, pochlipywały na tę niesprawiedliwość, ale chłopcy zawsze zapóźnieni w emocjonalnym rozwoju i łyzy nie robią na nich wrażenia. Ich płacz bywa tylko z bólu. Nie przejmują się przyszli samce.

Chłopięcy folklor nieodmiennie bandycki. Pastusze dysputy dotyczyły słynnych rozbójników, o których ktoś nasłuchał się od zasobnego w książkę krewniaka, co był w wojsku ordynansem⁵ i nauczył się bukw. Pastuszkom jawiła się szeroczysta Wołga, szersza od jezioryska⁶ wodnego młyna koło Hrabszowego Lasu, a nad nią krwiożerczy Stieńka Razin, rabujący kupieckie złoto, albo Jemielka Pugaczow z jaickimi⁷ kozakami, bałującymi po pańskich majątkach. Na stołach biesiadnych obowiązkowo stały stągwie wina, leżały pieczone prosięta, naręcza jabłek malinówek, plastry miodu lipowego. W wyobrażeniach kawalerczaków nie widać było nagich panienek, rozkrzyżowanych na podłodze, ani palonych w ogniu komendantów garnizonów carskich. Tylko pijana wolność roiała im się, także smakowitość zakąsek, o ileż lepszych niż na weselu bohaterów⁸ Anisimowiczów, co rozbudowali się przy szosie grodzieńskiej, w bok od Okopów. Wykrzykiwał najstarszy z chłopców, Wadzim:

„ – Hej, ty, hajduku wyliniały na pańskiej służbie: wieź mnie i moją nadobną carycę do łaźni-bani, z dobrze nagrzanymi kamieniami, jeśli chcesz żyć!! – rozkazywał Jemielka Pugaczow po bohaterskim boju w skwarnym stepie za

Wołhaju. Jon nia wiewdaŭ, szto akrúžany ũžo palkami kniazia Halícyna, ab czym nie daniešli jamú, padkúplenyja woraham pad wieczar, kazákí.

– Zaraz budzia tabié łazowaja bania... – horda adkazáu atamanu hajduczok.

Puhaczowa adasłali ũ žaleznej kletcy ũ Maskwú, a jaho kumpiástuju carycu addali na paciechu sałdatní.”

Wadzím pahladziéŭ na kampániju, by kwaktucha na czarodku kuraniatak. Im usio było jasna, a na „paciechu” janý nie źwiarnuli ũwahi, i niachutka toje niechta tłumaczyŭ. Zdajecca, ažno ũ Biełastoku.

Na naczlezie z końmi ũ pryleskach pad Razbojnikam było haworki pra wohniennyja koły, szto kacílisia miéžami na Doŭhi łuh. Pa stromkaj Szýbienicy chadziła czornaja baba, źjaŭlájuczysia z ruskich mohiłak. Wadzím pajszoŭ na zakład za bułku chleba, szto prahonić jajé púhaju, alé tadý janá ũziała źnikła j nie abjawílasia. Zatoje zamilhali žaŭtawátyja ahiéńczyki ũ jałaŭcoch, usié zaŭzirálisia na ích, kalí Wadzím raptam kryknuŭ:

– Chłopcý, nimá czaho bajacca, heta *waŭkié!* Szzuli koniaj.

Najbolsz spadćisznaha społachu naklikali strachi ũ zapolanskich aharodach, dzieła achowy ad dzikoŭ i kazúl. Kožny wiewdaŭ, szto heta łachmánnyja prywidy, adnák paczuwaŭsia nijakawata, byccam bajuczýsia, kab nie ażyłí, by tyja niabožczyki ũ huszczawińni zarosłych bezam mahiłaŭ. Usieńka mahło stacca, treba czaho ci nie.

Dziacinstwa pakinuła pachki hoład i dryhotki choład. Praniźliwy smutak wosieńskich pryhumieńniaŭ; u sałamianym padstreszszy Wadzím ławíŭ wieczarami sonnych wierabjoŭ, razdawáu ích chłapcoŭskaj cheŭry, iszłí pad chatu Czabaná-karcioźnika, kab ukidác jamú ptuszaniát u rasczýnienuju fortku ũ wuhławým aknié. U jaho dapazná tleŭ blask ad hazoŭki, było widadć za szybami, jak rézucca ũ aczko hultaí. Wierabiejki cíŭkali złyduchami, nalatájucy na hazoŭku, hásiaczy jajé połymia. Niechta z mužczýn wybiaháŭ na paroh i szkodniki raźbiahálisia chto kudý. Pa śpinie muraszýła słodycz ad niedazwolenaha ũczynku. Žachu nia miéłasia, bo žłosny mužczyna, aslépleny ciémradziu, moh tolki zdahádwaacca, kudý biehli padszywancy, adkúl treskat ponaczny ũ harodach. Wiarszýłasia roskasz szkody.

Szkodnikawali, bo lubili. Jon, Czabán, adhaniáu udziéń ad wializnych dzieczak, kalí małyja kídali ũ ich páłkami, źbiwájucy sałodkija hniłki, szto žaŭcieli ũ halinoŭji naprýkancy aŭsiánaha žniwá. Tyja dźwie hruszy raślí ź niapámiatnych czasoŭ: kazali ludzi, szto ũ haróczaje leta kaliści zapyniŭsia na kaní pad jimi sam Napaleon. Ściapán hŭtaryŭ sa starymi, słuchaŭ ab tym, jak żyłosia. I ab tym, jak woŭk rezaŭ awieczak, padkapáŭszysia pad padrubu chlawá dy śpiarszá zasadziŭszy chwest, kab napałočać ich. Czabán-karcioźnik padpilnawáu byŭ waŭka i, uchapiŭszy jaho za chwest, zachileny na bierwiano, utrymaŭ, pakúl toj nia zdoch

Wołgą. On nie wiedział, że już okrążyły go pułki kniazia Golicyna, o czym nie donieśli mu, przekupieni przez wroga pod wieczór, kozacy.

– Zaraz będziesz miał banię łozową... – hardo odparł atamanowi hajduczek.

Pugaczowa odesłano w żelaznej klatce do Moskwy, a jego zadziwą *carycę* oddano na uciechę żołdactwu”.

Wadźim spojrzął po kompanach niby kwoka na czeredkę kurczątek. Dla nich wszystko było jasne, a na *uciechę* nie zwrócili uwagi, i nieprędko im ktoś to tłumaczył. Zdaje się, że dopiero w Białymstoku.

Na nocnej paszy z końmi w zagajnikach pod Rozbójnikiem było rozprawiania o ognistych kołach, które toczyły się miedziami na Długi Łuh⁹. Po stromej Szybienicy chodziła czarna baba, zjawiając się z ruskiego cmentarza. Wadźim założył się o bułkę chleba, że przegoni ją batem, lecz wtedy ona wzięła znikła i nie objawiła się. Za to zamigotały żółtawe ogniki w jałowcach. Wszyscy zapatrzyli się na nie, gdy Wadźim raptem krzyknął:

– Chłopczy, nie ma się czego bać, to wilki! Zwietryły konie.

Najwięcej niemego strachu napędzały kukły w zapolańskich ogrodach, ustawione dla ochrony przed dzikami i sarnami. Każdy wiedział, że to łachmianiaste zjawy, mimo to czuł się nieswojo, jakby lękając się, by nie ożyły, jak owi nieboszczycy w gąszczy zarośniętych bzem mogli. Wszystko mogło się zdarzyć – trzeba czego, czy nie.

Dzieciństwo pozostawiło wonny głód i dygotliwy chłód. Przenikliwy smutek jesiennych zastodól. Pod strzechą na poddaszu Wadźim wieczorami łapał senne wróble i rozdawał je chłopięcej zgrai; szli potem pod chatę Czabana¹⁰-Karciarza, by wrzucać mu ptaszęta przez uchylony lufcik w narożnym oknie. U niego do późna tlił się blask od samorobnej¹¹ lampy naftowej, było widać za szybami, jak rzną w oczko hultaje. Wróbelki kwiliły niczym złe duchy, nalatując na lampę, gasząc jej płomień. Któryś z mężczyzn wybiegał na próg i szkodnicy rozbiegali się gdzie kto mógł. Po plecach mrowiła słodycz niedozwolonego uczynku. Strachu nie było, bo zeźlony mężczyzna, oślepiiony ciemnością, mógł się tylko domyślać, dokąd zmykali żartownisie, skąd nocne trzaski w ogrodzie. Dopełniała się rozkosz szkody.

Szkodnikowali, bo lubili. On, Czabán, odpędzał w dzień od wielgaśnych dziczek, kiedy malcy rzucali w nie pałkami, strącając słodkie gniłki, co żółciały wśród gałęzi pod koniec owsianych żniw. Tamte dwie grusze rosły od niepamiętnych czasów; powiadali ludzie, że w gorące lato kiedyś zatrzymał się na koniu pod nimi sam Napoleon. Aliczek gadał ze starymi, słuchał o tym, jak się żyło. Również o wilku, co dusił owce, podkopawszy się pod podwalinę chlewa i najpierw zasadziwszy ogon, by je wystraszyć. Czabán-Karciarz przypilnował był wilka i, schwyciwszy go za ogon, zagięty na belce, dotrzymał, aż ten zdechl

ad pierapudu, zapaskúdziüşy pauchlawá... Mieű Czabán sposaby j na kanakradaű. Janý za carom wywodzili lepszych déraszaű za průskuju miaźű, szto pralehła za Astrawami. Daűným-daűno. Krali tutéjszyja ŷydű, a wierchawodziű imi chitry Moszka. Znaűsia z kamandantam průskaha harnizonu ũ Sakołcy, dwaccać kilometraű ad ruskaj zastawy ũ falwarku Ráchawik. Za dobryja hroszy pryhaniáű niemcu ŷarabcoű u huzárskuju kawaléryju.

Moszka abakráű Czabanowaha dzieda.

– Nu, – padumaű dzied Czabaná, – Ty, Moszka, jaszczé paszkadujesz, ja wýtrasu ŷ ciabié niamiéckija dukaty. Nu, Moszka, paczakáj!

I dzied Czabaná nabráű ad ludziej szczaniukoű dy nałauczyű waűczkoű páchami Moszki; janý, kalí praz rok pawyrastali, wýniuchali kusác adnaho Moszku. Parwali na ŷydzie adzieńnie, pakaléczanaha j hołaha pierli dachaty, i Moszka bliskaű piátkami, trymájuczysia za jajca, kab sabaki jamú ich nie adkusili! Moszka wiedaű, czyjé heta sabaki, i nazaűtra prychoďzić jon da Czabaná:

– Nu, Czabán: kolki choczasz za swaho ŷarabcá, jakí tak spadabaűsia háűptmanu Szájsmanu ũ Sakołcy!?

– Słuchaj, Moszka, – kaŷa ŷydu Czabán. – Dasí stolki, kab ja nie wypuskáű sabák na ciabié.

– Nu, Czabán, adkűl mnie wiedác, kolki choczasz?

– Moszka, sam dawiédajeszsia, kalí sabák bolsz ni ũbaczysz... – i takim czynam Moszka zapłaciű dziedu try razy.

U pieradwájennuju zimű czatyrnáccataha hodu zahuláű Ściapán – chutkanohi padszparak – uprohszysia ũ ahlöbli saniěj, szto ũkrali chłöpcy Czabanú-karcioŷniku i jéďdzili na ich z horki Sakolskaje wűlicy. Kab nie dastác ukapléch ad baćkoű, a taksama stamiűszysia biehanínaju ũ tych ahlöblach, – nia ũpali janý na ziamlű, – Ściapanok skazaű:

– Bolsz ni mahű, chaj jaszczé chto pabiéhaja...

Nichto nia byű takim zdarawiezny.

– Adwiazí sani Czabanú!

I jon adwioz: kiepska pawiarnuűszy ũ padworak dy wýbiűszy ahlöblinaju akiencia, a za im razwalűszy komin. Szto sccaűpłösia¹², hadami pawiéďdali siabry.

Niemcy ũ szlemach pryjszłi nie adrazu. Rúskija stjali ũ Warszawie, u toj samaj, u jakoj słuŷyű palicejskim adŷin ŷ dziadŷkoű. Jon, bywájuczcy na Kaladű ũ swaích, śmiajaűsia, szto palaki szumiác, damahájuczysia niéjkaha „krulá”. Cárskaja ármiya, adstupájuczcy ũ druhí hod wajný, zabirała prawasłaűnych (u „biéŷanstwa”). Ściapanaű baćka, choć i prawasłaűny, nia byű duraű, wiedaű, szto dabrá ad wałakity nia budzie. Prykínuűsia katolikam pierad kazaűkami, zastaűsia.

– Pakíű haspadarku, raskradűć. Swajakí nia wýratujuć, nia ũpilnujúć swaích kradziéŷnikaű...

ze strachu, napaskudziwszy pod siebie... Miał Czabán sposoby i na koniokradów. Oni za cara wyprowadzali lepsze deresze za pruską granicę, która przebiegła za Ostrowami. Dawno, dawno temu. Kradli tutejsi Żydzi, a przewodził im chytry Moszka. Znał się z komendantem pruskiego garnizonu w Sokołce, dwadzieścia kilometrów od rosyjskiego posterunku w folwarku Ráchawik, za dobre pieniądze przyganiał Niemcowi konie do husarskiej kawalerii.

Moszka okradł Czabanowego dziadka.

– No! – pomyślał dziadek Czabana. – Ty jeszcze pożałujesz, Moszka, wytrzęsę z ciebie niemieckie dukaty. Poczekaj tylko!

Nabrał od ludzi szczeniąt i szczuł wilczurki na zapach Moszki; kiedy po roku podrosły, jednego Moszkę kąsały. Porwały na Żydzie ubranie, podrapanego i gołego gnały do domu, a Moszka migał piętami, trzymając się za jaja, aby mu psy ich nie odgryzły! Moszka wiedział, czyje to pieski, więc nazajutrz przychodzi on do Czabana:

– No, Czabán, wiele chcesz za swojego żerebca¹³, co tak spodobał się hauptmanu Szajsmánowi w Sokołce?

– Słuchaj, Moszka – mówi Żydowi Czabán. – Dasz tyle, żeb ja psow na ciebie nie wypuszcział.

– No, Czabán, skąd mnie wiedzieć, ile chcesz!?

– Moszka, sam dowiesz się, jak psow wienc¹⁴ nie ubaczysz¹⁵... – i tym sposobem złodziej odszkodował dziadkowi trzy razy.

W przedwojenną zimę roku czternastego zahulał Alik – szybkonogi młodziak – zaprząwszy się do sań, co je buchnęli chłopcy Czabanowi-Karciarzowi i jeździli na nich z górki Sokolskiej ulicy. Żeby nie dostać bury od rodziców, a i zmęczywszy się bieganiem w tych hołoblach¹⁶ – ani na chwilę nie upadły – Aliczek zawołał:

– Więcej nie mogę, niech jeszcze kto pobiega.

Nikt nie był taki krzepki.

– Odwieź sanie Czabanowi!

Tedy on odwiózł: nieudatnie wykręciwszy na podwórze i wybiwszy hołoblą okienko, a za nim rozwaliwszy komin. Co się nawyrabiało, latami powiadali koledzy.

Niemcy w hełmach przyszli nie od razu. Rosjanie stali w Warszawie, tej samej, w której był policjantem jeden z wujków. On, bywając na Boże Narodzenie u swoich, śmiał się, że Polacy szemrają, domagając się jakiegoś „krula”. Wojsko carskie, cofając się w drugim roku wojny, zabierało prawosławnych (w „bieżeństwo”). Ojciec Alika, choć i prawosławny, nie był dureń, wiedział, że dobra z włóczęgi nie będzie. Udał przed kozakami katolika, został.

– Porzuć gospodarkę, rozkradną. Krewniacy nie poratują, nie upilnują swoich złodziei...

Zreszty, katoliki nia lubili ruskich, kaścielnyja krywa pazirali.

– Czaho tut spadziawacca? Żwierawatyja niemcy nie pazabiwajuć, – razwazaŭ bačka, chawajuczysia ad aposznich kazakoŭ, szto adstupali.

Kałatniá acichła, front staŭ kala Baránawicz dy ŭ pinskih bałotach. Adzín kazák, wýskaczyŭszy niewiadoma adkúl, uciakáŭ praz Akopy na Harodniu. Konik pad im byŭ nizki, hrýwisty, i porstki. Nie takí, jak u niemcaŭ: hopali janý na wysoznych. Czasam toj kazák, by tataryn, pawiernúšsia byŭ waltyžérkaju ŭžád i straláŭ z kawalerýjskaha karabínczyka pa niémakach, pakúl nia kínuli hnacca. Razumna zrabili, bo czaho zahibiéć ad rúskaha, kalí ŭsiá ich ármija drápała. Abozy walili sa skrypam pylnym haścincam, nawat naczami, wýjechaŭszy z krépašciaŭ u Asoŭcy i Łomży, szto na Narwie. Budawali j budawali tam, i sami addalí.

Hiermaniec abdumaŭ wajnú, nia lez na ražon. Hienerałaŭ mieŭ szkolenych, a car szto, tolki hierojaŭ. Z szalonymi ž nikudý ty nia zojdziesz, biez parý nakładúc hałowami. Niemcy pad Baránawiczami, pakapaŭszy akopy, zasieli na pazýcyjach, a ŭ tyle zajélisia łupíc narod z zapasaŭ zbožža, pierapisác żywinu, świniéj i parasiát. Wajskoŭcaŭ tré'było karmíc. Tamú chleba biez dazwołu nielha pry ich napiaczý; chadzili patrolí, niúchali na wúlicy dymý z chataŭ. Žyc nie dawali. Parszukoŭ kałoć baranili. Czabán-karciožnik, naczýtany czaławiék, kazáŭ:

– Niemcy bajacca duchaŭ, budziam smalíc kabanou na mohiłkach, kalí šciamnieja. Tájnica ŭsich nas žjadnaja niamieckaj kulaj...

Smalili ŭ huszczawinie bezaŭ, akácyaŭ, nasádzanych dzieła charoszašci la mahiłaŭ. Hladzieli, kab chwojki nie zaharélišia. Pobliski ad pálenaj sałomy zdawálišia zdalok žziańniem mihotkim duszaŭ niabožczykaŭ. Rabota spráŭnaja, jak heta pad stracham. Samím dzika siarod kryžoŭ i z czortawym czornym łyczom pad sałomaju. Świńniú patraszyli, žbirájuczy wantroby ŭ cebry. Najbolsz rýzyki bráłasia z wýwazam świežaniny; dawozili da kancowaha humná, práłali ŭ duchmianym sienie. Czasami ŭwiazali na takú sabaku, kab pałochaŭ pacukoŭ i katoŭ, szto žniúchali ciopłaje miasa. Alé heta mała praktyczny sposab – sabarno wyŭ. Dawodziłasja nasíc zdabyczu da kaho ŭ kamienny sklep. Noczczu, czujna słúchajuczy, u jakim miescy hierhieczúc niamczuhi, pazwońwajuczy na kamianiách padkawánymi botami.

Šciapanu padabálišia tyja padpolnyja smalaniny, asabliwa blizu unijackaj kaplicy. Załaziŭ na jajé, czaplájuczysia za adaptárynya hniłyja doszki; wytrészczwaŭsia ŭ ciemiéń. Na Haradzienskaj hłucha bracháŭ dwarniak Anisimowiczaŭ. Ad Pahulanki nalatali śpiewy pjaníuhaŭ. Hiewálcili žydý. Stolki zapamiatáŭ jon u darosłašć. U palách pad Razbojnikam zašiody nieszta dzýnkała; nikoli jon taho nie razhadáŭ. Padabáłasja jamú patajémszczyna, by na malunkach da wierszaŭ Lermantawa pra czary ŭ ruskich padrúcznikach (zabili jaho na Kaŭkazie). Nikoli potym nie bajaŭsia mohiłak unoczy. Chawali Zolku

Zresztą katolicy niedolubiali „ruskich”, „kościelni” krzywo poglądali.

– Czego tu się spodziewać? Gburowaci Niemcy nie pozabijają – rozważał ojciec, chowając się przed ostatnimi odstępującymi kozakami.

Zamieszanie ucichło, front stanął koło Baranowicz i na pińskich bagnach. Jeden kozak, wyskoczywszy nie wiadomo skąd, uciekał przez Okopy na Grodno. Konik pod nim był niski, grzywiasty, ale rączy. Nie taki, jak u Niemców: hopsali oni na rostrych. Czasem ów mołojec był się odwrócił, jak wołyżer albo Tatarzyn, i ostrzeliwał z kawaleryjskiego karabinka, aż niemiaszkowie poniechali pościgu. Rozumnie zrobili, bo po co ginąć z ręki Rosjanina, kiedy cała ichnia armia rejterowała. Taborzy skrzypiąc waliły pylnym gościńcem, nawet nocami, wyruszywszy z twierdz w Osowcu¹³⁷ i Łomży, co na Narwi. Budowali i budowali tam, a sami oddali.

Niemiec obmyślił wojnę, nie pchał się na widelec. Generałów miał szkolonych, a car cóż, tylko gierojów. Z szalonymi donikądże nie dojdiesz, położą głowy przed czasem. Niemcy pod Baranowiczami, pokopawszy okopy, zasiedli na pozycjach, a na tyłach zawzięli się łupić naród z zapasów zboża, spisać żywnię, świnie, prosięta. Żołnierzy trzeba było karmić. Dlatego chleba bez zezwolenia nie wolno było wtedy upiec; chodziły patrole, niuchały na ulicy dymy z chat. Życie nie dawały. Świniobicia zabraniały. Czabán-Karciaz, człowiek oczytany, mówił:

– Niemcy boją się duchów, będziemy smalić kabany¹⁷ na cmentarzu, kiedy ściemnieje. Sekret zjednoczy nas i strach przed niemiecką kulą...

Smalili w gęstwinie bzów, akacyj¹⁸, nasadzonych dla upiększenia obok mogił. Zważali, by choiny nie zajęły się ogniem. Błyski od palonej słomy zdawały się z daleka migotliwą poświatą dusz nieboszczyków. Robota szła sprawnie, jak to w strachu. Samym dziko pośród krzyży i z diablím czarnym ryjem pod słomą. Świnie patroszyli, zbierając wnętrzności do cebrów. Najbardziej ryzykowny był wywóz świeżynki; dostarczali ją do stodoły na skraju, chowali w wonnym sianie. Czasem uwiązali na klepisku psa, żeby odstraszał szczury i koty, co zwęchały ciepłe mięso. Ale to mało praktyczny sposób – psisko wyło. Wypadało nosić zdobycz do czyjejś murowanej piwnicy. Nocą, czujnie nasłuchując, w którym miejscu szwargoczą Niemczury, stukocząc po bruku podkutymi butami.

Alikowi podobały się tamte potajemne osmalania, szczególnie w pobliżu unickiej kaplicy^{1/s.238}. Właził na nią, czepiając się odstających, zmurszałych desek; wytrzeszczał się w ciemność. Na Grodzieńskiej głucho szczekał podwórzowiec Anisimowiczów. Od Pohulanki dolatywały śpiewy opojów. Lamentowali Żydzi. Tyle zostało w dorosłej pamięci. Na polach pod Rozbójnikiem zawsze coś podzwaniało; nigdy tego nie odgadł. Podobała mu się potajemność, jak na malunkach do wierszy Lermontowa o czarach w rosyjskich podręcznikach (zabili go na Kaukazie). Nigdy potem nie bał się cmentarzy nocą. Chowano Zolkę

Waŭczycu. Ściapanok wýkapaŭ joj *jámisko*⁶ pobacz truný jajé pamiérłaha muzyká. Sasnowy bok damawiny pasýpaŭsia j wýkaciłasia adtúl czwertka „mierzawczika”, tannaj haradzienskaj harełki. Tady Ściapanu ũspomniłasia, szto czaławiék Waŭczycy piŭ-napiwaŭsia; harełka spaliła jamú kiszki. Butélczynu ũkaciŭ nazád; trup użo sparachniéŭ, nie śmiardziéŭ.

Chłopiec ros, choć kacíłisia pa ziamlí ármi.i. Rasiéjskaja, hiernánskaja. Ureszeie polskaja, tréciaja; pabywała jaszczé j czyrwona-balszawickaja. Palaki nadyjszlí ad Bielastoku. Spaczatku kawaléryja z francúskimi száblami, jak kazali staryja, szto ználisia na zbroi. Usiákaje wajactwa rabawała; polskaje ũdadatak źbiła da paŭsmierci swajaczku Kiszkiéłánku za bielárúskuju szkołu. Usia czornaja była ad bizunoŭ, ledź adhájkali jajé ziołkami. Kazáŭ u sakrecie storáž szkoły:

– Zaholwali na padłozie bolszych wuczanic, raskiréczwali jak chacieli... Potym janý chutka wychodzili zamuż za abý-kaho.

Balszawikié źjawilisia ad Waŭkawyska. U miasteczku sahnali mitýnh z czyrwonym ściamam i nieszta pa-rusku wykrykwali da narodu. Żydý harłali „urra!”; naczaplaŭszy na hrudzi czyrwaniutkich báncikaŭ, a haspadary maŭczali. Szto naadbywájecca, dúmali, kalí pryjdzie siudý piátaja jakaja ármija? Pahaworwali pra Litwú ad Koŭni... Starszyná Klimowicz waziŭ byŭ pry niemcach u Wilniu „litéŭskaha” pradstaŭnika Taryby. Niechta czuŭ pra ũkraincaŭ – niŭy dachodzili użo da Bielska j Zabłúdawa. Pryjażdżáŭ kapitan Horasz zapiswać u bielárúskaje wojska, alé dzie hétamu bielárúskamu moża być miesca ũ takí tłum?!

Ściapán zasłaniŭ ad balszawikoŭ chworaha baćku, sam pajechaŭ furmánkaju pad Warszawu, wazíc im amunicyju. Szrapneli ũ skrynkach, stużki patronaŭ dla kulamiotaŭ. Nazád adwoziŭ paránienych „kacapaŭ”. Ad Małkini da Łapaŭ. U darozie ũsياهو nahladziéŭsia. Razdutyh u zahniwańnie koniej u rawoch, sabák, szto ciahali trupy, napakídanaha łamareńdzia, rastrésienych pawozak zwoddal ad szaszý; imczali z kazackim hikam eskadrony kawaléryi, wałakłisia piechacincy ũ abadranyh adzieńni, uczarniéŭsja ad brudu j hoładu. Wajnú jon bolsz-miénsz ujaŭláu, alé zastýŭ ad żachu, kalí ũbaczyŭ u Zambrowie, jak rasstrélwali pad kaściołam polskich wajskaŭcaŭ, szto zdalisia ũ balszawicki pałon. – Wy nas, a my was! – sipla klaŭ kamańdzír straŭkoŭ (z doŭhimi rúskimi sztychami naksztált ihlicaŭ). Wajná dwaccátaha hodu, jak i rabotnickaja rewalúcyja, ni z czým nie raŭniálisia krywáwaściu. Rasstrélwali na miescy céŭsja addzieŭy, moża j pałki, kalí wiedać, szto na Krymie „pustili w raschod” poŭnuju dywíziju biełych, jakaja dawiéryłasia słowu czyrwonaha kamandarma. Ujawić tolki – i za szto ludzi nienawídziłi adzín adnahto!? Zaŭsiodnaje pytańnie, jakoje Ściapán czuŭ u sialánskaje zastolle. Wypiwali paru razoŭ u hod, pa dźwie-trý czarki; hnać samahonku nia ũmieli, nia wíédali, szto samomu można.

Wauczycę. Aliczek wykopał dla niej jamisko⁶ obok trumny jej męża. Sosnowy bok domowiny się posypał i wyturlała się stamtąd ćwiartka mierzawczyka¹⁹, taniej grodzieńskiej wódki. Wtedy Alikowi się przypomniało, że chłop Wauczyca pił-chlał; gorzalka wypaliła mu kiszki. Wtoczył butelczynę z powrotem; trup spróchniał już, nie śmierdział.

Chłopiec rósł, choć przetaczały się po ziemi armie. Rosyjska, niemiecka. Wreszcie polska, trzecia; pobывała też i czerwono-bolszewicka. Polacy nadeszli od Białegostoku. Najpierw kawaleria z francuskimi szablami, jak powiadali starzy, co znali się na broni. Wszelkie żołnierstwo rabowało; polskie na dodatek zbiło do półśmierci swojczkę Kiszkielanę, za białoruską szkołę. Cała czarna była od nahajek, ledwie ją odratowano ziołami. Mówił w sekrecie szkolny woźny²⁰:

– Brali na podłodze starsze uczennice, rozkraczali, jak chcieli... Potem one prędko wychodziły za mąż za byle kogo.

Bolszewicy zjawili się od Wołkowyska. W miasteczku zgonili ludzi na wiec z czerwonym sztandarem i coś po rosyjsku wykrzykiwali do narodu. Żydzi wiwatowali „hurrra!”, naczepiawszy na piersi czerwoniutkich kokardek, a gospodarze milczeli. Co się naodbywa, myśleli, jeśli przyjdzie tu piąta jaka armia? Mówiono coś o Litwie od Kowna... Starszyną²¹ Klimowicz woził był za Niemca do Wilna „liteuskiego” przedstawiciela Taryby²². Ktoś słyszał o Ukraińcach – niby dochodzili już do Bielska i Zabłudowa. Przyjeżdżał kapitan Horasz zapisywać do białoruskiego wojska, ale gdzież dla tego białoruskiego może być miejsce w takim tłumie?!

Alik uchował od bolszewików chorego ojca: sam pojechał furmanką pod Warszawę, wozic im strzeliwo. Skrzynie z pociskami, taśmy z nabojami do kulomiotów. Z powrotem odwoził rannych „kacapów²³”. Od Małkini do Łap. W drodze naoglądał się wszystkiego. Gnijących po rowach koni ze wzdętymi brzuchami, psów rozciągających trupy, porzuconego żelastwa, roztrzęsionych powozów dalej od szosy. Pędziły z przeciągłym kozackim okrzykiem szwadrony kawalerii, wlokła się piechota obdartusów, czarnych od brudu i głodu. Jakieś wyobrażenie o wojnie miał, jednak zmartwił ze zgrozy, kiedy zobaczył w Zambrowie, jak rozstrzeliwano pod kościołem polskich jeńców, co oddali się w bolszewicką niewolę. – Wy nas, a my was! – kłął ochryple dowódca strzelców (z długimi, na kształt iglic, rosyjskimi bagnetami). Wojna roku dwudziestego, jak i bolszewicka rewolucja, w okrucieństwie nie miały sobie równych. Rozstrzeliwano na miejscu całe oddziały, może nawet pułki, jeśli wiemy, że na Krymie „spisano na straty” całą dywizję białych, którzy zaufali słowu czerwonego komandarma²⁴. Pomyśleć tylko – i za co ludzie się tak nienawidzili!? Nieodłączne pytanie, które Alik słyszał podczas wiejskich biesiad. Wypijali parę razy w roku, po dwa-trzy kieliszki; samogonu pędzić nie umieli, nie wiedzieli, że można samemu.

Nawuczylisia ũ druhuju niameckuju akupacyju; nia niemiec wuczÿũ, woŝ zahadka.

Kalí palaki narychtyk pahnali ad Warszawy sawietaũ, Őciapán znachodziusia ũ Łapach, szto j wÿratawała jaho. Lehijanistyja nastupali ad poũdnia jakráz prosta na Łapy j kamisary raźbiéhlisia chto kudÿ, a Őciapán pahaniaũ kania dachaty. Koñ patrebny ũ haspadarcy, marũdziłasia tadÿ žniwo. Praź jakí tydzieñ uhlédzieli palakaũ, u toj dzieñ, kalí ksiondz czakaũ ich la kaŝcioła, pastáwiũszy na darozie – czÿŝcieñka nakryty abrusam – stoł z paczastunkam dy piéknymi paniénkami. Padniausia ũ dalaczyní pył ad koñnicy, adnák akazausia joju zabłukany balszawicki eskadron. Uciakác ad ,ich było pozna j czorny ź pierapudu duchoũnik biazwolna prywitaũ kamañdzira czárkaju dy skwárkaju. Sawieť padziákawaũ:

– Nam niekagda! – i, dzika ŝwĩsnuũszy, pakirawaũ z hierojami na Harodniu.

Za imi zaraz ŝa pryhnałisia lehijanistyja i pakũl ksiondz paŝpieũ szto wÿtłumaczyć, uhreli jamũ bizunom pa muchajedah.

– Zdrajca!

Nastała Polszcz i, razem ź joju, bolszaja biada. Őciapán dawoli padros, kab niamála razumiéć z nawakolnaha žÿćciá. Abiwali wuszy narakañni, szto niamá ũ miasteczku prybytku, jakí ũ im bywaũ, i žydÿ źbiadnieli, mała kuplajuć u haspadaroũ. U harbarniach niamász padzarobku; stajác fábryki, nie pracujuć. Hrũbyja zapałki kałoli na czatyry, haza da lampaũ padaraŝeła ũ kramie Lójzara; kładowilisia spać, jak pryciamnieła, a ũ ciopłuju parũ ũstawali da ũzychodu sonca; zimoju z trécimi piéũniami. Őniehu wypadała roũna z płatami, da chlawoũ i stadołaũ prakopwalisia. Za carom małacili ź lichtarami, ciapiér ŝa wobmackam. Nadakúczwali proŝbami tyja, szto pawiertálistia z rasiéjskaha „biéžanstwa” ũ piatnáccatym hodzie. Nia mieli janÿ czaho jeŝci ci czym abahrecca, i tamũ chadzili za dapamohaju da katalickich swajakoũ, jakija j sami nia nadta mieli czym dzialicca. Czũlisia swarki, płacz. Adnaho razu smarkaty Őciapán daũ dziádźkam paũrészata wÿsiewak ad źmiélenaha ũ žornach jaczmieniu na kaszu, dyk staryja mužczyzny pacaławali jaho za heta ũ rukũ, aźno zasraniec spuzausia.

Niedzie znachodziusia polski wojt i stajała ũ murawancy polskaja palicyja. Stolki j było tajé Polszczy. Babuli chawali ũ kufrach rublí, nia wiéraczy, szto car nia wiérniecca. Őciapán uhledzieũ dwaccacipiacírublwy banknot; uzialí za karowu. Razmalawánaja papierka zawaroŝwała partretam imperátara z ordenami na hrudziách, tajémnymi wykrutásami. Szapacieła darahím kosztam. Namacaũ u schowie niameckija manety, wialíkija j ciazkija, alé czuũ, szto ũ ich niamá sierabrá. Chadzili czutki pra załatÿja rublí; niechta nabÿũ za ich dziesiacinu sienakosu ũ dolnaj Wéjsaũszczyne. Niewiadoma, nakolki janÿ praũdziwymi akazálistia, bo czerci lubili nasrác czaławieku zołatam...

Nauczyli się za drugiej niemieckiej okupacji; i ciekawe, że nie od Niemców.

Kiedy Polacy całkiem pogonili spod Warszawy sowietów, Alik znajdował się w Łapach, co też go wyratowało. Legioniści nacierali od południa akurat prost na Łapy i komisarze rozpierzchli się, gdzie kto mógł, Alik zaś poganiał konia do domu. Koń potrzebny w gospodarce, żniwa się wtedy przeciągały. Po jakimś tygodniu ujrzeli Polaków, tego dnia, kiedy ksiądz czekał ich przy kościele, ustawivszy na drodze – nakryty czyściutkim obrusem – stół z poczęstunkiem i ładnymi pannicami. Wzbił się w oddali kurz od konnicy, lecz prędzej zza góry wynurzył się zbłąkany bolszewicki szwadron. Nie pora była uciekać przed nimi i zzieleniały z przerażenia duchowny bezwolnie przywitał dowódcę „czarką i skwarką”. Bolszewik podziękował:

– Nam niekagda!²⁵ – i, gwizdnąwszy dziko, skierował się ze swymi gierojami na Grodno.

Po nich zarazże przycwałowali legioniści i, zanim skołowaciały ksiądz cokolwiek wytlumaczył, zrumienili go pejczem przez łeb.

– Zdrajca!

Nastała Polszcza²⁶, a razem z nią większe kłopoty. Alik podrósł na tyle, by sporo rozumieć z dookolnego życia. Objiały uszy powszechne narzekania, że nie ma w miasteczku tej pomyślności, co kiedyś bywała, i Żydzi zbiednieli, mało kupują od gospodarzy. W garbarniach nie da się dorobić; fabryki stoją, nie pracują. Grube zapalki dzielono na czworo; nafta do lamp zdrożała w sklepie Lejzara; kładziono się spać, kiedy ściemniało; w cieplejsze pory roku wstawano o świcie, zimą z trzecim pianiem koguta. Śniegu sypało równo z płotami, do chlewów i stodół przekopywano się. Za cara młócono przy świetle lichtarzy, teraz po omacku. Naprzykrzali się swymi prośbami powracający z rosyjskiego „bieżeństwa” roku piętnastego. Nie mając co jeść ani czym się ogrzać, przychodzili po pomoc do katolickich swojaków, którzy sami nie bardzo mieli się czym dzielić. Słychać było klótnie, płacz. Raz Aliczek dał wujkom pół rzeszota odsiewu ze zmielonego w żarnach jęczmienia na kaszę, więc starsi mężczyźni pocałowali go za to w rękę, aż smarkacz wzdrygnął się, przestraszony.

Gdzieś był polski wójt i stała w murowance polska policja. Tyle i było tej Polski. Babcie chowały w kufrach ruble, nie wierząc, że car nie wróci. Alik zobaczył w kufrze banknot dwudziestopięciorublowy; wzięli go za krowę. Wymalowany papierek przyciągał wzrok portretem imperatora z orderami na piersiach, tajemnymi zawijasami. Szeleścił drogim nominałem. W schowku namacał niemieckie monety, duże i ciężkie, ale słyszał, że nie ma w nich srebra. Chodziły słuchy o złotych rublach; ktoś nabył za nie dziesięć łaki w dolnej Wejsowszczyźnie. Nie wiadomo, ile w tym było prawdy, bo diabli lubili nasrać człowiekowi złotem²⁷...

Ściapanu padabálasia małacíc pszanicu na Kaladú; jajé krychu siéjali ũ dalincy za mohiłkami. Ziernie pachaciela pirahami, jak padawálasia, i chłopiec żawáŭ prýharszniami. Za warotami stadoły kruciła miaciélica, ukrywájuczy chaty bialúsieńkimi hrumakami. Świet uraczyścieŭ. Bájkowy krajawid, by ũ wierszach Púszkina. Ściapán niedalúbliwaŭ biełaruskich, – u ich płaksíwaść, stahnańnie, smurod hora. Żadálasia kolernaj pryhažości, natrúdziŭszysia za dzień da wiéczara. Z humná moh i nia wychodzić, z apjanialnych pachaŭ púchkaha siena, i hustých kaniuszyny dy syradeli, adrozných ad szapatkoha aŭsú (pach – zdajecca – konskim potam); zusím abyjákawa hladziélasia na snapý żyta, szmýhliwyja myszy ũ im. Inszy raz pajaŭlaŭsia czuży kot, razhultájeny ad lohkaje zdabyczy. U strasié naczawali pad párkami wierabji. Janý zalatali ũ siarédzinu, furkoczuczy kala szczytá, rychtyk złyja duchí. Im tut nia było błaha, najadálasia zbażyný. Raz milhanuła kunica, pa-paniensku zhrabny źwiarok, zanáđzany myszaczýnaju. U stadole czas-czasom brálasia nieszta skrypaciéc i tadý Ściapán wytrészczwaŭsia ũ toj bok, czakájuczy ũpatkáć małoha j baradátaha palewiká, szto pryjszoŭ z paloŭ zimawác u humnach. Pole hladziela waczyma wialíkimi, jak smutak.

Pad stadołaju ad pryhumieńnia szałachcieli ũ wietry miérzłyja ściobły ziella, uczarniéłaja krapiwá. Ad wýhana czypiéŭ pawáleny płot. Hetu łamaréńdzinu Ściapán pamiatáŭ ad malenstwa. Z koźnaj wiasnoju było jajé sztoráz miensz, alé ũ zawiei ũsio wytyrkaŭsia niedahniły słupik, niedałamánaja źérdzina; papraŭdzie nia płot, a záharadź, niékali patrěbnaja; kaliści j ludzi nia bywali tak lísznimi. Nowuju záharadź nia stáwili, nia było za szto. Abrydła pytańnie: za szto, za szto??

Straszna nie chapała zarobkaŭ. Ściapán rabíŭ usieńka, szto tata z mámaju kazali; z natúhaju pieranosiŭ wykidańnie hnoju z chlawá. Sámaja niepasílnaja praca ũ haspadarcy! Hnoj – umowa ũrodu, chleba na celý rok. Da pierszych umałotaŭ. U wykidańnie hnoju hnili skuły na rukách; zamaładý na takoje. Adnaczasna pachwalna slúchali tadý jaho hútarku staryja:

– Oho, wykidác hnoj! Chto wykidaŭ, toj wiedzaje, szto heta takoje! Budzia ź jaho haspadár!

Alikowi podobało się młócić pszenicę na Boże Narodzenie; siali jej trochę w dolince za cmentarzem. Ziarno pachniało ciastem, jak się zdawało, i chłopiec żuł je przygarściami. Za wrotami stodoły wirowała zamieć, otulając chaty bielutkimi czapami. Świat uroczyściał. Bajkowy krajobraz, jak w wierszach Puszkina. Alik niedolubiał białoruskich – w nich płaczliwość, jęki, smród nędzy. Pragnęło się barwnego piękna, natrudziwszy się przez dzień do wieczora. Ze stodoły mogłby nie wychodzić, spośród upojnego zapachu puszystego siana i gęstych woni koniczyny tudzież seradeli, różnych od szeleszczącego owsa (ten pachniał – zdaje się – końskim potem); całkiem obojętnie patrzyło się na snopy żyta, buszujące w nim myszy. Niekiedy pojawiał się cudzy kot, rozleniwiony ławą zdobyczą. W strzesze nocowały pod łatami wróble. Wlatywały do środka, furkocząc koło szczytu, zupełnie jak złe duchy. Nie miały tu źle, najadały się zboża. Raz mignęła kuna, zwierzątko o panieńskim wdzięku, zanęcone tu mysiną. W stodole czasem brało się coś uporczywie skrzypieć i wtedy Alik wytrzeszczał się w tamtą stronę, spodziewając się ujrzyć małego i brodatego polewika²⁸, co przyszedł z pól zimować po stodołach. Pole patrzyło oczami wielkimi jak smutek.

Na przystodołu szeleściły na wietrze zmarzłe łądygi zielska, szerniała pokrzywa. Od wygonu sterczał pochylony płot. Tę ruinę Alik pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Z każdą wiosną było jej coraz mniej, choć w zawieje zawsze wystawał nieprzegniły do końca słupek, pęknięta żerdź; po prawdzie nie płot, a zagroda, niegdyś potrzebna; dawniej i ludzie byli potrzebniejsi. Nowej nie stawiali, nie było za co. Obrzydło pytanie: za co, za co??

Dotkliwie brakowało zarobku. Alik robił wszystko, co tata z mamą kazali; z trudem wywoził gnój na pole. To najcięższa praca w gospodarstwie. Bez gnoju nie ma urodzaju, chleba na cały rok. Do pierwszej młocki. Ropiały na dłoniach pęcherze od widel; za młody na to. Chwalili go wówczas w rozmowie starzy:

– Oho, gnój wyrzucać! Kto wyrzucał, wie jaka to praca! Będzie z niego gospodarz!

II

U darastańnie nia tak ciekawa, jak u małactwie. Wążnaje Ściapanu paczynała adbywacca nie pasiarod siabrukoŭ, alé miż chátaju, humnom i chlawom. Miensz i miensz wychodziŭ na wúlicu, nia májucy kalí. Maci z baćkam, staréjucy, spadziawálisia na jahonyja ruki, szto wyjaŭlálasia ũ złości na jaho. Bajálisia za haspadarku. Heta wyklikała ũ Ściapanie adczúzanaść; czakańnie wymowaŭ.

U piérszuju Polszcz nia było ínszaje nadziei; tolki na ziamlú. Ściapán dawiedwaŭsia pra tutejszych himnazistaŭ i, nawat, aficeraŭ rasiejaskaj ármii, jakija, woś, sieli na sraku i, zabýŭszysia na kniźki dy pahony, hetak ža ũzialisia wykidáć hnoj z swaích chlawoŭ, wałaczysia z płuham u pole. Jon upatkaje ich u darostaść zaŭsiody paholenymi, alé j pryhorblenymi losam. Janý trymali fason, czyścienka jszli ũ niadziélnuju carkwú, by ũ elitny klub, śpiawájucy z żonkami j paniénistymi doczkami ũ chory; réhientam staŭ dziak byłoha haradziénskaha harnizonu. Palakam jon byŭ niepatrebny, wiarnuŭsia na báckawu haspadarku. Śpiewy wioŭ cudoŭna, na hałasý. Baby chryścílisia, kalí žanoczaja tonkahałosaść žnikała pad hrymotnymi básami; bratoŭ Júrczykaŭ, miénszaha jak byłoha studenta i bolszaha jak byłoha parúcznika lejbhwardyi. U tuju parú ũsio było bytým.

Ściapana wýhnała ũ kawalerczukí. Heta miała toj skutak, szto zaprykmiéciŭ jon u abiedniu Kiszkiélánki, doczki pamużyczelych intelihientaŭ. Janý, choć sámýja pałoli aharody, zachawali adnák dalikactwa, tajemnaść twárykaŭ, lohkaść pachodki. Niawykáznuju prywiéтлиwaść pozirku. Pryciahalny rysunak wusnaŭ, lebiadzinaść szyji, niemardátuju smuhławaść. Ikonnaść u nieczym. Panskaść, u jakoj treba naradzicca. Usio razam uziátaje abnieszczaśliwiła Ściapana świadomaściu niedasiahálności. Skłálisia na toje jahonaje pryczyny – niaznácznaja zamożnaść dy mizérnaja kulturnaść, niahlédziaczy na pėnúju naczýtanaść (praślepacieŭ cárskija knihi, pazýczyŭszy ũ swajakoŭ, u tych ža Kiszkiélának). Dryhotka pierazywáŭ wypadkowýja sustreczy na wúlicy z katoraj; wiéтлиwa adkázwali na jaho dabrydzionnaje prywitańnie.

Szto budzie sa Ściapanam, kalí wýraście jon na mužczynu? – przyblizna tak dumaŭ baćka. Maci pahadzálasia na ũsio, szto skaża starý. Inaczaj nia było b siamjí. Ściapanu hadawálisia siasirá j bracic (krychu razbészczany mácierkaj, jak bywaje heta ž miénszymi chłopcami). A samá haspadarka niewialíkaja, piać z pałowaj dziesiacinaŭ ziamlí j paŭdziesiaciny łuhá daloka nad Súpraślu, za Lípawym Mostam. Dziaŭczaci treba pasáh, dyk kolki zastaniecca bratám?! Słowa pa słowie j baćka z maci, pasejmikawaŭszy, uchwalili addáć Ściapana na nawuku da szaŭcá Srułá. Žyd mnoha nia ũziáŭ za heta; byłá tadý kankurėncyja. Siarod muzykoŭ i hładkich miaszczanaŭ nie znachodziłasia ramiéšnikaŭ;

II

W dorastaniu nie tak ciekawie, jak w dzieciństwie. To, co ważne dla Alika, zaczynało się odbywać nie wśród koleżków, ale między chatą, stodołą i chlewem. Rządziej i rządziej wychodził na ulicę, nie mając kiedy. Matka z ojcem, starzejąc się, liczyli na jego pomoc, co się przejawiało w złości na niego. Kłopotali się o gospodarstwo. To sprawiało, że czuł się wyobcowany, spodziewając się narzekań, wymówek.

Za pierwszej Polski nie było innej nadziei; tylko w ziemi. Alik dowiadywał się o tutejszych gimnazjalistach, a nawet oficerach rosyjskiej armii, którzy oto spuścili z tonu i, zapomniawszy o książkach i pagonach, także jęli wyrzucać gnój ze swoich chlewów, wlec się z pługiem w pole. Spotka ich w dorosłe lata zawsze ogolonych, ale i przygarbionych losem. Trzymali oni fason, czyściutko szli do niedzielnej cerkwi jak do elitarnego klubu, śpiewając z żonami i panniastymi córkami w chórze; regentem²⁹ został diakon byłego grodzieńskiego garnizonu. Polakom był niepotrzebny, wrócił na ojcowiznę. Śpiewy wywodził cudownie, na głosy. Kobiety żegnały się, kiedy żeńska cienkośpiwność znikwała pod grzmiącymi basami – braci Jurczyków: młodszego, byłego studenta, i starszego, byłego porucznika lejbgwardii³⁰. Wtenczas wszystko było być.

Alik wyrósł na kawalera. Miało to ten skutek, że przyuważał on podczas mszy Kiszkielanki, córki schłopiałych inteligentów. One, choć same pielili ogrody, zachowały jednak delikatność, tajemniczość twarzyczek, lekkość ruchu. Niewymowną życzliwość spojrzenia. Pociągającą linię ust, łabędią szyję, niegębatą smągłolicość. Coś z ikon. Pańskość, w której trzeba się urodzić. Wszystko razem wzięte unieszczęśliwiło chłopca świadomością nieosiągalności. Złożyły się na to Alikowe: niewielka zamożność i mizerne obycie, nie bacząc na pewne odczytanie (przebrnął przez carskie książki, pożyczone od swojaków, od tychże Kiszkielanek). Z drżeniem serca przeżywał przypadkowe spotkania na ulicy z którąś z nich; uprzejmie odpowiadały na jego dzień dobry.

Co będzie z Alikiem, kiedy wyrośnie on na mężczyznę? – mniej więcej tak zastanawiał się ojciec. Matka zgadzała się na wszystko, co postanowi stary. Inaczej nie byłoby rodziny. Z Alikiem wzrastali siostra i braciszek (nieco rozpieszczony przez matkę, jak to bywa z młodszymi braćmi). A sama gospodarka niewielka, pięć z połową dziesięciny ziemi i pół dziesięciny ługu³¹ daleko nad Supraślą, za Lipowym Mostem. Dziewczęciu potrzebny posag, ile więc zostanie braciom?! Słowo po słowie i ojciec z matką, posejmikowawszy, uchwalili oddać Alika na naukę do szewca Srula³². Żyd dużo za to nie wziął; wtedy była konkurencja. Wśród chłopów i gładkich mieszczan nie znajdowało się rzemieślników;

haspadarskich doczak brali kraučychi, nawet dobryja, jak Rachela. Nawuka ũ żydoŭ ciahnúłasia doŭha, hadami, i nia ũsie sakrety ramiastwá janý pakázwali. Kalí prychodziŭ świeży klijént i treba było źniać mierku na boty, szawiéc wyhaniáu wucznia na tratuar, kab nie padhledzieŭ, jak toje robicca. Potym Ściapán schitryŭ: dakładna raspýtawuczy znajomych dziadźkoŭ, sam dachodziŭ da tajemnaści. Srul dawiédaŭsia pra heta, nowych klijentaŭ prasíŭ nie hladziéc, jak jon robić.

– Nu, Ściapanczyk, nia budź mondry bolsz za majstra! – zławaŭsia żyd. – Boty wýstukajesz, alé na nohi janý czaławieku nia źlezuć... Klijenty buduć iści da mianié, a nie da ciabié. Twój baćka pawinien dapłacić mnie, kalí chocza, kab ty byŭ szawiéc. Skaży jamú: jaszczé dwa metry pszanicy j sto złoty.

Ściapán skazaŭ.

Baćka wýkaszłaŭsia i adkazaŭ zlosna-siptym hołasam:

– Kidaj, bolsz nia jdzi da Srulá. Napaczatak mnie zrobisz boty, a matcy czarawiki. Kalí maja być ź ciabié szawiéc, to budzia...

Ściapana Kiszkiálá tym czasam zabrali ũ polskuju ármiju, u połk konnaj artylériji ũ Suwałkach. Starý addáu jamú swoj sałdacki kuferak czasoŭ rasiéjskaha wojska; maci nakłała ũ jaho sała j bułku chleba, smalniczek súszanaj kaŭbasý. Pa rekrutaŭ prysłali z hminy astrauškija furmanki. Cely dzień jéchal i ũ Harodniu, nichto nie śpiaszaušia. Hrukacieła pabrukawánaja szaszá (czasá). Za Alékszyczami panarawílisia koni, pastabieli. Wýprahli j nawiésili im na hałowy torby z abrokam.

U żywuju tradýcyjurowadaŭ u sałdaty, kalí zabirali na dwaccać piac hadoŭ, nawabrancam dazwaláłasia szmat-szto. Tamú bújnyja charaktary kídalisia ũ źulnictwa, zaholwali sustrecznych kabiét, prymuszali karczmaroŭ czastawác ich harékaju. Ściapánawy síabrukú abduyri alékszyckaha krámnika, prywaliŭszy jamú pad uwachodnyja dźwiery wałún, prywiézieny imi zaráz źa z pola, na furmancy, szto miela žaléznyja wosi (u ínszych draŭlányja). Wazakú dali złot; kupili dwa litry manapolki za czatyry. Kramnik spaczatku tarhawaŭsia za try złoty, alé aprocz złydniaŭ nie znachodziŭ achwotnych adkacíc kamień; dwóch miascowych, praŭda, pryachwociłasia, dyj nie dali rady, ani rúszyli hłybu (parolisia im nahawicy na zadach).

Służba ũ kazarmach padałasia da wajskowaj prysiahi ciažejszaj. Ponacznyja alarmy, posnaja jeza (sieladcý), adzieńnie ũ trantach, jabuctwa kaprałaŭ mahło źwieści z rozumu. Kamándawaŭ pałkom zajadły katolik z carskich aficeraŭ ź wielmi polskim imiem dy proźwiszczam, addawaŭ zahady pa-rasiejsku, kaprały pierakładali. Nastroj biassensu pahłyblała samá armiéjskaja służba, wykonawańnie dyscypliny bieź jakoha-kolwieczy abhruntawańnia. Ściapán paliczyŭ, szto patrácicca jon tut paru hadami lisznich zaniatkaŭ. Sahnali bataljon mužczyń, apranuli-abuli j nakazali im biehać pa palihonie, wystrúnwacca pierad naczalstwam, pa-málpinamu paŭtarác

krawcowe, nawet dobre, jak Rachela, brały do siebie gospodarskie córki. Nauka u Żydów ciągnęła się długo, latami, i nie wszystkie sekrety swojego rzemiosła oni przekazywali. Kiedy przychodził klient i trzeba było zdjąć z niego miarę, Srul wyganiał ucznia na trotuar, by nie podejrzwał, jak się to robi. Potem Alik się schytrzył: dokładnie wypytyując znajomych, sam dochodził tajemnicy. Srul, dowiedziawszy się o tym, nowych klientów prosił nie patrzeć na stopy.

– No, Aliczek, nie bądź mądrzejszy od mistrza! – zżymał się Żyd. – Buty wystukasz, ale na nogi one człowiekowi nie wejdą... Klienci będą iść do mnie, a nie do ciebie. Twój ojciec powinien mi dopłacić, jeśli chce, byś był szewcem. Powiedz mu: jeszcze dwa metry pszenicy i sto złotych.

I Alik powiedział.

Ojciec wykasł się i odparł ochryłym z poirytowania głosem:

– Kidaj, nie idź więcej do Srula. Na początek mnie zrobisz buty, a matce trzewiki. Jak ma być z ciebie szewc, to będzie...

Alika Kiszkiela tymczasem zmobilizowano do polskiego wojska, do pułku artylerii konnej w Suwałkach. Stary dał mu swój żołnierski kuferek z czasów służby u Rosjan; matka włożyła do niego kawałek słoniny, bochen chleba i pół pęta suszonej kiełbasy. Po rekrutów przysłano z gminy ostrowskie furmanki. Cały dzień jechali do Grodna, nikt się nie śpieszył. Turkotała brukowana szosa. Za Alekszycami znarowiły się konie, osłabły. Wyprzęgnięto je i zawieszono im na łby torby z obrokiem.

Kiedyś brano „w żołdaty” na dwadzieścia pięć lat i z tych czasów pozostała pewna pobłażliwość dla nowobrańców. Dlatego ci z bujnymi charakterami popadali w chuligaństwo, zadzierali spódnicę napotkanym kobietom, przymuszali karczmarzy do częstowania gorzałką. Kompani Alika okpili alekszyckiego sklepikarza, przywaliwszy mu drzwi wejściowe wałunem³³, przywiezionym przez nich zarazem z pola, furmanką, co miała żelazne osie (w innych były drewniane). Wozakowi dali złotówkę; zażyczyli sobie dwa litry monopolki po dwa złote. Sklepikarz z początku wołał o resztę ceny, ale – prócz psotników – nie znajdował gotowych odtoczyć głaz; dwaj miejscowi wprawdzie zochocili się, lecz nie dali rady, kamień ani drgnął (tylko pruły im się spódnie na tyłkach).

Służba w koszarach zdała się cięższa do przysięgi. Nocne alarmy, postne jedzenie (śledzie), zdarta odzież i przekleństwa kaprali mogły wyzuć z rozumu. Dowodził pułkiem zagorzały katolik, z byłych carskich oficerów, z wielce polskim imieniem i nazwiskiem, wydawał rozkazy po rosyjsku, a kaprale tłumaczyli. Nastrój bezsensu pogłębiała sama wojskowa służba, stosowanie się do dyscypliny bez jakiego bądź uzasadnienia. Alik zdał sobie sprawę, że straci tu parę lat na niepotrzebne zajęcia. Zgoniono batalion mężczyzn, odziano-obuto i kazano im biegać po poligonie, wypręzać się przed dowództwem, po małpiemu powtarzać

niéjkija słowy. Nia ũsio ciamiŭ jon pa-polsku. Bolsz zdahádwaŭsia. Nyła ũ hrudziách sumota pa baćkoch, *chaci*, haspadarcy. Śniŭsia pach konskaha potu, hnoju; baćkoŭskaja burkliwaść. Padumwaŭ uciaczý, alé kudý!? Damoŭ, kab aryszstawali j pasadzili ũ turmú!? Abo, moża, u blízkuju adsiúl Litwú, alé tadý niamász wiartańnia nazád. Pastanawiŭ paciarpieć, tym bolejš szto, jak czuŭ ad starejszych, lahczej służycca paślá prysiahi. Prapacieŭszy try rekrúckija miésiacy. Usienka na świcie maje canú, jak dziacinstwa, jakoje soładka ũspaminájecca, zusím zabywájuczysia na toje, szto maleńki czaławiék całkam biaspraŭny, da czerstwaj skibki chleba zaleźny ad matki-baćki, nia májuczý aniczoha swajho, akramiá jakojści cacki, padkínutaj jamú.

Kazali staryja, szto daŭným-daŭno, pry pánszczyнной Polsce, muzykoŭ nie zabirali ũ wojska; abawiazak nieści słuźbu na wajnié laźaŭ na szlachcie j najomnikach. Brać chałopcaŭ u sałdaty paczali za carami. Spatrébilisia wialíznyja ármii, kab wajawác z pałowaju świetu. Kazali: rasiejski car uwajszoŭ u Kitáj, padparádkawaŭ manhołaŭ, wýstupiŭ supróć Pérsii j pojdzie na Indyju; pakaŭznuŭsia byŭ na Japonii, alé jaszczé raskwasieć joj nos... Polszcz układowiŭ pad siabié, by feldfebel ciotku. „Miacieźniki” niczoha carú nie zrabili, adno majontki patrócili i ũ kajdanach u Sibír ich papierli, a ichnych doczak i żonak, zakínuŭszy ich piéknyja kulszy na pahony, kazaki zdubásili, z żywatami puścili... Paŭtarali nıby za Púszkinym pra razhrom napaleonaŭskaj ármii: „Ruski sałdat u Paryże francuskich żon chwalił i jabiot!”

Paślá prysiahi dali Ściapanu Kiszkiálú „urlop” z Suwałkaŭ. Na paru dzion dachaty.

– Czýstaja zaraza ũ naszaj rocie – heta kaprał Wadecki, mazúrysko ad Łomży. Jencyć: „Druźyna! – bacžność!” Dúmaju: kab ciabié chalera zaduszyla! Alé szto, stanaŭlusia, jak ukopany. Jencyć Wadecki: „Ruskie kurwy! – na prawo patrz!” Dúmaju: skrucí szyju, sabaka! A Wadecki jak by paczúŭ toja: „Wyżej pyski i wybałuszać oczy tak, jakbyś goło babe zobaczył!” Dúmaju: czaho heta wieraszczysz!?... Stawié nas czaćwiérkami dy kamánduja: „Na prawo – zwrot! Równym krokiem – marsz!” Nu, idziém, a pierad nami łúzyna, dyk jajé abychodzim. I tut Wadecki jak nie zawyja: „Dokond!? Nie dałem takiego rozkazu! Druźyna! – stój!” Nu, pastali my ũ bałoci. Ażno czujam: „Padnij!” – – –

Paśłuchać Ściapanu naprychodziła susiedziaŭ poŭnaja chata. Paślá polskich słoŭ hramadá stahnała: a-ja-jáj! A-ja-jáj!! Moża bolszym dziwam była hrúbaja mowa kaprała Wadéckaha, bo tutejszy ksiondz tak nie azywaŭsia i pan z paniénkami ũ dwarý. Praŭda, kalís hłumilisia nad ludam ciwuný, alé janý kłali pa-nászamu. Polskuję mowu Boh spasłaŭ ż niabiosaŭ panám i ksiandzám. A tut, wo, czuwác ad Ściapanka takojá...

U Anisimowiczaŭ radziłasia bolsz chłopcaŭ. Rod ich razrośsia, by toj

jakieś słowa. Nie wszystko rozumiał on po polsku. Raczej się domyślał. Gniotło w piersiach z tęsknoty za rodzicami, domem, gospodarstwem. Śnił się zapach końskiego potu, nawozu; ojcowska burkliwość. Pomyślał uciec, ale dokąd!? Do domu, żeby aresztowali i zamknęli w więzieniu!? Albo może na niedaleką Litwę, lecz stamtąd nie byłoby powrotu. Postanowił pocierpieć, tym bardziej że, jak słyszał od starszych, służba po przysiędze lżejsza, po trzech pierwszych, pełnych potu rekruckich miesiącach. Wszystko na świecie ma swoją cenę, jak dzieciństwo, które się słodko wspomina, zupełnie zapominając o tym, iż mały człowiek nie ma żadnych praw, nawet do czerstwej kromki chleba, we wszystkim zależy od matki-ojca, nie mając nic swojego prócz jakiejś zabawki, podrzuconej mu.

Mówili starzy, że dawno, dawno temu, za pańszczyźnianej Polski, chłopów nie zabierano do wojska; obowiązek wojenny spoczywał na szlachcie i najemnikach. Brać rekruta spośród „chłopców” zaczęto za carów. Potrzebne były ogromne armie, żeby wojować z połową świata. Powiadali: rosyjski car wkroczył do Chin, podporządkował sobie Mongołów, wystąpił przeciw Persji i pójdzie na Indie, był się naciął na Japonii, ale jeszcze rozkwasi jej nos... Polszczył ułożył pod sobą, jak feldfebel „ciotkę”. Miecieżnicy (powstańcy) nic carowi nie zrobili, jeno majątki potracili i w kajdanach na Sybir poszli, a ich żony i córki, z pięknymi nogami na pagonach, kozacy pohańbili, z brzuchami puścili... Powtarzali (niby za Puszkinem) o klęsce napoleońskiej armii: „Ruski sałdat u Paryże francuskich żon chwalił i jabiot!³⁴”.

Po przysiędze Alik Kiszkiel dostał „urlop” z Suwałk. Na kilka dni do domu.

– Czysta zaraza w naszej rocie – to kapral Wodecki, Mazuryko spod Łomży. Drze się: „Drużyna! – bacność!”. Myślę: a żeb cie cholera wzięła! Ale cóż, wyprężam się jak wkopany. Jęczy Wodecki: „Ruskie kurr’wy!, na prawoo – pacz!”. Myślę: a skręć kark, psie! A on jakby to usłyszał: „Wyżej pyski i wybałuszać oczy tak, jakbyś goło babe zobaczył!”. Myślę: czego tak wrzeszczysz!?!... Ustawia nas czwórkami i komenduje: „W lewoo – zwrot! Równym krokiem – marsz!”. No, idziem, a przed nami kałuża, to ją obchodzim. I tu Wodecki jak nie zawyje: „A dokond to?! Nie dałem takiego rozkazu! Drużyna! – stój!”. No i postali my w błocie... Aż tu słyszym: „Padnij!”. – – – II/s.238

Posłuchać Alika nasza sąsiadów pełna chata. Po polskich słowach rozlegał się gromadny jęk: „Aj-ja-jaj! Aj-ja-jaj!”. Może większym dziwem była siarczysta mowa kaprała Wodeckiego, bo tutejszy ksiądz tak się nie ozywał ani pan z panienkami we dworze. Prawda, kiedyś pastwili się nad ludem ciwuni³⁵, ale oni klęli po naszymu. Polską mowę Bóg zesłał z niebios panom i księżom. A tu, proszę, słychać od Aliczka coś takiego...

U Anisimowiczów rodziło się więcej chłopców. Ich ród rozrósł się jak ten

małaczajnik u aharodzie. Na Haradzienskaj pabudawálisia Júrczyki, Aficéryki j Mondryja; na Sakolskaj pakuplali placý pad chaty Antyfony j Bułaŭki; na Plantanskaj – Paláczyki dy Śpiewakí; u kancý Kaŭkaskaj rašsiélisia Siamy, zaikliwy Uładak dy żulikawaty Kastenty. Bylí Anisimowiczy na Akopach, Harodnikach, i na Staradwornaj. Z adných Anisimowiczaŭ sabrálasia b rota. Ich kawalery chadzili bicca z żydami, a na tancach u Hrąbszawym lesie wadzili ũ kustý Kiszkialanak, kalí nia mieli rahatliwaj Rachelanki.

Czort wíedaje Anisimowiczaŭ, adkúl janý brali na ũsio hroszy; na kuplu ziamlí! Jaszczé ũ pánszczynu pabahacieli byli, mójuczy piéknych babaŭ panu – francuzu de Wirjanu. Hraf dawáu małocznuju karowu na nowaha bajstruká. Moża tamú ũsié janý takija parodzistyja, niadurnyja? Mużczyny pad try arszyny, a dzieŭki, by lebiadzichi, hladziéc nie nahladziecca na jch. Oho, Anisimowiczy!

U Kiszkialoŭ bolsz dziaŭczát. Hety rod uchilaŭsia ad pohálasu, haładuszna siadziéŭ u kurnych chatach. Kiszkiélaníki wychodzili zámuz czasta za Anisimowiczaŭ. Mabyć, Anisimowiczynam tamú janý padabálisia, szto ź imi ũdawálasia biezawanturna żyć, trymájuczy pad rukoju haraczych kachanak (udowy, zawiekawáłyja panienki). Kiszkiálí, sa swaím jaćwiaska-żmudzkim próżwiszczam, zbaŭlálisia familnych mitaŭ; u Anisimowiczaŭ słáwiŭsia starażytny Anisím. Szlubawańnie z Kiszkiálánkami dawała pierawahu, tak skazác, pieŭnia nad kurycaju. Mezaljáns (?) nawet.

Z Anisimowiczami mahlí siak-tak raŭniacca Janowiczy, alé janý nie chwalílisia czystym pachodżańniem, jak napałowu katoliki; kab chaciá wunijaty. Rýmskija! Heta ũ tyja czasý błaħa ũpływała na kancylárskija sprawy. I ũsio szybawali miż imi manaszki-lástaŭki, szto báczyłasia ũ prýšwiatki. Ksiandzá, jak i papá, mużykí abodwuch niedalúbliwali; trybuchaczý nie pracawali na rallí, a smaczna jeli. „Bahatyré!”

U miasteczku j pry palakach miéłasia možnaść żyć, choć u żydoŭ na Pahulancy abjawílisia kamunístyja. Ich pryลิปajám staŭ biednawaty Jurczyk, za jakoha nie chacieli iści chaciá b Janowiczanki. Prysmaktaŭsia da Racheli. Jaho arysztoŭwała palícyja, doŭha nia trymájuczy na pastarunku; marny balszawík. I da Ściapana, kalí adszŭżýŭ jon wojska, dachodzili czutki, szto fabrykanty pajszlí na zmwu z kamunístymy, kab tyja arhanizoŭwali im strejki ũ harbarniach. Wyhodu kambinawali kapitalístyja takuju, kab u słábuju prodaż skuraŭ i padeszwaŭ nia músili ũtrýmliwać pradúkcýju, płácić rabotnikam. Ad kamunistaj dziéjnaści mieli czysty zysk. Palicyjanty razumieli toje, alé inszy raz zajadła dla ludzkích waczéj ciahali Júrczyka, szkodziaczy jamú ũ rabocie na haspadarcy (usiaho try dziesiaciny). Kamandánt bajaŭsia, kab czyrwonyja ściahí nie pierajszlí ad chanajkaŭ da sialanaŭ. U stracha wialíkija woczy!

wilczomlecze w ogrodzie. Przy Grodzieńskiej pobudowali się Jurczykowie, Oficerykowie i Mądrzy; przy Sokolskiej płace pokupowali Antyfonowie i Buławkowie; przy Plantańskiej Polaczykowie^{XVIII/s.277} i Śpiewakowie; w końcu „Kaukazkiej” rozsiedli się Siamowie, Władek jąkała i chuliganowaty Kostenty. Byli Anisimowicze na Okopach, Ogrodnikach i Starodwornej. Z samych Anisimowiczów zebrałaby się rota. Kawalerowie od nich chodzili tłuc się z Żydami, a na tańcach w Hrabszowym Lesie ciągaliby w krzaki Kiszkielanki, gdy nie mieli pod ręką chichotliwej Rachelówny.

Licho wie, skąd Anisimowicze brali na wszystko pieniądze; na kupno ziemi. Jeszcze za pańszczyzny byli się wzbogacili, mając piękne kobiety dla Francuza de Viriona. Hrabia dawał dojną krowę na nowego bękartą. Może dlatego oni wszyscy tacy rasowi, niegłupi? Mężczyźni pod trzy arszyny, dziewczęta jak łabędzice, napatrzeć się nie można! „Oho, Anisimowicze!”

U Kiszkielów więcej dziewcząt. Ten ród unikał rozgłosu, ubogo siedział w kurnych chatkach. Kiszkielanki wychodziły za męża często za Anisimowiczów. Pewnie Anisimowiczkom dlatego się one podobały, że z nimi udawało się bezawanturnie żyć, trzymając na boku gorące kochanki (wdowy, stare panny). Kiszkielowie, ze swoim jaćwiesko-żmudzkiem nazwiskiem¹⁰, odrzekali się od rodzinnych mitów; u Anisimowiczów sławiono starożytnego Anisima. Ożenek z Kiszkielankami dawał im przewagę, by tak rzec, koguta nad kurą. Mezaliani (?) nawet.

Z Anisimowiczami mogli się jako tako równać Janowicze, ale oni nie chwalili się czystym pochodzeniem, będąc w połowie katolikami; żeby chociaż unitami. Rzymskimi! To w tamte czasy źle wpływało na kancelarskie sprawy. I ciągle szybowały między nimi mniszki-jaskółki, co widziało się w święta. Księdza, jak i popa, chłopcy obydwu niedolubiali: ci brzuchacze nie pracowali na roli, a smacznie jedli. Bohatyrowie!

W miasteczku i za Polaków była możliwość żyć, choć wśród pohulańskich Żydów objawili się komuniści. Przystał do nich golcowaty Jurczyk, za którego nie chciały wychodzić choćby Janowiczówny. Przyszał się do Racheli. Czasem aresztowała go policja, długo nie trzymając na posterunku; marny bolszewik. I Alika, kiedy odsłużył on wojsko, dochodziły słuchy, że fabrykanci poszli na układ z komunistami, aby ci organizowali im strajki w garbarniach. Wygodę kapitaliści kombinowali taką, żeby w czas słabej sprzedaży skór i podeszew nie podtrzymywać produkcji, nie płacić robotnikom. Z komunistycznej działalności mieli czysty zysk. Policjanci rozumieli to, ale niekiedy zajadły dla ludzkich oczu ciągaliby Jurczyka, szkodząc mu w robocie na gospodarce (wszystkiego trzy dziesiątyny). Komendant obawiał się, by czerwone sztandary nie przeszły z Chanajek³⁶ do włościan. Strach ma wielkie oczy!

Na Ściapanu zaūhladałasia była biadniejszaja Anisimowiczanka, Ania, dosyć chwarawiekaja i Źžo nie szasnastoūka. Ściapanu było niajomka abminác jajé pozirki. Niabrydkaja na wyhlad, Ania napeūna nie spadabáłasia b matcy Wolzie. Znadta dalikátnaja jak na haspadarku. Treba Ściapanu dzieūki, jak repa! Nu j pasáh nie abý-jakí; karysna Źanicca z brydotaju, tadý cieści dajúc mnoha, nia wielmi szkadújucy. Czaho mahczyma spadziawacca, biarucý Aniu? Paūdziesiaciny dalinki za mohiłkami j niékalki wullaū, parku parasiát? Dumaj, Ściapanie, jak Źycmiesz daléj, májucy jaszczé siastrú j brata. Ziamlú bačka padzielić. Szaūcawañnie, mabyć, paratuje Ściapanu, alé kalí toje budzie. Zreszty, warsztát u jaho – heta plaskaty małatok, abcuhi, dwa wýstruhanyja Ź lipy kapyłý typowych mierak, Źmienia draūlanych ćwikoū, pacienhi, i raszpil. Instrúmanty kasztujúc, i kab nia báckawy załatoūki, to j taho nia było b. Kupláū nia nowyja, bo j za szto (?). Pradawali Ściapanu staryja szaūcý, Źžo abiaśsilenyja, zmardawányja, da jakích nihto nia jszoū z dobrymi zakázami; szmat-cho tadý nasíū łapci, a wysokija boty z namázanymi wáksaju chaláwami báczyłisia prýświatkami, na anisimowickich i janowickich nahách.

U karczmié Fajsta Źsié bujánili, dúžalisia, wýjszaūszy na padworyszcza. Byū adzín Anisimowicz, jakoha nihto nie pakaciū; prazwali jaho Dužym. – Siarhiéj Duży-Anisimowicz. U Siarhieja zawioūsia liszni hrosz z pakražaū kałodak u Paczapkoūskim nadlaśnictwie, z prybahoñnikaū. Waziū naczami j niaczasta, kab nie papásćisia. Jaho zdarawiezny koñ wywałakáū woz na prahały za niaħlybokaj Starýnkaju. Laśnikí, noczczu, padpilnawali Siarhieja, choć nia wiédali, szto heta jon panádziūsia na sañninu. Pierastupili darohu jamú dwoch z dubaltoūkami.

– Wypraháj kaniá, – pakamándawali.

– Sami wyprahajcia, kalí wam tak treba, – kryknuū na ich Siarhiéj.

Janý i Źzialisia za chamút, a tadý śmialczák urezaū abodwum púhaju pa ślepakách, aŹno zawyli dy zakrucíłisia na miescy, niczoha ni bázcaczy.

Paślá taho wýpadku Duży pierastaū kraści, zbyūszy Źydám prychawányja Ź niczyích łuzkoch tyja kałodki; kalí cho j baczyū ich tam, nia wiedaū, czyjé janý. Siarhiéj razumiéū, szto doūha tak nia moŹa býć.

Zaniaūsia tarhawañniem chataū światoha Haljaszá. Abjawiūsia prarok u Staroj Hryboūszczynie, budawaū raj, alé razdumaū, i Siarhiéj padlaciéū jamú kupcom. Dziwák światý: nia znaūsia pa cenach, nie raŹbiraūsia Ź polskich załatoūkach, jakimi napicháū konskuju torbu. Wýruczyūszy Haljaszá, Siarhiéj pradáū try chaty; mocna dachodna, zarablájucy ad koŹnaj na karowu (sto złoty).

Ściapanu śnilisia tadý Ź kazarmach, – pabudawáli Ź Suwałkach jaszczé wiécznyja rasiejcy, – Źniwieñskija noczy pad Warszáwaju dwaccátaha hodu. Wysokaje zornaje nieba, mihotkaja Wialíkaja MiadŹwiédzica, zárywy dalokich pažaraū. Hareli wioski j szlachiéckija zaścienki Ź bok

W Alika była się zapatrzyła biedniejsza z Anisimowiczankę, Ania, trochę chorowita i już nie szesnastolatka. Alikowi niezręcznie było omijać jej spojrzenia. Niebrzydka z wyglądu, Ania z pewnością nie spodobałaby się matce Oldze. Za delikatna jak na gospodarstwo. Trzeba Alikowi dziewczyny jak rzepa. I posagu nie byle jakiego; korzystnie jest żenić się z brzydulą, wtedy teściowie dają dużo, nie żałują. Na co można liczyć biorąc Anię? Pół dziesięciny dolinki za cmentarzem i kilka ulti, parkę prosiąt? Myśl, Aliku, jak będziesz żyć dalej, mając jeszcze siostrę i brata? Ziemię ojciec podzieli. Szewstwo pewnie poratuje Alika, ale kiedy to będzie? Zresztą, warsztat jego – to płaski młotek, obcęgi, szydło, dwa wystrugane z lipy kopyta typowych rozmiarów, garść drewnianych ćwieczków, pocięgiel i raszpla³⁷. Narzędzia kosztują i gdyby nie ojcowe złotówki, nie byłoby i tego. Kupował nie nowe, bo i za co (?). Sprzedawali Alikowi starzy szewcy, już opadli z sił, zmordowani, do których nikt nie szedł z dobrymi zamówieniami; wielu wtedy nosiło łapcie, a wysokie buty z napastowanymi cholewami widziało się przy święcie, na nogach Anisimowiczów i Janowiczów.

W karczmie Fajsta wszyscy hulali, siłowali się, wyszedłszy na podwórze. Był jeden Anisimowicz, którego nikt nie powalił; przewano go Dużym (czyli mocnym). – Arcik Duży-Anisimowicz. U Arcika pojawił się dodatkowy pieniądz z podbierania kłód w poczopkowskim nadleśnictwie, pod moczarami. Woził nocami i nieczęsto, ażeby nie podpaść. Jego mocarny koń wywlekał wóz na polany za niegłębką Starynką³⁸. Leśnicy – nocą – przypilnowali Arcika, lubo³⁹ nie wiedzieli, że to on połasił się na sośninę. Zastąpili mu drogę we dwóch z dubeltówkami.

– Wyprzęgaj konia! – rozkazali.

– Sami wyprzęgajcie, jak wam tak trzeba – odkrzyknął Arcik.

Tedy oni chwycili za chomąto i w tej chwili zuchwalec przygrzał obydwóm biczem po ślepiach, aż zawyli i zakręcili się w miejscu, nic nie widząc.

Po tym wypadku Duży przestał kraść, zbywszy Żydom przychowane na niczyich łóżkach bierwiona; jeśli kto i zoczył je tam, nie wiedział czyje. Arcik rozumiał, że długo tak nie może być.

Zajął się targowaniem chat świętego Haliasza (Ilji). Objawił się prorok w Starej Hrybowszczyźnie⁴⁰, raj budował [Wierszalin], ale się rozmyślił i w Arciku nadarzyło mu pośrednika. Dziwak był ze świętego: nie miał rozeznania w cenach ani polskich złotówkach, którymi napychał torbę na obrok^{III/s.238}. Wyręczając w tym Haliasza, Arcik spieniężył trzy chaty; nader zyskownie, zarobiwszy na każdej sto złotych (tyle, co na krowę).

Alikowi śniły się wtedy w kazarmach⁴¹ – zbudowali je w Suwałkach ubiegłowieczni Rosjanie – sierpniowe noce pod Warszawą roku dwudziestego. Wysokie, gwiazdziste niebo, migotliwa Wielka Niedźwiedzica, łuny dalekich pożarów. Gorzały wsie i szlacheckie zaścianki w stronę

Minska Mazawiéckaha; prabiwátasia, kazali balszawikí, akrúzanaja straléckaja dywíziya palakaŭ. Tyja j tyja nia mieli czym stralác, nastupali adný na adných z sapiorskimi rydlowaczkami ũ rukách, zamáchwajuczysia prykłádami wintowak. Dzika maciuhájuczysia.

– Žaŭniér, kab być žaŭnieram, pawinien – akramiá kuchni – mieć poŭny patrantász, – starykawáŭ paŭtorliwa Ściapanu niejki abozny dziadzka, kalí, nie dajéchaŭszy da Radzimina, pawiernuli adpiéradu furmanki nazád. Upałowchany Ściapán, – nazád! nazád! – bączaczy, szto ũsio wálicca kuralom, kibienimáciery pazwalwaŭ skryni z amunicyjaj u adchon dy papior polnymi darohami na Zambraŭ i Łapy. Jon nia ciamiŭ, szto za hétaki ũczynak na fróncie rasstrélwajuć na miescy.

Praczynaŭsia wa ũzmakrełaj ad potu kaszuli. Mahutna chraplí kalehi, nabiéhaŭszysia pa palihonie z žalaziákami. Wýrazna marmytaŭ palaszúk swaim ćwiordym akcéntam; ni z kím nie pasiabrawáŭ hety chłopiec, jakí hladziéŭ spadyłba na ũsio i ũsich. U jahonym bieraściejskim staroŭni nia żyłi katoliki; palakaŭ pabaczyŭ u Suwałkach, ździwiŭsia, szto ich pa-muraszynamu mnoha. Palákami byli jamú paný, alé panou niaszmát pa majontkach. Ściapana heta zacikáwiła – ciazka wiéryłasia, szto jość miaściny na świcie zusím biez katolikaŭ i palakaŭ.

Szaŭcawaŭnie ũ baćkoŭskaj chacie Ściapanu Kiskialú nia nadta ũdawátasia. Nia wiéryłasia lúdziám, szto jon, nia-žýd, umieje szto-leń rabić niehaspadárskaje. Maci Wolha namiakała na žaniébu, na Faniu niedalokaje ciotki ź Wialikich Aziaranaŭ; i na druhuju, na Niuru. U ciotki było dźwie dziesiaciny sienakosaŭ za réczkaju Świsłacczcu, pad Nieparožnieŭcami. Pa dziesiacinie na daczku. Byłi j zahany: da Niury chadziŭ kawalér, alé pakinuŭ. A Fania ũdałasia wiesialistaj, szto nie pradrakała dbájnaje haspadyni ź jajé. Ściapán ni razu nia baczyŭ tych dziaŭczát; ab usím razwážała za jaho maci, uhołas. Padrastali miénszyja dzieci, dawodziłasia joj suszyć imi haławú. Czas-czasom padúmałasia Ściapanú nastúpnae: naszto ludzi zéniacca, kab paślá biedawác pra chleb žoncy j dzieciom?! Ci nie praściéj żyć adnamú? Z padobnymi rozдумami Ściapán padymaŭsia ũporanki z paścieli ũ kamory, razbúdzany klátymi swárkami ũ susiedziaŭ. Imi paczynaŭsia dzieŭ u tyja maładyja hadý. Žnieachwoczwali aplanoŭwac żyćcio. Bo j szto tut naplanujesz? I kudý padziénieszsia? Da żyda na rabotu nia pojdziesz, bo jajé ũ jaho niamá. Skaža: „Szcziapán, kryžys usziudy, Améryka prapadaja”.

Z druhoha boku pahladájuczcy – dziaŭczyna chocia stacca žonkaju tamú, kab chlabniéj zażyć. Kab samoj wyznaczác, szto jeści i ũ czym chadzić. A Ściapán, czaho jon warty, siédziaczy na bákawaj szyi? Chłopiec niabrydki, alé adnaho charastwá nie najasisia j dzieciarni nie nakormisz. Małyja kryczác, rastúc; janý biaźlitasnyja.

Kirújemsia instýnktami piersz za ũsio. Jak usieŭka żywoje ũ

Mińska Mazowieckiego; przebijała się, mówili bolszewicy, okrążona polska dywizja strzelecka. Ci i tamci nie mieli amunicji, nacierali jedni na drugich z łopatkami saperskimi w rękach, zamachując się kolbami karabinów. Dziko przeklinając.

– Żołnierz, aby być żołnierzem, powinien – oprócz kuchni – mieć pełen patronasz⁴² – powtarzał do znudzenia Alikowi jakiś starzykujący mu oboźny, kiedy, nie dojechawszy do Radzymina, od przodu zawrócono furmanki. Prerażony Alik – naząd! naząd! – widząc, że wszystko wali się w pył, zepchnął precz skrzynie z amunicją do rowu i pogonił polnymi drogami na Zambrów i Łapy. Nie pojmował, że za coś takiego na froncie rozstrzeliwują na miejscu.

Budził się w mokrej od potu koszuli. Potężnie chrapali koledzy, nabiegawszy się po poligonie z żelastwem. Wyraźnie mamrotał Poleszuk swoim twardym akcentem; z nikim nie zaprzyjaźnił się ten chłopiec, patrzący spode łba na wszystko i wszystkich. W jego brzeskich stronach nie było katolików; Polaków zobaczył w Suwałkach, zdziwił się, że ich po mrówczemu pełno. Polakami byli dla niego panowie, ale panów niewielu po majątkach. Alika to zaciekawiło – z trudem przyjmował, że są miejsca na świecie całkiem bez katolików i Polaków.

Szewcowanie w rodzinnym domu Alikowi Kiszkielowi nie nadto się udawało. Ludziom nie chciało się wierzyć, że on, nie-Żyd, umie cokolwiek niegospodarskiego robić. Matka Olga napomykała o ożenku, z Fanią niedalekiej ciotki z Wielkich Ozieran, albo z drugą, Niurą. Ciotka miała dwie dziesięciny sianożęci⁴³ za rzeką Świsłoczą, pod Nieporozniewcami. Po dziesięcinie na córkę. Były też minusy: do Niury chodził kawaler, ale rzucił. Fania zaś wyrosła na niefrasobliwą, co nie przepowiadało dbałej gospodyni z niej. Alik ni razu nie widział tamtych dziewcząt, o wszystkim za niego rozważała na głos matka. Podrastały młodsze dzieci, przyszło jej suszyć nimi głowę. Czasem Alikowi pomyślało się: po co ludzie się żenią?; żeby potem martwić się o chleb dla żony i dzieci?! Czyż nie prościej żyć samemu? Z podobnymi rozważaniami podnosił się o poranku z pościeli w komorze, obudzony klętymi sprzeczkami u sąsiadów. Nimi zaczynał się dzień w tamte młode lata. Zniechęcały do snucia życiowych planów. Bo i co tu uplanujesz? I gdzie się podziejiesz? Do roboty u Żyda nie pójdziesz, bo on jej nie ma. Powie: Alik, kryżys wszendzie, Ameryka przepada!

Z drugiej strony patrząc: dziewczyna chce zostać żoną, by lepiej żyć. By móc decydować, co jeść, w czym chodzić. A cóż wart Alik, siedzący na ojcowskim karku? Chłopiec niebrzydki, ale tym się nie najesz i dzieciarni nie nakarmisz. Malcy krzyczą, rosną; oni są bezlitośni.

Kierujemy się instynktami przede wszystkim. Jak wszystko, co żywe w

pryrodzie. Rozum nieabawiazkowy, choć karysny. Fizyczna raścié adzinka, bo musíć. Charczújecca; nia moža nie charczawacca. Poławaja śpiełaść hetak za niaüchijnaja. Darastájuczy, chłopczyk kiemić, szto žanczyny – heta mácierki, mužczyny – heta chlebaroby. Radzina dziela taho, kab hadawała dziaciéj. Usio adbywájecca dziela taho, szto budzie. A ũsiamú pryczyna naraczonaja. Bież jajé stynie dzień. Janá szlub i wiasielle. Pasáh, kab było czym razžycca. Maładzica ž jajé kala pieczki; na ũsłonczyku skrobaje bulbu na wárywa; u kamory naradzaje dzicianio (u chacie ciasna). Pole harod, kormić świniéj ziellem z wosypkaju, doić karowu, poić niahiehłaje cialá; dahladaje kuréj, i kab nie raznosili jajok pa czužých zakutkach abo ũ łapuchoch (bahátyja trymajúc husiéj, kaczak); bywaje – aũdawiely dziadzka ciahnie małodku ũ stadołu, na siena; janá nia chocia, alé baicca, szto hety žarabiéc nie pazyczyć jéjnamu czaławieku hroszaj na kuplu dwarowaj pałoski. Maładažon mała maładziejszy za dziadzku; kalí pierad im i raspláčzacca zaũczarásznijaja maładucha, złosna burkanié: „Naszto dajész!” I stolki tajé złości ũ jaho; wiédaje, szto szlúbnaja baba, jakoj szasnaccáć, „dajé” nie z raspusty. Usiamú [swajá] patreba, tadý, plúnuũszy pad nohi, idzié małacic haroch. – Nia myła, nia zmýlicca... – złašliwić.

Ažaniũszysia, arész i siejesz, žniesz i małocisz, u žornach mielesz (młyný dla tych, u kaho szmat zbožža j nie szkadá mierki młynarú). Chto byũ u młynie, chwaliũsia hetym (jon nie hałota). Kabiety zajzdrowali kabietam; muzyki muzykám. Chwalicca pierad bábaju moh niedareka abo Franak-Licharadka; u jaho miž nahami ũsio razam, mužczyna j baba.

Dziaũczyniaty zahlédźwalisia na mahutnych mužčžyniskaũ (addawali ich zamuž i ũ piatnaccáć). Hétaja zawarožanaś chutka adlatała ad ich; pajaũlátasia warožaść. Czym bolsz dzicianiát, tym bolszaja potym złość na muzykoũ. Panienka, pajszoũszy zamuž, pierachodziła ũ świet, jakoha j nie pradczuwała. Pahłyblátasia ũ kryũdy žyćciá, u žali. Protchłań rasczarawańniaũ. Nie za taho pajsžlá!

Nie žancžyna trymała lejcy losu. I, nawet, nia mužýk, choć inszy raz tak zdawáłasia. Świet žyũ (žywié) džwiumá pryrodami: naturalnaj i hramadzkaj. Niekatoryja pryznajúc isnawańnie naturalnaj marali, szto treba kateharyczna adpreczyć jak lísznijaje wynachodnictwa. Kožnaja kultura sztúcznaja. Nia kožnaja niaprydátnaja, prydúmanaja, by tancawálnaja hulniá. Szlubawańnie ũwodziła Ściapana ũ zadumieńnie. Para z chłopca j dziaũczyny – heta szto? Žancžyny kažuc: kachańnie, heta znaczyć pryplod. Mužczyny padśmiéjwajucca nakont nacžnoje paścieli. Im waźniejszy haspadarczy intarés szlubu. Udała ažanicca – heta ũziác salidny pasáh. Paswarýć daczku z bačkam. Ablupić ciešcia. Swatý – pierszabýtnyja parlamentarysty. Abo lepiej – kupcý. Maładý žaních nie partnior. Zialépucha! Treba žýlistaha arátaja z mahčžymašćiami haspadará. Lisa ũ kurátniku, szto nie adnú kũrycu pryduszýũ, zajéũ. Canilisia wusátyja ũdaũcý, nie zabiedawányja.

przyrodzie. Rozum niekonieczny, choć korzystny. Każda jednostka rośnie, bo musi. Je, bo nie może nie jeść. Dojrzałość płciowa także jest nieunikniona. Dorastający chłopczyk rozumie, że kobiety to matki, a mężczyźni to rolnicy. Rodzina jest po to, by wychowywała dzieci. Wszystko dzieje się dla tego, co będzie. A przyczyną wszystkiego narzeczona. Bez niej chłodne są dni. Ona jest ślubem i weselem. Posag – żeby było jak zacząć. Żonka z niej koło pieca; na stołeczku skrobie kartofle na strawę; w komorze rodzi dziecko (w chacie ciasno). Piele ogród, karmi świnię zielskiem z osypką, doi krowę, poi wążle cielę; dogląda kur, i żeby nie roznosiły jajek po cudzych zakątkach albo w łopianach (bogatsi trzymają gęsi, kaczkę); bywa – owdowiały wuj ciągnie ją do stodoły, na siano; ona nie chce, ale boi się, że ten ogier nie pożyczyci jej chłopu pieniędzy na zakup dworskiego poletka. Młodożeniec niewiele młodszy od wuja; jeśli przed nim i rozplacze się przedwczorajsza panna, burknie ze złością: „Po co dajesz?”. I tyle tej jego złości; wie, że ślubna kobieta, ledwie szesnastoletnia, „daje” nie z rozpusty. Wszystko ma swoje potrzeby, więc, splunąwszy pod nogi, idzie młócić groch. – Nie mydło, nie zmydli się... – mamrocze zgryźliwie.

Ożeniwszy się, orzesz, siejesz, żniesz i młócisz, mielesz w żarnach (młyny dla tych, co mają dużo zboża i nie szkoda im miarki dla młynarza). Kto był w młynie, chwalił się tym (on nie golec!). Kobiety zazdrościły kobietom; mężczyźni mężczyznom. Chwalić się przed kobietą mógł tylko fajtłapa albo Franek-Licharadka⁴⁴; u niego między nogami wszystko razem, chłop i baba.

Dziewczyny zapatrywały się w silnych mężczyzn (wydawano je za mąż i jako piętnastolatki). To zauroczenie prędko ulatywało; pojawiała się wrogość. Im więcej dzieciątek, tym większa potem złość na mężów. Panienka, wyszedłszy za mąż, wchodziła w świat, którego nawet nie przeczuwała. Zagłębiała się w krzywdy życia, w żale. Otchłań rozczarowań. Nie za tego wyszła!

Nie kobieta trzymała wodze losu. Również nie mężczyzna, choć czasem się tak zdawało. Świat żył (żyje) dwoma porządkami: naturalnym i społecznym. Niektórzy głoszą istnienie naturalnej moralności, co jest niepotrzebną wynalazczością. Każda kultura jest sztuczna. Nie każda niepraktyczna, wymyślna niczym taneczna zabawa. Zaślubianie wprawiało Alikę w zadumę. Para z chłopca i dziewczyny – czymże jest? Kobiety mówią: kochanie, czyli przychówek. Mężczyźni żartują na temat nocnych igraszek. Dla nich ważniejszy jest gospodarczy interes ślubu. Udatnie się ożenić – to wziąć dobry posag. Poswarzyć córkę z ojcem. Oskubać teścia. Swatowie – niczym pierwotni parlamentarzyści. Albo lepiej – kupcy. Pan młody to nie partner. Żółtodziób. Trzeba żyłastego rataja ze zdolnościami gospodarza. Lisa w kurzętniku, co niejedną kurę zadusił, zagryzł. W cenie byli wężaci wdowcy, nie zabiedzeni.

Zaŭsiody ciáźkaści z pásynkami; harkatá janý ů sytnym szczaści. Maładziúsieńkaja máczycha nabiráłasia chítraści ad swajé maci, brutalna szczyraj, bo zamúzniaja daczka moža nie aczúhacca ů nowaj siamjí. Janá tam czužanica, pakúl biaz piérszaha synká.

Addawańnie daczki zamúž paraŭnálnaje z pažaram. Dźwie biadulki ů chacie – dwa pažary. Try – katastrofa! Ichnaja matka niaszczásnaja da śmierci. Bačka moh staruju bić, kolki ůlezie! Chata płákała sa zrazumieńniem. Ablahczála joj los u zamúžza žjaŭleńnie mienawita syna. Dziákujuczy jamú haspadarka nie prapadała, nie pierachodziła ů czužyja ruki. Zachoŭwałasia dynástyja.

Czaławieć usio czahości chocza, akramiá jeży. I hetym adroźniwajecca ad bydła – karowy, kaniá, świńni. Na biadú Ściapanu, takija dumki dachodzili da jaho, moža być, i tamú, szto czytáŭ cárskija knižki ů ćwiordych wokładkach szakaládnaha koleru. Znachodziŭ u ich fotki pa-aniolsku cudnych hrafiniaŭ dy kniahiniaŭ, u jakích kachańnie za kachańniem, i niczoha pra toje, ci janý szto jeli, i niewiadoma, ci mýlisia, ławili błoch. Nia miéściłasia ů Ściapánawaj ujawie sytuácija damy ů prybiralni... Ni słowa pra hroszy, byccam dabro sýpałasia ž niabiosaŭ. Pakútawali tyja charaszuni czort wiédaje czaho, wydumlájuczy, szykoŭna, nadta ž elehántnyja trahiédy, hulni ů ramantýcznyja ślozy. Puhi nie kasztawali!

Adnaho razu, a było heta jaszczé biaz Piłsúdzkaha ů Warszawie, u tarhowy czaćwiér uléz na furmanku na rynku bielaruski pasoł Wałoszyn i dawáj huczna klikać. Žbiéhlisia da jaho ludkowie, słuhać. Pryjszli abodwa palicyjanty, słuźbowa, u szapkach z akawánymi doŭhimi kazyrkami dy z ramiéńczykami pad boradami. Waŭkami zirkajuczy na paslá ů polski Sojm. Kab tak chto ž sialanaŭ szcapiŭsia na woz z pramowaju, ściahnuli b na ziamlú, nadalí b chamu humaŭ (sraka ů nahawicach nie žmiaściłasia b!). Wałoszyna ž nielha im czapíć, choć i haŭnajéd jon z sałamianych Harkáwiczaŭ. Palityk! Oho palityka! Ściapán hladziéŭ na žłasnaha Wałoszyna i na palicyjantaŭ, szto sabaczeli pierad wozam, unizie, biezdapamožna žwiésiŭszy hałowy. Zboryszcza szumiela, alé cizskom, kab nia dać przyczyny dla árysztáŭ. Žydý pakiépliwali pa-rasiejsku z polskich uładaŭ i zaraz chawálistia za mužýckija pleczy.

Ściapán prapchnuŭsia napierad, da pramoŭcy. Heta było toje, szto jaho zachapiła! Nia tak wáznaje jamú haworanaje Wałoszynym. Upiarszyniŭ ůpatkáŭ czaławieka, jakí nie baicca. „Woś, kab takim palítýkaju stacca!” Moh by j pasiadziéc u turmie! Zusím nia toj byŭ by honar jamú dy paszana. Ad palítýki ůbáczyŭsia niabiesny blask, nieszta ikonnaje. Biaskonca múdraje. Słoŭ Wałoszyna z Harkáwiczaŭ Ściapán hetak ža nie razumiéŭ, jak carkoŭnyja propawiedzi paslá abiedni ů carkwié. Słowy, ad jakích chilić na pakłon.

Pasoł, nahawarýŭszysia, zmoŭk i dosyć niaŭdała saskoczyŭ u konskija „jábtyki”. Narod hurnu⁴⁵ da jaho, by ů Wadochryszcza da bácieczki pa

Zawsze kłopoty z pasierbami; goryczą oni w sytym szczęściu. Młodziutka macocha nabierała sprytu od matki, brutalnie szczerzej, bo zamężna córka może nie znaleźć swego miejsca w nowej rodzinie. Ona jest tam obca, dopóki bez pierwszego synka.

Wydawanie córki za męża porównywalne z pożarem. Dwie biedulki w domu – dwa pożary. Trzy – katastrofa! Ich matka nieszczęsna aż do śmierci. Ojciec mógł bić starą, ile wlezie. Dom płakał ze zrozumieniem. Ulżyć jej losowi w zamęściu mogło mianowicie pojawienie się syna. Dzięki temu gospodarka nie przepadała, nie przechodziła w cudze ręce. Przedłużał się ród.

Człowiek ciągle czegoś chce, oprócz jedzenia. I tym się różni od bydła – krowy, konia, świni. Na nieszczęście dla Alika, takie myśli nachodziły go być może i dlatego, że czytał carskie książki w twardych okładkach koloru czekoladowego. Znajdował w nich fotki anielsko pięknych hrabianek i księżnych, u których miłość gonila miłość, a nic nie było o tym, czy coś jadły, i nie wiadomo, czy się myły, pchły łapały. Nie mieściła się w Alikowej wyobraźni sytuacja damy w garderobie... Ani słowa o pieniądzach, jakby wszelkie dobra spadały z nieba. Cierpiały owe ślicznotki z nie wiedzieć jakiego powodu, wymyślając, szykownie, całkiem eleganckie tragedie, zabawy w romantyczne łyzy. Bata nie zaznały!

Pewnego razu, a było to jeszcze bez Piłsudskiego w Warszawie, w targowy czwartek wlaź na furmankę na rynku poseł białoruski Wołoszyn i dawajże hucznie nawoływać. Zbiegli się do niego ludkowie, słuchać. Przyszli obydwoj policjanci, służbowo, w czapkach z okutymi długimi daszkami i rzemykami pod brodą. Popatrując wilkiem na posła do polskiego Sejmu. Gdyby tak kto z chłopów wgramolił się na wóz z przemową, ściągnęliby go na ziemię i nadali chamowi gum (tyłek nie zmieściłby się w spodniach!). Wołoszyna nie wolnoż im tknąć, choć i gównojadem on ze słomianych Harkawicz. Polityk! Oho, polityka! Alik patrzył na gniewnego Wołoszyna i psiejących policjantów, co stali przed wozem, w dole, bezsilnie zwiesiwszy głowy. Zbór szemrał, atoli po cichu, by nie dać pretekstu do aresztowań. Żydzi wyrzekali po rosyjsku na polskie władze i zaraz chowali się za chłopskie plecy.

Alik przepchnął się naprzód, do mówcy. To było tym, co go zachwycało! Nie tak ważne dla niego, co mówił Wołoszyn. Po raz pierwszy napotkał człowieka, który się nie boi! „Ech, gdybyż takim *polityką* zostać!”. Mógłby i w więzieniu posiedzieć! Zupełnie nie taki jak teraz należałby mu honor i szacunek. Od polityki zwidział się niebieski blask, jak od ikon. Coś nieskończenie mądrego. Słów Wołoszyna z Harkawicz Alik tak samo nie rozumiał, jak i kazań po obiedni⁴⁶ w cerkwi. Słów zginających do pokłonu.

Poseł, nagadawszy się, zamilkł i dosyć nieudatnie zeskoczył w końskie „jabłka”. Naród naparł ku niemu, jak w święto Jordanu do babciecki⁴⁷ po

šwiaczonuju wadú. Šciapán pakacišsia niadotykam ad szturchaniny i nie dastáŭ piakliwych pałak ad palicyjantaŭ. Ugwédzany bałotam, umomant kínušszy palítyku, pahopaŭ dachaty. Czújúczy za saboju łájanku, łamaninu ahłoblaŭ, rwaninu, rzańnie koniej, kamándnyja „Rozejść się!” Najstraszniój pawywali kabiety. Dzieści piszczała dzicio, byccam parasiá ŭ płocie. Ahlanúšszysia, baczyŭ tolki pył na padabienstwa wichurnych krucialoŭ na haścincy i jak wýskaczyŭ czortam adtúl Franak-Licharadka:

– Ludzi!!! Licharadki na was nimá! Balszawikoŭ kliczcia!

Šciapán usio roŭna szto na kryłach sihanúŭ na Haradzienskaj cieras Anisimowiczawu záharadz i nyrnúŭ u Júrczykawy maliny. Daskała biaz sensu.

święconą wodę. Alik w mig powaliło na ziemię od szturchaniny i ominęły go piekące policyjne pałki. Ubłocony, momentalnie porzuciwszy politykę, potruchtał do domu. Słyszac za sobą łajankę, trzask hołobli, wrywanie się, rzenie koni, komendowe: „Rozejść się!”. Najstraszniej zawodziły kobiety. Gdzieś piszczało dziecko, niby prosiak uwięzły w płocie. Obejrzawszy się, widział jedynie kurz na podobieństwo wichrowych wirów na gościńcu i jak wyskoczył czartem stamtąd Franek-Licharadka:

– Ludzie! A licha na was nie ma! Bolszewików wołajcie!

Alik jak na skrzydłach śmignął na Grodzieńskiej przez płot Anisimowiczów i dał nura w Jurczykowe maliny. Doskonale bez sensu.

III

Z toho dnia Ściapana paralizowała dumka pra toje, jak żyć jamú budzie. Haspadáraczká bačkou nie dawała razhonu maram, tyja dziesiaciny raskidanyja ũ paletkach, u zaniebakrajnaj Aleksandroŭcy j pad Razbojnikam, i ũ Anoszkawiku. Douha jechać da ich wozam z pluham; jaszczé daŭžéj iści pieszki ũ žniwo.

Na *Papoŭszczyni*, za miazú, pabilisia Anisimowicy: Antyfon uhréŭ worczykam Siamu pa buławié, až toj zaliŭsia krywioju. Zaraz sczapílisia íchnyja baby, u Siama adný dziaŭczaty. Antyfonczyki nałupili Siamak, choć janý j kusálisia. Macawícejszy Antyfon adahnáŭ Siama ũ papowy aŭsý, raźwioŭ baby, pachwaliŭ synkoŭ. Pryaránaja Antyfonam da swajé pałoski miazá tak i zastałasia za ím. Siamy – wymaŭlali „siam” zamiést „sam” – adbréchwalisia zdaloku; Siámicha zakaciła spadnicu, pakazaŭszy Antyfonu tuju hołaśc, jakuju zazwyczaj pažadana haniebna caławać. Antyfon plunuŭ i adwiarnuŭsia. Paślá abiedzŭie siemji pazaprahali koniej u wazý i – usio klanuczý – raźjéchalisia dachát. Katorahaści hodu Siamy ũsio ž naszpáryli Antyfonaŭ, czaławiék jakích *byŭ prychwareŭszy* ad zastudy, u chałodny kaniéc leta. Alé miazý ciapiér nie papraŭlali, pabajáŭszysia macatý Antyfona. Potym paspakajniela miž imi: ad Siamaŭ nie adychodziŭ strach, choć Antyfon nadaléj pachworwaŭ.

Ściapán dumaŭ inaczej. Ad szawiectwa žjawiłisia *siakije-takije* hroszy; nabiwaŭ tańniéj czym u żyda padnoski miaszczanam, abcasy. Zdarálisia zakazy pierarabić staryja boty; sztabnawác chalawy jon nia ũmieŭ i, darczy, nia miéŭ na czym, treba ž sztéparskaj maszyny, darahoj na toj czas (za džwie karowy). Kapyłý wystruhwaŭ sam, wýsiekszy dobryja kawałki raskolenaj piarunom lipy, szto rasła na prywýhañni. Draŭlányja *ćwiczié* nabywaŭ u Srulá, pakúl nie napytaŭ alékszyckaha kupcá. *Žydé* aszúkwali Ściapana niaszmát, niatúhí ũ jaho kaszalok. Na kupiecki raźlik – nielha klijenta pakacíc cénami, chaj razzywiecca, tadý bolszy prybytak budzia ad jaho, patreby znaczniéjszyja pajáwiacca. Achwotna pradawali ũ kredýt.

– U mianié nimá hroszaj, – adniékwaŭsia Ściapán.

– Ci ja pytaju pra hroszy? – pryachwoczwaŭ kramnik.

– Ni wiédaju, kalí zapłaczú, – tłumaczyŭ Ściapán.

– Kalí zarobisz, tadý j zapłacisz, – nastojwaŭ kramnik Lejzar, alé Ściapán nie chapaŭsia za tawár, aryjentújučysia, szto za toje potym woźmia Lejzar pracenty.

Ściapana niepakoiŭ nastroj nieciarpliwaści, sałodki, ułaściwy niedaśpiełym kawaleram. Maładyja mužczyny wydumłajuć plan toho, szto maje być. U wýpadku Ściapana ž niebahatych Kiszkialoŭ mary ab jaho dalejszym losie

III

Od tamtego dnia Alika nurtowała myśl, jak przyjdzie mu żyć. Gospodarczka rodziców nie dawała polotu marzeniom, te dziesięciny porozrzucane w poletkach, w zanieboskłonnej Aleksandrówce i pod Rozbójnikiem, i w Anoszkawiku. Długo trzeba do nich jechać wozem z pługiem, jeszcze dłużej iść w porze żniw.

Na Popowszczyźnie, o miedzę, pobili się Anisimowicze: Antyfon przygrzał orczykiem Siamowi w czerep, aż ten krwią się zalał. Zaraz zwarły się ich baby, u Siamy same dziewczęta. Antyfonczykowie sprali Siamki, choć one i kasać potrafiły. Mocowitszy Antyfon odgonił Siamy w popowy owies, baby rozdzielił, synków pochwalił. Przyorana przez Antyfona do swojego poletka miedza tak i została przy nim. Siamowie – co to wymawiali „siam” zamiast „sam” – odszczekiwali się z daleka; Siamowa podkasała spódnice, ukazując Antyfonowi tę nagość, którą zazwyczaj pożądanym jest haniebnie całować. Antyfon splunął i odwrócił się. Potem obie rodziny pozaprzęgały konie do wozów i – ciągle przeklinając – rozjechały się do domów. Któregoś roku Siamowie mimo wszystko natłukli Antyfonów, patron których był przychorował z przeziębienia, w przedjesienne chłody. Ale miedzy już nie poprawiali, obawiając się siły Antyfona. Z czasem uspokoiło się między nimi: Siamów nie opuszczał strach, choć Antyfon nadal niedomagał.

Alik myślał inaczej. Z szewstwa zjawiły się jakie-takie pieniądze; taniej niżli u Żyda przybijał zelówki mieszczanom, obcasy. Zdarzały się zamówienia na przeróbkę starych butów; stebnować cholew nie potrafił, i zresztą nie miał na czym, trzebaż do tego szteperskiej⁴⁸ maszyny, drogiej w tamtym czasie (wartej więcej niż dwie krowy). Kopyta strugał sam, wyrąbawszy dobre kawałki rozszczepionej piorunem lipy, co rosła za wygonem. Drewniane ćwieczki nabywał u Sruła, dopóki nie napytał alekszyckiego kupca. Żydzi oskubywali Alikę nie zanadto, nietęgi jego portfel. Na kupiecką rachubę – nie wolno klienta powalić cenami, niech zamożniejsze, wtedy większy przybytek będzie od niego, potrzeby znaczniejsze się pojawiają. Chętnie sprzedawali na kredyt.

– Nie mam pieniędzy – wymawiał się Alik.

– A czy ja pytam o pieniądze? – zachęcał sklepikarz.

– Nie wiem, kiedy zapłacę – tłumaczył Alik.

– Jak zarobisz, wtedy i zapłacisz – nalegał sklepikarz Lejzar, lecz Alik nie chwycił za towar, orientując się, że za to potem weźmie Lejzar procenty.

Alika niepokoił nastrój niecierpliwości, musując słodki, właściwy dojrzewającym kawalerom. Młodzi mężczyźni wymyślają plan tego, co ma być. W przypadku Alika z niezamożnych Kiszkielów marzenia o jego przyszłym losie

zwodzilisia da nabytku niekaszoŭnych pahorkaŭ, szto za Hrábszawym lesam, na jakich dzie-nidzié kúsciŭsia samasiejny maładniák sasonak; pamíz jimi ũdała prýmucca pasadki. Praz hadoŭ kolki zahúšcicca ładny lasok, zaskaczuć u im zajcý, źbiahucca tudý dziki, zanádziacca kazuli. Czas ad czasu Ściapán nieszta złowić u piatlú, u zázimak, kalí miasa tłústaje i nie wypadaje szerśc sa skury. Zájaczyja – padyduć na kaŭniér, ź dzikoŭ – ciopły podścił na padłoŭ la pašcieli, a z kazulaŭ akurátanja padbiŭka ũ palto. Awieczki hadawaćmie (kab tolki woŭk nie parezaŭ). Unizie adkupić bahonca, jakráz wýkapać u im sázałku daŭžynioju dwaccać krokaŭ i szyrynioju dziesiać, z hłybinioju dawoli da szyi. Raŭczúk pušcić da blízka młyniszca; wadá šwiężaja, ad reczki Krynki, szto ciaczé ũ Świsłacz. Nia pytájuczy młynará, nałowić u czaratoch szczupakoŭ, liniaŭ, karasioŭ, płotak i wierchawodak, zaniasić ich u cébryku ũ sázałczku na rasplod. Kab ryby nie paduszýlisia, absadzić bierahí wodaraściami. Sam pakupájecca, alé tak, kab nie namucić, nia wýhubić žáđanyja rýbaŭki. Sázałka ũ dole, les nawiersie, a pad im chatka Ściapana, dastupna kúplenaja ũ wioscy, dzie niedawálenaja stadoła abo chleŭ. Uparadkuje, májuczy ũmiéłja ruki. Sosny – heta ź samarosły kapitál, ryby j źwiarjo – ad ruki zbyt žyđám, szawiectwa – stáłyja hroszy; raz miénszyja, raz bolszyja. Czaho jaszczé chacić?! Abý zbyłosia!

U mrojach Ściapana abjaŭlálasia j žanczyna, niajnákszaja, adnák, czym maci Wolha. Ujaŭlálasia czymsci nia wielmi nieabchodnym; strohaja; mužczyny majuć žonki, to j Ściapán chocia. U namierach Ściapana nia widáć dziaciéj. Baćkoŭstwa jamú skanczálasia mienawita na baćkoch; daléjszaje žyćcio báczyłasia biaździetnym szczaścim, blakitam biaz chátniaha smurodu.

Tym czasam pachi jeży ũjaŭlali saboju asobny apowied. Imhlistaja para ad zhatawánaje bulby, raścínutaj u taŭkanicu ũ sahanié, raznosiła pa chacie hustý aramát padsmázanaj na jełkich skwáraczkach horkaj cybuli, jakoju padsmácznili bylí tuju dáŭkuju barabolu. Heta stwarała prysmak miasa. U wialíkaje šwiata, kalí bojka zakałoli parszuká, maci nacirała na tarcy bulby j miaszała ź jacziennaj kászaju; piaklá z kawálaczkami šwiežaniny, prynamsi sała. Duchoŭka pachaciela tadý smacznotaju, ad jakoje rabiłasia slaba; u pryplúszczanych waczách mroilisia rumiányja pryharki, jakija potym chrúmstałasia ź niawykaznaj asałodaj. Nichto, nawat baćka, nia jéŭ ich, kolki chaciéŭ; dzialboju zajmálasia matka, nie zašiody pakidájuczy sabié choć abłomak. Talerak nia mieli, ciahali pálcami z sahaná swajé nadzieły i, pierakidájuczy z dałoni ũ dałoń haraczaść, dźmúchali, zakászlaŭszysia. Zapiwali rasołam, wyhortwajuczy draŭlanaj lýžkaju ź wiérciach⁴⁹ zdúszanuju dzieła soku cybulu, célaczysia czarpanúć z pawierchni plamu šmiatany. Siorbali, najhałáśniéj dzieci: baćka z maci czuli, szto mała im. Burczela ũ žywatoch.

Páraný bob, ci haroch, u wadnoj wiérciasie na stalé j bulbianka abo szczawiej u

sprowadzały się do nabycia niekosztownych pagórków, co za Hrabszowym Lasem, na których gdzieniegdzie krzewił się samosiewny młodniak sosenek; pośród nich udanie przyjmą się sadzonki. Za lat kilka zagęści się spory lassek, zaskaczą w nim zające, zbiegną się tam dziki, zanęcą sarny. Od czasu do czasu Alik złapie coś w sidła, przed zimą, kiedy mięso tłuste i nie wyłazi sierść ze skóry. Zajęcie – zdadzą się na kołnierza, z dzików – na podłogę przy łóżku, a z saren akuratna podbitka do palta. Owce hodować będzie (żeby tylko wilk nie podusił). W dole dokupi bajorko, w sam raz by wykopać w nim sadzawkę długą na dwadzieścia kroków, szeroką na dziesięć; głęboką – wystarczy po szyję. Rowek poprowadzi do pobliskiego młyniska, woda świeża, z rzeczki Krynki, co wpada do Świsłoczy. Nie pytając młynarza, nałowi w szuwarach szczupaków, linów, karasi, uklei, płotek i zanieś w cebrze do sadzaweczki na rozmnożenie. Aby rybki się nie podusiły, obsadzi brzegi wodorostami. Sam się pokąpie, ale tak, by nie namącić, nie wygubić pożądanych rybek. Sadzawka w dole, las w górze, a pod nim chatka Alika, tanio nabyta we wsi, tam gdzie wałaca się stodoła albo chlew. Uporządkuje wszystko, mając sprawne ręce... Sosny – toż samorosnący kapitał, ryby i zwierzyna – od ręki zbyt Żydom, szewstwo – stałe pieniądze, raz mniejsze, raz większe. Czego chcieć więcej? Byle się żyściło!

W marzeniach Alika objawiała się i kobieta, nieróżna jednak od matki Olgi. Zdawała się czymś nie bardzo koniecznym; surowa; mężczyźni mają żony, to i on chce. W zamiarach Alika nie widać dzieci. Ojcostwo skończyło się dla niego mianowicie na rodzicach; dalsze życie jawiło się bezdzietnym szczęściem, błękitem bez domowego smrodu.

Tymczasem zapachy jedzenia stanowiły osobną opowieść. Mglista para od gotowanych ziemniaków, rozgniecionych na taukanicę⁵⁰ w saganie, roznosiła po chacie gęsty aromat podsmażonej na jełkich skwarkach gorzkiej cebuli, którą dosmaczyli byli ową dławiacą barabolę⁵¹. Dawało to posmak mięsa. W wielkie święto, kiedy chwacko zakłuli wieprza, matka ucierała na tarce kartofle, mieszała z kaszą jęczmienną i piekła z kawałeczkami świeżynki, przynajmniej słoniny. Piekarnik pachniał wtedy smacznosciami, aż robiło się słabo; w przymrużonych oczach roily się zrumienione brzegi, chrupane potem z niewypowiedzianą rozkoszą. Nikt, nawet ojciec, nie jadł ich do woli; dzieliła je matka, nie zawsze zostawiając sobie choćby obłamek. Talerzy nie mieli; wyciągali palcami z sagana swoje porcje i, przerzucając w dłoniach gorącość, chuchali, pokaszując. Zapijali chłodnikiem, zaczerpniętym z makutry drewnianą łyżką razem z odrobiną zgniecionej na sok cebuli i pływającą na powierzchni plamą śmietany. Siorbali, najgłośniejsi dzieci: ojciec z matką czuli, że mało im. Burczało w brzuchach.

Gotowany bób czy groch, w jednej misie na stole i kartoflanka albo szczaw w

druhoj, z tłústymi wokami lnianoha aleju; inszy raz brali ũ zyda makuchu. Miasa salili ũ cébrykach, u ich pajaŭlášia smurodnaja wadkaśc. Soli nia bywała szmat, tamú miasa absiadali biéfyja czarwiazki-sálniczki, jakija dawoli lohka zhortwałasia. Kumpiakí wiészali na krokwach, abhornutyja pałatnom, alé da ich usio roŭna czaplášia myszy, padczas hniazdújuczy ũ wýjedziennych jamkach. Kumpiakowaje miasa ssychášia na palena; mieŭ na jaho prawa tolki haspadár u wosieŭski wywaz hnoju ũ pole, worywa j siaŭbú, a praż zimú nie raniéj, jak u sienakos i źniwo; trochi łasawaŭsia ũ małaćbú, namacháŭszysia cepam. Żawác jaho balucz, by niejki smalniák; żonka adsiakała skryhiél i kídała ũ strawu, tadý j samá janá paspytała konczyk smakoćcia.

U rabaciászczyja tydni na haspadarcy wáryli kíslaje-présnaje. Abawiazkowa. Kíslácinaju bywáu szczawiej na kaściách, praśniakom krupnik, pancák na małacé. Da hétaha skiby – inszy raz ćwiłoha – chleba z dasýpanaj pszanicznaju miakínaju. Zajadali hałúszkami, mucznymi ũ bahaciejszych. Macatú dawáu aŭsiany kisiél.

Adžin raz za leta chadzili ũ jáhady i, prynahodna, u hrybý. Nie tamú, szto nia było kalí znoŭ. Hryb i jáhada nia liczyłisia jéžaju. Czornuju ssypali ũ rédkija na toj czas szklanyja słoiki abo butelki dy, adszkadawáŭszy pawierch žmieniu cukrowaj pudry, stáwili na soniecznym padwakoŭniku. Žjaŭlaŭsia sok, szto pamaháu u zastudu. Uliwali jaho ũ kipieŭ, lepiej z dadatkam lipowaha ćwietu. Brali choroha poty. Hrybý ž zusím niczoha nia wártyja, chiba nasuszyŭszy na Kaladú, u posnuju strawu z narézanaj daŭhalcami bulby. Chrystos radziŭsia, alé ũ Światoj Ziamlí, dzie nie rašli czarnicy ci barawiczki. Ni bulba, jak lubiŭ pastarykawác Ściapán u kaládnuju wiaceru. Baćka nie pierabiwáu jamú, alé j nie ũchwaláu jahonaje mudrahielstwa; maci Wolha pieraścierahała: „Nie plací!”. Pawiaczéraŭszy paléźwali, kab nie dramác paślá ũ carkwié na ũsianocznej służbie. Iszli witać Chrystá i heta było wialíkaje śwíata, u jakoje nia czuwác ad ludziéj łájanki; rádasnyja ũsmieszki. Ściapanu rádawaŭnié pamiatášia caławaŭniem usích z usimi. I czakaŭniem śniadanku.

Kuchni nie jsnawała. Nawat plitý nia było, tolki htybokaja jama pieczy. U marazý spali wakoł jajé j na prýpieczku, na lażajcy. Kuchniu razumieli jak pánskuju fanabéryju. Choć paślá, u nowych użo chatach, ustalawášia asobnyja pieraharodki – padumać! – dzieła kuchni z plitoju. Rychtyk u żydoŭ; ad panoŭ. – Mużýk pana nienawidzić, alé budzie sa skury wylúzwacca, kab zażyć krychu pappansku. Mieć kuchniu, i padłohu ũ czystym kancý chaty, i plitú z fajérkami, i niezadrýpanuju babu. Balszawikí toje abiacali, adnák rasiéjskaja basota ũmieje ũsiaho trapác jazykom. „Kacapy”!

Ściapán Kiszkiél usieŭka abdumaŭ. U prýšwiatak adnaho razu pajszoŭ na májskija

drugiej, z tłustymi okami oleju lnianego; czasami kupowali u Żyda makuchy. Mięso solili w ceberkach, w nich pojawiał się stęchły płyn. Soli nie bywało dużo i dlatego mięso obsiadały białe robaczki salniczki⁵², które łatwo było odgarnąć. Szynki wieszali na krokwiach, owinięte w płótno, lecz mimo to czepiały się ich myszy, niekiedy gniazdując w wyjedzonych jamkach. Szynkowe mięso zyschało się na kość; miał do niego prawo tylko gospodarz podczas jesiennego wywożenia gnoju w pole, orki lub siewu, a po zimie nie wcześniej jak w porze sianokosu i żniw; trochę kosztował w czas młocki, namachawszy się cepem. Żuło się tę szynkę boleśnie, jakby była z drewna; matka odrąbywała kawałek i wrzucała do zupy, wtedy i ona sama próbowała koniuszek przysmaku.

W pracowite tygodnie w gospodarstwie gotowali *kisła-presna* (kwaśne-przaśne). Obowiązkowo. Kwaśną częścią posiłku bywała najczęściej szczawiowa na kościach, słodką krupnik, pęczak na mleku. Do tego kromki – czasem nadpleśniałego – chleba z dosypanymi pszenicznymi otrębami. Smak całości polepszały kluski, mączne u bogatszych. Siłę dawał owsiany kisiel.

Raz każdego lata chodzili na jagody i, okazjonalnie, na grzyby. Nie żeby znowu nie było kiedy. Jagód i grzybów nie uważano za solidne jedzenie. Czernice wysypywali do rzadkich wówczas słoików albo butelek i, odżałowawszy na powierzchni garść pudrowego cukru, stawiali na słonecznym podokienniku. Pojawiał się sok, dobry na przeziębienie. Dolewali go do gorącej wody, najlepiej z dodatkiem lipowego kwiatu. Chorego brały poty. Grzybyż całkiem nic nie warte, chyba nasuszywszy na Boże Narodzenie, do postnej strawy z pokrojonymi w długalce ziemniakami. Chrystus się rodził, ale w Ziemi Świętej, gdzie nie rosły jagody czy borowiczki. Ani kartofle, jak lubił postarzykować Alik podczas wigilijnej wieczerzy. Ojciec nie przerywał mu, ale też nie pochwalał jego wymądrzania się; matka Olga przestrzegała: „Nie pleć!”. Po wieczerzy polegiwali, ażeby nie przysypiać potem w cerkwi na całonocnej liturgii. Szli witać Chrystusa i to było wielkie święto, w które nie słyhać od ludzi łajanki; radosne uśmiechy. Alikowi święta zapamiętywały się obcałowymi wszystkim ze wszystkimi. I oczekiwaniem śniadania.

Kuchnia nie istniała. Nawet płyty nie było, tylko głęboka jama pieca. W mrozy spali wokół niego i na przypiecku, na leżance. Kuchnia zdawała się pańską fanaberią. Chociaż później, w nowych już chatach, przyjęły się osobne wnęki – pomyśleć! – na kuchnię z płytą. Jak u Żydów; pańskim wzorem. – Chłop pana nienawidzi, ale będzie wyłazić ze skóry, by zażyć trochę po pańsku. Mieć kuchnię, i podłogę w czystym końcu chaty, i płytę z fajerkami, i niezapyziałą babę! Bolszewicy to obiecywali, jednak rosyjska bosota potrafi tylko trzepać jęzorem. „Kacapi!”

Alik Kiszkiel wszyscyutko obmyślił. W świąteczny dzień poszedł na majową

tancy ů Hrąbszawym lesie, dzie stajali daczy fabrykantaů; łądzilisia hulni praletarskaj moładzi. U żydoůskuju rewalúcyju mieli miesca tam tłummy sa śpiéwami j czerwonymi ściahami, – kazali staréjszyja za Ściapanu.

Na duszy pad múzyku piekna. Z Suwałkaů pamiatáů polku, wals, tanha; krucié nia kruciů, stojaczy ů kucié tanplacu zaciúkanym zaůniérykam na propusku da dwaccaé druhoje hadziny. Tak i ů hety raz, ździůleny, szto j tut jošé arkiestar (z Horadni) i pawalóczanyja raspúsnicy, i pjányja pieśni ů rasczyńniych azdobnych chatkach. Uwohule nia toj świet za pryhumiéńniami, za wiarstú ad Anisimowiczawych abarohaů uzboocz ad Staradwornaj. Panienki j kawalery, pra jakich j nie padúmałasia Ściapanu, szto janý prychodziaé siudy. Brała niezrozumiełaja złość na ich. – Aha, wo jak, zamanúłasia miodu, naciaháůszysia hnoju, nawybiraušszy bulby ů mokrych razorach, namałaciůszysia na dwa capý, nakapaůszy torfu na marazy, wýduszyůszy tarakany za kaůniarom, woszy pad páchami... Mandawieszki wy! – zławaůsia biaz daj pryczyny.

Lisznie, mabyć, bo adczuwaů siabié niejaka supraciůna fajna. Adyjszoůsia Ściapan u kustý za patrebaj, umléů ad ubáczanaha. Dwóch Anisimowicykaů – napeůna Anisimowicykaů! – papociemku małtaszyła tuju z Aniu, zaholenuju j kabłukom pachilenuju na toůstuju krywulu arecha, szto rytmiczna hojdaů haliny; adzín z ich brykaů joj zzadu, druhí ů twaryk śpiéradu. Utomna sapacielu abodwa, Ania skuholiła (cíchieńka). Ściapan zdráńcwiéů i, z piarépałachu nie pamiatájuczy kalí, wybieh z Hrąbszawaha lesu kudyšci ů pole. Zachaciéłasia wýplakacca, wýjuczy. Ad nieczakánašci pryraůnańnia Aninaj pryhody da wiadomaha žarabcá na kabyle. Sabaki na suczcy. „Padobnym czynam tata z mámaju...” – wycier ślozy. Hidka! Paślá Ściapan nie dawáů rady hladziéć na dziaůczát, koźnuju z ich ujaůlájuczy kształtam wýhnutaj fihury Ani pamíz chłopcami, jakija szuhali joju z młosna raziáůlenymi ratami; biasprytomnaje skuholeńnie. Boža, brýdkaje ůsio, prostaje. Patychaje chlawom. Usio roůna szto bahatym zamuzžam.

Woś i dorosły sakrét.

Búdniaje miasteczka hudzieła ů zawýhanskaj Pahulancy. Adtúl trubili ůporanki i ů abiéd, kopcili kaminý, wiatryski zanosili piakiélnyja popachi. Ad adléhłaje hamany zdawáłasia, szto ů żydoů niaścichana swáracca, skandalać. A Ściapan z bozym spakojem u paletkach, siarod chwalaů rosnych żytoů. U padłuznaj kancawinie, urosłaj kustoůjem, nádziůsia daůhawuchi zajac. U minúłyja chałady nadyjszoů Ściapan na parku zajczaniataů, pabraů ich za pázuchu. Siastryczka j bracik u chacie zatým kaczálisia sa źwiarkami, prynosili im lišcie maładoje kapusty, nia kázuczy matcy. Maluty – wytrészczwajuczysia waczaniátami – raślí z dnia ů dzień, tuźliwa prybirájuczysia ůciaczý. Kury padymali sokat na padworyszczy, kalí wynosili niahiełtych kasých na sonca. Treba kletku, alé baćka paliczýů heta dziciaczym zaniatkam, a Ściapan marudnikawaů, adkładwaů. Zájczyki tulilisia ů kucié abo pad

potaćcówkę w Hrabszowym Lesie, gdzie stały dacje fabrykantów; urządzano zabawy dla młodzieży proletariackiej. W żydowską rewolucję miały tam miejsce tłumy ze śpiewami i czerwonymi sztandarami – powiadali starsi od Alika.

Z muzyką pięknie na duszy. Z Suwałk pamiętał polkę, walc, tango; kręcić nie kręcił, stojąc w kącie tanecznego podestu jako ten zahukany żołnierz na przepustce do godziny dwudziestej drugiej. Tak i tym razem, zdziwiony, że i tutaj jest orkiestra (z Grodna), i przyjezdne rozpustnice, i pijane pieśni w otwartych ozdobnych chatkach (altanach). W ogóle nie ten świat, za gumnami, o wiorstę od Anisimowiczowych obrogów za Starodworną. Panienki i kawalerowie, o których Alik nie pomyślał, że oni tu przychodzą. Brała niezrozumiała złość na nich. – Aha, to tak, zachciało się miodu, naciągawszy się gnoju, nawybierawszy kartofli w mokrych bruzdach, namłóciwszy zboża na dwa cepy, nakopawszy torfu na zimę, wydusiwszy karaczany za kołnierzem i wygniółwszy wszy pod pachami... Paskudy! – złościł się bez powodu.

Niepotrzebnie chyba, bo było mu jakoś przekornie fajnie. Odszedł Alik w zarośla za potrzebą, omdlał od tego, co zobaczył. Dwaj młodzi Anisimowicze – na pewno Anisimowicze! – miętosili po ciemku Anię, ze spódnicą na plecach i pochyloną w kabłąk na grubą krzywulę orzecha, który rytmicznie kołysał gałęziami; jeden z nich brykał jej od tyłu, drugi w twarzyczkę od przodu. Ciężko sapali obydwoj, Ania pojękiwała (cichutko). Alik zdrętwiał i, przejęty, nie pamiętając kiedy, wybiegł z Hrabszowego Lasu dokądś w pole. Chciało się wypłakać, wyjąć. Od nieoczekiwanego przyrównania Aninej przygody do wiadomego ogiera z kłaczą. Psa na suce. „Podobnie tata z mamą...” – otarł łzy. Obrzydlistwo! Potem Alik nie dawał rady patrzeć na dziewczęta, każdą z nich sobie wyobrażając na kształt wygiętej figury Ani, pomiędzy kołyszącymi nią młodzikami o rozwartych w omdleniu ustach; nieprzytomne pojękiwanie. Boże, brzydkie wszystko, prostackie. Trąci chlewem. Zupełnie jak bogatym zamążpójściem.

Ot i dorosły sekret.^{IV/s.239}

Powszednie miasteczko dudniło w zawygonnej Pohulance. Stamtąd trąbiło rankiem i w południe, kopcily kominy, wichry przynosiły piekielne wonie. Od odległego gwaru zdawało się, że u Żydów nieścicchanie swarzą się, awanturują. A Alik z bożym spokojem w poletkach, pośród fal rosistego żyta. W załużnym⁵³ zakątku, w kuszczach⁵⁴, załagał się długouchy zając. W minione chłody Alik trafił na parkę zajączków, wziął je pod pazuchę. Siostrzyczka i braciszek w domu potem turlali się ze zwierzątkami, przynosili im liście młodej kapusty, nie mówiąc matce. Maleństwa – wytrzeszczając oczka – rosły z każdym dniem, tęsknie przymierzając się do ucieczki. Kury zaniepokojone gdały na podwórku, kiedy wynosili wążkę zajączki na słońce. Przydałaby się klatka, ale ojciec liczył to do zajęć dla dzieci, a Alik zwlekał, marudził. Zajączki tuliły się w kącie albo pod

aknom z czarapkami czyrwonistych kwietak, pakúl raptam nie zapaücieli⁵⁵ skakác pa ścienach, apustaszájucy paüchaty. Ureszcie katoryś wybiü szybku, widác, parániüşzysia; paüciakali. Za imi pahnaüsia byü z wülicy niuchliwy sabaczúk, húbiaczysia ü harodniaj bulbie. Maci Wolha adłupcawała wiénikam szkodnuju dzieciarniu. Dastálasia b i Ściapanu, kalí b nia wyjszaü ahledzieć haroch, szto pasiéjali ü Anoszkawiku.

Zaüsiody übáczyüszy Aniu pad carkwoju ü świate nia wiérylasia jamú, szto heta janá dahadżała tadý – dawoli swajackim joj – Anisimowicykam. Katorym? Nie razhładziéu u tyja szúmnyja tancy ü Hrábszawym lesie; z czasam padałosia Ściapanu toje zdareńnie prywidnym. Tym lahczej, szto ü pohladzie Ani nia wyblískwaü dziawoczy soram abo, prynamsi, niezabýünaja źbiantéžanaś tym, szto üžo paspytała bolejš, czym pawinna ü takim uzroście. U nieczym blakítnyja jajé woczy wypramiénwali dabryniü, łahodu; heta nia mieła być janá ü toje wieczarowaje kłubawańnie ü niezachodnaj huszczawinie... Ściapán wyhlédźwaü raüni ü inszych abliczczach. I choć nie dazwalała sumniawacca wa übáczanym admiétnaja pryhažoś Ani, usio macniéj nia wieryü, adnák, u słodycz żywiolnaha kachańnia. Platanicznaś jak rezultat nierastłumaczálnaści czaławieczaha świetu. Infantylnaści. Palúcyi üreszcie.

Ściapán nie daświedczyü pakúl idealizmu kurwielstwa, niaüchílnaha ü maładyja poszuki hniazdá sabié.

Wiasielle – padzieja ü rodzie. U daünim – piersz za üsio haspadárczaja. Stwarałasia nowaja siamjá ü hurcie isnych, szto paszyrała matarjalny j duchoüny patencyjał rodu. Žmianiała mahnítnaje pole swajactwa, wyklikájucy ü im dadátnyja üskładnieñni. Paszyraüsia absiáh familnych súwiaziaü, macawanych z dałúczanaj radzinaj. Usialák z tym bywała, alé szlub nia byü niedarecznym, choć z roznym paczućciom razúmnaści. Nia wychodzili zámuž i nie žanílisia śledam za hołasam serca. Sialanie nie przyznawali ramantycznaj prywarožanaści. Zamužža raünaznácznaje zasmuczonaści zakachánaha nia ü tuju dziaüczynu, a ü žanićbu abliwálasia ślažmi pakínutaja kachánaja. Hétaja nieadpawiednaś ciahnúlasia paślá hadami, nabywájucy balúczyja rysy psychícznaha kalectwa. Naradzálisia nialúbyja dzieci. Hadawálasia ü žorstkaści. Zdarálasia j lúbyja – ad potajnych sustrécž u miésiacznyja noczy, u pryhumiennych pawietkach. *Bajstrukié* nie adróžniwalisia zawielmi ad reszty. Žanczyna, ureszcie, stamlálasia rodami, biespraświetnym haspadyństwam; hasła ü joj ramántyka. Babuleła janá üžo pad sarakoüku, padpilnoüwajucy swaích daczok, kab nie dapuskálasia wiadomych pamyłak.

Pilnawańnie wyklikała swary; usio paütarálasia, jak u kožnuju maładość. Žyćcio sumotnaje, sztámpawaje; tyja sámýja katuchí, tolki żywiola sztoráz inszaja.

Swajakí papiarédžili Wolhu, szto jejny Ściapán chaj abawiazkowa zadružbanić na

oknem z doniczkami pąsowych kwiatów, póki raptem nie zachciało im się skakać po ścianach, czyniąc szkody. Wreszcie któryś wybił szybkę, zraniwszy się; pouciekały. Za nimi pogonił był z ulicy wężliwy piesek, gubiąc się w ogrodowych kartoflach. Matka Olga skarciła wierzbową miotełką szkodną dzieciarnię. Dostaloby się i Alikowi, gdyby nie wyszedł obejrzyć groch, który posiali w Anoszkawiku.

Ilekróć zobaczył Anię w świąteczny dzień przed cerkwią, nie wierzył, że to ona wówczas dogadzała – dosyć swojackim jej – Anisimowiczkom. Którym? Nie przyjrzał się w tamte szumne tańce w Hrabzowym Lesie; z czasem owo zdarzenie zdało się Alikowi ułudne. Tym łatwiej, że w spojrzeniu Ani nie przezieierało dziewczęce zawstyżenie albo przynajmniej niezatarte zażenowanie tym, iż doświadczyła już więcej niżli powinna w takim wieku. W jakiś sposób z jej niebieskich oczu promieniowała dobroć, łagodność; to nie miała być ona w tamtym wieczornym kłębowisku w nieprzebytej gęstwinie... Alik wypatrywał czegoś podobnego w innych twarzach. I choć nie pozwalała wątpić w to, co wtedy zobaczył, niepospolita uroda Ani, coraz mocniej nie wierzył jednak w słodycz zwierzęcego kochania. Platoniczność jako wynik niewytłumaczalności ludzkiego świata. Infantylizmu. Polucji wreszcie.

Alik nie doświadczył dotąd idealizmu puszczałstwa, nieuniknionego w dziewczęcym poszukiwaniu gniazda dla siebie.

Wesele – wielkie wydarzenie w rodzie; dawniej przede wszystkim gospodarcze. Tworzyła się nowa rodzina wśród dotychczasowych, co zwiększało materialny i duchowy potencjał klanu. Zmieniało pole magnetyczne swojactwa, tworząc nowe synergie. Poszerzał się krąg rodzinnych powiązań. Różnie z tym bywało, ale ślub nie był niedorzeczny, choć w różnym stopniu wyrozumowany. Nie żeniono się idąc za głosem serca. Włóścianie nie uznawali romantycznego oczarowania. Zamażpójście równoznaczne było ze smutkiem zakochanego nie w tej dziewczynie, a w dzień ślubu zalewała się łzami porzucona ukochana. Ta nieodpowiedniość ciągnęła się potem latami, nabywając bolesnych cech psychicznego kalectwa. Przychodziły na świat niekochane dzieci. Wzrastały w surowości. Zdarzały się i kochane – z potajemnych spotkań w księżycowe noce, w przygumiennych drewnutniach. Bękarty nie odróżniały się zanadto od reszty. Kobiętę z czasem wycieńczały kolejne połogi, bezustanne gospodyniowanie, gasła w niej romantyka. Babciała już przed czterdziestką, przypilnowując córek, by nie dopuszczały się wiadomych błędów.

Pilnowanie wywoływało kłótnie; wszystko powtarzało się, jak w każdej młodości. Życie smętne jest, sztamkowe; te same kojce, tylko trzoda coraz to inna.

Swojacy uprosili Olgę, by jej Alik koniecznie podrużył na

wiasielli ũ Wialíkich Aziaranach, a družkaj jamú Fania. Maci pamaładziela. Prymiérali bačkaŭ kaściúm, szto hładka lażaŭ u kufry na haryszczy. Paszyty z anhiélskaha sukna, kalí jaszczé za carom jon, bačka, dobra zarablaŭ, wywoziaczy piasok z harbá Kaszczaj horki, praż jakuju pralahala brukawánaja czasa na Haradok (tak i nie dabudawánaja ũ paśléjszyja wojny). Adsłużyŭszy wojska, pará chłopcju dumać, jak być daléj. Hetym pytańniem natchniálasia kawalerstwa; biezbarodych žanichoŭ achopliwaŭ paralusz niaśmiéłasci. Faktyczna – ad biesperspektyŭja. Pjanstwa paświédczwała ab tym, szto czamuści majesz hroszy. Hałotnik, dapaŭszy da darémnej czarki, szwéndaŭsia tudý-siudy paślá pa wulicy, kab ludzi báczyli, szto mieŭ za szto napicca; dychciéŭ czasnakom z rota, kab dúmali: zakuswaŭ, padła, kiłbásaju. Pra samahonku czuć nia czuwali.

Piérszaje družbawańnie ũręzałasia ũ fantáziju Ściapanu na ũsio żyćcio. Žanoczy dotyk Fani, przyńczanaj jamú da pary. Jajé miákkaja pasłuchmianaś i hatoŭnaś pabyć ž im z dryhotkaj nadziejjaj na jahonuju padtrymku. Biež jaho niamá jajé. Ściapanu heta straszenna impanawała i razam z tym biantéżyła ad bojazi, ci zdoleje spawažna apraŭdác dawierliwaś Fani. Mużyki ihrali, jak za awios! Bubnácž dzygaŭ, by humowy! Harmon wiarédziła duszú niaczuwánymi húkami, ad jakích tancy wiasielnikaŭ rasplywálasia Ściapanu ũ niejki cyhanski karahod. Božaja radaś! Pryplúszczwali woczy światyja na ikonach u pokuci. Ad Fani hreła napálenaj piéczkaju; czamuści nie paciela. Mahczyma tamú, szto ũ jajé aholenaja szyja da samiutkich hrudziéj... Wiasielnaja hamaná nahádwała czyhúnacznuju łamatniŭ z Suwałkaŭ u Horadniu, adkúl blizka da swaich (paŭdniá chadzby).

Niesialanskich wiasiellaŭ niamá. Adbywájucca ũ sienakosnuju ciapłŭń, kab niažliczonyja wiasielniki mahlí naczawać, taksama ũ humnach, prastorniejszych. Adbywájucca – pierad žniwom, bo prybywaje ũ rod nialíszniaja para pracounych ruk. U žniwo ludzi wiasiołyja, wiesialéjszyja, czym u małaćbŭ, kalí widác na takú pad capami ũžo sapaŭdny ũradžáj, umałot. Balíc ciela; na haspadarcy niczoha nia bywaje biaz bolu. Nawat szezasiwaś ciérpicca.

Niezabýnaje Ściapanu spańnio družbantaŭ z družkami. Znaczyła heta pajści za prykładam szlubu maładoje pary. Fania pierad snom znajszlá i apranuła na siabié báckawy nahawicy, szto Ściapana niaŭciamna raśśmiaszyła. Janá, widawoczna, wiédała bolejj za jaho... Uspomniłasia fihúrnaja Ania pamíž Anisimowiczykami. Nia byŭ Ściapán u stanie, léžaczy z Faniaj, adnák ža, ujawić – tak skazać – adnú detál. Mużczyńskaści nawuczyla jaho daloka potym potnaja ũdowica, toŭstaja ũ pieradstaraś, alé jajé ahramádzina nia mieła znaczeńnia. Dziaŭczaty j chłopcju niczoha nia ũmiejuć, pryroda nia wuczyć sużyćciá. Usiamú szkoła dla moładzi ad dorosłych; naohŭ ad padstarełych ciotak, i ad dziadźkoŭ.

U naczawańnie z Faniaj prykra szamacieli aziarancy. Nie dawała Ściapanu

weselu w Wielkich Ozieranach, a druhną miała być Fania. Matka pomłodziła. Przymierzili ojcowski garnitur, co gładko leżał w kufrze na strychu. Uszyty z angielskiego sukna, kiedy jeszcze za cara on, ojciec, dobrze zarabiał, wywołując piasek z garbu Kaszecznej Horki⁵⁶, przez którą przebiegała brukowana szosa do Gródka (jednak niedobudowana przez późniejsze wojny). Odsłużywszy wojsko, pora chłopcu myśleć, jak być dalej. To pytanie było natchnieniem kawalerstwa; bezbrodych młodzieńców ogarniał paraliż nieśmiałości. Faktycznie – z braku perspektyw. Pijaństwo zaświadczało o tym, że czemuś masz pieniądze. Golec, dopadłszy darmowego kieliszka, szwendał się tu i tam potem po ulicy, aby ludzie widzieli, że miał za co wypić; zionął czosnkiem z ust, ażeby myśleli: zakąsał, ścierwo, kielbasą. O samogonie słyszeć nie słyszano.

Pierwsze druźbowanie wryło się w fantazję Alika na całe życie. Kobięcy dotyk Fani, przeznaczonej mu do pary. Jej skwapliwe posłuszeństwo i gotowość pobycia z nim z drżącą nadzieją na jego pomoc. Bez niego nie ma jej. Alikowi to strasznie imponowało i zarazem onieśmiało z obawy, czy zdoła sprostać zaufaniu Fani. Muzykanci grali jak za owies! Bębniarz podrygiwał niby gumowy! Harmonia chwytła za serce niesłyszczanymi dźwiękami, od których tańce weselników zmieniały się w oczach Alika w jakiś cygański korowód. Boża radość! Mrużyli oczy święci na ikonach w kącie izby. Od Fani było ciepło jak od nagrzanego pieca; czemuś nie pociła się. Może dlatego, że miała odsłoniętą szyję aż do samiutkich piersi... Weselny rozgardiasz przypominał kolejowy łoskot z Suwałk do Grodna, skąd blisko do swoich (pół dnia piechotą).

Niewiejskich wesel nie ma. Odbywają się w ciepłej porze sianokosów, aby niezliczeni weselnicy mogli nocować, również w stodołach, przestronniejszych. Odbywają się – przed żniwami, bo przybywa rodowi jakże potrzebna para rąk do pracy. W żniwa ludzie weseli, weselsi niż przy młocce, kiedy widać na klepisku pod cepami już rzeczywisty plon, omłot. Boli ciało. W gospodarstwie nic nie przychodzi bez bólu. Nawet szczęśliwość przenika cierpienie.

Niezapomniane dla Alika okazało się nocowanie druźbów z druhnami. Oznaczało ono pójście za przykładem ślubu młodej pary. Fania przed snem znalazła i włożyła na siebie ojcowskie spodnie, co Alika mimowolnie rozśmieszyło. Ona widać wiedziała więcej od niego... Przypomniła się figurna Ania między Anisimowiczkami. Nie był Alik w stanie, leżąc z Fanią, jednakże wyobrazić sobie – jakby rzecz – jednego szczegółu. Męskości nauczyła go daleko później potna wdowica, tęga w przedstarość, wszelako jej obszerność nie miała znaczenia. Dziewczęta i chłopcy nic nie umieją, przyroda nie uczy współżycia. Szkoła dla młodzieży zawsze od dorosłych; na ogół podstarzałych ciotek, i wujków.

Podczas owego nocowania weselników nie dawało Alikowi

zasnúć – Fania chrapła – rychtyk Anina skuholeńnie za špinaju. Byccam pahánskija bożyki, dychcieli pieraharam u ciemry tyja chłopczy, súnuczy na Ściapanu kumpiástuju Niuru, jakaja szaptała jamú mlawym hałaskom u patýlicu: „Trymáj mianié, trymáj!” Chaciéu pawiaruucca, bajuczysia jéjnaha skonu, alé nia było jak.

Hadý adlatali adzín za adným i tré'było Ściapanu Kiszkiálú nabracca samastojnaści. Baby pasłaŭlali samastojnych, jakija ũ žanićbu mahli raźliczwać na zamožnuju dzialbú. Niekatoryja ũdalisia sprýtnymi aszukáncami; nazywali ich szancoŭnikami. Im haławá dobra wáryła. Mieli swoj „honar”, abdúrwali nie susiednich bahatyroŭ, alé ũ addálenych wioskach, u Sakołcy abo pad Harodniaj. Adzín zajsoŭ ażno pad Bielastok, u Studzianki, szto ũ bok ad Súprašli, dzie szancoŭnika mała nie zabili támasznija muzyki; pakaléczyli, prabili rukú.

Uwiédaŭszy ad wiaskoŭcaŭ, szto kamú rúpicca kupić, prykidwaŭsia sprytniuha niabiednym pasrédnikam, prapanújuczy tawár ci żywiołu pad niewialiki zadatak z pasléjšzymi splátami. Hieszéft nabywaŭ abarotaŭ, dziákujuczy haréczynamu pryjacielstwu z kimści ũ czarhowaj wioscy; kab nie sa złodziejem abo pjánicaju (chto ũ takomu pawieryc). Zajmała heta trochi dzion, prawiédzjenych pad pozwan czarak, u hútarkach ab bahaćci; zachodzili niašpieszna abodwa da nadziejnaha haspadará. Nowy siabar, jaszczé nia žulik, azywaŭsia:

– Napýtawali wy, dziadzku, pra małocznuju karowu?

– Napytwaŭ, – adkázwaje zacikaŭleny.

– Tak hety, wo, czaławiék wam jajé pradásć, – kaža siabar, kiŭnuŭszy na szancoŭnika, – bo mus jamú dom pierakryć czarapícaju... Alé, jon ni chocia, kab wy adrazu ũsio zapłacili, paczakaja, adno prosić, kab ja byŭ jamú świedkam zhody, nu, i dajcia krychu zadatak hétamu czaławieku ũ znak, szto woźmiecia, kalí prywiadzié.

Hútarka stwarała ũrážańnie surjoznaj akázii. Szancoŭnika redka kalí szukali potym: daloka było j zadatak toj niewialiki, zazwyczaj na try pudý żyta (pialiczyŭszy z załatowak). Choć słańniejszym szancawała j na paŭmetra. Hrosz da hraszá – žbirálasia da wiasiella na paŭtará albo j dwa hiektary ziamlí pad łubin i bulbu, szto za dwarowaj wysadžankaj na Ráchawicki falwarak. Jak zdátnaha ruchajmozha nie paważać? Hroszy ũ jahonaj kiszeni nia zwodziacca. Roŭnym tym hraszyskam byŭ tolki Boh, jakoha bolejš bajálasia, czym u jaho wiéryli. Heta nie chryścijánskaja wiera lubowi. Pahánskaja moc, szto trymájacca na strachu. Jazýcznickija bahí nielitaściwyja. Bizún kachaja muzyká.

Ściapán szaŭcawaŭ u sieniach. Dziela widnatý ũstawiŭ u ścianú wakonca (ad padworka). Niewialíkaje, nie naduwała choładu; u ciepłýn adczyniałasia. Stolik na instrumenty abramiŭ lísztwami. Klej z mukí hatawaŭ na prýpieczku, kala maci ž sńiédáńniem. Dapilnoŭwała, kab nie pryharéu. U pezalará na sadoŭnickich

zasnąć – Fania pochrapywała – mianowicie Anine pojękiwanie za plecami. Nieznośnie wierzeli się ozierańcy⁵⁷. Niczym pogańscy bożkowie, dyszeli tytoniowym nagarem⁵⁸ w ciemności tamci chłopcy, sunąc na Alika zadziwą Niurę, która szeptała mu mdlejącym głosem w potylicę: „Trzymaj mnie, trzymaj!”. Chciał się odwrócić, obawiając się jej skonaniam, lecz nie było jak.

Mijał rok za rokiem i trzeba było Alikowi Kiszkielowi stanąć na własne nogi. Kobiety wychwalały samodzielnych, co żeniąc się mogli liczyć na sytne działy. Niektórzy okazali się sprytnymi oszustami, zwano ich szansownikami. Ci nieźle główkowali. Mieli swój „honor”: naciągali nie okolicznych bohaterów, ale tych z odleglejszych wiosek, pod Sokołką⁵⁹ albo Grodnem. Jeden zawędrował aż pod Białystok, do Studzianek, niedaleko Supraśli, gdzie szansownika o mało nie załtukli tamtejsi chłopcy; poranili, przebili rękę.

Uwiedziawszy od miejscowych, komu co pilno kupić, udawał chytrus niebiednego pośrednika, oferując towar albo bydło za niewielkim zadatkiem z późniejszymi spłatami. Geszeft nabierał obrotów dzięki wódczanej komitywie z kimś w kolejnej wiosce, broń Boże ze złodziejem albo pijakiem (któż takiemu uwierzy). Zajmowało to kilka dni, spędzonych pod bręk kieliszków, na rozmowach o bogactwie^{XXXII/s.316}; zachodzili nieśpiesznie obaj do właściwego gospodarza. Nowy koleżka, jeszcze nie żulik, ozywał się:

– Napytywali wy, gospodarzu, o dojną krowę?

– Napytywał – odpowiada zainteresowany.

– Tak ten, oto, człowiek wam ją przeda – mówi koleżka, kiwnąwszy na szansownika – bo mus jemu dom przekryć dachówką... Ale on nie chce, co byście od razu wszystko zapłacili; poczeka, prosi jeno, żeb ja był świadkiem zgody, nu i dajcie trochi zadatku temu człowiekowi na znak, że weźmiecie, jak przyprowadzi.

Rozmowa stwarzała pozór prawdziwej okazji. Naciągacza rzadko kiedy szukano potem: daleko było, a i zadatek ów niewielki, zwykle na trzy pudy żyta (przeliczywszy ze złotych). Choć sławniejszym udawało się zmamić i na pół metra. Grosz do grosza – i do wesela uzbierało się na półtora albo dwa hektary ziemi pod łubin i ziemniaki, za dworską aleją na rachawicki folwark. Jak zmyślnego szansownika nie poważać? Pieniądze w jego kieszeni nigdy się nie zbywają⁶⁰. Równy tej mamonie był tylko Bóg, którego bardziej się bano niż w niego wierzone. To nie chrześcijańska wiara miłości. Pogańska moc oparta na strachu. Pogańscy bogowie nielitościwi. Bat kocha wieśniaka.

Alik szewcował w sieni. Dla widności wstawił w ścianę okienko (od podwórka). Niewielkie, nie wiało od niego chłodem; w cieplejsze dni otwierało się. Stolik na narzędzia obramował listwami. Klej z mąki gotował na przypiecku, obok matki szykującej śniadanie. Dopatrywała, żeby się nie przypalił. Od pszczelarza na sadowniczych

Akopach uziáũ gumzu wosku dzieła dratwaũ. Prydbaũ siaki-taki zapás skuraũ, júchtawych i, darahawatych, chromawych, kolki paraũ padeszwaũ, taneczniejszych na ranty. Papraũdzie pazyczyũ u Srolá.

Týdniami nia jszlí klijenty. Paczali prychodzić muzyki z padránymi ramiénnymi lápciámi, spodnikami. Žjawiłisia miaszczanie z prataptánymi czarawíkami. Spadziawálišia, szto woźmie tańniej. Tak jano j było, pakúl ludzi nie zanádzilisia. Ściapán *wýciesaũ* sabié taburetku ž miákkimi ramianiami pawierch.

– Kab sraka nie zdráńcwiéla, – zažartawaũ bačka.

– Ty jak szto skazaš! – pazławałasia maci Wolha.

Szawiéckuju taburetku Ściapán wýhładziũ rászpilem i pamalawaũ jajé staũbunawátyja nohi zboũtanymi žaũtkami jajok. Pasád nabýũ wyhľad, byccam muzycki tron; wakoł Ściapana naczékwali sztoráz szmatlíkija prýchadni. Pryhľadálišia da jahonaha ũmielstwa i ad hétaha chaciéłasia maładomu szaũcú pakazacca zdolnym. Maci zadawolena padkormliwała jaho prychawanaj ad bački skwarkaj u śniadanak, kalí ũžo nia było j dziaciéj u chacie. Jon nieciarpliwa jeũ, śpiaszájuczy ũ sieni. Ubáczyšy praz wakonca, jak niechta idzié, braũ u ruki aby- czyj czarawík ci łapać i dbajna schilaũsia nad rabotaju. Ad prýjémnaha samaadczuwańnia pašwistwaũ. Maci Wolha, adnák, supyniła Ściapana, skazašy, szto surjoznyja haspadary nia lubiać świstunoũ. Padwuczyła pry hetym, szto nia treba zanadta terminowa konczyć zakáz; zrazumiejuć, szto mała klijentaũ. Bačka, zatúrkany ziemlarobstwam, zusím nia cikáwiũsia warsztatam Ściapana. Dúmajuczy, widáć, szto niczoha wáznaha z hétaha nia budzie.

Ściapán pawinien byũ wiedać, kolki hroszaj biarúc miestaczkowyja szaũcý. Nie dadúmaũsia, niachutka paprawiũ. Mienawita pašlá – moža praz paũhodu? – dajszło da jaho, czamú nia prychodziac z zakázami dastojnyja dziak, carkoũny stárasta, kramnik, miašník, palicyjánt... Nia wierać, szto jon dobry ž lepszych. Nie starý, nia cénicca, niedarahí. Lepiej paczakáć.

Chtości papiaredziũ, szto Ściapanu narobiać biady zajzdrošniki, nabuchtoryšy skarbowych akcýžnikaũ. Zarobki, woš, nielehálnya! Jakoje wyjšcie? Zapisacca ũ ramiéšnicki cech. Alé, jak i dzie jon, nihto nia czuũ. Ściapanu Kiskialú nia skažuc. Chaj prapadaje. Ratunak padkazaũ toj ža Jurczyk: „Szaũcúj nia dniami, a wieczarami, kalí služboũcy nia chodziać. Záwidna dapamaháj bačku ũ chlwié, u stadole; budž na ludzkích waczách.”

Ściapanu nie spadabáłasia parada. Jamú mroiłasia swajá majsternia j swoj chleb; haspadarku pašpiéũ žnialubić, akazáłasia niehraszawitaj. Starý mieũ na biadu prosty sposab: jedž u Harodniu, papytáj, szto rabić, ty ž nie žladziuha, tabié ludzi płaciać i ty choczasz płaciać, nu, padatak, woźmuć ad ciabié hroszy, czamú ž nie (!?). Horadniu Ściapán zapamiatáũ, kalí prowadzili jaho ũ wojska. Horad ujeũsia

Okopach wziął bryłę wosku do dratew. Zgromadził jaki-taki zapas skór, juchtowych i, dosyć drogich, chromowych, kilka par podeszew, cieńszych na ranty. Po prawdzie pożyczył od Srula.

Tygodniami nie szli klienci. Zaczęli przychodzić chłopci z podartymi rzemiennymi łapciami, spodnikami⁶¹. Zjawiali się mieszczenie ze zdeptanymi trzewikami. Spodziewali się, że taniej policzy. Tak też było, dopóki ludzie się do niego nie przekonali. Alik wyciosał sobie taboret z siedziskiem z plecionych rzemieni na wierzchu.

– Żeby dupa nie drętwiała – zażartował ojciec.

– Jak ty coś powiesz! – ofuknęła go matka Olga.

Szewski taboret Alik wygładził raszplą i pomalował jego słupkowate nogi zbełtanymi żółtkami jaj. Siedzisko nabyło wyglądu niby muzycki tron; wokół Alika przysiadali coraz w kolejce liczni klienci. Przypatrywali się jego umiejętności, co sprawiało, że młody szewc chciał się pokazać jako zdolny fachowiec. Matka z zadowoleniem podkarmiała go na śniadanie przychowaną przed ojcem skwarką, kiedy już i dzieci nie było w domu. On niecierpliwie jadł, śpiesząc do sieni. Dostrzegłszy przez okno, że ktoś idzie, prędko chwycił czyjkolwiek trzewik albo łapcie i skwapliwie pochyłał się nad robotą. Z dobrego samopoczucia pogwizdywał. Matka Olga jednak uciszyła go, mówiąc, że poważni gospodarze nie lubią świstunów. Pouczyła przy tym, iż nie należy zbyt terminowo wykonywać zamówienia; gotowi pomyśleć, że mało klientów. Ojciec, pochłonięty gospodarską robotą, zupełnie nie interesował się warsztatem Alika. Myśląc widocznie, że nic ważnego z tego nie będzie.

Alik powinien był wiedzieć, ile biorą miasteczkowi szewcy. Nie domyślił się, nieprędko poprawił. Mianowicie później – po pół roku? – dotarło do niego, czemu nie przychodzą z zamówieniami szacowni diakon, starosta cerkiewny, sklepikarze, rzeźnik, policjant... Nie wierzą, że on dobry z lepszych. Niestary, niedrogo bierze, nie ceni się. Lepiej poczekać.

Ktoś uprzedził Alika, że narobią mu kłopotu zazdrośnicy, napuściwszy na niego akcyźników skarbowych. Zarobki oto są nielegalne! Jaka na to rada? Zapisać się do rzemieślniczego cechu. Ale jak i gdzie on, tego nikt nie słyszał. Alikowi Kiszkielowi nie powiedzą. Niech przepada. Jeden sposób podpowiedział tenże Jurczyk: „Szewcuj nie w dzień, a wieczorami, kiedy inspektorzy nie chodzą. Za dnia pomagaj ojcu w obejściu; bądź na widoku”.

Alikowi nie spodobała się porada. Jemu marzył się własny warsztat i swój chleb; gospodarkę zdążył zniełubić, okazała się niedochodowa. Stary miał na kłopot prosty sposób: jedź do Grodna, popytaj, co robić, tyżeś nie złodziej, tobie ludzie płacą i ty chcesz płacić, ten, no, podatek, wezmą od ciebie pieniądze, czemu nie (!?). Grodno Alik zapamiętał, kiedy brano go do wojska. Miasto zraziło

jamú súchašciu ů horle, smáhaju, duchoóciem wulic, natoůpami na tratuarach, hrúkatam furmanak dy bryczak, raspryhožanymi, by kurwy, žanczýnami dy žulikawátymi facétami z bliszczástymi kulbákami. Aszałamláů Ściapana adekalonny świet, jakí sytna żywié, nie patrabújuczy wioski, tych žniůnych paletkaů, na jakích trymájecca ledź z ducham mužyctwa. Straszenna dajecca sielaninu kawałak chleba!

go suchością w gardle, pragnieniem, duchotą ulic⁶², tłokiem na trotuarach, gruchotem furmanek i bryczek, upięknionymi jak ladacznice kobietami, cwaniakowatymi facetami z błyszczącymi laskami. Oszołamiał Alik wyperfumowany świat, który syto żyje, nie potrzebując wsi, tych żniwnych poletek, na których chłopstwo ledwo wiąże koniec z końcem. Straszliwie ciężko przychodzi chłopu kawałek chleba!

IV

Woś nie pacikáwiusia Ściapán u toje wałakictwa rékruta ů Suwałki, ci haradziency jadúc chleb, pjuć małako (?). Moża być, inszaja ů ich jeża, peůna niesialánskaja, a dalikátnaja, páchkaja, wýrablenaja ů specyjálnych fábrkach, kształtam cukierak i szakaladaů. Takuju i jon jeů by ad świtańnia da źwieczarélaści... Abutak na ichnych nahách czaradziejny, ažno bojazna dakranucca. Szto na malunkach u kniźkach pra caroů i kniaźát. U Horadni czamús usieńka bliszczýć.

Jak tolki zazwanili ů Ściapánawaj kiszeni zaroblenyja hraszakí, adczúů jon choład u waczách kawaleraů, a ciaplýů u – dziaůczát, szto nastroiła jaho na waźnieckaśc. Czas-ad-czasu kupláů nawet paczak papiarosaů u kramcy rymakatalíckaha fanátyka Żwiarýnskaha. Modu kurýć pakinuů adnák, kalí niechta sa starejszych paśmijaůsia, szto nia ůmieje puskác dym nosam. Ściapán nia wiedaů, szto treba zaciáhwalca aż da sałodkaha bolu ů hrudziách.

Saůszy majstrawatym, wiadoma ź, źnialubíů haspadarku. Za szto jajé lubić? Za posnuju jeżu, zrębnuju kaszulu? Kab prydbác załatowak na padatak, waziů baćka na rynek pradawác żydám zboźża, haroch; zdarálasia, szto drowy; maci nasiła masła, syr, jajki; źbirała ů zbanok śmianu. Nie zaůsiody ůdawaůsia zbyt. Żydý chitrawali, nie szkadújuczy. Janý ź nie rabili ziamlí. Marudnikawali dzieů da wieczara. Zhaworliwiejszymi akázwalisia baby fabrycznych rabotnikaů – nie mahlí zanadta pakidác dziaciéj biaz dohladu. Porstkaja Wolha nia mieła ciarplíwasci starhoůwać canú, nia cikáwiłasia, szto j pa czym siońnia. Wiartálasia dachaty złája, by asá, daczúůszysia, szto jajé abduryli. Baćka tak wielmi nie nerwawaůsia; żyta i jaczmień, asabliwa pszanica, adnolkawa kasztawali da Kalád; potym kupcý płacili bolejš, a pad wiesnu całkam prystojna, kalí muzykí ůžo raspradali ůmałoty. Bahaciéjszyja spakojna czakali, zadawoliůszy abychodak u Pilípaůku i da wialíkaha postu.

Baćka braů Ściapanu z saboju ů les. Biez asyhnaty na płaszki dazwalálasia ciahác suchapád i taůściéjszaje liścianoje halinoůje. U zázimak ujażdźali ů huszczawiny, dzie traplálasia padrośtyja biarozy (liczýlisia janý lasným pustaziellem). Niebłahí ich wybar znachodzili za Starýnkaju. Dalekawata, alé zatoje nia szukali doůha biarwiénistych kamloů (na Suchím Hrudzié razwaruszyli hniazdo wuźakaů). Choć Ściapanu ů prychod zimý tłumniejš było ad klijentaů, niczoha suprac nie kazáů baćku, razumiéjuczy, szto adzín jon nia zdoleje parupicca ů lesie. Wyjażdźali razoů dwa, try.

Na padworku – bližej chlawá – czypiela kałodka szyroznaha kamliska śpiławanaj jábłyni. Zdaůná siekli na joj; wakoł preli treski, raspálwali imi ů plicie. Nakałóć palén dawálasia paraůnalna sprytna, szczapálasia ad ułásnaha ciażaru ů

IV

W końcu nie dopytał Alik w tamtą rekrucką włóczęgę do Suwałk, czy miastowi jedzą chleb, piją mleko (?). Możliwe, że jedzenie u nich inne, nie wioskowe, a delikatne, pachnące, w specjalnych fabrykach wyrobione, na kształt cukierków i czekolad. Takie i on jadłby od świtu do zmroku... Obuwie na ich nogach czarowne, aż strach dotknąć. Jak na malunkach w książkach o carach i książętach. W Grodnie czemuś wszystko błyszczący.

Jak tylko zabrzęczały w Alikowej kieszeni zarobione groszaki, poczuł chłód w spojrzaniach kawalerów, a ciepło w dziewczęcych, co nastroiło go na ważniactwo. Czasem kupował nawet paczkę papierosów w sklepiku katolickiego fanatyka Żwieryńskiego. Modę na palenie porzucił jednak, kiedy ktoś ze starszych zakpił, iż nie potrafi wypuszczać dymu nosem. Alik nie wiedział, że trzeba zaciągać się aż do słodkiego bólu w piersiach.

Zostawszy majstrowatym, wiadomoż, zniechęcił gospodarstwo. Za co je lubić? Za postne jedzenie, zgrzebną koszulę? Żeby przysporzyć złotych na podatek, woził ojciec na rynek i sprzedawał Żydom zboże, groch; zdarzało się, że drwa; matka nosiła masło, ser, jaja; zbierała do dzbanka śmietanę. Nie zawsze udawała się sprzedaż. Żydzi chytrowali, nie żałując nikogo. Oniż nie uprawiali ziemi. Przemarudzali dzień do wieczora. Zgodliwsze okazywały się kobiety robotników fabrycznych – nie mogły zanadto zostawiać dzieci bez opieki. Porywca Olga nie miała cierpliwości targować się o cenę, nie rozpytywała, co po ile dzisiaj. Wracła do domu zła jak osa, dosłyszawszy po drodze, że przepłaciła. Ojciec tak bardzo się nie nerwował: żyto, jęczmień, a szczególnie pszenica, nie zmieniały ceny do Bożego Narodzenia; potem kupcy płacili więcej, a na przedwiośniu całkiem przyzwoicie, kiedy chłopci już wyprzedali omłot. Bogatsi spokojnie czekali, opędziwszy bieżące potrzeby w Filipówkę⁶³ i do Wielkiego Postu.

Ojciec brał Alika ze sobą do lasu. Bez asygnaty na kłody wolno było wyciągać chrust i grubsze gałęzie. W przedzimi wjeżdżali w gęstwiny, gdzie trafiały się podrosłe brzozy (uważano je za leśny chwast). Spory ich wybór znajdowali za Starynką. Dalekowato, ale za to nie szukali długo grubszych pni (na Suchym Hrudzie wzruszyli gniazdo węży). Choć z nadejściem zimy do Alika tłumniej przybywali klienci, nie wymawiał się od tego, rozumiejąc, że ojciec sam nie poradzi sobie w lesie. Wyjeżdżali dwa, trzy razy.

Na podwórzu – bliżej chlewa – sterczał szeroki pień spiłowanej jabłoni. Od dawna rąbali na nim; wokół słały się trzaski, rozpalali nimi w kuchni. Narąbać drewno było względnie łatwo, kłody rozłupywały się pod własnym ciężarem

razmách. Drańcwiela ruká ad suchapádnaha chworastu; pakúl nasiaczész, namáchajeszšia siakiérajú. Choć hety zaniatak nie na bábskujú macatú, nia prymali jaho jak ważny. Maci Wolha adhaniała Ściapana dachaty, złujuczysia:

– Idzi, boty majstrúj czaławieku, a ja samá pasiakú, u puczki pawiażú, pad ścianoju... Ściapán upárciusia; pacichu byū zadawoleny matczynym kamańdzierstwam. Szaūcújuczy, jamú nie pawinny traścisia, lekaciéc palcy dałoni: kab nie pakaléczycca i kab dakładna rezać nažom ranty. Pierad Hramnicami nahadaū bačkám, szto možna kupić furu drowaū, czym wýklikaū swarku na ũsioj dzień. Skazali staryja:

– Hroszy tabié zaświarbieli! Awios u sraku zakałoū!!

Załatoūki nia dzieła taho, kab wyhodna żyć, alé bahaciéc! Chawali ich ũ pasażnym kufry pad zamkom, kab dzieci nie dabrálisia abo wypadkowuja zładziei. Załatazapasny mužyk raūniá panu ũ dwarý abo j rozumniejszy za jaho; panoczek raspradajé, woś, majontak na razadziétyja kurwy, na karciożnyja daūhí ũ haradzienskich pakojach. Na palítyku, aszaleũszy. Ruski car duszýũ polskich panoũ. Sami pad noż jamú leźli. Chto ich prasiū padymác paũstańnie? Kiepska było jeści skwarki dy haréłkaju zapiwác? Błochi kusali ũ nakruchmálenaj paścielí? Żonka ũciaklá z cháchalem? Uciaklá, niacháj, sto piéknieńkich na jajé miesca znachodziłasia, na letki dabrabýt!...

Hroszy światyja. Malunki na papiarowych, jak tyja ikonki, szto namolenyja pakútnymi prodkami. Banknoty pachaciác kisłym potam, śniacca raśpiaćciem. Kolki niaszczaścia ũ tych karcinkach, czaroũnych biazdúsznaściu, banalnych. Wydumlajem im sens i nam zdajecca, szto heta wiekapomnaje. U czym za wiekapomnaś samoha jsnawańnia? Pustoje pytańnie, adkúl uziaũsia czaławieć dy kudý jaho niasié?

U kryzys pryjechaũ z Améryki swaják Anisimowiczaũ. U carkwié stanawiũsia kala ławy, szto ũžoũż ścianý: jamú baleli nohi i jon siadaũ, kalí nia klenczyũ. Hładzieli na amerykanca j dzieci, na jaho toũsty zad i pleczy ũ darahím pinżakú, na zýrkija ad blasku tufli j na wýhalenuju szyju, szczoki z adaptýranymi, rużowymi wuszami. Wýjechaũ jon tudý jaszcé za carom, hawaryũ czyściejszaj za bácieczkawu ruskaj mowaju, ż niazwykłąj dalikátnaściu: „Sudár”?! Nawiedaũ bačkoũszczynu, padaũsia ũ adstaũku z amerykanskaj służby. Paprasíũ Júrczyka zwazić furmánkaju ũ paletki; na ich płakaũ, prytancoũwaũ, caławaũ mieży; nikomu – nawat Anisimowiczam – nia wiéryłasia ũ jahonuju narmalnaść. Sum emihranta pa radzimie! – pra takoje Ściapán upiarszyniũ czuũ. Czaho sumawác, májuczysia sytna?

Sudár nakrucíũ zamiaszańnia, raspawioũszy: jon udawiéc, chocia znoũ ażanicca, ciapiér z tutejszaj bábaru. Kazáũ pra niaczuwánaje abaryhienam pensijanierstwa, zabiášpieczanaść na staraść. Ludzi nie dapýtwalisia, szto heta,

na siekierze ostrzem do góry. Drętwiała ręka od chrustu; namachasz się, zanim narażesz. Choć to zajęcie nie na babską siłę, nie uważano go za ważne. Matka Olga odganiała Alika do domu, złoścąc się:

– Idź, buty rób człowiekowi, sama porąbię, w pęczki powiążę, pod ścianę poukładam...

Alik oponował, ale w duchu odpowiadało mu matczyne rozkazywanie. Kiedy szewcował, nie powinny mu drżeć palce: żeby nie skaleczyć się i dokładnie ciąć nożem ranty. Przed Gromnicami napomknął rodzicom, że można by kupić furę drewna, czym wywołał kłótnię na cały dzień. Starzy wykrzyknęli:

– Pieniądze ciebie zaswędziały! Owies w tyłek zakłuł!

Złotówki nie po to są, by wygodnie żyć, ale aby zamożnieć. Chowano je w posażnych kufrach, zamknięte na klucz przed dziećmi i przypadkowymi złodziejami. Złotozapasny chłop równia panu we dworze albo i zgoła mądrzejszy od niego; panoczek rozprzedaje oto majątek na wystrojone ladacznice, na karciane długi w grodzieńskich pokojach. Na politykę, oszalałszy. Car gnębił polskich panów. „Sami mu pod nóż leżli. Kto im kazał wzniecać powstania? Żle było jeść skwarki i popijać gorzałką? Pchły gryzły w nakrochmalonej pościeli? Żonka uciekła z kochankiem? Uciekła, i niech tam, sto piękniutek na jej miejsce się znajdowało, na letki dobrobyt!...”.

Pieniądze święte są. Na papierowych malunki, jak te ikonki omodlone przez cierpiących przodków. Banknoty tchną kwaśnym potem, śnią się ukrzyżowaniem. Ileż nieszczęścia w tych obrazkach, czarownych bezdusnością, banalnych. Nadajemy im sens i zdaje się nam, że to wiekopomne. W czymże wiekopomność samego istnienia? Próżne pytanie, skąd wziął się człowiek i dokąd go niesie?

W czas kryzysu przyjechał do Anisimowiczów swojak z Ameryki. W cerkwi stawał obok ławy, co wzdłuż ściany; bolały go nogi i przysiadł, kiedy nie klęczał. Patrzyły na Amerykanina i dzieci, na jego tłusty tyłek i plecy w drogiej marynarce, na lśniące blaskiem trzewiki i wygoloną szyję, policzki z odstającymi, różowymi uszami. Wyjechał on tam jeszcze za cara, mówił po rosyjsku lepiej niżeli babciczka, z niezwykłą delikatnością: *sudár'* (czyli *pan*). Odwiedził rodzinne strony, przeszedłszy w stan spoczynku w amerykańskiej służbie. Poprosił Jurczyka, by zawiózł go furmanką na poletka; płakał na nich, podtańcowywał, całował miedze; nikt – nawet Anisimowicze – nie wierzył w jego normalność. Tęsknota emigranta za ojczyzną! – o czymś takim Alik słyszał po raz pierwszy. Czego tęsknić, mając się syto?

Sudár narobił zamieszania rozgłosivszy: jest wdowcem i chce się znowu żenić, tym razem z tutejszą kobietą. Powiadał o nieznanym aborygenom życiu emeryta, zabezpieczeniu na starość. Ludzie nie dopytywali, co to takiego,

biez tłumaczeńnia widać: biełarúskamu amerykancu niabiedna; biétyja ruki j mardawieszka, adekalonnyja adusiúl popachi, byccam ad modnicy. Brydka, praŭda, kab mužczyna pyrskau na siabié jaźmínawyja ci bėzawyja aramaty! U Anisimowiczaŭ usio Ź uźniałasia kałatniá – jak nia wýpuścić z ruk raspaniėłaha žanichá. Staraść tut ni pryczým. Staŭkaj los! Wiadoma, jamú treba, kab było kamú dahledzieć jaho da śmierci i ũ žadany duchu. Kab u prawastaŭji zahawiėć duszoju. Woś i ũsia *mondraść*.

Babie jakoj Sudár báciiusia jnaksz: wýleźci za ім z chlawoŭ u szakaládnuju Amėryku. Alė, jakuju ciotku padabrć Sudarú, kalí koźnaja z aŭdawiełych uczarniėłaja, raspoŭłaja, z parėpanym abliczczam, zaciúkanaja harotnica. Achwotna wýpierli b za jaho ũsich razam lisznich, tadý haspadarka pamacniėla b, pamiėniėla b u joj mrojaŭ dzialicca... Sejmikawali Anisimowiczy zajadła, aźno chtości z maładých padkazau:

— Addajma za Sudará... Aniu! Nu j szto z taho, szto nadta maładaja?! Niabrýdkaja; spadabájecca. Mužczýnami janá ũžo nia ździułena. Nie pakaleczyc jaje ũ paścieli. Padczepić kaho sabiė, kab tolki ni czornaho... Maładaja, to j nie chwarećmia, budzia Sudarú siastroju miłasėrnaści. Jon zadoŭha nie paciahnia, Ania razbahacieja pa ім, za dalary ziamlí nakupim, i nas kaho wýpisza ũ Amėryku, ach!...

Zhody ũ dzieŭki nichto nia pytaŭ. Nia stolki addawali jaje zamuz, kolki pazbywálisia z radziny. Daczká strátnaja, nia toje, szto syn. Ania, darczy, razrahatáłasia, kalí wýjawili joj plan. Niastrymna chichíkala, pakúl nia wýcisnuła Ź siabiė:

— A szto ludzi skaźuć?!

— Jak heta szto? – wýłupilisia na Aniu bratý j baćki. — Pazajzdrujuć!

A janá na ich słowy:

— Jon Źa mnie dziedam!

A janý:

— Lepszy bahaty dzied za basotnaha charaszuná! Niczo ho tabiė nie brakawaćmia ũ Amėrycy, żyć-nie pamiráć! Pryjdzia pará, u druhí zamuz pojdziesz, i za tak o ho, jak o ho tadý samá zachoczasz...

Ania nia plákała i nie zławáłasia. Zamoŭkla, a heta znáciiła, szto: budzia jak budzia. Anisimowiczy žyli družynna, abdúmaŭszy swátańnie Sudarú raźwitnoj dziaŭczyny z swajho rodu. Padychod da staroha nia byŭ im składany: biarý Aniu, to pażywiėsz pry jaje łoŭkaj apiecy, sardėczniejszaj, czym u szpitali. Haniacca kab za mužczýnami, zanadta maładziúsiėnkaja, nie spaznała ich smaku. Naszto tabiė burklíwaja kabieta? Aniu biarý!

Hawaryli na lúdziach pra Anina zamuzza. Janá, inszy raz, nawiėdwała Ściapana ũ snach, słowam nia kázuczy, biežhałosa chichíkajuczy, usio roŭna szto

i bez tłumaczenia widać: białoruskiemu Amerykaninowi niebiednie się żyje; białe ręce i buźka, rozsiewa zapach wody kolońskiej jak modnisia. Brzydko, co prawda, żeby mężczyzna kropił się kwiatowym aromatem! U Anisimowiczów jednak zakotłowało się – jak nie wypuścić z rąk spaniałego żenicha⁶⁴. Wiek tutaj nieistotny! Stawką los! Wiadomo, jemu trzeba, by było komu doglądać go do śmierci i w pożądanym duchu. Żeby w prawosławiu dokonać żywota. Ot i cała „mondrość”!

Babie jakiej Sudár jawił się inaczej: wyleźć by za nim z chlewów do czekoladą płynącej Ameryki. Ale którą ciotkę dobrać Sudarowi, gdy każda z owdowiałych poczerniała, rozlazła, z pobrużdżonym licem, zahukana cierpiętница? Chętnie wypchnęliby za niego wszystkie razem niepotrzebne, wtedy gospodarstwo wzmocniłoby się, ubyłoby w nim rojeń o podziale... Sejmikowali Anisimowicze zajadle, aż któryś z młodszych podał myśl:

— Oddajmy za Sudara... Anię! No i co z tego, że nadto młoda!? Niebrzydka; spodoba się. Mężczyźni już jej nie dziwią. Nie ukrzywdzi jej w pościeli. Przypozna jeszcze kogo, byle nie czarnego... Młoda, to i chorować nie będzie, Sudarowi siostrą miłosierdzia się stanie. Długoż on nie pociągnie, Ania wzbogaci się po nim, za dolary ziemi nakupim, i z nas którego zaprosi do Ameryki... Ech!...

Dziewczyny o zgodę nikt nie pytał. Nie tyle wydawali ją za mąż, ile pozbywali się jej z domu. Córka stratna, nie to, co syn. Ania zresztą rozrechotała się, kiedy wyjawili jej plan. Niepowstrzymanie chichotała, zanim wydusiła z siebie:

— A co ludzie powiedzą!?

— Jak to co? — obruszyli się na nią bracia i rodzice. — Zajzdrować⁶⁵ będą!

A ona na ich słowa:

— Onże mi dziadem.

A oni:

— Lepszy bogaty dziad jak bosi piękniś. Niczego ci nie zabraknie w tej Ameryce, żyć nie umierać! Przyjdzie pora, drugi raz za mąż wyjdiesz, i za takiego, jakiego wtedy sama zechcesz...

Ania nie płakała i nie złościła się. Zamilkła, a to oznaczało, że będzie jak będzie. Anisimowicze żyli drużynnie, obmyśliwszy swatanie Sudarowi rozwiniętej dziewczyny ze swego rodu. Podejście do starego nie było dla nich skomplikowane: bierz Anię, to pożyczysz przy jej czulej opiece, serdeczniejszej niżli w szpitalu. Uganiać się żeby za mężczyznami, zanadto młodziutka jest, nie poznała ich smaku. Na co ci burkliwa kobieta? Bierz Anię!

W miasteczku powiadało się o Aninym zamążpójściu. Ona czasem nawiedzała Alikę w snach, nie mówiąc ni słowa, bezgłośnie chichocząc, jakby

prynádzwajuczysia ũ paściél. Szlub – ureszcie – Sudará z Aniaj adbyšsia nia tut, alé ũ jaho ũ toj Amérycy, paślá czaho ũsiaki słyeh pra dziūnuju paru zahłúh. Anisimowiczy sami nie azywálisia, nie chwalílisia, widaćmie, nia májucy czym. Zreszty, pajszlí pažary. Hareli fábryki na Pahulancy, za jakija wypłaczwali ũłaśnikam niebłahija strachoŭki. Zatým, u dalokim ad Kiszkialoŭ kancý wŭlicy, spaliŭ swajú chatu szwahier Franka-Licharadki. Padaŭ adližny śnieh i durnawaty Franak hojsaŭ u wadnoj kaszuli, pierapyniájucy tych, szto biehli na pažár:

— Ahá, ni było kamú padpalíc chatu, a ciapiér usié pruć pahrecca! Oj, ludzi, ludzi!

Chadzili czutki, szto palicyja zławiła padpálszczyka. A jak ža: žyda.

U prýšwiatak pryjechała ũ miasteczka kino, u prastornuju szkołu, samachodam z Horadni. Ściapán prypažnišsia; pracísnušsia trochi za dźwiery, ale – wýhnašzysia wysokim – dobra baczyŭ. I heta jaho paratawała. A było tak: na ekrán raptam wýjechaŭ adniekul parawoz, imkliwa pýchkajucy na públiku; natoŭp rýnušsia ũciakác. Ściapán wýpyrehnuŭ na wŭlicu, byccam korak z horła butelki, – śmiajašsia potym. Nieszta takoje jon paľachliwa pieražyŭ kališci, nia mohucy zatrymacca na piasczanej stromie Szýbienicy. Wýwichnuŭ ciapiér nahú, szto koľka baleła, pakŭl baćka ũ chacie nie paciahnŭŭ za jajé, nastaŭlájucy kostku.

– I czaho tabié było iści na toje kino, — pryhaworwała maci Wolha, *papraŭdzi* niezadawolenaja tym, szto wýdatkawaŭ jon dwaccać hraszakoŭ na bilét.

Zapłaciŭ, a sam mała biez nahí nie zastašsia...

Pra kino pahaworwali. Stolaru ũ toj werchaľ nadłamali ũ zawiesach palcy. Miaśnik Furmanski pakaléczyšsia nažyskam, zasúnutym za chalawu; wastryjo pranizała łytku i nastupiła na jaho krykľiwaja Waŭczyca z Browarnaha zakawuľka. Szawiéc Piéknaja Chalaŭka, pracznúšzysia z pjánaha drymoćcia, drapaŭ aposznim, poruczy szyłam zządu żydowak, szto zamiést taho, kab dźhać, lamantawali. Najbolsz paciarpieŭ Kulhawy Szurka z draŭlánaju nahoju: adwiazálasia jamú, a ũ wiortkim tłumie nie ũstajáŭ na lewaj zdarowaj. Ślepaciéŭ pad aknom, kalí apuściéŭ budynak; mechaniki, by czerci, wyli waŭkami ad rohatu, prybirájucy manatki. Kulhámamu adszukali daŭbieszku z ramianiami, padtrymali ũstác. Czui, jak kazali adžín adnamú:

– Dawoli pakazać ludu najézd parawoza, kab adchaciéľasia ũśim usiaho, i pra wiartańnie hroszaj za bilety nia pytajuć. Wo kino!

Nie znajszošsia takí, chto pryznawašsia b da pániki. Winawácili smúrhielaŭ, szto bylí raśsiéľisia pad samiutkim paľatnom z tym kinom. Chłopczyki nyráli pacukami miž dorosłych, dziaŭczyniaty sukatali ź piskam hałodnych parasiát. Starým byłá niedastojka. Kahości naľupili, alé niczoha napeŭna nie wiadoma.

wpraszając się do pościeli. Ślub — wreszcie — Sudara z Anią odbył się nie tutaj, ale u niego, w tej Ameryce, po czym wszelki słuch o dziwnej parze zginął. Anisimowicze sami się nie ozywali, nie chwalili, znać nie mając czym. Zresztą miasteczko dotknęły pożary. Płonęły fabryki na Pohulance, za które wypłacano właścicielom niezłe odszkodowania. Potem, w oddalonym od Kiszkielów końcu ulicy, spalili swoją chatę szwagier Franka-Licharadki. Prószył wtedy odwilżowy śnieg i durnowaty Franek miotał się w samej koszuli, zatrzymując tych, co biegli do pożaru:

— Aha, nie miał kto podpalić chaty, a teraz wszyscy lecą się pogrzać!... Oj, ludzie, ludzie!...

Chodziły słuchy, że policja złapała podpalacza. A jakże: Żyda.

W przyświątek⁶⁶ przyjechało do miasteczka kino, do przestronnej szkoły, samochodem z Grodna. Alik się przypóźnił; stanął tuż za drzwiami, ale – wyrósłszy na wysokiego – dobrze widział. I to go poratowało. A było tak: na ekran wyjechał skądś parowóz i, gwizdnąwszy na rozjeździe, wykręcił nagle wprost na publikę, popędliwie pykając; tłum porwał się do ucieczki. Alika wypchnęło na ulicę, niby korek z gardła butelki – podśmiewał się potem. Coś takiego on trwożnie przeżył kiedyś, straciwszy grunt pod nogami na piaszczystej stromiźnie Szybienicy. Teraz zwichnął stopę, co kłująco bolała, dopóki ojciec w domu nie pociągnął za nią, nastawiając kostkę.

– I po co ci było iść na to kino – przygadywała matka Olga, po prawdzie niezadowolona, że wydatkował on dwadzieścia groszaków na bilet.

Zapłacił, a sam o mało bez nogi nie został...

O kinie powiadało się w miasteczku. Stolarzowi w tamtym rozgardiaszu nadłamano w zawiasach palce. Rzeźnika Furmańskiego poharatało nożyisko wsunięte za cholewę; ostrze przeszło łydkę i nadepnęła na nie wrzaskliwa Wauczyca z Browarnego zaułka. Szewc Piękna Cholewka, ocknąwszy się z pijanej drzemki, dawał drapaką ostatni, kłując szydłem od tyłu Żydówki, co zamiast zmykać lamentowały. Najbardziej ucierpiał Kulawy Szurka z drewnianą nogą: odwiązała mu się, a w wartkim tłumie na lewej zdrowej nie ustał. Siedział w mroku pod oknem, kiedy opustoszał budynek; mechanicy zanosili się śmiechem niczym diabły, pakując manatki. Kulawemu odnaleźli protezę z rzemieniami, pomogli wstać. Słyszał, jak pokpiwali:

– Dosyć pokazać ludowi najazd parowozu, żeby odechciało się wszystkim wszystkiego, i o zwrot pieniędzy za bilety nie pytają. To dopiero kino!

Nie znalazł się taki, kto by się przyznawał do paniki. Obwiniano smarkaczy, co się byli rozsiedli pod samutkim płótnem z tym kinem. Chłopaczekowie śmigali jak szczury pomiędzy dorosłych; dziewczątka przebierały nogami z piskiem głodnych prosiąt. Starsi czuli niesmak. Kogoś poturbowano, ale nic na pewno nie wiadomo.

Czym szparczěj udawálasia maładomu Kiszkiálú szawieictwa, tym niespakojniej paczuwašsiasia. Pabojwašsiasia ũstajalych šaŭcoŭ z papieriemi, ich adzinstwa, prynaléznašci da ramiéšnickaha cechu. Nia jszoŭ da ich z rospytami, chacia b da Srulá, pradczuwájuczy niaszczyrašć majstra da wucznia. Zarabláŭ niaszmát, moh nie bajacca.

Zreszty, biez kawałka haspadarki nie abyšcisia jamú. Dumaj – nia dumaj, mus dapamahczý staromu kasíc zaŭtra kaniuszynu, szto pasiéjali ũ dole za chŭtaram Stockaha; pastawić u kuczki. Rabota, ad jakoje adrywájucca ruki. Ad ćwiordych šciobláŭ chutka tupieje kasá, treba klapác u poli. Sztoráz macawác kašsio. Na niebie za Šzybienicaj klubujúc nabryniáłyja chmary; cieła pranizwaje špiech. Praca na ziamlí poŭnaja napruhi, haspadarom kamáduje pahoda. Boży zaniatak pad haspodnim hniewam!

Na kruszniu, na abrosłym uzhorku ź dziczekaju, wylez paryžeły lis. Šciapán wyniaŭ z kiszeni asiołku, – padwastrýć paciažéłuju kasú. Žwiarok nie hladziéŭ u jaho bok, czujna pawiernŭšszysia na tuju chmárnuju harú. Razhladašsiasia, kalí naŭprasty ad jaho sihanúš skokami naŭcioki wuszasty zajac. Nia strywaŭ pahoni, a moh źa ũratawacca.

Suszyla pić. Lipła da placzěj umakrélaja kaszula. Kazyrook šzapki pamiakczéŭ ad potu. Šciapán abcior dałońniu szczoki, adczuwájuczy z pryjémnašciu kołkašć mužczyńskaha szczacińnia; nie zahadawaŭ wúsikaŭ, šmiaszyli redkawałóšsiam. Zhadálasia hrudzi Fani. Sałodzisty jenkat Niury. Žarabcoŭski ũzdých aziaranca. Haraczy szept: „Trymáj mianié, trymáj!” Naszto? Jak? Dziela czaho? Lažýsz źa j nikudy nia wálišzisia... Šciapán, raskiráčzany stomaju, pajszoŭ da karzinki ũ ciankú kustá, padniáŭ ź jajé da huboŭ zbanok z krynicznej wadoju; pławali ũ im duchmiányja skarynki matczyńaha chleba. Pjuczý ũbaczyŭ adným wokam, jak baćka taksama kinuŭ kasíc; sieŭ na miažú. Jon padydzie siudy. Jakija mahlí być dumki ũ baćki, kalí byŭ u hadách swajho Šciapana? Pad sumniéŭ ci warta papytác jaho pra toje. Žýćcio adlataje biaššledna, nie pakidaje pašlá siabié aniczoha péŭnaha.

...Zornaja nocz u žniŭni dwaccátaha hodu pad Warszávaju. Šciapán katory dzień wiazie ũ sialanskim abozie amunicyju balszawikám. Heta jamú wielmi daloka i jon pierastaŭ mieć aryjentáciju. Hałodny j niawýspany, nia ciamiŭ, chto j szto da jaho haworyć; wałoksia za wozam, szto jechaŭ pierad jahonym. Kalí toj spyniašsiasia, to jon spyniašsiasia, apuskájuczysia ũ drymoćcie. Užo nia mieŭ czaho dać kaniú, chacia b napaic la kałodzieža ũ mazurskaj wioscy. Usiudy báczylisia balszawikí, nie przyzawali zatrymki. U ich adžín kryk i kamanda: „Upiarod, upiarod, upiarod!!!” Pobacz súnulisia tabúniki kawaléryi na zmoranych konikach; u siodłach chistálisia kazákí. Kazali ũ darozie ludzi, szto ad Bielastoku walić wialikaja piechota i Warszawie kapiéc, pastralajuć panoŭ. Raptam zatarmazili

Im sprawniej szła młodemu Kiszkielowi szewska robota, tym większy niepokój odczuwał. Obawiał się trochę uznanych szewców z papierami, ich komitywy, przynależności do rzemieślniczego cechu. O nic ich nie podpytywał, nawet Srula, przeczuwając nieszczerłość mistrza wobec ucznia. Zarabiał niewiele, mógł się nie bać.

Przy tym bez kawałka gospodarstwa nie mógłby się obejść. Myśl, co chcesz, a trzeba pomóc staremu kosić jutro koniczynę, którą zasiali w dole za chutorem⁶⁷ Stockiego; poustawiać w kopki. Robota, od której urywają się ręce. Od twardych źdźbeł szybko tępieje kosa, trzeba ją klepać w polu. Co rusz mocować klingę. Na niebie za Szybienicą kłębią się nabrzmiałe chmury, ciało przenika pośpiech. Praca na roli pełna naprężenia, gospodarzowi rozkazuje pogoda. Boże zajęcie pod Pańskim gniewem!

Na kamienisko, na porośłym wzgórk z dziczką, wylał porudziały lis. Alik wyjął z kieszeni osekę, by podostrzyć pociężoną kosę. Zwierzak nie patrzył w jego stronę, czujnie zwróciwszy się ku owej chmurnej górze. Rozglądał się, gdy wprost od niego wyskoczył susami do ucieczki uszasty zając. Nie dotrzymał pogoni, a mógłże się uratować.

Doskwierało pragnienie. Lgnęła do pleców zwilgła koszula. Daszek czapki zmiękł od potu. Alik otarł dłonią policzki, czując przyjemną szorstkość męskiej szczeciny; nie zapuścił wąsików, śmieszły rzadkowłosiem. Przypomniały się piersi Fani. Słodzisty jęk Niury. Ogierski dech ozierańca. Gorący szept: „Trzymaj mnie, trzymaj!”. Po co? Jak? Dlaczego? Leżyszże i nigdzie nie przepadasz... Alik, rozkraczony zmęczeniem, poszedł do koszyka w cieniu krzewu, podniósł z niego do ust dzbanek ze źródlaną wodą; pływały w nim wonne skórki matczynego chleba. Pijąc zobaczył kątem oka, jak ojciec także porzucił kosę, siadł na miedzy. On podejdzie tutaj. Jakie myśli mógł mieć ojciec, kiedy był w latach swojego Alika? Popytać go o to raczej nie warto. Życie ulatuje bez śladu, nie zostawia po sobie nic pewnego.

...Gwiazdzista noc sierpniowa dwudziestego roku pod Warszawą. Który już dzień Alik wiezie w chłopskim taborze amunicję bolszewikom. To dla niego bardzo daleko i stracił orientację. Głodny i niewyspany, nie rozumiał, kto i co do niego mówi; włókł się za wozem, który jechał przed nim. Kiedy ten się zatrzymywał, to i on przystawał, zapadając w drzemkę. Już nie miał co dać koniowi; choćby napoić go przy studni w mazurskiej wiosce. Wszędzie widać było bolszewików, nie uznawali postojów. U nich jeden krzyk i komenda: „Naprzód! Naprzód!!!”. Pobok sunęły tabunki kawalerii na zmorzonych konikach, w siodłach kiwali się kozacy. Mówili w drodze ludzie, że od Białegostoku wali wielka piechota i Warszawie *będzie mogiła*⁶⁸, postrzelają panów. Raptem zatrzymano tabor

adpiéradu, nia było wiadoma, szto zdáryłasía; déraszy paciahnúlisía skubcí trawú na zboczynach. I tadý pralaciéũ hrymotny nakáz pawaroczwać – pałakí pierarwali front, zaraz buduć tut, jencyũ naczalnik u skuranoj kurtcy, adbiéhszysía na rallú, kab jaho paczuli. Szparka zawiarnucca nia było jak, furmanki hurnuli ũ praściahí chto jak stajáũ. Usio ũkryli staũbuný pyłu. Ściapán apantana ściabáũ kasztanku, janá źniamożana chrypaciéła dy pádała; pad ciazaram skryniaũ z żalezam koły hraźli ũ aũsianaj poźni. Zwalíũ precz toje łamareńdzie dy prastawáũ u lasok. Nieba biaschmárnaje, wakolica ũ miésiacznaj jasnocie; traskaciéũ kulamiot. Trápiłasía darożka, jakoj Ściapán ujażdżáũ u ciszyniũ. Ryzykoũna jamú ad trésnutaj ahłobli; jechaũ usiũ karotkujy nocz, nie padhaniájuczy kasztanku. Sonnaśc adlaciéła, na słych ławíũ huki: nikoha za im i napiéradzie. U dniélaśc wýjechaũ na łuhí z kapícami atawy; u zapolli szareli kuczy wiaskowych chat. Ściapán nabráũ siena kabyle i zaprátaũsia z wozam u alesznik. Pieraczakáć. Wiedaũ, szto napakidáũ śladoũ na bujnoj rasié, adnák z uschodam sonca trawá padsochnie, padýmiecca. Usio ż paszczáściła...

U kwietnym harodczyku la chaty Kiszkialoũ – na zielanistych piwoniach bialeła ũlotka. Nie ũpiarszyniũ niechta raskidaũ pociemkam zabaronienyja papiery. Padpolnuju prapahandu. Maci Wolha nie znachodzila miesca sabié ad złości na tajémnikáũ: zdúmali mucíc czaławieku ũ haławie, szkodzić pracawáć! Nakryczała na Ściapana, kab nie czapáũ padkínutaj „palítyki”, bo pryjdzie palicyjánt i zapytaje: naszto czytáũ... Baćka raiũ:

— Zianasí na pastarunak.

Maci ũskipieła:

— Zianasié, to zapytajuć, adkúl uziáũ! Chaj sami pryjduć i woźmuć. A my tut pry czym?

Ulotka wałáłasía, padmiécienaja wiétrykam u bukiétnyja astry, pakúl nie padniáũ jajé ũporanak nareszcie Ściapán, skamiáczyũszy. U stadole paczytáũ. Na biełaruskaj mowie.

Toje, ab czym u joj písáłasía, padałosía bolejšy prydúmanym, czymś bajki małym. Pra jadnańnie sialán z rabotnikami. Kaho z kim? U muzyká koń, karowa, świńni, awieczki, zbożża, zapasy ũ sklepie. A szto ũ rabotnika? Ni świnczaci, ani mukí swajé, trywaja na kúplanym, kalí majstar daśc jamú zarabíc u fábrycy. Jakaja ż supółka jaho z haspadarom? Jak można kazáć takoj! Użo rozumniéj ab biełaruskaj szkole. Chaj wuczylí b swajé nastáũniki, nie pané, czort wíédaje jakija! Naszto polskaja szkoła? My ż u Polszczu nie pajedziam żyć. Choczuc parabíc z nas palakaũ? Nu, niacháj. Ci ad taho chleba prybudzia? Palák ty, a ci nie, cudu nie pryczakajasz, chleb búłkami ż niabiosaũ nie napádaje tabié, kalí sam nie zamożasz. Durnatá z polskimi szkołami! Za carom byũ paradak: pan żawáũ pa-francusku, ksiondz „pszekaũ”, żandár czyrykaũ pa-rusku, fabrykánt hierhietáũ pa-niamiecku,

od czoła, nie było wiadomo, co się zdarzyło. Deresze pociągnęły ku trawie na poboczach. I wtedy przetoczył się gromki nakaz zawracać – Polacy przerwali front, zaraz będą tutaj! – jęczał naczelnik w skórzanej kurtce, wybiegłszy na rolę, aby go usłyszano. Szparko wykręcić nie było jak, furmanki runęły przez pola, jak kto stał. Wszystko przesłoniły słupy kurzu. Alik opętanie smagał kasztankę, ona bezsilnie chrapała i upadała; pod ciężarem skrzyń z żelazem koła grzęzły w owsianym rżysku. Zwalił precz to badziewie i gnał prosto do lasu. Niebo bezchmurne, okolica w księżycowej jasności; terkotał kulomiot. Trafiła się dróżka, którą Alik wjeżdżał w ciszę. Zaryzykował dalszą jazdę z pękniętą hołobłą; jechał całą krótką noc, nie poganiając kasztanki. Senność odeszła, nasłuchiwał: nikogo za nim ani przed nim. W dniałość wyjechał na łąki z kopami atawy⁶⁹; na zapolu szarzały kępy wioskowych chat. Alik nabrał siana kobyle i przychowwał się z wozem w oleszniku. Przeczekać. Wiedział, że nazostawiał śladów na bujnej rosie, jednak ze wschodem słońca trawa podeschnie, podniesie się. Mimo wszystko miał szczęście...

W ogródku kwiatowym przed chatą Kiszkielów – na zielonych piwoniach – bieląła ulotka. Nie pierwszy raz ktoś porozrzucił po ciemku zakazane papiery. Podziemną propagandę. Matka Olga nie mogła znaleźć sobie miejsca ze złości na konspiratorów: umyślili mącić ludziom w głowach, przeszkadzać w pracy! Nakrzyczała na Alika, by nie tykał podrzuconej „polityki”, bo przyjdzie policjant i zapyta: po co czytał... Ojciec radził:

— Zanieś na posterunek.

Matka wskipiała:

— Zanieście, to zapytają, skąd wzięli! Sami niech przyjdą i wezmą. Nam nic do tego!

Ulotka wałała się, podmieciona wietrzykiem w bukietowe astry, dopóki nie podniósł jej rankiem nareszcie Alik, zmiąwszy. W stodole poczytał. Po białorusku.

To, o czym w niej pisano, zdało się bardziej wydumane niż bajki dzieciom. O brataniu się chłopów z robotnikami. Kogo z kim? U chłopów koń, krowa, świnie, owce, zboże, zapasy w piwnicy. A u robotnika co? Ni świniaka, ni mąki swojej, trwa na kupnym, kiedy majster da mu zarobić w fabryce. Jakaż spółka jego z gospodarzem? Jak można mówić takie rzeczy! Bardziej już z sensem o białoruskiej szkole. Niechby uczyli swoi nauczyciele, nie pańscy, diabli wiedzą jacy! Na co polska szkoła? Myż w Polskę żyć nie pójdziemy. Chcą porobić z nas Polaków? No mniejsza, ale czy od tego chleba przybędzie? Polakiem ty, czy nie, cudu nie doczekasz, chleb bochenkami tobie z nieba nie napada, jeśli sam nie zadbasz. Głupota z polskimi szkołami! Za cara był porządek: pan międlił po francusku, żandarm świergołił po rosyjsku, ksiądz „pszeakał⁷⁰”, fabrykant szwargotał po niemiecku,

žyd pa-żydoŭsku, a mužýk pa-biełarusku. I ũsím było dobra. Nawat itałjaniec prybrontaŭsia, da Zolki ũ łożak pad koŭdru ũwaliŭsia, i janá prywuczyła jaho *adbréchwacia* tak, jak usié.

Ściapán upior ulotku pad kust smurodliwaj czornaj pareczki; pad karéniami, kab sabaki nia wýdzierli, zakłáŭ kamieñ. Zabyŭsia pra znachodku; maci maŭczała, zadúranaja dziećmí.

Padlétkawuju siasstrú klíkali Mania; brácika achryścili Andrejem. Jak naradzíłasia Mania, Ściapán nie pamiatáŭ; janá była zaŭsiody, spaczatku ũ kałyscy, i nia lubiŭ zakałychwać jajé. Wiskliwica! Andréj narodziŭsia ũ suszu, kalí „hareli” jaczmieni na piaskoch za Doŭhim łuham. Maci pakaciłasia tadý ũ snapách, prybieh bačka, klíknušzy ciotak z blízkaħa pola; Ściapana paśláŭ biehma pa ruczniķi. Kalí wiarnuŭsia ź imi, u matczynych trantach wieraszczala niéjkaja maluta z pakorpanym twárykam. Ściapana adpuhnuli; zaprahali kaniá. Ściapán, schawáŭszysia za hustuju dziczku, zapaŭcieŭ niema płakać. Nowy chłopczyk hałasiŭ. Maci Wolha mieła da jaho wialíkuju łasku, haniájuczy Ściapana rabić u chacie. Mania nie dapamahála Ściapanu, zajmájuczysia wiazańniem lalek z anuczak.

Andrejka chwareŭ. Prywodzili szaptuchu, jakoj dawali paru jajok. Prynosiła janá ziołki. Hatawali napary. Jeli ũsié aby-szto i aby-kalí, dniami j naczami kłapociaczysia niemaŭlom. Heta ũ Ściapanie zastałasia, choć Andréj ros paślá zdarowym, alé hultajawatym. Turbawała Ściapana Mania. Pakúl pajszlá ũ szkołu, abłáziła wiszni ũ płatoch, mała nie zabíŭszysia katorahaści razu. Drała sukiénaczki, za szto dastawaŭsia nahaniáj Ściapanu za niedahlad. A jamú j samomu chaciéłasia pahuláć, nié ũsio saczyć za nierazumnym dzieŭczom. Prywaroźwali žoŭtyja, by nalítyja miodam, hruszy ũ sadaŭniczaha Hanáckaha. Ciaźornyja, hnuli haliny da bujnalístaje bulby na zahonie. Śníłisia smaczna – da bolu żywatá. Ściapanu zdawałasia, szto jon ich kaliści napraŭdu smakawáŭ, dyj nia moh wspomnić, u kaho... Maryŭ, pilnújuczy Maniu. Kalí b nie siasstrá, zapoŭz by pad hruszu ũ Hanáckaha. Alé Mania da chaładoŭ haréziła; u zámaraź pierastali puskáć jajé na padworyszcza, asiélicu. Załaciłasia wosieñ, haléŭ sad.

Kala młyná ũdaŭcá Szuchničkaha tłumnieŭ zawoz. Na aziaryszczy apuścili zástaŭki, wadzianoje koła mahutniej zakrucíłasia. Mužyki małoli na zimú żyta na chleb, jaczmiéñ na pancák abo na wosypku świńniám; niekatoryja trochi pszanicy na Kaladú, Másłenicu. Ściapán trymaŭ czarhú, naczékwajuczy bački. Na wazách ź miaszkami lažali haspadary ũ kaźuchách, raspawiadájuczy adzín adnamú bylicy.

– Kasíŭ ja žonczyny siena za Pieraciosami i ũ poľudzieñ pryloh adpaczyć, padsiłkawáŭszysia. Czuŭ u łożach treskat, alé dumaŭ: dzik łamoczacca ci kazula

Żyd po żydowsku, a chłop gadał po białorusku. I wszystkim było dobrze. Nawet Włoch się przyplątał, Zolce do łóżka pod kołdrę uwalił, i ona go przyuczyła odszczekiwać się jak wszyscy.

Alik wetknął ulotkę pod krzak smrodliwej czarnej porzeczki; między korzenie, aby psy nie wygrzebały; założył kamieniem. Zapomniał o znalezisku; matka milczała, zaprzątnięta dziećmi.

Podlotkową siostrę zwali Manią; braciszka ochrzcili Andrzejem. Jak urodziła się Mania, Alik nie pamiętał. Ona była od zawsze, z początku w kołysce, ale nie lubił jej kołysać. Płaksa! Andrzejek urodził się podczas suszy, kiedy „gorzały” jęczmienie na piaskach pod Długim Ługiem. Matka osunęła się pośród snopów, podbiegł ojciec, skrzyknawszy ciotki z pobliskiego pola. Alika posłał biegiem po ręczniki. Kiedy wrócił z nimi, w matczynych fatałaszczkach wrzeszczało jakieś maleństwo z pomarszczoną twarzą. Alika odpędzono; zaprzęgano konia. Alik schował się za gęstą dziczkę, by pograć się w bezgłośnym płaczu. Nowy chłopczyk kwilił. Matka Olga traktowała go z wielką czułością, zatrudniając Alika do prac domowych. Mania nie pomagała Alikowi, zajmując się wiązaniem lalek ze szmatek.

Andrzejek chorował. Przyprawiali szeptuchę, której dawali parę jajek. Przynosiła ona zioła. Robili napary. Jedli wszyscy byle co i byle kiedy, dniami i nocami kłopotując się o dziecko. To utkwiło w Aliku, mimo że Andrzejek rósł potem jako chłopiec zdrowy, choć nieco leniwy. Turbowwała Alika Mania. Zanim poszła do szkoły, obłąziła wiśnie przy płotach, ledwie nie zabiwszy się któregoś razu. Darła sukieneczki, za co Alika upominano, iż jej nie dopilnował. A on sam chciałby się pobawić zamiast ciągle naglądać za bezrozumnym dziewczęciem. Nęciły żółte, jak nalane miodem, gruszki u sadownika Hanackiego. Ciężkie, przyginały gałęzie do bujniastych kartofli na zagonie. Śniły się smacznie – aż do bólu brzucha. Alikowi zdawało się, że kiedyś naprawdę ich kosztował, lecz nie mógł sobie przypomnieć, u kogo... Marzył – pilnując Mani. Gdyby nie siostra, polazłby pod gruszę u Hanackiego. Ale Mania psociła aż do pierwszych chłódów; w przymrozki przestali ją wypuszczać na podwórze, na siedlisko. Złociła się jesień, przezroczyścieł sad.

Przed młynem wdowca Szuchnickiego gęstniał tłumny zajazd, przybywało wozów ze zbożem. Na jeziorysku opuszczono zastawki, koło wodne mocniej się zakręciło. Włóścianie mielili na zimę żyto na chleb, jęczmień na pęczak albo na osypkę dla świń; niektórzy trochę pszenicy na Boże Narodzenie, Maślenicę⁷¹. Alik trzymał kolejkę, naczekując ojca. Na wozach z workami polegiwali gospodarze w baranicach, rozpowiadając jeden drugiemu swoje przypadki.

– Kosilem żonine siano za Pierciosami i w południe przyległem odpocząć, posiliwszy się. Słyszałem w łożach trzaski, ale myślałem: dzik się tarza albo sarna

najadájacca. Zmaryła mianié. Rasplúszczwajusia ad chaładkú Źžo, baczu: staíc pierada mnoju wializny alén dy wyłúpliwajecca pa-awiéczamu na moj żywot. Nu, niamá biady, kab tolki na rohi nie padniáu. Ażno wypaŹzaja z-pad mianié daŹżernaja źmijá. Tut ja i Ździerawianié! A hety aléniska jak nie parnié jajé szýlistym roham, padkínušszy. Hadziuka psyczyć, jak kot, skrúczwajecca spruźynaju, i Ź moj bok kocicca kłubkom, raziáwišszy horła. Raháčz adstupiŹsia na krok i célicca Ź majé wantroby. Ja schapiŹsia, jak humowy, rukoju zaduszýŹ Źmijá za szyju, a druhoju prytrymáu rahácinu, uskoczyŹ na chrybiét, zabraŹszy kasú, i pamczáu...

Apawiadálniku nia wiéryli, alé jon nie biantéżyšia.

– A szto, moża, niamász źwiaroŹ u barý? A źmijá ja sam baczyŹ – na try arszyny!

Takoha zawozu nia było b, kalí b Szuchnicki nie pajechaŹ byŹ u Bielastok addawác zamuž daczku. Pra jéjnuju pieknatú platkawali kabiety, spaczuwájuczy jaszczé niedarosałci. Choć nie pawinna być strachu, bo nawet maźný muźczyńiska maładuchu nie zaduszyc... Żyćmie ź im, by Ź Boha za śpínaju. Nikudý nia biéhaćmie, nia znojdziecca babnik, szto adwáżycca leźci na maładzicu, nie zabajáŹszysia patrácicca ad szlúbnaha bambizy jájcami swaimi j durnoju buławiéškaju.

Szuchnicki, adhulaŹszy wiasielle doczańki-himnazistki, ciamniéu u sumocie. Niéślasia wiestka, szto swátali jamú bielastockuju Źdawú, a ziaciem staŹ niejki raspušnik, isny knyr; prystroiŹszy bajstruczka paniency, zapatrabawaŹ ad ciešcia niemałoha pasahu. – Kamú sposab razbahaciéc, a kamú źbiadniéc.

Chawali zamúczanaha fabrykanta Ajna. Ściapán biašsilna ŹjaŹláu, jak harbarý tapili Ajna Ź kipniowaj zájedzi Ź czopie, kudý kíдали skury, kab abláziła ź ich szerśc. Ci palicyja wýjawila, chto? U Ajnawaj harbarni, szto na Pahulancy, na rahú Nowaj, rabiła z paŹsotni czaławiék; znajdzi bandyta. Pachawańnie aplanawana na żydoŹskich mohiłkach, szto prašcirálisia za placami AnisimowiczaŹ. Prawodzili niaboźczyka z majantkowych horaŹ, u jakích pastawiŹ sabié szykoŹny dwor. Na szlachiecka-panski maniér, z kalonnym hankam na padjeździe. Syszłosia narodu; chłopczyki j dziaŹczatki z bukiétami bielych kwietak. Pałowie ź ich Ajn, mabyć, naturalny baćka; pracawali Ź jaho kumpiástyja mácierki j zirkástyja pryhažuni; nieŹdałotaŹ nia prymáu. Kachanak asabista addawaŹ zamuž, zachaboryŹszy biezhraszowaha frájera. Kab nie kryŹdawali.

Kroczyli Ź źalobie burmístr Kaziaracki, ź im pawiatowy stárista z Harodni, panoczki Ź kašciumach. Naźjaždźálasia palicyi Ź hlancawanych botach, z bliszcžástymi, doŹhimi kazyrkami. Na chodnikach raílisia żydy j swajé. Pažárniki Cúdnaha Źorżyka marszawali spawolna Ź nahú, źziájuczy káskami naksztáť rymskich lehijanistych na światých abrazoch. Ad jich widawoku dryhaciel

najada. Zmorzyło mnie. Budzę się z zimna już, widzę: stoi przede mną wielgachny jeleni i wytrzeszcza się po baraniemu na mój brzuch. No, nic takiego, żeby tylko na rogi nie wziął. Aż tu wypelza spode mnie długaśna żmija. Wtedy ja i zdrętwiałem! A to jelenisko jak raptem kolnie ją szydłowatym rogiem, podrzuciwszy! Gadzina syczy niby kot, skręca się w sprężynę i ku mnie kłębkim toczy, rozdziawiając paszczę. Rogacz cofnął się o krok i celuje w moje bebechy. Poderwałem się jak gumowy, ręką żmiję za gardziel zdusiłem, drugą rogi przytrzymałem, na grzbiecie jelenia wskoczyłem, zabrawszy kosę, i po--gnałem...

Bajdziarzowi nie dawano wiary, ale on nie tracił rezonu.

– A co, nie mogło się zdarzyć? Nie masz to zwierzyny w borze? A żmiję sam widziałem – na trzy arszyny!^{XXXIII/s.317}

Takiego zajazdu nie byłoby, gdyby Szuchnicki nie pojechał był do Białegostoku córkę za mąż wydawać. O jej urodzie plotkowały kobiety, współczując jeszcze niedorobłości. Choć nie powinno być strachu, bo nawet potężne chłopisko dziewczyny nie zadusi... Żyć będzie z nim jak u Pana Boga za plecami. Nigdzie nie polata, nie znajdzie się babnik⁷², co polezie na młódkę, nie lękniejszy się nałożyć od ślubnego osiłka jajami swymi i łbem głupim.

Szuchnicki, wyprawivszy wesele córeńce gimnazjalistce, szarzał w smętnocie. Niosły wieści, że swatano mu białostocką wdowę, a zięciem został jakowys rozpustnik, istny knur; przystroiwszy bękarcika panience, wołał od teścia niemałego posagu. – Komu sposób, by się wzbogacić, a komu by zbiednieć.

Chowano zamęzonego fabrykanta Ajna. Alik bezsilnie wyobrażał sobie, jak garbarze pławili go w żrącym roztworze w dole, gdzie wrzucano skóry, by wylażała z nich sierść. Czy policja ustaliła, kto? W Ajnowej garbarni, co na Pohulance, na rogu Nowej, robiło z pół setki ludzi, spróbuj znaleźć bandytę. Pogrzeb zaplanowano na cmentarzu żydowskim, co rozpościerał się za placami Anisimowiczów. Odprowadzano nieboszczyka z majątkowych wzgórz, wśród których postawił sobie szykowny dwór. W szlachecko-pańskiej manierze, z kolumnowym gankiem przy podjeździe. Zeszło się sporo narodu; chłopczyki i dziewczątka z bukietami białych kwiatów. Dla połowy z nich Ajn mógł być naturalnym ojcem; zatrudniał u siebie biodrzaste matki i pełnookie ślicznotki o słodkim spojrzeniu; nieudatnych nie przyjmował. Lubownice osobiście wydawał za mąż, wynagrodzivszy golcowatemu frajerowi. Iżby sobie nie krzywdownali.

Kroczyli w żałobie burmistrz Kozieracki, z nim starosta powiatowy z Grodna, pankowie w garniturach. Nazjeżdżało się policji w glancowanych butach, w czapkach z błyszczącymi, długimi daszkami. Na trotuarach roili się Żydzi i swoi. Strażacy Cudnego Żorzyka⁷³ marszowali z wolna w nogę, połyskując kaskami na kształt rzymskich legionistów na świętych obrazach. Na ich widok drżały

hrůdzistyja baby; Ściapanu muraszyła pa placzách, szto zaraz kahości prybjúc kawálskimi ćwikami da dubowaha kryžá. Cudny Žoržyk na mih hlanuů u woczy Ściapanu, jak by szukájuczy achwiaru... Szeście pawiarnuła ů wůlaczku da mohiłak. Ad miasteczka paczuůsia woklicz pahulanskich kamuniakaů: „Śmierć burżujam! Niacháj żywié rabotnickaja rewalúcyja!” Kamandánt nieszta burknuů dwum palicyjantam i tyja, kazyrnuůszy, pajszlí podbieham tudý; wýchapili z ramianioů pałki. Usio roůna by na zahád, ustajálasia cisz. Czamuści nie zakazali múzyku. Udawá nie schacieła? Ajn wiesialiůsia, bywała, pry harmoniku j hłybokaj czarcy, dy ů abdymkach padhałych palatůch.

piersiaste baby; Alika mrowiło po plecach, jakby zaraz mieli kogoś przybić kowalskimi ćwiekami do dębowego krzyża. Cudny Żorzyk na mgnienie spojrzął Alikowi w oczy, niby szukając ofiary... Kondukt wykręcił w uliczkę na cmentarz. Od miasteczka dał się słyszeć okrzyk pohulańskich komuchów: „Śmierć burżujom! Niech żyje robotnicza rewolucja!”. Komendant burknął coś dwóm policjantom i ci, zasalutowawszy, poszli tam podbiegiem; wychwycili z rzemieni pałki. Jak na rozkaz zaległa cisza. Czemuś nie zamówiono muzyki. Wdowa nie zechciała? Ajn weselił się, bywało, przy dźwiękach harmonii i głębokim kielichu, w objęciach smukłych kokietek.

Uletku tryccać szostaha Ściapán adczúů, szto baćki paczynajuć szanawác jaho. Jon zarabláu na szaŭcawañni ũžo pa dwa złoty ũ dzień, szto – praz paru miésiacuů – składałasia na ciélnuju karowu abo hadawánaha żarébczyka. Na niewialikaj haspadarcy takija hroszy nie małyja. Pierszym, zdajecca, zrazumiéů toje baćka, acichszy z prošbami dapamahác jamú ũ poli. Nieszta dajszo j da maci. Janá, iduczý ũporanak u żniwo, brała małych, kab nia szkodzili Ściapanu; pakidała na plicie nahatawánuju kawaleru jeżu, maŭkliwa wałakłasia sa starým u Anoszkawik (sonnyja maleczy nia szumieli na wozie). Potym, u padabiedak, kalí pastúch pryhaniáu bydła z paszy ũ Doŭhim łuzie, waroczałasia pieszki padaić karowu. Czasam prybiahała ż joju Mania, nia choczuczy rwać świñniam zielle na ũźmiezkach. Nadakuczała: – Szczapán, zrabí mnie tuchli! Jéjnyja damahañni huczali kamiczna: nie adrosszy ad takú padłohi, rychtawáłasia ũ panienki.

U połudzieñ klijentaů nia bywała i Ściapán prybiraŭsia z maci Wolhaj wiazác snapý żyta, stawić ich u dziasiatki. Treba macatý na nalítaje kałossie; nie padpuskali Ściapana ũ aŭsianoje żniwo, u jakoje, zreszty, kanczałasia leta j prybywała zakazaŭ na abutak. Choć u zwozku snapoŭ u stadołu chapała biady: na stromkim Hlíniszczy koñ nia strýmliwaŭ náćisku plonu, nasila bułánaha ũbok, wuzki żalaźniák wywaroczwaŭsia; śpiéłaje ziernie sýpałasia ũ trawu, ż jakoje wybiralali stratu żmiéniami, ssypájuczy ũ pustuju konskuju torbu. Baćka pierazywaŭ usieńka spakajniéj; maci Wolha płákała j klałá darohu, choć nikoli j nichto nie papraŭláu straminú, zabywájuczy pra jajé paślá. Z Hlíniszczam wiazáłasia asabliwaja filozofija, jak wynik asobnaści sialánskaha losu. Mienawita nie jsnawała ũ ludziej paczuciá ahulnych intaresaŭ, koźnaja siamjá żyłá tak jak udawáłasia. Szczyry ehaizm.

Rychtyk bahonnaje azierca Biazdonica, dzie Piéknaja Chalaŭka wudziŭ szczupaczkou i linioŭ, szto patychali mułam. Da Biazdonicy wadzili paić u wadnym miescy koniej u parkaść; hraźli na ũzbocznaj dryhwié. Było haworki, kab nakidác tudý palawoha kamieñnia, alé plan zastawaŭsia planam. Piéknaja Chalaŭka sploŭ sabié z łazý szyroznyja „łyży”, na jakích trymaŭsia bliżéj wady, zakínuŭszy papławok na hłybiniú. Chadzili czutki: baczyŭ jon czorta rahátaha, szto pryplýŭ siudy padziémnaju réczkaju ażno ż Niomana... Biazdonica – heta akno ż ciomnaje protchłani niaczýstaje siły. Ci wieryŭ u toje Piéknaja Chalaŭka, ciahájuczy adtúl szczupakou? Kupacca nia kupaŭsia, kážuczy: niamász bierahoŭ, tolki kúpiny plýwajuć, pad imi można ũtapicca, nia wýnyrnúszy.

Chalaŭka, prynáđzany rybakawañniem, usio ż napałochaŭsia, kalí padczapiŭ na kruczok wuhrá. Z taho, szto ũ pierszy momant padaŭsia jon jamú żmiajoju, nia było wialíkaha społachu. Piarépałach

Latem trzydziestego szóstego Alik poczuł, że rodzice zaczynają go szanować. Zarabiał na szewstwie już po dwa złote dziennie, co – po paru miesiącach – składało się na cielną krowę albo podhodowanego ogierka. W niewielkim gospodarstwie to pieniądź niemały. Chyba pierwszy zrozumiał to ojciec, ucichłszy z prośbami o pomoc w polu. Coś dotarło i do matki. Ona, idąc rankiem na żniwo, zabierała ze sobą malców, by nie szkodzili Alikowi; zostawiała na płycie ugotowany kawalerowi posiłek; milcząco wlokła się ze starym w Anoszkawik (senne maluchy nie hałasowały na wozie). W porze podobiadku⁷⁴, kiedy pastuch przypędzał bydło z paszy na Długim Ługu, wracała pieszo i doiła krowę. Czasem przybiegała z nią Mania, nie chcąc rwać na miedzach zielska dla świń. Nudziła: – Alik, zrób mi pantofle! Komicznie brzmiały jej prośby: ledwo odrósłszy od klepiska podłogi, panienkowała.

W południe klienci nie przychodzili i Alik wybierał się z matką Olgą wiązać snopy żyta, stawiać je w dziesiątki. Trzeba krzepy do napęczniałych kłosów; nie dopuszczali Alika w owsiane żniwa, w które zresztą kończyło się lato i przybywało zamówień na obuwie. Choć przy zwożeniu snopów do stodoły dosyć było kłopotu: na stromym Hłiniszczu koń nie wytrzymał nacisku plonu, znosiło bułanego w bok, wąski żelaźniak⁷⁵ wywracał się, dojrzałe ziarno osypywało się w trawę, z której wybierali stratę dłońmi, zsypując w pusty worek na obrok. Ojciec przeżywał wszyściutko spokojniej; matka płakała i przeklinała drogę, ale nigdy i nikt nie poprawiał stromizny, zapominając o niej potem. Z Hłiniszczem wiązała się szczególna filozofia, jako wynik osobności chłopskiego losu. Mianowicie nie istniało u ludzi poczucie wspólnych interesów, każda rodzina żyła tak, jak się dało. Szczery egoizm.

Podobnie z bagiennym jeziorkiem Bezdenicą, gdzie Piękna Cholewka łowił szczupaczki i liny, tchnące mułem. Do Bezdenicy wodzano poić w jedno miejsce konie podczas upałów; grzęzły w przybrzeżnym trzęsawisku. Było gadania, by narzucać tam kamienia polnego, ale plan pozostawał planem. Piękna Cholewka upłócił sobie z łoży szerokie karple⁷⁶, na których trzymał się bliżej wody, zarzuciwszy spławik na głębinę. Chodziły słuchy, że widział on czarta rogatego, co przyplął tutaj podziemną rzeką aż z Niemna... Bezdenica – to okno z ciemnej otchłani siły nieczystej. Czy wierzył w to Piękna Cholewka, wyciągając stamtąd szczupaki? Kąpać się nie kąpał, mówiąc: nie masz tu brzegów, tylko kępy pływają, pod nimi można utonąć, nie wynurzywszy się.

Cholewka, przynęcony wędkowaniem, złął się jednak, złapawszy na haczyk węgorza. Z tego, że zrazu zdał mu się żmija, nie było wielkiego strachu. Przestрах

žjawiusia ů jaho pažniěj: niechta rastłumaczyů – wuhrý płodziacca ů Sarhásawym mory, szto kala Améryki, i zapływajuć da nas z akijanu rěczkami, tamú praůda, szto Biazdonica spaůuczana tajemna ź Niomanam, adkúl i ůziaůsia krutlawy źwiarok; ikru inszych rybaů raznosiać na łapkach wadzianýja ptuszki.

Ściapán nia mieů kalí cikáwicca źáchami, paciějuczy z baćkam i maci na Anoszkaůskim paletku j na pryhumieñni. Napracawáůszysia, siadaů za szawiecki warsztacik nia zusím achwocza; chiliła na son, apanoůwała žadañnie nie śpiaszác z zakázami. Alé jaho, czasam, padpilnoůwali prýchadni, damahájuczysia hatowaje raboty. Bajaůsia nia stolki ich swarlíwaha hołas, kolki niezdawolenaści samoje maci Wolhi. Utłumáczwała Ściapanu, szto treba jamú hladziéć, z czaho jon chleb jeść. Kazała, szto synu paszécnića nie spadziawacca na pasážnyja pałoski.

Nawiná nahaniała nawinú – patrúlnýja palicyjanty zachodzili ů chaty, dajuczy nakáz malawác siniaj fárbaju płatý ad wúlicy. Hety koler liczýsia abawiazkowym, pužáů muchi dy ůsiaćuju lotnuju poskuď. Polszcza pryñałasia nawodzić i tut, na *Kresach*, paradak dy hihijenu. *Żond* (urád) u Warszawie kamándawaů źbiwác z apołaů „núźniki”, stawic ich u zadworkach. Za niepadparadkawañnie ůstanoůlena sztraf u pamierach kosztu paůmetra pszanicy. U wýznaczany termin palicejski siaržánt kantralawaů, ci chátnijja karystájucca „núźnikam”. Jamú dawoli było hlanuć u budu, paślá czaho pryhilna marmytáů: „W požondku”. Rahatliwyja paśmieszki dosyć chutka pierapynílisia; narod uchwalíů nawácýju. Nawat Jozik-Srajkiszka z chworým żywatom. Dzieciarnia znudzíłasia kidać kamiéńczykami ů tyja szpakoůni, ubáczyšzy kaho ů joj za patrebaj. Małych wychoůwali nie słowam, a púhaju abo mokrym ramianiom, inszy raz niežartoůna śpisaůszy siniakami azadki. Słabiěj świstali dziáhaju dziaůczyniataů, kab czaho, kryj Boža, nie papsawác u ich wantrobach paślejszych maciarok; chłopcám nieznarok i pa jajcach dastawáłasia.

Praz hadý – zrabili Maniu ů szkole harcérkaju ů rahataj szapcy z kazyrkom dy kolernym sznurkom na lewym placý. Joj taůścieli łytki, bryniali hrudzi, szto zaprykmieciů dziadźka: „Nisztawátaje kurwianiá”. Nabraůszy ad maci kamañdzierstwa, janá ů harcerstwie pajszła ů kamandantki i, kalí b nie wajná Niamiéczczy ny z Polszczaj u tryccać dziawiatym, wýpyrchnuła b u pachki hurt polskich paniaů. Choć, spaznaůszy pierszych sawietaů, zaraz ža zapisáłasia ů kamsamołki. Dúmałasia Ściapanu: kambinuje tłu sty замуž sabié...

Pakúl szto j da czaho, czypiela jaszczé Polszcz. Pabahaciétyja pahulánskija žydý naprywozili z Horadni adnaho razu, pad katalicki Nowy hod „zimne ognie” i niabiéсныja ahni, byccam wýbuchi zorak. I choć sapraůdny žydoůski nowy hod nie takí, nadúmali padlászczycca ksiandžoůskim uładam. Sylwestar wypaů u wiétranuju nocz; uczynili pryjemnać burmistru, kamandantu

pojawił się później: ktoś mu wytłumaczył – węgorze mnożą się w Morzu Sargassowym, co koło Ameryki, i przyplływają do nas z oceanu rzekami, zaczynając prawdę, że Bezenica połączona tajemnicie z Niemnem, skąd i wzięło się to krętlive zwierzątko (ikrę innych ryb roznosi na łapkach wodne ptactwo).

Alik nie miał kiedy ciekawić się strachami, pocąc się z ojcem i matką na anoszkowskim poletku i na przystodolu. Napracowawszy się, siadał za szewskim warsztacikiem nie całkiem ochoczo; ogarniała go senność, opanowywała pokusa, by nie śpieszyć się z zamówieniami. Ale nieraz przypilnowywali Aliką klienci, domagając się gotowego wyrobu. Obawiał się nie tyle ich kłótlivego głosu, ile niezadowolenia samej matki Olgi. Tłumaczyła mu, że powinien pilnować, z czego je chleb. Mówiła, że synowi się poszczęściło, iż nie musi liczyć na posagowe poletka.

Nowina goniła nowinę – policjanci zachodzili do chat, dając nakaz malować niebieską farbą płoty od ulicy. Ten kolor uważano za obowiązkowy, odstraszał muchy i wszelkie lotne paskudztwo. Polska wzięła się za wprowadzanie, także tutaj, na „Kresach”, porządku i higieny. „Rzond” w Warszawie kazał zbijać z desek „ubikacje”, stawiać je na podwórkach. Za niesubordynację groził mandat wart pół metra pszenicy. W wyznaczonym terminie sierżant policji sprawdzał, czy domownicy korzystają ze „sławojki”. Wystarczało mu zajrzeć do budy, po czym aprobująco mamrotał: „W porządku”. Rechetliwe drwiny dosyć prędko ucichły; lud pochwalił nowinkę. Nawet Jozik-Srajkisza z chorym żołądkiem. Dzieciarni znudziło się rzucać kamyczkami w owe szpakówki, zobaczywszy kogo w nich za potrzebą. Malców wychowywano nie słowem, jeno batem albo mokrym rzemieniem, czasami nie na żarty poznaczywszy siniakami pośladki. Słabiej smagano pasem dziewczynki, aby czego, uchowaj Boże, nie popsować w ich żywocikach przyszłych matek; chłopcom niechcący i po jajach się obrywało.

Po latach – zrobili z Mani w szkole harcerkę w rogatej czapce z daszkiem i kolorowym sznurkiem na lewym ramieniu. Grubiały jej łydki, nabrzmiewały piersi, co zauważył wujek: „Niczego sobie kurewka”. Nabrawszy od matki skłonności do rozkazywania, w harcerstwie powiększyła grono komendantek i, gdyby nie wojna Niemców z Polakami w trzydziestym dziewiątym, wypłynęłaby w pachnącym towarzystwie polskich pań. Chociaż, zaznawszy pierwszych sowietów, prędko zapisała się do komsomołek. Pomyślało się Alikowi: kombinuje sobie sytne zamęście...

Zanim co do czego, trwała jeszcze Polszcz. Wzbogaceni pohulańscy Żydzi naprzywozili z Grodna jednego razu, pod katolicki Nowy Rok, zimnych ogni i fajerwerków, wybuchających milionami gwiazd. I choć prawdziwy żydowski Nowy Rok nie taki⁷⁷, umyślili przypodobać się księżowskiemu władzom. Sylwester wypadł w wietrzną noc, uczyniono przyjemność burmistrzowi, komendantowi

palicyi, wojtu dy tabunú balaŭnikoŭ, strélnuŭszy ũ bożyja wyszyni mihotkim, kolernym zziańniem fajerwerkaŭ. Zrazu zaharélasia czyjaści stadoła. Paślá szuhanuła połymiem nadrécznaja harbarnia Cháckiela. Na szczasćie, śniéznaja wichura niesła haławieszki j žmutý wohniennaj sałomy na aziaryszcza ũ Starých Młynách. Uźniaŭsia waroni kryk. Pa-wouczamu zawyli sabaki. Hałasliwiła żywioła ũ chlawoch, źniúchaŭszy dym. Zatrubiła na pažár kamanda Cúdnaha Žorżyka. Było straszenna: miaciélica, staŭbuný ahniszcza, daloki werchał. Spuskálasia kara ź Nieba, Súdżiszcza Haspodniaje.

Maci Wolha sa świeczkaj stajała na kaleniach u kucié ź ikonami. Baćka naciahwaŭ czamuści na haławú nahawicy, túpajuczy: „Dzie moj kažúch?! Ściapán, lež ź wíłami na strachú!” Bosymi wýbiehli na paroh, rasczyniŭszy dźwiery na padworyszcza. Niaszczasćie padałosia niablizkim i maci Wolha akryjała: „Zaczyniajcie chatu! Choład! Pajszlí, mužczyny, spać!“. Ściapanu zapamiatálasia nie samá biadá, ale máteczyna słowa: „mužczyny”. Uspryniaŭ jaho jak raŭniú z baćkam. Ad taho pałychaŭnia radzina mieła dwoch haspadaroŭ. Druhím pryznała Ściapana. Prawa na heta stajała za radzicielkaj. Ad jajé zależyć usio – ty sam, twój świet, twajá búduczynia.

Dziela czaho papraŭdzie spatrébiłasia tym pahulanskim taja paciecha? Ž ich za dałoniaŭ dziúbała polskaje naczałstwa, szlachciukawátyja paný j padpanki, i halickaja náwałacz. Kuplali fabrykanty kaho chacieli. I jak by taho im mała, zaświarbiela padlizacca. – *Durni, choć i žydé!*

Nie adný pažary ũ zarecznaj Pahulancy dy bieł-arłinaje panstwa ũ hminie j majontku niepakoili serca. U Warszawie pamior marszałak Piłsudzki; pachisnúłasia Polszcz. Wialíkaha pana pachawali, a biaz pana niamá palaka. Niechta czytáŭ hazetu; pisali ũ joj, szto niemcy znoŭ pojduć na Rasieju, palezuć pa polskich śpinach. Ściapán paczáŭ zabywáć balszawikoŭ na zambroŭskaj szaszý ũ žniŭni dwaccátaha hodu; hałodnaje, abadránaje ich wojska, jakím niemahczyma wyjhrać wajnú. Hierojskaja sałdatniá zajmálasia rabúnkami, pjanstwam. Narodnyja ármii niazdolnyja dakładna wykonwać kamandu. A ũ Rasiei ũsio szmatlúdnaje, biezhałowaje. Tamú, wiedaŭ Ściapán, chodziać na Rasiéjuszku ad wiakoŭ achwotniki darmowaj zdabyczy; Lisoŭski z koliszniáj Litwý dabryŭ da Biéłaha mora, polskija wojski ababrali Maskwú z Kramlom. Karalewicz z Warszawy naznaczyŭ samoha siabié carom.

Pohałas pra wajnú zławaŭ Ściapana, biezdapamožna zasmuczáŭ. Naładziŭszy sabié niejak żyćcio, nareszcie padumaŭ pra žanićbu. Paszyŭszy ũ kraučá Wojszala szyrakapoły kaściúm i nabyŭszy, pad jaho, biéłuju kaszulu z kruchmálenym kaŭniarom, halsztuk, – ježdziŭ pa swajackich wiasiellach, ślepaciéjuczy za stałymi pryhažúniami. Siarod haspadarskich daczok nia widáć aniolistych charaszuniaŭ: mardátyja, łýndastyja, múskulistyja, zaharéłyja na karku j szczokach, ciahawítýja,

policji, wójtowi i tabunowi balujących, palnąwszy w Boże wysokości migotliwym, barwnym blaskiem sztucznych ogni. Zrazu zapaliła się czyjaś stodoła. Po niej buchnęła płomieniami nadrzeczna garbarnia Chackiela. Na szczęście śnieżna wichura niosła iskry i pęki gorejącej słomy ku jeziorisku przy Starych Młynach. Wzniósł się wroni krzyk. Po wilczemu zawyły psy. Hałasowała trzoda w chlewach, zniuchawszy dym. Zatrąbiła do pożaru drużyna Cudnego Żorzyka. Było straszno: zamieć, słupy ognia, rwetes w oddali. Spływała kara z Nieba, Sąd Boży.

Matka Olga ze świecą klęczała w kącie z ikonami. Ojciec zakładał czemuś spodnie na głowę, tupiąc: „Gdzie mój kozuch?! Alik, leż z widłami na strzechę!”. Boso wybiegli na próg, otworzywszy drzwi na podwórze. Kataklizm wydał się niebliski i matka Olga ochłonęła: „Zamykajcie chatę! Zimno! Idźcie, mężczyźni, spać!”. Alikowi zapadło w pamięć nie samo nieszczęście, ale matczyne słowo: „mężczyźni”. Przyjął je jak zrównanie z ojcem. Od tamtego pałania rodzina miała dwóch gospodarzy. Za drugiego uznała Alik. Prawo do tego przy rodzicielce. Od niej zależy wszystko – ty sam, twój świat, twoja przyszłość.

Zaiste, po co była pohulańskim nuworyszom owa uciecha? Z ichże dłoni jadło polskie naczalstwo, szlachciukowaci panowie i podpanki, i galicyjskie przybłędy. Kupowali fabrykanci, kogo chcieli. I jakby im tego było mało, jeszcze ich podkusiło, żeby się podlizać. Durnie, choć i Żydzi!

Nie tylko pożary w zarzecznej Pohulance czy białoorli panowie w gminie i majątku niepokoiли serce. W Warszawie zmarł marszałek Piłsudski; zachwiała się Polszcz. Wielkiego pana pochowano, a bez pana nie ma Polaka. Ktoś czytał gazetę; pisano w niej, że Niemcy znowu pójdą na Rosję, poleżą po polskich karkach. Alik zaczynał już zapominać bolszewików na zambrowskiej szosie w sierpniu dwudziestego roku; głodne, obdarte ich wojsko, jakim nie można wygrać wojny. Gierojskie sołdactwo zajmowało się rabunkami, pijaństwem. Ludowe armie nie potrafią dokładnie wykonywać rozkazów. A w Rosji wszystko ludne, bezgłowe. Dlatego, wiedział Alik, od wieków wyprawiają się na „Rosyjkę” amatorzy łatwej zdobyczy; Lisowski z dawnej Litwy dobrnął do Białego Morza, polskie wojska złupiły Moskwę i Kreml⁷⁸. Królewicz z Warszawy ogłosił sam siebie carem^{V/s.240}.

Pogłoska o wojnie złościła Alika, beznadziejnie zasmucała. Uładziwszy sobie jakoś życie, nareszcie pomyślał o ożenku. Uszywszy u krawca Wojszela szerokopóły garnitur i nabywszy do niego koszulę z krochmalonym kołnierzykiem, krawat – jeździł po swojackich weselach, wypatrując dojrzałych ślicznotek. Wśród gospodarskich córek nie widać anielskich piękności: gębate, grubołydkie, muskularne, opalone na karku i policzkach, niestrudzone,

choć ty ich u płuł zapraháj. Niaźmienna kumpiastyja, dobryja radzić i dahładac aharody. Z roznymi jmionami ũsie janý mahlí b być Faniaj abo Niuraj. Ściapanu traplálisia kniźki pra luboŭ, kalí padraslá ũ wuczanicach Mania j zapisálisia ũ szkolnuju biblijateku dla starejszych. Na malunkach bialeli pa-szlúbnamu rusalki na przrystaj Świciazi Mickiówicza, dalikátnyja twóryki zalatúch u párkawych alejach, panádnyja hrudzi hrafiniaŭ, ramantyczna zakoczanyja pad łob waczaniaty rużowistaj kachanki, szto ciahnie da siabié macawítaha kawalera ũ palaŭnickaj wopratcy. Woś świet, u jakim żyć i nie pamirać! Ściapán zdahádwaŭsia, szto ũsio toje nie jamú i, nawat, nia piérszamu-lépszamu fabrykantu, jakí: ni czytaci – ni pisaci, ano hroszy liczyci. Takija piéknichi naradzajúc mužám nieswaích dzicianiataŭ i zawodziać stajniu nabábniakaŭ. Kanczájucca napamádzanyja aniolicy ad lisznic chwaroBaŭ i wynosiac ich na mohiłki kalí nia syný-alkaholiki, dyk doczki-suki z cháchalami. Ściapanu mroiłasia ũ pieradpoŭnac z nie pa-ziamnomu biélistaja naraczonaja, jakoj nia sustréŭ, i ad hétaha pahánskaha prýwidu abliwaŭsia chałodnym potam. Śniony czasam anioł czarnakryły naklikáŭ zapadozranaść u niaczystaj sile, szto nia zusím jeść strawu, trochi pje z harca, kuryć cyharku j brydkasłowić, alé, naohuł, niaczasta azywájecca, źziájuczcy prywabnym śmiecham areolnaha cuda.

Jszlá wajná, by hrymoty pierad buraju. Dziady zhádwali pra pierszych niemcaŭ i kawalerýjskija bojki z imi. Frycy bajálisia, mienawita, kazackich nalotaŭ. Wynyráli tyja, by duchi, u bliskach zachodniaha sonca i dzikaj hurmoju siekli krywymy száblami ũsio żywoje: niamiéckija bataljony, belhijskich koniej, sahnánaje ũ aboz bydła, palawýja szpitali; raspowwali żywatý siostram miłasérnaści j burdelnym prastyutkam, nakołwali na piki parasiát. Z hikam prapadali za haroju, céłýja j z prýświstam. Pieramahali, nawálwajuczysia źnianacku, pralátájuczcy na źwitnych konikach, byccam cieni chmaraŭ u palách, upopierak i ũzád, pakúl chto paśpieŭ wýstralić pa ich. Dawoli było ũ toj front, schawáŭszysia za wuhał humná, zalamantawác: „Kazaken!!!”, kab niamczuhi ũ wioscy raźbiahálisia chto kudý! Kamańdziry hurtawali abaronu, wytrészczwalisia ũ binokli, i doŭha taílisia ũ soniecznikach, kanoplach, pierapaŭzájuczcy ũ huszczarý czarnośliwu. Nareszcie zdahádwalisia żartu, za jakí rasstrélwali paślá pastuchá abo jakoha wałacuhu.

Niejak nasakreciŭ byŭ Ściapanu pjanawaty Anisimowiczek-Jurczyk, kab u wýpadku wajný nie źjaŭlaccá na mabilizácýju. Hitler skryhocza zubami, a Rydz-Śmigły tolki adploŭwajecca, jak usiá szlachta, szto lubić biazdumna chwalicca. Niemcy zojmuć Polszczu ũ try tydni, a siudý, da nas, przyjdzie Stalin, daść biełarusam swabodu. Zamiést taho, kab padstaŭlác łob z palákami pad kuli, lepiej schawacca na chutaroch Sasnowika, pryczakác sawietaŭ. Ad Miensku ruchu tánkami na troje sutak... Treba dumać, szto czaŭpiecca.

choćby je i do pługą zaprzęgać. Niezmiennie zadziste, dobre do rodzenia dzieci i doglądania ogrodów. Z różnymi imionami, wszystkie one mogłyby być Fanią albo Niurą. Alikowi trafiały się książki o miłości, kiedy Mania podrosła pomiędzy uczennicami i zapisała się do szkolnej biblioteki dla starszych. Na ilustracjach białe ślubnie rusalki na przejrzystej Świtezi Mickiewicza, delikatne twarzyczki zalotnic w parkowych alejach, ponętne piersi hrabianek, romantycznie zatoczone pod czoło oczęta różowistej kochanki, która ciągnie ku sobie krzepkiego kawalera w myśliwskim ubiorze. Oto świat, w którym żyć nie umierać! Alik domyślał się, że to wszystko nie dla niego i nawet nie dla pierwszego lepszego fabrykanta, co to: ni czytać – ni pisać, jeno pieniądze liczyć. Takie ślicznotki rodzą mężom nie ich dzieci i zakładają stajnię adoratorów. Umierają uszmkowane anielice od licznych chorób, a wynoszą je na cmentarz jeśli nie synowie-alkoholicy, to córki-suki z kochasiami. Alikowi roila się w przedpółnoc nieziemsko biała narzeczona, jakiej nie spotkał, i od tego pogańskiego przywidzenia oblewał się zimnym potem. Śniony czasem anioł czarnoskrzydły kazał podejrzewać w tym nieczystą siłę, co nie całkiem je strawę, trochę pije z garnca, kurzy skręta i brzydkosłowi, ale na ogół rzadko się odzywa, promieniejąc przywabnym śmiechem aureolnego cuda.

Zbliżała się wojna, jak grzmoty przed burzą. Dziadowie wspominali pierwszych Niemców i kawaleryjskie potyczki z nimi. Fryce bali się mianowicie kozackich nalotów. Wynurzali się tamci jak duchy, w błyskach zachodzącego słońca, i dzikim hurmem siekli krzywymi szablami wszystko co żywe: niemieckie bataliony, belgijskie konie, spędzone do obozu bydło, szpitale polowe; rozpruwali brzuchy siostrom miłosierdzia i burdelnym prostytutkom, nadziewali na piki prosięta. Pokrzykując przepadali za górą, cali i z przyświstami. Przemagali, zwalając się zniecka, przelatując na zwinnych konikach jak cienie chmur w polach, w poprzek i z powrotem, zanim kto zdążył do nich strzelić. Wystarczyło w tamten front, schowawszy się za węgiel gumna, zalamentować: „Kosaken!!!”, by Niemczury we wsi rozbiegali się, gdzie kto mógł! Dowódcy zwierali obronę, wytrzeszczali się w lornetki i długo kryli w słonecznikach, konopiach, przeczłując się w gęstwą czarnośliwia. Wreszcie domyślali się żartu, za który rozstrzelali potem pastucha albo jakiego włóczęgę.

Jakoś nasekrecił był Alikowi pijanowaty Anisimowicz-Jurczyk, żeby w razie wojny nie śpieszyć na mobilizację. Hitler zgrzyta zębami, a Rydz-Śmigły tylko odszczekuje, jak cała szlachta, co się lubi bezmyślnie przechwalać. Niemcy zajmą Polskę w trzy tygodnie, a tutaj, do nas, przyjdzie Stalin, da Białorusom wolność. Miast nadstawiać łeb z Polakami pod kule, lepiej się schować na chutorach Sosnowika, przyczekać sowietów. Od Mińska drogi dla czołgów na trzy doby... Trza myśleć, co się szykuje.

Ściapanu prabiaháŭ chaładok pa chrybcié. Kab chaciá jakaja-niebudź Biełaruś była, kudý ũciakaćmiem... Nikudý nie pabiažysz. Ž litoŭskimi hierhietunami, szto za Suwałkami, nie zhaworyszsia... A ũ Zambrowie, kalí balszawikí piérlisia ũ dwaccatym na Warszawu, rasstrélwali janý pałonnych palakaŭ z kulamiotaŭ na prykaścielnym ćwintary. Można zapytác: za szto (?). Na wajnie pytańniaŭ nia słuchajuć. Nawat aficera. Sasnowik – prytúlŭnaja wakolica, alé: na jak doŭha (?). A szto budzie, kalí Hitler akázacca nie takim mahutnym? Tady j Stalin nia pryjdzie. I akrużyć sasnowickija lańniczanki palicyja z armiejskaj žandarméryjaj. Chto wiédaje – pryszłúc czużých z suwałkaŭskaha harnizonu i tyja *mazure* ździwiacca: Ściapanie Kiszkiel, nu, jak tabié nia soramna?! Za naszy śpiny schawaŭsia! Za heta wajénŭnaja kara – palawy sud! Jurczyk szto?! Jon prapažny czaławiek. „Czamú ja pawinien by pasłuchacca jaho?” – pytaŭsia Ściapan u samoha siabié.

Tym czasam poczuty pra najézd niemcaŭ prycichli. Czuwác czuwáłasia pra wyhnańnie żydoŭ ž Niamećczyny. Ž miasteczka wýjehali abácziŭna ũ Améryku kawál Lejzar z synami, Czorny Josiel sa świeżaj kúrwaŭ Sońkaj, i Sałodki Lolik, szto pakarystaŭsia pánikaju, kab adczapicca ad szańcipudowaj Frydy; zwážyłasia janá kaliści ũ młynié.

Adnaho razu ũ kaladawańnie padrośłaja dzieŭka Mania zwadziła pamużczyniéłaha brata na nawahodni bal wuczŭniaŭ i ũžo zirkastych wuczanić siomaj klasy. Dosýć wysokaja jalina stajała ũ kaduszcy z mokrym piaskom, pasiarédzinie pamiaszkańnia, abczéplenaja papiarowymi fińciklúszkami. Ściapan strymaŭsia, kab nie zarahatác; pra światocznyja jołki raspawiadali z pośmiecham párabki z pánskaha dwará i služanki z kupieckich damoŭ jak pra sztości zabáŭnaje, nadúmanaje ad niamá czaho rabíc. Sialánskija dzieci nie tancawali, zhurtawaŭszysia pad ściénami, ciarébiaczy ũ dałońkach damatkánuju adziéžynu, poły pinżaczkoŭ. Dziaŭczynki zaŭsiody achwotniejszyja pahulác, alé ich nichto nia braŭ. Miéstawaja nastáŭnica-feminístaja, z kawalerskaj pryczoskaju i daŭžernaj papiarosinaju ũ rasczyrwanielych hubách, defilawała ũzdoŭž dy ũpopierak, zachwoczwaŭjucy padletkaŭ wyjści na karahod. Žniaśmiélwali ich jajé wyhlad i warszáŭskaja mowa, by kpina z rusinskaj hałoty; bálnyja žesty. Tancawała kolki dziaŭczataŭ i chłopcaŭ-bahatyrowiczaŭ, da jakich paciahnuła Ściapana, i Mania. Jon pazbyŭsia dzikaści jaszczé ũ wajskowuju służbu ũ Suwałkach, dzie trapláu na publicznyja tancy ũ parku; kléilisia da jaho tady mazúrskija hapluczki, rostam jamú da hrudziéj. Takuju nia pryciśniesz, kab wýpadkam nie zaduszýć. Mania, mabyć, niedzie nałaŭczyłasia walsawác, szto nieadnaznaczna ździwiła Ściapana, alé jon niczoha nie kazáu. Krużyłasia jamú z Maniaj lohka, z muzycznaj nasafodaju. Duchameńciŭ harmoń Lolik-Dziubahráj, a na skrypcy padwywáu Wáció-Cyhán, abodwa ž miasteczka. Prywodzili janý z saboju Jánkielaŭ, alé ũ toj raz czahości zafanabérylisia tyja kudłaczý.

Alikowi przebiegał dreszcz po plecach. Żeby choć jaka bądź Białoruś była, dokąd uciekniemy... Donikąd nie pobiegiesz. Z litewskimi szwargotliwcami, co za Suwałkami, nie dogadasz się... A w Zambrowie, kiedy bolszewicy parli w dwudziestym na Warszawę, rozstrzelowali oni polskich jeńców z kulomiotów na przykościelnym cmentarzu. Można zapytać: za co (?). Na wojnie pytań nie słuchają. Nawet oficerskich. Sosnowik – przytulna okolica, ale na jak długo (?). A co będzie, jeśli Hitler okaże się nie tak potężny? Wtedy i Stalin nie przyjdzie. I otoczy sosnowickie leśniczówki policja z żandarmerią wojskową. Kto wie – przyślą obcych z suwalskiego garnizonu i ci Mazurzy zdziwią się: Aleksandrze Kiszkiel, no, jak tobie nie wstyd?! Za naszymi plecami się schowałeś?! Na wojnie za to – sąd polowy. A Jurczykowi, co tam! On przepadły człowiek. Dlaczego powinien bym go posłuchać? – pytał Alik sam siebie.

Tymczasem pogłoska o niemieckim najeździe przycichła. Słyszeć słyszało się o wypędzeniu Żydów z Niemiec. Z miasteczka wyjechali przezornie do Ameryki kowal Lejzar z synami, Czarny Josiel ze świeżą utrzymanką Sońką, i Słodki Lolik, który wykorzystał tę panikę, by się odczepić od sześciopudowej Frydy (zważyła się ona kiedyś w młynie).

W porze kolędowania dorastająca panna Mania przyprowadziła mężniejącego brata na noworoczny bal uczniów i już oczyszczonych uczennic siódmej klasy. Dosyć wysoka jedlina stała w beczulce z mokrym piaskiem, pośrodku sali, obczepiona papierowymi ozdóbkami. Alika to rozbawiło; o tych świątecznych choinkach rozpowiadali z uśmiechem parobkowie z pańskiego dworu i służące z kupieckich domów jak o czymś dziwnym, wydumany z braku innego zajęcia. Chłopskie dzieci nie tańczyły, zbiwszy się pod ścianami, skubiąc w dłoniach domatkane⁷⁹ ubrania, poły marynareczek. Dziewczynki zawsze chętniejsze do zabawy, ale nikt ich nie prosił. Miastowa nauczycielka-feministka, z kawalerskim uczesaniem i długą wąsami papierosiskiem w rozczwienionych ustach, defilowała wzdłuż i w poprzek, zachęcając podlotki do korowodu. Jej aparycja i warszawska mowa oneśmiały, niby kpina z rusińskiej gołoty; balowe gesty. Tańczyło kilka dziewcząt i chłopców-bohatyrowiczów⁸⁰, ku którym pociągnęło Alikę, i Manię. On wyzbył się dzikości jeszcze podczas wojskowej służby w Suwałkach, gdzie trafiał na publiczne tańce w parku; lgnęły do niego wtedy mazurskie podfruwajki, wzrostem sięgające mu do piersi. Takiej nie przytulisz, by przypadkiem nie poddusić. Mania widocznie gdzieś naumiała się walcowych kroków, co niejednoznacznie zdziwiło Alikę, lecz on nic nie mówił. Wirowało mu się z Manią lekko, z muzyczną rozkoszą. Miętosił harmonię Lolik-Dzióbograj, a na skrzypkach zawodził Wacio-Cygan, obydwaj z miasteczka. Przeprowadzali oni ze sobą Jankielów, ale na ten raz czemuś zafanaberyli⁸¹ tamci kudłaczę.

Na dumku pedahohaŭ, wialikašwiéckija joŭki spryjali cywilizawańniu tubylczaj junáczaści ũ duchu polskaj imperskaj kultury. Adnák hétaja kultura pakázwała siabié tut nastolki czužoŭ, panskaj u wioscy, szto chamutý ũsprymali jajé ažno paślá wajný ũžo, staŭszy żyć u wialikim horadzie; chamutki palaczeli szparczéj, razem z seksualnaj ahrésijaj na ich ad patomnaha miaszczánskaha kawalerstwa, jakoje fundawała zialonaj rabotnickaj klasie ilúziju karaleŭstwa dy inaŭhuracyjnija aborty.

Mania spraŭna ũspamahála matcy ũ wyszukoŭwańni kurynych jajok. Kolki b kúraczak nia było, koźnaja mieła ũłasnyja náwyki dy asabliwy zwyczaj niéscisia. Niasuszki chitrawali hniezdawác u łapuchoch, krapiwieć, kuczach łamaczcza, lohkadumna wydajuczý schowy rádasnym kudáčtańniem. Nia ũsié ũdawálasia wyszukać; toptanyja pieŭniem czubatki prajaŭlali isna žanoczy spryt, žmianiali hniezdawycja jamki. Mania wiédała ab tym, znachodziaczy ũ reszcie reszt szmat jajok, czastka jakich zahniwała ad praciáhłaha laźańnia. U czaradzie adroźniwałasia dachodliwašciu czyrwonapioraja Karmazynka, choć tuju niaprosta było dapilnawác; praciskálasia ũ nieprachodny czorny bez (tam znajsłi ũreszcie niażywuju, tchor wypiŭ ž jajé kroŭ, prakałoŭszy szyju). Kury žbiahálasia na klicz „cip-cip-cipańki”. Cybátaha krykuná trymali Kiszkiálí adnaho, kab nia mieŭ z kim bicca da ũpadu za swajé žonki. Wiasnoju j letam kwaktuchi prywodzili taksama pieŭnikaŭ, jakím, uwosień, adsiakali hałowy, patraszyli j skubali dzieła strawy z makaronami (paru sztuk szancawała pradác paniam z naczálnickich damoŭ, dzie pijaunoŭ nie adrazu rézali, padhodoŭwali ũ chlaŭczukoch).

Dapamoha ad Mani pierapynílasia pad zakanczeńnie siamihadowaj szkoły. Nastáŭnica-feminístaja peŭna zduryła joj mazhí, Mania zahawaryła pra himnáziju ũ Horadni. Maci Wolha spachmurnieła.

– Mania, – skazała joj – kab mieć na himnáziju, treba wýwieści na rynek karowu, czujasz: karowu!

Mania, adnák, paspadziawálasia na Ściapana. Moža j byŭ by z taho jakí tołk, kalí b nie wajná.

Na dašwieći nizka pralaciéŭ samalot z czornymi kryżami na kryłach. Światleła ũ zychod leta. Ściapán wýhlanuŭ na padworyszcza i ũ tuju chwilinu paniéślisia hrymoty, usio roŭna szto ad niepraŭdapadobnaj bury. Tak žjawiłasia jamú nowaja wajná, u hety raz niemiecka-polskaja. Žlatali jakráz kury ž siédała ũ chlwieć; piewień czahości zachadziŭ szulakom. Niejak trywohliwa zablajála awieczka i papraczynálasia parszuczki. Haspadarka padymálasia żyć. Nieŭzabawie zawichálasia chŭtkaja maci Wolha; wyjdzie dahledzieć kaniá baćka, paniasie wiadro wady, kab napaic dy nasypac u żołał sieczki z kaniuszynaju j kryšzkaju sioletniaha aŭsŭ. U paradziełaj krapiwieć pad płotam szmýhała krúhłaja mysz.

W mniemaniu pedagogów, wielkoświatowe choinki sprzyjały cywilizowaniu tubylczego junactwa w duchu polskiej imperialnej kultury^{VI/s.244}. Ta jednak okazywała się tutaj na tyle obca, pańska na wsi, że „kmiotkowie” przyswajali ją dopiero po wojnie, zamieszkawszy w wielkim mieście; wieśniaczki polszczyły łacniej, wraz z seksualnym naporem na nie ze strony zasiedziałego mieszczańskiego kawalerstwa, fundującego zielonej klasie robotniczej iluzję królowania tudzież inauguracyjne skrobanki.

Mania sprawnie pomagała matce w wyszukiwaniu kurzych jajek. Ilekolwiek by było kurek, każda niosła się podług własnego zwyczaju i nawyków. Nioski sprytnie gniazdowały w łopianach, pokrzywach, w stertach złomu, lekkomyślnie wydając kryjówki radosnym gdakaniem. Nie wszystkie udawało się wyszukać; deptane przez koguta czubutki przejawiały iście kobiecy spryt, zmieniały gniazdowe jamki. Mania, wiedząc o tym, znajdowała w końcu sporo jaj, po części gnijących od długiego leżenia. W czeredzie wyróżniała się dochodowością czerwonopióra Karmazynka, choć tę niełatwo było dopilnować; przeciskała się w niedostępny czarny bez (tam znaleźli ją wreszcie nieżywą, tchórz wyszał z niej krew, przegryzłszy szyję). Kury zbiegały się na wołanie „cip, cip, cipeńki”. Cybatego⁸² krzykacza Kiszkielowie trzymali jednego, żeby nie miał z kim się bić do upadłego o swoje żony. Wiosną i latem kwoki wywodziły również kogutki, którym jesienią odrąbывali głowy, patroszyli i skubali na strawę z makaronem (parę sztuk udawało się sprzedać paniom z naczelnicznych domów, gdzie piejców nie od razu zarzynano, podhodowywano w chlewikach).

Pomoc ze strony Mani ustała pod koniec siedmioklasowej nauki. Pewnie nauczycielka-feministka poprzewracała jej w głowie, Mania zaczęła się przymawiać o naukę w gimnazjum w Grodnie. Matka Olga spochmurniała.

– Maniu – powiedziała do niej – żeby mieć na gimnazjum, trzeba poprowadzić na rynek krowę, słyszysz: krowę!

Mania liczyła jeszcze na Alika, i może by co z tego wyszło, gdyby nie wojna.

O brzasku nisko przeleciał samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Rozświeślało się w początek lata. Alik wyjrzał na podwórze i w tej chwili rozległy się grzmoty, całkiem jak od nieprawdopodobnej burzy. Tak objawiła mu się nowa wojna, tym razem niemiecko-polska. Zlatywały właśnie kury z grzędą w chlewiku; kogut czemuś zakręcił się nastroszony. Jakoś trwożliwie zabczała owieczka, przebudziły się wieprzki. Gospodarstwo wstawało do życia. Niebawem krzątała się zwawa matka Olga; wyjdzie doglądać konia ojciec, zanieś mu wiadro wody, napoi, nasypie do żłobu siczki z koniczyną i odrobiną tegorocznego owsa. W porzedzialej kropiwie⁸³ pod płotem buszowała krągła mysz.

Niemcy, widąc, bambawali Biełastok. Wýbuchi hulí ad Súprašli, nie ad Horadni. I jak by wiédajuczy ab tym, warony pieralatali chmárami na wýsadžanku haradziénskaha haścínca. Ściapán, nie paśniédašy, nakirawašsia z mabilizacyjnaju kártkaju na zborny punkt u miasteczku, alé tam, akramiá dwóch palicyjantaŭ, nikoha ŭ takuju rań nia było. Janý zahadali Ściapanu wiarnucca dachaty, padrychtawáć asabisty rysztunak na darohu. „Prendko!” Maci Wolha naczékwála syna, starý kúrczyšsia kala jajé. Dzieci jaszczé spali; Mania raskryłasia, raskínušy kulszy.

Kalí Ściapán – z matczynym klunkam u rucé – znoŭ pajszoŭ na zbor, nie pawierýŭ waczám: na miestackowym rynku tym czasam sabráłasia narodu, by ŭ tarhowy czaćwiér! Hałasili baby, wiskacieła dzieciarnia. Kaniéc świetu! Adkúl stolki rospaczy? U Ściapanawaj chacie staryja biaz kryku wýprawili chłopca, zusím jak u Horadniu pa sprawach. Niczoha jamú nia budzie – waziŭ niékali aż pad Warszawu balszawikám municyju, adszłyŭ potym wojska, straláŭ na palihonach, atakawáŭ... Zanađta czasta hétyja wojny! Sztoraž chtości jdzie na kahości. Boža moj, kalí toje skonczycca? Praminuła ũsiaho niacéłyja sorak let wieku, a ũžo j Rasieju razwalili, i niemcaŭ pabili i palaki adnawíłisia, i Litwá jakájaści paŭstała dy niaczuwanyja czechi... I chto tolki biełarusáŭ nie taptáŭ?! Utopczuć ich nazusím u hraź, by karowa žabu. Nikomu janý nie supracštáwiacca, bo j czym, nia májuczy wojska. Z usích bakoŭ rwuć hetu Biełarús, by raskídanaje na szlachú dabro. Schilajsia j biary. Schilajsia j biary... Swoj ty ci czužý. Swoj stanie kaliści czužým, a czužý swaím. Rychtyk prymák abo j bandýt, szto zaciasašsia ŭ twajú radzinu j nia chocia wyjšci, bo jamú tut dobra.

Panuryja dumki kałacíłisia ŭ Ściapanie, kalí furmánkami wieźli mabilizawanych na kancetrácyju ŭ Horadni. Szýryłisia zniŭnyja poźni. Dzie-nidzie jaszczé stajali aŭsý. Dziŭna puścieła pole ŭ tak soniecznaje pahodździe. U łuhoch pášwiłasia bydła, awieczki. Pastuszki-małaletki zabaŭlálisia z sabákami. U praježdźych wioskach rałłisia ludzi, jak u śwíata jakoje, alé nia czúłasia ad ich tłuńnaje hamany. Adsiŭl ũžo zabrali na wajnú, baby j dziaŭczaty, napłákašszysia, wycirali fartuchami szczoki.

Na alékszyckaj wiarścié zatraskacieli z kulamiotaŭ dwa niamiéckija samaloty, szto kasiakom szybawali nad haścincam. Fúrmany sípłymi hałasami zakryczali „Uciakajcia!” i pawiernuli koniej u nizkarosły maładniák. Pabywáłyja žaŭniérami – ssoŭwalisia niadotkam u prydarožny roŭ, niekatoryja dabiahali da kustoŭ, pádali ŭ prymieźki ź ciénistymi pałynami; niechta niema zajencyŭ, alé zahłuszýŭ jaho straszenny konski hihat. Ściapán ni trochi nie pamiatáŭ, jak apynušsia pad wializnym wałunom, nad jakim śwístali kuli, cokajuczy ŭ piasok kala botaŭ. Paszczáściła jamú, oj, paszczáściła.

Niemcy widocznie bombardowali Białystok. Wybuchy niesły się od Supraśli, nie od Grodna. I jakby wiedząc o tym, wrony przelatowały chmarami na aleję grodzieńskiego gościńca. Alik, nie pośniadawszy, skierował się z kartą mobilizacyjną do punktu zbornego w miasteczku, ale tam, prócz dwóch policjantów, nikogo tak wczesną porą nie było. Oni polecili Alikowi wrócić do domu, przyszykować osobisty ekwipunek na drogę. „Prędko!”. Matka Olga naczekiwała syna, stary kulił się obok niej. Dzieci jeszcze spały; Mania odkryła się, rozrzuciwszy uda.

Kiedy Alik – z matczynym tobołkiem w ręce – znów poszedł na zbor, nie uwierzył oczom: na miasteczkowym rynku tymczasem zebrało się narodu jak w targowy czwartek! Zawodziły baby, wrzeszczała dzieciarnia. Koniec świata! Skąd tyle rozpaczy? W Alikowej chacie starzy bez krzyku wyprawili chłopca, zupełnie jak do Grodna w jakiejś sprawie. Nic mu nie będzie – wozil niegdyś aż pod Warszawę bolszewikom pociski, odsłużył potem wojsko, strzelał na poligonach, atakował... Zanadto często te wojny! Coraz ktoś idzie na kogoś! Boże mój, kiedy to się skończy? Nie minęło czterdzieści lat stulecia, a już i Rosję rozwalili, i Niemców pobili, i Polacy się odnowili, i Litwa jakowaś powstała, i niesłyszani dotąd Czesi... I kto tylko Białorusinów nie deptał?! Wdepczą ich całkiem w błoto, jak krowa żabę. Nikomu oni się nie przeciwia, bo i jak, nie mając wojska. Ze wszystkich stron zagarniają tę Białoruś, niby rozsypany na drodze dobytek. Schylaj się i bierz. Schylaj się i bierz... Swój tyś, czy obcy. Swój stanie się kiedyś obcym, a obcy swoim. Zupełnie jak przyjmak⁸⁴ albo i bandyta, co wciosał się w twoją rodzinę i nie chce wyjść, bo mu tutaj dobrze.⁸⁵

Ponure myśli kołatały się w głowie Alika, kiedy furmankami wieziono mobilizowanych na koncentrację w Grodnie. Szerzyły się żniwne ścierniska. Gdzieniegdzie stały jeszcze owsy. Dziwnie pustowało pole w tak słoneczną pogodę. Na ługach pasło się bydło, owieczki. Pastuszkowie-niedorostki bawili się z psami. W wioskach po drodze roili się ludzie niczym w święto jakie, lecz nie słyszało się od nich tłumnego gwaru. Stamtąd już zabrano na wojnę; baby i dziewczyny, napłakawszy się, ocierały fartuchami policzki.

Na alekszyckiej wiorście zaterkotały z kulomiotów dwa niemieckie samoloty, co skosem szybowwały nad gościńcem. Furmani ochryplymi głosami wykrzyknęli: „Uciekajcie!” i zawrócili konie w niskorosły młodnik. Praktykowani rezerwiści – zsuwali się niedotykami do przydrożnego rowu, niektórzy dobiegali krzaków albo padali w przymiedzkach z cienistymi piołunami; ktoś niemo zajęczał, ale zagłuszyło go straszne końskie rzenie. Alik ni trochę nie pamiętał, jak znalazł się pod wielgachnym wałunem, nad którym gwizdały kule, cmokając w piasek obok butów. Poszczęściło mu się, oj, poszczęściło.

Niemcy adlacieli j kruham wiarnulisia. Samaloty, zdawálasia, czaplali wiarchí jełak, szto i ũratawała Ściapana: pry chutkim pralocie niamá celnaha ahniú. Kuli wypuskali janý séryjami, byccam wyliwájuczy ich sa swajho nutrá. Kaho raznosili ũ szmatki, a kaho nawet nie czapili. Kuńdziobiũsia, jak zasnuŕszy na papasie, Jakúb u świtcy; jamú wyciakała z szyi hústaja kroũ. Na maładniakowym uzlesku kídałasia ũ kanwúlsijach jahonaja kabyłka z adłamanaj ahłoblaju j kawałkam duhí. Usiudy waláłisia padarožnyja klunki mabilizawanych, jakích Ściapán ciapiér anidzié nie pabaczyũ. Za pierawálenym wozam Jakuba nieszta zaszamacieła ũ huszczawinie, Ściapán pabiéh tudý. Dapamoh nieznajomamu muzykú biasszkodna wýbracca na prastor; kaniaka dryžeła ũsím ciełam, a jajé haspadár zajadła maũczáũ, dzika wýraczyũszysia na Ściapana. Raptam świsnuũ jon jamú púhaju pa waczách i z adczajnym wokliczam „Uciakáj!” pylnuũ⁸⁶ nazád kalainaju, nielitaściwa ściabájuczy dérasza.

Ściapán spaczatku nakirawaũsia na Alékszyczy, adkúl niedaloka da Horadni. Na niebakrai, jak syhnały jakija, wiéliczna ũzdymáłisia dymý pad búbnistuju múzyku bambawańnia czyhúnaczných stancyj u toj staranié. Znajszoũsia Ściapán jak u niarealnym śnie: bomby z czýstaha nieba i ni czaławieka nawokał. Kuczaráwilisia wioski ũ dalinkach. Ptuszki adbywali loty, hramadzíłisia ũ wyraj busły, myszałoũ mihaciéũ, pawisszy nad zdabýczaju. Z prylesku pakazáłasia elehántnaja kazula, widawoczna źniepakojenaja łamatnioju ũ świcie.

Prypiakáũ na łobie sznar ad puhi. Treba dachaty, padumaũ Ściapan.

Niemcy odlecieli i, zatoczywszy krąg, wrócili. Samoloty, zdawało się, muskały wierzchołki świerków, co uratowało Aliką: przy szybkim przelocie nie ma celnego ognia. Pociski wypuszczały one seriami, jakby wylewając je ze swojego wnętrza. Kogo rozrywały na strzępy, a kogo nawet nie drasnęły. Kulił się, jak zasnąwszy na popasie, Jakub w świtce⁸⁷; sączyła mu się z szyi stygnąca krew. Na skraju młodnika rzucała się w konwulsjach jego kobyłka z odłamaną hołobłą i kawałkiem dugi⁸⁸. Wszędzie poniewierały się podrózne tobołki mobilizowanych, których Alik teraz nigdzie nie zobaczył. Za przewróconym Jakubowym wozem coś poruszyło się w gęstwinie, pobiegł tam. Pomógł nieznanemu chłopu wykaraskać się bez szwanku; szkapa drżała na całym ciele, a jej właściciel zacięcie milczał, dziko wytrzeszczywszy się na Alikę. Raptem chlasnął go batem po oczach i z desperackim okrzykiem: „Uciekaj!” pogonił z powrotem koleiną, nielitościwie smagając deresza.

Alik z początku skierował się na Alekszyce, skąd niedaleko do Grodna. Na nieboskłonie, niby sygnały jakieś, okazały się czarne dymy pod bębniastą muzyką bombardowania stacyj kolejowych w tamtej stronie. Znalazł się Alik jak w nierealnym śnie: bomby z czystego nieba i ani człowieka wokół. Kędzierzawiły się wioski w dolinkach. Przelatywały ptaki, gromadziły się do odlotu bociany, myszołów migał, zawisłszy nad ofiarą. Z zagajnika wyjrzała elegancka sarna, snadź zaniepokojona łomotaniną w świecie.

Przypiekała pręga od bata na czole. Trzeba do domu, pomyślał Alik^{VII/s.247}.

VI

Wajná! Stareńki bačka raiŭ Ściapanu chawacca ŭ wysokim łubinie, jakim absiėjali byli papár za Anoszkawikam. Maci Wolha padniałá kryk, szto schoŭ hety kiepski, łubin lohka wýtaptác i biarłohu zdalok widaćmie. I noczy ŭžo chałodnyja. Treba załazić na kaniuszynu ŭ stadole abo ŭ sałomu na wyszkach chlawá. Pakúl palicyjanty nie pierastanuć ławić niemieckich szpijonaŭ, chodziaczy z karabínami pa wúłaczkach miasteczka i wychodziaczy na darohi.

Ściapán pieraliczŭ pryhawányja hroszy i padumaŭ, szto lepiej nieszta kupić za jch wiéczaram u blizkaj kramie. Chitry Jozska, adnák, zamknuŭsia sa swaimi tawárami i nawet u chatu, u sieni, nia puskáŭ. Ściapán za dobruju canú wŷprasiŭ u jaho radyjoprymác z nawusznymi słucháŭkami, u jakích czuwać było pawiedamleńni z Warszawy j Wilni dy czyjości harłástaje hierhietánnie. Warszawu bambawali, radyjo pieraliczwała nazwy wúlicaŭ, na jakích paŷychali pażary; pierakluczyŭszy na wílenskuju radyjostáncyju czúłasias adtúl czamuści kancértnuju múzyku. Ściapán, lézaczy ŭ szczycie kala dźwiercaŭ na wyszki saczŭ za źjaŭleńniem jakoha-niebudź palicyjanta, jakí moh by ŭhledzieć raźwiészanuju pamiz dréwami antenu; jajé ŭdałasia b mamantalna abarwác u zieljiszcza. Tré'było liczycca z tym, szto kamandánt wíedaje ab niaprysútńaści Ściapana na fróncie... U dwaccatym hodzie pad Warszáwaju Ściapán nia baczŭ aeraplanaŭ, choć kazali aboźniki, szto amerykancy naprŷsyłali palakam lotnych aparataŭ. Biła balszawickaja artylérija, alé szrapneli ad jajé nie dalatali nad Wisłu, da horadu, pádali za línijaj akopaŭ pad Wýszkawam. Zreszty, stralbá acichła, nie chapała amunicyi, jakuju rychtyk padwozili byli. A ciapiér, woś, taja ź warszáŭskaja siła kacíłasias kuralom pierad niamiéckaju.

Akrúžanaja Warszawa siońnia pieradałá, szto j Stalin ruszŭ na Polszczu. Widác praŭda, u adzin dzień paŭciakali palicyjanty i pawyjaždźali ź miasteczka wáżnyja palaki. Ściapán, zapaskúdziŭszy apuchi, źlez ureszcie z wyszak, adkryta prajszoŭszy praz panadworak na abied.

– Palaki dahulálasias, – skazáŭ starutki bačka.

– Jaszczé niewiadoma, czym usio skonczycca, – azwáłasias aściaroźna maci Wolha.

Ściapán maŭczáŭ, Mania chichíknuła czahości. Brat-zasraniec wŷkałupaŭ z takú padłohi czarwiaká.

Dachodzili poczuty, szto ad Waŭkawyska idúc sawiety, a pa wakolicy szwéndajucca z karabínami swajé kamunistyja (ź imi Anisimowiczuk-Jurczyk?). Janý heta rasstralali žonku nadlésnaha ź dziećmi; sam jon drapanúŭ u les. Zabili praroka Haljasza.

– Jakija janý kamunistyja? – burczela maci Wolha. – Zładziei!

VI

Wojna! Stareńki ojciec radził Alikowi, by ten chował się w wysokim łubinie, którym obsiali byli ugór za Anoszkawikiem. Matka Olga podniosła krzyk, że kryjówka to kiepska, łubin łatwo wydeptać i legowisko będzie widać z daleka. I noce już chłodne. Trzeba włożyć na koniczynę w stodole albo w słomę na wyżce chlewa. Dopóki policjanci nie przestaną łapać niemieckich szpiegów, patrolując z karabinami ulice miasteczka i wychodząc na drogi.

Alik przeliczył przychowane pieniądze i pomyślał, że lepiej kupić coś za nie w pobliskim sklepie. Atoli Chytry Jozska zamknął się ze swoim towarem i nawet do domu, do sieni, nie wpuszczał. Alik za dobrą cenę wyprosił od niego radiodbiornik ze słuchawkami na uszy, w których słycać było wiadomości z Warszawy i Wilna, a także czyjeś gromkie szwargotanie. Warszawę bombardowano, radio wyliczało nazwy ulic, gdzie wybuchły pożary; przełączywszy na Wilno słycało się czemuś stamtąd muzykę koncertową. Alik, leżąc w szczycie obok drzwiczek na wyżkę⁸⁹, pozierał, czy nie idzie jaki policjant, który mógłby zauważyć zawieszoną między drzewami antenę; ją udałoby się błyskawicznie opuścić w zielsko. Należało się liczyć z tym, że komendant wie o nieobecności Alika na froncie... W roku dwudziestym pod Warszawą Alik nie widział aeroplanów, choć mówili oboźnicy, że Amerykanie naprzysyłali Polakom latających maszyn. Biła bolszewicka artyleria, ale jej pociski nie dolatywały nad Wisłę, do miasta, spadały za linią okopów pod Wyszkowem. Zresztą ostrzał ucichł, brakowało amunicji, którą właśnie byli podwozili. I teraz oto tamta warszawska siła toczyła się w kurzawie przed niemiecką.

Okrażona Warszawa dzisiaj podała, że i Stalin ruszył na Polskę. Widać prawda – w jeden dzień puciekali policjanci i powyjeżdżali z miasteczka ważni Polacy. Alik, ubrudziwszy słomą opuchę, zlął wreszcie z wyżki, jawnie przeszedłszy⁹⁰ przez podwórze na obiad.

– Polacy się doigrali – rzekł starutki ojciec.

– Jeszcze nie wiadomo, czym wszystko się skończy – odezwała się ostrożnie matka Olga.

Alik milczał, Mania czemuś zachichotała. Smarkaty brat wydfubał z klepiska robaka.

Dochodziły słuchy, że od Wołkowyska idą sowieci, a po okolicy szwendają się z karabinami swoi komuniści (z nimi Anisimowiczek-Jurczyk?). Oni to rozstrzelali żonę nadleśniczego z dziećmi; on sam czmychnął do lasu. Zabili proroka Haliasza.

– Jacy z nich komuniści? – burczała matka Olga. – Złodzieje!

Abakrali kínuty dom nadlésnaha, naznachodzili ũ im zołata, futraŭ, kaściumaŭ, raźbili mołatam skarbouwju kasu z hraszyma.

U piérszuju nocz tajé swabody wýniešli ũ Kiskialoŭ z chlawá kotnuju awieczku. Niaboś, padpilnawali Ściapana, kalí nie naczawaŭ jon tam u sałomie. Bubieszki pamiotu wýwieli jaho na chutar bandyta, jakoha nawat pałícýja pabojwałasia. Prazywali jaho: Ryży Lis.

Pakazaŭsia Ściapán ludziám i zaprychodzili klijenty, taksama nowyja. Dobry momant dzieła zakazaŭ. Pałochalisia íscí ũ pole, pry czym treba było chutka padziéc kudyści polskija hroszy. Ściapán padniáŭ canú. Kalí pabaczyŭ, szto nihto nie adniékwaýecca płácić bolsz, zrazumiéŭ, szto heta pamyłka brać papiarowyja banknoty ũ prychoď sawietaŭ. Walutaj stali pud żyta, kaszél bulby, funt mukí. Mieli raboty j kraŭcý. Zusím nia wiédali, szto rabíc, krámniki. Pachawali tawary ũ sklapoch. Zakopwali ũ harodczykach na padworkach. Naczami chadzili pa kupieckich damoch miestaczkowyja razbojniki, łachmaný j kamunistýja. Abirali bahatyroŭ, pahražájuczy, szto jnaczaj dabiaruca da ich pieknych daczok, prystrojwajuczy im żywatý. Potym paławili tych rewalucýjanieraŭ sawiékija enkawedýstyja, wysyłájuczy adnaho za adným u Sibir („na biéłýja miadźwiedzi”). Dabrá kupcý, wiadoma, nia syskali, raspaŭžłasia jano pa naczálnickich rukách nowaje ũłady. Tutéjszyja kamuniaki, nie zamiészanyja ũ razboj, prycichli, skonczyłasia tymczasowaje sawietam dwuŭładździe. Niamá miesca dwum carám na adným tronie; adzín ź ich zahrymiéŭ kajdánami. KPZBoŭcy.

Doŭha pažartoŭwali z żydoŭ, szto niaŭmieła bylí stáwili prywitálnyja waroty na szaszý, hurmam naczékwaýuczy czyrwonazornych tankaŭ; bieh pohłas, szto janý ũžo ũ Alékszyczach. Damijánczyku wýtaptali tyja światoczniki łubin na pryhorku, kudý nasiła ich za potreba. Ściapán nia baczyŭ taho na swajé woczy, szaŭcujuczy dzień i nocz. Jamú pra ũsio apawiadali. Jon wykrúczwaŭsia, kab praŭdziwa machlawác pra ũłasnyja wajénnyja pryhody. Pastaréŭ. Maci Wolha ũžjéłasia adhaniác ad syna bałbatunoŭ, kab jon u czym bláhím nie prahawaryŭsia. „Oj, chaj haworać, mnie wiesialéj!” – strýmliwaŭ jéjnaje sakatańnie.

Katorahaści adwiazorku prajéchali ad Bielastoku niemcy na matacyklach z łodkami, na jakích tyrczeli kulamioty. Pachwalili ũkwiéczanyja waroty na prywitańnie ũschodnich wyzwálícíelaŭ. „Gut-gut-gut”. Warta, jakaja tam karpieła, śpiarszá padúmała, szto heta sawiety prucca nie z tahó boku. Z czyrwonym ściaham, alé ź biéłym kołam i czornaj swástykaj u im, zamiést siarpá dy mołata. Žydý pahamanili z matacyklístymi; mowy ũ tych i tych padobnyja. I znoŭ świet zapłýŭ ciszynioju. Ciomnym wiéczaram Ściapán ławíŭ u słuhaŭkach radyjoprymaczá traskliwyja huki Warszawy; u joj, widác, usio kanała. Wilnia zahawaryła pa-rasiejsku, a nieŭzabawie na niezrozumiełaj

Ogołocili porzucony dom nadleśniczego, naznajdowali w nim złota, futer, garniturów, rozbili młotem skarbową kasę z pieniędzmi.

W pierwszą noc owej wolności wynieśli u Kiszkielów z chlewika kotną owieczkę. Nie ma obawy: przypilnowali Alik, kiedy nie nocował tam na słomie. Owcze bubki doprowadziły go do chutoru bandyty, przed którym nawet policja czuła respekt. Przezywano go: Ryży Lis.

Pokazał się Alik ludziom i „zaprzychodzili” klienci, również nowi. Dobry moment na zamówienia. Obawiali się iść w pole, a i trzeba było coś prędko zrobić z polskimi pieniędzmi. Alik podwyższył cenę. Kiedy zobaczył, że nikt się nie targuje, zrozumiał, że to błąd brać papierowe banknoty po przyjściu sowietów. Walutą stały się pud żyta, koszel⁹¹ kartofli, funt mąki. Mieli robotę i krawcy. Zupełnie nie wiedzieli co robić sklepikarze. Pochowali towary w piwnicach. Zakopywali w ogródkach na podwórzach. Nocami nachodzili kupieckie domy miasteczkowi rozbójnicy, oberwańcy i komuniści. Oskubywali bohaterów, grożąc, że inaczej dobiorą się do ich pięknych córek, przystroją im brzuchy. Potem powyłapywali tych „rewolucjonistów” sowieccy enkawudyści, wysyłając jednego za drugim na Sybir (na „białe niedźwiedzie”). Dobra kupcy, oczywiście, nie odzyskali, rozpląnęło się w naczelnicznych rękach nowo powstałej władzy. Tutejszych komuchów, niezamieszanych w rozbój, usadzono, znikła – tymczasowa dla sowietów – dwuwładza. Nie ma miejsca dla dwóch carów na jednym tronie; jeden z nich zadzwonił kajdanami. KPZB-owcy⁹².

Długo pokpiwano z Żydów, co nieporadnie stawiali byli powitalne bramy na szosie, hurmem naczekując czerwonogwiezdnych czołgów; chodziła pogłoska, że są już w Alekszycach. Damianczykowi wydeptali tamci świętujący łubin na wzgórk, dokąd nosiło ich za potrzebą. Alik nie widział tego na własne oczy, szewcując dniami i nocami. Jemu o wszystkim opowiadano. On silił się, aby przekonująco zmyślać o własnych wojennych przygodach. Postarzał. Matka Olga uparcie odganiała od syna gadułów, żeby lekkomyślnie czego nie wygadał. Oj, niech mówią, mnie przy tym weselej! – uciszał jej gderanie.

Któregoś przedwieczora przejeżdżali od Białegostoku Niemcy na motocyklach z koszami, na których sterczały kulomioty. Pochwalili ukwiecone bramy na powitanie „wyzwolicielei” ze wschodu. „Gut-gut-gut!”. Tkwiąca tam warta zrazu myślała, że to sowieci prą nie z tej strony. Z czerwoną flagą, ale z białym kołem i swastyką na niej zamiast sierpa i młota. Żydzi pogwarzyli z motocyklistami; mowy u jednych i drugich podobne. I znowu świat wypełniła cisza. Ciemnym wieczorem Alik łapał w słuchawkach radioodbiornika trzeszczące dźwięki Warszawy; w niej widać wszystko konało. Wilno zagadało po rosyjsku, a niebawem w niezrozumiałej

litoŭskaj mowie. Skonczyłasia Polszcza. Kudý ũsadzić woŝ niepatrébnjya załatoŭki? – niaszmát zachapiŭ ich, alé ũsio ź.

Byccam u adkáz sumnieńniam, nazaŭtra poźnim rankam zabrazhitali na wúlicy wajennym žaleźziem sawiećkija tankisty. Ściapán – z adczuwańniem sałodkaje stomy ũ siaredzinie – kinuŭ rabíc i pajszoŭ da płotu hladziéc na raśsmiajanych pieramoźcaŭ. Da sałdácikaŭ padbiahali czahości radasnyja baby z bukiétami astraŭ, piwonიაŭ, suchakwiataŭ. Mużyki pakiépliwali:

– Pacaľuj kamańdzira, zadraŭszy spadnicu! Wiérnucca palaki, buduć tabié tadý „buźki”!

Ściapanu – pryhlédzieŭszysia da ciapiéraszniaj jamú balszawickaj ármi – stała zrazumiela, szto Stalin lisznie paléz siudý. Polski žaŭniér z pámiatnaha suwálkaŭskaha harnizonu padaŭsia elehantam, najbolsz aficery. A tut paŭź wiosku súnulisia zamoranyja rasiéjskija chłopcý ũ paciortych da łataŭ muńdzirach, ź wintoŭkami na kanaplanych sznurkách, u rastoptynych botach z bryzéntawymi chaláwami, szto asiadali na łytki. Ci tak pawinien wyhladać sałdát? Abawiazkowa hałodny, niepaholeny.

Adnaho razu ũ miasteczku kamisary źłádzili mitýnh. Z hruzawiczká razdawali jakújuści hazetu, nadrukawanuju pa-rasiejsku. Czamú nie pa-biełarusku? A tamú, szto ũłada niebiełaruskaja, prýszłaja. Na trybunu, abhornutuju czyrwonym pałatnom padszywak na paduszki, pastáwili jakohaści tutéjszaha durnia, jakí pa-parabkoŭsku ploŭ pra jásnaje zaŭtra pry Stálinie: na śniadanak pirahí z masłam i szklankaj miodu, na abiéd piéczanaje parasiá z bulbaj i wiérciacha tłuštaje kapusty, na wiaceru jajecznia sa skwárkami, a da biéłaha chleba czarka na son. Dziaŭczaty chaj czytajuć wierszy tawárysza Púszkina ab kachańni, a chłopcý raspawiadúć baćku pra hierojstwa biasstrásznaha tawárysza Czapájewa, ad szabli jakoha biéłtyja aficery pádali dziasiaćkami, by snapý żyta, dwanaśtkami, by chiły awios.

Haspadárszkaja públika rahatała, dúmajuczy, szto heta kamédyja z Horadni. Kalí ź dajszła da jajé surjoznaja praŭda, chutka paradzieła. Na rynku zastaŭsia siadziéc pad trybúnaju adžin Franak-Licharadka. Harłasta ũskrykwaŭ: „Tak jamú, hétamu cháchalu Púszkinu!” I zaraz potym: „Łupí balszawiká Czapájewa!” I niewiadoma czaho: „Nie chlabczý harełki nánacz, bo nie dasí rady babie swajéj!”

Franka-Licharadku supakojwali: „Nie nada tak gawariť, tawariszcz!” A jon hałaśniéj i hałaśniéj: „Jakí ja tabié tawaryszcz, łachmán ty nidareczny?!” Ureszcie pakínuli Licharadku adnaho, a jon usio dakaráu: „Oj, ludzi-ludzi!! Ja adžin za ũsich maju wýstłuchać hétaho łabaczá i jaszczé durniejszych?” I sa słowami: „Idú i ja dachaty” padniaŭsia na nohi dy paczykiłdaŭ u Rýnkawuju wúlicu, na jakoj żyła jaho siasztrá, porstkaja Rehina. A kamisary pawiali swajho astałopienia ũ zabiáháľaŭku na paŭlitra chlebnapachkaj „wudki”.

Rabotnicka-sialánszkaja ũłada, źmianiŭszy pánskuju, nie adrazu wýszczaryłasia

litewskiej mowie. Skończyła się Polska. Gdzie wsadzić niepotrzebne oto złotówki? – niewiele ich przygarnął, ale jednak.

Jakby w odpowiedzi na te wątpliwości nazajutrz późnym rankiem zazgrzytali na ulicy wojennym żelastwem sowieccy czołgiści. Alik – z uczuciem słodkiego zmęczenia w dołku – rzucił robotę i podszedł do płotu popatrzeć na rozeźmianych zwycięzców. Do żołnierzyków podbiegały czegoś rade baby z bukietami astrów, piwonii, suchokwiatów. Chłopi drwili:

– Pocałuj dowódcę, zadarłszy spódnicę! Wrócą Polacy, będą tobie wtedy bużki!

Alikowi – kiedy przyjrzał się tej bolszewickiej armii – stało się zrozumiałe, że Stalin niepotrzebnie polazł tutaj. Żołnierz polski z pamiętnego suwalskiego garnizonu zdał się elegantem, zwłaszcza oficerowie. A tu przez wioskę sunęli zamorzeni rosyjscy chłopcy w przetartych, łatanych mundurach, z karabinami na konopnych sznurkach, w zdeptanych butach z brezentowymi cholewami, opadającymi na łydki. Czy tak powinien wyglądać żołnierz? Obowiązkowo głodny, nieogolony.

Raz komisarze zorganizowali w miasteczku mityng. Z małej ciężarówki rozdawali jakąś gazetę wydrukowaną po rosyjsku. *Czemu* nie po białorusku? *A temu*, że i władza była nie białoruska, nie stąd. Na trybunę, owiniętą czerwonym poszewkowym płótnem na poduszki, postawili jakiegoś tutejszego durnia, który po parobczemu plótł o świetlanym jutrze przy Stalinie: na śniadanie ciasto z masłem i szklanką miodu, na obiad pieczone prosię z ziemniakami i micha tłustej kapusty, wieczerza z jajecznicy ze skwarkami, a do białego chleba kieliszek na sen. Dziewczęta niech czytają wiersze towarzysza Puszkina o miłości, a chłopcy opowiedzą ojcu o bohaterstwie nieustraszonego towarzysza Czapajewa, od szabli którego biali oficerowie padali dziesiątkami, jak snopy żyta; dwunastkami, niby wiotki owies.

Gospodarska publika rechoła myśląc, że to komedia z Grodna. Kiedyż dotarło do niej, jak jest naprawdę, prędko się przerzedziła. Na rynku został siedzieć pod trybuną jeden Franek-Licharadka. Pokrzykiwał na całe gardło: „A żeb tego lowelasa Puszkina!”. I zaraz potem: „Bij bolszewika Czapajewa!”. I nie wiadomo po co: „Nie chleј gorzałki na noc, bo nie dasz rady babie swojej!”.

Franka uspokajali: „Nie nada tak gawarić, tawariszcz!⁹³”. A on głośnieј i głośnieј: „Jaki ja tobie towarzysz, ty łachmanie niedorzeczny?!”. Wreszcie zostawili Licharadkę samego, a on dalej wyrzekał: „Oj, ludzie, ludzie! Ja jeden za wszystkich mam wysłuchać tego głowacza i jeszcze durniejszych?”. Po chwili ze słowami: „Idę i ja do domu” podniósł się na nogi i podreptał w Rynkową ulicę, przy której mieszkała jego siostra, zapalczywa Regina. Komisarze zaś powiedli swojego tępaka do zabiegałki⁹⁴ na pół litra pachnącej chlebem „wutki”.

Władza robotniczo-chłopska, zmieniwszy pańską, nie od razu wyszczerzyła kły

na biełarusaŭ. Zaniało joj krychu času, kab raskwatarawacca pa zamażniejszych siemjach, uwodziaczy tubylcaŭ u adumiełaść pachwałoju miascowaha dabrabytu. Padałosia narodu, szto nie takí czort straszny, jakim jaho malujuć. Na pałotniszczy z partretam Stálina chtości pryszpilíu prawadyrú pad wusy akrajczyk sała j „ściszk”:

*Stalinku, Stalinku,
Jedz słoninku.
Dwadzieścia lat gospodarzył,
Ni razu nie zaskwarzył.*

Żart pawisiéu, bo „wastoczniki” nia kiémili ũ polskaj mowie. Kalí ũ prodaż zawieźli, niaczuwanyja pry palakach, húmawyja boty i śniahoŭcy wuczniám, na pałatnianym prawadyrý ũsích narodaŭ niechta nakremzaŭ kamentár:

*Dziakuj Stálinu-hruzinu,
Szto abúŭ nas u ryzinu.*

Wýsypała śnieżnaja i maroznaja zimá sarakawoha hodu. Śniehu nakurháníła roŭna z płatami. Szaszú na Harodniu j Biélastok adkopwali szárwarkam. Ściapán z baćkam prakapálisia da chlawá j stadoły. Kruciła zawirucha i ránicaj nia było jak wyjści na padworyszcza; dźwiery nie wypuskali. Wyłázili waknom, kab paślá prydumac zasłon nánacz z kuloŭ abmałoczanaj sałomy, nastáulenych za paroham. U szczylna zawiejanaj budýninie nie pranizwaŭ choład, alé kapciła piecz; wichura zawálwała komin. Pratykaŭ jaho Ściapan, załáziaczy pa tuchłych parkach na dach. Zdarálasia toje nia koźny raz; kalí trymali ũ popiele prysak, naśnieżanaść tajała ũ luftach, ale maczyła ścianoŭku. Najhorsz było z nadworkam, z dostupam da tajé szpakoŭni. Kruszniawali ũ wiadro.

Stáliniski režým pratrymaŭsia krychu za paŭtara hodu, raspáuszysia pad udárami tych za niemcaŭ Hitlera ũ paczátku leta sorak piérszaha. Ucioki sawietaŭ adsiúl nahádwali źniknieńnie Pólszczy pad wosień tryccać dziawiátaha, choć abiedzwie tyja ũłady zusím niepadobnyja. Sawiety prywałaklí mnostwa swaích funkcyjaniaraŭ, usiakich naczálnikaŭ, jakích tut nia bywała ũ takoj masie. Najéchała adnaczasna téchniki – na dwarowym hładkim poli zładzili lotniszcza; u majantkowym parku stajali husta tanki, hruzawikí, wialíznyja trachtarý-stálincy. Uráźańnie paŭsiudnaj mocy, jakoje świet nia baczyŭ!

Sawieckaj mahútności, adnák, piaréczyli sami sawiety. Maszyny ũ ich wieczna psawálisia, widác, ad chałturnaj niedaskanáłości. „Wastoczniki” chadzili ũ

na Białorusinów. Zajęło jej trochę czasu, by rozkwaterować się u zamożniejszych rodzin, wprawiając tubylców w zadumę pochwałą miejscowego dobrobytu. Wydało się ludziom, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Do płótniska z portretem Stalina ktoś przypiął wodzowi pod wąsy skraweczek słoniny i „wierszyk”:

*Stalinku, Stalinku,
Jedź słoninku.
Dwadzieścia lat gospodarzył,
Ni razu nie zaskwarzył.*

Żart powisiał, bo nowi władarze po polsku nie rozumieli. Kiedy w sprzedaży pojawiły się, nieznane za Polaków, gumowe buty i śniegowce dla uczniów, na płóciennym „przywódcy wszystkich narodów” ktoś nabazgrał komentarz:

*Dziakuj Stalinu-hruzinu,
Sztó abuŭ nas u ryzinu.⁹⁵*

Wysypała śnieżna i mroźna zima roku czterdziestego. Śniegu napadało równo z płotami. Szosę na Grodno i Białystok odkopywano w trybie szarwarku⁹⁶. Alik z ojcem przekopali się do chlewa i stodoły. Wirowała zamieć i rano nie było jak wyjść na podwórze; drzwi nie puszczały. Wyłazili oknem, by później wymyśleć zasłonę na noc z omłóconych snopów, nastawianych za progiem. W szczelnie przysypanej chałupie nie dokuczał chłód, ale kopcilo z pieca; wichura zaśnieżyła komin. Przetykał go Alik, włączając po nadpróchniałych łątach na dach. Nie zawsze było to konieczne; gdy w popiele trzymali żar, śnieg tajał w luftach, ale kapało na ścianówkę⁹⁷. Najgorzej było z podwórkim, z dostępem do owej wygódki. Zastępowało ją wiadro.

Stalinowski reżym potrwał trochę ponad półtora roku, rozpadłszy się pod ciosami Niemców Hitlera w początku lata czterdziestego pierwszego. Nagła ucieczka stąd sowietów przywodziła na myśl zniknięcie Polski w przedjesień trzydziestego dziewiątego, choć obie te władze zupełnie do siebie niepodobne. Sowietci przywlekli mnóstwo swoich funkcjonariuszy, wszelakich naczelników, jakich tu nie bywało w takiej masie.⁹⁸ Pojawiło się jednocześnie sporo techniki – na dworskim równym polu urządzono lotnisko; w majątkowym parku stały gęsto czołgi, ciężarówki, wielkie gąsienicowe traktory „stalinowce”. Wrażenie wszechobecnej mocy, jakiej świat nie widział!^{VIII/s.247}

Sowieckiej potędze jednak przeczyli sami sowietci. Ich maszyny ustawicznie się psuły, zapewne wskutek partackiego wykonania. „Wastocznicy⁹⁹” chodzili w

trantach, marnaj adziéžynie. Hladzieli hałodnymi waczyna na kawałak chleba na stalé. Kwatarújuczy pa chatach, nie mahlí nadziwicca, szto ũ panskaj Polszczy było szto jeści. Aściarozna namiakali ũ wieczarowych hůtarkach, szto ũ „sawieckaj stranié” haładucha j śmierć. Redka dachodziła da siabroŭskich pasiaduszak; żyłi janý adczúzana, nie dawiarájuczy nawet tutejszym kamunistym, nie dapuskájuczy ich da pasád. Kamunístaja partyja Zachodniaj Biełarusi – likwidawánaja raniéj Maskwoju – nie pieraniałá ũladu, staŭszy nieŭzabawie achwiárajú sibirskich wýsyłak abo j rasstrełáŭ. Usieńkim zahádwała impérskaja namenklatura Sajuzu Sawieckich Sacyjalistych Respublik. Siudý pryjszlá nie Biełarús i nie Rasieja, a nieszta dziwakawátaje, nierazúmnae, niewytłumaczálnaje. Tyja paŭtará hodu praminuli, byccam czorny son. Biaz pámiaci pra kwaciástaje leta, kałasístaje žniwo, łuzki z bliszczastym ajeram, smakam suchárnaje skarynki ũ zbankú z krynicznej wadoju Tatarskich zdrajoŭ u dalincy Aleksandroŭskaha paletku...

Da Kiszkialoŭ zajsoŭ byŭ czahości tajemny kantralor z wýhladam czaławieka, jakí try dni nia jeŭ. Upałowchanaja maci Wolha ũczastawała jaho jajéczniaju sa skwárkami, i jon zżawaŭ jajé stolki, szto zrabílasia bojazna, kab nie zachwaréŭ. Pastáwili na stoł czwertku polskaj żytnioŭki. Adświatkawali jakráz Wialikdzień, mieli czym pryńiać hościa. Niepakoŭi pohałas, szto wywoziémuć ludziéj u Sibir. Sawiét faktyczna daŭ zrazumiéć, szto na Kiszkialoŭ użo zajáŭlena. Ściapanu czamuści padałosia, szto enkawedýstyja czepiać tolki hultajoŭ, nieŭdałotaŭ, usich tych, ad kaho niamá dziarżawie karyści. Tak rabili hítleraŭcy, ażyŭlájuczy Niamiéczczynu.

Ściapán zwadziŭ sawieta aznajomić z haspadarkaj. Paczáŭ ad poŭnaha żywioly chlawá j niapustoj stadoły. Pachwaliŭsia pierad im szyrokim wozam, pluham, źaleznaj baranoju, sklepam bulby dy harodniny, sadkom. Ureszcie szaŭcoŭskim warsztáćikam, choć zakazaŭ ciapiér mała. Kantralor – pażyłý dziadźka – biaz śpiechu j dakładna ahladziéŭ bahaćcie, paślá czaho wywieŭ Ściapanu na ũskrájnaje pryhumieńnie i, azirnŭšszysia za siabié, skazaŭ:

– Słuszaj, chaziain, ty broś wsio eta, a to prapadiosz!

Ściapán nie adrazu ściamiŭ, szto jon jamú każa. Kantralor nie czakájuczy wyjszaŭ panadworkam na wŭlicu i bolsz nie źjawiŭsia.

Da Mani prykipieŭ maładziŭsieńki nastaŭnik ad Mahilewu, zapiénieny kamsamolec z twárykam božaha aniołka. Charaszún padabaŭsia dzieŭcy, a janá prywaroźwała jaho – niespaznanaj im dahetul – dalikátnaściu „polskaj barysni”. Kalí b znoŭ nie wajná, Mania pajszlá b zamuz za prybłudu, niahlédziaczy na burklíwuju maci Wolhu.

– Mania, nia párajú jon tabié, hałotnik!

Alé joj daloka było da rozumu, buntawała kroŭ.

łachach, marnym odzieniu. Patrzyli głodnym wzrokiem na kawałek chleba na stole. Kwaterując po chatach, nie mogli się nadziwić, że w pańskiej Polsce było co jeść. Ostrożnie napomykali w wieczornych pogwarkach, że w sowieckiej „stranie” głód i śmierć. Rzadko dochodziło do koleżeńskich pogaduszek; sowieci żyli wyobcowani, nie ufając nawet tutejszym komunistom, nie dopuszczając ich do stanowisk. Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi – rozwiązana już wcześniej przez Moskwę – nie przejęła władzy, stając się niebawem ofiarą wywózek na Sybir albo i egzekucji. Dosłownie wszystkim zarządzała imperialna nomenklatura Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Tutaj przysłała nie Białoruś i nie Rosja, a coś nieokrzesanego, bezrozumnego, niewytłumaczalnego. Tamto półtora roku minęło jak koszmarny sen. Bez wspomnień o kwiecistym lecie, kłosistych żniwach, łązkach¹⁰⁰ z błyszczącym tatarakiem, smaku skórki chlebowej w dzbanku z kryniczną wodą z Tatarskich Zdrojów w dolince aleksandrowskiego poletka...

Do Kiszkielów zaszedł był po coś tajemniczy kontroler o wyglądzie człowieka, który trzy dni nie jadł. Złękniona matka Olga poczęstowała go jajecznicą ze skwarkami, on zaś przeżuł jej tyle, że można się było obawiać, czy mu nie zaszkodzi. Postawili na stole ćwiartkę polskiej żytniówki. Odświętowali właśnie Wielkanoc, mieli czym przyjąć gościa. Niepokoiły pogłoski, iż będą wywozić ludzi na Sybir. Sowieci faktycznie dał do zrozumienia, że Kiszkielowie są już na liście. Alik czemuś się łudził, że enkawudyści przyczepią się jedynie do hultajów, nieudaczników, wszystkich tych, z których państwo nie ma żadnej korzyści. Tak postępowali hitlerowcy, chcąc ożywić Niemcy.

Alik poprowadził sowieta, by pokazać mu gospodarstwo. Zaczął od pełnego trzody chlewa i niepustej stodoły. Pochwalił się przed nim szerokim wozem, żelazną broną, piwnicą pełną kartofli i innych warzyw, sadkiem. Wreszcie i szewskim warsztacikiem, choć zamówień teraz mało. Kontroler – mający już swoje lata – nieśpiesznie i dokładnie obejrzał dobytek, po czym wywiódł Alika na kraj zastodola i, obejrawszy się za siebie, rzekł:

– Słuszaj, chaziain, ty broś’ wsio eta, a to prapadiosz!¹⁰¹

Alik nie od razu pojął, co ten mu mówi. Kontroler nie zwlekając wyszedł przez podwórko na ulicę i więcej się nie pojawił.

Do Mani przyłągła młodziutki nauczyciel z Mohylewa, zapalony komsomolec z twarzą Bożego aniołka. Piękniś podobał się dziewczynie, a ta urzekła go – nieznaną mu dotąd – delikatnością „polskaj baryszni¹⁰²”. Gdyby nie kolejna wojna, wyszłaby za mąż za przybłądę, nie zważając na burkliwą matkę.

– Maniu, nie parą on dla ciebie, golec!

Ale jej daleko było do rozsądku, burzyła się krew.

Bačka ciamniëŭ ad zhryzoty; paŭtarau Šciapanu, kab jon trymaŭ jazyk za zubami. Starý nie adno spaznaŭ na swaim wiakú, usiakaha dašwiedczyŭ, i kazau, szto bielarusau zašiody ciahali j ciahac buduc. U panskija czasy pradawali muzykou z wioski ũ wiosku, a pryhozych dziewak kuplali na pakoi ũ paľacy. Narodžanyja imi bajstruki hadawalisia na lepszych parabkaŭ, sprauniëjszyja na hajdukou. Ich žanili pašlá z parabcžankami niabrydkaj hadouli, dazwalajucy pastawic sabie chaľupu z kaľodaŭ, wýsieczanych u sasnowym barý za jëlnikami; panienki czasam nawuczali ich polskaj hrámacie.

U piatnaccatym hodzie cárskija wojski, adstupajucy pierad niemcami, wýpierli bielarusau u Rasieju, kab worah, zajmajucy terytoryju, nia mieŭ czym pażywicca. I choć prostym ludziám byľo ũsio roŭna, chto nad imi z bizunom, wajawali rúskija z niemcami kosztam bielarusau. Ciapiër za toje sámaje czyniac sawiety, zmahajuczysia z palákami. Alé, kab swajé durni tak nie padúmali, uhaworwajuć im, szto zamožnaha haspadará treba žniszczyć, bo jon worah biédnamu. I toj biadák ciëszycca, szto nachapajecca dabrá z bahatyrowaje siadziby. Alé j staromu Kiszkiálu byľo nia ũ zdohad, szto sawieckaja ũľada namiërana wýwiežci ũsich abo amál usich u Sibír, kab nie zastaľasia tut pamiać pra chleb i saľa. Wýjawiľasia toje z prychodam niemcaŭ letam sorak piërszaha: wiaskowyyja haspadary apynúlisia ũ znojdzienych hiestapam czornych špiskach; wywozili naczami, nie dapuskajucy tľumu.

Padumaŭ by chto, szto niemcy pryhililisia da bielarusau (padatki pamiënszyli). Alé pašlá i janý zajëlisia wywozić. Straszna być bielarusam! Jaho ľawili, by ľupátaha nehra niékali na rábskuju rabotu na amerykanskich plantacyjach. Starý Kiszkiel bajašsia, kab jaho Šciapán nia zdumaŭ narakac pierad kamisárami na sawieckuju ũľadu.

Naczálniki lubiać być chwalonymi. Takaja patreba naohŭ u czaľawieku. Pryczým sutnašciu naczalstwa jošć strach, bojaž za swoj los. Tamú naczálnikami stajucca czaľawieki nie pa czystaj woli. Z naczálnictwam jak z darahoju znachodkaj na darozie: traplaje ũ twajé ruki i niamá žadańnia addawac jajé kamú-koleczy. Wa ũmowach ľáhiernaj dziařzawy nia byľo, zreszty, inszaha sposabu wyžýć bolsz-miensz pa-ludzku, nie zrabišzysia mienawita naczálnikam. Dareczy zaznaczyć: usio roŭna czaho, chacia b nad kúrami.

Hëtaja jakašć nowaha hramádzkaha ľadu, jakí žmianü polski, kинуľasia ũ woczy. Šciapanu šnílisia dziwosnyja noczy zornaha žniŭnia pad Warszawaju dwaccátaha hodu. Jamú wiëryľasia, szto ũ Polsce niamá búduczyni pamiz Rasiejaj i Niamiëczczynaj. Bielarus niaprydatnaja na bufier; Ukraina i taja nie adwajawaľa sabie niezalëžnašci. Litošskaja Respúblika ũžnikľa dziakujucy Berlinu i janá doŭha nie pabudzie ũ takich abcuhoch.

Kab tak dumać, nia treba byľo wielmi líszniaje múdrašci. Šciapán nia czytaŭ

Ojciec szarzał ze zgryzoty; powtarzał synowi, by ten trzymał język za zębami. Stary niejedno przeżył, różnego doświadczył losu i mówił, że Białorusinów zawsze dokądś ciągnęli i ciągnąć będą. W pańskich czasach sprzedawano chłopów z jednej wsi do drugiej, a ładne dziewczyny kupowano na pokoje do pałaców⁹⁶. Urodzone z nich bękarty chowano na lepszych parobków, sprawniejsze na hajduków. Tych żeniono potem z parobczankami niebrzydkiego chowu, pozwalając postawić sobie chałupę z kłód, wyrąbanych w sosnowym borze za chojakami; panienki czasem uczyły ich czytać po polsku.¹⁰³

W roku piętnastym wojska carskie, cofając się przed Niemcami, zabierały Białorusinów do Rosji, aby wróg, zajmując terytorium, nie miał się czym pożywić. I choć prostym ludziom było wszystko jedno, kto nad nimi z batem, wojowali Rosjanie z Niemcami kosztem Białorusinów^{X/s.249}. Terazże to samo czynią sowietci, walcząc z Polakami. Ale żeby tutejsi durnie tak nie pomyśleli, wmawiają im, że zamożnego gospodarza trzeba zniszczyć, bo on biednemu wrogiem. I ów biedak cieszy się, że nachapie dobra z bohatyrowej siedziby. Ale nawet staremu Kiszkielowi nie przyszło na myśl, że sowiecka władza zamierza wywieźć stąd wszystkich albo niemal wszystkich na Sybir, by nie została tu pamięć o chlebie i słońcu¹⁰⁴. Wyszło to na jaw z przyjściem Niemców latem czterdziestego pierwszego: gospodarze figurowali na znalezionych przez gestapo sowieckich czarnych listach; wywożono nocą, unikając gawiedzi.

Pomyślałby kto, że Niemcy byli przychylniejsi Białorusinom (zmniejszyli podatki). Ale potem i oni uwzięli się wywozić. Straszno być Białorusinem! Łowiono go jak ongi wargatego Murzyna do niewolniczej pracy na amerykańskich plantacjach. Stary Kiszkiel obawiał się, by jego Alikowi nie przyszło do głowy narzekać przed komisarzami na sowiecką władzę.

Naczelnicy lubią być chwaleni. W ogóle w człowieku jest takowa potrzeba. Przy czym istotą naczalstwa jest strach, obawa o swój los. Dlatego naczelnikami zostają człeki nie tylko z własnej woli. Z naczelnictwem jak z cennym znaleziskiem na drodze: trafia w twoje ręce i nie ma chęci oddawać go komukolwiek. W warunkach państwa obozowego nie było zresztą innego sposobu, aby wyżyć mniej więcej po ludzku, nie zostawszy mianowicie naczelnikiem. Przy tym wszystko jedno nad czym: choćby nad kurami.

Ta jakość nowego ładu społecznego, który zastąpił polski, rzucała się w oczy. Alikowi śniły się przedziwne noce gwiazdzistego sierpnia pod Warszawą roku dwudziestego. Wierzył, że Polska nie ma przyszłości między Niemcami i Rosją. Białoruś nie nadaje się na bufor; Ukraina i ta nie wywalczyła sobie niepodległości. Republika litewska powstała dzięki Berlinowi i długo nie potrwa w takich obcęgach.

Żeby tak myśleć, nie trzeba było wielkiej mądrości. Alik nie czytał

hazét, szkadawáũ na ich hroszaj. A za sawiéckija – z partrétami ũsio Stálinta – i nia braũsia. Dzierżaũnuju palítiku najlepiej rozumieć, hlédziaczy na sialánskija haspadarki: kalí chto kaho moža hłynúć, dyk abawiazkowa hłynié. Małuju haspadarku zasmockza wialíkaja, jak Polszczu Rasieja.

Można było spadziawacca, szto wielikany – Berlín z Maskwoju – nia ũsiedziać adzín kala adnaho. U wioscy bahatyrý bílisia za abý-szto, za płúžnuju skibu miażý. Ściapanu abrydła biedawác ad razwaźańniaũ pra wojny. Niacháj nastála b chaciá j niezrozumiełaja Litwá zaharadziénskaja, kab tolki dawálasia spakojna żyć i dziaciej hadawác. Alé dzie tam! – usio kamuści biełarusy spatrébiacca.

Miestackowyyja kirmaszý sztoczaćwiér pakúl nie zabaniali, acénwajuczy ich jak nahodu dzieła mitynhowaje prapahandy. Narod nazwáũ rynek – Kamédyja. Nichto ũžo nie zajmaũsia handlem, haspadarý nia przywozili na prodáž zboźża, nia przywozili żywiołu, nia czúłasia wiskatu parasiát, kryku husiej. Natoŭp dziedźkoŭ i ciotak niaścichana rahataũ, hurtújuczysia wakoł kamedyjantaũ, szto pajawílisia pry jaszczé niaśmielych sawietach. Paradku dapilnoŭwali dwa milicyjanty na koniach, jak i pawinna być u miasteczku ũzwýszanym da pawiatowaha rajcentru. Na ich wytrészczwaũsia pamiészany szlachcic z lasúnskaha chútara:

*Jejmość, szykuj dupę,
Bo kozaki jadą.*

Piérszyja miésiacy z czyrwonymi minali dawoli wiésieła. Niewiadoma adkúl źjawílisia prapahandysty, usio roũna szto znarok. Nastáũnica kamándawała:

*Bracia chłopi!
Bierzcie widelki,
Idźcie orać!
Niech żyje kolchoz! Hur-r-ra!!!*

Czaho przychodzili na Kamédyju mężczyzny j kabiety? I Ściapan. Nawyk pachadzić pa tydniowym kirmaszý wyklikáũ żadańnie wyjści z chaty. Chaos ad ruiny Polszczy akazaũsia całkam inszym ad spadziawánaha. Sawiéckaja ũlada zdałasia napaczatak niepraũdapodobna niasurjoznaj. Można padumać ab joj, szto przyšli, woś, niéjkija wialíkija dzieci, jakich zaraz wýwieduc u tył, źmieniac salidnymi słuźboũcami naksztált carskich abo polskich. Nichto nie pradczuwaũ ũładnaha bandytyzmu, źjaũleńnia dzierżawy raźliczanaj na zabojsstwa nácyi. Sawietam naplawác na narodnyja sympátyi.

gazet, żałował na nie pieniędzy. A sowieckich – zawsze z portretami Stalina – nawet nie tykał. Politykę państw najlepiej rozumieć patrząc na wiejskie gospodarki: jeśli kto może kogo połknąć, to niechybnie połknie. Małą gospodarke wessie wielka, jak Polskę Rosja.

Wyglądało na to, że olbrzymy – Berlin z Moskwą – spokojnie nie usiedzą obok siebie. Na wsi bohatoryrowie bili się o byle co, o płużną skibę między. Alikowi obrzydło biadanie od rozważań o wojnach. Niechby nastąpiła nawet ta niezrozumiała Litwa zagrodzińska, byle dało się spokojnie żyć i dzieci chować. Ale gdzie tam! – zawsze komuś Białorusini się spotrzebią.

Tymczasem w miasteczku nie zabraniano coczwartkowych kiermaszów, widząc w nich okazję do mityngowej propagandy. Naród nazwał rynek – Komedią. Nikt już nie zajmował się handlem, gospodarze nie przywozili na sprzedaż zboża, nie przyprowadzali bydła, nie słyszało się kwiku prosiąt, krzyku gęsi. Tłum „wujków” i „ciotek” nieustannie rechotał, gromadząc się wokół komediantów, którzy pojawili się przy jeszcze nieśmiałyach sowietach. Porządku pilnowali dwaj konni milicjanci, jak i powinno być w miasteczku podniesionym do rangi rajcentrum¹⁰⁵. Wytrzeszczał się na nich pomieszany szlachcic z leśnego chutoru:

*Jejmość, szykuj dupę,
Bo kozaki jadą.*

Pierwsze miesiące z czerwonymi mijały dosyć wesoło. Nie wiadomo skąd zjawili się propagandyści, jakby umyślnie. Nauczycielka komendowała:

*Bracia chłopi!
Bierzcie widelki,
Idźcie orać!
Niech żyje kolchoz! Hur-r-ra!!!*

Po co przychodzili na Komedie mężczyźni i kobiety? I Alik? Nawyk przechadzania się po cotygodniowym kiermaszu pozostawił po sobie chęć wyjścia z domu. Chaos wywołany upadkiem Polski okazał się całkiem inny od spodziewanego. Władza sowiecka wydała się z początku nieprawdopodobnie niepoważna. Można było o niej pomyśleć, że przyszły oto jakieś duże dzieci, które zaraz zostaną zabrane gdzieś na tyły, zastąpione solidnymi urzędnikami w rodzaju carskich czy polskich. Nikt nie przeczuwał wszechwładnego bandytyzmu, pojawienia się państwa obliczonego na unicestwienie całej nacji. Sowietci mieli gdzieś narodowe sentymenty.

Adnaho razu na Kamédyi ũsich pieraplunuŭ nienarmalny Franak-Licharadka:

*Za carom pili czaj Ź pirahom!
Jak pryjszłi palaki, chleb jeli trajaki:
czorny, biely i nijaki.
A kalí pryjszoŭ sawiét –
Ahlédziela sraka űwiet...*

Rohat praszumiéŭ, by hułki wadaspád. I zaraz lud razyszoušsia, chto kudŷ. Drŷzykami nerwaŭ uspryniałosia adczuwańnie, szto tym Fránkawym wiéršyckam zawiarszŷłasia Kamédyja. U tuju nocz Źnikli Ź miasteczka siemji burmistra, kamandanta polskaj palicyi, swajakí nadlésnaha, i – badáj – radzina skúpszczyka padła, Hryszki-Skuradziora. Chtošci padhledzieŭ, jak ich wieźli apoŭnaczy samachodami na stáncyju ũ Horadniu. Tam, kala tydnia, trymali „wragow naroda” ũ cialacznych wahonach, pakŭl nie zapoŭnili ũsiákimi palákami.

Šciapán zaprataŭ warsztát i słonczyk na wyszki ũ chlwié. Instrúmanty j szawiéckija ćwikí, abharnušzy szmalcawánymi anúczami, zakapaŭ pad wíszniaju. Hetak Źa pryhawáŭ kapyłŷ. Z baćkam i maci Wolhaj padbáŭ pra chatni abychodak. Mania chadzila ũ dziesiacihodku, a miénszaha brata rychtawali ũ pijaniery, kab nia było padazreńnia na Kiszkialoŭ, szto janŷ ũ czymšci niazhodny z ułádami. Supakojwaŭ trochi Manin mahilewiec, wŷlity sawiét słowam i ciełam. Pry im nałaŭczŷłisia zachaplanca kamsamołam, ajcom Stálinym i wusatym Budzionnym; pad marazŷ nie mahlí nachwalicca Waraszŷławym, najpierszym strałkom Sajuzu Sawieckich Sacyjalistych Respublik.

Druhija wŷwazy ũ Sibír mieli miesca ũ lutym. A paślá ũžo j lik prapaŭ.

Jednego razu na Komedii przebił wszystkich swoim wierszykiem stuknięty Franek-Licharadka:

Za carom pili czaj z pirahom!

Jak pryjszli palaki, jeli chleb trajaki:

Biely, czorny, i nijaki.

Pryjszou sawiet –

Ubaczyła sraka świat...¹⁰⁶

Gromki śmiech przelewał się długo, niczym wodospad. I zaraz ludzie się rozeszli, każdy w swoją stronę. Podskórnie wyczuwało się, że z tym Frankowym wierszykiem Komedia dobiegła końca. Tej nocy znikły z miasteczka rodziny burmistrza, komendanta polskiej policji, krewni nadleśniczego i – zdaje się – rodzina skupującego padlinę Hryszki Skuradziora (Skórodziery). Ktoś podpatrzył, jak wieziono ich o północy samochodami na stację w Grodnie. Tam, około tygodnia, trzymano „wrogów ludu” w bydłych wagonach, dopóki nie wypełniono ich różnymi Polakami.

Alik ukrył swój warsztat i taboret pod dachem w chlewiku. Narzędzia i gwoździe szewskie, okręciwszy szmatami nasączonymi oliwą, zakopał pod wiśnią. Takż przychował szewskie kopyta. Z ojcem i matką Olgą zadbał o obejście. Mania chodziła do szkoły dziesięciolatki, a młodszego brata szykowali na pioniera, by nie było podejrzenia na Kiszkielów, że oni w czymś niezgodni z władzą. Uspokajał trochę Manin mohylewianin, wykapany sowiet słowem i ciałem. Przy nim nabrali wprawy w zachwycając się Komsomołem, ojcem Stalinem i wąsatym Budionnym; przed mrozami nie mogli się nachwalić Woroszyłowa, najpierwszego strzelca Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Drugie wywózki na Sybir miały miejsce w lutym. Potem już nikt nie liczył.

VII

Ściapanu mucíłasia. Abdúmanaje napierad źnikała jamú ũ niejkej imhlé. Sawiéckija padatki jak nikoli duszyli haspadarku. Baćka prosta harbiéŭ na joj, pryczým całkam widawoczna tamú, szto była woś siamjá dy dzieci: Ściapán, Mania, Andrejka. Mużczyny maralna słabiéjszyja, janý niejak zdajucca pierad ciążkaściami. Mahczyma – daléj baczać, choć heta nia zusím péúnaje paznańnie. U padobnych razwaźańniach czamuści nie biarém pad uwahu instynktu hniazdá ũ maciarok, jakí robić ich jakráz zajádłymi na jsnawańnie. Nahładájecca toje ũžo ũ panienak, u imknieńni abawiazkowa wyjści zamuż, mieć choć siak-tak muža, dziaciéj. U starých dziewak heta nabywaje rysy mánii, seksualnaj zasúszanaści. Niaredka kompleksu manaszki.

Usiákija zdarálisia ũłady nad biełarusami, alé bolsz aszukanskaj za sawiéckuju jaszczé nia báczyli. Wykonwali jajé kamisary biez paniaćcia pra żyćcio, zahaniájuczy narod u jaŭny biasséns, bájkawuju ũtopiju. Wyznaczała ũsio íchnaja wiera ũ stwareńnie żywoje madeli ideálnaha czaławieka, jakí tolki j żywié dy pracuje dziela szczásnaha ziamnoha hramadztwa. Na szlachú da kanczálnaje mety znachodzilisia sialanie, ehaístaja wioska. Sposab na takuju pieraszrodu adzín: fizýcznaje źnisztaźeńnie.

Kab nie aszaléc, Ściapán ujedliwa czytáŭ balszawickuju prapahandu. Mieŭ spadziéŭ nieszta skiemić u szmatsłoŭji zakrúhlenych dumak. Czas ad czasu wałoksia sa starým na wýwazki draŭniny ũ sasnowickim barý. Sawiety wysiakali saśninu i jalinu; mużyki piławali j stáwili metry, wieźli furmánkami na stáncyi waŭkawyskaj czyhunki. Nie dapytaccá było ũ naczálnikaŭ, naszto kamú stolki drewa. „Takoj płan” – adkázwali. Siaczý pad korań barawinu? Nie adrazu ũwiedali, szto za rabotu nie dastanuć ni kapiejki. Ciahájuczy ad ciamná da ciamná z ulasnym kaniom. U adpaczynak na kałodach, kalí nia kruciŭsia blizka sawiét, zhádawali wazakí papularny apowied pra schod niedzie, na jakim biełarusy narakali pierad kamisaram na polskuju ũładu: nie dawała raboty. Balszawík, nasłúchaŭszysia, ździŭlaŭsia durnocie niadaŭnich palakaŭ. „U nas, tawariszczí, budiet rabota, wsiem chwatit, at utrą da więcziara.” Biełarúskija entuzijasty padlíczwali spadziawányja zarobki. Nikomu nia ciúknula ũ buławieszku, szto wiérniecca pánszczyna. Nie pad bizunom, a pad stracham Sibiry.

Dziadý, szto trochi pażyłi niekatoryja ũ Rasiei, kazali: nie Sibír zachotnaja, a miadźwiedzi ũ joj. Wyjdzie takí „miszka” z tajhí, razwalić wúlei z pczołami, zalezie ũ sklep z kadúszkami moczanych jábłykaŭ, napałochaje maładzíc... Žandaraŭ na sotniu wiorstaŭ anidzié niamász. U siolach haradziencaŭ siarod jakutaŭ piac hadoŭ nia czuli ab tym, szto cará rasíjskaha ũžo skínuli. A ryby tam

VII

Alikowi mąciło się. Co naprzód obmyślił, teraz znikało mu w jakiejś mgle. Sowieckie podatki jak nigdy dusiły gospodarstwo. Ojciec wprost garbaciał na nim, przy czym najwidoczniej dlatego, że była oto na utrzymaniu rodzina i dzieci: Alik, Mania, Andrzejek. Mężczyźni są moralnie słabsi, jakoś łatwiej poddają się trudnościom. Możliwe – dalej widzą, choć to nie całkiem pewne poznanie. W podobnych rozważaniach nie wiedzieć czemu nie bierzemy pod uwagę instynktu gniazda u matek, który czyni je zajadłymi w istnieniu. Można to zauważyć już u panienek, w chęci, by koniecznie wyjść za mąż, mieć bodaj jakiegokolwiek męża, dzieci. U starych panien nabywa to cech manii, seksualnego zasuszenia. Nierzadko kompleksu mniszki.

Różne bywały rządy nad Białorusinami, ale bardziej oszukańczych niżli sowieckie jeszcze nie widziano. Sprawowali je komisarze bez pojęcia o życiu, wpędzając naród w jawny bezsens, bajkową utopię. Wszystko wyznaczała ich wiara w stworzenie żywego modelu idealnego człowieka, który żyje i pracuje wyłącznie dla szczęśliwego ziemskiego społeczeństwa. Na drodze do ostatecznego celu stała egoistyczna wieś. Sposób na taką przeszkodę jeden: fizyczne unicestwienie.

Żeby nie oszaleć, Alik wczytywał się w sowiecką propagandę. Spodziewał się coś wyrozumieć z wielosłownia krągłych myśli. Niekiedy włókł się ze starym na wywózki drewna w sosnowickim borze. Sowietci wyrąbывali sośninę i świerki; chłopcy wszystko piłowali i układali w kubiki, wieźli furmankami na stacje kolei wołkowyskiej. Nie szło dopytać się, po co komu tyle drewna. „Takoj plan” – odpowiadali naczelnicy. Wycinać cały bór? Nie od razu się okazało, że za robotę nie dostaną ani kopiejki. Za harówkę od świtu do zmroku z własnym koniem. Podczas odpoczynku na kłodach, kiedy nie kręcił się w pobliżu żaden sowiet, wozacy przypominali popularną opowieść o jakimś zebraniu, na którym Białorusini wyrzekali przed komisarzem na polskie władze: nie dawały pracy. Bolszewik, nasłuchawszy się, dziwił się głupocie niedawnych Polaków. „U nas, tawariszchi, budiet rabota, wsiem chwatit, at utra da wiczciera¹⁰⁷”. Białoruscy entuzjaści podliczali spodziewane zarobki. Nikomu nie przyszło do głowy, że wróci pańszczyzna^{XL/s.336}. Nie pod batem: w strachu przed Sybirem.

Dziadowie, co niektórzy trochę pożyli w Rosji, mawiali: nie Syberia straszna, a niedźwiedzie w niej. Wyjdzie taki „miszka” z tajgi, rozwali ule z pszczołami, zalezie do piwnicy z beczkami moczonych jabłek, młódki wystraszy... Żandarmów na sto wiorst nigdzie nie masz. W siołach grodnian wśród Jakutów pięć lat nie słyszano, że car rosyjski już obalony. A ryby tam

u rekach, choć ty włami wykidwaj jajé na piasok – raźwiesiü wuszy Ściapán, dúmajuczy: kalí b nia tyja miadźwiedzi, u Sibiry niablaha żywiecca. Czaho jamú ũ Bielarusi czakác? U miasteczku raskléili plakaty nakont naboru rabotnikaŭ u szachty Danbasu. Zdabywác wuhal, rýjuczysia, by poŭch pad ziamloju. Kudý prastarniej i swabodniej u biaskoncaj Sibiry. Pahladzieŭszy na mapu, i da Améryki adtúl možna dabracca. Da Anisimowiczanki, da jéjnaha amerykanca.

Byü momant u Ściapana, kalí ũjaŭláu jon swajú chatku nad Irtyszom, sádżałku z kárpami, szaŭcawańnie z zakázami ad jakutaŭ i dziesiaciny ľuhoŭ z bydłam, a ũ paścieni pŭchkuju sibirskuju Faniu z zadýchanymi hruďzi. Załatý pan! Polszcz haj schawájecca!

Maładyja mroi hasiła ũ Ściapanie maci Wolha. Choć nia bywała, kab szto-leń raspawioŭ kalí joj, czuŭ u wuszách jajé niezdawoleny hołas:

– Raz tak dobra ũ toj Sibiry, to czamú paprylatali nazád dziadý? Czamú nie papierła ũ tajhú ũsiá Rasieja, zamiést taho, kab „haładác” na czarnaziomach Woľhi? Chto heta baczyŭ, kab takí narod u świecie, jak rúskija, májuczy ũsiákaha dabrá, kab nia mięŭ czaho jeści? Pahladzi, Ściapanie, na sawietaŭ: janý ž adtúl, a jakí ũ ich wyhlad? Žabráki! Sami múczacca j kaho muczac! Hospad Boh pakaráu ich durnotaju za žnisztožanyja cerkwy...

Ściapán znoŭ nasiéŭ na radyjoprymácž sa slucháŭkami. Skonczylisia batarejki i aparát zakinuŭ byŭ na haryszcza chaty. Ciapiér wýmanuŭ ad adnaho zapasnoha żyda dawajénnyja „centry”, zapłaciŭszy za ich paru kílami mukí na chleb, prysiahnuŭszy trymác u sakrecie jaho imiá (na wýpadak árysztu). Warszawa hawaryła ũ efiry nadaléj pa-polsku j nawet krychu pa-bielarusku, szto miała swajo znaczeńnie; niewiadomaja Ściapanu radyjostáncyja pieradawała na ũkraínskaj mowie, alé, miarkújuczy pa skázanym joju, prahramy jszlí padniamiéckija. Asabliwa ũkraínskija adroźniwalisia ahresíŭnaściu, ad ich niéslisia popachi adnák niedalokaje wajný. Ściapán ľawiu sens ľladkich slowaŭ. Na Miensk – szkadá wuszéj i „centry”. Czýstaje wady támaka machlarstwa! Manatonnaje.

Paślá leta sarakawoha hodu ũzmacniŭsia nacisk na arhanizácýju „kaľchozaŭ”. Sawiecki Sajúz, nawajawáŭszysia z chałodnaj Finlándyjaj i zaniaŭszy chutaránskuju Prybáľtyku, jaszczé j cyhánskuju Besarábiju, padaŭsia pieramoźnym. U miasteczku wýmieła Kamédýju, palitykawańnie abmieżawáłasia da chatnich kutoŭ. Uhołas hawaryli pra niawáźnaje, – pra zdochlŭju świńniŭ.

Na haspadarskich stałoch źjawiłasia świéźaje miasa – baranina, cialácina, świniŭna, aźno kurácina. Sialanie rézali statak, uredzcie zrazumieŭszy, szto ich żywý inwentár pramarnujuć „pradsiadácieli”, puściać siéłskaje bahaćcie sabacy pad chwest. Dawoli było pahútaryć z ahitátarami, kab pranizáu czaławieka choład. Łykam szytyja asobieni! Janý ũmieli tolki paľochać turmoju. Nastáu apustaszalny

w rzekach, choć ty ją widłami wyrzucaj na piasek – nadstawił uszy Alik, myśląc: pominąwszy te niedźwiedzie, na Syberii nieźle się żyje. Czego miałyby czekać w Białorusi? W miasteczku rozklejono plakaty o naborze robotników do kopalni Donbasu. Dobywać węgiel, ryjąc jak kret pod ziemią?... O ileż przestronniej i swobodniej na bezkresnej Syberii. Spojrzawszy na mapę, i do Ameryki stamtąd można dobrnąć. Do Anisimowiczanki, do jej Amerykanina.

Był moment, kiedy Alik wyobrażał sobie własną chatkę nad Irtyszem, sadzawkę z karpiami, szewcowanie z zamówieniami od Jakutów i dziesięciny łąk z bydłem, a w pościeli czekającą nań pulchną syberyjską Fanię o dyszących piersiach. Złoty pan! Polska niech się schowa!^{IX/s.248}

Młode fantazje gasiła w Aliku matka Olga. Choć nie bywało, by matce cokolwiek o nich opowiedział, dźwięczał mu w uszach jej niezadowolony głos:

– Jak tak dobrze na tej Syberii, to dlaczego dziadowie tutaj z powrotem poprzylatywali? Czemu nie rzuciła się w tajgę Rosja cała, miast biedować na czarnoziemach nad Wołgą? Kto to widział, żeby taki naród w świecie jak Rosjanie, mający wszelkie dobra, nie miał co jeść? Spójrz, Aliku, na sowietów: oni przecie stamtąd, a jak wyglądają? Żebracy! Siebie męczą i innych. Pan Bóg pokarał ich głupotą za zniszczone cerkwie.

Alik znowu przysiadł do radia ze słuchawkami. Kiedy skończyły się baterie, aparat zarzucił był na strych chaty. Teraz wycygał od jednego zasobnego Żyda przedwojenne „centry”¹⁰⁸, wynagrodziwszy mu kilkoma kilogramami mąki na chleb i przyrzekłszy zachować w tajemnicy jego imię (w razie aresztowania). Warszawa nadal mówiła w eterze po polsku i nawet trochę po białorusku, co miało swoje znaczenie; nieznaną Alikowi radiostacja nadawała po ukraińsku, ale – miarkując po tym, co się w niej mówiło – programy były robione pod Niemców. Zwłaszcza ukraińskie wyróżniały się agresywnością, wiało od nich jednak niedaleką wojną. Alik chwycił sens gładkich słów. Na Mińsk – szkoda uszu i „centry”. Tam czystej wody otumanianie! Monotonne.

Po lecie roku czterdziestego wzmożła się presja na organizowanie „kołchozów”. Związek Radziecki, nawojowawszy się z mroźną Finlandią i zajmawszy „kułackie” kraje nadbałtyckie, jeszcze i cygańską Besarabię¹⁰⁹, wydał się zwycięski. W miasteczku wymiotło Komedię, politykowanie ograniczyło się do własnych czterech kątów. Na głos mówiono o rzeczach mało ważnych – o zdechłej świni.

Na gospodarskich stołach pojawiło się świeże mięso – baranina, cielęcina, wieprzowina, w końcu drób. Włóścianie wyrzynali statek¹¹⁰, pojawwszy wreszcie, że ich żywy inwentarz zmarnotrawią „przewodniczący”, wiejskie bogactwo pójdzie w błoto. Dosyć było porozmawiać z agitatorami, żeby przenikł człowieka chłód. Łykami szyte osobniki. Oni umieli tylko straszyć więzieniem. Nastąpiło pustoszące

nabiéh wárwaraũ. Czirwony ťciah faktyczna zaczyũ kroũ, ťmierć. Pakũl, adnák, wieryłasia, szto Maskwá nia więdaje taho. Dawiérliwaťc czaławieka da czaławieka bywaje sapraũdý wialíkaj, jajé sútnaťciu nadzieja, heta janá pamiraje ũ nas aposzniaj.

Stanowiszcza ťciapana nahádwała sytuáciju muchi na szybie. Bzyczýc, choczacca joj na zialonuju prastoru, u błakitnaje nieba. Źadájecca stwareniu adnaho – zyskać wolnuju wolu. U ťciapana byũ swoj, dosýc detalowa pradũmany, ťwiet. Bũduczynia! Polskaja, nie sawiécckaja.

Sawiécckyna prywaroŹwala nieczym chryťcijanskim. Usienarodnamu szczaťciu szkodzili hrachĩ kształtam burŹujaũ, kułakoũ, szkodnikaũ-„wriedĩtielej”, imperyalistych dywersantaũ. Kalĩ b nie janý, dyk raj na ziamlĩ staũ by realnym. Byłá takaja hũtarka ũ chacie Kiszkialoũ, pierapýnienaja maci Wolhaj:

– Haworycia, jak dzieci tyja, – zabuszawała janá. – Ludziěj na adzĩn kapýł nie pierarobisz: chto pracuja, a chto kradzié! Rychtyk „kałchoz”! Puťci waũká awieczak dahładáć... „Pradsiadaciel” ciabié chlebam nakormić? Ad hoładu skanajasz, usio jon prapjé! I jaho samoha zaprátajuć na „biélyja miadŹwiedzi”. Czaławiék czaławieku niaroũny, ni moŹa być inaczej, jak koĩ kaniũ roŹnica. Ab czym wy, muŹczyny, tałkũjecia?! Ni báczycia, szto czaũpiecca?

Zhoda na dádzieny los zasiatuje ũ duszý ad biazwyjťcia, ad taho, szto nia widáć u kletcy praczýnienych dŹwiercaũ. ťciapana zabrali ũ letni łahier wajskowaha zapasu. Trymali ũ pałatkach, rasstáũlenych u lasným kwartale pad Horadniaj. Karmili tym, szto najpraťciěj dawáłasia narychtawáć u paławoj kuchni – jaczmiénnaja kasza zaprátũlenaja alejem, bałanda z pasiéczanaej kapusty („szczy”), salonaja marskaja ryba. U patrolnaj słuŹbie trapłáłisia czornyja jáhady ũ prybahoĩnnikach, dziczki hrusz i jábłyniaũ na ũŹleskach, struki zialonaha harochu na ũskrai paletkaũ, kałasy padťpiełaj pszanicy.

Armija, jak u dwaccatym hodzie pad Warszáwaju. Harnizon ufarmawany na paru tydniaũ z polskich rezerwistaũ, nie pracíwiũsia. Hétyja tutéjszyja, asawiéczanyja sałdaty ciarpliwa Źliczwali dni da zakanczeńnia niepatrěbszczyny. Zreszty, czaho skakáć sa skárhami da siaržantaũ, kalĩ im samĩm nia lepiej? Palitrũk ploũ swajé palitýcznyja niabyłicy. Kalĩ zdawáłasia, szto kanczaje, chutka stáwili jamũ pytańni niedadumkaũ, kab praciahnũć, takim czynam, piaredych ad biehaniny na maneũrach. Jamũ słucháckaja aktyũnaťc padabáłasia, choć pałá niechta padkazáũ lejtenantu ũsiũ chítruju pryczynu sałdackaj dyskũsiji.

Maũczańnie ũ narodzie ũstajáłasia hustoje, choć ty jaho apałonikam czerpaj; napływała nie ad adných strachaũ. Kudý nia hłáñ u wakolicy stajała poũna wojska, téchniki, artylériji j tankaũ, tankietak; raũlí samaloty na prawizornych aeradromach, na raũninach. Cichi pohałas pra hĩtleraũskuju wajnú z sawiétami

najście barbarzyńców. Czerwony sztandar w istocie oznaczał krew, śmierć. Tymczasem jednak chciało się wierzyć, że Moskwa o tym nie wie. Ufność człowieka do człowieka bywa doprawdy wielka, jej istotą nadzieja, to ona umiera w nas ostatnia.

Sytuacja Alika podobna była do tej muchy na szybie. Brzęczy, chce się jej w zielony przestwór, w błękitne niebo. Pragnie stworzenie jednego – uzyskać wolność. Alik miał swój, dosyć dokładnie obmyślony, świat. Przyszłość! Polską, nie sowiecką.

Sowietyzm mamił czymś chrześcijańskim¹¹¹. Powszechnemu szczęściu przeszkadzać miały grzechy w postaci burżujów, kułaków, szkodników-„wriedźtelię”, „imperialistycznych dywersantów”. Gdyby nie oni, realny stałby się raj na ziemi. Zdarzyła się taka rozmowa w chacie Kiszkielów, ucięta przez matkę Olgę:

– Mówicie jak jakie dzieci – wspieniała się. – Ludzi na jedno kopyto nie przerobisz: kto pracuje, a kto kradnie. Jak w kołchozie. Tylko pozwól wilkowi owieczek doglądać!... Przewodniczący ciebie chlebem nakarmi? Z głodu zdechniesz, a on wszystko przepije! I jego samego sprzątną „na białe niedźwiedzie”. Człowiek człowiekowi nierówny, nie może być inaczej, jak koń od konia się różni. O czym wy, mężczyźni, gadacie? Nie widzicie, co się wyrabia?

Zgoda na zadany los zalega w duszy, kiedy nie ma wyjścia, kiedy nie widać w klatce uchylonych drzwi. Alika zabrano na letni obóz wojskowej rezerwy. Rezerwistów trzymano w namiotach rozstawionych w leśnym kwartale koło Grodna. Karmiono tym, co najłatwiej dało się naszykować w kuchni polowej – zwykle była to kasza jęczmienna doprawiona olejem, postna polewka z siekanej kapusty („szczy”), solone ryby morskie. Podczas służby patrolowej trafiały się czarne jagody koło torfowisk, dzikie gruszki i jabłka przy lesie, strąki zielonego grochu na skraju poletek, kłosa dojrzewającej pszenicy.

Wojsko jak w roku dwudziestym pod Warszawą. Garnizon, sformowany na parę tygodni z polskich rezerwistów, nie przeciwiał się. Ci tutejsi, zswieczeni żołnierze cierpliwie zliczali dni do końca tego bezsensu. Jak zresztą lecieć ze skargami do sierżantów, kiedy im samym nie lepiej? Politruk plótł swoje polityczne bajdy. Kiedy zdawało się, że zaraz skończy, prędko stawiano mu jakieś pytanie niepojętych słuchaczy, przedłużając w ten sposób chwile wytchnienia od bieganiny na manewrach. Jemu słuchacka aktywność się podobała, choć później ktoś podpowiedział lejtnantowi całą chytrą przyczynę żołnierskiej dyskusji.

W narodzie zaległo gęste milczenie, można je było chochlą czerpać; wynikało nie z samych strachów. Gdziekolwiek spojrzeć, w okolicy stało pełno wojska, sprzętu, artylerii i czołgów, tankietek; warkotały samoloty na prowizorycznych lotniskach, na równinach. Cichą pogłoskę o hitlerowskiej wojnie z sowietami

ušprymašsia jak dziciáčzaja fantástyka. Sawiéckaja siła, praŭda, biežałowaja ũ supastaŭleñni z frýcawaj, alé wialíkaja: szopkami zakídajúc koznaha pracíŭnika. I duch jakí! „Jesli zawtra wajna, jesli zawtra w pachod!” Kolki ž tajé Niamiéczczynty? Botami zatopczuć!

U adnajé wajennaj udawý staŭ na kwateru naczalnik. Adjéŭszysia na charczoch baby, zaléz da jajé, wiadoma, u paściél. Janá nie supraciŭlálasia zawielmi, adnák pabojwałasia radní; u šwiatyja niadzieli j Boha ũ carkwié. U jajé kabieczym rozumie pieraważyŭ kłopat ab wýšpieľuju daczkú, jakoj patrebny haraczy zamuž. Kawalér byŭ, alé spłyŭ; pieradalí ludzi, szto ũ polski front pad Czanstachowaju nakláŭ jon haławoju, kalí niemcy atakawali tánkami akopy. Biadá, alé szczašliwa nie pakinuŭ daczé bajstruczaniaci.

Naczálnicki žarabiec kamiaczyŭ naczami haspadyniu, pakŭl nie dabirájuczysia da „báryszni”, szto spała na kažuchoch za piéczaju. Maci soładka stahnała, dyk czaho niešwiadomaj dzieŭcy trywožycca. Músiła dajsci z czasam czarhá j na doczczynu cnotku, tadý maci zaŭpárciłasia: piersz szlubny zapis i wiasielle. Stoľ ufundawali tawaryski, pryhažunia padpisała rúskija „bumahi”, pra carkwŭ z papom nie zaikájuczysia (dareczy, dziak nadojeczy adroksia ad prawasłaŭja, pryñašszy sztat u Sajuzie Wajaŭniczych Biazbožnikaŭ). Zastolle adszumieła ũ rasawañnie žytoŭ. Dziádžki panapiwálisia darmoŭszczynty, ciotki pasipli ad špiewaŭ; siabryna maľadoha sawieta – usié ũ muñdzirach – pawychodziła byľá na dwor pastralác z nahanaŭ na wiwát, pa waronach na biazozach. Hamanili miž saboju, ledž waroczajuczny jazykom:

– Tawariszcz kamandjr, wot charaszo, szto ženiliś! Žarit' szlachtianku budiem!

A toj udakładniáŭ:

– Nu, nie wsie. Nie wsie.

Wýjechaŭ naczalnik pakazác zachodniuju žonku swaím; pad Smalenskam. Na haradzienskim wakzale pakinuŭ jajé, kab walizku pilnawała; sam pajszoŭ za bilétami na pasažyrski ciahník. I janá jaho ũžo bolsz nie pabáczyła. Wiarnúłasia nazád nazaŭtra, žbiedawánaja. Udawie ziamlá zachadziła pad nahami.

Šciapán daczušsia, szto ũ hety raz letni wajenny ľahier i maneŭry rúszyli raniéj dy z udzielať hítleraŭcaŭ, wiernych sajúžnikaŭ Stáľina.

Katorahašci šwitanku bambawozy z czornymi kryžami na kryľach zapalili žydoŭskaje miasteczka, razahnali tabŭn tankietak z majontku, raspylili aeradrom „kukurúžnikaŭ” na panskich dziesiacinach. „Eta maniwry” – adkazáŭ mužczyynam sustreczny kamañdzir. Jamú nie pawiéryli, alé nie nawážylisia wýkazać sumnieŭ. Šciapán biaz słowa pajszoŭ dachaty. Baćka ũžo wyhaniáŭ żywinu z chlawá, kab nie pahareľa ũ pazár; maci Wolha z Maniaj i Andrejkam wynosili dabro ũ kufrach, chawájuczny ũ kamienny sklep. – Wajná, synok! Kalí janý nawájújucca?! Biažý pa kabyľu na wýhanie!

przyjmowano jako dziecinne fantazje. Sowiecka siła, co prawda, bezmózga w zestawieniu z frycową, ale wielka: czapkami zarzuca każdego przeciwnika. A jaki duch! „Jesli zawtra wajna, jesli zawtra w pachod!” Ileż tych Niemiec? Butami zadepczą!

U jednej wojennej wdowy zamieszkał na kwaterze naczelnik. Odkarmiwszy się dzięki jej zapasom, polazł, wiadomo, do łożnicy. Ona nie wzbraniała się zanadto, jednak obawiała się rodziny; w święte niedziele również Boga w cerkwi. W jej kobiecym rozumie przeważała troska o dojrzałą córkę, której potrzebne gorące zamęcie. Kawaler był, ale się zmył; przekazali ludzie, że położył głowę pod Częstochową w trzydziestym dziewiątym, kiedy Niemcy atakowali czołgami okopy. Szkoda, ale szczęśliwie nie zostawił córce bękarcika.

Naczelniczy ogier miętosił nocami gospodynię, tymczasem nie dobierając się do „baryszni”, co spała na kożuchach za piecem. Matka słodko pojękiwała, czego więc nieświadomej córce się trwożyć? Musiała przyjść z czasem kolej i na córeczną cnotkę, wtedy matka postawiła się: najpierw małżeńska umowa i wesele. Ufundowano stół towarzyski, ślicznotka podpisała rosyjskie „bumagi”¹¹², o cerkwi z popem nie zająknąwszy się (zresztą diakon właśnie wyrzekł się prawosławia, przyjąwszy etat w Związku Wojujących Bezbożników¹¹³). Biesiada przesuwała w porze kłósenia się żyta. Wujkowie ponapijali się daremszczyzny, ciotki ochryły od śpiewów; kompani młodego sowieta – wszyscy w mundurach – powychodzili byli na dwór postrzelać z naganów¹¹⁴ na wiwat, do wron na brzożach. Gadali między sobą, ledwo obracając językiem w gębie:

– Tawariszcz kamandir, charaszo, szto żenilis’! Żarit’ szlachcianku budiem!

A ten udokładniał:

– Nu, nie wsie! Nie wsie¹¹⁵.

Wyjechał naczelnik pokazać swą zachodnią żonkę swoim; pod Smoleńskiem. Na grodzieńskim dworcu zostawił ją, by walizki pilnowała; sam poszedł po bilety na pociąg pasażerski. I ona już go więcej nie zobaczyła. Wróciła z powrotem nazajutrz, zmarniała. Wdowie ziemia zakołysała się pod nogami.

Alik posłyszał, że tym razem letni obóz wojskowy i manewry ruszyły wcześniej, i z udziałem hitlerowców, wiernych sojuszników Stalina. Któregoś ranka o świcie bombowce z czarnymi krzyżami na skrzydłach podpaliły żydowskie miasteczko, rozgoniły tabun tankietek z majątku, rozpyliły lotnisko kukuruźników na pańskich dziesięcinach. – Eta maniowry¹¹⁶ – odrzekł mężczyznom napotkany dowódca. Nie uwierzyli mu, ale nie poważyli się okazać powątpiewania. Alik bez słowa poszedł do domu. Ojciec już wyganiał trzodę z chlewa, by nie spłonęła w pożarze; matka Olga z Manią i Andrzejkiem wynosili dobytek w kufrach, chowając w kamiennej piwnicy. – Wojna, synku! Kiedy oni się nawojują?! Biegnij po kobyłę na wygon!

U niebie samalotnaja hudźbá. Manin kamsamolec nie pakazaŭsia. Wiaskowaj wúllicaj palazhaŭ na Horadniu czyrwnaarmiejski tank; aharodami adstupali sałdaty, napichájucy za pázuchi zialépuchaŭ z zahonaŭ. Za rěczkaju, na Kaŭkaskaj, paŭycháŭ wysoki budynek, walílisia niedaharétyja krokwy. Ściapanu, kalí naciahwaŭ wuzdeczku na konskuję mordu, kryńnuli z kustoŭ: „Brasaj łosząd’, łażyś!” Nad húmnami szybawáŭ niemiec, sakoczucy kulamiotam. Rastapýryłasia czyjaści karowa z rasporatym żywaciskam. Kruciŭsia na chwaście, żalaśliwa skuholiŭ durnawaty sabaczúk. Napraktykawany akopnaj służbaju Ściapan dapouż da pakładzistaje wiarbý nad dołam i, prysłaniŭszysia da raspoŭżtych jajé karanioŭ, nahami pahrúz ũ bahonca (kuli hłybiěj, czym na dziesiac santymetraŭ, nia ũbiwálisia ũ wadkaść). Wakolle huło, byccam nalacieli siudy samawítýja czmialí abo jakijaści zachlíwyja krukí, szto padnialisia z bájkawych hniozdaŭ u nieprachodnych puszczach, u ciomnym huszczawińni.

Cisz, kalí adychodzić adná ármija i nadychodzić druhaja. Niémczyki prybílisia ad Sakołki, aŭhustoŭskaju szaszoju z Uschodniaj Prúsii. U raschlístanych ad haraczyní bluzach z zakásánymi rukawami, biaz kaskaŭ na haławie (prywiązali da ramianoŭ). Hajdálisia ũ rukách karabiny, pierawieszanyja cieras placzo. Halokali piéśniaczku. Mużczynam, szto raziáwilisia kala bramak na padworki, zdymali szapki, hlédziaczy, ci chto nie abstrýżany dahałá, pieraapránuty ũ cywilnaje sawiecki sałdat. Morhali maładzicam, szto ũpiérlisia hrudźmi ũ zakwiéczanyja wazonami wokny. „Gut dupa”. Niekatoryja szapacieli pa-mazursku: „Za cwaj tydzień bedziem f Moskaŭ!” Raśpierzázŭszysia, hurtami abstupili kałodzieży, kab abmycca. Paŭhołyja wyhladali byccam chłopcy, szto brýkajuc, nazychodziŭszysia z susiednich wiosak na tancy ź dziaŭczátami ũ subotni adwiaczorak. Na wýhanie dymieła palawaja kuchnia; z pryczepy wyhrużali búchanki chleba j kanistry, peŭna, jacziennaj kawy. U kancý wúlicy z boku Horadni pastáwili harmatku, procitánkawuju, ukryli jajé halínami bezu, szto zдалok pawinna nahadwać kupu sialánskaha harodczyka.

Paabiédaŭszy i addýchaŭszysia ũ prywýhanskich ciańkoch, byłá im kamanda rassýpacca łancuhom dy praczasác paletki sa zbażynoju (pad Razbojnikam daharała tankietka z majontku, a ũzboz tyrczeła nachílenaj źérdkaju harmátnaje łamaczcza). I sapraŭdý, nieŭzabawie nazhaniali czaławiek dwaccać pałonnych, jakích, asabliwa nie wartújucy, nakirawali kudyści ũ tył. U miasteczku adzín ź ich uciok z kanwoju, mazurý trochi pastralali, nia kídalisia naŭzdahon. Jasna: ciapiér tut Niamiéczczyna, a ũ Niamiéczczynie nihto ad niemcaŭ nie schawájecca.

Niewierahodna, by duch na mohiłkach, źnik adsiúl Sawiecki Sajúz; byŭ, niamá, nakszáłt zachlíwaha snu. Maci Wolha z Maniaj zaśpiaszálisia nasíc nazád kufry. Hetym prymanuli nieznarok hierhietliwych wajaroŭ, jakija znachábilisia nachapác sabié hożych tkaninaŭ – ruczniokoŭ najbolsz, alé j wyszywanych bluzak, spadnic,

W niebie dudnienie samolotów. Manin komsomolec nie pokazał się. Wioskową ulicą pozgrzytał do Grodna czerwonoarmijny czołg; ogrodami wycofywali się żołnierze, wpychając za pazuchy niedojrzałe warzywa z zagonów. Za rzeczką, przy „Kaukazkiej”, płonął wysoki budynek, waliły się niedopalone krokwie. Do Alika, zakładającego koniowi uprząż, krzyknęto z krzaków: „Brasaj łosząd’, łażys’!¹¹⁷”. Nad stodołami krążył Niemiec, terkocząc kulomiotem. Rozkraczyła się czyjaś krowa z rozprutym brzuszyskiem. Wiercił się na ogonie, żałośnie wył ogłupiały pies. Wyćwiczony podczas okopowej służby Alik, przyczołgał się ku spolegliwej wierzbie nad dołem i, przyłgnąwszy do jej rozmiękłych korzeni, ugrzązł nogami w błocie, które chroniło trochę od kul. Okolica rozbrzmiewała, jakby nazlatywało się tu głośnych trzmieli albo jakich strasznych kruków, co poderwały się z baśniowych gniazd w nieprzebranych puszczech, w ciemnej gęstwinie.

Cisza, kiedy odchodzi jedna armia, a nadchodzi druga. Niemiaszkowie dobili tu od Sokołki, augustowską szosą z Prus Wschodnich. W rozchełstanych z gorąca bluzach z zakasnymi rękawami, bez hełmów na głowach (zawiesili je na rzemieniach). Kołysały się w rękach karabiny, przewieszane przez ramię. Krzykliwie śpiewali. Mężczyznom, co rozdziawili się przy furtkach na podwórka, unosili czapki, patrząc, czy to aby nie wystrzyżony na zapałkę, przebrany po cywilnemu sowiecki żołnierz. Mrugali do młodek, które wparły się piersiami w ukwiecone wazonami okna. „Gut dupa!”. Niektórzy pogadywali do siebie po mazursku: „Za cwaj tydzień bedziem f Moskau!”. Porozbierawszy się do pasa, obstępowali grupami studnie, aby się obmyć. Półnadzy wyglądali na rozbrykanych chłopców, co poschodzili się z sąsiednich wiosek na tańce z dziewczętami w sobotni przedwieczór. Na wygonie dymiała kuchnia polowa; z przyczepy wyładowywano bochenki i kanistry, pewnie z kawą jęczmienną. W końcu ulicy od strony Grodna ustawiono armatkę, przeciwpancerną, żołnierze przykryli ją gałęziami bzu, co z daleka powinno przypominać kępę wiejskiego ogródka.

Po obiedzie i odpoczynku w zacięniach przy wygonie, rozkazano im rozsypać się w tyralierę i przeczesać poletka ze zbożem (pod Rozbójnikiem dopalała się sowiecka tankietka z majątku, a opodal sterczało pochyloną żerdzią armatnie żelastwo). I rzeczywiście, niebawem zgonili ze dwudziestu jeńców, których, osobliwie nie pilnując, skierowano gdzieś na tyły. W miasteczku jeden „okrażeniec¹¹⁸” uciekł z konwoju, Mazurzy trochę postrzelali, nie rzucali się w pogoń. Jasne: teraz tu Niemcy, a w Niemczech nikt się przed Niemcami nie ukryje.

Niewiarygodnie, jak duch na cmentarzu, znikł stąd Związek Sowiecki; był, nie ma, niby koszmarny sen. Matka Olga i Mania pośpieszyły z powrotem nosić kufry. Tym mimowolnie zwróciły uwagę szwargotliwych wojarów, co znatęcili się nachapać sobie ładnych tkanin – najwięcej ręczników, ale i wyszywanych bluzek, spódnic,

kapau. Maci Wolha bojka nie dawała im brać, padymájucy werchał. Baćku sa Ściapanam wérmachtaŭcy zatrzymali ũ pakoi dzieła prawierki dakumentaŭ. Maniu wajaki pawialí choram pad pachi ũ chleŭ, walić na suchí awieczy hnoj, zadraŭszy joj spadnicu. Dzieła seksualnaj hihijeny, jak nazywali hwałty wajskowyja lékary. Skonczyłasia b niastrymnym rabunkam i tłumnym matłaszeńniem rasczyrwaniełaj, jak piwonija, Mani, kalí b nie ũwajsoŭ na padworyszcza cybaty ober-aficér. „Halt! Achtung Soldaten! Sowjetische Frau – Syphilis! Weg! Schneller!”

U toj za momant háknuli raz i druhí z procitánkawaj harmatki artylerysty, sławiánskija szlanzaki. Janý tam zasieli na nocz. Prywialí ũ pałatku ũdawu z daczkoju (za imi nia mieŭ chto zastupicca). Paślá katawickich pánceraŭ rahatali ũ tym schowie, chto chacieŭ. „Komm panienka”. Na służbie j pa-za służbaj. Niejak na treci badáj dzień niemcy kranúlisia na Waŭkawysk. Abiedźwie saładuchi paniešli ad ich, zhorbiŭszysia, miaszyski z kansérwami; szmat małocznaħa paraszkú, búchanki ũ folii dzieła nieprasychańnia, ot, i zapás kandomaŭ na ũsiákaje licha. Hibiéjucy pad ciazaram zdabyczy, prastawali janý miž razbujáťymi kanaplami. Tydniaŭ dwa nikudy nia wychodzili, pakúl nie prywałoksia siudy adniekul bataljon ukraincaŭ; janý – niadojenyja byczki – brali pad siabié nawet babúl, czaho świet nia baczyŭ. Ureszcie zruszyli ich niemcy pad Miensk i nastáu bolsz-miensz spakoj, akupancki paradak. Sawieckich akružencaŭ, szto prytułílisia da ũdowinyħ haspadarak, dawoli doŭħa nie turbawali.

U kamianicy, – za carom waładáraŭta ũ joj wałasnaja ũprawa, pry palakach wojt z burmistram, zatým sawiećkaja náwałacz, – ciapiér raśsieŭsia puzaty amckamisár, pabraŭszy ũ pamoczniki polskich biuralistaŭ, szto zawodzili administrácyju i niablaha azywálisia na niemieckaj mowie (padwuczýłisia jajé ũ szkołach). Wýznaczana sałtysoŭ. Łoŭka apísana koźnaħa ũłáśnika wornaje ziamlí; padrabiazna żywý inwentár. Amckamisár abjeździŭ brýczkaju paletki, biaruczý z saboju žandara Schattenberga. Śćwierdziŭ: siélskaja haspadarka na tutejszaj hlebie patrabuje źmianszeńnia padatkaŭ u dwa-try razy ũ supastaŭleńni z dawajénnymi (pra sawiećkija nia pytaŭ). Mużyki pachwalili báŭera.

Žandarméryja likwidawała pakraży, adpráwiŭszy ũ kancláhiery źladziejaŭ i bańdziukoŭ. Nia było taksama mardabojau na swajackich światach; hetak za biaz sudú j śledztwa arysztoŭwali bujanoŭ i hnali taŭczý kamieńnie na daroźnyja ramonty; recydywistaŭ siekli da ũmléłasci húmami, paliwájucy im wadoju nahawicy, kab szczylna prystawali pałki da azadkaŭ. Achwotnikaŭ bicca ũžo nie znachodziłasia. Z asabliwaj zajádłasciu dziázyli muzykoŭ, szto padymali rukú na žonak; baby, rodziaczy chłopcaŭ u armiju, nie mahli być pakaléczanymi.

Akupánt niczoha nie abhruntoŭwaŭ marálnasciu, idejaj. Usienka ũ jaho mieła praktyczny sens. Wérmachtu treba zboźza j miasa; spakojny tył. Peŭna

kap. Matka Olga chwacko wzbraniała im brać, podnosząc lament. Ojca z Alikiem wehrmachtowcy zatrzymali w pokoju dla sprawdzenia dokumentów. Manię wojacy powiedli hurmem pod pachy do chlewa, by powalić ją na suchy owczy gnój, zadarłszy jej spódnicę. Dla higieny seksualnej, jak określali gwałty niemieccy lekarze. Skończyłoby się niepohamowanym rabunkiem i gromadnym miętoszeniem poczerwieniałej jak piwonია Mani, gdyby nie wszedł na podwórze cyбаты oficer. – Halt! Achtung, Soldaten. Sowjetische Frau: Syphilis! Weg! Schneller!¹¹⁹

W tymże momencie gruchnęli raz i drugi z armatki przeciwpancernej artylerzyści, słowiańscy Ślązacy. Oni tam zasiedli na noc. Przyprawdzili do namiotu wdowę z córką (nie miał ich kto bronić). Po katowickich pancerniakach rechotał w tamtym schowie, kto chciał. „Komm¹²⁰, panienka”. Na służbie i po służbie. Jakoś trzeciego bodaj dnia Niemcy pociągnęli na Wołkowysk. Obie „rozkosznicze” przytaszczyły od nich, zgarbiwszy się, wory z konserwami, sporo mleka w proszku, bochenki w folii chroniącej przed wysychaniem, no i zapas kondomów, na wypadek jakiego licha. Uginając się pod ciężarem zdobyczy, szły skrótem przez wybujął konopie. Ze dwa tygodnie nigdzie nie wychodziły, póki nie przywłókl się tu skądś batalion Ukraińców; ci – niedojone byczki – brali pod siebie nawet babcie, rzecz niesłychana. Wreszcie zruszyli ich Niemcy pod Mińsk i nastał mniej więcej spokój, okupacyjny porządek. Okrążeńców, co przytulali się do wdowich gospodarek, dosyć długo nie niepokojono.

W kamienicy – za cara włodarzył w niej urząd gminy, za Polaków wójt z burmistrzem, potem sowieckie przybłędy – teraz rozsiadł się brzuchaty amtskomisarz¹²¹. Wziął do pomocy polskich biuralistów, którzy organizowali administrację i nieźle się ozywali po niemiecku (poduczyli się w szkołach). Wyznaczono sołtysów. Sprawnie spisano każdego właściciela ziemi ornej, dokładnie żywy inwentarz. Amtskomisarz objeżdżił bryczką poletka, biorąc ze sobą żandarma Schattenberga. Stwierdził: rolnictwo na tutejszych glebach wymaga obniżenia podatków, dwu-trzykrotnego względem przedwojennych (o sowieckie nie pytał). Chłopi pochwalili bauera.

Żandarmeria wykorzeniła drobną przestępczość, wysyłając do obozów koncentracyjnych złodziei i łobuzów. Nie było też bijatyk na swojackich świętach; takóž bez sądu i śledztwa aresztowano rozrabiaków i pędzono do tłuczenia kamieni na remonty dróg; recydywistów chłostano do omdlenia pałami, polewając im spodnie wodą, iżby łacniej przylegały gumy do zadków. Zbrakło chętnych do bitki. Najzjadlejš batożono chłopów, co podnosili rękę na żony; kobiety, rodząc chłopców dla wojska, winny być zdrowe.

Okupant niczego nie uzasadniał moralnością, ideą. Wszystko u niego miało sens praktyczny. Wehrmacht potrzebował zboża i mięsa; spokoju na zapleczu. Pewnie

tak i było b u przywyczájenym da pasłuchmiánaści ludzie, kalí b nia czuzyja ũ im. Partyzany zawialisia praz hod; u les źbiehli tyja ź ruskija akrużency; na ich akupanty składali ewidencyju dzieła wýwazu na prymusowyja raboty. Szyryŭsia tym czasam pohalas pra partyzánskija addziely ũ pinskiach bałotach: ni~~by~~ im naskidali z amerykanskich ci anhielskich samalotaŭ artyleryi i, nawat, tankietak... Niemcy nastupali na Maskw~~u~~, alé ichnaja technika, roblenaja ũ ciopłaj krainie, zamiarzała ũ Rasiei...

Amckamisara sialanie szanawali. Heta byŭ czystakroŭny faszýst, jakráz adpawiedny chamam. U jaho wiaskowyja prawiny – bolszyja ci mienszyja – kanczálisia lámantam, srakabojem. Jon charaktaryzawaŭ siebie cywilizátaram dzikunoŭ, jakija rásawa ũjaŭlálisia jamú prydatnym matarjałam na naturalizawanych niemcaŭ. Wioski nie bajaŭsia, bo j czaho: wiaskaŭniá zaŭsiody aporaju dyktatury; bojaź wyklikaje horad, udŭmliwaja intelihiencyja...

Błahím znakam dla niemcaŭ paliczyli ũpadak u Biazdonicu bambawoza, padstrelenaha daloka na frońcie. Lotniki wýratawalisia na paraszutach; adzin zaczapiŭsia za carkoŭny kupał, szto paćwierdziła niadobry Hítleru zychod wajný. Biazdonica amál hłynęła maszynu; wýnyrnuŭ pa-nad jajé pawierchniaj mahutny chwost z aponistym kołam. Bácsyłasia, szto wajenny aeraplán nie prapływie padziemnaju recz~~k~~aju ũ Nioman; szyrokija kryły nia puścíać. Niemcy spraboŭwali wýwałaczy landáru na suszu: łancuh~~i~~ rwálisia. Trachtar blizka nie padjażdżaŭ u bahnu. Chwost maszyny z czasam asieŭ pad wadu; u suchoje leta trochi pakázwaŭsia. Byccam u kniżcy chrybięć akuły.

Jak by pradczuwájuczy nastŭpn~~y~~ja niaŭdaczy, niemcy ũzialisia zhaniác żydoŭ u hietu, ustalawaŭszy liniju wysokaha i hłuchoha płotu z kołkim drotam pawierch. Zabaroniena kałóć parszukoŭ, rezać cialát, awieczak biez dazwołu. Kiszkiálj zasadzili padświnka na wyszki, kab tajemna ũkarmić na Kaladu. Bačka sa Ściapanam źbili z doszak padstresznuju záharadz z padłohaju; świnczo ryje. Zapierli jaho tudy ũ miaszku, nadzieŭszy na łycz miaszoczak z mukoju; aniamieŭ, alé nie ũdawiŭsia joju. Korm nasiła wiadrom maci Wolha, peckajuczysia pamiotam, szto źbiraŭsia na pokrywie, jakoje adchilała ũwachodziaczy z drabiny ũ schoŭ. Had parochkwaŭ joj prywitalna; nielha suciszyc źwiera, treba nie dawác jamú przyczynu dla rádasnaj hałosnaści. Ściapán zakidáŭ tudy kul sałomy na podścił, hadawaniec utoptwaŭ jaje, pakúl nia ũpáswiŭsia j zahultaiŭ.

Adnaho razu sznýparyli pa padworkach źandary, zahlád~~w~~ajuczy ũ budynki dy chaty. Szukali żyda, szto ũciok z hiety. „Juda curyk!” Kiszkiálj najelisia strachu: za nielehalnuju świńniŭ dastali b ukaplech! Sołtys-sabaka taksama nia źniuchaŭ. Z taho piarepałachu nie dali kormniku ciesta, lisznie nie zachodziaczy ũ chleŭ, i zhaładnieły parszuczyska zawiszczáŭ pad dacham. Maci Wolha ũźbiehła

tak i byłoby w nawykłym do posłuszeństwa ludzie, gdyby nie obcy wśród niego. Po roku pojawili się partyzanci; do lasu zbiegli tamci rosyjscy okrażeńcy, po tym jak okupanci spisali ich do wywózki na roboty przymusowe. Szerzyły się tymczasem słuchy o oddziałach partyzanckich na pińskich bagnach; ponoć im nazrucano z amerykańskich czy angielskich samolotów artylerii, a nawet tankietek... Niemcy nacierali na Moskwę, chociaż ich technika, konstruowana w cieplejszym klimacie, zamarzała w Rosji ...

Amskomisarza chłopci szanowali. Był on czystej krwi faszystą, w sam raz odpowiednim dla chamów. U niego wioskowe przewinienia – większe czy mniejsze – kończyły się błaganiem o litość, dupobiciem. Miał się za kulturträgera, szerzyciela cywilizacji wśród dzikusów, którzy wszelako pod względem rasowym jawili mu się materiałem zdatnym na naturalizowanych Niemców. Wsi się nie bał, nie było powodu: chłopstwo zawsze oporą dyktatur; dla tych zagrożeniem jest miasto, myśląca inteligencja...

Za zły znak dla Niemców policzono upadek do Bezdenicy bombowca, trafionego daleko na froncie. Piloci ratowali się skacząc ze spadochronami; jeden zaczepił o cerkiewną kopułę, co potwierdziło niepomyślny dla Hitlera bieg wojny. Bezdenica niemal połknęła maszynę; wynurzył się nad jej powierzchnię potężny ogon z oponiastym kołem. Wyglądało, że wojskowy aeroplan nie przepłynie podziemną rzeką do Niemna; szerokie skrzydła nie puszcza. Niemcy próbowali wywlec landarę na suszę: łańcuchy rwały się. Traktor nie podjeżdżał dalej w bagno. Ogon maszyny z czasem osiadł pod wodę; w suche lato trochę się pokazywał. Jak na obrazku w książce grzbiet rekina.

Jakby przeczuwając kolejne niepowodzenia, Niemcy zaczęli zganiać Żydów do getta, otoczywszy je wysokim, ślepyim płotem zwieńczonym drutem kolczastym. Zabroniony był ubój świń, cieląt, owiec bez zezwolenia. Kiszkielowie umyślili utuczyć potajemnie podświnka na Boże Narodzenie. Pod strzechą w chlewie ojciec z Alikiem zbili dla niego kojec z podłogą z desek – tucznik ryje. Obwiązanego płachtą wtaszczyli na wyżkę, założywszy mu na ryj woreczek z mąką; świniak ucichł, ale nie udławił się. Karmę wносиła w wiadrze matka Olga, brudząc się przy tym pomiotem, co zbierał się na klapie, którą odchylała wchodząc z drabiny do schowu. Stwór chrumkał jej na powitanie; nie szło uciszyć zwierza, trzeba nie dawać mu powodu do radosnego hałasowania. Alik zarzucał tam kul¹²² słomy na podściółkę, tucznik udeptywał ją, zanim się spał i rozleniwił.

Któregoś razu przeszukiwali podwórka żandarmi, zaglądając do budynków i chat. Szukali Żyda, co uciekł z getta. – Jude, zurück!¹²³ Kiszkielowie najedli się strachu: za nielegalną świnię mogli nieźle oberwać! (Softys, psia jucha, jej nie wywęszył). By nie kręcić się zanadto po obejściu, nie zanieśli tuczniakowi ciasta¹²⁴, i ten, zgłodniały, jął kwiczeć pod dachem. Matka Olga wzbiegła

ž ježywam jamú na drabinu, pakažnůłasia, wýwichnuła stupak, alé nie pawaliłasia. Nakarmiüşzy zarazu, dabrontała ů sieni. Ściapán nahreů sahán kipienu i, namaczyüşzy czýstyja anuczki, lekawaů z sollu apuchlinu. Balucza nastáwiüşzy kostku, dawioů staruju da paścieli i, ukryüşzy ůsiú aůczýnkami, papilnawaů snu. Paślá zdareńnia, na wyszki załaziů jon. Horaj dawodziłasia stanińniku párkim letam; sipliwa dychcieů i mała jeů.

Wermacht kaciůsia ad Maskwý.

Jaszczé doůhaja byłá pieśnia pra kanięc wajný.

z jadem dla niego na drabinę, poślizgnęła się, skręciła stopę, ale się nie zwała. Pospokoiwszy paskudę, pokuśtykała do sieni. Alik nagrzał sagan wody i, namoczywszy czyste płótna, lekował z solą opuchlizną. Nastawiwszy boleśnie kostkę, doprowadził starą do łóżka i, ukrywszy całą baranicami, popilnował jej snu. Potem to on wchodził na wyżkę. Gorzej bywało słoninnikowi¹²⁵ parnym latem: świstliwie dyszał i mało jadł.

Wehrmacht toczył się spod Moskwy.

Jeszcze długa była pieśń o końcu wojny.

VIII

Nadychodzili dni, u paraŋnaŋni Ź jakimi niadaŋŋija enkawedoŋskija wŋwazy ludziej u Sibir padaliŋia prosta Źartami. Niemcy Ździekwaliŋia nad Źydami ů hiecie. Czasta biez anijákaje przyczyny Źbiwali bizunami muŹczyŋ i Źanczyŋ, padletkaŋ. Źyd, jakoha szukali byli Źandary j nie znajŋzli, apoŋnaczy cicha pastukaŋ u wakno chaty Kiszkialoŋ. Paprasiŋusia, kab jaho pieranaczawali. Bačka ůtrupianieŋ; za takuju sprawu niemcy rasstrŋlwali za haroju, kala mohiŋak. Nakŋaŋa haŋowami radzina aptekara; nabraliŋia nibŋ zoŋata za wŋkapany schoŋ pad padŋohaju... Wŋniuchaŋ waŋkawaty sabaka Schattenberga. Niamczuha katawaŋ usiŋh, pŋacz czuŋsia ů wioscy.

Daŋszy smolnamu Źydu pajeŋci, maci Wolha znajŋzŋa wyjŋcie: chaj jon pojdzie ů humno, dzie – u wŋpadku biaŋy jakoje – moŹa kazáć, szto sam tudŋ zaleŹ. Ucioki ůdaliŋia, Źandary nia szukali jŋdena, zaniaŋszysia likwidacyjaj usiaje hiety. Raspuŋcili czutki, szto moŹna rabawać Źydoŋskija chaty. Heta pawinna wŋklikać waroŹaść da chryŋcijan. Jak na muŹycki hust, byŋo szto brać – piaryny, paduszki, ŋoŹaki Ź nikielawányymi biŋami, hnŋtyja kresŋy, bliszczastyja staŋy, bieŋaja pasuda, emalijawányja harszki, kamody, zwonkija naŋciŋnyja hadŹiŋniki z hiraŋi... Adnaho szabroŋnika zastreliŋ patrŋl, paczuŋszy dziŋny zwon na czaŋawieku, szto chawaŋsia ad ich.

RazŹycca na hiecie ŹjaŹdŹaŋasia basota zdalok; swaje nia jŋzli i ů toj bok nie hladzieli. Praŋda, pamocznik soŋtysa prywaŋok niejkim cudam skryniu wakonnaha szkŋa, alé nastolki mocna spadaŋsia, szto chutka skanaŋ. „Czuŋoje dabro bokam wŋŋazić”, – pryhaworwali starejszyja, szto pamiatali balszawickuju rewalŋcyju, razboi. Šciapanu byŋ heta kaniŋc ŋwietu i raz pajszoŋ jon pahladzieć, szto ů miasteczku czaŋpiecca. Jakijaŋci abrosŋyja da niemahczyŋmaŋci dziadŹki biŋliŋia. Puzaty hreŋ kuŋakami chudoha, alé toj, Źwitniejszy, nia padaŋ, paŋpiawájuczy, choć trochi, adchilicca. Lepiej zrabŋ by jon uciakájuczy, alé tadŋ nieszta pakinuŋ by, woŋ. Paŋlá ŋzmachu kuŋakom koŹny Ź ich uskrykwaŋ, stohnuczy „Ech!” Ureszcie – puzaty dahadŹiŋ chudomu ů dychawinu, przczyŋm tak, szto taho pakaciŋa na ziamlŋ. „Nu, dawoli!” – zachrypieŋ pieramoŹca i adwiarnuŋsia, kaŋi zdychlák wŋtuznuŋ kamieŋ z brukawanki dy ŋskoczyŋ arŋom. Šciapan zapluszczyŋ woczy, kab nia baczyć raŹbity da mazhoŋ czerap. Raptam pranizáŋ jaho Źudny kryk – puzaty klenczyŋ pierad chudym, kusájuczy napádnika za klin. Ź niaczuwanym skawytaŋniem abodwa papádali. Byŋo b straszniej, kaŋi b nie dabieŋh da szceplenych Źandár Schattenberg dy nie naszparyŋ abodwuch páŋkaju, akrywáwiŋszy im durnyja buŋawieszki. „Zurück, Idioten! – pahaniáŋ niemiec chamaŋ i janŋ pabiehl i ŋiŋz da Kaŋkaskaj wŋlicy, raskiráczyŋszysia.

VIII

Nadchodziły dni, w porównaniu z którymi niedawne enkawudowskie wywózki ludzi na Sybir zdały się ledwie żartem. Niemcy znęcali się nad Żydami w getcie. Częstoć bez żadnej przyczyny bili pejcami mężczyzn i kobiety, подростki. Żyd, którego szukali byli żandarmi i nie znaleźli, o północy cicho zastukał w okno Kiszkielów. Poprosił, aby go przenocować. Ojciec zmartwiał: za coś takiego Niemcy rozstrzeliwali za górą, przy cmentarzu. Nałożyła głowami rodzina aptekarza; nabrali jakoby złota za wykopaną kryjówkę pod podłogą... Wywęszył wilkowaty pies Schattenberga. Niemczura katował wszystkich, płacz słychać było w wiosce.

Dawszy kruczowłosemu Żydowi podjeść, Matka Olga znalazła wyjście: niech on pójdzie do stodoły, gdzie – w razie jakich kłopotów – można mówić, że sam tam załazł. Ucieczka się udała, żandarmi Żyda nie szukali, zajęci likwidacją całego getta. Rozpuścili pogłoskę, że można rabować żydowskie domy. To powinno wywołać wrogość Żydów do chrześcijan. Jak na mużycki gust, było co wynosić – pierzyny, poduszki, łóżka z niklowanymi bilami, gięte krzesła, połyskliwe stoły, zastawę stołową, emaliowane garnki, komody, dźwięczne zegary ścienne z girami¹²⁶... Jednego szabrownika zastrzelił patrol, posłyszawszy dziwne dzwonięcie na kryjącym się przed nim człowieku.

Obłowić się na getcie ściągała gołota z daleka¹²⁷: swoi nie szli i w tamtą stronę nie patrzyli. Prawda, pomocnik sołtysa przywłókł jakimś cudem skrzynię szkła okiennego, lecz tak się przy tym zdźwigał, iż rychło skończył. „Cudze dobro bokiem wyłazi” – przymawiali starsi, którzy pamiętali bolszewicką rewolucję, rozboje. Dla Alika był to koniec świata i pewnego razu poszedł on popatrzeć, co się w miasteczku wyrabia. Jacyś niemożliwie zarośnięci „wujkowie” bili się. Brzuchaty grzał kułakami chudego, ale ten, zwinniejszy, nie padał, zdążając choć trochę się uchylić. Lepiej zrobiłby uciekając, lecz wtedy coś by zostawił, ot co. Machnąwszy pięścią, każdy z nich zakrzykiwał, stękając: „Ech!”. Wreszcie – brzuchaty dogodził chudemu w mostek, przy czym tak, że powalił go na ziemię. „No, dosyć!” – zacharczał zwycięzca i odwrócił głowę, kiedy zdechłak wyrwał kamień z brukowanki¹²⁸ i wskoczył orłem. Alik zamknął oczy, by nie widzieć wymóżdżenia. Raptem przeszył go przeraźliwy krzyk – brzuchacz klęczał przed chudym, wgrzając się w rozporek napastnika. Z niesłychanym skowytom obaj upadli. Byłoby straszniej, gdyby nie dobiegł do szczepionych żandarm Schattenberg i nie natrzaskał obydwu pałką, zakrwawiając im głupie łby. „Zurück, Idioten!”¹²⁹ – poganiał Niemiec chamów i oni pobiegli w dół do „Kaukazkiej” ulicy, rozkraczywszy się.

Nia tolki tut łupili adzin adnaho pa muchajedach. Tak pawodzili siabie czuzyja muzyku, szto nazjazzdzalisia brac żydouskaje dabro. Jany pryjechali zdalok i ušie furmánkami, tamu chapali, szto im traplálasia ũ ruki, nia mohuczy waroczacca dachát parazniakom. Nawálwali na raskládziny pašciel – kouđry, paduszki, matracy. Nawat nacznyja harszczku, dumajucy, szto heta pasuda dzieła hatawannia strawy. Znosili na wazy habrejskija knihi, papiera jakuch padychodzila krucie z machorki kazunyja nozki. Maładyja żydouki pachawálasia ad hwałtanikou, alé nictu ich asabliwa nia szukáũ, zaniáušzysia rabunkami. Mieli swaju pryjemnašc niemczyki Schattenberga, łupejuzycy abaryhienáũ naprawa j nalewa. Hetyja chryšcijanie dastawali ũ plecy dy, nie azirájuzycysia, imczali dalej pa zdabyczu. Niamezekija ũdary kijami traktawali, widáć, jak propuski ũ hietu. Wiakami nastojenaja zajzdrašc prycakáła dazwolenašci nachapácca. Šciapan, czytájuzycy potym apowiedy pra sialánskija bunty j kazáckija paustanni, zausiody pryhadwau pahromnyja wobrazy czasou akupácyi.

Likwidácyja hietu adbyłasia ũ paru, kalu apušcieli palu i można było nazhaniáć dastatkowuju kolkašc padwodau biaz szkody haspadarskim kantynhientam dla armii ũ Rasiei. Kaniezc leta ũdašia pahodliwym, cichasoniecznym. Praz usio miasteczka stajali zaprežanyja koni, zmoranyja niadáũnimi zwozkami snapou u humny. Na mordy im nadziawali sialanie torby z abrokam, mašcili sałomaju miesca na wazách dzieła razmiaszczennia żydouskich siemjau, szto wyhaniali niemcy na rynek; kazali, pawiazuć niaszczasnych u czasowy łahier u Kaubásinie pad Horadniaj. Niedzie ũ bok Pahulanki báchali streły z karabina, dwa abo try; stała wiadoma, szto ũciaklu ũ Łápickija hory syn Hiersza j syn Lejzara. Pozna: tre'było ũciakáć im raniezj, kalu niemcy nie zanadta pilnawali hietu i ad lesu padychodzili czasam sawiezekija partyzany, pastrelwajucy naczami.

Hietu wywiezli ũ adzin aboz z sotni furau, nahruzanych padrucznymi pazýtkami, dziezcim j žanczýnami; muzczyny jszli pobacz, pad wártaju. Heta był narod przynáczany na splážannie. Nikudy nia moh zbiehcy. Nia mieu da kaho. Akupanty nie talisiasa sa swaimi spráũdnymi namierami. Adkryta, na ludzkim widawoku, rasstrelwali, kaho treba było im. Sawiety zachouwali prynamsi wyhlad niejkaha prawasudzdzia, stwarali farmálnašci; u hitleraucau niczoha padobnaha nie nahladálasia tut.

Niewiadoma adkul i jak nasielniczwa nawuczálasia hnaz samahonku. Ni da wajny, ni pry sawietach, nia czułasia, kab niehta hetym zajmašia. I raptam – pry niemcach! Heta nia był dobry alkohol; atrutnaja siwucha. Amátarski pradukt. Paczali pié staryja j małyja. Kaluš czarku dazwalali sabie ludzi pry hroszach. Išci pjanym liczýlasia jak šwiezdczannie niekatoraj zamoznašci. „Oho, jon maje za szto wypić!”

Amckamisár i ũlady dawoli chutka zhledzieli, szto samahonstwa rujnuje

Nie tylko tutaj prali się po gębach. Tak poczynali sobie chłopci, którzy zjechali się brać żydowskie dobro. Oni przybyli z daleka i wszyscy furmankami, dlatego chwyтали wszystko, co im wpadło w ręce, nie mogąc pusto wracać do domu. Na rozłożone drabiny wozów zwalali kołdry, poduszki, pościel, materace. Brali nawet nocniki, myśląc, że to naczynia kuchenne. Znosili na wozy hebrajskie księgi, papier których zdalny był do kręcenia z machorki „kozich nóżek¹³⁰”. Młode Żydówki poukrywały się przed gwałcicielami, ale nikt ich szczególnie nie szukał, zajmując się rabunkiem. Mieli swoją przyjemność niemiaszkowie Schattenberga, smagając na prawo i lewo aborygenów. Ci chrześcijanie dostawali po plecach i, nie oglądając się za siebie, mknęli dalej po zdobycz. Niemieckie chłasięcia kijami traktowano widocznie jako przepustki do getta. Stężała przez wieki zazdrość doczekała przyzwolenia, by się nasycić. Alik, czytając potem opowieści o chłopskich buntach i kozackich powstaniach, zawsze przywoływał w pamięci pogromowe obrazy czasów okupacji.

Likwidacja getta odbyła się w czasie, gdy opustoszały pola i można było spędzić dostateczną ilość podwód bez szkody dla gospodarskich kontyngentów na rzecz armii w Rosji. Koniec lata udał się pogodny, cichosłoneczny. Skroś miasteczka stały zaprzęgnięte konie, zmożone niedawną zwózką snopów do stodoł. Na pyski zawieszali im chłopci torby z obrokiem, mościli słomą miejsca na wozach dla rodzin żydowskich, które Niemcy wyganiaли na rynek; mówiono, że powiozą nieszczęśników do obozu przejściowego w Kołbasinie pod Grodnem. Gdzieś w stronę Pohulanki padły strzały z karabinu, dwa albo trzy; okazało się, że uciekli w Łapickie Hory syn Hersza i syn Lejzara. Późno: trza było uciekać wcześniej, kiedy Niemcy getta tak nie pilnowali, a z lasu przychodzili czasem sowieccy partyzanci, postrzeliwując w nocy.

Getto wywieziono w jednym taborze z setki fur, obładowanych domowymi sprzętami, dziećmi i kobietami; mężczyźni szli obok, pod strażą. To był naród przeznaczony na zatracenie. Donikąd nie mógł uciec. Nie miał do kogo. Okupanci nie ukrywali swoich rzeczywistych zamiarów. Jawnie, na oczach ludzi zabijali, kogo im było trzeba. Sowietci zachowywali przynajmniej pozory jakiejś praworządności, stwarzali formalności; u hitlerowców niczego podobnego nie widziało się tutaj.¹³¹

Nie wiadomo skąd i jak tutejsi nauczyli się pędzić samogon. Ani przed wojną, ani za sowietów nie słyszało się, by ktokolwiek się tym zajmował. I raptem – za Niemców! To nie był dobry alkohol – zjadliwa siwucha. Amatorski wyrób. Zaczęli pić starzy i młodzi. Kiedyś na kieliszek pozwalali sobie ludzie majątniejsi. Pijany chód uważano za świadectwo niejakiej zamożności. „Oh, on ma za co się napić!”

Amtskomisarz i władze dosyć szybko zauważyli, że bimbrownictwo niszczy

haspadarku, pracazdolnaść czaławieka. Na samahonku wioska prapuskała żyta, bolsz patrebnaje frontu. Zahádana tamú ławic samahonszczykaŭ, karác, ssylác u łáhiery. Žandaram heta ũdawáłasia, pakúl lud nie pachitreŭ. Wýrasła ũ miascowuju lehiendu pryhoda handlará samahonkaju, jakoha niemcy nia zdoleli arysztawác z tawaram. Jak ni kantralawali janý jaho ũ chacie i ũ darozie, niczoha nie znachodzili. Dapamoh wýpadak: panios jamú koń, pierapałochany redkim na tyja czasý samachodam. Wajskoŭcy, jakija byli jechali z aficeram, uzialisia paratawác sielanina ũ katastrofie dy sa ździuleńniem śćwierdzili, szto ź nienaturalna pierahnutaj ahłobliny wyciakaje kryniczkaŭ „sznaps”. Zdahadálisia, u czym sprawa, i ũdały chitrun apynuusia ũ klejkich łapach Hilfspolizei: z azadkaŭ zrabili jamú tatárskaje miasa.

Hierhietliwyja praśledniki wykonwali abawiazak jinszy raz dosyć miakka. Samahonku kanfiskoŭwali naohŭ dla ũłasnych patreb, prafiltrawaŭszy jajé cierz watu razoŭ dwa abo try, a schopenamu spekulantu fundawali dwaccać piac haracznych bizunoŭ z aławianaj hałoŭkaju, zamiést łáhiernaj wýsyłki. Tak jano j bywała – sraka paru dzion nia mieścilasja ũ nahawicach. Zatoje ceny na siwuchu skoknuli wysoka ũharu. Kalí chto zanadta tarhawaŭsia, pradawiec zaholwaŭsia, pakázwajuczy žandárskija pisiahi na kulszach. Heta pierakonwała i za canu nie swarýlisia. Adžin samahońnik akazaŭsia asabliwa ũpartym, choć usie wiedali ab tym, szto jon daŭno nie papaŭsia na srakaboj u kamandatury. Adnaho razu padhľadzieli, szto źbiwaje jaho da czornaje sinieczy maźnaja żonka, sasnowickaja szlachcianka. Kpili: „Hety wýpakładany žarabiec zarablaja na chleb srákaju, chi-chi!”

Ściapán napeŭna raśpiŭsia b, kalí b nia maci Wolha j saramliwy baćka. Mani wyszeli hrudzi. Andrejka dahaniaŭ rostem brata. Zreszty, usio naukoła rasło i nichto nia wiedaŭ, czym heta skonczycca. Wajná z Rasiejaj, nawet durniu, stała zrazumiełaj, alé niemcy czamuści wieryli ũ pamysny jajé zychod. Ściapán czasczasom słuhaŭ swajo radyjo, schawánaje ũ sklepie; batarejki haśli i ledź-szto czuŭ u słuhaŭkach. Hítleraŭcy pakínuli Smalensk, adstupili na liniju Dniaprá; hareli baj za Kijeŭ. Fatalna na Krymie. Trymájucca ũ Kurlandyi. Adstupilisja ad Leninhradu. Prajhrajúc u Paŭnocnazj Afrycy. Ażno radyjoprymác zahłuch i dawiałosja kambinawác z hazetnych kamunikataŭ, u jakich biazupynna padkreśliwáłasja nadzwyczaj karysnuju sytuacyju wermachtu. „Iwan kaput!”

Dachodzili pošlychi pra arhanizacyju biełaruskaj samaachowy abo j wojska pad Mienskam. Z akupacyjnaj padtrymkaj. Nia wieryłasja Ściapanu, szto heta praŭda. Jakoje moża być biełaruskaje wojska, kalí sawieckija armii stajác u Wiciebskich Warotach?! Heta ź treba dumać! Ściapán achwotna zapisaŭsia b u toje wojska, alé nie ciapiér, nie ũ takuju samahubnuju chwilu!

Pa wioscy raznosiŭ sołtys biełaruskija kalendary ź Bielastoku, kleiŭ plakaty z

gospodarkę, zdolność do pracy. Na samogon wieś marnowała żyto, potrzebniejsze na froncie. Dlatego zarządzono łapać bimbrowników, karać, wysyłać do obozów. Żandarmom to się udawało, dopóki lud nie schytrzał. Urosła do miejscowej legendy przygoda handlarza samogonką, którego Niemcy nie zdołali aresztować z towarem. Jakkolwiek kontrolowali go w domu i w drodze, niczego nie najdowali. Pomógł przypadek: jego koń poniósł, spłoszony rzadkim w owym czasie autem. Jadący z oficerem żołnierze wzięli się poratować włościanina w katastrofie i ze zdziwieniem stwierdzili, że z nienaturalnie wygiętej hołobelki ciurka źródłem sznaps¹³². Domyślili się, w czym rzecz, i pomysłowy szmugler znalazł się w chwytkich łapach Hilfspolizei¹³³: z zadka zrobili mu tatar.

Szwargotliwi prześladowcy wykonywali swój obowiązek czasem dosyć łagodnie. Samogonkę konfiskowali zwykle na własne potrzeby, przefiltrowawszy ją przez watę dwu-trzykrotnie, a zdybanemu handlarzowi fundowali dwadzieścia pięć gorących razów rzymskim batem z ołowianą główką, zamiast zsyłki do obozu. Tak to i bywało – tyłek przez parę dni nie mieścił się w spodniach. Za to ceny na siwuchę skoczyły wysoko w górę. Kiedy ktoś zanadto się targował, sprzedawca ukazywał żandarmskie pismo – pręgi na kulszach¹³⁴. To przekonywało i o cenę się nie sprzeczali. Jeden bimbrownik okazał się szczególnie niezgodliwy, choć wszyscy wiedzieli o tym, że on od dawna nie dostąpił dupobicia w komendanturze. Pewnego razu podpatrzyli, jak tłucze go do czarnej sinizny krzepka żonka, sosnowicka szlachcianka. Kpili: „Ten wykastrowany ogier zarabia na życie dupą, chi-chi!”.

Alik z pewnością by się rozpił, gdyby nie matka Olga i wstydlivy ojciec. Mani pęczniały piersi. Andrzejek doganiał wzrostem brata. Zresztą wszystko wokół rosło i nikt nie wiedział, czym to się skończy. Wojna z Rosją, nawet dla durnia, stała się zrozumiała, ale Niemcy czemuś wierzyli w pomyślny jej finał. Alik czasem słuchał swego radia, schowanego w piwnicy; baterie gasły i ledwie co słyszał w słuchawkach. Hitlerowcy oddali Smoleńsk, cofnęli się na linię Dniepru; wrzały walki o Kijów. Na Krymie fatalnie. Trzymają się w Kurlandii. Odstąpili od Leningradu. Przegrywają w Afryce Północnej. Aż odbiornik zamilkł i przyszło kombinować z komunikatów w gazetach, w których nieustannie podkreślano nadzwyczaj korzystną sytuację Wehrmachtu. „Iwan kaputt!”.

Dochodziły wieści o organizowaniu białoruskiej samoobrony, a nawet wojska pod Mińskiem. Ze wsparciem okupanta. Alik nie chciał wierzyć, że to prawda. Jakież może być białoruskie wojsko, kiedy sowieckie armie są już w „Witebskich Wrotach”? Toż to trzeba myśleć! Alik chętnie by się do tego wojska zapisał, ale nie teraz, nie w tak samobójczej chwili.

Po wsi roznosił sołtys kalendarze białoruskie z Białegostoku, rozklejał plakaty z

krywawym Staliny, jak_i szuflaju hartaje swajch sałdataŭ u ahoń wajny. Raspaŭsiudźwaŭ sielskahaspadarczyja parady – jak siejać, arać na zimę, dahladac żywiołu ũ chacie, karmić zieleńniu kurej u marazy, kab nadalej nieślisia (a ũsio dzieła frontu). Żbirali ũłady aŭczynki j każuch_i bataljonam u rasiejskich śniahoch. Baćka maŭczáŭ, czas ad czasu prarywájuczysia z dumkami: hiermaniec nie adoleje rasiejcaŭ, bo wajuje jon technikaju, a technicy patrebny darohi, jak_ich u Rasiei niamá...

Żnisztażeńnie hiety ażywiła fach Ściapana. Zaprychodzili klijeny z nakrádzienym zapasam chromu, juchtu j padeszwy. Tyja, chto pażywiŭsia ũ żydoŭskich chatach na Pahulancy j patajemnych skłádach harbarniaŭ. Ściapán rabiŭ z pryniesienych kawałkaŭ wýkrajki na zakázanyja czarawiki ci boty hetak umieła, szto chapała j sabie; resztu abrezaŭ addawaŭ, prydatnyja na łaty.

U daždźliwuju pieradpoŭnacz u Pilipaŭku, kalí Ściapán stukacieŭ nad czyimści zakazam, ślepaciejucy kala hazoŭki, niechta pazwanjŭ palcam u szybu wakonca. U sieni ũwajszło troch abadrancaŭ; czaćwierty zastaŭsia pad strachoju. Z twaram abrosłym da waczej, u trantach i chadakoch, ż niemieckimi szmajserami napahatowie, hałodnyja dy zastudźanyja. Partyzany z bahnaŭ Czortawaj Chaty. Ż niesawieckaj hutarkaj, jak byccam kazielskaj ad Waŭkawyska. Im treba było adzieńnie, abutak, bochan chleba, kawalec sała, miaszeczak cybuli. Nia wyjduc, pakŭl taho nie dastanuć. Razumiejuc, szto pakinuć haspadaroŭ hołymi, alé da inszych nia mohuc chadzic pa wioscy, kab nie napali na ich śled žandary. Usiudy danosczyki. Padworak Kiszkialoŭ zaprykmięcili jak miesca pa-wiaskowamu kancawoje, ścisznaje, biaściecznaje. Żywie tut szawiec, bywajuc ludzi, tamŭ žjaŭleńnie mužczyznaŭ ponaczy nie pawinna nikoha ździŭlac. Skonczycca wajná i janý addziaczać Kiszkiálám za pomocz, a pakŭl szto j da czaho, niacháj pacierpiać. Padazrona cichuju hamanu ũ Ściapánawaj majsterni paczuła sonnaja maci Wolha. Jajé kabieczy instynkt padkazáŭ, szto pryhadni nie žartujuc, ich sytuacyja takaja, szto mohuc janý pawázycca na ũsio, nawat padpalic chatu j budynki. Z druhoha boku bajálasia niemcaŭ. Ichnymi prawakátarami hetyja wałakity nie padalisia, bo nie hawaryli pa-rasiejsku z chachłackim akcentam.

Maci Wolha – jak zaŭsiody – znajszła wyjście, wýpchnuŭszy baćku da dzieciej, szto spali, i marhnuŭszy Ściapanu.

– Słuchajcia, tawáryszczy, my wam niczoha ni możam sami dać, bo za dobruju wolu niemiec pastralaja nas u jakuju biadu, kalí chto z was papadziecca ũ ichny dopyt... Wiedajecia szto: biarecia wy sami, tak budzia lepiej. Znaczyć – my pad prymusam stajali...

Starszy z partyzanaŭ skazaŭ zastudźanym hołasam:

– Chitraja ciotka, tak i zrobim.

krwawym Stalinem, który szuflą wrzuca swoich żołnierzy w ogień wojny. Rozprowadzał porady dla rolników, jak siać, orać przed zimą, doglądać zwierząt gospodarskich, karmić kury zieleniną podczas mrozów, by dalej się niosły (a wszystko dla frontu). Władze zbierały baranice i kozuchy dla batalionów w rosyjskich śniegach. Ojciec milczał, czasem wychylając się z myślami: Niemiec nie przemoże Rosjan, bo wojuje techniką, a ta potrzebuje dróg, których w Rosji nie ma...

Likwidacja getta ożywiła fach Alika. Przychodzili klienci z naszabrowanym zapasem chromu, juchtu i podeszwy. Ci, co obłowili się w żydowskich chatkach na Pohulance i potajemnych składach garbarni. Alik robił z przyniesionych kawałków wykroje na zamówione trzewiki albo buty tak umiejętnie, że jeszcze zostawało i dla niego; resztę obcinków, zdatnych na łąty, oddawał.

W deszczową przedpółnoc Postu Filipowego, kiedy Alik stukotał nad czymś zamówieniem, ślepiąc przy lampce, ktoś zadzwonił palcem w szybę okienka. Do sieni weszło trzech obdartusów; czwarty został pod okapem. Z twarzami zarośniętymi po oczy, w łachmanach i chodakach, z niemieckimi szmajserami¹³⁵ w pogotowiu, głodni i zaziębieni. Partyzanci z bagien Czortowej Chaty. Z niesowiecką mową, jakby kozielską od Wołkowyska. Chcieli ubrań, obuwia, bochen chleba, kawalec słoniny, woreczek cebuli. Nie wyjdą, póki tego nie dostaną. Rozumieją, że zostawią ich gołych, ale do innych chodzić nie mogą po wiosce, by nie trafili na ich ślad żandarmi. Wszędzie donosiciele. Podwórze Kiszkielów przyuważali jako miejsce z kraju wioski, zaciszne, bezpieczne. Mieszka tu szewc, bywają ludzie, więc zjawienie się mężczyzn w nocy nie powinno nikogo dziwić. Skończy się wojna i oni odwdzięczą Kiszkielom za pomoc, a tymczasem niech oni pocierpią. Podejrzanie cichą rozmowę w Alikowym warsztacie posłyszała senna matka Olga. Jej kobiecego instynktu podpowiedział, że przybysze nie żartują, ich sytuacja taka, że mogą się oni poważnie na wszystko, nawet podpalić chatę i budynki. Z drugiej strony bała się Niemców. Na ich prowokatorów ci włóczędzy nie wyglądali, bo nie gadali po rosyjsku z chachłackim¹³⁶ akcentem.

Matka Olga – jak zawsze – znalazła wyjście, wypchnąwszy ojca do śpiących dzieci i mrugnawszy do Alika.

– Słuchajcie, towarzysze, my sami niczego nie możemy wam dać, bo za dobrą wolę Niemiec postrzela nas w razie jakiejś biedy, gdyby który z was popadł na przesłuchanie u nich... Wiecie co: bierzcie sami, tak będzie lepiej. Znaczy – staliśmy pod przymusem ...

Dowodzący partyzantami odrzekł przeziębionym głosem:

– Chitra ciotka, tak i zrobim.

Czujna abszukali zakutki, kufry, zahadali Ściapanu skinuć i swaje nahawicy (jakrąz padyszli stárszamu), panadziawali na apuchłyja nohi báckawy j Ściapánawy boty, pabrali ũ miaszok walonki, juchtowjya czarawiki.

– Ni miećmiem u czym wyjści da żywiny ũ chlawię, – praciwíusia Ściapán.

– Niczoha wam ni budzia, ty ż szawiec, namajstrujesz baćku j matcy jakijaści abijaki, daloka wam chadzić ni trebo.

– Ludzi ździwiacca, czamú my raptam bosyja?!

– A wy susiedziam skazecia, szto bandyty napali.

– Ni możam tak skazać, da niemca było b biehczy z danosam.

– Czaho biehczy?

– Takj paradak!

– A ty, maładzion, nie biaży, tolki chutka abuj staroho, sszaŭcuj jamú niejkija kłyhaczy, a maci nia musić wyłazić na ludzkija woczy, pakúl joj nia przydobisz...

Lasnyja pajszli ũ ciemień, zakínuuszy na pleczy salawyja miaszki z nahawicami, kaszulami, pinżakami, kurtkami j swetrami.

– Nu, usio: aczyścili nas na zimú, – skazaŭ upałym hołasam baćka.

– Dziakuj Bohu, szto żywymi pakínuli, a nabráuszyisia stolki, bolejš nia pryjduć, – supakoíła maci Wolha.

Alé stary biedawaŭ pa-swojmu:

– Ciapiér prasj Boha, kab katory ni trapiŭ pad bizuny Schattenbergu... Dastaŭszy wałkam u piaty dy gumaju pa nyrkach, raskaża, szto wiedaja j ni wiedaja... Chto daŭ każuchi? Jak za chto – Kiszkie!

Najchutcej paszyli z damatkánaha pałatná nahawicy Ściapanu, kab klijenty nia wytreszczwalisia na jaho biełyja łytki. Z baćkam było paŭbiady – znajszłasia ũ kamory panoszanaja świtka. Całkam ucaleła adzieżyna maci Wolhi, bábskaja...

Nia jnaczaj adczuwali siebie mazury pad Warszawaju ũ dwaccatym hodzie. Balszawickaja náwałacz prajszła saranczoju pa mazawieckich wioskach, zabirájuczy z chat boty j czarawiki, adzieńnie j charczy. Ściapán, paczytwajuczy rasiejskija knihi, jakija znachodziŭ u apustoszanaj hiecie, dawiedwaŭsia pra cárskuju ármiju adno niaźmieńnaje: drenna ekwipawanaja, u bitwach wyjaŭlała hieraizm. Adkuł braŭsia toj hieraizm u hałodnaha dy chałodnaha sałdata? Adkáz na hetaje pytańnie Ściapanu dawáŭ dwaccaty hod: ármija haładrancaŭ, jak niekali ármija francuzaŭ pad kamándaju Napoleona, mahtá tolki nastupác, kalí chacieła wyżyć. Niemcy, peŭna, báczyli projhrysz Hítlera, alé nia mieli wyjścia akramiá taho, jak trymacca frontu. Raźliczwalí na źmienu palityki, na parazumiełaś z aljántami, z Anhlíjaj i Amerykaj, alé heta było narodnaj utopíjaj, jak utopíjaj akázwajecca wiera ũ cud.

Czasami sialili ũ pustych murawanych damoch wermachtaŭcaŭ na karotki adpaczynak, lahcej paránienych. Nie wyhladali janý jak niamięckija wajskoŭcy

Uważnie przeszukali zakamarki, kufry, kazali Alikowi zdjąć spodnie (akurat pasowały na dowódcę), pozakładali na opuchnięte nogi ojcowskie i Alikowe buty, zabrali do worka walonki, juchtowe trzewiki.

– Nie będziemy mieli w czym wyjść do bydła w chlewie – wzbraniał się Alik.

– Nic wam nie będzie, tyś szewc, zmajstrujesz ojcu i matce jakie trepy, daleko chodzić nie musicie.

– Ludzie zdziwią się, czemu my raptem boski?!

– A sąsiadom powiedzcie, że bandyci napadli.

– Nie możemy tak powiedzieć, do Niemca trza byłoby biec z donosem.

– Po co biec?

– Taki porządek.

– A ty, młody, nie biegnij, tylko prędko obuj starego, zszewcuj mu jakieś człapaki, a matka nie musi wyłazić na ludzki widok, póki jej nie przyzdobisz...

Leśni odeszli w ciemność, zarzuciwszy na plecy solne worki ze spodniami, koszulami, marynarkami, kurtkami i swetrami.

– Ot i wszystko, oczyścili nas na zimę – wyrzekł zrezygnowanym głosem ojciec.

– Dzięki Bogu, że żywych nas zostawili, a nabrawszy tyle, więcej nie przyjdą – uspokajała matka Olga.

Ale stary biadolił po swojemu:

– Teraz prosz Boga, coby który nie trafił pod bat Schattenberga... Dostawszy wałkiem w pięty a gumą po nerkach, wygada wszystko, co wie i czego nie wie... Kto dał kozuchy? Jakże kto – Kiszkiele!

Najprędzej uszyli ze zgrzebnego płótna spodnie Alikowi, by klienci nie wytrzeszczali się na jego białe łydki. Lepiej było z ojcem – znalazła się dla niego w komorze znoszona świtka. Całkiem uchowały się ubrania matki Olgi, babskie...

Nie inaczej czuli się Mazurzy pod Warszawą w roku dwudziestym. Bolszewicka nawała przeszła jak szarańcza przez mazowieckie wioski, zabierając buty i trzewiki, ubrania i żywność. Alik, czytując rosyjskie książki, które znajdował w opustoszałym getcie, niezmiennie dowiadywał się o carskiej armii: źle wyekwipowana, w bitwach przejawiała heroizm¹³⁷. Skąd się brał ów heroizm u żołdactwa walczącego o głód i chłód? Odpowiedź na to pytanie dawał Alikowi rok dwudziesty: armia oberwańców, jak niegdyś armia Francuzów pod dowództwem Napoleona, mogła tylko nacierać, jeśli chciała żyć. Niemcy zapewne widzieli przegraną Hitlera, lecz nie mieli innego wyjścia, jak trzymać się frontu. Liczyli na zmianę w polityce, na porozumienie z aliantami, z Anglią i Ameryką, ale to było narodową utopią, jak utopią okazuje się wiara w cud.

Czasami kwaterowano w pustych murowanych domach wehrmachtowców na krótki odpoczynek, lżej rannych. Nie wyglądali oni jak niemieccy żołnierze

ž leta sorak pierszaha hodu. Niaczasta wychodzili na wulicy miasteczka, niczym nia cikawilisia, paźbiahali hutarki z tutejszymi. Bywała, suciszali zuchawatych žandaraŭ, szto, wajujujczy z cywilnym nasielnictwam, nie spaznali smaku j smurodu wajennaha losu. Za samahonku pradawali kurtki hnlnazialonaha koleru, choć i pachodźanyja, adnák salidnaje macaty. U ich chadzili chłopcy doŭha i paślá. Amckamisár asieŭ, kĭnuŭszy kateharycznaść faszysta. Czaściej szwendalisia lasnyja, jakich nie paznać ad bandytaŭ. Szancawała Schattenbergu spapaści¹³⁸ katoraha, zastrelić za haroju Prafĭtkaju. U paradku szarwarku muzyki wýkapali tam hłybokuju j szyrokuju jamú, u jakuju zwálwali trupaŭ, zbolszaha prysypaŭszy ziamloju. Bajálisia niemaki zarazy, epidemii.

U zázimak haniálisia za szalonym lisam u Łapickich horach. Dapáŭ da jaho palicejski wauczák dy, pakusany ũ klubawańnie, i jon zachwareŭ, aszaleŭ; piana z pysy pawaliła. Lisa pazbyŭsia ũreszcie laśnik, padkĭnuŭszy zarezanuju kurycu sa strychninaju. Doŭha ryży nie czapáŭ jaje, ażno katorahaści dnia ũbáczyłasia ad niasuszki adno pierje. Tak prosta nia było z partyzánami. Tym składaniej, szto nieŭzabawie pajawĭlisia j polskija; nazywálisia Armijaj Krajowaj. Janý, praŭda, siadzieli dawoli spakojna na szlachieckich zaścienkach, dastawali dalary, płacili imi za jezu, u wialĭkija światy balawali. Zhody z sawiĕtami ũ ich nie nahladáłasia, alé j nie pierastrelwalisia. Pra palakaŭ uwiedaŭ Ściapán ad padlesnych klijentaŭ; dziadzka ž Wiarchlesu padrabiazna raspawioŭ, dzie zasiela AK i czyje baby najmaje nanacz; dziaŭczát nie ciahajuć. Kudy horaj z sawiĕckimi bańdziużkami: kapiejkaj nie śmiardziáć, usio im dawáj „u imia Rodziny” (babu taksama).

Wiarchlesiec, czakájuczy kancá Ściapánawaj raboty nad jahonymi nowymi czarawĭkami, kazáŭ, szto niemcy nia ũmiejuć ławĭć partyzanaŭ. Chodziaczy pa lesie nieŭpapád abo jak chto im padkaża. Czamuści nia wĕdajuć, szto partyzanka raźmiaszczájecca blizka ruczajoŭ dy raczułak, bo biez wady anijaki czaławiek nia wýtrywaje. Iści treba ũzdoŭž ruczajá, tadý napeŭna nadyjdziesz na potajnaje stojła. Dobryja wýniki mohuć być ad asoczwańnia chat miascowych kurwaŭ, da jakich abawiazkowa łaziac lasnyja. Zakłaŭszy zasadu, schopisz kamańdziraŭ, a biaż ich raźbiażyecca banda. Mały pastuch karoŭ i awiĕc bolsz wĕdaje pra lasnych, czymści napraxykawany kanfident. Smurhiel¹³⁹ paznáje pryszłych pawodle zieljiszcza, szto lepicca da noh; adkuł toj pryjszoŭ, i ž jakoha ũročyszczca. Ci ž jáhadnikaŭ Czortawaj Chaty? Ci z hrybnic sasnowickaha boru? Ci z suszczy Barsukowaje hary? Pastuszkoŭ pytajuć wałakity, a ci *ni bácii* janý niemcaŭ? Dzie j kalĭ? Hetyja, zaŭczasna wýspielyja, chłopczyki wĕdajuć, szto niebiaśpieczna machlawáć. Tolki praŭdu kázuczy, usĭm-usiĕnkim, nia budziesz zabity ũ hustym maładniaku, u jakim trup twój znojduć ludzi nie raniej, czym zaśmiardziysz. Piersz žniŭchajuć lisy, waŭki; zatym bydła.

z lata czterdziestego pierwszego roku. Nieczęsto wychodzili na ulice miasteczka, niczym się nie interesowali, unikali rozmów z tubylcami. Bywało, uciszali zuchowatych żandarmów, co wojując z cywilną ludnością, nie zaznali smaku i smrodu wojennego losu. Za samogonkę sprzedawali kurtki zgniłozielonego koloru, choć i noszone, ale solidne. W nich chodzili chłopcy jeszcze długo potem. Amtskomisarz przycichł, zarzuciwszy kategoryczność faszysty. Częściej szwendali się leśni, których nie odróżnić od bandytów. Szczęściło się Schattenbergowi zdybać jakiegoś, zastrzelić za górą Prafitką¹⁴⁰. W trybie szarwarkowym chłopcy wykopali tam głęboką i szeroką jamę, gdzie zwalano trupy, z grubsza przysypując ziemią. Bali się niemiaszkowie zarazy, epidemii.

W pierwsze mrozy uganiano się za wściekłym lisem po Łapickich Horach. Dopadł go policyjny wilczur, jednakowoż, pokąsany w tamtym kłębowisku, i on zachorował, toczył z pyska pianę. Lisa pozbył się wreszcie leśniczy, podrzuciwszy martwą kurę ze strychniną. Rudy długo jej nie tykał, aż któregoś dnia z noski zostało tylko pierze. Z partyzantami nie było tak łatwo. Zwłaszcza że niebawem pojawili się i polscy; nazywali się Armią Krajową. Oni, co prawda, siedzieli dosyć spokojnie po szlacheckich zaściankach, dostawali dolary, płacili nimi za jedzenie, w wielkie święta balowali. Nie widać było zgody między nimi a sowietami, ale też się nie przestrzeliwali. O Polakach Alik usłyszał od podleśnych klientów; człek z Wierchlasu¹⁴¹ dokładnie opowiedział, gdzie siedzi AK i czyje kobiety najmuje na noc; dziewcząt nie nagabują. Znacznie gorzej z sowieckimi watażkami: kopiejką nie śmierdzą, wszystko im dawaj „wa imia Rōdiny¹⁴²” (babę także).

Wierchlesiak, czekając końca Alikowej roboty nad jego nowymi trzewikami, mówił, że Niemcy nie umieją łapać partyzantów. Chodząc na chybił trafił albo jak im kto podpowie. Czemuś nie wiedzą, że partyzanci obozują blisko strumieni i rzeczek, bo bez wody żaden człowiek nie wytrwa. Posuwać się trzeba wzdłuż strumienia, wtedy niechybnie najdziesz na potajemne stojło¹⁴³. Dobre wyniki może dać nazieranie chat miejscowych cichodajek, do których najpewniej łążą leśni. Zrobiwszy kocioł, złapiesz dowódców, a bez nich rozbiegnie się banda. Mały pastuch krów i owiec więcej wie o leśnych niż konfident z długą praktyką. Smarkacz pozna przybyszów po zielu, co przylgnęło do nóg; skąd przyszli i z jakiego uroczyska. Czy z jagodników Czortowej Chaty? Czy z grzybowisk sosnowickiego boru? Czy z chruśniaku Borsukowej Hory? Pastuszków wypytują włóczykije, a czy nie widzieli oni Niemców? Gdzie i kiedy? Ci, przedwcześnie dojrzały, chłopcy wiedzą, że niebezpiecznie jest kłamać, ktokolwiek by pytał. Tylko mówiąc prawdę nie będziesz zabity w gęstym młodniku, w którym trupa twojego znajdą ludzie dopiero, jak zaśmierdzisz. Najpierw zwietrzą go lisy, wilki; potem bydło.

U miasteczku – dosyć adkryta – zahawaryli pra polskich nastaŭnic, szto za torbku krup, za zbanoczak szmalcu, prymali na nawuku dziaciej. Da ich chadzili małyja wieczarami, kalí ciamniela; z ułasnym ałoŭkam i szsytkam dla pisańnia. Zadumali Kiszkielí pasłác Maniu, alé zusím nieczakana, pa-susiedzku, stali na kwateru rabotniki ź piakarni, dwoch; raspuścili sakretny pohalas, szto chozczuć wuczyc i janý wieczarnicami. Ważna, szto pa-biełarusku. Maci Wolha, pasłuchaŭszy rasjejskich słowaŭ u hetych „wuczycielau”, adrazu ściámiła, szto padasłányja janý partyzánami dzieła zdabyczy charczoŭ. Jak płatu, prasili pabolej mukí, zamiést chleba. Perłowaj kaszy. Słowam, taho, szto nie marnujecca. Razam z hetym nie pakázwali siabię intelihiętami; sympatycznija praściaki.

Szto było rabić z Maniaju? Biaz szkoły dziaŭczyna dziczela, choć Ściapán znachodziŭ hadzinu-druhuju, kab prymusić siastru paczytać niejkuju kniżku; chawáŭ na haryszczy paru rasijskich, polskich, i biełaruskija kalendary ź Bielastoku, szto raznosiŭ byŭ sołtys. Mania nudziłasia ũ „wuczycielau”, jak lepiej adukawánaja jaszczę ũ sawieckaj szkole. Partyzánskija niewuki zadawali wýzubryć wiersz Kupaty „Chłopczyk i lotnik”, i ruski „Jołku wyrublu w lesu, jołku w szkołu priniesu...” Na miasteczkowym rynku, na hetaj byłoj Kamedyi, „mazure” z Hilfspolizei dzięrlisia: „My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi...” i „Zuzanno, jesteś anioł – nie panna, jak nie dasz sikawicy, to cię okaleczę...”

Wermacht drapaŭ z Ukrainy i adstupáŭ za łatwijskiju Dźwinu. Dywizii SS pakínuli z bajami Smalensk. Amerykancy z anhielcami adczynili druhí front, wybiwájuczy niameczuhoŭ ź Italii; rymskija pryhażuni ratawali cnotki tysiaczami ũ Watykanie; z Afryki cierz Sycyliju nalahali na ich „pupki” berbery (na francuskaj służbie), ab czym źjedliwa infarmawáŭ Berlín.

„Step sieŭ na tanki” – kryczáŭ Goebbel, rasklejwajuczy afiszy z abadranaj niemkaj, jakuju hwałtujuć, pastáŭlenyja kamańdziram u byczynuju szarenhu, pjányja sawieckija sałdaty. Pili j tráchali. Saładości dzikich.

Wajná pakazała, szto zaŭsiody moża być straszniej, czym nawet padumajecca. Nia tymi akazálisia niemcy, szto zapamiatálisia starym ludziám. Pryjszli ũ sorak pierszym prosta bandyty ũ muńdzirach. Ruká im nie zdryhanułasiasa zastrelić kaho. Zwyczajna, na wulicy, by niejkaha sabaku. Heta nia była niemieckaja ármija, a faszystoŭskaja. Usio roŭna szto niejkaja epidemija, zaraziła janá sawieckuju ármiju, tym lahcej, szto kirawali joju takija ź bandyty na czalé ź wiadomym kaŭkaskim. Zahadkaj na ũsie wiakí zastaniecra, jakim czynam hrupka żulikaŭ awałodwaje milionami nacyi. Jak ni dumaj, nacyja musić chacieć mieć nad saboju takoha złydnia. Inaczaj nie ściarpiela b prymityŭnaha kaprała Hítlera na swajm harbie, abo niedawuczanaaha dziaká Dżugaszwili-Stalina. U faszyzm – rozumnych ludziej zabiwajúć, janý pieraszkada.

W miasteczku – dosyć otwarcie – zaczęto mówić o polskich nauczycielkach, które za torebkę kaszy, za dzbaneczek smalcu brały dzieci na naukę. Do nich chodzili malcy wieczorem, kiedy ciemniało; z własnym ołówkiem i zeszytem do pisania. Umyślili Kiszkielowie posłać Manię, ale całkiem nieoczekiwanie, po sąsiedzku, zakwaterowali się robotnicy z piekarni, dwóch; rozpuścili sekretną plotkę, że chcą uczyć i oni wieczorami. Ważne, że po białorusku. Matka Olga, posłyszawszy rosyjskie słowa u tych „uczycieli”, od razu zmiarkowała, że nasłali ich partyzanci dla zdobywania żywności. Względem zapłaty prosili więcej mąki zamiast chleba. Kaszy perłowej. Słowem tego, co się nie psuje. Przy tym nie okazywali się inteligentami; sympatyczni prostaczkowie.

Co było robić z Manią? Bez szkoły dziewczyna dziczała, choć Alik znajdował godzinę jedną-drugą, by przymusić siostrę do przeczytania jakiejś książki; chował na strychu kilka rosyjskich, polskich, i białoruskie kalendarze z Białegostoku, co roznosił był sołtys. Mania nudziła się u „uczycieli” jako lepiej edukowana jeszcze w sowieckiej szkole. Partyzanckie nieuki zadawali wykuć na pamięć wiersz Kupaly *Chłopczyk i lotnik* i rosyjski *Jolku wyrublu w lesu, jolku w szkołu priniesu*¹⁴⁴. Na miasteczkowym rynku, na tej byłej Komedii, Mazurzy z Hilfspolizei darli się: „My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi...” i „Zuzanno, jesteś anioł – nie panna, jak nie dasz sikawicy, to cię okaleczę...”.

Wehrmacht czmychał z Ukrainy i cofał się za łotewską Dźwinę. Dywizje SS oddały po bojach Smoleńsk. Amerykanie z Anglikami otworzyli drugi front, wybijając fryców z Italii; rzymskie dziewczątka tysiącami ratowały cnotki w Watykanie – z Afryki przez Sycylię nalegali na ich pupki Berberowie (we francuskiej służbie), o czym przekąśnie donosił Berlin.

„Step wsiadł na czołgi” – krzyczał Goebbels, rozklejając plakaty z obdartą Niemką, którą gwałca, ustawieni przez dowódcę w byczy szereg, pijani sowieccy żołdaci. Pili i grzmocili. Rozkosze dzikich.

Wojna pokazała, że zawsze może być straszniej niż nawet się pomyśli. Nie tacy okazali się Niemcy, jak zapamiętali ich starzy ludzie. Przyszli w czterdziestym pierwszym wprost bandyci w mundurach. Takiemu ręka nie zadrżała, by kogo zastrzelić. Zwyczajnie, na ulicy, jak jakiego psa. To nie była niemiecka armia, a faszystowska. Niczym jakaś epidemia zaraziła ona sowiecką armię, tym łatwiej że kierowali nią podobni bandyci, na czele z wiadomym kaukaskim. Zagadką na wszystkie wieki pozostanie, w jaki sposób grupka żuli owłada milionami w narodzie. Cokolwiek by myśleć, naród musi chcieć mieć nad sobą takiego łotra. Inaczej nie ścierpiałby on prymitywnego kaprała Hitlera na swoim karku albo niedouczzonego diaka Dżugaszwili-Stalina. W czas faszyzmu mądrych ludzi się zabija, oni przeszkodą.

Tłumaczenie nawidawoku: faszyzm idealohijaj hałoty, szto baczyć ratunak sabie ũ rabunkach. „Grab nagrąblennaje” – zaklikali balszawiki, raźniosszy na kipciuroch usiu Rasiju, pachawaŭszy ũ ziamlu miljony hałodnych. Czamú tak bywaje? – pakutna razdumwaŭ Ściapan. Czamú niczoha nie dapamahaje wiera ũ Boha, kab nie zabiwác, nia kraści, nia hwałcić, nie klaści... Tym czasam na wajskowych dziahach hitleraŭcaŭ krasawálasia wýraznymi litarami „Z nami Boh”. Sawietam dawoli było sucharukaha Stalina.

Wyjaśnienie na widoku: faszyzm ideologią gołoty, która widzi ratunek dla siebie w rabunkach. „Grab nagrabiłone” – nawoływali bolszewicy, rozniósłszy na pazurach całą Rosję, pochowawszy w ziemi miliony zmarłych z głodu. Czemu tak bywa? – z udręką rozmyślał Alik. Dlaczego nic nie pomaga wiara w Boga, by nie zabijać, nie kraść, nie gwałcić, nie przeklinać... Tymczasem na wojskowych pasach hitlerowców pysznił się wyraźny napis: „Bóg z nami”. Sowietom wystarczał suchoręki¹⁴⁵ Stalin.

IX

U niemieckuju akupacyju nia czuwać było pra wiasielli ani muzyki. Ludzi, peŭna, žanilisia j wiesialilisia, alé toje j toje adbywałasia pad rzykaj. Zbor narodu wyklikáũ padazreŭni z boku ũlad, szto mahło zakoneczycca ciazkim śledztwam abo j rasstrełam. Zimowymi wieczarami doũha nie siadzieli, rana kładowilisia, ustajuczy na doświtku. Byũ nakáz szczylna zasłaniác wokny radziũzkami, choć sawieckija samaloty nia lotali nad wioskaju.

Niemcy ũstanawili nacznuju wartu: miała abawiazak uźnimác werchał u źjaũleŭnie partyzanaũ. Wartawych wyznaczáũ sołtys, a sołtysa kantralawaũ Schattenberg abo chto ź jaho pamocznikaũ. Z kantrolem nia było žartaũ – niemiec bajaũsia partyzanaũ; padyjszli noczczu da miasteczka raz ci dwa. Trochi pastralali biaz tołku ũ bok kamandatury dy stolki taję ataki.

Żandary mieli modu zakazwać na dzieŭn furmanki; siadali pa adnym na koźnuju i jechali da sasnowickaha nadlesnaha balawác. Dobra wiedali, szto partyzanka nie pastralaje ich, bo nadlesny patrebny tym i tym dziela wýwiedki. Adnak jak tolki wieczareła, wiartálisia ũ miasteczka. Harłajuczy swaję pieśni.

Nastroj akupacyi źmianiaũsia. Adny adnych – partyzany j niemcy – biaz pilnaje patreby ũžo nie zaczapali. Abodwa baki razumieli, szto pieramožcaũ tut nia budzie; ũsio wyznaczáũ uschodni front, szto adkaciũsia da Dniaprá. Wajawác suproć sawietaũ pierastawała być ordenanosnym honaram. Chadzili czutki, szto sakolskija czyhũnaczniki báczyli eszalony z trupami, wiewzienymi ũ Niamiecczynu dziela pachawaŭnia ich radnioju.

Ściapán wýsaczyũ tchará, szto wýduszyũ byũ jamú trusoũ (asabliwy žal u Andrejki). Hniezdawaũ złydzieŭ u kruszni za stadołami, blizu Anisimowiczawych aharodaũ. Tchor pilna chawaũsia, wyłaziacy na razboj ponaczy, byccam partyzán jakĩ. Nia było inszaha sposobu, jak uziacca raskidác tyja kamiani; dapamaháũ Ściapanu baćka. U adziŭn momant źwiarok wýskaczyũ pierad twaram staroha Kiszkiála, widác baroniaczy małych u nary. Ściapán celna ahłuszyũ jaho małym kamieniem, alé ũ adnaczaŝsi ũhledzieũ szklanyja pobliski ũ raskrytaj jamie. Heta byli radyjolampy.

Kiszkiel zakamándawaũ synu *ni brqć* taho ũ ruki, kab chto nie padhledzieũ, i zasypác znachodku nazád druzam. Niczoha nie padũmali janý na wuczanych Anisimowiczaũ, bo darahich lámpawych aparataũ u sialán nia bywała. Potym Ściapán, chodziacy z kasoju na wýhanski lužok, szto pa-nad ruczajom u lilejach, paziráũ zdalá na kruszni: lażała jak lażała. Napeŭna katoryŝ žyd nadumaũ prychawác tam lampy da lepszaha czasu, spadziejuczysia, szto hieta ũcaleje.

IX

Za niemieckiej okupacji nie słyszało się o weselach ani zabawach. Pewnie żeniono się i weselono, ale jedno i drugie było ryzykowne. Tłumne zebrania ściągały podejrzenia ze strony władz, co mogło skończyć się ciężkim śledztwem, a nawet rozstrzelaniem. W zimowe wieczory ludzie długo nie siedzieli, wcześniej kładli się spać, wstając przed świtem. Był nakaz szczelnie zasłaniać okna kapami, chociaż sowieckie samoloty nad wsią nie latały.

Niemcy ustanowili wartę nocną: miała wszczynać alarm w razie pojawienia się partyzantów. Wartowników wyznaczał sołtys, a sołtysa kontrolował Schattenberg albo któryś z jego pomocników. Z kontrolą nie było żartów – Niemcy bali się partyzantów; podeszli nocą pod miasteczko raz czy dwa. Trochę postrzelali bezładnie w stronę komendantury i tyle tego ataku.

Żandarmi mieli modę zamawiać na dzień furmanki; siadali po jednym na każdą i jechali do sosnowickiego nadleśniczego balować. Dobrze wiedzieli, że partyzantka nie postrzela ich, bo nadleśniczy potrzebny i tym, i tamtym do wywiadu. Jednak skoro tylko zmierzchało, wracali do miasteczka. Wykrzykując swoje pieśni.

Nastrój okupacji zmieniał się. Jedni drugich – partyzanci i Niemcy – bez pilnej potrzeby już nie zaczepiali. Obydwie strony miarkowały, że zwycięzców tu nie będzie; o wszystkim stanowił front wschodni, który odczył się od Dniepru. Wojowanie przeciw sowietom przestawało być medalodajnym honorem. Chodziły słuchy, że sokolscy kolejarze widzieli eszelony z trupami, wiezionymi do Niemiec dla pochowania ich przez rodziny.

Alik wytropił tchórza, co był wydusił mu króliki (szczególnie żałował ich Andrzejek). Gniazdował paskudnik w kamienisku za stodołami, blisko Anisimowiczowych ogrodów. Tchórz skrzętnie się chował, wylażąc na łowy w nocy, niby jaki partyzant. Nie było innego sposobu, jak wziąć się za rozgarnianie tych kamieni; dopomagał Alikowi ojciec. Raptem zwierzak wyskoczył przed nosem starego Kiszkiela, widocznie broniąc małych w norze. Alik celnie ogłuszył go małym kamieniem, jednocześnie spostrzegłszy szkliste pobłyski w rozkopanej jamie. Były to lampy radiowe.

Kiszkiel polecił synowi nie brać tego do rąk, by kto nie podejrzwał, i zasypać z powrotem znalezisko. Nic nie pomyśleli na edukowanych Anisimowiczów, wiedząc, że lampowy odbiornik jest za drogi jak na chłopską kieszeń. Potem Alik, chodząc z kosą na wygonny lużek, co ponad ruczajem wśród lilij, pozierał z dala na kamienisko: leżało, jak leżało. Pewnie któryś Żyd umyślił przychować tam lampy do lepszego czasu, licząc, że getto ocaleje.

Szaucawańnie ũ Ściapanu – zajmąła jaho pierad wialikimi świątami. Nia mieŭ spakoju pierad Kaladŭ; niaczasta prychoǳili zakázczyki ũ pieradwialikdzień. Zreszty, kanczálisia ũ ludziej skury j padeszwy, kuplenyja abo skráǳienyja ũ żydoŭ. Zdarálasia: znachodzili ũ ruinach schowy ũ ścienach abo ũ sklapoch; zdabytczyki, adnák, canilisia i ũsiahu niekatorym chapáła hroszaj na kuplu juchtu; trapałusia chrom. Usio ciażej udawałasia Ściapanu adrezać sabie ũ klijenta kawałak, chacią b na czarawiczki Andrejku ci wiesnawyja tufliki dla Mani.

Niemcy adstupali ũpaczatak leta (sorak czaćwier̄taha). Wyhan zaprudziŭ kazacki aboz. Jechali janý ž siemjami. Naŭkoła pawykoszwali zialonyja aŭsy, koniam. Kazaczki małaszylu aharody, ichnaja dzieciarnia biehała kupacca ũ basejnie, szto wykapali jaszczę żydy pad niemieckim bizunom. Pływali, taksama paŭhołyja, chachłuszki z ukraiskaj roty ũ miasteczku. Sawiety nie bambawali, huducy czmialinymi rajami na Bielastok. Tutejszy narod bajałusia addalacca, aścierahájuczysia kazakoŭ i ũkraincaŭ (u ich nia było paczakáj). Dziaŭczaty j maładzicy nia wysoŭwali nosu; staryja kryczali na ich, kab nie pakázwalisia na wulicy; kazali: u susiednij wioscy kazackija łajdakŭ akabyłili charaszuniaŭ, adnu aż upiacioch. Pad rānicu ũzarwali partyzany elektroŭniu ũ miasteczku; niechta baczyŭ, szto siemianoŭskija. Zusím nierazumna, bo niemcy dawoli szparka ewakuawálasia. Wyhladała toje, byccam siemianoŭcy z duru dapamahli akupantam žnisztażać miasteczka...

Wermachtaŭskija aficery zapynilisia na rynku z hruzawikom cukru ũ miaszkoch i tłumaczyli cikaŭnym babam, szto treba iścŭ kapác akopy nad Śwŭsłaczcu – „za torbaczku taho cukru dzieciom”. „Jedyn kilogram kindercucker für eine Frau.” Niekatoryja pajszi, dastaŭszy ũ ruki sapiorskija rydlowaczki. Pawiartálasia ũ adwiazorak, upałowchanyja stręłami z zarczynych kustoŭ. Abiacany cukar niemcy dalŭ i zmatálasia na samachodzie kudyści dalej. Mużczyny tałkawali, czamŭ pabrali kabieť na toje kapańnie? Pryczyna zdałasia jasnaj: mużczyn partyzany pastralali b, zasjeŭszy ũ bałotnych huszczawinach, (znaŭcy ćwiardzili, szto z ruskaj wintoŭki typu Mosina można pacelić z daleczyni nawet dwuch kilametraŭ).

Niejak nazaŭtra ci paślá, pryjechali palić wiosku maładyja niemczyki, na matacykli z łodkaju i kulamiotam na joj. Byli imi mazury, jakim trochi waroczałusia jazyk pa-polsku. Pawinny pahareć ad ich prastorniejszyja chaty j bolszyja stadoły, kab sawiety, nastupájucy, nia mieli dzie naczawác.

– Idzi, pahawary ž imi, – pahaniała Ściapanu maci Wolha. – Ty ž służyŭ u Suwałkach, wŭdajesz ichnuju rozmowu.

Ściapan zdurnieŭ, nia ciámiaczy, jak padstupicca da tych jung-dojezzaŭ. Bačka piareczyŭ:

– Choczasz, matka, kab chłopca nam zabili!?

Szewcowanie – zajmowało Alikę przed wielkimi świętami. Nie miał wytchnienia przed Bożym Narodzeniem; rzadziej zamawiano obuwie przed Wielkanocą. Zresztą kończyły się u ludzi skóry i podeszwy, kupione lub skradzione u Żydów. Bywało: znajdowano w ruinach schowki w ścianach albo piwnicach; poszukiwacze jednak cenili się i mało komu starczało pieniędzy na zakup juchtu; trafiał się chrom. Coraz ciężiej udawało się Alikowi odciąć sobie u klienta kawałek, choćby na trzewiki dla Andrzejka czy wiosenne pantofle dla Mani.

Niemcy wycofywali się w początku lata (czterdziestego czwartego). Wygon zastawił obóz kozacki. Jechali oni z rodzinami. Naokoło powykaszała zielony owies, dla koni. Kozaczki buszowały w ogrodach, ich dzieciarnia biegała na kąpielisko, wykopane przez Żydów jeszcze pod niemieckim batem. Pływali, tak samo półnaczy, chachłaczki¹⁴⁶ z ukraińskiej rotty w miasteczku. Sowieci nie bombardowali, dudniąc trzmielimi rojami na Białystok. Tutejszy naród bał się oddać, wystrzegając się kozaków i Ukraińców (u tych nie było poczekaj). Dziewczęta i młódki nie wysuwały nosa; starzy krzyczeli na nie, by nie pokazywały się na ulicy; mówili: w sąsiedniej wiosce kozacy łajdacy okobylili ślicznotki, jedną aż w pięciu. Rankiem wysadzili partyzanci elektrownię w miasteczku; ktoś widział, że siemianowscy¹⁴⁷. Całkiem bezrozumnie, bo Niemcy dosyć pośpiesznie się ewakuowali. Wyszło na to, że siemianowcy z głupoty dopomogli okupantom niszczyć miasteczko...

Wehrmachtowscy oficerowie zatrzymali się na rynku z ciężarówką cukru w workach i tłumaczyli ciekawskim babom, że trzeba iść kopać transeje nad rzeką Świsłoczą – „za torebkę tego cukru dla dzieci”. „Jedyn kilogram kindercucker für eine Frau¹⁴⁸”. Niektóre poszły, dostawszy do rąk saperskie łopatki. Powracały w przedwieczór, wystraszone strzałami z zarzecznych krzaków. Obiecany cukier Niemcy wydzielili i pojechali dokądś dalej. Mężczyźni głowili się, czemu wzięto kobiety do tego kopania? Przyczyna wydała się jasna: mężczyźni partyzanci ostrzelaliby, zaległszy w błotnym sitowiu (znawcy twierdzili, że z rosyjskiego karabinu Mosina można wcelować z odległości nawet dwóch kilometrów).

Jakoś nazajutrz czy później przyjechali młodzi niemczykowie, motocyklem z koszem i kulomiotem na nim. To byli Mazurzy, którzy trochę mamłali po polsku. Powinny za ich sprawą zgorzeć okazalsze chaty i większe stodoły, aby nacierający sowieci nie mieli gdzie nocować.

– Idź, pogadaj z nimi – ponagliła Alikę matka Olga. – Służyłeś w Suwałkach, znasz ichnią rozmowę.

Alikę zgłupiał, nie wiedząc, jak podejść do tych młododojców¹⁴⁹. Ojciec sprzeciwiał się:

– Chcesz, matka, żeby chłopca nam ubili!?

Maci Wolha dała Ściapanu ũ ruki koszyk ż jajkami, sałam, wiankom kiłbasy, słoikam miodu, bochnam chleba, i adniekul wýnajdzienaj joju butlachaj samahonki. Ściapán pajszoũ – frycy na rostaniach jak by naczekwali, kab chto-leń padyjszoũ.

– Czo ty za jedyn, – zapytaũ toj pry kulamiocie i pahierhataũ kaleham.

Ściapanu raptam pajaśnieła ũ mazhoch.

– Śniedańnie wam, – skazaũ, pakázwajuczy palcam na kosz.

– Sniadanie, – żdziwiũsia toj ża. – Pokaż. Chodż! Schneller!

Zahłedzielisia ũsie, adkinuũszy żwierchu biełaje pałatno.

– Schön, gut!

U Ściapana dapyłisia, katoraja jaho chata i dalį zrazumieć, szto jajé nie padpalać. Alé heta była słabaja paciecha; pahoda suszyła j dżmuũ wiecier; wioska pojdzie z dymam razam z Kiszkiłami.

– Naszto pálicie, – ásciarożna nastojwaũ Ściapan. – Wy ż więniecieszia, my was czakaćmiem.

Niemczykam arhumęnt spadabaũsia, adnák muśili razwodzić pażary ũ adpawieđnaści z zahadam sztabu. Jak kożny sztab, tak i hety „paczmychaũ” u tył, alé trymaje woka na tym, jak pałychaje dymami front. Ściapán ureszecie skazaũ sztości, szto matacyklistaũ zacikáwiła: tut znachodziacca wysoznyja ścirty majantkowaj sałomy, daduć janý dymu da samych chmaraũ...

– Kein Idiot, Bauer! – pachwalili Ściapana.

Niemcy zasieli ũ tych babskich rawoch, a taksama parabili akopy na pahorkach, dy pastáwili piac harmataũ u hai. Heta znáczyła, szto sawiećekaja ármija niedaloka. Czas ad czasu ũznimáłasia palbá, alé boj napraũdu paczaũsia, kalį ziamlá zadryżeła ad wýbuchaũ. Ściapán nios tadý dwa akałoty z humná, na podścił żywinie ũ chlawieć. Pádajuczy, nakryũsia jon imi, paczuũszy blizki świst; szrapnel razarwaũsia na zahonie z morkwaju, siakuczy askołkami pa tuha żwiázanaj piarewiaslam sałomie. Kalį b nia toje, było b pa Ściapanie.

Upiaređadzień abstrełu czort pryhnaũ nazád kamandu ũkrajincaũ z tutejszaha garnizonu; chacieli pabráć u haspadaroũ była na miasa ũ wajskowuju kuchniu. Naczaũpli b janý biadý, kalį b chtości z partyzanaũ nie adkryũ pa įich ahoń – wýpuścił z záraślaũ áutamátnuju czarhu. I choć áutamát prasakataũ koratka j druhi raz nie azwaũsia, ukrajinśkija chałujį kinuli ũsio, nawet krychu naarysztoũwanych karoũ; drapanuli na biełastockuju szaszu. Kazaki zwałaklisia byli ranej, niby na sakolskuju czyhunacznuju stancyju, dzie pasadzili įich u wahony...

Niemcaũ ciapięr nia było tak wielmi widáć. Pakįnuli pazycyį, badáj, noczczu. Uporanak stajáta ciszyniá i tolki ũ kancy wioski chadżiła toũstajá rażwieđnica z nahanam i dwumá sałuđacikami. Cikaũliwyja dziadżki ũwieđali ad jaje, szto pieradawája rota sawietaũ sprabawała zdabyć tyławy niemiecki tank, usie da

Matka Olga dała Alikowi do rąk koszyk z jajkami, sadłem, pętem kiełbasy, słoikiem miodu, bochnem chleba i wyciągniętą skądś butlą samogonki. Alik poszedł – fryce na rozstajach jakby naczekiwali, by kto bądź podszedł.

– Co ty za jedyn? – zapytał ten przy kulomiecie i poszwargotał coś w stronę kolegów.

Alikowi raptem pojaśniało w mózgowicy.

– Śniadanie wam niosę – ozwał się wskazując na koszyk.

– Śniadanie – zdziwił się tenże. – Pokaż. Chodź. Schneller!

Zapatrzyli się wszyscy, odchyliwszy z wierzchu białe płótno.

– Schön, gut!

Dopytali Alika, która jego chata, i dali zrozumieć, że jej nie podpalą. Marna pociecha, bo pogoda była sucha i dał wiatr; wioska pójdzie z dymem razem z Kiszkielami.

– Po co palicie? – ostrożnie nalegał Alik. – Wyż wróćcie, będziem was czekać.

Niemczykom argument się spodobał, tymczasem musieli mnożyć pożary stosownie do zarządzeń sztabu. Jak każdy sztab, tak i ten czmychnął na tyły, ale trzyma oko na tym, jak bucha dymami front. Alik wreszcie powiedział coś, co motocyklistów zaciekawiło: opodał znajdując się wysoczyste sterty majątkowej słomy, dadzą one dymu aż do chmur...

– Kein Idiot, Bauer!¹⁵⁰ – pochwalili Alika.

Niemcy zasiedli w tych tam babskich rowach, a także porobili okopy na pagórkach i ustawili pięć armat w gaju. To znaczyło, że sowiecka armia niedaleko. Od czasu do czasu wzbierała palba, lecz prawdziwy bój zaczął się, gdy ziemia zadrżała od wybuchów. Alik niósł wtedy dwa okołoty¹⁵¹ ze stodoły, na podściółkę dla trzody w chlewie. Padając, nakrył się nimi, posłyszawszy bliski świst; pocisk rozerwał się na zagonie z marchwią, siekąc odłamkami po ciasno związanej powrośtem słomie. Gdyby nie to, byłoby po Aliku.

W przeddzień ostrzału diabli przygnali z powrotem drużynę Ukraińców z tutejszego garnizonu; chcieli nabrać od gospodarzy bydła na mięso do polowej kuchni. Narobili by biedy, gdyby któryś z partyzantów nie ostrzelał ich – wypuścił z zarośli serię z automatu. I choć karabin pogdakał krótko i drugi raz się nie odezwał, ukraińskie szuje rzucili wszystko, nawet kilka zaaresztowanych krów; dali drapaka na białostocką szosę. Kozacy zwlekli się wcześniej, ponoć na sokolską stację kolejową, gdzie posadzono ich do wagonów...

Niemców teraz nie było tak bardzo widać. Opuścili pozycje, bodaj nocą. Rankiem stała cisza i tylko w końcu wioski chodziła gruba baba ze służby rozpoznania, z naganem i dwoma żołnierzami. Ciekawscy „wujkowie” dowiedzieli się od niej, że przednia rota sowietów spróbowała zdobyć niemiecki czołg na tyłach; co do

aposzniaha nakładajucy haławami. Ich kamańdir, maładzieńki lejtenant, kipieŭ zadańniem sławy j ordena. A niedzie za Sakołkaju szalenawaty palitruk nakryŭ saboju szwabski kulamiot... Niewiadoma, ci sapraŭdy, alé ad ich usiákaha možna czakać.

Schawaŭsia kudyści sołtys, szto żyŭ z kĭnutaj ruskaj aficerskaj ŷonkaju.

Z ustupleńniem sawietaŭ paźnikali nie adny falksdojczy, jakĭch krychu pajawiłasia ũ miasteczku ũ akupacyju, ŷ siemjaŭ potomnych niemcaŭ. Starejszy ŷ ich pawieŭsia ũ dźwiarách swajho domu. Zastreliŭsia polski palicáj; jaszczé na służbie chwareŭ. Na wyzwaliciełaŭ nichto nie ŷwiartáŭ asabliwaje ũwahi; abłachmánienyja sałdaty szwendalisia pa chatach, wyproszwajucy ũ haspadyniaŭ kwartu „małaczka” i akrajec „chlebcá”. Dawali im ŷ liťaści. Aficerniá pawodziła siabie hanarowiej, siadajucy za sialanski stoł nie raniej, czymści zaprasili. Aliku nia mieŭciłasia ũ haławie dumka, szto nikoli nia dbali pra rasiejškaha sałdata. Takaja armiejskaja tradycyja ũ „kacapaŭ”.

Wiaskowaja hałota rynułasia abirác majontak. Pany ŷbiehli ŷ niemcami, pakidajucy pustyja pakoi i aholenuju meblu. Naszy rodnyja srajkiszki prywałakali na placzách usieńka, szto ũchabili, usio roŭna szto paszkadawaŭszy swajho strymańnia ũ rabawańni hiety, kalí plázyli jajé na waczách niemcaŭ najezdźyja chamuty. Wyrwali dźwiery, wakonnyja ramy. I jak by zrazu nia zhledzieŭszy, apustoszyli da dná sázałki z karpami. Cieraz raskapányja miescami haci spuskali wadu ũ ruczáj, kab hartác kaszami rybu. Janá doŭha nie mahłá lażác u sialanskich schowach, u ciopłuju paru, tamŭ jeli jajé chocucy j nia chocucy. Ludzi pachwareli ad abźorstwa. Jak kpili potym: na dziasiaty zahon nasiła ich za patrebaju, nie chapała macaty adahnucca. Dyzenteryja! Nieszta naksztáłt chalery! Wajskowy lekar rekamendawaŭ hłytać draŭlany wuhal.

Palitrukám nia ładziłasia prapahanda z táncami, moładź – chwaraблиwa apaskŭďzanaja – saromiełasia wychodzić; najbolsz panienki. Paślá, u dorosłaść, hadami hiďziła ich hladzieć na rybnyja prysmaki.

Kiszkiáloŭ niedalŭbliwali za ich pamiarkoŭnaść. Bywała, prazywali panami. Jeliŭ im koźny, kamu chaciełasia sezaŭpci brydu. Ściapán wiedaŭ, chto padbuchtoryŭ sałdatniŭ, kab pryjszłá da jaho z patrabawańniem paramantawác, stoptanyja ũ pachodach, boty (hetaje barachło nazywali „batinki”). Na tłumaczeńnie Ściapana, szto nia maje jon czym rabić, pastáli ŷ wintoŭkami za špinaju, pahrozna sapucy. Dawiałosia marnawác na kawálki starŭ abutak klientaŭ, szto walaŭsia nieparamantawanym. – Nam daże ŷenszcziny nie atkazywajut w sładastiach za aswabaďdienije at faszystaw!

Piachota pajszłá na lĭniju Wisły. Haspadary rynulisia ũ ŷniwo. Niemcy ũciakali ũ dobry czas: ŷyta nie pierašpieła, jaczmieni nie „pahareli”, pszanica ũ dalinkach nabiráłasia załacistaści; baby prapałoli lon i ũzialisia za aharody, (na asielicach

jednego nakładając głowami. Ich dowódca, młodziutki lejtnant, pałał żądzą chwały i orderu. A gdzieś za Sokołką żarliwy do szaleństwa politruk nakrył sobą szwabski kulomiot... Nie wiadomo, czy naprawdę, ale po nich wszystkiego można się spodziewać¹⁵².

Schował się dokądś sołtys, co żył z porzuconą rosyjską oficerską żoną.

Z wejściem sowietów poznikali nie tylko folksdojczę¹⁵³, których trochę się objawiło w miasteczku w okupację, z rodzin o niemieckim pochodzeniu (starszy z nich powiesił się w drzwiach swojego domu). Zastrzelił się polski policjant; jeszcze na służbie chorował. Na wyzwolicieli nikt nie zwracał szczególnej uwagi; obszarpani żołdaci szwendali się po chatach, wyprasząc u gospodyń kwartę „małaczka” i okrajec „chlebca”. Dawano im z litości. Oficerstwo zachowywało się honorowiej, siadając za chłopskim stołem nie wcześniej, nim zaproszono. Alikowi nie mieściło się w głowie, że nigdy nie dbano o rosyjskiego żołdata. Taka armijna tradycja u „kacapów”.

Wioskowa biedota ruszyła szabrować majątkowe mienie. Panowie uciekli z Niemcami, zostawiając puste pokoje i ogołoczone meble. Nasi rodzimi srajkiszkwowie przywlekali na plecach, co tylko pochwycili, widocznie żałując swojej powściągliwości w rabowaniu getta, gdy łupili je na oczach Niemców podobni im przyjezdni. Zdejmowali drzwi i okna, wyrrywając ościeżnice do kompletu. I – jakby nie zreflektowawszy się zrazu – opróżnili do dna sadzawki z karpiami. Przez rozkopane miejscami groble spuszczały wodę do ruczaju, by wygarnąć koszami rybę. Ta nie mogła długo leżeć w chłopskich piwnicach ciepłą porą, zatem jedli ją, chcąc i nie chcąc. W końcu pochorowali się z obżarstwa¹⁵⁴. Jak kpiono potem: na dziesiąty zagon nosiło ich za potrzebą, nie starczało sił, by się wypiąć. Dyżentaria! Coś w rodzaju cholery! Armijny medyk radził zażywać czerń węglową¹⁵⁵.

Politrukom nie układała się propaganda z tańcami, młodzi – upaskudzeni chorobą – krępowali się wychodzić; osobliwie panienki. Później, w dorosłości, lata całe mdliło ich na widok rybnych przysmaków.

Kiszkielów trochę niedolubiano za ich umiarkowanie. Bywało, przezywano panami. Dokuczał im każdy, komu chciało się zrobić świństwo. Alik wiedział, kto podbechtał żołdatów, by przyszli do niego z żądaniem podreperowania zdeptanych w marszu butów (to badziewie nazywali „batinkami”). Na tłumaczenie Alika, że nie ma on czym robić, stanęli z karabinami za plecami, groźnie sapiąc. Przyszło marnować na łąty stare obuwie klientów, co wałało się nienaprawione. „Nam daże żeńszczyzny nie atkazywajut w sładastjach za aswabażdienije at faszystaw!¹⁵⁶”.

Piechota poszła na linię Wisły. Gospodarze ruszyli do żniw. Niemcy uciekali w dobrą porę: żyto nie przejrzało, jęczmień nie „pogorzał”, pszenica w dolinkach nabierała złocistej barwy; baby wypielify len i wzięły się za ogrody (na siedliskach

białeta pałatno). Pastuchj raskładali z suchatraŭja ahnj ũ niemieckich akopach, ukidájuczy ũ połymia adkapányja miny j stużki z patronami. Na aleksandroŭskim haścincy razarwała kaniá, wýwáliła woz sa snapami; haspadár ź piarepałachu pahopaŭ u Žaŭrukoŭ łuzok, topiaczysia ũ bahońniku, (wywałakli jaho adtúl jakijaści ludzi). Pajszlá moda ũ dziaciej padkłádác wieczarami pad wokny białatrupnyja fosfarnyja prywidy, szto wyklikała dziki lamant u zababonnych žycharoŭ. Wyrablali zasrancy samapały, ź jakich stralali pa waronach; adważniejszym adrywała palcy, nawet woka adnamu wýbiła, choć siabry ũpichwali nazád pad łob. Niaścichana hrymieli ũ paletkach wýbuchi; nikoha heta nia trywożyła. Czasam pachawali katoraha durałoba na mohiłkach, klanuczy pustahałoŭje.

Bábina leta sorak czaćwiertaha zapamiatálasia Ściapanu suchoju pahodnaściu. Maci Wolha prybirálasia da kapańnia bulby, leczaczy ramonkawym adwaram hniłnyja skuły, szto absypali jajé ad natuhi žatwy siarpami. Pahaworwali pra kosy – bačka padkazwaŭ – alé kašba liczyłasia marnatraŭstwam absypanaha ziernia. Žniamarki dy kambajny – czysty balszawizm durnych ruskich. „Maszyny dawiali Rasieju da hoładu!”

Maci Wolha j bačka namiakali Ściapanu na žanićbu. Jaszczé trochi i piaćdziasiatka pawisnie jamú na nosie, a dalej tolki staraść. Ściapan i biaż jichnych padkazaŭ padumwaŭ ażanicca. Dzieŭki nia nadta azirálasia na jaho, mabyć, pabojwajuczysia jahonaj kniźnaści, a moża j porstkaj maci Wolhi dy cielepawátaha bački. Haspadarka Kiszkialoŭ małaja: na jajé nasiadzie j daczka Mania, i bratu Andrejku mus budzie kaliści dać. Szaŭcawańnie ciapiérasznim czasam niedachodnaje, niamá skuraŭ, harbarni niachutka ruszacca z wýrabami.

Zamuzykánili pierszyja ad wajny wiasielli, alé ũ bahatych. Biednyja czakali lepszych czasoŭ. Musiła mocna źmianicca ũ Polszczy, kalí pa wioscy bojka sznurawaŭ Mićka ź wializnym nahanam na żywacie. Prasiedzieŭ jon akupacyju ũ ziamlankach – u jelnikach nad Starynkaju – i, woś, jahonaja ũžo ũłada. Mićka lubiŭ skwarku j czarku, tamú nie bajálasia jaho. Prywioŭ ź lesu miestaczkowaha żyda, maładoha, jakoha nichto nie pamiatáŭ. Žyd nia durań, wýkruciŭsia ad pjanych biasiedaŭ i padaŭsia, napeŭna, da nawapolskaha naczalstwa. By kamień u wadu kanuŭ. Mićku ũzwysili ũ sołtysy, chutka staŭ sakratarom partyi z troch czaławiekaŭ, (nastáŭnika, milicyjanta, i jaszczé kahości). U nastupnym hodzie pastralali ich palaki z Armii Krajowaj.

Alé pakúl zdárylisia tyja zabojszty, naczami ũciakali ad enkawedystych padpolnyja palaki. Niemałoj siłaju ścibiłisia lasami, zapyniájuczysia na dnoŭki na chutaroch; adpaczywájuczy pa stadołach i ũ kopicach siena na hłuchich łuchoch. Žjadali ũ chatach aposznija skarynki, wybiralali z kaduszcza u

białały płótna). Pastuszkowie rozpalali z suchotrawu ogniska w niemieckich okopach, by wrzucać w płomień odkopane miny i taśmy z nabojami. Na aleksandrowskim gościńcu rozerwało konia, wywaliło wóz ze snopami; gospodarz w szoku pohopsał na Żaurukowy Łuzek, niemal topiąc się w bahonniku¹⁵⁷ (wywlekli go stamtąd jacyś ludzie). Nastąpiła wśród dzieci moda, by podkładać wieczorami pod okna trupio białe, fosforyzujące zjawy, co wywoływało dziki lament zabobonnych mieszkańców. Robili gówniarze samopały, z których strzelali po wronach; odważniejszym urywało palce, nawet oko jednemu wybiło, choć koledzy wpychali z powrotem pod czoło. Raz po raz grzmiały w poletkach wybuchy; nikogo to nie trwożyło. Czasem pochowano któregoś przydurka na cmentarzu, klnąc pustogłowie.

Babie lato czterdziestego czwartego zapamiętało się Alikowi suchą pogodnością. Matka Olga sposobiała się do kopania ziemniaków, lecząc rumiankowym wywarem ropiejące wrzody, co ją obsypały z wycieńczenia żęciem sierpami. Mówiło się o kosach – ojciec doradzał – ale równało się to marnotrawieniu osypującego się ziarna. Żniwiarki i kombajny – czysty bolszewizm głupich Rosjan. „Maszyny przywiodły Rosję do głodu!”.

Matka Olga i ojciec napomykali Alikowi o ożenku. Jeszcze trochę i stuknie mu pięćdziesiątka, a dalej tylko starość. Alik i bez ich podpowiedzi zamyślał się żenić. Dziewczyny nie oglądały się zanadto za nim, być może obawiając się jego odczytania, a może i porywczej matki Olgi czy niezaradnego ojca. Gospodarka Kiszkielów mała: na nią nasiądzie i siostra Mania, i bratu Andrzejowi mus będzie kiedyś dać. Szewcowanie w obecnym czasie niedochodowe, nie ma skór, garbarnie nieprędko ruszą z wyprawianiem.

Zamuzykaniły pierwsze po wojnie wesela, ale u bogatych. Biedni czekali lepszych czasów. Musiało się mocno zmieniać w Polsce, skoro po wiosce zawiadaczko przechadzał się Mićka z wielgaśnym naganem na brzuchu. Przesiedział on okupację w ziemiankach – w chojniakach nad Starynką – i, oto, jego już władza. Mićka lubił skwarkę i czarkę, dlatego nie bano się go. Przeprowadził z lasu miasteczkowego Żyda, młodego, którego nikt nie pamiętał. Żyd nie dureń, wykręcił się od pijanych biesiad i dołączył najpewniej do nowopolskiego naczalstwa. Znikł jak kamień w wodzie. Mićkę podniesiono do sołtysów, prędko został sekretarzem komórki partyjnej, złożonej z trzech ludzi (nauczyciela, milicjanta i jeszcze kogoś). W następnym roku wystrzelali ich Polacy z Armii Krajowej.¹⁵⁸

Ale zanim zdarzyły się owe zabójstwa, nocami uciekali przed enkawudystami podziemi Polacy. Niemałymi siłami przedzierali się przez lasy, dniówkując¹⁵⁹ na chutorach; odpoczywając po stodołach i w kopach siana na głuchych ługach. Zjadali w chatach ostatnie skórki chleba, wybierali z beczulek w

sklaponch nasolenaje sała, stralali ũ chlwoch parszuczkoŭ, kurej na sjeďaľach. Zbrojnamu czaľawieku, kab wajawáć, treba jeży. Nawakolnaja szlachta maŭczała, cierpiaczy zmaharoŭ za Polszczu, a ũ wiosku janý nie ryzyknuli prychodzić, pad nahán Mićki dy jahonych siabroŭ. Nahádwali saboju partyjcy niewialiki harnizon; biašpieczny, pakŭl nia wychodzić jamú na adkrytuju terytoryju.

Mićka hieszefciŭ z kamandántam horadu ũ miasteczku, jakí nahladáŭ za paradkam u pierachody wojskaŭ z Horadni na Bielastok. Surowy dziadźka z kapitánskimi pahonami nie dazwaláŭ maradzjorskaha swajewolla. Ich kamańdziram dawáŭ strohija nakazy; sľuchalisia jaho j palitrukŭ. Ściapán nadumaŭ pajścŭ da kapitana sa skárhaju na tych, szto prymusili biaspľatna „czinit’ botiki”. Kalí paczuła pra heta maci Wolha, maľawiele nie pabiła syna.

– Ty szto sabie dumajesz!?! – kryczała. – Choczasz siabie zahubić i radzinu ũ Sibjr wýprawić?! U wojsku sľużyŭ, a aficeraŭ nia wiedajesz?! Jakŭ ź ich przyńajecca tabie ũ winawáści?! Heta ź palawy sud! Za tyja czarawiki biady nabiaremsia, by sabaka bľoch! Heta tabie nia polskaja ármija, z szlachtawátymi „dawudcami”! Tut sawiety i dumaj, szto budzie, kalí tak zrobisz! – maci Wolha wýswiaciła Ściapana jak treba, aźno ahorkła jamú sľuchać. U nastupny wýpadak naklicza jon na saľdackich daremnikáŭ swaju matku; janá nia strusić.

U armiejskich czašciach znachodzilisia harmanŭstija. Tancy pylili kala ich dzień u dzień. Znachodzilisia dziaŭczaty, jakija dniawali j naczawali z pachodnymi aficerami, choć staryja baćki haniali palatuch jaľaŭcowymi puhami. Mieli kamańdziry niabrydki wyhľad, pabľiskwajuczy sierabrystymi abo j zaľacŭstymi pahonami dy adzieńniem z nahawŭcami galife. Na hrudziách pazwońwali im medali, ordeny. Usieńka na lejtenańcie pakázwała, szto dastaje jon dobryja hroszy i niabiedna možna żyć pry im. Kab tolki nie zahinuŭ dzie pad niamięckimi kulami! Nahádwali janý carskich swajakoŭ na fatahráfiľach pa chatach, szto sľużyli dańniej u Rasiei, a za ichnyja hroszy dakuplali tut ziarnŭ ũ haspadarkach.

Naboźnyja adnosiny da cárskaha rublá zastalisia. U ich wŭgryli wiaskoŭcy czasami macniej, czymści ũ padaroznuju ikonku. Zachoŭwali banknoty ũ zbankoch na haryszczach chat. Pakázwali sawieckim kwatarantom, alé hetyja biazboźniki rahatali, paŭtarájuczy „Gľupasti, chaziain”. Czamú? Boh ich wiedaje. Mahczyma ad chŭtraści, kab ścibryć tyja rubliki sabie? Jakija hľupstwy?, kalí za storublowuju papierku, bywała, kuplali mahŭtnaha kaniá, a dwaccać piáć kasztawała karowa. Kolki potu praliwáľasia za adžyn abrazok ź imperátaram Mikaľajam!

Rasijskamu aficeru lohka dastawáľisia rubliki. Pra palakaŭ nia było haworki, bo pry ich bieľarus chacia b siaržantom nia zdoleŭ stacca abo kádrawym kapraľam. Dawajennaja Polszcza – heta czornaja dzirá ũ tutejszaj świadomaści. Znoŭ wiarnŭľasia Rasieja. Praŭda, raz uźo byľa, u sarakawym, adnák ciapiéraszniaja nie

piwnicach nasolone sadło, strzelali w chlewach wieprzki, kury na grzędach. Zbrojnemu człowiekowi, żeby wojować, trzeba jadła. Okoliczna szlachta milczała, cierpiąc bojowników za Polskę, a do wioski nie zaryzykowali oni przychodzić, pod nagan Mićki i jego towarzyszy. Przywodzili na myśl partyjniacy niewielki garnizon; bezpieczny, dopóki nie potrzebuje wychodzić na otwarty teren.

Mićka geszefcił z komendantem pilnującym porządku podczas przemarszu wojsk z Grodna na Białystok. Surowy weteran z kapitańskimi naramiennikami nie dozwalał maruderskiej samowoli. Ich dowódcom wydawał kategoryczne nakazy; słuchali go i politycy. Alik umyślił pójść do niego ze skargą na tych, co przymusili go bezpłatnie „cziniť botiki”. Kiedy usłyszała o tym matka Olga, omal nie stłukła syna.

– Co ty sobie myślisz – krzyczała. – Chcesz siebie zgubić i rodzinę na Sybir wyprawić? W wojsku służyłeś, a oficerów nie znasz? Który z nich przyzna ci się do winy, kiedy za to sąd polowy?! Przez te buty biedy sobie napytamy jak pies pcheł! To ci nie polskie wojsko, ze szlachciukowatymi dowódcami! Tutaj sowieli i myśl, co będzie, jeśli tak zrobisz! – matka Olga wyświęciła Alika jak trzeba, aż mu słuchać zbrzydło. Następnym razem napuści na sołdackich wyłudzaczy matkę; ona nie stchórzy.

W radzieckich oddziałach zdarzali się harmoniści. Tańce kurzyły koło nich dzień w dzień. Znajdowały się dziewczyny, które dniowały i nocowały z frontowymi oficerami, choć starzy rodzice przepędzali latawice jałowcowymi wiechciami. Mieli dowódcy niebrzydki wygląd, pobłyskując srebrzystymi albo i złocistymi pagonami, jak też odzieniem ze spodniami gallifet¹⁶⁰. Na piersiach podzwaniały im ordery, medale. Wszystko na lejtnancie pokazywało, że dostaje on dobre pieniądze i niebiednie można żyć przy nim. Byle tylko gdzie nie zginął od niemieckich kul! Przypominali oni carskich swojaków z rodzinnych fotografii, co służyli dawniej w Rosji, a za ich pieniądze dokupywano tutaj ziemi do gospodariek.

Nabożne traktowanie carskiego rubla pozostało. Wierzyli w nie wioskowcy czasami mocniej niż w podrózną ikonkę. Chowali banknoty w dzbankach na strychach domów. Pokazywali sowieckim kwaterantom, tymczasem ci bezbożnicy rechotali, powtarzając: „Głupasti, chaziain!”¹⁶¹ Dlaczego? Bóg ich wie. Może przez chytrość, żeby te rubelki sobie podebrać? Jakie „głupstwa”, jeśli za sturublowy papierek, bywało, kupowano mocarnego konia, a krowa kosztowała dwadzieścia pięć? Ileż potu wylewało się za jeden obrazek z imperatorem Mikołajem!

Rosyjskiemu oficerowi łatwo przychodziły rubelki. O Polakach nie było mowy, bo przy nich Białorusin nawet sierżantem nie zdołał zostać albo kadrowym kapralem. Przedwojenna Polska – to czarna dziura w tutejszej świadomości¹⁶². Znowu wróciła Rosja. Prawda, raz już była, w czterdziestym, ale teraz nie

takaja, z załatymi pahonami, z dazwolenymi cerkwami, z raskidanymi „kałchozami”. Takaja, jakaja była za carom! Dziauczaty sukatali nahami za aficerykami. Dobraje zamuzža wyratoŭwała ad siarpá j hnoju.

Sztoráz hrymieŭ marsz „Raźwitańnie sławianki”. Nieśmiarotny rasijski marsz wajennaha pałku. Huczeli – hetak za raźwitalnyja – walsy „Na ŭzhorkach Mańdžuryi”, „Amurskija chwali”. Z hetymi melodyjami ruskija prajsłi paŭ-Ziamli, praściraŭjucy swaju imperyju ad Mukdeny j Port-Artura pa Königsberg i Berlín, (Stalin maryŭ pajsci śladami Alaksandra Pierszaha ŭ Paryż). Sawiecki sałdat pawinien byŭ abmyć namulenyja stupieni ŭ Indyjskim akijanie.

Wiaskowyja dy miestaczkowyja dzieŭki kleilisia da sierabrystych, załacistyach, pahonaŭ. Prawodzili na biełastocki haścinniec ordenanosnych kawaleraŭ, z pahardaj pazirajucy na śmiardziuchawátaha Ściapana, jaho adnahodkaŭ. Wajná dała szczasny los stać aficerskimi żonkami. Dziadźki ŭspaminali pierszuju wajny, u jakuju kamańdžir iszoŭ zżadu, padhaniájucy sałdataŭ, szto adstawali, (pierszym kroczyŭ jon na wajskowych paradach). Można było nie bajacca za żyćcio abrańnika. U koźnaj „bárysni” ŭžo ćwiardzięŭ, bryniaŭ żywot. Pajsłi lejtenanty ŭ pachod na Warszawu j Berlín, i nie wiarnulisia. Moża być sioj-toj i zawitaŭ by nazád, alé Stalin wydaŭ zabaronu žanicca ŭ niesawiećkami. Sprawa prostaja: swajm nie chapała mužczyn, miljony ich lahli kaściami na palách bitwaŭ. Maładyja baby napadali na sałdackija eszalony, szto imczali na japonski front cierz usiŭ Rasiėjuszku. Krali sabie muzykoŭ, choć i pahražáŭ za heta rasstreł jak za dezterterstwa. Dachodzili czutki pra ekscesy.

Dziauczaty ŭ wioski j miasteczka nie razumieli Rasiei. Nia ŭ ich losam było zrazumić hetu trahicznuju krainu. Usio mierali janý na swoj kapył, dziwiczysia potym, szto ich abduryli.

Rasieja chwálicca wojnami. Nie dabrabytam, jakoha nia mieła j mieć nia budzie. Nie ŭ jajé rozumam sytna żyć. Wajuje j wajuje, by niejki chulihán abo bandyt. Zreszty, wajawác lahcej, czym pracawác. A ŭžo całkam biesproblemna pić. Wiadoma, biaz zákusi, bo i adkuł taja zákuś moża bracca...

Naradzálisia bajstruki, biazbáckawiczy. Heta nia byli dzieci abduranych sialanskich dziauczataŭ. Nia było kamŭ ich abdurwác. Siarod mabilizawanych u sorak pierszym zastałosia ŭ żywych da kancá wajny ŭsiaho piac procentaŭ, heta znaczyć: piacioch z sotni.

Była wajná ŭżimŭ sarakawoha hodu. Napali byli balszawiki na Finlandyju. Boża moj: na Finlandyju, u jakoj czatyry miljony czaławiek. I nie raźbili jajé – finaŭ zahinuła dwaccać piac tysiacz, a sawietaŭ u dziesiac razoŭ bolsz. Tak wajawali j ŭ niemcami – kładucy pad kuli ŭ szmat razoŭ.

Nie wiarnulisia lejtenanty ŭ sierabrystymi pahonami, ani majory z załatymi. Zastalisia żyć ich dzieci z klátymi maciarkami, biez pary paharbieťymi.

taka; ze złotymi pagonami, z dozwolonymi cerkwiemi, z „rozpuszczonymi kołchozami” (?). Taka, jak była za cara! Dziewczęta przebierały nogami za oficerkami. Dobre zamęcie wybawiało od sierpa i gnoju!

Coraz to grzmiał marsz *Pożegnanie Słowianki*. Nieśmiertelny rosyjski marsz wojennego pułku. Rozbrzmiewały – takż pożegnalne – walce *Na wzgórzach Mandżurii*, *Fale Amuru*. Z tymi melodiami Rosjanie przeszli pół Ziemi, rozpościerając swoje imperium od Mukdenu i Portu Artura po Königsberg i Berlin (Stalin marzył o pójściu śladami Aleksandra I do Paryża¹⁶³). Sowiecki żołdat powinien był obmyć schodzone stopy w Oceanie Indyjskim.

Wiejskie i miasteczkowe dziewczyny lgnęły do srebrzystych, złocistych, pagonów. Odprowadzały na białostocki gościniec obwieszonych medalami kawalerów, z pogardą poglądając na smerdowatego¹⁶⁴ Alika, jego rówieśników. Wojna dała im szczęśliwą szansę zostać żonami oficerów. Starsi wspominali pierwszą wojnę, kiedy dowódca szedł do boju z tyłu, podganiając odstających żołnierzy (jako pierwszy kroczył on na wojskowych paradach). Można było się nie obawiać o życie oblubieńca. Każdej „baryszni” twardniał, nabrzmiewał brzuch. Poszli porucznicy w pochód na Warszawę i Berlin, i nie wrócili. Może ten czy ów zawitałby z powrotem, lecz Stalin zabronił żenić się z niesowietkami. Sprawa była prosta: swoim brakowało mężczyzn, miliony z nich zostawiły kości na polach bitew. Młode kobiety oblegały żołnierskie eszelony, które mknęły na japoński front przez całą Rosję. Porywały sobie mężów, choć groziło to rozstrzelaniem jak za dezercję. Słyszało się o ekscesach.

Dziewczyny ze wsi i miasteczek nie rozumiały Rosji. Ich los nie pozwalał im zrozumieć tego tragicznego kraju. Wszystko mierzyły swoją miarą, dziwiąc się potem, że je oszukano.

Rosja chwali się wojnami. Nie dobrobytem, którego nie miała i mieć nie będzie. Nie z jej rozumem syto żyć. Wojuje i wojuje, jak chuligan jaki albo bandyta. Wojować zresztą łatwiej niż pracować. A już najbardziej bezproblemowo jest pić. Wiadomo, bez zakąski, bo i skąd ta zakąska miałyby się brać...

Rodziły się bękarty, bezojcownicy. To nie były dzieci oszukanych wiejskich dziewcząt. Nie miał ich kto oszukiwać. Z każdych stu zmobilizowanych w czterdziestym pierwszym zostało przy życiu do końca wojny ledwie pięciu.

Była wojna zimą czterdziestego roku. Napadli byli sowietci na Finlandię. Boże mój, na Finlandię, w której cztery miliony ludzi. I nie rozbili jej – Finów zginęło dwadzieścia pięć tysięcy, a sowietów dziesięć razy tyle. Tak wojowali i z Niemcami, nakładając głowami po kilka za jedną¹⁶⁵.

Nie wrócili porucznicy ze srebrzystymi pagonami ani majorowie ze złocistymi. Pozostały ich dzieci z przeklętymi matkami, zgarbaciałymi przed czasem.

Wosień sorak czaćwierťaha padałasia hetak źa ciazkaj, choć inaczej. Niemcaŭ adkinuli sawiety za Warszawu j Suwałki, ź lasoŭ pawychodzili bandytawatyja partyzany; padpolnyja palaki siadzieli pakuł cicha, stajała poŭna wojska. Nia było wiadoma, czyja ũłada nad biełarusami ũstalujecca; kab polskaja ũsio ź, niekałchoznaja, niasibirnaja, niebiazboznaja... Z dwuch strachaŭ – Maskwy bajalisia znaczna bolej, paspytaŭszy taho j taho. Pasiabrawaŭszy z palakam, moźna raźliczwać na jahonuju łasku. Druźbawaŭnie z ruska-sawieckim naczałnikam niczoha tabie nie harantawała: sioŭnia pjanija pacałunki, zaŭtra suwory aryszť. Maskali nia wierać u Boha, tamu słowa ich szto śmiećcie. Naplawać im i na hrech. Naściarozwała ũtwareŭnie ũ miasteczku – asobna biełaruskaj szkoły i asobna polskaj, prawasłaŭnaj i katalickaj. U wadnoj wuczyŭ Zakonu Boźaha akacapiely „batiuszka”, u druhoj źa czysta paholeny pan ksiondz. Jak treba było rozumieć toje? Adno zdawałasia peŭnym: Stalin, adnak, adnowić Polszczu. Niajasna, ci ũ papiarednich mieżach. Da Staŭbcoŭ? Kali nie, dyk kolki taje Polszczy zastaniecca? Za Warszawaju Paznan i ũžo Niamieczczyna.

Kudy papruć biełarusau? Parobiać palakami, ci pahruziać u wahony ũ Sibir? Tak abo siak, ale biełarusam nazywacca ryzyka. Jakaja b ũłada nie astalawalasia, usio ty, biełarusie, joj nie da smaku. Niama biełaruskaha „żondu”, to j niama biełarusau! Staryja ludzi zhadwali pierszuju niamieckuju akupacycju, u jakuju ũwodzili byli biełaruskija szkoły, zamiest rasiejskich albo polskich, i wydali biełaruskija paszparty. Kazali – i „żond” biełaruski arhanizujecca; ź Lipiny pryjechaŭ kapitan Horasz prawodzić nabor moładzi ũ biełaruskaje wojska. Wielmi nie spadabaŭsia jon sakołkaŭskim panam, ale niczoha jamu nie mahli zrabic – niemcy ũstupilisia za biełarusami. Kapitana Horasza nieŭzabawie zabijŭ z dubaltoŭki lasnik, szalenawaty Bazyl. Uciok potym u Harczaki, dzie hanarowyja waszai razmaŭlali pa-polsku i jezdzili ũ kaścioł u rahatych szapkach.

Z hetym paŭtornym prysześciem sawietaŭ swaboda ũsio-ťki nastała. Mużyki wysiakali les. Sasnowyja kałody ciahali na rassunutych wazach pahareley dy chto chacieu szykoŭniej pabudawacca. Stawili chaty z szyrokimi woknami, wysokimi dzwiaryma. Na fundamantach, biaruczy cymant ź niamieckich składaŭ, nazapaszany jaszcze dzieła budawaŭnia abaronczych dotaŭ z ambrazurami dla kulamiotaŭ. Murawali pieczki, kaflowyja, razwalwajuczy żydoŭskija; canilisia dzwierczyki j plity z fajerkami. U tuju wosień redka czulasia małacbu ũ humnach. Hluszyŭ budaŭniczy stukat-hrukat, kab paspieć da marazoŭ; z nastaŭniem ich niewiadoma szto budzie. Zduszyŭszy paŭstaŭnie palakaŭ u Warszawie, mohuć wiarnucca niemcy i tady znoŭ aniczoha nia ũkrasci...

X

Jesień czterdziestego czwartego zdała się tak samo ciężka, choć inaczej. Niemców sowieci odrzucili za Warszawę i Suwałki, z lasów powychodzili bandytowaci partyzanci; podziemni Polacy siedzieli tymczasem cicho, wokół stało pełno wojska. Nie wiadomo było, czyja władza nad Białorusinami się ustali; mimo wszystko lepiej, żeby polska, niekołchozowa, nie grożąca Sybirem, nie bezbożna. Z dwóch strachów – Moskwy obawiano się znacznie bardziej, zaznawszy jednego i drugiego. Zaprzyjaźniwszy się z Polakiem, możesz liczyć na jego łaskawość. Koleżeństwo z rosyjsko-sowieckim naczelnikiem niczego ci nie gwarantowało: dzisiaj pijane pocałunki, jutro surowy areszt. Moskale w Boga nie wierzą, dlatego ich słowo jak śmieć. Za nic mają i grzech. Zastanawiało utworzenie w miasteczku – osobno białoruskiej szkoły i osobno polskiej, prawosławnej i katolickiej. W jednej nauczał prawa Bożego brodaty „batiuszka”, w drugiejże gładko ogolony pan ksiądz. Jak należało to rozumieć? Jedno zdawało się pewne: Stalin jednak odnowi Polskę. Niejasne, czy w poprzednich granicach. Do Stołbców? Jeśli nie, to ile tej Polski zostanie? Za Warszawą Poznań i już Niemcy^{XI/s.265}.

Dokąd pogonią Białorusinów? Porobią z nich Polaków, czy załadują do wagonów na Sybir? Tak czy owak, Białorusinem zwać się ryzykownie. Którakolwiek nastalaby władza, zawsze ty, Białorusinie, jej nie w smak. Nie ma „rzondu” białoruskiego, to i „nie ma” Białorusinów! Starzy ludzie wspominali pierwszą niemiecką okupację, kiedy zakładano białoruskie szkoły, zamiast rosyjskich albo polskich, i wydano białoruskie dokumenty. Powiadano – i rząd białoruski się organizuje; z Lipiny przyjechał kapitan Horasz prowadzić nabór młodzieży do białoruskiego wojska. Wielce nie spodobał się on sokolskim panom, ale nic nie mogli mu zrobić – Niemcy ujęli się za Białorusinami. Kapitana Horasza niebawem ubił z dubeltówki leśniczy, wariatowaty Bazyl. Uciekł potem do Horczaków, gdzie honorzaści waszecie rozmawiali po polsku i jeździli do kościoła w rogatyh czapkach.

Z tym powtórny przyjściem sowietów jakaś swoboda mimo wszystko nastąpiła. Chłopi rąbali las. Sosnowe kłody ciągal na rozsuniętych wozach pogorzelcy i kto chciał szykowniej się pobudować. Stawiali chaty z szerokimi oknami, wysokimi drzwiami. Na fundamentach, biorąc cement z niemieckich składów, z zapasów na budowę stanowisk ogniowych z ambrazurami¹⁶⁶ dla kulomiotów. Murowali piece, kaflowe, rozwalając żydowskie; w cenie były drzwiczki i płyty z fajerkami. Tej jesieni rzadko słyszało się młockę w stodołach. Ogłuszał budowlany stukot-gruchot, żeby zdążyć przed mrozami; z ich nastaniem nie wiadomo, co będzie. Zdławiwszy powstanie Polaków w Warszawie, mogą wrócić Niemcy, a wtedy znów nic się nie da ukraść...^{XXXIV/s.317}

Kiszkialj niczym nie pabahaceli. Nie chapała im zładziejawataści. Mania padrastala da zamuzža, ale heta nia miała sensu. I Ściapanu žaničba nia sniłasia ũ spadziawanym kałchozie, u jakim usio nie twajo, nawet budynki apiszuc u papierach. Adnaho razu napuściŭ rādaści ũ miasteczka padpanak z tonkimi wusikami: prybyŭ siudy budawac Polszcz, ale puhnuŭ jaho kamandant czubarjkaŭ. Byli takija, szto bāczyli, jak wywieŭ jon palaka na biełastockuju szaszŭ i, stralājuczy jamŭ z nahanā pad nohi, prahnāŭ jabukami. Szlachtu ũ wioscy nia lubili, ale kamisarami prosta žachalisia. „Chaj niemiec waroczajecca, żydoŭ paniszczyŭszy...”

Szto zdumaje hałoŭny hienerał Žukaŭ, zaniaŭszy Berliŭ? Pa-wajennamu rasstralaje jon hitleraŭskich hienerałaŭ, a samoha Hiłtera – zasadziŭszy ũ žalezny katuch – paszle Stālinu na paciechu. Sam ŭa, nabrāŭszysia zołata j nakłubawāŭszysia ŭ jaśniewialmoŭnymi niamkīniami, drapanie da amerykancaŭ (Ściapan liczyŭ, szto ũ Szwecyju, bo neŭtralnaja, nia wydać). Maskwā zapatrabawała ad Turcyi Dardaneli, ciaśninu z Czornaha mora ũ Miżziemnaje, szto akazāłasia nie na ruku Anhlīi i janā dała zbroju turkam wajawac u Krymie. Sawiety nie ŭstajali, trymajuczy ārmiju pad Berlinam. Turki ŭžo akrużyli Kijeŭ i sunucca na Lwoŭ. Zatyŭ nakirujucca janŭ ŭzdouŭ Wisły na Hdansk i Königsberg, adsiakājuczy balszawickuju siłu ũ Niamiecczynie; biednyja sałdaciki szczaśliwa zdaducca ũ anhla–amerykanski pałon, dastanuć rabotu ũ fabrykach i zażywuc pa-ludzku. A Stālina narod utopić u Wołzie.

Ściapan, jak naczytany czaławiek, spraboŭwaŭ abśmiajāj fantāziju, ale jaho nia słučhali. Jahony spadziēŭ zwodziŭsia da bolszaje woli ũ Rasiei paślá wajny – rospusku kałchozaŭ, szto likwidawała b hoład, jak i wyzwaleńnia rozumnych ludziej z łahieroŭ, szto adahnała b ad naczālnickich pasadaŭ niēwukaŭ i durniaŭ. Carkwu pawinny pierastać duszyc, choć janā samā sabie winawata, ad paczatku świetu ŭzwyczāiŭszysia piszczac pad carskim abcasam. Patryjarchāt zhłumiŭ ŭa imperatar Piotr Wialiki. Ściapan nie paczuwaŭsia ŭpeŭnienym u niasłusznosci taho ŭczynku.

Psychalahiczna traktujuczy, wiarnuŭszy aficerskija darahija pahony, musiła nieszta pałahadniec u czyrwonaściaznaj imperyi. Zastawałasia świeżaj pakŭl pamiać pra niehałodny byt pry aposznim cary. Ściapanu, jak i ŭsim ludziām, nie padumałasia, szto Stalin nie kłapocicca pra lud; szmat pryjemnaha haworyć jołupniam.

Szuhanuła nawinā: Polszczu przyznaczyli da Anisimowiczawych humnaŭ! Dziaržāunaja miażā ŭ bielym arłom krutnuła za aharody pradmieścicia Akopy, czapiŭszy chlawy la aziaryszcza Staroha Młyna, adrezaŭszy czyjeści wulei z kuślijwymi pczołami. Za sadami Hanackaha praściraŭsia ŭžo Sajuz Sawieckich Respublikaŭ i tam, za pareczkami, zachadzili pahraniczniki z „tatārskimi

Kiszkielowie ni trochę się nie wzbogacili. Brakowało im złodziejskiej żyłki. Mania dorastała do zamęścia, ale to nie miało sensu. Również Alikowi nie marzyło się małżeństwo w spodziewanym kołchozie, w którym wszystko nie twoje, nawet budynki opiszą w papierach. Raz napuścił wesołości do miasteczka podpanek z cienkimi wąsikami: przybył tutaj Polszcz budować, ale pogonił go komendant czubaryków¹⁶⁷. Byli tacy, co widzieli, jak wyprowadził Polaka na białostocką szosę i, strzelając mu z nagana pod nogi, przepędził „jobami”. Szlachty wieś nie lubiła, ale komisarze wprost przerażali. „Niech Niemiec wraca, wyniszczywszy Żydów...”.

Co umyśli główny generał Żukow, zająwszy Berlin? – zastanawiano się w miasteczku. Po wojennemu rozstrzela on hitlerowskich generałów, a Hitlera – w żelaznej klatce – wyśle na uciechę Stalinowi. Samże, obłowiwszy się złotem i nabaraszkowawszy^{XII/s.266} z jaśnie wielmożnymi Niemkiniami, czmychnie do Amerykanów (Alik liczył, że do Szwecji, bo neutralna, nie wyda). Moskwa zażądała od Turcji Dardaneli, cieśniny z Morza Czarnego na Śródziemne, co okazało się być nie na rękę Anglii i ona dozbroiła Turków, aby mogli wojować na Krymie. Sowieci im nie podołali, trzymając wojska pod Berlinem. Turcy już okrążyli Kijów i suną na Lwów. Potem skierują się wzdłuż Wisły na Gdańsk i Königsberg, odcinając siły bolszewickie w Niemczech; biedne żołdaczki szczęśliwie oddadzą się w angloamerykańską niewolę, dostaną pracę w fabrykach i zażyją po ludzku. A Stalina naród utopi w Wołdze.

Alik, jako człowiek odczytany, próbował wyśmiać fantazje, ale go nie słuchano. Jego nadzieje sprowadzały się do większej swobody w powojennej Rosji – rozpuszczenia kołchozów, co zlikwidowałoby głód, jak i uwolnienia wykształconych ludzi z łagrów, co wyparłoby z naczelnicznych posad nieuków i durniów. Powinno się zaniechać prześladowań Cerkwi, choć ona sama sobie winna, od początku świata przywykły pisać pod carskim butem. Patriarchat podporządkowałże sobie imperator Piotr Wielki¹⁶⁸. Alik nie miał mocnego przekonania co do niesłuszności tego uczynku.

Psychologicznie traktując, przywróciwszy szanowane oficerskie pagony¹⁶⁹, musiało połągodnieć czerwonosztandarowe imperium. Była jeszcze świeża pamięć o niegłodnym bytowaniu za ostatniego cara. Alik, jak i inni, nie pomyślał, że Stalin nie troszczy się o lud: sporo przyjemnego mówi jołopom.

Wybuchła nowina: Polskę wyznaczono do Anisimowiczowych stodół! Granica państwowa z białym orłem wykrciła za ogrody przedmieścia Okopy, zawadziwszy o chlewy koło jezioryska Starego Młyna, odciawszy czyjeś ule z kąśliwymi pszczołami. Za sadami Hanackiego rozpościerał się już Związek Republik Sowieckich i tam, za porzeczkami, jęli chodzić pogranicznicy o „tatarskich

mordami”; nia prybieh adhetul nawet padświnak. Siemianoŭskich partyzanaŭ pryhnali z-za reczki arác pałasŭ pobacz ź miažoju. Prapali Ściapánawaj wioscy sienakosy nad Świślaczczu. U miasteczka pryjszła hramadka polskich zaŭnierau pad kamandaj chudoha paruczniaka. Paswaryŭsia ź im kamandánt: jon czakaŭ wiartańnia sawieckich wojskaŭ ź Niamiećczyny; mielisia prachodzić tut hranicu. Ź wiasnoju janý napraŭdu źjawilisia – na padabienstwa kazackich abozaŭ. Jechali, zdawałasia, z usich kancoŭ, blukajucy pa lasnych darohach ad Bielastoku. Wałaklisia ũ wysoznych niamieckich furhonach z prypreżanymi da ichnych dyszlaŭ wielznymi belhijjskimi koniami; byŭ dziuŭny woz, jaki ciahnuli wiarbludy. Zanialj tábarami wýhany j suszejszyja pałoski pola. Paradku dapilnoŭwali enkawedyŭstija j dyžurnija patrolj.

Armija nakraťasia ũ Niamiećczynie ũsiákaje zdabyczy: mužczyńskich i damskich rowaraŭ, matacyklaŭ, rucznych i naściennych hadziŭnikaŭ, piarścionkaŭ i darahich ozdobaŭ kabietam, kaściumaŭ i tkaninaŭ, abutku, bializny, pasudy, fasonistych szapak. Usiaho taho, czaho ruskim nie chapała. Tyja, szto służyli ũ zachodnim korpusie Andersa, kazali potym, wiarnuŭszysia adtŭl, szto amerykancy, anhielcy, francuzy hǫdzilisia hetaj sałdatnioju tak, jak złodziejem, pjánicaju, knyrawatym hwałtaŭnikom. Niemcaŭ rabawała hałota „wastoczniakaŭ”, májucy na toje marálnaje prawa paciarpiełych pieramoźcaŭ. Niezrozumiełym rabjłasia adno: czamú wywozili ũ Sibir swaich wajenna-pałonnych, abzywájucy ich zdrádnikami ajczyny? Janý ź, biednyja, stolki zapakutawali pad niemcami.

Stała tut wiadoma: trafei adbirajuć na miaży, szto prahlá za Anisimowiczawymi humnami. Tady frantawikj nawiedwali haspadaroŭ, naproszwajucyŭsia ź niamieckim bahactwam. U niekatorych wajakaŭ ruki da łokciaŭ trymcieli rucznymi hadziŭnikami. „Wybiraj, chaziain!” Ściapán pryčaniŭsia da niabrydkaha rowara – za bochan matczynaha chleba, palena sała, dźwie butelki samahonki. Nie zhawaryŭsia ź lejtenantam nakont suszanaha syru j kumiaká masła. Tady toj pradáŭ kamuŭci ź miasteczka, chto daŭ jamú bolsz.

Lejtenant nia byŭ źulik i papiaredziŭ Ściapana, szto ũ pachodnaj kuźni wyrablajuć falszywaje zołata naksztált bánkaŭskich kubikaŭ. „Smatri, chaziain.” Sialanak abdurwali dobrymi aficerskimi paltami. Metađ paŭturaŭsia: adziŭ zachodziŭ u chatu i starhoŭwaŭ z haspadyniaj łakomliwuju sukonnju adzieżynu, zazwyczaj za chleb, sała j harełku, a druhj zaraz za prybiaháŭ z pistaletam i krykam, szto tut byŭ u jajé złodziej ź jaho paltom. Pabialełaja durnaja sakatucha addawała „pakražu”, zadawoliŭszysia tym, szto aficer, buszujucy, nie padstreljŭ jaje.

Sawiety napiwálisia da ũpadu. Źmieniemi zbywali janý toje niŭby-zołata, kubiki z numarami... „wot!” berlińskich bankaŭ. Achwotna kuplali tyja, u kaho byli dzieŭki

facjatach”; nie przybiegł stamtąd nawet podświnek. Siemianowskich partyzantów przypędzono zza rzeczki do orania pasa¹⁷⁰ wzdłuż granicy. Alikowa wioska utraciła sianożęci nad Świsłoczą. Do miasteczka przyszła gromadka polskich żołnierzy pod dowództwem chudego porucznika. Pokłócił się z nimi komendant: oczekiwał powrotu z Niemiec sowieckich wojsk; miały tu przekraczać granicę. Wiosną frontowcy rzeczywiście się zjawili – na podobieństwo kozackich obozów. Zjeżdżali, zdawało się, ze wszystkich stron, błędząc leśnymi drogami od Białegostoku. Wlekli się w wysokich poniemieckich furgonach z zaprzęgniętymi do dyszli muskularnymi belgijskimi końmi; był też dziwny wóz ciągniony przez wielbłądy. Zajęli taborami wygony i suchsze pasy pól. Porządku pilnowali enkawudyści i dyżurne patrole.

Armia nakradła się w Niemczech wszelakiej zdobyczy: męskich i damskich rowerów, motocykli, ręcznych i ściennych czasomierzy, pierścionków i drogich kobiecych ozdób, garniturów i tkanin, obuwia, bielizny, zastawy stołowej, fasoniastych czapek. Wszystkiego, czego Rosjanom brakowało. Ci, co służyli w zachodnim korpusie Andersa, powiadali potem, wróciwszy stamtąd, że Amerykanie, Anglicy, Francuzi brzydzili się tym żołdactwem jak złodziejem, pijakiem, knurowatym gwałcicielem. Niemców rabowała gołota „wastoczników”, mając do tego prawo poszkodowanych zwycięzców. Niezrozumiałe stawało się jedno: dlaczego Rosjanie wywozili na Sybir tych, co wrócili z niemieckiej niewoli, ogłaszając ich zdrajcami ojczyzny? Oniż, biedacy, tyle wycierpieli od Niemców.

Rozeszła się wiadomość: żołdackie trofea odbierane są na granicy, co przebiegła za Anisimowiczowymi stodołami. Frontowcy nawiedzali więc gospodarzy, napraszając się z niemieckim bogactwem. Niektórym wojakom ręce po łokcie połyskiwały od zegarków: „Wybiraj, chaziain!¹⁷¹”. Alik przymierzył się do niebrzydkiego roweru: za bochen matczynego chleba, kawał słoniny, dwie butelki samogonu. Nie dogadał się z lejtnantem co do suszonego sera i osełki masła. Wtedy ten sprzedał komuś z miasteczka, kto mu dał więcęj.

Lejtnant nie był żulik i uprzedził Alikę, że w polowej kuźni wyrabiają fałszywe złoto na kształt bankowych sztabek. „Smatrj, chaziain!¹⁷²”. Wieśniaczki ocyganiano posługując się jako rekwizytem dobrymi oficerskimi paltami. Fortel powtarzano: jeden żołdat zachodził do chaty i sprzedawał gospodyni pożądaną sukienną odzież, zwykle za chleb, słoninę i gorzałkę, a drugi zaraz po nim przybiegał z pistoletem i krzykiem, że tutaj był u niej złodziej z jego paltem. Pobladała głupia kwoka oddawała rzekomo ukradzione, w zamian buszujący oficer jej nie postrzelił.

Sowieci pili na umór. Garściami zbywali oni tamto niby-złoto, sztabki z numerami... „wot!” berlińskich banków. Chętnie kupowali ci, co mieli córki

sa słabymi pasáhami. Zołata harantawała bahaćcie. Sałdákajje – mutnieła, a zatym zielanieła dy kryszyłasia, kalí brálišia czyścić jaho, alé heta nia spyniała amátaraŭ za niszto razbahacieć. Załataja haraczka adymała rozum! Dumali: kaho-kaho, a mianie nie aszukajuć! Susiedu ũpierli durnotu, bo tak jamú treba!!

Wioska paıla j karmiła wałakitnuju ármiju za ruski szaniec chutka razzycca. Naiŭnaść kasztawała.

I da Kizkialoŭ prywiali samawitaha belhijskaha kaniá, śmiarotna zdarožanaha; nie chacieŭ užo jeści. Kanina pawaliłasia j zdochła, narabiŭszy turbotaŭ. Ledź zaciahnuŭszy ũ jamu pa bombie, zakidali jajé kamianiami j zasypali ziamloju; nichto nia ũmieŭ złupić skuru.

Na wýhany pryjażdźali abozy, zajmájucy miescy pa tych, szto wýbralisia damoŭ za hranicu. Da Ściapana pryłip maładý siaržánt: nie chacieŭ waroczacca; ślozna tłumaczyŭsia, szto lepiej jon budzie ũ Polsce. U palaka nia widáć hoładu. Baćka admoŭczwaŭsia. Jak zaŭsiody, umiaszálasia maci Wolha: ni dury nam haławy, czaławiecza, jedź u swaju Rasieju, jaszczé niestary, nie prapadziesz, ciabie adsiŭł i tak wýturyli b, nikomu niepatrebný! Ściapán rozumieŭ pa-wajskowamu: dezerteraŭ szukajuć, łowiać, sudziać. Bywała: rasstręlwali. U poli pad miažoju zakopwali, usio roŭna by sabaku jakoha.

Nia było turbacyi z palákami, jakich paczali repatryjawáć z-za sawieckaj hranicy. Janý imkliwa minali sadý Hanáckaha j humny Anisimowiczaŭ, pruczysia biez ahladki na bielastockuju szaszu, aby hłybiej u Polsce! Byccam pabojwajuczysia, szto niechta z naczálnikaŭ razdumaje j pawiernie ich nazád, pad Horadniu, za Waŭkawysk. Ściapanu zapamiataŭsia pażyły repatryjánt u ablezłaj świtcy j z furmánczej poŭnaj babaŭ, jakí, paśpieŭszy pierajechać ad sawietaŭ, zatrymaŭsia, źlez na darohu j prypáŭ hubami da hlínistaj aboczyny. Zapłakaŭ, skawyczucy ad szczęścia. Staraja žonka, trymájucy ũ lewaj dałoni lejcy, chryściłasia, marmyczucy pacier, a maładyja, widáć, doczki kryczali: „Ustawj, tatku, bo nie dajem jechać ludziám, szto za nami!”

Repatryjanty nawat nie paili ũ wioscy koniej i kala miestaczkowych kałodziezaŭ. Śpiaszálisia, rozmáchwajucy puhami „No-oo-o, bułánaja!”

Rasieja – heta niaszczaście Eŭropy. Szto ni więk znachodzicca mahutny durań, jakomu choczacca pajści na Maskwu. Manhoł, szwed, palák, francuz, niemiec. Kożnamu skonczyłasia katastrofaju. I niczoha, znoŭ katoryści lez. Prywaroźwaje abszár. Można skazać: zdabycza. Ale, jakaja ź zdabycza mahczymaja ũ niecywilizawanych abszarach? Zahadka tut u czym inszym. Na Rasieju wyliwájucca cywilizacyi, jakim ciesna ũ siebie. Janý rasplywájucca na ũschod, prapadájucy ũ biaźmieźzy lasoŭ i stepaŭ. Manholski militaryzm, szwedzki z uhra-finskim ład życia, padpolskaja zakamplaksiełaść chałopa, francuski elehantyzm, niemieckaja salidnaść. Usio

z marnymi posagami. Złoto gwarantowało zamożność. Sołdackie – matowiało, a następnie zieleniało i kruszyło się, kiedy próbowano je doczyścić, lecz to nie powstrzymywało amatorów wzbogacenia się po okazjnej cenie. Gorączka złota odbierała rozum! Myśleli: kogo jak kogo, ale mnie nie oszukają! Sąsiadowi wtrynili kit, bo jemu tak trzeba!

Wieś poła i karmiła wlokącą się armię za rosyjską szansę rychłego dobrobytu. Naiwność kosztowała.

I Kiszkielom sołdaci próbowali sprzedać żywą „zwycięzczyznę¹⁷³”: masywnego belgijskiego konia, śmiertelnie zdrożonego; nie chciał już jeść. Konisko zważyło się i zdechło, narobiwszy kłopotu. Padlinę ledwo zawlekli do leja po bombie, zarzucili kamieniami i zasypali ziemią; nikt nie potrafił zdjąć skóry.

Na wygony przyjeżdżały tabory, zajmując miejsca po tych, co ruszyły dalej do domu za granicę. Do Alika przystał młody sierżant: nie chciał wracać; płacząc tłumaczył się, że lepiej mu będzie w Polsce. U Polaka nie widać głodu. Ojciec na to milczał. Jak zwykle wmieszała się matka Olga: nie zwracaj nam głowy, człowieku, jedź do swojej Rosji, jeszcze niestary, nie przepadniesz, ciebie stąd i tak wyrzuciliby, nikomuś niepotrzebny! Alik rozumował po wojskowemu: dezertów szukają, łapią, sądzą. Bywało: rozstrzeliwali. W polu pod miedzą zakopywali, zupełnie jak psa jakiego.

Nie było turbacji z Polakami, których zaczęto repatriować z za sowieckiej granicy. Oni mijali śpiesznie sady Hanackiego i stodoły Anisimowiczów, prac bez ozierania się do białostockiej szosy, byle głębiej w Polskę! Jakby w obawie, że któryś z naczelników się rozmyśli i zawróci ich z powrotem, pod Grodno, za Wołkowysk. Zapisał się w pamięci Alika starszy już repatriant w znoszonej świtce i z furmanką pełną kobiet, który dopiero co wyjechał od sowietów, zatrzymał się, zeszedł z wozu i przypadł ustami do gliniastego pobocza. Zapłakał, skowycząc ze szczęścia. Stara żona, dzierżąc w lewej dłoni lejce, żegnała się, mamrocząc pacierz, a młode widać córki, krzyczały: „Wstawaj, tatku, bo nie dajemy jechać ludziom za nami!”.

Repatrianci nawet nie poili w wiosce koni ani przy miasteczkowych studniach. Śpieszyli się, wymachując batami: „No-oo-o, bułana!”.

Rosja – to nieszczęście Europy. W każdym stuleciu znajduje się potężny dureń, któremu chce się pójść na Moskwę. Mongoł, Szwed, Polak, Francuz, Niemiec. Dla każdego kończyło się katastrofą. I nic, znów któryś laź. Nęci obszar. Można by rzec: zdobycz. Ale jakaż może być zdobycz na niecywilizowanym terytorium? Zagadka tutaj w czym innym. Na Rosję wylewają się cywilizacje, którym ciasno u siebie. One rozplývają się na wschodzie, przepadając w bezmiarze lasów i stepów. Mongolski militarizm, szwedzki z ugrofińskim ład życia, podpolska¹⁷⁴ zakompleksiałość chłopa, francuski elegancizm, niemiecka solidność. Wszystko

achutwaje ũreszcie tumán sławianŕskaj biežałowaci, wárwarskaj spádczyni niedachryszczanaha narodu ŕ wizantyjskaj emacyjnaŕciu relihii paetaŭ dy ŕpiewakoŭ. Eŭrapejskaja ahresija na Rasieju niaŕznienna łacina-rymskaj afarboŭki. Tamŭ ahresary, zamiŕst taho, kab malicca ũ cerkwach, rujnawali ich. Hrećkaja Wizantija marnieła na praciahu niekalkich sot hadoŭ da tureckaj pieramohi; piersz abrabawali jajé łaciŕniki.

Takija j padobnyja rozdummy chadzili pa haławie Ściapanu, hłędziaczy na abadranych ruskich pieramoŕcaŭ i biełarusaŭ, szto ũciakali ŕ Biełarusi, papisáŭszysia palákami. Usialák ludzi ratawálsia, praŭdami j niapraŭdami, kab tolki z cełaju haławoju.

Rasieja – heta bahno, u jakoje bieŕpiaczniej nie załazić. Jano zasmoktwaje, nie adpuskaje.

Wajná zakonczyłasia, ale, usio roŭna, nia było jak żyć. Paczali chadzić pa chatach sawiećkija ahitátary, namaŭlájucy ludziej na wyjezd u stálinkuju Rasieju. Abiacali nia miŕszyja haspadarki na chutaroch kala Lidy j Horadni, szlachieckich, adkuł najbolsz ŕjechała ũ Polŕczu. Padtákwali, szto nia budzie kałchozaŭ. Tam swajá ũłada, nia czuŕaja. Maci Wolha nia puskała hawarliŭcaŭ na paroh: nikudy nie pajedziem, nia treba nam szczaŕcia ũ blizkim ŕwiecie, łakomicca na nieswajo dabro... Nia jdzi, Ściapanie, da jich, bo ciabie, maładoha, woŕnuć dy arysztujuć; mnie, staroj, niczoha kiepskaha nia ũczyniać!

Upęŕnienaŕci Kiszkiálám prydaŭ adŕin zapoŕnieny repatryjánt, szto paprasiŭsia na naczełh. Rychtyk pámiatny kamisár z wosieni tryccać dziawiátaha hodu, hetaksama wywieŭ Ściapana nieznanajomiec za stadołu, kab chto nie paczuŭ skázanaje im, i hawaryŭ:

– Nia wier, ach czaławiecza, sawietam, janý pakinuć ciabie hołym, nie paŕpiejesz pa-ludzku ũjechać u jichnuju „stranu” i tut ŕa, u darozie, abiaruć i twaju radzinu, unoczy wýniesuć miaszkę sa zboŕŕam, mukoju, parasiaty, paŕciel, starych raŕdzienuć, ureszcie ũsiŭ żywinu j kaniá pawiaduć... Bandyctwa, jakoha ŕwiet ni baczyŭ! Banda „Czornaha kató” ũ zmowie z pamieŕnikami j milicyjaj. Kradzieŕniki, usio wywoziać ŕ Biełarusi ũ hałodnuju Rasieju. Staniesz baranicca – zabjuć. Usiudy jedŕ, tolki nia tudy. Czaławiecza ty moj!!

Ściapán pryhłędzieŭsia da naczełŕnika. Niaholeny twar, dzikawátija woczy, suchaja szyja, damatkányja nahawicy i awiećzaja kurtka, bliszczasty ad brudu kazyrok szapki; zahár, by pryharka ŕpiećzanaj bulbianoj kaszy, zamiŕst hŭzikaŭ piacielki, i – czaho Ściapán zrazu nia ũhledzieŭ – rastaptányja łapci, padwiazányja kanaplányimi sznurkami.

Pierad Ściapanam paŭstała żywoje niaszczaŕcie. Biadák przyznaŭsia, szto sam jon prawasłaŭny, ale zapisaŭsia ũ katoliki; nia ũmiejućy ni słowa pa-polsku padaŭsia ũ palaki. Udawieć, dzieci paŭmirali ũ malenŕtwie. Siudy pierszaj ruszyła

ogarnia wreszcie tuman słowiańskiego bezhołowia^{XIII/s.266}, barbarzyńskiego dziedzictwa niedochrzczonego ludu z bizantyjską emocjonalnością religii poetów i śpiewaków^{XXXIX/s.334}. Europejska agresja na Rosję niezmiennie o zabarwieniu łacińsko-rzymskim^{XIV/s.266}. Dlatego agresorzy zamiast modlić się w cerkwiach rujnowali je. Greckie Bizancjum zmarniało kilkaset lat przed zwycięstwem Turków; najpierw łupili je łacinnicy^{XV/s.269}.

Takie i podobne myśli chodziły Alikowi po głowie, kiedy patrzył na obdartych rosyjskich zwycięzców i uciekających z Białorusi Białorusinów, co zapisali się jako Polacy. Ratowali się ludzie jak mogli, prawdami i nieprawdami, byle tylko z całą głową.

Rosja – to bagno, na które bezpieczniej nie wchodzić. Ono zasysa, nie odpuszcza.

Wojna skończyła się, ale i tak nie było jak żyć. Zaczęli chodzić po domach sowieccy agitatorzy namawiający ludzi do wyjazdu do stalinowskiej Rosji. Obiecywali nie mniejsze gospodarstwa na chutorach koło Lidy i Grodna, szlacheckich, skąd najwięcej zjechało do Polski. Przytakiwali, że nie będzie kołchozów. Tam swoja władza, nie obca. Matka Olga nie puszczała gaduł na próg: nigdzie nie pojedziemy, nie trzeba nam szczęścia w dalekim świecie, na cudze dobro się łąsić... Nie idź, Aliku, do nich, bo ciebie wezmą i aresztują; mnie, starej, nic złego nie zrobią!

Pewności Kiszkielom przydał jeden zapóźniony repatriant, który wprosił się na nocleg. Całkiem jak pamiętny komisarz z jesieni trzydziestego dziewiątego roku, tak samo wywiódł Alika nieznamy za stodołę, by kto nie dosłyszał jego słów, i powiedział:

– Nie wierz, ech, człeku, sowietom, oni ciebie gołego zostawią, nie zdążysz na dobre wjechać do ichniej „strany”, a zaraz, w drodze, obiorą całą twoją rodzinę, w nocy wyniosą worki ze zbożem, mąką, pościel, prosiaki, starych rozbiorą, wreszcie wszystkie bydło i konia poprowadzą... Bandytyzm, jakiego świat nie widział! Szajka „Czarnego Kota” w zмовie z pogranicznikami i milicją. Złodzieje, wszystko wywożą z Białorusi do głodnej Rosji. Zacziesz się bronić – zabiją. Dokądkolwiek jedź, byle nie tam. Człeku ty mój!!

Alik przyjrzał się gościowi. Nieogolona twarz, dzikowate spojrzenie, chuderława szyja, domatkane spodnie i barania kurtka, wyświecony daszek czapki; ogorzałość, jak przypieczona kasza ziemniaczana¹⁷⁵, zamiast guzików pętelki, i – czego Alik zrazu nie zauważył – zdeptane łapcie, podwiązane konopnymi sznurkami.

Przed Alikiem stało uosobienie nieszczęścia. Biedak przyznał, że sam on prawosławny, ale zapisał się jako katolik; nie umiejąc ni słowa po polsku przystał do Polaków. Wdowiec, dzieci poumierały wcześniej. Do Polski pierwsza ruszyła

siastrá ž siamjoju; adszukaje jaje, Boh daśc. Ni kałá, ni dwara: cierasz hranicu pierawieźli dobryja ludzi, choć i biaż jich puścili b z papierami repatryjanta, adnák było b rosptyni: czamú adżin, czamú biaż nikoha bolsz, a ci nia szpijon ty jaki???

Nazywaũsia Pawał; proźwiszcza ũ jaho niejkaje rasijskaje, nie zapamiatáć. Usie janý tam Iwanowy, pastanawiła maci Wolha. Pawał akazaũsia piacznikom; zastaũsia ũ Kiszkialoũ, jakim treba było pierarabić piecz z plitoju; patreškała, mahli pakanczacca ad czadu.

Pawał Iwanoũ, kwatarujucy ũ Kiszkialoũ, prychwareũ ad tłustaje jeży. Jak sumlenny sielanin, wielmi pierażywaũ drystaczku j wýmuszanej chwarobaju biezraboćcie. A czas byũ paszukać u jamach adpawiednaje hliny, wapniowaha kremieniu, sypkaha piasku; zrabić z apołaũ szyrokuju skryniu, hłybinioj na paũtary rydłoiki, i zamiaszác czerwonistaje ciesta. Tady raskidáć staruju piecz, wýpratać druz, pakúl świaćila ž nieba pahodaju.

Piacznik braũsia za rabotu biaż śpieszki, rozdumna. Widáć było, szto peckać budzie doũha; spadabáłasia jamú ũ Kiszkialoũ. Da maci Wolhi hawaryũ: „Woleczka. Mnie niczoha ni treba, Woleczka, tolki cahlinku *hatawánaho* ũ strawie sała.” Iwanoũ jeũ dryhotkaje sała łyżkaju, smakujucy toũstuju skuru; hłytaũ jajé kawáčkami, nie ũdawũszysia, i zapiwaũ páranym małakom; abawiazkowa páranym. Zatym chryściũsia, padziákawaũszy Bohu za dabrabyt. Czasam dajadaũ za Kiszkialoũ więrciachu zaskwáranaje bulby.

Nawat Mićka-partyzán nie nadumaũsia pylnuć da sawietaũ, choć pawinien byũ, szto wýratawała b jaho ad polskaje śmierci.

Da Kiszkialoũ umanuũ ahitatar u abciopkanym kaściumie z szyroznymi połami; prysiabraũsia da Ściapana, ž im szto ni dzieñ tałkawaũ pra rewalucyi. Baćka adnaho razu skazaũ:

– Nia wier kaniu ũ darozie, a sawietu ũ hutarcy.

Ściapán i biez taho kiemiũ, u jaki bok usio hnie hety łachmán. Kalí toj naciskáu, adkazwaũ jamú:

– Naszto Rasiei patrebny jaszcze j bielarusy z Polsczy, wy ž wýniszczany datłá wajnoju, usieńka wýpalenaje ũ was dy hałodnaje, woźmiecia nas da siabie na swaju biadu, tre'budzie żytło nam dać dy chlebam karmić, my lubim was i tamu ni choczam pryczyniáć wam kłopataũ, użo ž sami niejak damo sabie rady, ni sieũszy na szyju Sawieckamu Sajuzu...

– Tak to tak, no palaki was zdieś duszyt' budut, – arhumentawaũ chitrec.

– Chaj duszác, my pryciarpielisia, – supakojwaũ jaho Ściapan. – Car taksama duszyũ i nia wýduszyũ, jaszcze palakam kolki duszyć pakinuũ. Ciapiér – niemiec adniáu im macaty, rukami j nahami ledż waruszac. Zastaniemsia pry ich, dyk Rasiei lahczej biaz nas budzia. Majam swaju chatu, budynki, pluh, kaniá j pole. Niczoha ad Rasiei ni choczam, bo

siostra z rodziną; odnajdzie ją, da Bóg. Żadnego dobytku: przez granicę przewieźli dobrzy ludzie, choć i bez nich wpuszczono by go, ale byłoby niepotrzebnego wypytywania: czemu sam, bez nikogo więcej, może szpieg jaki???

Jego imię było Paweł; nazwisko jakieś rosyjskie, nie zapamiętać. Wszyscy oni tam Iwanowowie – postanowiła matka Olga. Przybysz okazał się zdunem; został u Kiszkielów, którym trzeba było przerobić piec z płyta; popękała, mogli pomrzeć od czadu.

Paweł Iwanow, kwaterując u Kiszkielów, przychorował od tłustego jedzenia. Jako sumienny włościanin, nadto przeżywał niestrawność i wymuszone chorobą bezrobocie. A pora była poszukać po jamach odpowiedniej gliny, wapiennego krzemienia, syckiego piasku; zbić z desek szeroką skrzynię, głębokości na półtorej łopaty, i zamieszać w niej czerwonawe ciasto. Następnie wyburzyć stary piec, wysprzątać gruz, dopóki świeciło z nieba pogodą.

Zdun brał się za robotę nieśpiesznie, z rozmysłem. Widać było, że paćkać będzie długo; spodobało mu się u Kiszkielów. Do matki Olgi mówił: „Oleńko. Mnie niczego nie trzeba, Oleńko, wystarczy kawałek sadła gotowanego w strawie”. Iwanow jadł drżące sadło łyżką, smakując tłustą skórę; połykał ją kawałkami, nie dławiąc się, i zapijał gotowanym mlekiem; koniecznie gotowanym. Potem żegnał się, podziękowawszy Bogu za dobrobyt. Czasem dojeżdżał za Kiszkielów michę kartofli ze skwarkami.

Nawet Mićka-partyzant nie namyślił się drapnąć do sowietów, choć powinien był, co wybawiłoby go od polskiej śmierci.

Do Kiszkielów zawitał agitator w ubrudzonej marynarce z szerokimi połami; przykolegował się do Alika, z nim dzień w dzień gadał o rewolucjach. Ojciec raz rzekł:

– Nie wierz koniowi w drodze, a sowietowi w rozmowie.

Alik i bez tego pojmował, ku czemu wszystko nagina ów łachman. Kiedy tamten nalegał, odpowiadał mu:

– Na co Rosji jeszcze i Białorusy z Polski, wyście do cna wyniszczeni wojną, wszystko u was wypalone i głodne, weźmiecie nas do siebie na swoją biedę, trza będzie chałupę nam dać i chlebem karmić, my was lubimy i dlatego nie chcemy przyczyniać wam kłopotów, sami już jakoś damy radę, nie siadłszy na kark Związkowi Sowieckiemu...

– Tak, to tak, no Palaki was zdieś duszyt' budut¹⁷⁶ – argumentował chytrus.

– A niech tam, zwykliśmy do tego – uspokajał go Alik. – Car też dusił i nie wydusił, jeszcze Polakom trochę duszenia zostawił. Teraz – Niemiec odjął im mocy, rękami i nogami ledwo ruszają. Zostaniemy przy nich, to Rosji lżej bez nas będzie. Tutaj swoja chata, budynki, pług, koń, pole. Niczego od Rosji nie chcemy,

bo janá, biednaja, ledž samá dychaje, by taja zahránaja kabyła abo belhijškaja kaniaka, szto zdochła na panadworku, kalí sađaty prywialj jájé pradác...

– Nu, kak znajesz, – źnieachwoczwaŭsia ahitatar i kanczáu nakont rewalucyjnaj sytuacyi siarod nehraŭ Afryki. Jamú baleła padkalanijálnaje stanowiszczá ũ Konha, Sudanie, Anholi, Mazambiku. Basanohich buntaŭnikoŭ wybiwali kalanizatory, partuhalcy dyktátara Salazara.

Pryšniłasia Ściapanu Anisimowiczanka, szto daŭnym-daŭno wyjšła zámuz u Ameryku i ad taje pary ũsiaki poczut pra jájé prapáu. U śnie chadziła janá hołajahalutkaja pad palmami na soniecznym wostrawie z szylđaju „Ameryka”. Z akijanskich chwalaŭ wynyráli hostryja chrybty akułaŭ. U błakitnym tumanie niebakraju majáczyli karablj, czamuś adžin za adnym. Na załacistym piasku walálisia hetak za aholenyja amerykanskija mužczyniski, jakim, jak heta mužczynam, usio toje sámaje ũ haławie. Zamiést taho, kab rahatác, iržali, wyszczaryšzy zuby (dareczy – nienaturalnyja, sztucznyja, nikielawanyja). Anisimowiczanka – zabyŭsia jájé imiá – wykručwała kruhłym zadkom pierad imi, nachábnikami. Nad zapaciełymi żywatami mihacieli, by *matylé*, dalary. A janá, wyciáhwejucy ũhoru lewuju ci práwuju ruku, maníła banknoty ũ dałoni, zhortwała ũ ruloniki, kidała ũ jamki j zasypała, jak marskija czajki, szto hniazdujuć na jajkach. Raptam ũzniaŭsia ũrahán; tajfun wymieŭ plaž, panios udalacžyn płoju mužczyznaŭ, a za imi wierabjinyja chmary hroszaj, i źnikła Anisimowiczanka, pakinušszy na prybiarežnaj skale nacznju kaszulu naksztált bielaħa syħnału zabłukanym karablám, jakija wichura pierła na katastrofnju astrawinu¹⁷⁷.

Pracnušsia ũzmakrely pad ranicu. Prajmáu pieradwiesnawy choład. U chlawie blajała awieczka, moza kotnaja... Žywuć za niabiedna czornyja ludzi ũ ciopłych krajoch. Nima im prymusu budawacca. Aby dach z łapuchoŭ skłaści nad saboju na wýpadak liŭniu. Ryby nałowiac u sinim mory, jajok nawybirajuć z hniozdaŭ (na jajeczniu), bananaŭ nazrywajuć. Czaho bolsz treba czaławieku? Usio ad Boha. Raj!

Pahany świet adnák u nas, choć, mahczyma, nia było b tak kiepska tut, kab nia tyja sawiety sa swaimi kałchozami dy hultajskim kamunizmam. Ściapana ździŭlała czaławiectwa: usio chocia dobra j lohka żyć! Usim nie dahodzisz, fakt. Cikawa dumać pra ũładu. Janá biarecca z najwialikszaha miesta. Miljonny Rym awałodaŭ dziasiátkami miljonaŭ nasielnictwa ũ mižziemnamorji.

Szto dała czaławiectwu wioska? Chleb i rody, nia bolejš. Szczaśljwaja wioska abawiazkowa pieraŭtwaryłasia ũ harodniu, horad. Nie akružanuju abaronczymi ścienami raskradali wałacuħi, wyrezwali, palili. Susiedzi albo kahorta kniazia. Z czym paraŭnác pierszabytnyja dziaržawy? Z pczalinym wulejem, bortnaj kałodaj. Ludzi, jak tyja pczoty, pracawita nakaplali bahaćcie, jakoje adymali im uwosieŭ kniažyja woi. Dziaržawa tysiaczu hadoŭ nazad ujaŭlała saboju terytoryju

ona, biedna, sama ledwo dyszy, jak ta zagoniona kobyła albo belgijska szkapa, co zdechła na podwórku, kiedy żołdaci przywiedli ją sprzedać...

– Nu, kak znajesz – zniechęcał się agitator i kończył o rewolucyjnej sytuacji wśród Murzynów w Afryce. Bolał go kolonializm: w Kongu, Sudanie, Angoli, Mozambiku. Bosonogich buntowników wybijali kolonizatorzy, Portugalczycy dyktatora Salazara.

Przyśniła się Alikowi Anisimowiczanka, co dawno temu poszła za mąż do Ameryki i od tamtej pory nie było o niej żadnych wieści. We śnie chodziła ona naga-nagusieńka pod palmami na słonecznej wyspie z szyldem „Ameryka”. Z oceanicznych fal wynurzały się ostre płetwy rekinów. W błękitnej mgłę nieboskłonu majaczyły statki, czemuś jeden za drugim. Na złocistym piasku wylegiwały się także obnażone amerykańskie chłopiska, którym – jak to mężczyznom – zawsze jedno w głowie. Zamiast rechotać rzeli, wyszczerzywszy zęby (przy czym – nienaturalne, sztuczne, niklowane). Anisimowiczanka – zapomniał jej imię – kręciła krągłym tyłeczkiem przed nimi, natrętami. Nad spotniałymi brzuchami migotały, niby motyle, dolary. A ona, wyciągając w górę lewą czy prawą rękę, maniła¹⁷⁸ banknoty w dłonie, zwijała w ruloniki, wrzucała do jamek i przysypywała piaskiem, jak gniazdujące na jajkach mewy. Raptem zerwał się huragan; tajfun wymiółł plażę, porwał w dal chmarę mężczyzn, a za nimi wróble roje pieniędzy, i znikła Anisimowiczanka, zostawiwszy na przybrzeżnej skale nocną koszulę na kształt białego znaku dla zbłąkanych statków, gnanych przez wichurę ku katastroficznemu archipelagowi.

Obudził się mokry od potu o świcie. Przejmował go przedwiosenny chłód. W chlewie becząła owieczka, może kotna... Żyją przecież niebiednie czarni ludzie w ciepłych krajach. Nie muszą budować się. Byle dach z łopianów spleść nad sobą na wypadek ulewy. Ryb nałowią w błękitnym morzu, jajek nawybierają z gniazd (na jajecznicę), bananów nazrywają. Czego więcej trzeba człowiekowi? Wszystko od Boga. Raj!

Paskudny świat jednak u nas, choć, możliwe, nie byłoby tak kiepsko tutaj, gdyby nie ci sowieci ze swoimi kołchozami i hultajskim komunizmem. Alika zadziwiała ludzkość: zawsze chce dobrze i lekko żyć! Wszystkim nie dogodzisz, fakt. Ciekawie pomyśleć o władzy. Bierze się ona z największego miasta. Milionowy Rzym oświadczył dziesiątkami milionów ludności Śródziemnomorza.

Co dała ludzkości wieś? Chleb i rody, nie więcej. Szczęśliwa wioska obowiązkowo przeistoczyła się w miasto. Nieotoczoną obronnymi murami rozkradali włóczędzy, wyrzynali, palili. Sąsiedzi albo kohorta kniazia. Do czego można przyrównać pierwsze państwa? Do pszczelego ula, kłody bartnej. Ludzie, jak te pszczoły, pracowicie gromadzili bogactwo, którego ujmowali im jesienią kniaziewscy woje. Państwo tysiąc lat temu przedstawiało sobą obszar

pryznánuju kamušci jak wyklucznuju dazwolenaść rabunku. Waŭki wyjuć, apawiaszczájucy hetym swoj zachop wakolla. Ptuški robiac zajawu rańnimi śpiewami. Kniaź i jahonaja družyna – heta banda, jakaja z czasam rozumnieła, nia tolki nie abirájucy datła, ale, by toj pczalar, dapamahájucy razžycca, kab mahczy ũsio sytniej zabiráć. Zapěniwajucy ũzamiem achowu ad padobnych da siabie bańdziukoŭ-uładykaŭ.

Sutnašciu ũłady hwatł. Razumnaja adpałochwaje susiednich hwałtaŭnikoŭ, pakidájucy za saboju niepadzielnaje prawa na toje. By swajeasabliwaje prawa muža na žonku.

Prajhrali wajnu niemcy; adjechali za hranicu abozy sawieckaj armii; znoŭ pryjszlĭ palaki; zmylisia ahitátary, usio roŭna jak ich i nia było; u miasteczku nastáŭ mużycki wojt Harbuz. Alé nia było kanca kałatnieczy: padnialĭ haławu antykomunistyja hrupy pad znakam Biéłaha Arła z karonaju. Jak u koźnym partyzanskim ruchu, dałuczálisia marhinały, pierajnáczwajucy tyja hrupy ũ bandy. Sztoraz kahošci ũ wakolicy zabiwali i wiadoma było, szto nie za palityku. Zreszty, palitykoŭcaŭ tadý nie znachodziłasia – kaho jaszczé sawiety wýwieźli ũ Sibĭr, a kaho potym niemcy rasstralali za haroju. Mahiła kala mahiły, świeżyja.

U miasteczku pryszłyja nastralali ponaczy czaławiek dziesiać adrazu. Narmalna, szto j Mićku ź jaho partyjcami. Alé inszych pabili dzieła kažuchoŭ dy poŭnych kufraŭ; pabrali parszukoŭ. Banda handlawáła adabranym, nawet szápkami j rukawicami. Nahádwála balszawickija rabunki. Heta nia była wajná palakaŭ ź biełarusami, alé hałoty z bahátymi. Czystaja rewalucyja! Pryczym rabili jajé tut nie miascowyja, bo janý jszlĭ abiráć bahatyroŭ u dalokich hminach. Miarkujucy pa kazielskaj mowie nowych partyzanaŭ, niamála chadziła na zdabyczu mienawita rapatryjantaŭ rodám ź wiosak nad Niomanám. Sawiety abłupili ich, dyk janý łupili zamoźnych ludziej la polskaj miaży. Profesijanały z byłoje Armii Krajowej nia ũmiešzwalisia ũ hety razboj, wĕdajucy, szto czyrwonaja biašpieka nieŭzabawie wýławić tych niapišmiennych amátaraŭ. Dawoli biaźlitasna ũhréc pa skabach adnamu, szto papaŭsia, i jon wydaść usich, kaho wiedaŭ, a pra kaho tolki czuŭ. Užo ũ sorak szostym hodzie stała cicha pra bandy. Zredku adbywálisia abławy na akoŭcaŭ, szto prakradálisia siudý ź Wĭlenszczyny. Sawieckija pamieźniki stajali husta; polskija zatoje mieli znajomstwy pa wioskach i chutaroch. Wĕdali, chto j dzie chawájecca, inszy raz prychođiaczy da takoha ũdzień i pa-dobramu, jak palák palaku, kázucy, kab uciakáŭ na kraj ziamlĭ, nad Odru.

przyznany komuś do wyłącznego łupienia. Wilki wyciem obwieszczą swoje zagarnięcie okolicy. Ptaki oznajmiają to porannym śpiewem. Książ i jego drużyna – to banda, która z czasem mądrzała, nie tylko nie obierając ze wszystkiego, ale – jak ów pszczelarz – pomagając rozwinąć się, by móc coraz sytniej zabierać. Zapewniając w zamian ochronę przed podobnymi do siebie rabusiami-włodarzami.

Istotą władzy jest przemoc. Rozumna odstrasza sąsiednich ciemniejszych, pozostawiając sobie wyłączne prawo do przymusu. Niby osobliwe prawo męża do żony.

Przeegrali Niemcy wojnę; odjechały za granicę obozy sowieckiej armii; znów przyszli Polacy; zmyli się agitatorzy, zupełnie jakby ich nigdy nie było; w miasteczku nastał chłopski burmistrz Harbúz. Ale nie oznaczało to końca zamieszania: podniosły głowę grupy antykomunistyczne spod znaku Orła Białego z koroną. Jak w każdym partyzanckim ruchu, przyłączali się ludzie z marginesu, przekształcając owe grupy w bandy. Coraz to kogoś w okolicy zabijały i wiadomo było, że nie za politykę. Zresztą politykujących było wtedy niewielu – jednych jeszcze sowieci wywieźli na Sybir, innych potem Niemcy rozstrzelali za górą. Mogiła obok mogiły, świeże.

W miasteczku przybysze nastrzelali nocą ludzi, od razu z dziesięciu. Normalne, że i Mićkę z jego partyjniakami. Ale innych ubili dla kozuchów i pełnych kufrów, pozabierali świniaki. Banda handlowała zabranymi rzeczami, nawet czapkami i rękawicami. Przywodziło to na myśl bolszewickie rabunki^{XVI/s.274}. To nie była wojna Polaków z Białorusinami, ale gołoty z bogatymi. Czysta rewolucja! Przy czym robili ją tutaj nie miejscowi, bo ci szli oskubywać bohaterów w odległych gminach. Miarkując po kozielskiej mowie nowych partyzantów, niemało chodziło po zdobycz mianowicie repatriantów rodem z wiosek nad Niemnem. Sowietci oskubali ich, więc oni łupili zamożnych ludzi przy polskiej granicy. Profesjonaliści z byłej Armii Krajowej nie mieszały się do tego rozboju, wiedząc, że czerwona bezpieka niebawem wyłowi tych niepiśmiennych amatorów. Wystarczy bezlitośnie przygrzać po żebrach jednemu, co wpadł, a wyda wszystkich, których znał i o których słyszał. Już w czterdziestym szóstym ucichło o bandach.¹⁷⁹ Z rzadka odbywały się obławy na akowców, co przekradali się tutaj z Wileńszczyzny. Sowietcy pogranicznicy stali gęsto; polscy mieli za to znajomości po wioskach i chutorach. Wiedzieli, kto i gdzie się chowa, czasem przychodząc do takiego za dnia i po dobroci, jak Polak Polakowi, radząc, by uciekał na kraj ziemi, nad Odrę.

XI

Wartańnie sawietaŭ u sorak czaćwiertym zaŭwážana jak widowiszcza; tak sialanie pryhladałisia dańniej da bitwaŭ feodalnych wojskaŭ, szto adnolkawa rabawali wiosku. Biaskonca raspawiadali adzín adnamu pra zdareńni pamiż nastupálnikami i abaroncami; wáżnymi akázwalisia detali, nia idei (zreszty: da abrydłaści wiadomyja). Dareczy: naczekwałasia ũstanaŭleńnia Polszczy, jajé zhádwałasia ũžo z sympatyjaj.

Spadziawańni, szto astojesamliwalisia z Polszczaju, mieli swoj pieralík – nia budzie sawiećkaha ładu, kałhasaŭ i wýwazaŭ u Sibír, zaszanujecca ũłasnaść, adnowiacca darahija hroszy; sudy, paszana asoby i h.d. Polszczu - czekali, jajé jaszczé pamiatali. U samoj Rasiei mała chto ũžo pamiataŭ Rasieju; razhrom niemcaŭ tam uspryniata tolki jak kanięc wajny, bieź wialikich spadziewaŭ na búduczyniu. Tym różniłasia Rasieja ad Eŭropy – biaspámiaćciu lepszaha losu.

U sorak piatym pachła poracham. Padrywálisia na minach pastuchi, raznosiła karowy i ũszczent awieczki. U dwary zhareła ścirta zbożża. Pajsoŭ pohalas, szto jduć ad Warszawy zbrojnyja palaki bić balszawickuju náwałacz. Ad mora jakráz pryjechali samachodam szwedy, pakidájucy ũ szkole kaduszku rybnaha tłuszczu wuczniam i szakaladki nastáŭnicam. U hminie rabili pierapís nasielnictwa, dawali pászpartnyja papiery. Na rynek sahnali patryjatyczny natoŭp światkawác niejkuju warszáŭskuju hadawinu. Łapatali ũ wiatrysku biela-czyrwonyja ściahĭ dy bialeŭ wielzny malunak arła. Wojt źziaŭ rumiánymi ad pierapoju szczokami. Chistaŭsia jahony sakratár u aficerskich botach z anhielskimi abcásami i ũ zialonych galifĕ. Cudna świaciła sonca, majáczyła szarenha mazurskich strážnikaŭ kardonu; prykipieŭ da ich sraczyсты daradczyk z pawiatowaha UB. Aduchoŭlenaja pani deklamawała światy wiersz.

Szmatdzietnych srajkiszkaŭ nadzialali dwarowymi hiektarami ũ adpawiednaści ź ziamielnym dakretam, adnaczasna pryznajucy pazyki na kuplu ciahławych koniaj. Katawali haładrancy adzín adnaho dubowymi kijami, swaraczysia za ũradliwiejszyja paletki. Czaściej za rańniejszyja pad Razbojnikam. Raskopwali żydoŭskija placy, szukájucy hłyboka schawánaha zołata; u zasypanych druzam sklapoch.

Katalickija dzieci chadzili ũ polskuju szkołu, prawasłaŭnyja ũ biełaruskuju (tyja aposznija mieli lepiej, bo adpaczatku razumieli, szto im kaźuć). Repatryjawányja z-za kierzonskaj hranicy szlachcianki wuczylu nawet francuskaj mowy, ad jakoje baleli ad rohatu wuczniam żywate. Na lekcyjach zakonu Bożaha smurhieli nadakuczali doczkom „baciuszki”, bo ksiondz, jak kawaler, liczyŭsia biaździetnym.

Uspalymniela ũsienarodnaja samapalanizacyja, jakuju ũzmacnili nieznarok

XI

Powrót sowieków w czterdziestym czwartym był widowiskiem, któremu chłopcy przyglądali się tak, jak dawniej bitwom feudalnych wojsk, co jednakowo¹⁸⁰ rabowały wieś. Bez końca rozpowiadali sobie o przypadkach pomiędzy atakującymi i cofającymi się; ważne okazywały się szczegóły, nie idee (zresztą do obrzydzenia znane). Przy tym oczekiwało się ustanowienia Polski, napomykano o niej już z sympatią.

Nadzieje związane z Polską były konkretne – nie będzie sowieckich porządków, kolchozów ani wywozek na Sybir, wróci poszanowanie własności, mocny pieniądz, sądy, szacunek dla obywatela, itd. Polski oczekiwano, jeszcze ją pamiętano. W samej Rosji już mało kto pamiętał Rosję; zwycięstwo nad Niemcami przyjęto tam jedynie jako koniec wojny, bez wielkich nadziei na przyszłość. Tym się różniła Rosja od Europy – niepamięcią lepszego losu.

W czterdziestym piątym pachniało prochem. Podrywali się na minach pastuchowie, roznosiło krowy i doszczętnie owieczki. We dworze spłonęła sterta zboża. Poszła pogłoska, że idą od Warszawy zbrojni Polacy bić bolszewicką swołocz. Akurat przyjechali znad morza Szwedzi, przywożąc beczkę tranu dla uczniów i czekoladki nauczycielkom. W gminie robiono spis ludności, wydawano dokumenty. Zgoniono na rynek patriotyczny tłum, by świętował jakąś warszawską rocznicę. Łopotwały na wicherze biało-czerwone flagi i białą wielgachny wizerunek orła¹⁸¹. Wójt promieniał rumianymi z przepicia policzkami. Chwiał się jego sekretarz w oficerskich butach z angielskimi obcasami i w zielonych bryczesach. Cudnie świeciło słońce, majaczył w srodozde¹⁸² szereg mazurskich pograniczników; przylgnął do nich dupiasty doradca z powiatowego UB. Uduchowiona pani deklamowała święty wiersz.

Wielodzietych srajkiszków obdzielano dworskimi hektarami, zgodnie z dekretem rolnym, przyznając zarazem pożyczki na zakup koni pociągowych. Okładali się oberwańcy dębowymi kijami, wyklócając się o rodzajniejsze poletka. Zwłaszcza o te równiejsze pod Rozbójnikiem. Rozkopywali żydowskie place, szukając głęboko ukrytego złota; w zasypanych gruzem piwnicach.

Katolickie dzieci chodziły do polskiej szkoły, prawosławne do białoruskiej (te ostatnie miały na ogół lepiej, bo w lot rozumiały, co się do nich mówi^{XVIII/s.277}). Repatriowane zza linii Curzona szlachcianki nauczały nawet języka francuskiego, który śmieszył uczniów do rozpuku. Na lekcjach prawa Bożego smarkacze dokuczali córkom babcie (księdza, jako kawalera, uważano za bezdzietnego).

Rozpętała się powszechna samopolonizacja^{XVII/s.275}, wzmożona mimochodem

kramloŭskija ahitátary, szto panajażdźali werbawác biełarusaŭ dzieła admaŭleńnia ad polskaha hramadźianstwa i wýjezdu ŭ raj Sawiećkaha Sajuzu. Tutejszym było adno ŭ mazhoch — toje, szto zastanucca pałakami i nichto nia stanie hnać u „kałchoz”. Wosieńniu źnikła biełaruskaja szkoła; dziaŭczaty j chłopczy zajelisia „pszekać”, chwarejucy práhaju stać padpánkami. Na muzykach kryczali niedarostyja kawalery: „Niech żyje Polska!” Paŭtarali kamandy, paczutyja ad baćkoŭ z rekruckaj służby ŭ dawajennaj ármii Piłsudzkaha: „Bacność!, „Biegiem marsz!”; śpiawali: „Polski my naród, polski lud...”

Nadychodziła zima. Paślá polskich Kaladaŭ adbyłasia jalinka dla szkolnikaŭ; na haliny nawieszali „wuczycielki” cukierak u kolernych papierkach i piernikaŭ; muzykánt z Pahulanki ŭrezaŭ palanez, a wychawácielki namaŭlali chłopczykaŭ prasić panienaczak chadzić párami wakoł światlistaj jaliny, ścieczanej u blizkim Hrąbszawym Lesie. Wietliwa tłumaczyli hałytwie práwiły sawuár-wiwru. Dziaŭczyniaty, jak ráźwítniejszaja, dawodzili da pláksiwaści nieprzywyczajenych da „rycarstwa” smarkuloŭ u damatkanym adzieńni. Kiraŭniczka padawała kamandu „grand-danse” i wuczaniczy na ũsiaki wýpadak kruźlali damulkami by padwiejanyja. Zatym wuczniouškaje tawarystwa pierajszło ŭ bakawuju klasu. Tam na łaŭki, szto byli ssunuty ŭ doŭhija stały, starażychi stawili kubki z kipielnym czajem. Cukru, jakŭ wýdaŭsia szwedzkim, dzieci sypali mnoha, choć niazruczna, czájnyimi łyżaczkami.

Czakájucy Maślenicy, dzynkali ŭ światyja dni rahatliwyja kampánii na saniach, jaszczé pierad ruskim nowym „rokam”. Sławilisia razbojem bańdziukawátyja nadrečancy. Pierlisia cierz rynek na koniach z wuzdeczkami. Prykŭdwajuczysia kazákami abo ũłánami. Biaź siodłaŭ pádali ad raptouńaha bolu ŭ jajcach. Paciaszálisia połymiem zapálenaj wuhollem sałomy; byccam pánskija párabki ŭ sánnuju pad kaściołam, palili *smalniaki* pa-nad duhami. U wialikodnuju nocz Uwaskrasieńnia Haspodniaha. — Z darohi, chamy!

U Ściapanu ruch. jIszlŭ ludzi z pruskimi skurami dy padeszwmami. Baby zachadzili ŭ botach, zimoju j letam. Pradalŭ zładziei Ściapanu szteparskuju maszynu, uziáu jon na szaŭcawańnie Kulháwaha Wałodzika: trochi rabjŭ na kapyłach. Klijenty z padlesnych wiosak spali ŭ tutejszych swajakoŭ u cioptuju paru ŭ Kiszkialowaj stadole, na sienie. Inszy raz padymaŭsia hwałt apoŭnaczy – myszy załázili ŭ kiszani, kamuści wuź zapoŭz z bałotca ŭ rukáu kaźuchá. Aszaleły dziadźka ź Wiarchlesu biehaŭ u kaszuli, kryczucy „Hitler kaput!”

U zázimak maścŭlisia naczleźniki z awiećczkami, na suchim. U woŭnie nie taki choład, alé nie dawáu im spakoju barán, biŭ rahami ŭ łob, kalí chto paczynáu chrapcŭ, świstać nosam. Dastawáłasia ad markaczá j Ściapanu, kalí jon zabiahaŭ baranić biedakoŭ. Dumali zarezac, adnák paszkadawali: dobry ad jaho

przez kremłowski agitatorów, co ponajeżdżali byli namawiać Białorusinów do zrzekania się polskiego obywatelstwa i wyjazdu do sowieckiego „raju”. Tutejsi mieli jedno w głowach – że zostaną Polakami^{XIX/s.277} i nikt nie zacznie zaganiać do kołchozu. Jesienią znikła szkoła białoruska^{XLII/s.337}; dziewczęta i chłopcy zawzięli się „pszezać”, chorując na podpanków^{XX/s.278}. Na potańcówkach wykrzykiwali niedorośli kawalerowie: „Niech żyje Polska!”; zaśpiewywali *Rotę*. Powtarzali komendy, zasłyszane od rodziców z rekruckiej służby w przedwojennym wojsku Piłsudskiego: „Bacność! Biegiem marsz!”.

Zbliżała się zima. Po polskim Bożym Narodzeniu odbyła się szkolna choinka; na gałęzie nawieszały nauczycielki kolorowych cukierków i pierników; grajek z Pohulanki wyróżnął poloneza, a wychowawczynie namawiały chłopczyków, by prosili panieneczki do tańca i chodzili parami wokół świetlistej jedliny, wyrąbanej w pobliskim Hrabyszowym Lesie. Uprzejmie objaśniały gołocie *savoir-vivre*’u. Dziewczynki, jako bardziej rozwinięte, przywodziły do płacziwości niewzwyczajonych do „rycerskości” smarkaczy w domatkanej odzieży. Kierowniczką podawała komendę „grand-danse¹⁸³” i uczennice dla zachęty wirowały jak podwiane. Potem uczniowskie towarzystwo przeszło do klasy obok, gdzie na ławki – zsunięte w długie stoły – woźne podawały kubki z herbacianym wrzątkiem. Cukru, który wydał się szwedzki, dzieci sypały dużo, acz niezręcznie, małymi łyżeczkami.

Czekając Maślenicy, podzwaniały w święte dni rechotliwe kompanie na saniach, jeszcze przed ruskim Nowym Rokiem. Wsławiali się rozbojem bandytowaci nadrzeczczacy. Parli konno przez rynek, udając kozaków albo ułanów. Bez siodła spadali, porażeni nagłym bólem w jajach. Zabawiali się zapaloną od węgielków słomą; niby pańscy parobkowie w sannę pod kościołem, palili smolne żagwie nad zaprzęgami. W wielką noc Zmartwychwstania Pańskiego. — Z drogi, chamy!

U Alika ruch. Szli ludzie z pruskimi skórami i podeszwami. Baby jeły chodzić w butach, zimą i latem. Kiedy szabrownicy sprzedali Alikowi cholewkarską maszynę, przybrał sobie do szewcowania Kulawego Wałodźkę: robił trochę na kopytach. Klienci z podleśnych wiosek spali u tutejszych swojaków, cieplejszą porą w Kiszkielowej stodole, na sianie. Czasem podnosił się lament o północy – myszy włożyły do kieszeni, komuś wąż zapełził z błotka do rękawa kozucha. Stuknięty jegomość z Wierchlasu biegł w koszuli, krzycząc: „Hitler kaputt!”.

Na początku zimy nocujący mościli się z owieczkami, na suchym. W wełnie nie tak zimno, ale nie dawał im spokoju baran, bił rogami w łeb, kiedy kto zaczynał chrapać, poświstywać przez nos. Dostawało się od tryka i Alikowi, gdy przybiegał bronić biedaków. Myśleli go zarznąć, jednak pożałowali: dobry od niego

pryplod. Naczleźnikam wýharadzili doszkami miesca za katuchom. Panádzilisia pacukj. Ž imi zmahálisha sami, poruczy poskudž ćwikami ũ pałkach.

U adlihu pierachodzili nánacz u humno. U chacie spaczywali czużyja baby, niaszmát. Maci Wolha padkázwała Ściapanu dabudawác ciopty hanak. Baćka, jak heta jon, mańczáu. Andrejka pajszoũ u szkołu. Mania dapamahála matcy dy razhładálisha za kawalerami. Ściapanu nia było kalí žanicca, choć mužczynie nikoli nia pozna padczapić sabie žonku.

Pryświatkami ihráu u baźnicy inszy: Lonik Muzykánt. Irżała harmon i tupacielu tancy, kalí ũrezaũ polku, a pierszym wýskaczyũ na siaredzinu padłohi kazyrasty Krywaszein z Pahulanki. Adniekul wyłaziũ Taduł-Bambiza i tadý zakipaũ mardaboj. Taduła łupili ũsie, asabliwa ũdowy, žłosnyja za papsawányja muzyki. Jon uciakáu nia ũ dźwiery, dzie zaduszylu b; nyraũ u rasczynienaje akno, dziũna nie kałeczaczysia. Dzieci na padworyszczy szpurlali za im kamianiami, zadawolenyja dazwolenašciu. Lonik Muzykánt, nia spyniájuczysia, dzika świstáu, szto padabálisha haraczym sikunkam. Janý zahledźwalisia ũ wuhalki jahonych cyhanskich waczrej; wybliskwali z-pad czornaha czuba z bujnymi chwálami. Na patylicy trymálisha haławy siaržánckaja szapka z karotkim kazyrkom i žwiazdoju; wyjhraũ jajé ũ karty ad pjánaha sawieta ũwosień.

Wałacuhi zawozili z Prusaũ brutálnuju erotyku. U niemcaũ zastalisia žyc na swabodzie adny baby i ũ front małacili ich maładyja sałdaty. Potym nalahali im na hołyja żywaty naszymy kaminátary, spekulanty, nakrášzysia niemieckaha dabrá. Paszyrylisha byli „prancy”, pra jakija czuwali jak pra daloki ũspamin napaleonaũskaj armii. Dzieciarnia ũ wioscy j miasteczku niaũciamna imitawála paławyja znosiny, zusim nie atojesámliwajuczycy ich z pawodzinami žarabcoũ, bykoũ, knyroũ, pieńniaũ. Nulawaja seksuálnaja świadomašć wyjaũlášia ũ kamicznych adnosinach chłopcaũ da dziaũczataũ. Erotyka kanczálisha na szczypańni cycastych hrudziej, láskańni puħaju pa łytkach. Nawat maładzicy – ũžo ciazárnyja – nia wiedali, jak naradžác; dzicianio ũ žywacie, by czortaũ žud.

Małyja hulali ũ „totka j mamu”; dziaũczynki z chłopczykami wiazali z anuczaũ lalki, śpiawali kałychanki, huszkali: „A-aa, kociki dwa, szeryja-buryja abodwa...” U padrastańnie „žonki” prawodzili „mužoũ” na wajnu. Wuczni czaćwiertaje klasy struhali z doũhich palenaũ wintoũki i pryklejwali sabie na pleczy, mukoju, aficerskija pahony, wyrusoũwanyja z kardonak. Nichto nie chacieũ być radawym. U zychod žniwá kirawálisha na aũsiányja pałoski, na poźni jakich lohka kapác doszczaczkami akopy. Hudzieli bitwy, nastupleńni i adstupleńni. Swarylisha pamiz saboju, chto niemiec. Da hetaj niezajzdrošnjaj roli prymuszali nieũdałotaũ, im dastawášia pa skabach jak nienawisnym frycam. Choć zahadzioũ uzhadniášia, szto abydziecca biez pabojaũ:

– Budziacia bić mianie?

przychówek. Nocleżnikom odgradzili deskami miejsce za kojcem. Zanęciły się szczury. Z nimi radzili sobie sami, dźgając paskudztwo gwoździami w pałkach.

W odwilż przechodzili na noc do stodoły. W chacie poczynały obce baby, nieliczne. Matka Olga podpowiadała Alikowi, żeby dobudował ciepły ganek. Ojciec, jak to on, milczał. Andrzejek poszedł do szkoły. Mania pomagała matce i rozglądała się za kawalerami. Alik nie miał kiedy się żenić, choć dla mężczyzny nigdy nie za późno, by przygruchać sobie żonę.

W przyświątki grał w bożnicy inny grajek: Lonik Muzykánt. Rżała harmonia i tupotały tańce, kiedy wyciął polkę, a pierwszy wyskoczył na środek podłogi kozyrkowy¹⁸⁴ Krywaszein z Pohulanki. Skądeś wyłaził Tadúl-Bambiza¹⁸⁵ i wtedy wzbierała rozróżba. Tadula tłukli wszyscy – osobliwie wdowy, złe za zepsutą zabawę. On uciekał nie ku drzwiom, gdzie zadusiliby; nurkował w otwarte okno, o dziwo nie kalecząc się. Smarkacze na podwórku smyrgali za nim kamieniami, radzi przyzwoleniu. Lonik Muzykánt, nie przerywając, dziko gwizdał, co podobało się rozmarzonym dziećmi. One zapatrywały się w węgielki jego cygańskich oczu; wybłyskiwały spod czarnego czuba z bujnymi falami. Na potylicy trzymała się głowy sierżancka czapka z krótkim daszkiem i gwiazdą; wygrał ją w karty od pijanego sowieta jesienią.

Włóczędzy przywozili z Prus brutalną erotykę. U Niemców żyły na wolności same baby i podczas frontu młócili je młodzi żołdaci. Potem nalegali na ich nagie brzuchy nasi kombinatory, szabrownicy, nakradłszy się niemieckiego dobra. Były się poszerzyły „france¹⁸⁶”, o których słyszano jak o odległym wspomnieniu napoleońskiej armii. Dzieciarnia we wsi i miasteczku nieporadnie naśladowała współżycie płciowe, zupełnie go nie kojarząc z zachowaniami ogierów, byków, knurów, kogutów. Brak świadomości seksualnej przejawiał się w komicznych zachowaniach chłopców wobec dziewczynek. Erotyka kończyła się na szczypaniu cyncastych piersi, pochlastywaniu batem po łydkach. Nawet młódki – już ciężarne – nie wiedziały, jak rodzić; dziecko w brzuchu niczym czarci strach.

Malcy bawili się w „tátka i mamę”; dziewczynki z chłopczykami wiązały ze szmat lalki, nuciły kołysanki: „A-a-a, kotki dwa, szarobure obydw...”. Podrastające „żony” odprowadzały „mężów” na wojnę. Uczniowie czwartej klasy strugali z długich polan strzelby i przyklejali sobie na ramiona, klejem z mąki, pagony wyrysowywane na kartonikach. Nikt nie chciał być szeregowcem. Po żniwach kierowali się ku owsianym poletkom, na ściernisku których łatwo kopać deseczkami okopy. Dudniły bitwy, natarcia i odwroty. Kłócili się między sobą, kto Niemiec. Do tej niezadzrosnej roli zmuszane były ofermi, im się obrywało po tyłku jako nienawistnym frycom. Choć zawczasu uzgadniano, że obędzie się bez bicia.

– Będziecie mnie bić?

– Słuchaj, ni budziam!

Wojny na aŭsianiszczy pierapyniaŭ paczatak szkolnaje nawuki i asieńniaje worywa.

Na muzykach i ũ pjányja nahody kawalerka pijała wajennyja pieśni, czutyja ad sałdatni j na sawieckich filmach. Najlepiej „Raśćwitali jabłyni i hruszy, papłyli tumany nad rakoj...” Nie ũdawafasia „Ciomnaja nocz, tolki puli świściat pa ściapi...” Spraboŭwali „Szumięŭ kamysz, dziareŭja hnuliś...” i czamuści „Karobaczku”. Paczać – paczynali, a kab konczyć – nie chapała słoŭ. Lepiej ciahnuli dziaŭczaty, z pámiaćciu. „Wsio wasilk_i, wasilk_i, mnoho miel_kajet ich w pole... Ala lubiła raku, daża jajo nie bajałaś, pa cełym naczam z miłym na łodkie katałaś...” Czŭlisia lubyja śpiewy ũ starszakláśnikaŭ; padumwali wuczycca dalej, u horadzie. „Spat kurhany ciomnyja, soncam apalonyja, i wyszeł w ściep danieckuju pareń małodaj...” Jaszczé: „Try tankista, try wiasiołych druga, ekipaŭ maszyny bajawoj...” Polskich nie śpiawali, akramiá wýniesienaj sa szkolnych lekcyjaŭ: „Nie žucim ziemi, skond nasz rud...” Ublytalisia ũkraĩnskija na rasiejski manier: „Rasprahajcia chłopczy koniaj i lahajcia paczywac...” Taksama: „Rawię i stohnia Dniepr szyroki...”; dziwakawata zakonczwafasia: „Wyjdu ja, wyjdu, u roŭ wysokuju...”

U haspodzie Burniewicza źwiniela: „Szałandy poŭnyja kifali, kasztan nad horadam ćwiciot, i Kanstańcin biarot hitaru, i cichim hołasam pajot. Ja wam nie raskaŭu pra ũsiu Adesu, Adesa oczań wialika...” Biełaruskich nie śpiawali. Marny honar. Dyj ab czym? Usio pra niadolu. Zusim nia toje, szto „I na Cichim akijanie swoj zakonczyli pachod!” Krucili polku „Chaj, chaj, chaj...” z pjányimi bábami-fachoŭkami, sraczystymi.

Sawiecki śpieŭny melas prażyŭ da piacidziasiatych hadoŭ, kalí moładŭŭ rynuľasia ũ biełastockija siarędnija szkoły, paślá ũ fabryki: i zarablac hroszy, i žanica, kab trywała astalawacca siarod polskich haradzán.

U miasteczku asieli ũ żydoŭskich chatach uciekaczy z-za balszawickaha kardonu. Na dziarżaŭnaj miaŭy za Anisimowiczawymi humnami sztonoczy báchała stralanina, ũzwiwáľisia rakiety pad bliŭzkija kryki „Stoj! Ruki wwierch!” Biehli adtŭľ polskija partyzany; redka katoramu szancawała. Adŭin paratawaŭsia ũ prywyhanskim bahońniku, zalezszy pa szyju ũ Czortawu Kaluhu. Jon u joj mała nie akalęŭ, choć ustajáľasia była wiasná na leta; rasawali żyty. Uporanak nihto jaho nie ławjŭ, pawaloksia, byccam bałotny niaczyścik, plántaŭskim haścincam u lasy. U zawadzđzi Starynki zmoh, peŭna, abmycca j absochnuć, wýpaľaskaŭszy z bałota adzieńnie.

Niadzielami ũ dwarowym parku bujanili festy, ładzanyja nowymi ũładami. Namaháľisia wojt i sakratár partyi, dapamaháŭ kamandánt milicyi i tajemnyja cywilynja pamoczniki z pawiatowaj Sakoľki. U ciani staradaŭnich lipaŭ i kłonaŭ

– Słuchaj, nie będziemy!

Wojnom na owsianiskach kładły kres początek nauki szkolnej i jesienna orka.

Podczas zabaw i przy pijanych okazjach kawalerstwo śpiewało wojenne pieśni, zasłyszane od żołdactwa i znane z sowieckich filmów. Najchętniej „Raśćwitali jabłyni i hruszy, papylj tumany nad rakoj¹⁸⁷...”. Nie udawała się „Ciomnaja noc’”, tolki puli świściat pa ściapi¹⁸⁸...”. Próbowali „Szumieu kamysz, dziareuja hnulis¹⁸⁹...” i czemuś „Karobaczku¹⁹⁰”. Zaczynać – zaczynali, a żeby kończyć – słów nie starczało. Lepiej ciągnęły dziewczęta, z pamięcią. „Wsio wasilkj, wasilkj, mnoga mielkajet ich w pole... Ania lubiła rakuj, daża jajoj nie bajałas, pa cełym nacząm z miłym na łodkie katałas¹⁹¹...”. Słyszało się lube śpiewy u starszych uczniów; zamyślali uczyć się dalej, w mieście. „Śpiat kurhany ciomnyja, soncam apalonyja, i wyszeł w ściep daniękuju parień maładoj¹⁹²...”. Jeszcze: „Try tankista, try wiasiołych druga, ekipaž maszyny bajawoj¹⁹³...”. Polskich nie śpiewano, prócz wyniesionej ze szkolnych lekcji: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...”. Wplątały się ukraińskie, na rosyjską manierę: „Rasprahajcia chłopcy koniaj i lahajcia paczywać¹⁹⁴...”. Również: „Rawie i stohnia Dniepr szyroki¹⁹⁵...”; kończyło się dziwakowato: „Wyjdu ja, wyjdu, u roż wysokuju¹⁹⁶...”.

W gospodzie Burniewiczza dźwięczała: „Szałandy pounyja kiefali, kasztan nad horadam ćwiciot, i Kanstańcin biarot hitaru, i cichim hołasam pajot. Ja wam nie raskażu pra usiu Adesu, Adesa oczań wialika¹⁹⁷...”. Biało-ruskich nie śpiewano. Marny honor. Bo i o czym? Ciągłe o niedoli. Zupełnie nie to, co „I na Cichim Akijanie swoj zakonczyli pachod!¹⁹⁸”. Kręcili polkę „Chaj, chaj, chaj...” z pijanymi babami-fachówkami¹⁹⁹, dupiastymi.

Sowiecki śpiewny melos przetrwał do lat pięćdziesiątych, kiedy młodzież ruszyła do białostockich szkół średnich, potem do fabryk: i zarabiać pieniądze, i się żenić, aby trwale urządzić się wśród polskich mieszczan.

W miasteczku osiedli w żydowskich chatkach uciekinierzy z bolszewickiego kordonu. Na granicy za stodołami Anisimowiczów co noc wybuchała strzelanina, wzbijały się rakiety pod bliskie okrzyki: „Stoj! Ruki w wierch!”. Biegli stamtąd polscy partyzanci; rzadko któremu się szczęściło. Jeden salwował się w zawygonnym trzęsawisku, zalazłszy po szyję w Czortową Kaługę²⁰⁰. W niej o mało nie skołał²⁰¹, choć szła wiosna na lato; rosiły się miodową rosą²⁰² żyta. Rankiem nikt go nie szukał, powlókł się, jak bagienny nieczyszcik²⁰³, plantańskim²⁰⁴ gościńcem w lasy. W zakolu Starynki zdołał pewnie się obmyć i obeschnąć, wypłukawszy z błota ubranie.

W niedziele w parku dworskim dokazywały festy, urządzone przez nowe władze. Starali się wójt i sekretarz partii, dopomagał komendant milicji i tajemniczy cywile z powiatowej Sokołki. W cieniu starodawnych lip i klonów

stáwili, žbityja z doszak, stały z nawálenymi wendźanymi kiłbásami; pad imi stajali skryni z butelkami harełki, a pobacz – kaduszki piwa. Bojki handal - nie pierapyniali nawet partyjnyja pramowy da nasielnictwa. Zakonczwali kliczam: „Niacháj żywię narodnaja ũłada!” Niechta adkliknušia: „Chaj żywię, chaj jajé chalera woźmie!” Wieczaram mardabojnaja moładź tłumna harłała, nachlábtašsyzia samahonki. Eratycznyja wiski sikunak pranizwali ciemię abiažłudzielych zawułkaŭ. Zaliwista brachali sabaki dy miáŭkali ũdzicęłyja *kate*. Dzieciarnia zabaŭlášia łoŭlaju lotnych myszej, ašleplonych „batarejkami”²⁰⁵. Žjaždžalisia niejkija nacžálniki j pilj da ũpadu ũ miascowaj zabiahájlaŭcy, czastujucy tutejszych palatuch. Za poŭnacž charkacielj siptyja špiewy.

Sorak wošmy hod. Pierałomny, pahroźliwy, czaho trochi nie pradczuwałasia. Šciapán słuhaŭ u radyjo nadrywistyja wýstupy na kanhresie abjadnanaj rabotnickaj partyi. Huczali janý jamú, by hałasý marsijanaŭ. Prydušzany rabotaju, nia mieŭ kalj prysłuchacca; choć raz ukluczany aparát nie aciszali i ũ son, uzwyczáišsyzia, usio roŭna szto da żywoha stwareńnia. Prychodzili klijenty j kazali, szto na feście parežali Czečka, nažom pa baradzie j nosie.

Zahraniczniki najmálišia párabkámj na ũdowinych haspadarkach. Ad ich baby naradžali potym bajstrukoŭ. Byli heta wiesialistyja mužczyzny; usio czekali wajny, kalj *Anhlija-Ameryka* pojdzie na Stálinka. Šnišia hienerał Anders u halopie na *biehum* kanj. Režym adnák macawašia, klanucy anhla-amerykanskich imperyjalištaŭ, szto heta janý chozczú wajny, kab pieraswarýć narody, žnisztožýć pracouňaje sialanstwa j rabotnickuju klasu. Skutak ad taho byŭ adwarotny: lud urywašia ũ kramy, wykuplájucy sol i gazu (naftu). U šwiežuju pamiać pra niamięckuju akupacyju, u jakuju nia miełasia czym zapalwać náftawyja lampy j saljć miasa, strawu. Nia ũsio z zakolataha parszuká ũdawášia paweńdzić, a cialácinu pasuszýć. I nia kožny ũmieŭ. Siaredniawieczcza!

Ludzi nia byli suproč amerykancaŭ, alé nia wielmi wieryli ũ ich prychoď, ubáczyšy matłaszeńnie Niamięczczyzny. Kazali: pakúl taja Ameryka prydzie, sawiety paduszać nas! Na zachadzie trywała polskaja ármija, szmatlikaja. Na hłuchich urocyszczach dy zamszełych chutaroch siadzieli partyzany ž białym arłom na szapkach. Zahledžwalisia ũ nieba, nacžekwajucy anhielskaha desantu; słučajucy radyjopieradaczaŭ, asabliwa ž Londonu, žyli janý nadziejaj na chutkaju nastupálnuju kampańiju. Nawat uzimu, szto tłumaczyłasia paćwiardzięłymi tadý ad marazoŭ uježdžanymi darohami, niepraježdžymi adnák dla tankaŭ u wiesnawuju abo wosieńskuju paru. Choć žłapámiatny front czubárykaŭ kacišia ž na niemcaŭ wa ũsie pory hodu. Adnaho razu zabrážhali ad hranicy tankietkaju pamieźniki, imknuczysia pierastraláć lasny addzieł, szto szmyhanuŭ ž Wileńszczyzny. U hušieniczny loskat miestacžkoŭcy wybiahali na padworki da płatoŭ hladzieć, ci nie amerykancy tak prucca... Maładziušieńki palák

stawiano zbite z desek stoły z wyłożonymi na nich wędzonymi kiełbasami; pod nimi stały skrzynki z butelkami gorzalki, a obok – beczułki piwa. Dziarskiego handlu nie przerywały nawet partyjne mowy do ludu. Kończono okrzykiem: „Niech żyje władza ludowa!”. Ktoś odkrzyknął: „A niech żyje, niech ją cholera weźmie!”. Po zmierzchu skora do bitki młodzież gromadnie zawodziła, nażłopawszy się samogonu. Erotyczne piski siks przeszywały mrok bezludnych zaułków. Rozlewiście szczekały psy, miauczały zdziczałe koty. Dzieciarnia zabawiała się łapaniem nietoperzy, oślepionych latarkami. Zjeżdżali jacyś naczelnicy i pili na umór w miejscowej zabiegalce, częstując tutejsze latawice. Jeszcze po północy charczały ochryple śpiewy.

Rok czterdziesty ósmy. Przełomowy, groźny, czego trochę się nie przeczuwało. Alik słuchał w radiu nadętych wystąpień na kongresie zjednoczonej partii robotniczej. Brzmiały mu one jak głosy Marsjan. Przytłoczony pracą, nie miał kiedy się przysłuchać; mimo że raz włączonej toczki²⁰⁶ nie ściszałi nawet śpiąc, wzwyczałszy się jak do żywego stworzenia. Przychodzili klienci i powiadali, że na feście jacyś pocięli Czczeka, nożem po brodzie i nosie.

Zagranicznicy najmowali się za parobków we wdowich gospodarstwach. Od nich baby rodziły potem bękarty. Byli to weseliści mężczyźni; ciągle czekali wojny, kiedy Anglia-Ameryka pójdzie na Stalina. Śnił się generał Anders w galopie na białym koniu. Jednak reżym krzepł, klnąc angloamerykańskich „imperialistów”, że to oni chcą wojny, by skłócić narody, zniszczyć pracujące chłopstwo i klasę robotniczą. Dawało to skutek odwrotny do zamierzonego: lud wpadał do sklepów, wykupując sól i naftę. Świeża była pamięć niemieckiej okupacji, kiedy nie było czym świecić ani solić mięsa, stawy. Nie wszystko z zakłutego wieprza udawało się uwędzić, a z cielęciny ususzyc. I nie każdy potrafił. Średniowiecze!

Ludzie nie byli przeciw Amerykanom, ale nie bardzo wierzyli w ich przyjście, zobaczywszy upokorzenie Niemiec. Mówili: zanim tanta Ameryka przyjdzie, sowieci nas wyduszą! Na Zachodzie trwała polska armia, liczna. W głuchych uroczyskach i omszałych chutorach siedzieli jeszcze partyzanci z orłem z koroną na czapkach. Popatrywali w niebo, naczekując angielskiego desantu; słuchając radia, zwłaszcza londyńskiego, żyli oni nadzieją na rychłą kampanię wojskową. Nawet zimą, co tłumaczono stwardniałymi wtedy od mrozów ujeżdżonymi drogami, nieprzejezdnymi dla czołgów wiosną czy jesienią. Choć niesławnej pamięci front czubaryków toczył się na Niemców każdą porą roku. Raz zazgrzytali od granicy tankietką pogranicznicy chcący przestrzelać leśny oddział, co czmychnął z Wileńszczyzny. W gąsienicowy łoskot mieszkańcy miasteczka wybiegali na podwórka ku płotom patrzeć, czy nie Amerykanie tak prą...
Młodziutki Polak

z karabinam sprataŭ siabię ũ chlawię j ucaleŭ; resztu wýsiekli kulamiotam, (pabitych chawali na kaścielnych mohiłkach, szasnaccać czaławieķ).

Pierastali czakác Ameryki; brálsia za haspadarki. Amerykancy padwialŭ ich *pad durnoĥo chatu* i tamŭ ciszkom paczaliŭ wyjażdżác na ũschodnia-prŭskuju daremszczynu, pakŭl nia było jaszczć pozna asieści niedzie kala Olsztyna, źmianiŭszy imiá j pastaráŭszysia dobryja dakumenty. Pryhałubiŭszy zhrábnaje kurwianio.

U pieradźniŭnuju paru mieniej kięmliwyja miaszczunczyki swátalisia da pasażnych mužyczak, achwocznych ubicca ũ miasteczka; swaję miaszczanki celilisia na zamuzża ũ Bielastoku abo ũ paślaniamieckim niaspálenym „burgu”. Laskacieli karahody wazoŭ-żałaziakaŭ z maładuchami-charaszuchami ũ bialistych welumach, szto kŭdali źmieniami cukierki ũ czaławiećzuju hajniu.

Paślá wajny tłumna źaniłisia, dahaniájuczy zmarnawányja ũ akupacyju hadŭ i ũžo nia trywożaczysia ponacznyimi wýwazkami ũ Sibir, na „biełtja miadźwiedzi”.

Tancam nia było kanca.

Na rynku paczapili partreciska Stálina; pobacz wisieŭ Bierut, prezydent nowaje Polszczy. U pierszy dzień traŭnia puzácieli na balkonie niedaharełaj kamianicy waźniećkija łajdakŭ j pjánicy, jakŭch pastáwili ũ naczálniki. Im było ũsio roŭna; zreszty, u wýpadku niejkaha pierawarotu mahłŭ ũciacy ũ Prusy, u toj zbrod narodu. Unizie, pad imi, iszoŭ światoczny pachod z czyrwonymi ściahami dy transparántami; bubniŭ arkiestryk paźárnikaŭ, marszawali funkcyjaniery hmyny, pradaŭcy z kramaŭ, hruzczyki sa zbożżawych składaŭ, nastáŭnicy sa starszakláśnikami, piekary j miasńniki; zwoddal trymálsia milicyjaniery, pamieźniki (ichny parucznik wýsiŭsia razam z ũžo padwypitymi trybuchaczami). Muzyka zawywała abo chrypacięła; łamatáŭ bubnác. Dzieci sławili Stálina dy jahonaje wojska. Baćki hramadzŭlisia kraj paźaryszczaŭ, pabojwajuczysia razychodzicca damoŭ, baraźnić bulbu ũ poli. Ściapanu nia było kalŭ tyrczć raziáwaju.

Budawali na Akopach prastornuju szkołu, razwaliŭszy panski pałac, szto bielachcieŭ za sázałkami. Wýpuszczanyja z kaduszak malkŭ karpaŭ padrastali ad wáranaha harochu j bobu; panáđzilisia na ich potym źładziei i da Kaladŭ ũdawáłasia ławć ũžo adnych karasioŭ. Zhłumili dwarowy sad, kułáczystyja hruszy ź miadowaj pazałotaju. Ułada nie ũpilnawała; samá krała. Najwidoczniejszy znak jejnaje stabilizacji: pjanstwa j kradzież. Kudyści pradawali ceħtu z absmálenych muroŭ. Paru durniaŭ ciazka pakalećczyłasia, pádajuczy z wysoznych drabinaŭ. Usieńki tawár pieraliczwali na litroŭki samahonki; pud żyta caniŭsia na try butlahi pierszakŭ. Darażej brali za awios, bieź jakoha koń nie ciahnuŭ, dryżeli kapytŭ. Pradawali akałoty kaniuszyny. Kamŭ nie ũradziła bulba, jeŭ bob. Struhaŭ bruczku.

Miasteczka jaszczć karystáłasia haradzkiimi prawami, chaciá biez mahistratu j

z karabinem przychował się w chlewiku i ocalał; resztę wysiekli kulomiotem (pobitych chowano na kościelnym cmentarzu, szesnastu partyzantów).

Przestali czekać Ameryki; brali się za gospodarki. Amerykanie wystawili ich do wiatru, przeto po cichu zaczęli wyjeżdżać na wschodniopruską daremszczyznę, póki nie było za późno, by osiąść gdzieś pod Olsztynem, zmieniawszy imię i postarawszy się o dobre dokumenty. Przyhołubiwszy zgrabne kurwiątko.

Przedzniąną porą mniej rozgarnięci młodzi mieszczenie posyłali swaty do posażnych chłopek, chętnych wkręcić się do miasteczka; miejscowe panny celowały w zamażpójście w Białymstoku albo poniemieckim niespalonym „burgu”. Łoskotały korowody wozów-żelaźniaków z młódkami ślicznotkami w bielutkich welonach, co rzucały garściami cukierki w ludzką ciżbę.

Po wojnie licznie się żeniono, doganiając zmarnowane w okupację lata i nie trwożąc się nocnymi wywózkami na Sybir, „na białe niedźwiedzie”.

Tańcom nie było końca.

Na rynku umocowano wielgachny^{XXXV/s.319} portret Stalina; obok wisiał Bierut, prezydent nowej Polski. W święto pierwszego maja brzuchacieli na balkonie niedopalonej kamienicy ważniacy łajdacy i pijanice, wyniesieni do naczelników. Im wszystko było jedno; zresztą w razie jakiego przewrotu mogli uciec do Prus i zniknąć w masie osadników. W dole, pod nimi, szedł świąteczny pochód z czerwonymi sztandarami i transparentami; bębniła kapelka strażacka, marszowali funkcjonariusze gminy, sprzedawcy ze sklepów, ładowacze ze składów zbożowych, nauczycielki ze starszymi uczniami, piekarze i rzeźnicy; z daleka trzymali się milicjanci, pogranicznicy (ich porucznik spoglądał z wysoka razem z podpitymi już spaślakami). Muzyka zaciągała albo chrypiała; łomotał bębniarz. Dzieci sławiły Stalina i jego wojsko. Rodzice gromadzili się na skraju pogorzelska, bojąc się rozchodzić do domów, radlić kartofle w polu. Alik nie miał kiedy sterczeć tam i się gapić.

Budowano na Okopach przestronną szkołę, rozwaliwszy pański pałac, co białiał za sadzawkami. Wypuszczony z beczulek narybek karpi podrastał od gotowanego grochu i bobu; zanęcili się do nich potem złodzieje i przed świętami Bożego Narodzenia udawało się łowić tylko karasie. Splądrowano sad, pięściaste grusze z miodową pozłotą. Władza nie upilnowała; sama kradła. To najbardziej widoczny znak jej stabilizacji: pijaństwo i kradzież. Sprzedawano dokądś cegłę z osmalonych murów. Paru durniów ciężko się pokaleczyło, upadając z wysoczystych drabin. Calutki towar przeliczano na litrówki samogonu; pud żyta odpowiadał trzem butlom pierwszego destylatu. Wyżej ceniono owies, bez którego koń nie ciągnął, drżały kopyta. Handlowano wymłóconą koniczyną. Komu ziemniaki nie obrodziły, jadł bób. Strugał brukiew.

Miasteczko jeszcze cieszyło się prawami miejskimi, choć bez magistratu i

burmistrza. Kawalerawatyja pierarostki padwuczwalisia, chodziaczy na prywátnyja lekcyi ũ pedahohaŭ. Janý reahawali na czutku, szto wojt użo szukaje budynku na arhanizoŭwany licej. Adzin krawiec — Wojszal? — prydumaŭ azdobnuju bieskazyrku-dekiel liceistam (ż sinim abtokam). Rabotu mieli szaŭcy, robiaczy tufli wuczanyym pannam dy czarawiki paniátam. Na muzykach tancawali „Amurskija wołny” janý miż saboju, hańbujuczy praściackim znajomstwam pahulancaŭ dy plantánskimi zadzirami. Duszny pach adekalonu.

Szkolnicy mąryli wýwuczycca na nastáunicaŭ, kab smaczna najęscisia, chadzic u miastowych sukienkach. Da wajny hożaja Jarockaja, pani nad siomaj klasaj, dastawała sztomiesiac hroszaj ż pieralikam na cełuju karowu i jaszczę miała za szto janá abiedać u restaranie żyda, kupłác hiemzawyja tufli, szoŭk, kapialuszyki. Prykładam chłopcam báczyusia ślesar Źałkoŭski z czaládnikami. Jon ramantawaŭ matory fabrykantam, źniajarki, i samachody harbarnym bahatyrám. Pa wajnie, praŭda, nie akazálasia Źałkoŭskaha ani fabrykantaŭ, alé pieradali ż Bielastoku źwiestku, szto ũtworana tam mechanicznuju szkołu, zakonczyŭszy jakuju była harantawana rabota ũ horadzie. Pra zarobki mechanikaŭ raspawiadali lehiendy. Moładź ruszyłasia ũ apuścietyja harady, u jakich pieraważali ũ dawajeńnie żydy. Nahladálasia dziwosnaja źjawa, mienawita paŭstańnie karenna muzyckich haradoŭ.

Dzieci nia dumali pra haspadarki baćkoŭ. U chatach hawaryli pra „kałchozy” i ab tym, szto treba maładým chawacca ad ich u bielastockich fábrykach, pakŭl nia pozna (u sawietaŭ użo nie wydawali wiaskoŭcam dakumentaŭ, bież jakoha ty nie czaławiek; budzie „kaput” chamam i ũ Polszczy).

Z balszawickaha prymieźza dachodzili piśmy ad adrezanych hranicaju swajakoŭ. Nie znachodziłasia tut rozumnych, kab uwiedać, ab czym piszuć. Paŭtarálasia słowy „Żywiom charaszo i ażydam łuczszaho”. Jakoje moża ũ jich być „charaszo”, u biedakoŭ, u jakich chleb – pamiatali ũsie – kanczaŭsia ũ Wialikdzien; na źniwo zachoŭwali janý niekalki funtaŭ mukę wýmieszanej ż jaczmiennymi wotrubiami j pszanicznaj miakinaju. A woś toje, szto „ażydajuc łuczszaho”, dyk praŭda. Tolki nie pryczakác im taho ũ kałhasie. Piśmy dawali tuju ż infarmacyju: biadá, biadá. Czasam niechta pamiráŭ tam, alé nie zaŭsiody padawali jmiá, zhádwajuczy pra dziadźku abo ciotku. Czytálasia niedahaworku jak pawiedamleńnie, szto nie ad łyszniaha dabra ci chwaroby zdáryłasia śmierć. Kanwerty, upeckanyja pasztowymi sztámpami, wandrawali kala czatyroch tydniaŭ.

Žanićba Ściapana Kiszkiálá prajszlá niejak niezaŭważna. Napeŭna niewiadoma nawet, adkul jon uziáŭ babu i jak nazywáłasia. Czas nastáŭ niewiasioły, tájnaja palicyja prawodziła wobyski zamożnych haspadaroŭ; źjawilasia ũnocy i ũ jaho. Pazabirała skury, padeszwy, hatowyja j niehatowyja boty. Dwa miaszkę ũsiaho pawalakli, najechaŭszy z Sakołki amerykanskim hruzawikom, piacioch u

burmistrza. Przerośnięci uczniowie doksztalcali się, biorąc prywatne lekcje u pedagogów. Oni reagowali na pogłoskę, że wójt już szuka budynku dla zamierzonego liceum. Jeden krawiec – Wojszel? – wymyślił ozdobną czapkę bez daszka – dekiel dla licealistów (z niebieskim otokiem). Mieli pracę szewcy robiący pantofle uczonym pannom i trzewiki paniętom. Na zabawach tańczyli oni *Fale Amuru* w swoim gronie, gardząc prostackim towarzystwem pohulańców i plantańskich zadziurów. Dusząca woń pachnideł.

Uczennice marzyły o wyuczeniu się na nauczycielki, by smacznie jeść, chodzić w miastowych sukienkach. Przed wojną przystojna Jarocka, pani nad siódmą klasą, dostawała co miesiąc tyle pieniędzy, ile na całą krowę, i jeszcze miała za co obiadować w restauracji Żyda, kupować zamszowe pantofle, jedwab, kapelusiki. Przykładem dla chłopców jawił się ślusarz Żałkowski z czeladnikami. Naprawiał motocykle fabrykantom, żniwiarki, a także auta garbarskim bohatyrom. Po wojnie, prawda, nie okazał się Żałkowski ani fabrykanci, ale przyszła z Białegostoku wieść, że utworzono tam technikum mechaniczne, ukończenie którego gwarantowało pracę w mieście. O zarobkach mechaników krążyły legendy. Młodzież ruszyła w opustoszałe miasta, w których w międzywojniu przeważali Żydzi. Naglądano na przedziwne zjawisko, mianowicie powstanie rdzennie chłopskich miast.

Dzieci nie myślały o gospodarkach rodziców. W chatach mówiono o kołchozach i o tym, że trzeba młodym kryć się przed nimi w białostockich fabrykach, póki nie za późno (u sowietów już nie wydawano chłopom dowodów osobistych, bez którego tyś nie człowiek – będzie „kaputt” i chamom w Polsce).

Z bolszewickiego pogranicza dochodziły listy od odciętych granicą swojaków. Nie znajdowali się rozumni, by pojąć, o czym piszą. Powtarzały się słowa: „Żywiom charaszo i ażydajem łuczszewa²⁰⁷”. Jakież może być u nich „charaszo”, u biedaków, u których chleb – pamiętali wszyscy – kończył się w Wielkanoc; na żniwa zachowywali oni kilka funtów mąki wymieszanej z jęczmiennymi otrębami i pszenicznymi plewami. A że „czekają lepszego”, to prawda. Tyle że nie doczekają go w kołchozie. Listy dawały jedną informację: bieda, bieda. Czasem ktoś umierał tam, ale nie zawsze podawano imię, pisząc o wujku czy ciotce. Owo niedopowiedzenie świadczyło o tym, że nie wskutek zbytku czy choroby zdarzyła się śmierć. Koperty, z rozmazanymi od otwierania nad parą stemplami pocztowymi, wędrowały około czterech tygodni.

Ożenek Alika Kiszkiela przeszedł jakoś niezauważenie. Na pewno nie wiadomo nawet, skąd wziął on kobietę ani jak się nazywała. Czas nastał niewesoły, tajna policja przeprowadzała rewizje u zamożnych gospodarzy; zjawiała się w nocy i u niego. Pozabierała skóry, podeszwę, gotowe i niegotowe buty. Dwa worki wszystkiego powlekli, najechawszy z Sokolki amerykańską ciężarówką, pięciu w

bliszczastych niemieckich płaszczach dy z aŭtamátami na żywatach. Bandy, szto chadzili pa lasoch, użo pieraławili janý i ůzialisia likwidawác burżuąziju, apiryszcza kontrrewalucyi. Nichto nia wiedaŭ, szto takoje taja kontra, alé kożnamu było jasna: ułada pawinna nieszta zabirác dy kahości arysztoŭwac.

Adzinaje, czaho Ściapanu nie zabrali, heta stoł warsztatu z instrumentami, taburetki, kapyły. Jon zapłakaŭ ad kryŭdy, spraboŭwajuczy pacaławac u ruku „dawudcu” ů chromawym płaszczy j z bujnymi kudłami, dy toj wýchapiŭ dałoń, syknuŭszy „Precz ty, klásawy worah!” Chatu zapoŭniŭ babski lamant, dziciaczy piskat, skawytłiwija prośby mužczyn. Tajé noczy potym Kiszkielǎ nie zabyłisia; straszniejszaj za napád padlesnaj hałoty, szto prykiđwałasia addzielam Armii Krajowej, zabirájuczy każuchi, sała, adzieńnie. Jaszczé żyła wioska, tamŭ było szto rabawac. U horadzie ůstalawaŭsia spakoj, zielaniela na tratuarach ad ůaŭnierskich muńdziraŭ, milhali czyrwańniu pawiazki na rukawoch partyjcaŭ. Sialanie nia liczyłisia ludźmi: kamunistym janý ůjaŭlǎłisia niaprychilnikami reżymu, a tym, chto pa-bandycku partyzaniŭ, służyli zachodnym miescam, kab miec dzie nażercisia, nachlabtacca samahonki, namácacca dziewak, ureszcie wýwieżci furu dabrá ů tarhowy dzień na rynek u miasteczku.

Na Ściapanawa wiasielle bačka wyhnaŭ żytniowaje siwuchi, maci napiakłá baraniny, a z zakołataha parszuczka narabili wantrabianki, kwaszaniny, narezali kawalkami świnych placzej; apetytna hladzielisia miasistyja bakawiny. Kumpiaczki dy palandwicu, mocna pasolenyja, abharnuŭszy kuźalnym pałatnom paczapili na haryszczy suszyć na źniwo j kapańnie bulby. Narychtawali ů zbankoch chlebnaha kwasu, pastawiŭszy ů prochaladz sklepu, kab nie zakis. Napiakli chleba, pirahoŭ i wializny karawáj. Raźbili pieraharodki ů kuchni j spalni, pazycyli ů susiedziaŭ stałoŭ, ławaŭ, pasudy.

Kwiciłisia łuhi na pierszy sienakos, páryła ciapłyń, tamŭ było dzie naczawac pa humnach. Muzykanty z Kaźłowaha Łuha zaszmat nie zapatrabawali, pa paŭmetra żyta kożny – harmanisty, trubác, bubienszczyk; akazǎłasia: bačka j dwa syny.

Cieści dalǎ Ściapanu paŭdziesiaciny sienakosu, szto kala Barsukowaje hary pad Sasnowikam, cielnuju karowu, dwa wulei pczolaŭ sa swaje pasieki j parku parasiataŭ (u miaszku). Tre’było dumać, jak wyżyć u taki czas, kalǎ niczoha nia možna samomu rabić: haspadaroŭ źnisztażajuć, moładź zamánwajuć u fábryki, starym zastajecca samym laháć na mohiłki (rabotnikam – medycznaja strachouka, chałopam – „figa z makam”).

Adnák nie adczuwǎłasia nastroju niaszczaścia ů żywuju pamiać pánszczyzny, pánskaha swajewolla, akupacyjaŭ. Rabotniki ů miasteczku zaŭsiody mieli lepiej, strajkujuczy j dabiwájuczysia palohak. Wioska maŭczała, ciarpiela dy spadziawǎłasia na Boha. Choć nichto nia baczyŭ Jaho, alé wieryli, szto Jon u niebie.

błyszczących niemieckich płaszczach i z automatami na brzuchach. Te bandy, co chodziły po lasach, oni już przetrzebili i wzięli się za likwidowanie burżuazji, oparcia kontrrewolucji. Nikt nie wiedział, co to takiego ta „kontra”, ale dla każdego było jasne: władza powinna coś zabierać i kogoś aresztować.

Jedyne, czego Alikowi nie zabrali, to stół warsztatu z narzędziami, taborety, kopyta. Zapłakał na taką krzywdę, próbując pocałować w rękę „dowudce” w chromowym płaszczu i z bujnymi kudłami, ale ten cofnął rękę, syknąwszy: „Precz, ty wrogu klasowy!”. Chatę wypełnił babski lament, pisk dzieci, skamlące prośby mężczyzn. Owej nocy potem Kiszkielowie nie zapomnieli; straszniejszej od najścia podłej gołoty, która udawała oddział Armii Krajowej, zabierając kożuchy, słoninę, ubrania. Jeszcze żyła wieś, dlatego było co rabować. W mieście nastał spokój, zielono było na trotuarach od żołnierskich mundurów, migwały czerwienią opaski na rękawach partyjniaków. Chłopów nie uważano za ludzi: dla komunistów byli oni przeciwnikami reżymu, a tym, kto po bandycku partyzanił, służyli zachodnim miejscem, by mieć gdzie się nażreć, nażłopać samogonu, namacać dziewczek, wreszcie wywieźć furę zrabowanego dobra w targowy dzień na rynek w miasteczku.

Na Alikowe wesele ojciec napędził żytniej siwuchy, matka napięła baraniny, a z zakłutego wieprzka narobili wątrobianki, galarety, nakroili w kawałki karczku; apetycznie wyglądał mięsisty boczek. Szynki i polędwicę, mocno zasolone, owinąwszy kuźelnym²⁰⁸ płótnem, powiesili na strychu, aby ususzyć na żniwa i wykopki. Naszykowali w dzbankach chlebowego kwasu, postawiwszy w chłodzie piwnicy, żeby nie skisł. Upiekli chleb, bułki i wielki korowaj²⁰⁹. Rozbili przegródki w kuchni i sypialni, pożyczyci od sąsiadów stoły, ławy, talerze, naczynia.

Kwieciły się łąki przed pierwszym sianokosem; noce stały parne, więc było gdzie nocować po stodołach. Muzykanci z kolonii Kozłowy Łuh²¹⁰ za wiele nie zażądali, po pół metra żyta każdy – harmonista, trębacz, bębniarz; okazało się: ojciec i dwaj synowie.

Teściowie dali Alikowi pół dziesięciny sianożęci, co koło Borsukowej Hory pod Sosnowikiem, cielną krowę, dwa ule pszczół ze swojej pasieki i parkę prosiąt (w worku). Trzeba było myśleć, jak wyżyć w taki czas, kiedy samemu nic nie można robić: gospodarzy niszczą, młodzież mamią do fabryk, starym wypadnie samym kłaść się na cmentarzu (dla robotników – kasa chorych, chłopom – „figa z makiem”).

Jednak nie odczuwało się nastroju nieszczęścia, mając jeszcze w pamięci pańszczyznę, pańską samowolę, okupacje. Robotnicy w miasteczku zawsze mieli lepiej, strajkując i wywalczając ulgi. Wieś cierpiała w milczeniu i pokładała nadzieje w Bogu. Choć nikt nie widział Go, ale wierzono, że jest w niebie.

XII

Ażaniüşszysia, Ściapán nabyu u hminie plac u miasteczku, szto akazálasia ciapiér niewialikim wýdatkam. Piersz czym paczác stawić na im swaju chatu, dawialosia napracawacca, aczyszczájuczy pażáryszcza ad druzu. Nawaroczaũ haru kamieńnia na fundamant i hłyboki sklep. Wieczarami, u pryciemkach, zarabláu potajnym szaũcawańniem, choć prychodzili da jaho niejkija aktywisty, kab zapísywaũsia ũ ramięsnuju arciel (asabliwa nastojwaũ partyjny Hryszkiewicz).

Na papialiszczy bujała Ściapánawaj żony harodnina. Wyrastali wializnyja, by parasiaty, cukrowja burakj karowie. Doũhija kały morkwy. Eratyczna siarpástyja ahurkj. Wylahaũ bob z padhniłymi pry ziamlj strukami. Bulba dubásiła ũporawieñ z czaławiekam, a bulbiny nahádwali ũsiaho wianhierskija śliwy. Usiu pasiejanuju fasolu wýhnała wyszej lebiady (biez anijákaje karyści). Harod huścieu, szto nahaju nia było dzie stupić u im. Kalj Ściapán aráu kaniom, prawaliũsia z płuham u prykamianicznaje szamba. Spas byũ ad bułanaha: spudżany łamatnioju dy Ściapánawymi praklonami, rwanuũ dapięradu, wywałakájuczy swajho haspadará z poskudzi ũ cembrawinach. Żonka dziwiłasia ũjedliwaści ũstajáłaha smurodu.

U asatoch wialisia paũdzikija katy, szto miała dobry skutak: pajadali janý myszej, ciahali z noraũ kratoũ, adhaniali pacukoũ, a nawet sabák, jakija bojazna reahawali na drapieźny sykat.

Pakúl naukoła ciszeła biaźludździe, Ściapán nie zaczapaũ ustajałych źwiarkoũ (zhledzieũ jaszczé j tcharoũ pad cahlanaj nawáłaju). Jon liczyũ sobie pierszym, szto ũciakáu ź wioski. Blizka, u miasteczka. Maniu addalj wuczycca ũ pryfabrycznaj szkole ũ Biełastoku i tam ũa nieũzabawie staũ wucznem mechanicznaha tęchnikumu Andrejka. Siak-tak paszyũszy im prystojnaje adzieńnie, udałosia raskwatarawác abajch u szkolnym internacie dla dziecięj biednych baćkoũ. Ź jeżaj było, adnák, słaba, i maci Wolha sztoniadzieli niesła da rejsawaha aũtobusu ũ miasteczka karzinu z kawalcom sała, paũbuchankaj chátniaha chleba, torbaczkej cybuli j słoikam szmalcu. Nie adnã janá tak rabiła i swoj szafior nia burczeũ; aũtobus usię zawałwali pasyłkami doczкам i synam u horadzie. U Biełastoku prychodziũ pa ich na aũtobusny wakzalik czaściej Andrejka (inszy raz aboje: jon i Mania). Cikawa, szto nikoli niczoha nie prapadała; u paślawajenny czas źnikła swajo źładziejstwa, wýmiecionaje ũ pustuju Polsce.

Chatu braũsia stawić Ściapan, nabywájuczy za biescañ kałody ad klientau. Piławali ich na belki maładyja haspadarskija chłopczy, czatyrochrucznymi piłami. Majstry znajszlisia z ramięsnikaũ z-pad Bierastawicy, szto ũciaklj ad sawietaũ.

Hałodnyja bierastawiczanie stáwili zrub marudna. Udwoch spali ũ humnie na sienie (pakúl nie chaładý). U niadzieli prychodzili na ceły ranak u

XII

Ożeniwszy się, Alik nabył od gminy plac w miasteczku, co okazało się teraz niewielkim wydatkiem. Zanim przystąpił do budowy domu, przyszło napracować się, oczyszczając pogorzelsko z gruzu. Zwiózł górę kamienia na fundament i głęboką piwnicę. Wiezorami, w półmroku, zarabiał potajemnym szewcowaniem, choć przychodzili do niego jacyś aktywiści, by zapisał się do rzemieślniczej spółdzielni (szczególnie nastawał partyjny Hryszkiewicz).

Na popielisku bujały Alikowej żonie warzywa. Wyrastały wielkie, jak prosięta, buraki cukrowe dla krowy. Długaśne pałki marchwi. Erotycznie sierpowate ogórki. Wylegał bób z nadgniętymi przy ziemi strąkami. Łęciny²¹¹ śmigwały równo z człowiekiem, choć bulwy przypominały ledwie śliwki. Cała zasiana fasola wypiętrzyła się ponad lebiodę (bez żadnej korzyści). Ogród gęstniał, że nogą nie było gdzie stąpić w nim. Kiedy Alik orał koniem, zapadł się z pługiem w przykamieniczne szambo. Wyratował go bułany: spłoszony hałasem i Alikowymi przekleństwami, szarpnął do przodu, wywlekając swego gospodarza z paskudztwa w cembrowinach. Żonka dziwiła się przenikliwości zastarzałego smrodu.

Wśród mleczy gnieździły się półdzikie koty, co miało dobry skutek: pojadały one myszy, wyciągały z nor krety, odpędzały szczury, nawet psy, które bojaźliwie reagowały na drapieżne syczenie.

Dopóki otaczało go ciszą bezludzie, Alik nie niepokoił zasiedziałyh zwierzątek (zoczył jeszcze i tchórze pod zwaliskiem cegieł). Uważał się za pierwszego, co uciekał z wioski. Blisko, do miasteczka. Manię oddali na naukę w przyfabrycznej szkole w Białymstoku i tamże niebawem został uczniem technikum mechanicznego Andrzejek. Uszywszy im jakoś przyzwoite ubrania, udało się zakwaterować oboje w szkolnym internacie dla dzieci niezamożnych rodziców. Z jedzeniem było jednak słabo i matka Olga każdej niedzieli niosła do autobusu koszyk z półbochenkiem domowego chleba, kawałkiem słoniny, torebką cebuli i słoikiem smalcu. Nie ona jedna tak robiła i swój szofer nie gderał; autobus wszyscy zasypywali paczkami dla córek i synów w mieście. W Białymstoku przychodził po nie na dworzec autobusowy najczęściej Andrzejek (czasem oboje: on i Mania). Ciekawe, że nigdy nic nie ginęło; w powojenny czas znikło swojskie złodziejstwo, wymiecione w pustą Polskę.

Alik brał się za budowę domu, nabywając za bezcen bierwiona od klientów. Piłowali je na belki młodzi gospodarscy chłopcy, czteroręcznymi piłami. Majstrowie znaleźli się wśród rzemieślników spod Brzostowicy, co uciekli od sowietów.

Przegłodzeni brzostowiczanie stawiali zrab marudnie. Spali we dwóch w stodole na sianie (dopóki nie zimno). W niedziele przychodzili na cały ranek do

kuchniu abo pad jábłyniu pahalicca; krychu pamyšzysia, iszłi ũ carkwu na abiedniu. Adžin ž ich, maładziejczy, lubiŭ raspawiadác bajki j žarty.

– U naszu szkołu prysłali sawietku, kab wuczyla dziaciej. Janá na pierszaj lekcyi pytaja małych, chto i jak dapamoh sawieckaj armii ũ pieramahańni niemcaŭ. Dziaŭczynka pachwalašiasia, szto myła sałdatu Iwanu kaszulu, inszaja pacyrawała himnašciorku. Słowam, koźnaje małoje nieczym zasłużyłašiasia. „A ryży Wicia nasiŭ artylerystym municyju da harmaty ũ akopie za chlawom!” Nastáŭnica, paczušzy takoje, pahładziła Wiciu pa hałoŭcy, rádasna dapytwajuczysia, szto sałdaty jamú na heta kazali. A kazali, paŭtaráŭ Wicia: „Gut Kind! Sehr gut!”.

Maci Wolha nie szkadawała jeży majstrám i było im dobra. Roŭ pad fundament i jamu na sklep kapali da samiutkich pryamarazkaŭ, narakájuczy na mnostwa kamianoŭ u hruńcie. Pilna zirkacieli na nachodki, nasłuchašzysia pra schawánaje žydami zołata. Dakopwalisia da staradáŭniaje pasudy; trápili na niekalki siarebranych manet czasoŭ jaszczé szlachieckaj Polszczy (wialikaja 1753 h.). Ściapán admaczyŭ ich u nafcie j pakłaŭ za jkonaju. Chaj množacca!.. Jamú ũspomnišiasia momant pad Warszáwaju dwaccátaha hodu, kalí balszawiki hwałtawali mazurycu, namácašzy ũ jajé na hrudziach załacisty kryżyk. Kamańdzierski ardynarac trymaŭ babu za haławu, hnuczy ũniz, kab niczoha nia báciała. Durnaja kłała ich i pałočała sztabam, dyk uzialj j zastrelili jaje...

Baćka zławašiasia na maci Wolhu, kab sytna nie karmiła najmitaŭ, szto nie praroczyła chutkaha kanca raboty.

– Aj, nie każy, janý j tak biednyja, – ahryzáłasia na staroha.

Byli żydy – niamá żydoŭ. Było miasteczka – niamá miasteczka. Na jaho miescy sadziać woś wárwary bulbu, siejuć *burakie*, awios kaniŭ.

Haspadaroŭ duszyli kantyhentami, abawiazkowymi pastaŭkami zbożža j miasa. Ciażár bolszy, czym u akupacyju. Niemiec hladzieŭ, kolki ũ kaho ziamlá zmoża dać, nie papadájuczy ũ caliĸ. Kaliz nastali swaje žuliki ũ gminie, ustanawili janý takija normy, kab haspadár upaŭ. Zusím nia dbájuczy, szto z czaławiekam budzie potym. Szto ješci jamú i jak laczycca ũ chwarobie, ci ũ wypadkowym niaszczašci. Było horaj, czymšci niekali muzyku ũ pánszczynu. Tady choć pan u dwary mieŭ abawiazak z bolszaha dahledzieć muzyckuju siamju, kab nia wýmierła ad hoładu, nia wýmierzła ũ marazy. Bywała chałopu pajšci da kaho sa skárhaju pry panskaj uładzie. Nastála woś narodnaja, niŭby rodnaja chámskaja, a hladzić janá na ciabie ũ hminie jak na bandyta i jaszczé abražaje:

– Czaho pryszou? Czaho choczasz? Wykonwaj abawiazak pierad rabotnicka-sialanskaj dziarżawaj!

Nia daj Boh, kab muzyk carom staŭ!!

Cikawa, szto abawiazkowyja pastaŭki mała kaho zławali. Amál z koźnaje chaty niechta z dorosłych dziaciej užo astalawašiasia ũ horadzie, u Sakołcy, u Bielastoku,

kuchni albo pod jabłoń, by się ogolić; trochę obmywszy się, szli do cerkwi na obiednię. Jeden z nich, młodszy, lubił rozpowiadać bajki i żarty.

– Do naszej szkoły przysłano sowietkę, żeby uczyła dzieci. Ona na pierwszej lekcji pyta malców, kto i jak dopomógł sowieckiej armii zwyciężać Niemców. Dziewczynka pochwaliła się, że prała żołdatowi Iwanowi koszulę, inna pocerowała gimnastorkę²¹². Słowem, każdy dzieciak się czymś przysłużył. „A rudy Wicia nosił artylerzystom pociski do armaty w okopie za chlewem!”. Nauczycielka, usłyszawszy takowe, pogłaskała Wicię, radośnie dopytując, co żołnierze mu na to mówili. A mówili, powtarzał Wicia: „Gut Kind! Sehr gut!”²¹³”.

Matka Olga nie żałowała jedzenia majstrom i było im dobrze. Rów pod fundament i jamę na piwnicę kopali do samych przymrozków, narzekając na mnóstwo kamieni w gruncie. Pilnie oglądali znaleziska, nasłuchawszy się o ukrytym przez Żydów złocie. Dokopywali się do starodawnych naczyń; trafili na kilka srebrnych monet z czasów jeszcze szlacheckiej Rzeczypospolitej (duża była z 1753 r.). Alik przetał je naftą i włożył za ikonę. Niech się mnożą!.. Przypomniał mu się moment, kiedy bolszewicy gwałcili Mazurkę, namacawszy na jej piersiach złocisty krzyżyk. Ordynans dowódcy trzymał babę za głowę²¹⁴, naginając w dół, by nie widziała kto. Głupia klęła ich i straszyla sztabem, więc wzięli i zastrzelili ją ...

Ojciec złościł się na matkę Olgę, żeby sytnie nie karmiła najmitów, co nie zapowiadało rychłego końca roboty.

– Ach, przestań! Oni i tak biedni! – odgryzała się staremu.

Byli Żydzi – nie ma Żydów. Było miasteczko – nie ma miasteczka. Na jego miejscu sadzą oto barbarzyńcy kartofle, sieją buraki, owies dla konia.

Gospodarzy uciskano kontyngentami, obowiązkowymi dostawami zboża i mięsa. Ciężar większy jak w okupację. Niemiec patrzył, u kogo ile ziemia zmoże dać, nie zjałowiwszy się. Kiedyż zaczęli władać swoi żule w gminie, ustanowili takie normy, aby gospodarz przepadł. Zupełnie nie dbając o to, co z człowiekiem będzie potem. Co ma jeść i jak się leczyć w razie choroby czy wypadku. Było gorzej niż onegdaj chłopu za pańszczyzny. Wtedy przynajmniej pan we dworze miał obowiązek z grubsza zadbać o chłopską rodzinę, by nie wymarła z głodu, nie wymarła zimą. Zdarzało się chłopu iść ze skargą do kogoś za pańskiej władzy. Nastąpiła oto ludowa, niby swoja-chamska, a patrzy ona na ciebie w urzędzie jak na bandytę i jeszcze obraża:

– Po coś przyszedł? Czego chcesz? Wypełniaj obowiązki wobec robotniczo-chłopskiego państwa!

Nie daj Bóg, żeby chłop carem został!!

Ciekawe, że obowiązkowe kontyngenty²¹⁵ mało kogo złościły. Niemalże z każdej chaty któreś z dorosłych dzieci już urządziło się w mieście, w Sokołce, Białymstoku,

nawat u Warszawie abo ũ Hdansku, Alsztynie. Tyja metar zbożza j świny liczyli baćki jak by padatak za raźmiaszczenie kroũnych chłopců i dziaũczůt na lohki chleb u „mieście”.

Pierad Ściapanam Kiszkialom pakũl nicto nie pierabiraũsia ũ miasteczka. Pastawiũszy zrub i krokwy, szuků jon majstra rabić dachoũku. Pry ũydůch dawoli było akazacca, szto tabię treba, i da ciabię sami prychodzili ũmiełyja ludzi. Nu, ũydy chleb jeli, handlujuczy ci majstrujuczy. U chryścijanaũ redka chto zdoleũ nieszta rabić, akramiů woza, płuha. Znajszoũsia pad Biełastokam sprytny peckał z stankom i formami dziela wũpusku cementawaj dachoũki. Nie nadzwyczajny, alę na chatni dach padychodziła jahonaja rabota; praz szczyliny naduwała paślů śniehu na haryszcza.

Dom Ściapana ũzwyszaũsia na ũkrapiwielaj pusteczy. Ad zarosłaje wulicy ćwili, roũnyja z hłuchimi woknami, asaty. U ich karanioũji dawůłasia namacać cahliny na piecz; czasam wybliskwali nikielawanyja dźwiercy ad plity, tyrczeli j bolszyja fajerki. Wũkapaũ Ściapůn niepabituju duchoũku. Patrebnyja ũsio reczy, jakija było nia kupić za anijakija hroszy. Wiaskoũcy nie chadzili siudy, u wũpalenaje biaźludździe, zababonna pabojwajuczysia duchaũ. Tolki Ściapůn szwendaũsia. Kazali ab im, szto ũpatků jon schawanaje rabinam zołata, mójuczy ciapię za szto budawacca. Nie piareczyũ, wiadajuczy, szto ũsiakaje piareczannie macuje plotki.

Ciomnymi wieczarami Ściapůn szaũcawů, biaruczy matarjů ad Ruchajmozha. Miastackowiec umieũ wyrablů chrom, nawuczyũszysia taho jaszczę ũ ũydoũskaj harbarni. Kuplů ad muzykoũ syryja cialůczyja skurki; zdarůłisia i ad zdochlaha ũarabiaci. Jamũ nie prawodzili z Sakołki rewizii bandytawůtyja słuźboũcy biaũpieki, bũduczy, widůć, u tajnaj zmowie. Zreszty, nia jon adũin zajmaũsia skuratnictwam. Kab nie papůscisia, Ruchajmozh sam wyrablů mała j z naũciarohaju, dahladajuczy naczami supolnikaũ. Janũ nikudy nia wysoũwalisia z tawaram, usio pradajuczy Ruchajmozhu. I tut zawiałasia jaho supolka sa Ściapanam, jakoha paznajomiũ z warszaũskim padpolnym kupcom. Chitry miacieźnik ũjaũlaũsia ũ aposzniuju niadzielu mieũsiaca, chawajuczysia ũ biareźniku kala czyhũnacznaj stancyi Waliũy, szto na ũskrai puszczy. Damoũleny syhnůł trywohi: Ściapůn spyniaje kaniů na moũcie, szto na reczcy Supraũli, i papraũlaje wuzdeczku. Rewizijnaha nalotu nie bajaũsia, mójuczy chromy pachawůnyja ũ ũaleznym druczkůch ahlůblaũ pamalawůnym pad koler drewa. Wiartaũsia dachaty z hraszyma ad warszawiaků, nahruziũszy woz asyhnawůnymi drowami z ceszkami nadlęsnaha. Biaũpieczniki zdahůdwalisia, szto Kiszkiel nia tolki za drowami haniaje kaniů ũ hłuchamaũ waliũaũskaj czyhunki, ale, peũna, nie chacięłasia im ładzić kłopotnuju ablawu. Prytym nia było ũ ich ũwiestki pra spekulůnczaka paũstanca. Jon na stancyi ni trochi nie zatrymliwaũsia, prastujuczy ũ maładniaki za

nawet w Warszawie, w Olsztynie czy Gdańsku. Ów metr zboża i świniny traktowali rodzice jako swoisty podatek za przyjęcie ich chłopców i dziewcząt na lekki chleb w mieście.

Przed Alikiem Kiszkiem dotąd nikt nie prznosił się do miasteczka. Postawiwszy zrąb i krokwie, szukał majstra do dachówki. Za Żydów wystarczyło napomknąć, czego się potrzebowało, a już sami szli do ciebie wprawni ludzie. No, Żydzi jedli chleb, handlując lub zajmując się rzemiosłem. Wśród chrześcijan mało kto potrafił coś robić; tylko wozem, pługiem. Znalazł się pod Białymstokiem sprytny partacz z warsztatem i formami do wyrobu cementowej dachówki. Nie nadzwyczajny – przez szczeliny nawiewało potem śniegu na strych.

Dom Alika wznosił się na zapokrzywionej pustce. Od zarosłej ulicy kwitły, równe z głuchymi oknami, mlecze. Między ich korzeniami można było namacać cegły na piec; czasem wyblyskiwały niklowane drzwiczki do płyty, sterczały i większe fajerki. Udało się wykopać niepotłuczony piekarnik. Potrzebne jeszcze rzeczy, nie do kupienia za żadne pieniądze. Wioskowcy²¹⁶ nie chodzili tutaj, na wypalone bezludzie, zabobonnie bojąc się duchów. Jeden Alik się szwendał. Powiadali o nim, iż natrafił na schowane przez rabina złoto, mając teraz za co się budować. Nie przeczył, wiedząc, że wszelkie zaprzeczanie utwierdza plotki.

Ciemnymi wieczorami Alik szewcował, biorąc materiał od Ruchajmozga²¹⁷. (Jego ulubione powiedzonko: „Ruszaj mózgiem”, kombinuj). Miasteczkowiec umiał wyrabiać chrom, nauczywszy się tego jeszcze w żydowskiej garbarni. Kupował od muzyków surowe cielece skórki; zdarzały się i ze zdechłego żrebaka. Jemu nie robili z Sokołki rewizyj bandytowaci funkcjonariusze bezpieczeństwa, będąc widać w tajnej zmowie. Zresztą nie on jeden parał się skórnictwem. Żeby nie wpaść, Ruchajmozg sam wyprawiał mało i ostrożnie, doglądając nocami współników. Oni nigdzie się nie wychylali z towarem, wszystko jemu sprzedając. I tu się zawiązała jego spółka z Alikiem, którego poznał z warszawskim podziemnym kupcem. Chytry miecieżnik zjawiał się w ostatnią niedzielę miesiąca, chowając się w brzeźniaku koło stacji kolejowej Waliły, na skraju puszczy. Umówiony sygnał alarmowy: Alik zatrzymuje konia na moście, co na rzece Supraśli, i poprawia uzdę. Rewizyjnego nalotu się nie obawiał, mając chromy pochowane w żelaznych drążkach hołobli, pomalowanych pod kolor drewna. Wracał do domu z pieniędzmi od warszawiaka, załadowawszy wóz asygnowanymi drwami ze stemplami nadleśniczego. Bezpiecznicy²¹⁸ domyślali się, że Kiszkiel nie tylko za drwami pogania konia w głąszę walińskiej kolei, ale pewnie nie chciało się im szykować kłopotliwej obławy. Nie mieli też doniesień o spekulanckim powstańcu. Ten na stacji ni trochę się nie zatrzymywał, idąc prosto w młodniaki, niby za

hrybami, ažynaju; u śnieżnyja tydni prykiđwaũsia palaũniczym. Ściapán zaprykmieciũ: kanspiratar pryklejwaje sabie wusiki, barodku. Niaczasta bywajuczcy ũ wakolicy, byũ niewiadomym czaławiekam.

Usiamu, adnák, swoj kanięc. Chadzili czutki, szto na bałocie Czortawaj Chaty žanuc samahon. Mnoha, kánkami! Nia było b u hetym hrachu, kalí b samahońniki działilisia z naczałstwam. Ruchajmozh kazáu: „Chromawuju skuru kamandantu ni dam, zalisznie kasztawała b mianie heta, alé siwuchi ja jamú nie paszkadawáu by, kalí b zajmaũsia joju... A bracie moj, ni taja caná!” Milicyja akrużyła bahon jakráz u toj momant, kalí Ściapán dajaždžáu z tawaram da nadrecznych ľuhoũ, za jakimi, u biareźniku, naczekwaũ jaho mazur z karzínaju barawikoũ u ruce. Nia było ratunku, jak paszycca ũ areśniki, adkuł wýbraũsia ũ prahały nad Starynkaju. Spuhnuũ²¹⁹ pľojmu dzikoũ i, kab nie žaleźnyja aľoblíny, koń jamú ũciok by, pakidájuczcy adnaho ũ huszczawinie. Starynka ũ tym miescy raźliwistaja, z hruźkim mułam, z pawalenyim wiatrami staradreũjem. Ni prajsci, ni prajechać. Alé mocna ũspudžany derasz, prawalwajuczysia pa trybuch, ciahnuũ woz, by szalony. Ściapán tolki hladzieũ, kab paraskidanyimi hnajaũkami nie zaczapiła jaho za nohi i kab nia ũblytaccia ũ lejcy, szto maľło b pakacić jaho ũ bałotnuju maź. Kaniaka ũžo nie tapilasia, paspakajnieła, stupiũszy widawoczna na ũleżanuju kasu piasku. Zapynilasia, natuźliwa dychajuczcy.

Nia było kalí ũ rozhlady: adzadu dalatała imkliwaje lasnoje recha i prahuczáu niahułki streł z rewalwera. Niedzie tam raźbiahálisia samahonnyja brate. Nielha było marudzić, bo ũ katory ũ ich moh szybawác u bok Ściapana, a za im, wiadoma, abława. Wýbraũszysia na suchi hruđ, paznawaũsia Pieracioski les. Blizka było da mahiły miacieźnikaũ carskich czasoũ, kala jakoj inszy raz kruciľisia niejkija palaki, niepatrebnýja świedki. Pawiarnuũ kaniá ũ maľady jelnik, wielmi niazruczny dzieła prajezdu kalosami. Tut pastanawiũ adpaczyć, abdumać, jak pakirawacca dalej.

Les unoczy napoũnieny niaczuwányimi hułkami. Asabliwa poblizu daroh i ścieżak, ruczajoũ i bahońnikaũ. ũwiarjo jdzie da wadapojaũ abo zajmajecca žyrawańniem, szto wyklikaje niespakoj u drapieźnych ptuszak. Biasszumnymi cieniami pralatajuć nizka sowy. Czasam czuwác dziciaczy pisk zajca, jakoha dahaniaje lis. Niedzie ũ wierchawinach tajemna wuchkaje puhác; zaľapocza kryłami, zaburkaje razbudžany lasny hoľub. Zazwyczaj najstraszej naczaũpuć pániki dziki; janý sľaba baczac, alé ũ ich nadta wostry niuch i tamu trymajucca woddal (ľasujuczysia žaľudami – možna heta ũwiedać wosieńniu, dzie znachodziacca dubowyja kuczmy). Kolki razoũ pralacieũ nad Ściapanam wializny ptach, byccam stwareńnie nia z hetaha świetu.

Nie ũdawalasia prabicca na niejkuju szyrejszuju ścieżku. Zawidna Ściapán pilnawaũsia huszczawinnia, u jakim i koń lepiej paczuwaũsia ad mienszaje zájedzi. Z nadychodam ciemnaty, adnák, straciũ aryjentacyju; na chmarnym niebie nia

grzybami, jeżynami; w śnieżne tygodnie udawał myśliwego. Alik zauważył: konspirator przykleja wąsiki, bródkę. Nieczęsto bywając w okolicy, był nikomu nieznanym.

Wszystko ma jednak swój koniec. Chodziły słuchy, że na bagnach wokół Czortowej Chaty pędzą samogon. Dużo, kankami²²⁰! Nie byłoby w tym grzechu, gdyby bimbrownicy dzielili się z naczałstwem. Ruchajmozg mówił: „Chromowej skóry komendantowi nie dam, to by zanadto mnie kosztowało, ale siwuchy jemu bym nie poskąpił, gdybym się nią zajmował... A, bracie mój, nie ta cena!”. Milicja otoczyła mokrą akurat w tej chwili, kiedy Alik dojeżdżał z towarem do nadrzecznych ługów, za którymi, w brzeźniaku, naczekiwał go Mazur z koszykiem grzybów w ręku. Nie było ratunku, jak zaszyć się w orzesznik, skąd wybrnął na polany nad Starynką. Spłoszył watahę dzików i, gdyby nie żelazne hołoble, koń by mu uciekł, zostawiając samego w gęstwinie. Starynka w tamtym miejscu rozlewista, z grząskim mułem, z powalonym przez wiatry starodrzewem. Ni przejść, ni przejechać. Mimo to mocno spłoszony deresz, zapadając się po brzuszysko, ciągnął wóz jak szalony. Alik tylko uważał, by wóz roztrzęsionymi burtami nie zaczepił go za nogi i żeby nie zaplątać się w lejce, co mogłoby wyrzucić go w błotną maź. Szkapę już się nie topiła, uspokoiła się, stąpiwszy widocznie na łachę uleżałego piasku. Przystanęła, ciężko dysząc.

Nie było czasu na rozglądanie się: z tyłu dolatywało chyba leśne echo i przebrzmiał głuchy wystrzał z rewolweru. Gdzieś tam rozbiegała się bimbrownicza brać. Nie wolno było marudzić, bo ktoś od nich mógł szybować w stronę Alika, a za nim, wiadomo, obława. Wybrawszy się na suchy wzgórek, można było poznać piercioski²²¹ las. Stamtąd blisko do mogiły miecieźników z carskich czasów, koło której czasem kręcili się różni Polacy, niepotrzebni świadkowie. Zawrócił konia w młody chojniak, bardzo niedogodny do przejazdu wozem. Tutaj postanowił odpocząć, obmyśleć, którądy jechać dalej.

Las nocą pełen niesłyszanych dźwięków. Osobliwie w pobliżu dróg i ścieżek, ruczajów i bagnisk. Zwierzyna idzie do wodopoju albo zajmuje się żerowaniem, co wywołuje niepokój u drapieżnych ptaków. Jak bezgłośnie cienie przelatują nisko sowy. Czasem słyhać dziecięcy pisk zająca, którego dogania lis. Gdzieś wśród wierzchołków drzew tajemnie huka puchacz; załopocze skrzydłami, zaburczy przebudzony leśny gołąb. Zazwyczaj najczęściej paniki naczynią dziki; one słabo widzą, ale mają bardzo czuły węch i dlatego buchtują w oddali (łusując żołądźcie – można to zauważyć jesienią tam, gdzie znajdują się dębowe kępy). Kilka razy przeleciał nad Alikiem wielki ptak, jak stworzenie nie z tego świata.

Nie udawało się przebić na jaką szerszą ścieżkę. Za dnia Alik trzymał się gęstwiny, w której zresztą koniowi mniej dokuczały muchy. Z nadejściem ciemności jednak stracił orientację; na chmurnym niebie nie

widaćmie chacią b miesiąca. Krapacieŭ imżawy doždzyk. Kab nie stajác na miescy da ranku, wychodziŭ dapięradu, paślá czaho waroczaŭsia da woza i prajazdźaŭ kawałak miż jełaczkami dy kustami czahości. Mała nie pakaleczyŭszysia, nalez na hniłuju ziamlanku. Tak, pa-nad hetym urocyszczam hudzieli ũ akupacyju sawieckija samaloty, skidájuczy na paraszutach partyzanam zbroju j pradukty. Znachodka zasmuciła Ściapana – adsiŭl, znaczyć, daloka da haścince. Nieczakana paszancawała adkryć niadáuńija wýrubki sosnaŭ, czym zajmálisia ũ hłuszy kradzieźniki kałodaŭ. Śledam za ich kałajinami wýbraŭsia na Karalowa Stojła; na doświtku wýjechaŭ ź lasoŭ i, narwaŭszy suchoje trawy, dbajna wycier kaniá z hrazi; na furmanku nakłáŭ dazwolenaha suchapadu, wysoka, pad zawiázku. Wioska jaszczé spała, kalí ũjazdźaŭ na swoj padworak.

Na parozie stajali ũtrupianiętyja maci Wolha i żonka Fania.

– Kudy ciabię czerci nasili ũsiŭ nocz?! Hlań na siabię – da czaławieka niepadobny! U Łapickich horach uboŭcy zabili ũwięczary akoŭca, szto stolki let uciakáŭ ad ich. Abstupili jahonuju narŭ ũ Żukawym lasku, szto za jałaŭcami Niętupy. Adstrelwaŭsia, paraniŭ adnaho. Kídali ũ jaho hranaty, usio roŭna szto niemcy ũ wajnu na sawietaŭ. Stralanina zacichła pad poŭnac. Hetamu bandytu adsiekli haławu j pawieźli jajé ũ Bielastok, pakazác naczalstwu, szto sapraŭdy ũpalawali zarazu. Jaho ciażka było znajści. Zimoju, kalí śladý na śniezie, akowiec nia wýłaziŭ sa schowu ũ stadole baćkoŭ dzieŭki, jakoj prystroiŭ dziciá, a ksiondz daŭ im sakretny szlub. Usadziŭ jazyk na akoŭca naraczony taję dzieŭki, kalí janá nie ad jaho naradziła małoje. Alé dobra nia wiedaŭ, dzie szukác schoŭ. Uboŭcy asoczwali chutar, niczoha padazronaha nie przykmiaczali na zaśnieżanym poli. Letam rasło wakoł wysokaje zbożza, żyta j pszanica. Siejali łubin na papary. Bięhali sabaki, bręszuczy na czużych. U aŭsy panádźwalisia kazuli. Naczujuczy ũ zasadach, raźwiędniki kazali, szto ad humniszcza śmiardzić chlawom; peŭnaści adnosna pryczyny nia było. Chleŭ znachodziŭsia blizka; u im, akramiá żywiny j kabyły, trymali szmat świnię z parasiátami, a sałomy na podścił nia mieli zanadta, reżuczy na korm siaczkárniaju trasianku. Uboŭcaŭ zmanwaŭ pohałas, szto akowiec zasięŭ u bahońniku niedzie kala Starynki, palujuczy czas-czasom na kumpiastaje źwiarjo. Dwa ci try razy dalatali z hłuchamani streły; mahczyma, niechta brakańjeryŭ, – stolki nawinaŭ nasłuchaŭsia Ściapan, pakŭl rašpieražaŭsia ũ sieniach; baćka padaŭsia na dwor wýprahczy kaniá. Fania bladnieła, jak heta zazwyczaj ciazárnaja žanczyna.

Pałowa dwaccátaha stahodździa ũ naszaj wioscy zdawałasia czymści niezrozumiełym. Naradźálisia dzieci, jakim nie žádałasia żyć jak ich baćki. Heta nia miała im sensu. Treba prosta ũciakác z haspadarki, szto, zreszty, nie ũjaŭlała saboju niepieramożnaha kłopat. Dziarżawie patrebny fábryki j tolki fábryki, bieź jakich ideja suświetnaj kamunistaj rewalucyi nia báczyłasia realnaj; sialanstwa

zobaczy nawet księżyc. Mżył deszczyk. Aby nie stać w miejscu do rana, wychodził dalej w przód, po czym wracał do wozu i przejeżdżał kawałek między chojakami i krzakami czegoś. O mało nie pokaleczywszy się, wszedł na przegniłą ziemiankę. Przypomnił sobie, że ponad tym uroczykiem dudniły w okupację sowieckie samoloty, zrzucając na spadochronach partyzantom broń i żywność. Odkrycie zasmuciło Alikę – stąd, znaczy, daleko do gościńca. Nieoczekiwanie poszczęściło się natrafić na świeże wyręby sosen, czym zajmowali się w głuszy złodzieje drewna. Śladem ich kolein wybrnął na Królowe Stojło; bladym świtem wyjechał z lasów i, narwawszy suchej trawy, dbale wytarł konia z błota; na furmankę nakładł dozwolonego chrustu, wysoko, pod zawiązkę. Wioska jeszcze spała, kiedy wjeżdżał na swoje podwórko.

Na progu stały struchlałe matka Olga i żona Fania^{XIXb/s.278}.

– Dokąd ciebie diabli nosili całą noc?! Spójrz na siebie – do człowieka niepodobny! W Łapickich Horach ubowcy zabili wieczorem akowca, co tyle lat uciekał przed nimi. Obstąpili jego norę w Żukowym Lasku, co za jałowcami Nietupy. Ostrzeliwał się, zranił jednego. Rzucali w niego granatami, zupełnie jak Niemcy w wojnę na sowietów. Strzelanina ucichła przed północą. Temu bandycie odrąbali głowę i powieźli ją do Białegostoku, pokazać naczalstwu, że faktycznie upolowali „paskudę”. Jego ciężko było znaleźć. Zimą, kiedy ślady na śniegu, akowiec nie wyłaził z kryjówki w stodole rodziców dziewczyny, której zmajstrował dziecko, a ksiądz dał im sekretny ślub. Rozpuścił język na akowca narzeczony tejże dziewczyny, gdy ona nie od niego urodziła małe. Ale dobrze nie wiedział, gdzie szukać kryjówki. Ubowcy mieli na oku chutor, nic podejrzanego nie zauważali na ośnieżonym polu. Latem rosło wokół wysokie zboże, żyto i pszenica, łubin na ugorze. Biegały psy, szczekając na obcych. Do owsa nęciły się sarny. Nocując w zasadzkach, wywiadowcy mówili, że od stodołiska śmierdzi chlewem; pewności co do przyczyny nie było. Chlew znajdował się blisko; w nim, prócz bydła i kobyły, właściciele trzymali sporo świń z prosiętami, a słomy na podściółkę zanadto nie mieli, tnąc sieczkarnią trąsianką²²² na karmę. Ubowców zwodziły słuchy, że akowiec skrył się na moczarach gdzieś opodal Starynki, polując od czasu do czasu na szynkodajną zwierzynę. Dwa czy trzy razy dolatywały z głuszy odgłosy strzałów; możliwe, że ktoś kłusował. – Tyle nowin nasłuchał się Alik, zanim zdjął ubranie w sieni; ojciec wyszedł na dwór wypręgać konia. Fania bladła, jak to zwykle ciężarna kobieta.

Połowa dwudziestego stulecia na naszej wsi zdawała się czymś niezrozumiałym. Rodziły się dzieci, które nie chciały żyć jak ich rodzice. Dla nich to nie miało sensu. Trzeba po prostu uciekać z gospodarstwa, co zresztą nie było niewykonalne. Państwu potrzebne były fabryki i tylko fabryki, bez których idea światowej rewolucji nie była realna; chłopstwo

liczyłaś nieczym reakcyjnym, asudżanym na żnisztażenie. Dziakujuczny rabotnickaj klasie można budować wajenny flot u Hdansku dy Szczecinie, samaloty j tanki ů Warszawie j za Warszawaju, harmaty na Szlonsku, amunicyju pad Krakawam; tkać u Łodzi matarjały na abmuńdirawańnie armii. Usiaho piątaja czastka pramysłowaha patencyjału pracawała na życciowyja patreby narodu. Amál usioj wýsiłak nakiroůwaůsia na zawajawańnie świetu. Czym mahłá prysłużycca tut wioska? Piersz za ůsio maładymi rukami doczak i synoů. Alé tak tadý ludzi nia dumali. Ważna było szto jinszaje – kinuć ziamlę, baćkoůskuju chatu. Ściapán Kiszkiél pradczuwaů toje, hłędziaczy, jak pilna wuczacca ů Bielastoku Andrejka j Mania. Janý zdabywali piaciorki nia ż lubowi da nawuki. Im śniłasia dastác płátnuju rabotu, zastacca ů horadzie. Najlepiej na centralnaj wulicy, kab usię bácii, szto janý ůžo nia ů wioscy. Ściapana heta zławała. Jamú nie padumałasia, szto stawić jon nowuju chatu adnamu sabie; akázacca janá liszniaj, nastolki liszniaj, szto nia budzie kamu nawet pradác jaje. Ludziej nia budzie!

Wiosku druhoj pałowy minułaha stahodździa mahczyma paraůnác z karablom, jaki tonie i na jakim nie wyratoůwajuc starych pasażyraů, przyńczyůszy łodki maładým, szto racyjanalna słuszna. Tysiaczahadowy feodalizm, cywilizacyja dwará j stadoły prywiałá da nieruchu etniku j dumku. Paślá rewalucyjaů dy wojnaů paczałá razwałwacca zastyłaja wioska, szto treba liczyć prahresam. Żnikła ů joj problema chleba. Adczuła toje j maci Wolha: „Haspadaroů miensz i miensz, a chleba chapaja”. Wioska raůniłasia z pámiatnym żydoůskim miasteczkom, u jakim żyłasia naohů biedna, alé nichto nie pamiráů ad hoładu. U sialán pamirali, asabliwa kůtniki. Doůha pasłaůlali adnu radzinu, za śmierć jakoj niespadziawana abwinawaczwali pana cárskija żandary. Szto pakazałasia nawinoju – dańniej ułady zusím nia cikáwilisia losam hałoty.

Da kamunistaj ułady czułasia ůsiaho adżin žal: czamú janá takaja durnaja!/? Choć wielmi sprawiadliwa daje rabotu ů fábrkach, kwatery ů blokach, nawuku dla moładzi, pawyszeńni ů *dyrechtary*, nadzieły praduktaů, chátniaje techniki (chaładziłnikaů!) abo i aůtamaszynaů „Syrenka”.

Durnota naczalstwa zwodzicca da apustaszeńnia wioski. Kiszkialj mieli nadzieju, szto ůrad apamiatájecca, parazumnieje. Wieryli ů plotki, szto sawiety ůžo razhaniajuć kałhasy, upierakanáůszysia: kormiac tolki hultajoů. Dachodzili nawiny: adczyniajuć palikwidawányja cerkwy, wiartajuć ż Sibiry papoů.

Kiszkiálám, jak i ůsím ludziám, nia wieryłasia, szto ůlada moża być durnaja z durnych. Historyja pierakonwała, szto ů caroů byů swoj rozum, i ů panoů. Tamu nia moża być taho, szto ů prostych ludziej, jakimi akazálistia sawiety, kab zusím nia było rozumu. Ni trochi!

uważano za coś „reakcyjnego”, skazanego na unicestwienie. Dzięki klasie robotniczej można budować flotę wojenną w Gdańsku i Szczecinie, produkować samoloty i czołgi w Warszawie i pod Warszawą, armaty na Śląsku, amunicję pod Krakowem, tkąć w Łodzi materiały na umundurowanie armii. Zaledwie piąta część gospodarki pracowała na życiowe potrzeby narodu. Niemal cały wysiłek skierowany był na zawojowanie świata. Czym mogła się tu przysłużyć wieś? Przede wszystkim młodymi rękami synów i córek. Ale wtedy ludzie tak nie myśleli. Dla nich co innego było ważne: porzucić ziemię i rodzinny dom. Alik Kiszkiel przeczuwał to, widząc, jak pilnie uczą się w Białymstoku Andrzejek i Mania. Oni dostawali piątki nie z miłości do nauki. Śnili o płatnej pracy, o tym, żeby zostać w mieście. Najlepiej przy głównej ulicy, by wszyscy widzieli, że oni już nie w wiosce. Alika to złościło. Nie pomyślał, że nowy dom buduje tylko dla siebie; okaże się on niepotrzebny, do tego stopnia niepotrzebny, że nawet nie będzie komu go sprzedać! Ludzi nie będzie!

Wieś drugiej połowy minionego wieku można porównać do tonącego statku, na którym nie ratuje się starych pasażerów, przeznaczony dla młodych, co jest racjonalnie słuszne. Tysiącletni feudalizm – cywilizacja dworu i stodoły – doprowadził do etnicznego i ideowego zastoju. Po rewolucjach i wojnach poczęła kruszyć się zastygła wieś, co trzeba uważać za postęp. Znikł w niej problem chleba. Zauważyła to i matka Olga: „Gospodarzy mniej i mniej, a chleba jakoś wystarcza!”. Wioska zrównywała się z pamiętnym żydowskim miasteczkiem, w którym żyło się na ogół biednie, ale nikt nie głodował. Wśród chłopów zdarzało się, że umierali, zwłaszcza kąticy²²³. Długo wspomniano jedną rodzinę, o śmierć której niespodzianie carscy żandarmi obwiniali pana. Co okazało się nowością – dawniej władze zupełnie nie interesowały się losem gołoty.

Do komunistycznej władzy słyszało się tylko jeden żal: czemu ona taka głupia!? Mimo iż sprawiedliwie daje pracę w fabrykach, mieszkania w blokach, młodzieży możliwość nauki, awanse na dyrektorów, przydziały wszelakich produktów, urządzeń domowych (łódówek!) albo i samochodów (syrenek).

Głupota władzy sprowadza się do opustoszenia wsi. Kiszkielowie mieli nadzieję, że rząd opamięta się, zmądrzeje. Wierzyli plotkom, że sowioci już rozpuszczają kołchozy, przekonawszy się: karmią one jedynie leni. Docierały nowiny: otwierane są cerkwie, zezwala się wrócić z Syberii popom.

Kiszkielowie, jak i inni, nie mogli uwierzyć, że władza może być najgłupsza z głupich. Historia uczyła, że carowie mieli swój rozum i panowie. Dlatego to niemożliwe, by prości ludzie, jakimi okazali się sowioci, całkiem nie mieli rozumu. Ani trochę!

XIII

Paŭstahodździa praminuła na wyżywańni. Pierszaja suświetnaja wajná zawiála niemcaŭ na dalokuju Ukrainu i pad Pietrahrad. Szmat prawasłaŭnych kinułasja ũ „bieżanstwa”, u hłyb Rasi*j*i, niaredka asieŭszy na Wolzie, taksama na czarnaziomnaj Tamboŭszczy*n*ie. Adkuł nia ũs*e* wiarnułasja nazá*d*, w*e*dajuczy, szto nie czakáć im dabrá ũ rodnaj wioscy. Maładyja czasta łuczylisja szlubam z kacápskimi ludźmi. Hłybokaja Rasijskaja Ziamlá dawała miesca tym, chto žadáŭ zastacca na joj. Nia było kiepska – bieżanskich chłopcaŭ nie zabirali ũ ármiju, nia pierli na niemiecki front. Wajná tadý pawinna byłą niadoŭha praciahnucca – jak nie da Kaladaŭ, to da Wialikadnia. Nie dalej, czym da žniwá.

Kiszkiál*į* nie kranułasja ũciakáć pierad niemcami. I mieli racyju, niczoha zachotnaha ich nie ũpatkała, akramiá ũjedliwaj akupacy*i*. Rasieja wiarnułasja siudý na paru tydniaŭ tolki ũ dwacatym hodzie. Heta byli ũžo balszawiki, niepadobnyja da czystych carskich naczálnikaŭ. Bandyckaje wojska, jakoje hnáłasja za palákami pad Warszawu. Tak*į* sałdacki tłum nie pieramahaje, raźbiahájecca na rabunki ũ wakolicy j prapadaje.

Uźniknieńnia Polszczy nichto z tutejszych nie pradczuwáŭ. Chadzili hutarki pra miacieźnikaŭ, alé ũjaŭlłasja ich jak staradaŭnich szláhcicaŭ z abwiśtymi wusami i ũ rahatych szapkach dy adzieńni z szyroznymi rukawami. Samá szlachta taja śmiaszyła biestałkowaśc*į*aj, hultajstwam, fanaberliwaśc*į*u, chwalunstwam hierbami, zabytymi nastolki dakładna, szto nie znachodziŭsia sposab raspawieśc*į* pra ich. Ściapán, dawiedaŭszysia ad chutaranca pra jaho rodawy hierb, liczyŭ, szto heta niejki kawałak blachi z pazałotaju abo nieszta naszktáłt bliszczástaha paźárnickaha kaska. Hierb mieŭ sens, kalí možna było nadzieć jaho na siabię, nasieć na haławie abo na hrudziách. Szlachciuki nie piareczyli, szto tak jano, widáć, pawinna być.

Miżwajennaja Polscza nia byłą rajem. Żyłosia ũ joj ciażej, czymści za cárskimi czasami. Piersz za ũsio tamu, szto nia ũdawáłasja zarabić dadatkowuju kapiejku. Stajali fábr*y*ki, karpieŭ handal. U Rasiei panawáŭ kamunizm; wýniszczyŭ kapitalistuju pramysłowaść, jakuju pieraŭtworana tam u wajennuju. Likwidawana sielsk*u*ju haspadarku, zahaniájuczy ziemlarobaŭ u kałhasy. Raniejszy dabrabyt pryniżana da paŭhałodnaha jsnawańnia. Moładź c*s*nułasja ũ wialikuju ármiju, bo ũ joj dawali jeści. Karmili jaczmiennaj kászaju, marskoju rybaju.

Pra heta tut w*e*dali j razumieli tolki niekatoryja. Narod usprymáŭ Polsczu jak nieszta warožaje; usio robicca ũ joj na złość prostamu czaławieku. Kab nia mieŭ jon kudy padziecca ũ haleczy, biezhraszoŭ*į*ji. U panskaj Polszczy ũlady zapynili fábr*y*ki „znarok”, niacháj rabotniki haładajuć. Niacháj nia majuć janý za szto kupłáć u haspadaroŭ muku, miasa, bulbu. Panoŭ nia cikawieć, jak żyćmuć

XIII

Pół wieku minęło na przetrwaniu. Pierwsza wojna światowa zaprowadziła Niemców na daleką Ukrainę i pod Piotrogród. Sporo prawosławnych wyruszyło „w bieżństwo”, w głąb Rosji, osiadając nad Wołgą, również na czarnoziemnej Tambowszczyźnie. Skąd nie wszyscy wrócili, wiedząc, że nie doczekaliby dobra w rodzinnej wiosce. Młodzi często łączyli się ślubem z „kacapskimi” ludźmi. Głęboka rosyjska ziemia dawała miejsce chcącym pozostać na niej^{XXI/s.279}. Nie było źle – bieżńskich chłopców nie zabierano do wojska, nie gnano na niemiecki front. Wojna wtedy powinna była potrwać niedługo – jeśli nie do Bożego Narodzenia, to do Wielkanocy. Nie dłużej niż do żniw.

Nie dali się nakłonić Kiszkielowie do ucieczki przed Niemcami. I mieli rację, nic strasznego ich nie spotkało, prócz upierdliwej okupacji. Rosja wróciła tu na parę tygodni zaledwie w dwudziestym roku. To byli już bolszewicy, niepodobni do schludnych carskich naczelników. Bandyckie wojsko, które goniło za Polakami pod Warszawę. Taki wojacki tłum nie zwycięża, rozbiega się na rabunki w okolicy i znika²²⁴.

Powstania Polski nikt z tutejszych nie przeczuwał. Wspominało się czasem o miecieżnikach, ale wyobrażano ich sobie jako starodawnych szlachciców z obwisłymi wąsami i w rogatych czapkach tudzież ubiorach z szerokimi rękawami. Sama owa szlachta śmieszyła bezhołowiem, hultajstwem, fanaberiami, chwaleniem się herbami, zapomnianymi na tyle dokładnie, iż nie znajdowano sposobu, aby o nich opowiedzieć. Alik, dowiedziawszy się od chutoranica o jego rodowym herbie, uznał, że to jakiś kawałek blachy z pozłotą lub coś na kształt błyszczącego strażackiego kasku. Herb miał sens, jeśli można go było ubrać na siebie, nosić na głowie albo piersi. Szlachciukowie nie przeczyli, że tak chyba powinno być.

Międzywojenna Polska nie była rajem. Żyło się w niej ciężiej niż w carskich czasach. Przede wszystkim dlatego, że nie udawało się zarobić dodatkowego grosza. Stały fabryki, karłał handel. W Rosji panował komunizm; zniszczył kapitalistyczny przemysł, który przekształcono tam w wojenny. Zlikwidowano tradycyjne rolnictwo, zganiając chłopów w kołchozy. Wcześniejszy dobrobyt zredukowano do półgłodowej vegetacji. Młodzież chętnie szła do wielkiej armii, bo tam dawano jeść. Karmiono kaszą jęczmienną, rybami morskimi.

O tym tutaj wiedzieli i rozumieli to tylko niektórzy. Lud przyjmował Polskę jako coś wrogiego; wszystko robi się w niej na złość prostemu człowiekowi. Żeby nie miał on gdzie się podziać w biedzie, bezgroszowiu. W pańskiej Polsce władze zatrzymały fabryki „rozmyślnie”, niech robotnicy głodują. Niechaj nie mają oni za co kupować u gospodarzy mąki, mięsa, kartofli. Panów nie obchodzi, jak będą żyć

mužyckija dzieci, rabotnickija siemji ũ smurodnych zawuľkach. Usiamu praũdaj byľa palicyja, sud.

Dziarżawa, inszy raz nawet Œciapanu, zdawuľasia wũdumkaj na pahibiel prastacie j wyrodu bahatym.

Nastali wojny, Źjawuľisia Stalin, Hitler. AdŹin adnaho Źniszczali. Byccam zaũziuľtyja susiedzi za jaszczu skibu pad pluħ. Tyja pachody, Niemcaũ na Maskwu j paľla sawietaũ na Berlin, nia byli niczym inszym, jak mardabojstwam pamiŹ miljonami, usienarodnym razbojem. Niemcy stralali ũ sawietaũ, a sawiety ũ niemcaũ. Chto kaho pierastralaje. Nie adczuwuľasia nabliŹuennia kancu; tych i tych szmat.

U pawajeunnie Œciapan Œciamiu, szto treba kidać wiosku, ziamlu j haspadarku. Drapać u miasta.

Kacuľisia chwali hramadzkich Źmienaũ, ale sialanski Œwietahlad taho nia tũmaczyũ. Nastala epocha nacyjanuľnaŒciaũ, u jakuju wioska ũwachodziła caľkam nieŒwiadoma, byccam dzicia, szto wyrastaje ũ dorosluŒ ni trochi nia kiemiaczy, szto heta znaczyć. Takim pierarosuľm dziaciukom byũ i Œciapan Kiszkiel, dobry syn, pokul buduć Źyć baćki. Jaho mary raũniuľisia z marami chatniaha czaľawieka, szto kiruľecca baćkawym losam i padkuzami maci. Typowa sialuľnskaje wychawanie, u jakim siamieunyja adnosiny charaktaryzawuľisia zwyczaj biaspluľnawuľsci. Daczka pawinna naturalna prajuľci szlach losu macierki, jak i syn pa Œladoch baćki. AŹyũlenaŒ paczynuľasia, kalu treba byľo duryć haľawu, kudy padzieć, naprykľad, pľojmu maľapasauľnych doczak.

U paľszczyu, widaćmie, nia byľo takuje biady; usie naradzaluľisia rabami. Heta potym – u skanczuennie pryhonu – paszyruľasia szlachieckaja turbacyja pasahami. Dzieũki Ź niezamoznaj chaty nia brali zamuŹ, choć bywala pracawitaj abo j niazwyczajna pryhoŹaj. Źjaũleunnie haspadara na miescy abadranskaha chaľopa Źmianiła pryrodu radziny – zamiuľt swajactwa nabywuľ znaczuennia matarjalny patencyjuľ, szto ũ panou tak zdaũna pawiuľosia. U narodnaj kultury wũrazna adnacuľyľasia pierajmaũnnie wioskaju ũsiaho taho dwarowaha. Pampaudzie, nikoli nie jsnawala ũ Źyćci nieczaha takoha, szto moŹna nazwuľ sialanskaj kulturaj. Jaje nie maľlo być u ludziej, u jakich adziny kľopat heta najuľscisia dy mieć siakujutakuju apranachu na pleczy. Historyja nia wũdaje taho, jak apranuľisia ehpieckija ci rymskija niawolniki, i jakaja byľa ũ ich ulubionaja jeŹa. Tancy, modu, zwyczai brała sialanstwa ad szlachty abo ad bajaranũ. PieŒni, melodyju. Kult kazactwa. Choć tyja *kazakie* nie zasluħouľwali sardecznaj pamiaci, jak naohuľ bandyty. Niamu ũ narodzie pieŒniaũ pra pracu, nihto jaje nie szanawuľ, prazywujuczy rabotaju, bo raľskaja, usio pad bizunom. Wiercham udaczy liczyľasia niczoha nie rabuć i hroszy brać.

chłopskie dzieci, rodziny robotnicze w smrodliwych zaułkach. Całą prawdą była policja, sąd.

Państwo, czasem nawet Alikowi, zdawało się wymysłem na pohybel prostym ludziom i ku wygodzie bogaczy.

Nastały wojny, zjawili się Stalin, Hitler. Niszczyli się nawzajem. Jak zawzięci sąsiedzi za jeszcze jedną skibę pod pług. Tamte pochody, Niemców na Moskwę i później sowietów na Berlin, nie były niczym innym jak mordobiciem pomiędzy milionami, ogólnonarodowym rozbojem. Niemcy strzelali do sowietów, a sowietci do Niemców. Kto kogo przestrzela. Nie czuło się bliskości końca: tych i tamtych wielu.

W powojniu Alik zrozumiał, że trzeba rzucać wioskę, ziemię i gospodarkę. Czmychać do miasta.

Toczyły się fale społecznych przemian, ale chłopski światopogląd tego nie tłumaczył. Nastąpiła epoka narodowości, w którą wieś wchodziła zupełnie nieświadomie, jak dziecko, które wchodzi w dorosłość ni trochę nie pojmując, co to znaczy^{XXXVII/s.331}. Takim przerośniętym dzieciukiem był i Alik Kiszkiel, dobry syn, dopóki będą żyć rodzice. Jego marzenia równe były marzeniom domownika, który kieruje się ojcowskim losem i podpowiedziami matki. Typowo chłopskie wychowanie, w jakim relacje wewnątrzrodzinne charakteryzowały się zwyczajną bezplanowością. Córka powinna naturalnie przejść szlak losu matki, jak i syn śladami ojca. Ożywienie zaczynało się, kiedy trzeba było zachodzić w głowę, gdzie podziąć, na przykład, stadko mało posażnych córek.

Za pańszczyzny widać nie było takowego zmartwienia; wszyscy rodzili się niewolnikami. To potem – po zniesieniu poddaństwa – poszerzyła się szlachecka turbacja o posagi. Dziewczyny z niezamożnej chaty nie brano za żonę, choć bywała pracowita albo i niezwykłej urody. Pojawienie się gospodarza w miejsce odzianego w łachmany chłopca zmieniło naturę rodziny – zamiast pokrewieństwa nabywał znaczenia materialny potencjał, co u panów tak było od dawna. W kulturze ludowej wyraźnie zaznaczyło się przejmowanie przez wieś wszystkiego, co dworskie. Po prawdzie, nigdy nie istniało w życiu coś takiego, co można nazwać chłopską kulturą. Jej nie mogło być u ludzi, u których jedyna myśl to mieć co jeść i co na siebie założyć. Historia nie wie, jak ubierali się egipcycy czy rzymscy niewolnicy i jakie było ich ulubione jedzenie. Tańce, modę i zwyczaje brało chłopstwo od szlachty albo od bojarów. Pieśni, melodie. Kult kozactwa. Chociaż owi kozacy, jako na ogół bandyci, nie zasługiwali na serdeczną pamięć^{XLI/s.337}. Nie ma w narodzie pieśni o pracy, nikt jej nie szanował, przezywając robotą, bo „rabska” (niewolnicza), zawsze pod batem. Za szczyt powodzenia uważano nic nie robić i pieniądze brać.

Ściapanu dawodziłasia muczycca sa swajoj budowaju na żydoŭskim pażaryszczy. Ścieny j dach użo byli. Adkuł napiławác doszak na padłohu? Szyrokich, dwucalowych. Kantowak na lehary. Bačka marmytaŭ:

– Kiń, utrambuj hliniánuju padłožynu. My ż nie pane, kab namahacca na draŭlánuju.

Żonka zmoŭczwała mužczynskija razwahi; nieczakana ũmieszwałaŝia maci Wolha:

– Stary, a durny! Ni słuchaj jaho, Ściapán: padłohu z doszak piekna pamalujam, rychtyk u carkwie!

Matarjál napytała samá ũ wiarchleskaje swajaczki. Baba taja znałasia na sprawie, każuczy:

– Napiławaŭszy, mus suszyć ich paru letaŭ pad pawietkaju, inaczej parassychájucca paślá, parobiacca szczyliny, szto myszy buduć łazić. Nielha kłaści świeżyja!

Paszukáŭ Ściapán dahetul piacznika. Majstar znajszoŭsia ũ samym miasteczku, były żaŭnier byłoje polskaj armii Andersa na Záchadzie. Udałasia ż im raniej za ũsio. Paszancawała na akurátনা czaławieka. Nie trapiataŭsia jon z rabotaju. Dakupiŭ Ściapanu ũ kahości żydoŭskaj kafli j piecz miała prystojny wyhlad. Na lażajku naznachodzili papálenaj cahliny, u czartapałochach. Azdobili zielenawátymi huzami z wakonnaha szkła, szto rastapiłasia ũ tyja pażary. Żaŭnier padhládzwaŭ znachodki napiłnikam, prywieżienym z Anhielszczyzny; hostraja szwedzkaja stal.

Ściapán ż jim, udwoch, nasiekli sałomy, wymieszali jajé z hlínaju; hetak na stol. Naśc*il* miż belkami nie prapuskáŭ choładu ũ maroz. Ściapanu zdáryłasia niapryjemnaś z aplátaju, a hroszaj nia było jamú ũ kaho pazyczyć.

Żonka naradziła miortwaha chłopczyka. Niejak raptam, nia wýjszaŭszy sa stadoły. Spadałasia, pamahájuczy wa ũs*im* Ściapanu, szto laħło ciazaram na jahonym sumleńni. Maleczu chawała maci Wolha, kala dziedawaha kryżá, niczoha nikomu nia kázuczy. Pop nie pahadziŭsia b malicca za niachryszczanuju duszu, nia puśc*iu* by na mohiłki. Skazáŭ by: „Chawajcia ũ poli, pad wiarboju”. Zreszty, zdaŭná byli za wioskaju dziciáczyja mohiłki, na jak*ich* chawali niechrystaŭ, naznáczyŭszy wałunkom wieczny spaczyn niemaŭlaci. Maci Wolha, adnák, zaŭpárciłasia: malenstwu ad chryścijanki miesca siarod chryścijanaŭ, ni pop tut budzia nami kamándawać!

Ureszcie kanczali daloka wuczycca – Mania, a zatym Andrejka; pajszł*u* na swoj chleb. Ale, Kiszkiálám nia stała lahczej. Płacili na służbie spaczatku mała maładým, pryczyn treba ũ Bielastoku najmáć kwateru. Andrejka żwiazauŝia ż jakimiś mazurami, naczawaŭ ż imi – upiacioch – u chlaŭczuku na

Alikowi przychodziło męczyć się ze swoją budową na żydowskim pogorzelsku. Ściany i dach już były. Skąd napilować desek na podłogę? Szerokich, dwucalowych. Kantówek na legary. Ojciec burczał:

– Daj spokój, ubij glinianą podłogę. Myż nie panowie, żeby silić się na drewnianą.

Żonka pomijała milczeniem męskie dywagacje; niespodzianie wtrącała się matka Olga:

– Stary, a głupi! Nie słuchaj go, Aliku: podłogę z desek pięknie pomalujemy, całkiem jak w cerkwi!

Materiał sama wynalazła u swojaczki z Wierchlasu. Tamta kobieta знаła się na rzeczy, mówiąc:

– Popiłowawszy, trzeba suszyć deski parę lat pod daszkiem, inaczej się rozeschną potem, szczeliny porobią, że myszy będą łązić. Świeżych kłaść nie wolno!

Tymczasem Alik poszukał zduna. Majster znalazł się w samym miasteczku, były żołnierz byłej armii Andersa na Zachodzie. Udało się z nim szybciej jak ze wszystkim innym. Miał szczęście trafić na akuratnego człowieka. Nie cackał się on z robotą. Dokupił Alikowi od kogoś żydowskich kafli i piec miał przyzwoity wygląd. Na leżankę naznajdowali popalanej cegły, wśród ostów. Ozdobili zielonkawymi guzami ze szkła okiennego, co się roztopiło w tamte pożary. Żołnierz wyglądał znaleźnika pilnikiem, przywiezionym z Anglii; ostra, szwedzka stal.

Alik i on, we dwóch, narąbali słomy, wymieszali ją z gliną; tak na powałę. Ściółka pomiędzy belkami nie przepuszczała chłodu podczas mrozów. Alikowi zdarzyła się konfuzja z zapłatą, a pieniędzy nie miał od kogo pożyczyć.

Żona urodziła martwego chłopczyka. Jakoś nagle, nie wyszedłszy ze stodoły. Zdźwigała się, pomagając we wszystkim Alikowi, co legło ciężarem na jego sumieniu. Małeństwo chowała matka Olga, obok dziadowego krzyża, nic nikomu nie mówiąc. Pop nie zgodziłby się modlić za niechrzczonej duszę, nie wpuściłby na cmentarz. Rzekłby: „Chowajcie w polu, pod wierzbą”. Od dawna zresztą był za wsią dziecięcy cmentarz, na którym chowano niechrztów, oznaczywszy wałunkiem miejsce wiecznego spoczynku niemowlęcia. Matka Olga jednak uparła się: „Małeństwu od chrześcijanki miejsce wśród chrześcijan, nie pop tutaj będzie nam rozkazywać!”.

Wreszcie kończyli daleko naukę – Mania, a potem Andrzejek; poszli na swój chleb. Ale Kiszkielom nie było łżej. Płacono na państwowej służbie z początku mało młodym, przy czym trzeba było w Białymstoku wynajmować kwaterę. Andrzejek związał się z jakimiś Mazurami, nocował z nimi – w pięciu – w chlewiku przy

Siankiewicza wulicy, pieraroblenym na czasowaje żytło. Zimoju prymiarzali wałasy da paduszki, ledzianieła para z rota; tanna kasztawała toje łohawa. Zdarawieźnyja, nie zastudźwalisia. Lepsz szancawała Mani. Jana, starejszaja, sprytniej dumała swaim działczynskim rozumam. Dobra hrudnistuju tym czasem, wyhnała jajé ũ panienki. Prykipali da Mani naraczonyja.

Sialánskaja moładź abstupila prafesijnjya szkoły, zakonczyšy jakija zastawálasia żyć i pracawác u haradoch. Ujaŭlała janá saboju sámaje szczęśliwaje pakaleńnie, nie adczuwájuczy prymusu wiartacca na biazdolnuju báckašczynu. Wajná nie pakinuła ũ joj czornaha ũspaminu. Koźnamu padletku było jasna, szto nia budź taję wajny, nia było b admieny losu tutejszamu ludzinu. Na publicznych schodach, wiadoma, praklinali wajenszczynu niedzie ũ wohniennaj Karei, u Indakitai, alé hetyja praklony nie adhukálasia szczyrašciu. Wajná ũ naszym starońni praciahnułasia doŭha, wýšpielišy nowy słoj nasielnictwa, naceleny ũžo nia tolki na wyżywanńie, alé j na zdabyczu. Jana, hetaja zdabyczka, nie charaktaryzawálasia dynámikaj, wychodziaczy ź wiaskowaj filazofii „Pilnuj swajho, z czaho chleb jasi”. Heta dawała fatálnjya wioscy wýniki. Dawoli źnianacku akazałasia, szto nia wioska pacznie karmić chlebam, ale, mienawita, miesta (fábryka abo służbowaja ũstanowa). Nia rodnaja maci z baćkam, a naczalnik, naczalstwa.

Paczatki taho nahladálasia ũ złom niewajennaha dwaccacihodździa, kalí pryjażdźali na wakacyi dzieci, szto wuczylisia ũ bielastockich szkołach. Uczarásznija doczki j syny trykali ciapiér siabię fanaberysta, hľadziaczy na staratu zwysoku. Nie rychtawálasia techniki zastawacca na haspadarkach. Uspamahali stareczam dażyć da śmierci, nawiedwajuczy ich u wodpuski dy walniejszyja dni, u suboty. Szto taksama niaprosta ũdawálasia ũ tadýszniuju chistkujy publicznuju kamunikacyju. Pierapoŭnienjya rejsawyja aŭtobusy. Kupła ũłasnych aŭtamasynaŭ źjawiłasia tolki naprykancy dwaccátaha stahodździa, u wýniku prahresu industrijalnaj epochi. Ściapanu prykra zapamiatálasia nabyćcio sawieckaha telewizara, pa jakí pajechaŭ da swajakoŭ u Horadniu. Janý zachaboryli swajho pradaŭcá, zatym Ściapan zachaboryŭ mytnika na miaży. Sumy chabarupieraliczwalisia na ceny butelek pierszahatunkowaha alkoholu; upiarszyniu czułasia pra kańják, abawiazkowa francuski „Napoleon”. Ad sawietaŭ kantrabańdzili załatoju bizuteryjaj, piarścionkami, fotaaparátami. Z Polšczy wazili tudy bializnu, kapy. Heta stwarała niaczuwánuju haspadárcuju sytuacyju, u jakoj sprytniui niakiepska pażywali, nie pracujuczy ũ jakim-niebudź sztacie. Adnawiłasia akupacyjnaja prafesija spekulanta. Talent kambinátara.

Czas kroczyć chaŭturnym marszam. U siamidziasiatych hadách, kalí dawálasia znosna pabyć *na biehum świeci*, paŭmirali Ściapanu baćki. Aboje ũ zimowyja miešiacy. Maci Wolha – praŭda – praz hod paślá, u śnieźnuju zawiruchu. Pazirájuczy z pašcieli ũ miacielnaje akno, pryhaworwała: „Jon mianie klicza.

ulicy Sienkiewicza, przerobionym na tymczasowe mieszkanie. Zimą przymarzały włosy do poduszki, oddech zamieniał się w szron; tanio kosztowało tamto legowisko. Zdrowiaści, nie przeziębiali się. Lepiej szczęściło się Mani. Ona, starsza, sprytniej myślała swoim dziewczynskim rozumem. Dobrze piersiasta tymczasem, wyrosła na panienkę. Lgnęli do niej narzeczeni.

Chłopska młodzież obstała szkoły zawodowe, ukończywszy które przenosiła się do miast, by tam żyć i pracować. Stanowiła najszcześniejsze pokolenie, nie czując przymusu powrotu na beznadziejną ojcowiznę. Wojna nie pozostawiła w niej czarnych wspomnień. Dla każdego podrostka było jasne, że bez tamtej wojny nie odmieniłby się los tutejszemu ludzinowi. Na publicznych zebraniach, wiadomo, złorzeczono „podżegaczom wojennym” gdzieś w płonącej Korei, w Indochinach, aliści przekleństwa te nie brzmiały szczerze. Wojna w naszych stronach ciągnęła się długo, wytworzywszy nową warstwę społeczeństwa, nastawioną już nie tylko na przetrwanie, ale i na zdobycz. Ona, ta zdobycz, nie charakteryzowała się dynamiką, wychodząc z wioskowej filozofii: „Pilnuj swego, z czego jesz chleb”. To dawało fatalne dla wsi efekty. Dostyc nieoczekiwanie okazało się, że nie wieś zacznie karmić chlebem, ale mianowicie miasto (fabryka albo państwowa instytucja). Nie rodzona matka z ojcem, a naczelnik, naczałstwo.

Początki tego było widać u schyłku międzywojnia, kiedy przyjeżdżały na wakacje dzieci, co uczyły się w białostockich szkołach. Wczorajsi synowie i córki nosili się teraz dumnie, patrząc na starotę z wysoka. Nie szykowali się technicy do pozostania na gospodarkach. Pomagali starowinom doczekać śmierci, odwiedzając rodziców podczas urlopu i w nieliczne wolne soboty²²⁵. Co też nie było proste przy ówczesnej niewydolnej komunikacji, kiedy przepełnione były rejsowe autobusy. Własne samochody pojawiły się dopiero pod koniec dwudziestego wieku, w wyniku postępu industrialnej epoki. Alik przykro zapamiętał nabycie sowieckiego telewizora kolorowego, po który pojechał do swojaków w Grodnie. Oni dali bakszysz²²⁶ swojemu sprzedawcy za wydanie chodliwego towaru, poczym Alik przekupił celnika. Kwoty łapówek wyliczano według cen butelek alkoholu w pierwszym gatunku. Po raz pierwszy słyszało się o koniaku, obowiązkowy był francuski „Napoléon”. Od sowietów przemycano złotą biżuterię, pierścionki, aparaty fotograficzne. Z Polski wożono tam bieliznę, kapy. To stwarzało nową gospodarczą sytuację, w której spryciarze niekiepsko pożywali, nie pracując na żadnym etacie. Odnowiła się okupacyjna profesja spekulanta. Talent kombinatora.²²⁷

Czas kroczy pogrzebowym marszem. W latach siedemdziesiątych, kiedy dawało się znośnie pobyc na świecie, Alikowi poumierali rodzice. Oboje w zimowe miesiące. Matka Olga – prawda – rok później, w śnieżną zawieruchę. Poglądając z pościeli w zamieć za oknem, przymawiała: „On mnie woła.

Na tym świecie jamú błaħa adnamu”. Hetyja śmierci zapaczatkawali niaszczaści ũ Kiszkialoŭ. Źonka Fania nie mahła naradzác dziaćiej, szto pierakreśliwała sens budawannia domu ũ miasteczku, choć mała zastawálasia kanczác u im: pastawić hanak, aszalawác budynak znadworku. Alé – kamu j naszto? Dumki pra Maniu i Andrejku byli sensoŭnymi ũ wadnym wýpadku. Dy ichnaje wiartańnie na haspadarku nie świacálasia perspektywaju Ź Biełastoku. U im janý ũkaraniłisia, zreszty, pa-siamiejnamu. Jak Źa moh Ściapán nastojwác na tym, kab siasztrá j brat pajszłi na horszaje. Na wiaskowaje.

Ściapán apynušsia ũ dosyć jamú dziŭnym stanowiszczy, májuczy, woš, aŹ dŹwie chaty: staruju j nowuju. I staŭszy haspadarom na sieliszczach biaz pola, jakoje zdaŭ u ziemiłny fond uzamięn za skarbowuju rentu. Apláczwałasia jamú toje, zamięst taho, kab kałacicca na marnocie. Usię tak rabili, dzieła ũspamaŹeńnia dziaćiej u wialikim miešćie Biełastoku.

U Ściapánawaj haławieć táiušia raŹlił na szawiectwa. Alé j hety waryjánt Źyćcia prapáŭ jamú, kalí napłýli ũ kramy handlowyja partyi hatowaha abutku. Mała skazác: hatowaha, jaszczé j niedarahoha. Ściapán nie pabaczyŭ bolsz klientauš sabie; kalí-nikalí niechta zachodziŭ z prošbaju naszyć łatku ũ nizie chalawy ci nabieć nowyja abcaszy; pasłuha wártaja paru drobnych hraszakoŭ.

Pawinien zaniacca spekulancwam. Alé jak, nia ũmiejućy? Wysychála Ź ludzi j samoje miasteczka.

Kanańnie wioski ũ zychod dwaccaciwieczcza zusím nie ekanamićznaje: sialanie bahacieli, tłušta jeli j piekna apranáłisia na abiedniu ũ carkwie, na mszu ũ kašciole. Chapála sała, czarki j skwarki, szto kalis tołki śniłasia. Niaścichana dziákawali chlebaroby partyi i ũradu. Nareszcie nia horaj paŹywali j swajakí pad sawiećami, da jakich jeŹdzili cieras Horadniu j Bierašćie, usio roŭna by na chátniaje świata. DzierŹaŭnaja miaŹá ũjaŭłálasia niepatrebnym płotam, za jakim stajali ũsialákija pohraznyja słuŹby, nienajednyja chábarniki. Zdawálasia, niadoŭha toje pabudzie, nadumany Maskwoju j Warszawaju padzieł adnolkawaha ludu na polski j sawiecki. Biełarusauš przykmiaczálasia, by aposznich ińdziejcaŭ Eŭropy. Byli janý pa abodwuch bakoch; adno pole z pałynnymi prymieŹkami. Roŭ z kruszniami, jakoha czahošći pilnawali sałdaty z aŭtamátami ũ rukach.

Kanaŭ sialanski sušwiet; muŹyckaja filazofija bytu. Na pierszy pohlad paradaksalna nie tadý, kalí nia było ũdostal chleba. Skon hety wyznaczáŭ maralny nastroj: wioska jsnawác zachacięła nie dla siabie, alé – uwaha! – dla swaich dziaćiej, czaho nikoli nia bywała. Szto znaczyć: Źyć dla dziaćiej? Znaczyć: dzieci adychodziac u inszy świet, niewiaskowy, i treba ich tam padtrymac. Baczyć siabie j swaju wiosku ũ roli kazłá adpuszczeńnia na ałtary nawaczásnašći. Dapamahczy doczkał i synam abstalawác kwatery ũ haradzkił kwartałach, nabyć meblu, aŭtamaszyny, chaładzilniki, prálnicy, telewizary! Fundawác unukam wakacyjnija

Na tamtym świecie źle mu samemu”. Owe śmierci zapoczątkowały nieszczęścia u Kiszkielów. Żona Fania nie mogła mieć dzieci, co przekreślało sens budowy domu w miasteczku, choć niewiele pozostawało w nim do zrobienia: postawić ganek, oszalować budynek z zewnątrz. Ale – dla kogo i po co? Myśli o Mani i Andrzeju miały sens tylko w jednym przypadku. Tymczasem ich powrót na gospodarkę nie był kuszący z perspektywy Białegostoku. Oni tam zapuścili korzenie, co więcej, z rodzinami. Jakże mógł Alik nalegać, by siostra i brat zdecydowali się na gorsze. Na wioskowe.

Alik znalazł się w dość dziwnej dla niego sytuacji. Miał, oto, aż dwa domy: stary i nowy. Teraz został gospodarzem na siedliskach bez pola, którego musiał się zrzec w zamian za skarbową rentę²²⁸. Opłacało mu się to, zamiast kłopotać się na marnocie. Wszyscy tak robili, dla wspomnienia dzieci w wielkim mieście Białymstoku.

W Alikowej głowie tały się rachuby związane z szewstwem. Ale i ten wariant życia przepadł mu, kiedy napłynęły do sklepów większe partie gotowego obuwia. Mało rzec: gotowego, jeszcze i niedrogiego. Alik nie zobaczył więcej klientów dla siebie; czasem ktoś zachodził z prośbą, żeby naszyć łątkę w dole cholewy czy przybić nowe obcasy; usługa warta parę groszaków.

Powinien zająć się spekulacją. Ale jak, nie umiejąc? Wysychało z ludzi i samo miasteczko.

Konanie wsi u schyłku stulecia wcale nie wynikało z biedy: chłopci zamożnieli, omastnie jedli i szykownie się ubierali, na obiednię do cerkwi i na mszę do kościoła. Wystarczało słoniny, czarki i skwarki, co się niegdyś jeno śniło. Nieustannie dziękowali rolnicy partii i rządowi. Nareszcie nie gorzej pożywali i swojacy u sowietów, do których jeździło się przez Grodno i Brest niczym na rodzinne święto. Granica państwowa jawiła się niepotrzebnym płotem, przy którym stały rozmaite groźne służby, nienasytni łapownicy. Zdawało się, niedługo to potrwa, wymyślony przez Warszawę i Moskwę zbędny podział jednakowego ludu na polski i sowiecki. Białorusów postrzegano jako ostatnich Indian Europy. Byli oni po obu stronach; jedno pole z piołunowymi miedzami. Rów z kamieniskami, którego czemuś pilnowali żołnierze z automatami w rękach.

Konał wioskowy świat; muzycka filozofia bytu. Z pozoru paradoksalnie nie wtedy, kiedy brakowało chleba. Skon ów wyznaczał moralny nastrój: wieś zechciała istnieć nie dla siebie, ale dla swoich dzieci, czego nigdy nie bywało. Co znaczy: żyć dla dzieci? Znaczy: dzieci odchodzą w inny świat, niewioskowy, i trzeba je tam wspierać. Widzieć siebie i swoją wieś w roli kozła ofiarnego na ołtarzu nowoczesności. Dopomóc córkom i synom urządzić mieszkania w miejskich dzielnicach, nabyć meble, samochody, lodówki, pralki, telewizory! Fundować wnukom wakacyjne

wýjezdy ũ Italiju, Ispaniju, Hrecyju. Kosztam blakady raźwićciã ũłasna ha losu. Jaszczé j hanarycca tym, szto zhaleŭ ty ũ imiã szczašcia dzieciéj. Praŭda, niamá takoha duractwa ũ zachodnich narodaŭ, zamoźnych; baćki tam nie zdajuć siabié ũ arendu dzieła sytnaha byćciã patomnym.

Tłumaczeńnie taho nieskładánaje. Baćkami ũ nas ciomnyja muzyki z panskim kompleksam. Im czyšćieńkija dzieci dy ũnuki ũjaŭlájucca panámi. U kamunizm – muzyczki naradzali paniaŭ i panou; sialanskich himnazistak abaraniali matki ad natuhi ũ źniwo siarpami, ad pahorblenaha pałaćciã aharodaŭ. Raskosza chałopa być baćkam rodnamu panu (paniusi).

Wioska pierastała żyć. Jajé źnisztažajuć dzieci jakráz, na dabrabyt jakich nacelena ũ joj usio. Dawoli pasłuchać pacjentaŭ u pawiatowych szpitalach, u lakarniach. Pażyłija dziadzki ni słowam nie azwuca chacia b pra asabistyja ũdaczy ũ żyćci, zdabytki. Usio hadžynami, kab nie skazác: cełymi dniami, hatowyja raspawiać ab tym, jak janý ũspamahali doczkam, synam, unukam. Kolki j kamu nadalj hroszaj, darahich reczaŭ. Kolki prainwestawali ũ nia svoj šwiet, u nieswaju dolu. Sa szkodaju wioscy. Dziwu dajeszsia, jak janý nienawidziać samich siabié. Czyniać usio mahczymaje j niemahczymaje, kab zahibić jak czaławieczyja adzinki dy hramádzkaja klasa, struktura.

U Bielastoku, za ũsieńka treba płaćić: za kwateru, za haz i elektrycznaść, za wadu j wywaz šmiećcia, za telefon, telewizar. Adzina razumnaje, szto možna zrabić, heta dać miesca dzieciám, uciakájuczy nazád, u Bielawiežu ci Paŭdniowaje Wostrawa, czakác cichaje šmierci pensijaniera.

...Baćkoušzczyna pušćieje cicha i ũ zabyćci, by pakinuty chutar, szto ũ poli za łuham. Dzieci nadziei raźlacielisia łastaŭkami ũ bieły šwiet, sonieczna szczabiécuczy. Baćki ichnyja sirocza dahladajuć dziadoŭ da šmierci, nahľadzieŭszy j sabié trawu zabyćciã la ũczarniełaj kaplicy, szto ũ kupie staradreŭja na mahilnym uzhorku. Pamiać u nas wynosiã u trunié i stolki ad jajé šledu, szto ũ niawiecznym hrudku. I pryjdzie wialiki les siudy, nakrywájuczy ũsio i ũsich biežhałasaj wiecznašciu. I niczoha ũžo nia budzie – ni šlozaŭ ani pryczytaŭ, ci chacia b duchu...

Šciapana nie zajadała adzinota, pakŭl zachodzili da Kiszkiãloŭ susiedzi pahladzić telewizijnuju prahramu. Antenu pastáwili nad szczytom chaty, zwažájuczy, kab nie zasłaniali jajé szyrokalisty klon dy taŭszczerny wiaz. Pieradaczy nie ciahnulisia doŭha – ad adwiaczorka da pieradpoŭnaczy. Baby dramali, słaba ciãmiaczy padziei na ekraniku. Źwawiej reahawali mužczyniski; asabliwa kalj hrymieŭ wýbuchami wajenny film. Šciapana cikáwiła nawuka, pryrodaznáuczaja abražki. Ładowiszczy Antarktydy. Ryby ũ sibirskich rekach. Ptuški j miadźwiedzi Kanady. Łasasiny nierast u ruczajoch Kwebeku. Bahátyja dyjamentami pustyni Namibii, szto na paŭdniowym záchadzie Afryki.

wyjazdy do Italii, Hiszpanii, Grecji. Kosztem blokady rozwoju własnego losu. Jeszcze i szczyć się tym, żeś ogolał w imię szczęścia dzieci. Prawda, nie ma takiej durnoty u zachodnich nacji, zamożnych; rodzice tam nie zdają sobie w dzierzawę dla sytego bytu potomnych.

Wy tłumaczenie tego nieskomplikowane. Rodzicami u nas ciemni mężczyźni z pańskim kompleksem. Im czyściutkie dzieci i wnuki jawią się panami. W komunizmie – chłopki rodziły panie i panów; matki chroniły chłopskie gimnazjalistki od trudu żniwowania sierpami, od pielienia w pogarbieniu ogrodów. To rozkosz dla chłopca być rodzicem własnemu panu (paniusi).

Więś przestała żyć. Niszczą ją mianowicie dzieci, na dobrobyt których wszystko jest w niej nastawione. Dostyc posłuchać pacjentów w powiatowych szpitalach, lecznicach. Starsi ludzie ni słowa nie powiedzą choćby o osobistych sukcesach w życiu, osiągnięciach. Za to godzinami, by nie rzec: całymi dniami, gotowi rozpowiadać o tym, jak oni wspomagali córki, synów, wnuki. Ile i komu przydali pieniędzy, drogich rzeczy. Ile zainwestowali w nie swój świat, w nie swój los. Ze szkodą dla wsi. Nadziwić się nie można, jak oni nienawidzą samych siebie. Czynią wszystko co możliwe i niemożliwe, by szczeznąć jako jednostki ludzkie i klasa społeczna, struktura.

W Białymstoku za wszystko trzeba płacić; za mieszkanie, za gaz i prąd, za wodę i wywóz śmieci, za telefon i telewizję. Jedynie rozsądne, co można zrobić, to dać miejsce dzieciom, uciekając z powrotem, do Białowieży czy do Południowego Ostrowa, czekać cichej śmierci emeryta.

...Ojcowizna puścije cicho i w zapomnieniu, jak porzucony chutor, hen w polu za łągiem. Dzieci nadziei rozleciały się jak jaskółki w *biały świat*²²⁹, słonecznie szczebiocząc. Ich rodzice sieroco doglądają dziadków aż do śmierci, upatrzwszy i dla siebie trawę zapomnienia obok poczerńiałej kaplicy, co w kępie starodrzewu na cmentarnym wzgórku. Pamięć u nas wynoszona jest w trumnie i tyle po niej śladu, co w niewiecznym kopczyku. I przyjdzie wielki las tutaj, nakrywając wszystko i wszystkich bezgłosą wiecznością. I niczego już nie będzie – ni łez, ani wyrzutów, czy choćby ducha²³⁰...

Alika nie trawiła samotność, póki zachodzili do Kiszkielów sąsiedzi pooglądać program telewizyjny. Antenę umocowali nad szczytem chaty, zważając, by nie zasłaniały jej szerokolistny klon i grubaśny wiąz. Nadawano niedługo: od przedwieczora do przedpółnocy. Baby drzemały, słabo rozeznając się w wydarzeniach na ekraniku. Żywiej reagowali mężczyźni; zwłaszcza kiedy grzmiał wybuchami film wojenny. Alika ciekawiła nauka, filmy przyrodnicze. Lodowce Antarktydy. Ryby w syberyjskich rzekach. Ptaki i niedźwiedzie Kanady. Tarło łososia w potokach Québecu. Bogata diamentami pustynia Namib, co na południowym zachodzie Afryki.

Niekalki razoŭ hladzięŭ polski repartáž z džunhlaŭ Amazonii; tam dziķija ludzi, szto nikoli nia bǎczyli bięłaha czaławieka.

Pastupowa pamienszaŭ wieczarowy natoŭp, szto ũródawała żonku. Joj nadakuczyŭ bałahán, niahľadziaczy na zadawolenaść u joj bahataj haspadyni. Razżyŭsia na telehledaczǎ Miszka-Cialatnik. Wioz aparát aźno ź Bielastoku, ukryŭszy jaho na wozie koŭdraju ũ zimieczu. Chwaliŭsia, szto zachaboryŭ kiraŭnikǎ kramy. Waroczaŭsia suprasleŭskim haścincam, azirǎjuczysia, ci nia wychodziać z kustoŭ „lésnyja bandyty”. Misza sztorǎż zahladaŭ pad koŭdru, kab upęńnica, szto niczoha aparatu nia zdǎryłasia. U bielawoki śniehapád. Hładziŭ cacku j nawet pacaławaŭ szkielca. Na *Kopnij har.é* wyŭ waŭczuha, peŭna zajzdrujucy Cialatniku. U dubniakoch sznyparyli wawioriki, mlawa chodziaczy na halinoŭji. Szapacieła nieapǎłaje listoŭje i dzie-nidzię czypieli załudy.

Miszka bajaŭsia, kab koń nie panios, upałochany hałodnym źwiarjom.

Ściapanu Kiszkialu niaŭdała skłǎłasia żyćcio. Lubjŭ aplanoŭwac jaho detalowa, pradbǎczwajucy maźliwaści j paśladoŭnaści ũczynkaŭ. Paczynǎjucy amál ź dziacinstwa. Ciapiér, prażyŭszy stolki ũsiaho, nia moh nadziwicca źmienam u losie maładoha pakaleńnia. Piersz za ũsio ũ traktoŭcy maładymi baćkami dziacinstwa swaich patomkaŭ. Ich maładości nieŭzabawie. U Ściapanawu pamiać nia było tak, kab mienawita baćki chwaljilisia spahǎdnymi adnosinami – nawet da syna. Dzieci nia byli czymści, czym warta hanarycca. Czaławieczaje janý drabnoćcie, ź jakoha niewiadoma, szto zbujaje. Moża, prosta, krapiwǎ pad płotam.

Pra dziacinstwa nia dbǎłasia. Jano było biez značeńnia. I raptam, u zasychańnie rodu Kiszkialoŭ, stała ũsím widawoczna, szto dzieci wǎżnyja. Najwaźniejszija! Szto dziacinstwa – heta asobny kawałak abo j paczatak losu czaławieka naohŭł. U dziacinstwie farmujecca charakter asoby, duszǎ. Raniej tak nia dumǎłasia. U dziacinstwie Ściapán byŭ niczym, tym boleĳ nia byŭ prajektam czaławiekapadobnaj adzinki. Dzieci ũsprymǎłisia jak nieszta wypadkowaje. Parumianięły jabłyk.

Canię dziacinstwa dziacieĳ. Heta ũsio macnieĳ zajmała dumki Ściapana, jaki pierazywaŭ pakryŭleny los, szto pawinien byŭ prastawac na roŭnuju żyćciowuju darohu. Bo – kudy jamŭ było krywicca ũ spakojnaj radzinie z matkǎj i baćkam, siastryczkǎj j bracicam? Z poŭnym żywiny chlawom dy nabiczkawanaj zbażynoju stadołaj. U wojny, szto szczasna abminali padworyszcza Kiszkialoŭ. Usio ũ taki wiek pawinna daŭno zhareć, palacieć dymam u nieba, jak u niekatorych susiedziaŭ. Prapała miasteczka, wiecznaje ź wiecznych, by świet świetam.

Kanieć stahodździa wiŭsia chutkǎj wiaroŭkǎj, źnikǎjucy ũ huszczawinie niapǎmiaci.

Wielmi mahczymaja iluzija niaŭdaczy. Pastarełamu Ściapanu tumǎniłasia jasnaść spadziawańniaŭ ad żyćcia. Hawaryć pra niaŭdaczu moh u wýpadku

Kilka razy oglądał polski reportaż z dżungli amazońskiej; tam dzicy ludzie, którzy nigdy nie widzieli białego człowieka.

Stopniowo zrzędził wieczorowy tłum, co ucieszyło żonę. Jej dokuczył bałagan, mniejsza o dumę w niej bogatej gospodyni. Dochrapał się telewizora Miszka-Ciałatnik²³¹. Wiózł aparat aż z Białegostoku, otuliwszy go na wozie kołdrą w zimnisko. Przechwalał się, że dał łapówkę kierownikowi sklepu. Wracał supraskim gościńcem, oglądając się, czy nie wychodzą z krzaków „leśni bandyci”. Misza-Ciałatnik co rusz zerkał pod kołdrę, by się upewnić, że nic się aparatowi nie stało. W białooką śnieżycę. Głaskał zabawkę i nawet pocałował szkiełko. Na Kopnej Górze wyło wilczyisko, pewnie zazdroszcząc Ciałatnikowi. W dębniakach pożywiały się wiewiórki, ospale chodząc po gałęziach. Szeleściło nieopadłe listowie i gdzieniegdzie wisiały żołędzie.

Miszka obawiał się, by koń nie poniósł, spłoszony przez głodną zwierzynę.²³²

Alikowi Kiszkielowi nieudanie ułożyło się życie. Lubił planować je szczegółowo, przewidując możliwości i konsekwencje uczynków. Poczynając niemal od dzieciństwa. Teraz, przeżywszy tyle wszystkiego, nie mógł nadziwić się zmianom w losie młodego pokolenia. Przede wszystkim w traktowaniu przez młodych rodziców dzieciństwa swoich potomków. Ich młodości niebawem. Za Alikowej pamięci nie było tak, żeby rodzice chwalili się mianowicie łagodnym podejściem – nawet do syna. Dzieci nie były tym, czym warto się chwalić. Człowieczy to drobiazg, z jakiego nie wiadomo, co wyrośnie. Może, po prostu, pokrzywa pod płotem.

O dzieciństwo nie dbano. Ono było bez znaczenia. I raptem, w czas usychania rodu Kiszkielów, stało się dla wszystkich jasne, że dzieci są ważne. Najważniejsze! Że dzieciństwo – to osobny kawałek albo i początek losu człowieka na ogół. W dzieciństwie kształtuje się charakter osoby, dusza. Wcześniej tak nie myślano^{XXX/s.310}. W dzieciństwie Alik był niczym, tym bardziej nie był projektem człowiekopodobnej jednostki. Dzieci przyjmowano jako coś przypadkowego. Zarumienione jabłko.

Cenić dzieciństwo dzieci. To coraz mocniej zajmowało myśli Alika, przeżywającego pokręcony los, który powinien był prowadzić go na równą życiową drogę. Dokąd bowiem miałyby zbaczać w spokojnej rodzinie z matką i ojcem, siostrzyczką i braciszkiem? Z pełnym żywizny chlewem i nabitą zbożem stodołą. W szczęśliwie omijające podwórko Kiszkielów wojny. Wszystko w taki wiek powinno dawno spłonąć, ulecieć z dymem do nieba, jak u niektórych sąsiadów. Przepadło nawet miasteczko, wieczne z wiecznych, jak świat światem.

Koniec stulecia wił się szybką serpentyną, znikającą w gąszczu niepamięci.

Bardzo możliwa jest iluzja porażki^{XXII/s.279}. Postarzałem Alikowi maciła się jasność oczekiwań od życia. O porażce mógł mówić w przypadku

biażdżetności, szto jaho napatkała, alé j z taho jsnawáu wychad kształtam pryjomnaha syna. Ściapanu nie chaciełasiasia pajści na hety waryjánt. Prosta – razhultáiusia, żywuczy tolki sa spahádnaj žonkaju, aniolskaj kabietaj. Dzieci abciażárwajuć, pahaniajuć dapieradu, a užo ž nia nadta žadálásiasia biehczy. Nabiehausia woś.

Na pámiaci Ściapana Kiszkiála byli wandroŭnyja fatohrafy, szto raptam žjawiłisia ũ wioscy, byccam wiaszczuny kancá sialánskaha świetu. Janý žbirali zakazy na pierarobku staradaŭnich fatahrafijaŭ dziadoŭ i babulaŭ. Znachodziliusia naohŭł pászpartnyja fotki ž pierszaj niamieckaj akupacyi paślá adstupleńnia ruskich u 1915 hodzie. Zasmoktanyja twary mužczyn z hałodnymi waczyma azdablali tyja fatohrafy pánskimi kaściumami z francuskimi hálsztukami. Złosnych, by kwaktuchi, babulaŭ pierarablali ũ niamieckich hrafiniaŭ z hrudzistym dekalte. Kalí chto namacaŭ ũ chatnich schowach pažoŭkłała swajaká ũ brawaj pozie kazáka z czubam pad szápkaŭ, szto z karotkim kazyrkom, pieramaloŭwali jaho pad suwory woblik imperátara Mikałaja II.

Dziŭnyja fatohrafy hetak ža paźnikali, jak i pajawiłisia byli. U niadoŭhi peryjad, kalí dzieci kanczali szkoly ũ Bielastoku i zapraszali na wiaskowaje leta miaszczanskich kalehaŭ. Kab pakazacca pierad imi ž nie aby-jakim rodam, nabywali za baćkoŭskija hroszy fanierawányja fotaramki, u jakich krasawálišia na ścienach pafrancuziełtyja dziadý, babuli z wýhľadam Frau Gräfin, bajawyja aficery „niepieramožnaj” carskaj ármii. Haradzkija hości – syny czyhunacznikaŭ ci doczki fabrycznych tkallaŭ – wýłupliwalisia na pámiatki. Wiaskaŭniá pyliła ũ woczy drobnamu miaszczanstwu. Máraczy prypadobnicca. Uciaczy ad klajmá chlawá j hnoju.

Nianawiść da samich siabię ũ bielarusau biarecca z ahidy da ũlásnaha losu. Heta kalaniálnaja anamálija psychiki. Wyjaŭlajecca janá ũ zaczarawánaści kulturaju kalanizátaraŭ, ichnaj mowaju. Tamŭ bielarus žadła ruskamoŭny; polskamoŭny. Pryczym sa schilnaściu da aŭtarytaryzmu. Pawodle taho zakonu psychalohii, u adpawiednaści ž jakim achwiara atojesámliwajecca sa swaim katam. Amál usię lidery faszyzmu (kamunizmu) akázwajucca ludźmi wioski.

Nia májuczy swajch dzieciej, Ściapán paczáŭ schilacca da ũspamahańnia Mani. Miensz spaczuwáńnia było ũ jaho da Andrejki. Jak mužczyny, jakí sam pawinien być dachodliwym. Tym czasam zaniapała czyrwonaja ũlada i adkryłisia hranicy ũ szyroki świet. Niedzie pa haradoch dachodziła da bitwaŭ z praciuńnikami ũlady, ab czym u wioscy hawaryli jak ab niezrozumiełym chulihanstwie. Czaho chozca „Salidarnaść”? Raboty poŭna, hroszy płaciać, kwatery dajuć. Kiłbasaŭ mała? Sała mała? Można zrozumieć bunt, kalí b chleba nia było. Kiepska robotnikam u fábrkach, dyk chaj waroczajucca na haspadarki. Natuhi na ich nie wosiem hadzinaŭ, alé ad ciamna da ciamna. A muzykom usię pahardžajuć, naczálniki j

bezdziębności, która stała się jego udziałem, ale i tu było wyjście w postaci adoptowanego syna. Alik nie był skłonny pójść na ten wariant. Po prostu – rozleniwiał się, żyjąc tylko z serdeczną i spolegliwą żoną, anielską kobietą. Dzieci obciążają, poganiają do przodu, a nie nadto chciało się biec. Nabiegał się, ot.

W pamięci Alika pozostali wędrowni fotografowie, co raptem zjawili się we wsi niczym prorocy końca wioskowego świata. Zbierali zlecenia na przeróbkę starodawnych zdjęć dziadków i babek. Na ogół powiększono fotki z dokumentów wydanych za pierwszej niemieckiej okupacji, po wycofaniu się Rosjan w 1915 roku. Dzięki zmyślnym szablonom zapadnięte męskie twarze o głodnych oczach doczekały się pańskich garniturów z francuskimi krawatami. Naburmuszone niby kwoki babcie przeistaczały się w niemieckie hrabiny o piersiastych dekoltach. Jeśli kto namacał w domowych skrytkach poślódkę wujka w chwackiej pozie kozaka z czubem pod czapką, co z krótkim daszkiem, retuszowano go pod surową postać imperatora Mikołaja II.

Dziwni fotografowie także poznikali, jak i się byli pojawili. W niedługim okresie, kiedy dzieci kończyły szkoły w Białymstoku i zapraszały miastowych kolegów na wioskowe lato. Aby się pokazać przed nimi z nie byle jakim rodowodem, nabywały za ojcowskie pieniądze fornirowane ramy, w których zadawali szyku na ścianach sfrancuziali dziadowie, babule z aparycją Frau Gräfin²³³, dziarscy oficerowie frontowi „niezwycięzonej” carskiej armii. Miastowi goście – synowie kolejarzy albo córki fabrycznych tkaczek – wytrzeszczali się na pamiątki. Wieśniaczkowie mydlili oczy drobnemu mieszczaństwu. Marząc, by się upodobnić. Pozbyć się piętna chlewa i gnoju.

Nienawiść do samych siebie u Białorusinów bierze się ze wstępu do własnego losu^{XXIII/s.280}. To kolonialna anomalia psychiki. Przejawia się ona w oczarowaniu kulturą kolonizatorów, ich mocą. Dlatego Białorusin zajadłe rosyjskojęzyczny; polskojęzyczny. Przy czym ze skłonnością do autorytaryzmu. Według zasady psychologii, zgodnie z którą ofiara utożsamia się ze swoim katem²³⁴. Niemal wszyscy liderzy faszyzmu (komunizmu) okazują się ludźmi wsi.

Nie mając własnych dzieci, Alik począł skłaniać się ku wspomaganiamu Mani. Mniej łaskawy był dla Andrzeja. Jako mężczyzny, który sam powinien być dochodowy. Tymczasem zaniemogła czerwona władza i otworzono granice kraju. Gdzieś w miastach dochodziło do bitew z przeciwnikami władzy, o czym na wsi mówiło się jako o niepojętym chuligaństwie. Czego chce „Solidarność”? Pracy pełno, pensje płacą, dają mieszkania. Kielbas mało? Słoniny mało? Można zrozumieć bunty, gdyby chleba nie było. Źle robotnikom w fabrykach, to niech wracają na gospodarki. Tyrania na nich nie na osiem godzin, ale od świtu do zmroku. A chłopem wszyscy pogardzają, naczelnicy i

praletaryi. Nawat dzieci rodnyja. Za jakija heta hrachj takaja hańba chlebarobu?! Boża litaściwy, czamú ludkowie kusajuć tuju ruku, jakaja chlebam ich kormić?

Dapuścim, szto ũsie paũciakali ũ ziamlj, hurmam zatłumili harady. I szto dalej ũ imi budzie? Strawu z maszynaũ nahatujuć? Aponami zaskwarać? Szmarami? Makaronaũ nareżuć ũ bializny? Ci kinucca rabawać tyja abszary, szto jaszczé pad płuh? U džunhlach Konha. U zialonym piekle Amazonii. U akijanach proćma ryby. Praũda. Niekali byli kantynenty ũ niaźliczonymi czarodami bujnoha ũwiera. Bizony. Antylopy. I kudy toje bahaćcie padzieľasia? Pryjszoũ czaławiek z karabinam.

Ściapanu inszy raz rabjľasia straszawata wyjści na wulicu. Nasuproć imczau z pahorka chutki aũtamabil, byccam cheũra palaũnicznych u afrykanskim safary. Uciakac? Alé kudoju?! Pa bakoch udziczjľyja trawoju zahony aharodaũ, u jakich niadaũnim czasam wysilisia zielanistyja kanopli, ćwiũ mak, pachacieli malińniki, kuścilisia pareczki. Było dzie schawacca. Było czym dychac, serca wiesialic. Wioska siońnia – heta apuścjľyja chaty, pachjľenyja chlawy j stadoły, i asatowaja pustka miż imi. Ściapan adnaho razu ũziaũsia sadzić uwosieũ fruktowyja dreũcy, pakul nia ściamiu, szto anikomu janý niepatrebnjya, chacią b jamú samomu.

Czas kurczyk wiosku. Ściapanu ũsiudy ũ joj rabjľasia blizka. Hnilj j pādali pľaty. Pustazielle wýznaczyła koliszniya jakraz zahony. Bulbianiszczy ũkryũ maľaczaj, biarozka. Byľyja ahureczniki ablubawaũ padaroznik, praźmierna szyrokalisty. Na burakawieńniach karaniľisia asaty j dawoli redkija kwietki, szto nahadwali kurynuju ślepatu. Doũha adnaũlaũsia mak, drabniejuczy z koźnym hodam. Miatlica j ũćwica trymalisia ũźmieźkaũ. Cikawa razrastalisia maliny, sochnuczy ũ starym miescy i pierasoũwajuczysia ũ soniecznyja kruhj. U byľym malińniku prarastała asabliwa wysokaja trawa, usio kuścikami. Dzie-ni-dzie prabiwalisia ściabliny kanapiel, czasam lonu. Zielnaja razmaitaść bľazela, paddajuczysia dywanistamu dzirwanu. Usiamocnaja traũnaść wyľadźwala harodniuju hieametryju.

ũsiudy stała mienawita blizka. Ściapanu smutna ũspaminalisia kolernyja zahony z puzatymi harbuzami. Jeździaczy ũ Sakoľku abo ũ Bielastok – da dachtaroũ – zapyniaũsia kala aharodnickich ľarkoũ, ũdziũleny, szto nie prapali dareszty ahurki, dyni, czyrwonyja burakj, morkwa, kapusta. Saromieũsia kupľac harodninu, kab znajomaja pradaušczyca nia wýsmjľala jaho: „Szto wy, pania, swaho ni mājacia?”

Ściapan kazau žoncy: pasiejam, pasadzim. Alé janá na toje: a chto budzia jeści? Ty dy ja, a ci mnoha nam treba na dwaich? Ściapan rozumieũ: nu tak, niamnoha, a dohledu niamala, adnaho paľacicia na ceľyja dni da wieczara. Lepiej kupic u Sakoľcy torbu bulby, paru czyrwonych burakoũ, kilo cybuli. Dwa paczki maľaká.

proletariusze. Nawet rodzone dzieci. Za jakie grzechy taka hańba rolnikowi?! Boże litościwy, czemu ludkowie kęsają tę rękę, która ich karmi chlebem?

Przyjmijmy, że wszyscy porzucili ziemię, hurmem zaludnili miasta. I co dalej z nimi będzie? Strawy z maszyn nagotują? Oponami okraszają? Smarami? Makaronu natną z bielizny?²³⁵ Czy ruszą rabować te obszary, co jeszcze pod pług. W dżunglach Konga. W zielonym piekle Amazonii. W oceanach mnogość ryby. Prawda. Onegdaj były kontynenty z niezliczonymi stadami grubej zwierzyny. Bizony. Antylopy. I gdzie się to bogactwo podziało? Przyszedł człowiek z karabinem.

Alikowi niekiedy nieswojo było wyjść na ulicę. Naprzeciw śmigał z pagórka chyży automobil, jak zgraja myśliwych na afrykańskim safari. Uciekać? Ale którędy!? Po bokach zdziczałe, zarosłe trawą zagony ogrodów, w których przed niedawnym czasem pięły się zieloniste konopie, kwitł mak, pachniały maliniaki, krzewiły się porzeczeki. Było gdzie się schować. Było czym oddychać, serce weselić. Wioska dzisiaj – to opustoszałe chaty, pochylone chlewy i stodoły, i mleczowa pustać między nimi. Alik raz zabrał się do sadzenia jesienią drzew owocowych, póki się nie zreflektował, że nikomu one niepotrzebne, choćby jemu samemu.

Czas kurczy wieś. Alikowi wszędzie w niej robiło się blisko: próchniały i padały płoty. Zielsko wyznaczyło akuratnie niegdysiejsze zagony. Kartofliska pokrył wilczomlecz, brzoźki. Dawne ogóreczniki upodobała sobie babka, ponad miarę szerokolistna. Na burakowiskach korzeniły się mleczce i dosyć rzadkie kwiaty, przypominające jaskółcze ziele. Długo odnawiał się mak, karlejąc z każdym rokiem. Miotlica²³⁶ i żywica²³⁷ trzymały się miedz. Ciekawie rozrastały się maliny, usychając w starych miejscach i przesuwając się ku słonecznym kręgom. W byłym maliniaku przerastała szczególnie wysoka trawa, zawsze kępami. Tu i owdzie przebijały się źdźbła konopi, czasem lnu. Zielna różnaitość ubożała, poddając się dywanistej murawie. Wszechmocna trawiastość wygładzała ogrodową geometrię.

Wszędzie stało się mianowicie blisko. Alikowi smutno było wspominać kolorowe zagony z brzuchatymi arbuзами. Jeżdżąc do Sokołki albo Białegostoku – do lekarzy – przystawał koło ogrodniczych kramików, zdziwiony, że nie przepadły do reszty ogórki, dynie, czerwone buraki, marchew, kapusta. Krępował się kupować warzywa, by znajoma sprzedawczyni nie podśmiewała się: „Co wy, swoich nie macie?”.

Alik mówił żonce: posiejemy, posadzimy. Ale ona na to: a kto będzie jeść? Ty i ja, a czy dużo trzeba nam dwojgu? Alik rozumiał: no tak, niedużo, a doglądania niemało, samego pielenia na całe dni do wieczora. Lepiej kupić w Sokołce torbę kartofli, kilka buraków, kilo cebuli. Dwa kartony mleka.

Akrajec sała na skwarki. Kolki treba staromu czaławieku? Żywinu nie zahadujesz, bo czym za jajé karmiémiesz?! Moża kuraczk_u jakuju... Dziela kryszak sa stała. At, tchor pryjdzia ũnoczy j zaduszyć jaje.

Szpulka raźwićciá, wieraciano padziej sztoráz chutcz_{ej} kruciłasia. Moc nia moża nia krucicca sztoráz szparcz_{ej}. U dahasańnie dwaccátaha stahodździa szmat szto stráciła wialikaje znaczeńnie. U pi_{er}szeniu czarh_u baćkoŭszczyna adnaczasna z zarastańniem pola. U horadzie niamá baćkoŭszczyny, tolki palityka padziełu hroszaj. Dziarżawy wypałoskwajúc etnicznaść dziarżaŭnych mieżaŭ, pieraŭtwarájuczysia ũ federacyi mehapolisau; trochi heta nawodzić na dumku pra antyczn_{ija} haradý-dziarżawy (Afiny, Rym). I jak tut nie dadumacca, szto świet wiruje pa śpirali i stolki taj_e roźnicy, szto ũsio wysz_{ej} i wysz_{ej}.

Hlabalizacyja wylikwidoŭwaje wiosku ũ ludźmi typu Ściapan_a Kiskialá, hetak za postfeadaln_{ija} haradý naksztált Bielastoku, nacyjanáln_{ija} struktury na padabienstwa bielarusau. Źmianiaje samoha czaławieka i jaho mowu, paniaćci. U archaicznaść addalájecca taja ũ baćkoŭszczyna, toje, szto z łatyni nazywajem patryjatyzmam; jak kachańnie, tak i hierajzm pierakwalifikoŭwajucca ũ śpisak psychicznych chwaro_{ba}ŭ. Lajalnaść jak ĩnszaja nazwa wi_{er}naści acichaje ũ biezemacyjnaść. Relij_{ija} j wiera ũ Boha Adzinaha ũžo ciapi_{er} nia centar świetu, alé jaho falklor. Etnahraficzn_{aja} asabliwaść. Śmierć zrabija redkaściu, incydentam, zami_{er}st sztodzi_{er}szczyny. Babula Ściapan_a naradziła szasnaccá dzietak; wýżyła czaćwiora. Maci Ściapan_a naradziła tolki troje, i zastalisia. Ściapan za naohuł nia chocza dziaciej.

U suczasnaść cywilizujúc narody dziarżawy. Janý ũžo nia jsnujúc samastojna, intehrujuczysia. Utwarajúc ich nie nacyjanáln_{ija} hieroi j hramádzkija elity, alé szmatludn_{ija} palityczn_{ija} klasy, u swajoj masie ananimn_{ija}. Heta nia wyzwoln_{ija} ruchi, a życiowaja nieabchodnaść terytoryi, ekanamiczn_{aj} na joj struktury. Czystym przykładam ciapi_{er}aszni_{aj} dziarżawy ũjaŭlájecca Respublika Bielaruś, antybielarusk_{aja} ũnisztaźálnica bielarusk_{aj} mowy j kultury, absolutna ekanamiczn_{aja} ũjawa ũ siarednieeŭrapejskim miźmorji, jakaja nie paddajecca sensu aneksii (ni rasijsk_{aj}, ni polsk_{aj}). Hetaja biez nacyjanáln_{aja} dziarżawa, jak nikomu niepatrebna, mahczyma, apieradźaje nasz czas i epochu, praroczyć razmywańnie nácyjaŭ. Bielarusy nie dajsził da poŭnafarmátnaje nac_{yi} i nia dojdúc, bo minaje pará nacyjanáln_{ych} dziarżawaŭ. Hlabalizacyja ũžo wysmoktwaje pamieźnuju Litw_u, Łatw_{iju}; taksama Polszczu redukuje.

Ustojliwaść Ściapan_a na katastroficzn_{uju} tut palanizacyju wyrasła ũ dziacinstwie j maładości, z zawarožanaści wi_{er}szami Puszkina j Lermantawa ũ knihach sa skromnych chatnich biblijatek himnazijn_{ych} Anisimowiczaŭ. Ściapanu nie impanawała polsk_{aja} imperyja. Stychijn_{aja} palanizacyja rawiesnych chłopcaŭ i

Okrajec słoniny na skwarki. Ileż trzeba staremu człowiekowi? Trzody nie zahodujesz, bo czymże ją będziesz karmić? Może kurkę jaką... Dla okrucichów ze stołu. A i to nie, tchórz przyjdzie w nocy i ją zadusi.

Szpulka rozwoju, wrzeciono zdarzeń coraz prędzej się kręciło. Skupiająca się moc nie może nie wirować coraz szybciej. W dogasaniu dwudziestego stulecia sporo rzeczy straciło wielkie znaczenie. Przede wszystkim ojcowizna, wraz z zarastaniem pola. W mieście nie ma ojcowizny, tylko polityka podziału pieniędzy. Państwa rozmywają etniczność granic, przeistaczając się w federację wielu megapolis; trochę przywodzi to na myśl antyczne miasta-państwa (Ateny, Rzym). I jak tu się nie domyślić, że świat ewoluuje po spirali, a tyle tej różnicy, że coraz wyżej i wyżej.

Globalizacja wylikwidowuje wieś z ludźmi pokroju Alika Kiszkiela, jak i postfeudalne miasta na kształt Białegostoku, struktury narodowe podobne Białorusinom. Zmienia samego człowieka, jego mowę, pojęcia. W archaiczność odchodzi ojczyzna, to, co z łacińska nazywa się patriotyzmem; jak miłość, tak i heroizm przekwalifikowuje się do wykazu chorób psychicznych. Lojalność, jako inna nazwa wierności, cichnie w bezemocyjności. Religia i wiara w Boga Jedyneho teraz już nie jest centrum świata, ale jego folklorem. Etnograficzną osobliwością^{XXV/s.281}. Śmierć stała się rzadkością, incydentem zamiast codziennością. Babka Alika urodziła szesnaścioro dzieci, przeżyło czworo. Matka urodziła troje i wszystkie zostały. Alik w ogóle nie chce dzieci.

Współcześnie to państwa cywilizują narody. Nie istnieją one samodzielnie, integrując się. Tworzą je nie bohaterowie narodowi i elity społeczne, ale wielotysięczne klasy polityczne, w swojej masie anonimowe. To nie ruchy wyzwolenicze, a życiowa konieczność terytorium, ekonomicznej na nim struktury. Dobrym przykładem takiego współczesnego państwa jest Republika Białoruś, antybiałoruska likwidatorka białoruskiego języka i kultury, czysto gospodarcze zjawisko w środkowoeuropejskim międzymorzu, którego aneksja dla nikogo nie ma sensu. To pozanarodowościowe państwo, jako nikomu niepotrzebne, być może wyprzedza swoją epokę, wieszczy rozmywanie narodowości. Białorusini nie doszli do etapu pełnoformatowej nacji i nie dojdą, bo mija czas państw narodowych. Globalizacja już wysysa pograniczną Litwę, Łotwę; również Polskę redukuje^{XXVI/s.283}.

Niepodatność Alika na katastrofalną tutaj polonizację wyrosła w dzieciństwie i młodości, z zauroczenia wierszami Puszkina i Lermontowa w książkach ze skromnych domowych bibliotek gimnazyjnych Anisimowiczów^{XXXI/s.315}. Alikowi nie imponowało polskie imperium. Żywiółowa polonizacja jego rówieśników,

dziaŭczat pawiarchoŭnaja, choć z trywałym skutkam. Janą zakonczycca, kalj wywiedzie z żyćciabielaruskuju mowu dy sialanskuju świadomaść, pierarabiŭszy moładź u katalickich neafitaŭ dy najomnych padpankaŭ. Chamuckija dzieci straszenna nia lubiać, kalj pieraszkadźać im stacca panami. Kab być panam, treba pierastać być bielarusam.

Ściapana ŭrażwała wieczarowaja ciszynią. Biežałoście kala chataŭ, a pamiatálasia rykańnie dojenych karoŭ, wisk kormlenych świnięj, blajańnie hnanych u padworki awieczak, sakatańnie ŭpałochanych sabákami kurej, irżańnie dahľadżanych kabyłaŭ, treskat draŭlanych wazoŭ, pokryk haspadaroŭ, lamantliwy nahaniáj haspadyniaŭ. Uwięs toj werchał niejak acjich miortwym biazmoŭjem. Sioj-toj trymaŭ jaszczę świnczá j czarodku kŭraczak; niechta nawet ciałuszku na mięsa dzieciom u horadzie. Ściapán, amál kradkom, chadzĭŭ da tych panadworkaŭ pahladzić na żywinu. Jamú chaciełasia pastawić u chlawię karoŭku, alé heta było niemahezyma; pazbáwiŭszysia haspadarki, nia mieŭ by czym karmić krasulku. Ż wioski wŷwietryŭsia pach hnoju. Wecier dźmuŭ ad paloŭ, nanosiaczy pylinki ćwietu pustaziella. Daŭniej polnaja prastora pachacieła żywniowym chlebam; szapacieŭ śpiely awios.

Udzięń Ściapán nie wychodziŭ na wulicu. Czamuści saromieŭsia taho. Badziaŭsia ciomnymi adwiaczorkami, adzĭn-adzĭniutki. Usio pa-pad pátami, kab nia być uhľadżanym. U niekatorych woknach bliskacieŭ sinim pobliskam ekranik ukluczanaha telewĭzara. Ściapán wiedaŭ, chto tam pakŭł żywię. Dziwiŭsia, szto biednyja ż biednych pakuplali tyja telehledaczy. Pad sumnieŭ ci dzieła samachwalunstwa. Janý tak wydatkoŭwajucca, ratujuczysia ad samoty. Świat u filmach cikawiejszy, czymści ŭ susiedzkich hutarkach.

Siędziaczy sam-naśam z telewĭzaram, padświadoma pierajmajesz jaho mowu, słoŭcy. Palanizujeszsia. Heta adczuwájecca ŭ carkwie niadzielkaju: „báciuszka” molicca pa-rusku, baby pieraszęptwajucca pamiż saboju pa-polsku. Bytta rozmaŭlajúc z hawarkĭm ekranikam.

Histaryczny pierałam zaŭsiody pieraŭtwaraje ŭ lisznich mnoŭstwa ludziej. Ściapán rychtawaŭsia żyć z szawiectwa, ni praz chwilinu nie padumaŭszy, szto dawoli chutka moża heta akazacca biesperspektyŭnym, zwyczajna niaprydatnym. Ściapán pryhladaŭsia da fabrycznaha abutku, sa złościu bączaczy, jak usięńkija drobiazi ŭ im, abcasy j ranty, zamacawányja z zajzdrosnaj dakładnaściu. Nieczalaŭięczaja heta praca. Nie adczuwájecca ŭ joj ciapłyni ruk, kropli potu ŭpálaha ż iłba. Ni ŭ czym nia pachnie czaławiekam. Ludzkaj natuhaju. Niedakładnaściu ad stomy.

Fabryczny wyrab ciazka nazwać wýnikam pracy. Jon uźnikaje pobacz ciabię. Abawiazkowym jon i nieabawiazkowym, dosyć wypadkowym, by kupła czałości za hroszy j tolki za hroszy.

choć powierzchowna, ma trwały skutek. Ona zakończy się, kiedy wyprze z domowego użytku język białoruski i włościańską świadomość, przekształciwszy młodzież w katolickich neofitów i najemnych podpanków. Kmiecie dzieci strasznie nie lubią, kiedy przeszkadza im się zostać panami. Żeby być panem, trzeba przestać być Białorusinem.

Alika porażała wieczorna cisza. Bezgłos wokół chat, a pamiętało się porykiwanie dojonnych krów, pisk karmionych świń, beczenie zapędzanych na podwórka owiec, gdakanie spłoszonych przez psy kur, rzenie zadbanych koni, skrzypienie drewnianych wozów, pokrzykiwania gospodarzy, lamentliwe ponaglania gospodyń. Cały tamten zgiełk jakoś zacichł w martwą oniemiałość^{XXIV/s.280}. Ten i ów trzymał jeszcze świniaka i czeredkę kurek; ktoś nawet cielę na mięso dla dzieci w mieście. Alik, niemalże ukradkiem, chodził do tych podwórzy popatrzeć na stworzenia. Chciał postawić w chlewie krówkę, ale to było niemożliwe; pozbawiwszy się ziemi, nie miałby czym karmić krasulki. Ze wsi wywiewał zapach gnoju. Wiatr dął od pól, nanosząc kwiatowe pyłki chwastów. Dawniej polna przestrzeń pachniała żytnim chlebem; szeleścił dojrzały owies.

W dzień Alik nie wychodził na ulicę. Czemuś wstydził się tego. Włączył się szarym zmierzchem, sam-samiutki. Zawsze wzdłuż płotów, by nie być widziany. W niektórych oknach migotał niebieskawym blaskiem ekranik włączonego telewizora. Alik wiedział, kto tam jeszcze mieszka. Dziwił się, że najbiedniejsi z biednych pokupowali owe odbiorniki. Raczej nie po to, by się chwalić. Siłą się na wydatek, ratując się przed samotnością. Świat w filmach ciekawszy niż w sąsiedzkich pogawędkach.

Siedząc sam na sam z telewizorem, podświadomie przejmujesz jego język, słowa. Polonizujesz się. Widać to w niedziele w cerkwi: „báciuszka” modli się po rosyjsku, a baby przeszeptują się między sobą po polsku. Jakby rozmawiały z gadatliwym ekranikiem.

Historyczny przełom zawsze czyni mnóstwo ludzi niepotrzebnymi. Alik zamierzał żyć z szewstwa, ani przez chwilę nie pomyślałszy, że całkiem prędko może ono okazać się bezperspektywiczne, zwyczajnie nieprzydatne. Przyglądając się fabrycznemu obuwiu, ze złością widział, jak wszelkie detale w nim, obcasy i ranty, zamocowane są z godną pozazdrosczenia dokładnością. Nieczłowiecza to praca. Nie czuje się w niej ciepła rąk, kropli potu upadłej z czoła. W niczym nie pachnie człowiekiem. Ludzkim wysiłkiem. Drobną niedokładnością wynikłą ze zmęczenia.

Fabryczny wyrób trudno nazwać efektem pracy. Powstaje on obok ciebie. Konieczny on i niekonieczny, dosyć przypadkowy, jak kupno czegoś za pieniądze i tylko za pieniądze.

Ściapán Kiszkiél ławjū siabie na samaadczuwańni źnikłaści z hetaha świetu. Baćki ũjaŭlalisia jamú, by niarealnaja ikona. Żonka bączylasia nieczym prywidnym, krychu żachotnym. Sistrá j brat – jak dosyc turbotnyja znajomyja, szto, na szczascie Ściapanu, prażywajuc daloka j niaczasta sustrakájucca. I choć Ściapán nie chwareŭ, padawalasia jamú, szto, adnák za, niadobraje adbywájecca z im samim. Padumwaŭ chadzic da lekarau czaściej, czym da hetaje pary, alé strymliwali jaho wýdatki na lakarstwy. Zawiekawalamu ũ samocie znachodzili *dachtaré* bieźlicz niamohłasciaŭ, pra jsnawańnie jakich u jahonym arhaniźmie nawet nie padazrawalasia. Nie paczuwaŭsia chwarawiekim.

Niepatrebaść czałowieka biarecca z niepatrebná prażytahá dnia. Kalí ty nia ũ stanie wýznaczyć sensoŭnaść swajho jsnawańnia. Apraŭdańnie ũ koźnaha swajo. U narodaŭ taksama. Antycznija cywilizacyi mieli ũłasnuju búduczyniu, jakuju siońniaczy adhádwajem abo j nie rozumiejem, by tajemnjaje piśmo. Heta nia znaczyć, szto minŭtyja stahodździ dy tysiaczahodździ nia ũpływajuc na nasz ciapiérasni los. Wiosku zasnowali prodki ũ siwuju minŭszczynu. Ściapán – ichny naszczadak, nia tak waźna, świadomy ci nie. Jon jość na świecie naksztált raśliny, szto brynijaje sokami toj za hleby. Niaŭžo raślina ũmieje dumać? Mahczyma, źwier. Wioska bolsz. Ściapán Kiszkiél heta ũnikát, bo czytuje. Rewalucyjaniery pisali, źwiartájuczysia da ludu, czamuści nie ũswiedamlájuczcy sabie, szto lud nia czytuje j nia pisha, a naklikanaja imi rewalucyja piersz pazabiwaje ich samich, jak tych, szto żywuc nie z mazalá. Biaz płuha niamá horadu.

Tak skłádwalasia ũ minŭtym, szto zaŭsiody bylá nadzieja na lepszaje. Nawat u pánszczynu. Ciapiér za, u zawiarszeńnie dwaccátaha stahodździa, niamá takoje nadziei. Tamŭ, widác, szto wielmi zrabilasia sytna, zamoźna. Na praciahu pakaleńnia. Byccam cud z niabiosaŭ. Dziadám na mohiłkach zmurawali wialikapánskija pomniki. Baćkoŭ użo nie kaleczyć haspadárskaja rabota nie pad siŭ. Dzieci raźjechalisia pa kantynentach. Unuki hniazdujuc u addálenych krainach, u jakich nikoli nie zaznali srakabojnaj pánszczyzny ani swojewolnaha mardaboju. U krainach, u jakich ludzi zaŭsiody jeli chleb i pirahj. Kalí z nie zaŭsiody, dyk zdaŭná.

Ściapanu było dziŭna na duszy. Achwotna pajszoŭ by śledam za tymi, szto paczali żyć dzieła dziaciej i chwalicca swajoj hałotaju z hetaj pryczyny. Dzieci dziákujuc, choć licząc baćkoŭ frajerami.

Dwacca pierszaje stahodździe paczniececa Ściapanu Kiszkiálŭ źniknieńniem. Chata abwałicca; wýraście kala komina biaroza; pad padrubami parobiać nory lisy. Płot zaniapadzie ũ czarnaśliŭji, wynyrájuczcy napawierch dubowymi słupikami niŭby pahanskich baćkoŭ. U zachleŭnym zakŭcci zaraście krapiwouju trachtar, paryžejuć płuhi, spruźynoŭki, borany. U hniŭtych ścienach chlawá razbujaje czorny bez. Na humniszczy pajáwiacca – niewiadoma adkul – dziŭkija jabłyni.

Alik Kiszkiel łapał się na poczuciu znikliwości z tego świata. Rodzice jawili mu się niby nierealna ikona. Żona zdawała się czymś zwidnym, trochę przerażającym. O siostrze i bracie myślał jak o dosyć kłopotliwych znajomych, co – szczęśliwie dla Alika – mieszkają daleko i nieczęsto ich widuje. I choć Alik nie chorował, wydawało mu się, że jednak niedobrze dzieje się z nim samym. Zamyślał chodzić do lekarzy częściej niż do tej pory, ale powstrzymywały go wydatki na lekarstwa. Wiekowemu samotnikowi doktorzy znajdowali bezlik niedomagań, istnienia których w jego organizmie nawet nie podejrzewano. Nie czuł się chorowity.

Zbędnosć człowieka wynika z niepotrzebnie przeżytego dnia. Kiedy nie jesteś w stanie określić sensu swojego istnienia. Uzasadnienie każdy ma swoje. Narody również. Antyczne cywilizacje miały własną przyszłość, którą dzisiaj odgadujemy, albo jej nie rozumiemy, jak tajemnego pisma. Nie znaczy to, że minione wieki i tysiąclecia nie wpływają na nasz obecny los. Wieś założyli przodkowie w niepamiętnych czasach. Alik jest ich potomkiem, nie tak ważne: świadomym czy nie. Jest na świecie na kształt rośliny, co nabrzmiewa sokami tejże gleby. Czy roślina potrafi myśleć? Możliwe, że zwierzę. Wieś bardziej. Alik jest unikatem, bo czyta. Rewolucjoniści pisali, zwracając się do ludu, czemuś nie uświadamiając sobie, że lud nie czyta i nie pisze, a wywołana przez nich rewolucja najpierw uśmierci ich samych jako tych, co żyją nie z trudu rąk. Bez pługa nie ma miasta.

Tak się w przeszłości składało, iż zawsze była nadzieja na poprawę. Nawet za pańszczyzny. Teraz, w końcu dwudziestego wieku, nadziei takiej nie ma. Dlatego, widać, że zrobiło się bardzo syto, zamożnie. W ciągu jednego pokolenia. Jak cud z niebios. Dziadom na cmentarzu pomurowano wielkopańskie pomniki. Rodziców nie przygniata już gospodarska robota ponad siły. Dzieci rozjechały się po kontynentach^{XXVII/s.304}. Wnuki gniazdują w odległych krainach, w których nigdy nie zaznano kopiającej w tyłek pańszczyzny ani dającej po gębie samowoli. W krajach, gdzie ludzie zawsze jedli chleb i bułki. A jeśli nie zawsze, to od dawna.

Alikowi było dziwnie na duszy. Chętnie poszedłby śladem tych, co zaczęli żyć dla dzieci i chwalić się swoim z tej przyczyny niedostatkiem. Dzieci dziękują, choć mają rodziców za frajerów.

Dwudziesty pierwszy wiek zacznie się dla Alika Kiszkiela zniknięciem. Chata osunie się; wyrośnie koło komina brzoza; pod podwalinami wykopią nory lisy. Płot zapadnie się w czarnośliwiu, wynurzając na wierzch dębowe słupki niby pogańskich bożków. W zachlewnym zakątku zarośnie pokrzywą traktor, porudzieżą pługi, sprężynówki i brony. W przegniłych ścianach chlewa rozkrzewi się bujnie czarny bez. Na stodołisku pojawiają się – nie wiadomo skąd – dzikie jabłonie.

Dawiadziecca zważyć na źmiejaŭ; luba im hrecca ũ ciepłym piasku. Pastáŭleny ũ miasteczku dom absiadzie czużaja radzina, adkupiŭszy ũ Ściapanu taksama plac. Jon źnialubić zachodzić na tuju wulicu, zhłedzieŭszy, szto nowyja nasielniki nadzwyczaj dbajna dawiali da kanca żytła, zmurawaŭszy jaszczé j cahlanuju aharodžu.

Wyklikaje złość u Ściapanie niepaszana da baćkoŭskich pażytkau, zajádłaje wykídwańnie maładymi ũ jamy szafaŭ, stałoŭ, taburetak, kredensaŭ, pieraharodak. Fanatycznaje zmahańnie moładzi mieć hroszy na ũsieńka nawiutkaje, modnaje. Szto – mahczymaje, wyniszczajuczy datła wiosku. Wywodziaczy ź jajé aposznija kapitały. Abskubszy baćkoŭ. Biez pahibieli wioski haradzki dabrabyt dziaciej zastaŭsia b utopijaj. Cikawa, na czym budzie hruntawacca raskoszny byt unukaŭ? Biaż wioski ũžo. Urosłaj tym czasam lesam. Biaż wioski nia było b horadu. Alé toj za horad razrastájuczysia, hłynaje wiosku. U pryrodzie hatunak pajadaje hatunak. Biełaruszczyna – heta padła rasiejcam i palakam?

Na pawálenym parachnie paczynaje raści nowaja zielanina, kwołaja, alé mocnaja na życie. Ściapanu Kiszkialu inszy raz zdasca, szto paczynaje jon być takuju kałodaju; raspadájecca ũ prach dziela ũzychodu natury nastŭpnaha, choć niepadobnaha czasu. A sami ludzi źmieniacca? Daj Boh, kab parazumnieli.

2004–2006 hh.

red.: Jarasłaŭ Janovič

prawapis swobodny; tekst biaz *-ujucznych, -aczych* pawodle:

https://vk.com/wall-71024062_1530

https://www.studmed.ru/view/badzevch-z-at-sklad-belaruskaya-mova-hrestamatyya_a752b6c7792.html?page=27

Przyjdzie uważać na żmije; lubo im grzać się w ciepłym piasku. Zbudowany w miasteczku dom zasiedli cudza rodzina, odkupiwszy od Alika także plac. On zniełubi zachodzić na tamtą ulicę, ujrzawszy, jak nowi osiedleńcy nadzwyczaj dbale doprowadzili do końca sadybę, dodając jeszcze i ceglane ogrodzenie.

Złości Alika brak szacunku dla rodzinnego dobytku, zajadłe wyrzucanie przez młodych do jam szaf, stołów, taboretów, kredensów, przegródek^{XXXVIII/s.333}. Fanatyczna walka młodzieży, by mieć pieniądze na wszystko nowiutkie, modne. Na co tylko możliwe, wyniszczając do cna wieś. Wyprowadzając z niej ostatnie kapitały. Oskubawszy rodziców. Bez skonania wsi miejski dobrobyt dzieci pozostałby utopią. Ciekawe, na czym zasadzać się będzie rozkoszny byt wnuków? Już bez wsi. Porosłej tymczasem lasem. Bez wsi nie byłoby miasta. Ale to miasto rozrastając się, pochłania wieś^{XXVIII/s.307}. W przyrodzie gatunek pojada gatunek. Białoruszczyzna – padliną dla Rosjan i Polaków?

Na powalonym próchnie zazielenia się nowa roślinność, wątła, ale żywotna. Alikowi Kiszkielowi niekiedy zda się, że zaczyna on być taką kłodą; rozpada się w proch dla wzejścia natury następnego, choć niepodobnego czasu. A czy sami ludzie się zmieniają? Daj Boże, aby zmądrzeli^{XXIX/s.307}.

Krynki, 2004–2006 r.

z języka wschodniobiałostockiego
(sokolskiego) przełożył Jarasłaŭ Janovič, janowicz@poczta.onet.pl

PRZYPISY

¹ Podkreślenie (np. o) lub akcent (é, á, í, ý, ú) oznaczają głoskę akcentowaną; w tekście białoruskim jeżeli sylaba akcentowana nie jest drugą od końca, samogłoski akcentowane oznaczone są podkreśleniem albo jako é, á, ý, ú, í; *o* zawsze jest akcentowane, o ile nie zaznaczono inaczej w wymowie regionalnej; *l* jest miękkie; samogłoski podwójne w piśmie, np. *-ńni* czytamy jedynie jako przytrzymane *ń*, nie jako powtórzone; podobnie *-czcz*, *-szsz*, itp., choć może w przypadku *-cc* nieuniknione jest przejściowe krótkie *s* na końcu, (jak i w pojedynczym *-c*) choć świadome, zamierzone wymawianie *-cc* jako *-cs* byłoby błędne; jeśli *i* nie zmiękcza poprzedzającej spółgłoski, jak np. w *dzień*, w wymowie *dzeń*, lecz stanowi część sylaby, wtedy wymawia się jak *ji*, np. *ich* = *jich*, *swaim* = *swajim* (o czym w tekście czasem tylko przypominam); nieakcentowane *i* przed spółgłoską redukuje się do *j*, np. *biely j czorny*, co nie zawsze jest tu uwidocznione w piśmie; podobnie akcentowana końcówka *-och* zamiast *-ach* w dopełniaczu rzeczowników rodz. m. l. mn. jest tu tylko opcją, nie regułą; w nawet po spółgłosce bezdźwięcznej nie powinno zmieniać się w *f* (np. *chwalić*, nie *chfalić*; *kwatera*, nie *kfatera*); dwa akcenty w słowie oznaczają możliwość wyboru. *Nie* przed akcentem zamienia się w *nia* (akanie) lub *ni*, np. *nie robi* – *ni(a) robić*.

Akcenty zaznaczono, gdyż akcentowanie bywa skomplikowane, np. *szlachu* (czego: drogi), ale *na szlachu*; *ruki* (ręce), *struny*, ale *2-3-4 rukil*, *struny*; [l.mn.:] *doczki*, *zajcy*, ale *2-3-4 daczki*, *zajcy*; gałąź: *halina*, ale przenośnie (np. jako dziedzina wiedzy) *halina*; *bujny* (niepowstrzymany, mocny), ale *bujny* (wielkich rozmiarów lub wielki co do rodzaju, np. gruby zwierz); dziadźki (wujkowie), ale dziadźki (nieznajomi dorośli mężczyźni). Zwłaszcza dla osoby słabo znającej język, np. po „przerwie pokoleniowej”, tekst bez zaznaczonych akcentów byłby niemożliwy do poprawnego wymówienia, skoro i w samym (choć opublikowanym) rękopisie było co poprawiać – taki jest skutek braku tego języka w szkołach, bytuje on nieoficjalnie, *cicho*, „w podziemiu”, gdy tylko instytucje (jakaś forma cząstkowej „nobilitacji”, w tym nazwy dwujęzyczne) mogą zapewnić jego przetrwanie.

² czerń – pospólstwo, tłuszcz

³ fest – dawniej uroczystość, święto, festyn

⁴ wschbiał. Wauczyca - Wilczyca

⁵ ordynans – (inaczej: chołuj, *błrs.* chałuj); ordynansami (np. w armii austrowęgierskiej) zostawali przeważnie poborowi z mniejszości narodowych, co wzmocniało stosowany wobec nich mechanizm przemocy symbolicznej

⁶ jeziorisko – określenie użyte na pamiątkę prawidłowej i legalnej nazwy miejscowości *Jeziorisko* (obecnie – od około 1967 r. – *Jezierzysk*) [figuruje w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediami” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*] Por.: *Jamisko. Przejściowo przyjęła się sztuczna forma nazwy miejscowości Jamińsk* [w: Google: *Studia śląskie* - Tomy 36-37 – str. 31, 1979]; *jamisko*, a, n. (Pejor. v. *jama*) огромная [вельзная-виглзная] или отвратительная яма [w Google: Словарь ниже-лужицкого языка – str. 530, 2013]

⁷ jaicki – inaczej uralski

⁸ bohater – (wschbiał. bahatýr) bogacz, gospodarz posiadający szmat ziemi, zwykle „bohatersko” broniący swego majątku w przeciwieństwie do „gołych” biedaków

⁹ Długi Łuh – nazwa terenowa zachowana w tłumaczeniu na pamiątkę miejscowości o tej nazwie, zmienionej nielegalnie w roku 1967 przez administrację rządową na Długi Ług.

¹⁰ czaban, z tureckiego *çoban* – pasterz owiec lub wołów; Kiszkiel z litewskiego *Kiškēlis* - zajęczek, *Kiškis* – zajac

¹¹ samorobny – domowej roboty, samodzielowy, samodziany

¹² czaŭpćisia – tutaj, pa krynsku: rabricca; Szto tut czaŭpiecca? = Szto tut robicca?, Szto (czaho) natwaryłasia?; naczaŭpći czaho – narabić (biady); czaŭpći szto – tutaj: harezić, harezawać, dureć, rabić jakuju durnotu; par. : блр. дыял. палеск. чаўна ‘дурань’ ; сцаўпці (аб каравай хлеба) ‘зрабіць, сфармаваць’, укр. човпті ‘біць, калаціць’, ‘гаварыць, паўтараць адно і тое ж’, ‘павольна ісьці.

[<https://elib.bsu.by/bitstream/123456789/278356/1/%D0%92%D0%B5%D1%81%D1%82%D0%BD%D0%B8%D0%BA%20%D1%81%D0%B5%D1%80%D0%B8%D1%8F%20%202-91.pdf>]

¹³ żerebiec – od wschbiał. żarabiéc - ogier

¹⁴ wienc – w polskiej gwarze na pograniczu: więcej; jednosylabowość słowa naśladuje wschbiał. *bolsz*

¹⁵ ubaczyć – wschbiał. zobaczyć

¹⁶ hołoble – podwójny dyszel wozu

¹⁷ kaban – (wschbiał. kabán) pot. na Białostocczyźnie: wieprz

¹⁸ W niniejszym tekście używam takich form liczby mnogiej pod wpływem podręcznika do nauki harmonii z lat 1980. autorstwa Kazimierza Sikorskiego. (Nie używam też dziwacznym germanizmo-rusycyzmów w rodzaju *ma(r)szerować, komenderować, dezeterować*, czy form niepoprawnych w rodzaju *pułapka*).

¹⁹ mierzawczyk – (czyt.: mier-zawczyk) łotrzyk, istota obmierzła

²⁰ Pogawędka z woźnym – autentyczna.

²¹ starszyná – oficer w dawnych wojskach kozackich; odpowiadał podpułkownikowi w pozostałych formacjach armii carskiej (w ZSRR od 1935 r. tak tytułowano starszych sierżantów)

²² Taryba – Litewska Rada Państwowa, która istniała od 18.09.1917 r. do maja 1920 r.

²³ *kacap* – według słownika jęz. pol. oraz w powieści: pogardliwie: *chłop wielkoruski, Rosjanin*. Nazywanie tak czasem również mieszkańców Podlasia jest elementem plebejskiej „polityki historycznej”, zgodnie z którą Białorusinów „wymyślił i przywiózł tutaj car”. Na tej samej zasadzie zamiast rozróżniać *ruski, rusiński* (białoruski, ukraiński) i *rosyjski; Rusini* (Białorusini i Ukraińcy) oraz *Rosjanie* (niegdyś Moskale), potocznie i nieprawidłowo określa się przymiotnikiem *ruski* zarówno Rosjan, jak i Białorusinów oraz Ukraińców, co ma m.in. wyraz w częstym nadawaniu jednemu z obrazów Matejki „plebejsko-patriotycznego” tytułu *Hold ruski* (nawet na wydanej w 2019 roku monecie kolekcjonerskiej NBP, mimo że po instytucji tej rangi – wszakże zatrudniającej wybitną rusycystkę – można oczekiwać większej fachowości). Ma to źródła w wielowiekowej, sięgającej czasów Batorego, katolicyzacji polskiej (niegdyś *koronnej*) polityki, dla której domniemanym wrogiem było prawosławie, zatem faktycznie tak Moskale, jak i Rusini (bo liczyło się wyznanie, nie narodowość). (Moskali traktowało się, np. w czasach Batorego, wojskiem na polu bitwy-chwały, ale bywało, że i Rusinów traktowano tymże wojskiem, np. w czasach Jozafata Kuncewicza użytym jako policja, ówczesne ZOMO. Zatem i Rosjan i Rusinów traktowano trochę podobnie – by o powstaniu Chmielnickiego nie wspomnieć – i stąd może to „poszerzenie” znaczenia przymiotnika *ruski* na *Moskali* – jak widać niekoniecznie tylko w potocznym użytku). To jeszcze jedno potwierdzenie tego, że nie narody (np. Słowianie) mają historię, tylko kultury, cywilizacje (np. łacińska i grecka), co język – potoczny, ale także „elit” – jedynie odwzorowuje.

²⁴ ros. komandarm – dowódca armii

²⁵ „Na nas już pora!”

²⁶ *Polszcz* – tak w Krynkach potocznie nazywano Polskę.

²⁷ Autor jest tu bliższy prawosławnej myśli św. Bazylego z Cezarei, który określił pieniądze mianem „łajna szatana”, podczas gdy św. Augustyn, podobnie jak inni zachodni ojcowie Kościoła, stwierdza: „Złoto jest pożyteczne; nie dlatego że czyni człowieka dobrym, ale dlatego że umożliwia [?] czynienie dobra”. [<https://dziennikpolski24.pl/znak-wyzwolenia-i-postepu/ar/3939363>]

²⁸ polewik – (polewoj) słowiański demon polny, mieszkający w zbożu, z kłosami zamiast włosów

²⁹ regent – tu: dyrygent chóru cerkiewnego

³⁰ lejbgwardia – straż przyboczna

³¹ ług – łęg, podmokła łąka

³² Srul – niedbały skrót imienia Izrael (*Israel*)

[<https://ru.wikipedia.org/w/index.php?title...>]

³³ wałún – wielki kamień polny

³⁴ Z rosyjskiego, ale z wymową białoruską: „Rosyjski żołdat w Paryżu francuskie kobiety chwali i rucha”. [Tutaj rosyjskie słowo *ženą* należy rozumieć raczej archaicznie, jako *kobieta*, nie żona, co np. w języku serbochorwackim jako *žena* zachowało się do dziś, a w jęz. polskim w przymiotniku *żeński*.]

³⁵ ciwún – ekonom, zarządca w Wielkim Księstwie Litewskim

³⁶ Chanajki – dawna żydowska dzielnica biedoty w Białymstoku

³⁷ raszpla – gruby pilnik

³⁸ Starynka – obecnie oficjalnie – choć według opinii Komisji Nazw Miejscowości z 2009 r. nieprawidłowo – *Starzynka*) [figuruje w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediami” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*]

³⁹ lubo – tutaj: chociaż

⁴⁰ nazwę *Hrybowszczyzna* (biał. *Hrybouszczyzna*) odnotowuje również mapa geodezyjna w skali 1:50000 z 1978 r. (na okładce); obecnie oficjalnie *Grzybowszczyzna*; „eksploatacja” tematu Wierszalina w Polsce jest (bo „zarobić” zawsze warto), ale „chamsko-bizantyjska” nazwa *Hrybowszczyzna* nadal niemożliwa, jako mentalnie wyzwalająca podporządkowanych (spod władzy „panów” – obecnie „demokratycznej większości”).

⁴¹ kazarma – koszary

⁴² patrontasz – z niem. Patronentasche, skórzana torba na ładunki do broni palnej, używana przez piechotę polską w XVIII wieku

⁴³ sianożęć – łąka przeznaczona do zbioru traw na siano

⁴⁴ licharadka – ros. gorączka

⁴⁵ hurnuć – krynkaje: naciśliwa kīnucca tłumam (par.: hurnuti – Serbo-Croatian to push, be pushy, as in a crowd)

⁴⁶ obiednia – (z wschbiał. abiednia) msza, liturgia

⁴⁷ bācieczka – biał. ksiądz prawosławny; stąd nazwa dzielnicy Białegostoku: Bacieczki.

⁴⁸ szteperski – cholewkarski, z niem. *steppen* – stebnować

⁴⁹ wierciacha – makaciór, makītra (gliniana misa do ucierania maku); par. pol.

wiercioch – drewniany wałek do ucierania maku

⁵⁰ taukanica – (od biał. taŭczy – tłuc) gotowane obrane ziemniaki, utłuczone na purée

⁵¹ barabola – tu: ziemniak

⁵² salniczki – od wschbiał. *salo* (sądło); podobne larwy przykłada się obecnie w niektórych szpitalach, by oczyszczały z ropy trudno gojące się rany

-
- ⁵³ załużny – za ługiem (łęgciem)
- ⁵⁴ kuszcz – w dawnej polszczyźnie krzak (por. wschbiał. kust)
- ⁵⁵ wschbiał. zapaūcić – raptam wielmi zachacieć czaho (ażno ũspacieūszy?),
haraczycca
- ⁵⁶ Kaszczca Horka jako Kaszczca Harą (na mapie geodezyjnej jako *Kaszczca Chara*) jest wspomniana tutaj w komentarzu xxxvi na str. 319
- ⁵⁷ ozieraniec – mieszkaniec miejscowości Ozierany (wschbiał. Aziarianie, dop. Aziaran)
- ⁵⁸ nagar – osad na ściankach komory spalania, na świecach, zaworach itp. tworzący się z niecałkowicie spalonych cząstek paliwa i oleju smarowego
- ⁵⁹ Sokołka – od: Sokołdka
- ⁶⁰ zbywać się – przestać istnieć
- ⁶¹ wschbiał. spodnik – rzecz, którą zakłada się pod coś
- ⁶² Tutaj mamy podobieństwo do poematu Jakuba Kołosa *Nowa ziemia*.
- ⁶³ Filipówka – wschbiał. Pilipaūka, Post Filipowy; post przed świętami Bożego Narodzenia; trwa od 27 listopada (dnia św. Filipa Apostoła) do 6 stycznia według kalendarza gregoriańskiego
- ⁶⁴ żenich – (wschbiał. żanich) nowożeniec
- ⁶⁵ od *zajzdrować* (wschbiał. *zajzdrować*) – zazdrościć
- ⁶⁶ przyświątek – lokalne, parafialne święto lub dzień przedświąteczny
- ⁶⁷ chutor – wschbiał. chutar, gospodarstwo wiejskie położone z dala od innych
- ⁶⁸ [komuś] *będzie mogiła* – to prawdopodobnie Mickiewiczowski białorutenizm; inaczej: „Warszawę czeka mogiła, koniec”
- ⁶⁹ wschbiał. atawa – trawa wyrosła w miejsce skoszonej w tym samym roku, *potrawa*
- ⁷⁰ pszekać – żartobliwie: mówić po polsku
- ⁷¹ Maślenica – prawosławne zapusty
- ⁷² wschbiał. babnik, nababnik – babiarz
- ⁷³ Imię Jerzy (biał. Jurka), zwłaszcza na południowej Białostocczyźnie, przybrało zdrobniałą formę Żorzyk, z francuskiego George (wym. Żorż); być może od czasów napoleońskich lub pod wpływem obecnych tutaj francuskich budowniczych kolei w XIX w.
- ⁷⁴ podobiadek – drugie śniadanie
- ⁷⁵ żelaźniak – wóz z żelaznymi osiami i żelaznymi obręczami na drewnianych kołach
- ⁷⁶ karple – owalne obręcze, wyplatane wewnątrz łykiem, sznurkiem lub rzemieniem, przymocowywane dawniej do butów, ułatwiające poruszanie się po śniegu i bagnach; rakiety śnieżne
- ⁷⁷ *Rosz Ha-Szana – Dzień Przypomnienia (hebr.). To pierwszy dzień żydowskiego roku, przypadał na przelom września i października. Od tego dnia zaczynała się cywilna rachuba czasu (rok biblijny zaczynał się 21 marca). Rosz Ha-Szana rozpoczynał 10-dniowy okres pokuty, który kończył się Jom Kippur, czyli Dniem Pojednania. Święto było upamiętnieniem stworzenia świata, a zarazem przypominało o sądzie Bożym. Nowy Rok żydowski różnił się od Nowego Roku chrześcijan nie tylko datą, ale przede wszystkim tym, że był to dzień zadumy i skupienia, które miały rozbudzić w człowieku wierzącym świadomość jego grzeszności.* [<https://teatrn.pl/leksykon/artykuly/rosz-ha-szana-obrzed-y-i-obyczaje-na-lubelszczyzynie/>]
- ⁷⁸ *Palili, rabowali, gwałcili i mordowali. Doborowi polscy komandosi siali postrach w Rosji od kaspjskich stepów po wybrzeża Morza Białego. – Polskie pany żyły w mieście trzy dni, wszystkie cerkwie i dwory zostały przez tych łotrów spalone doszczętnie”* – w ten sposób kronikarz Sołwyczegodzka [miasta w

północnej Rosji] *wspominał pierwsze zetknięcie miasta z cywilizacją Zachodu. Od czasu najazdów tatarskich nie widywano tu obcych. Kupcy w spokoju handlowali sobolimi futrami, a mnisi modlili się w monastyrach. Prowincjonalny spokój przysł, gdy na rogatkach miasta stanęła Europa w sile 3 tys. konnych: Polaków, Kozaków, niemieckich najemników i ruskich renegatów.* [Jakub Mielnik, 15.04.2015, <https://www.wprost.pl/502722/rosja-pamieta-ich-do-dzis-lisowczycy-rabowali-gwalcili-i-mordow.html>] [o lisowczykach także tutaj, w ostatnim akapicie str. 296]

⁷⁹ domatkany (wschbiał. damatkany) – uszyty z materiału tkanego w domu (czyli: doma), samodzielowy

⁸⁰ bohatyrowicz – syn bohatera

⁸¹ fanaberzyć – wybrzydzać, grymasić, kaprysić

⁸² cybaty – długonogi

⁸³ kropiwa – (wschbiał. krapiwą) pokrzywa

⁸⁴ przyjmak – ze wschbiał. prymák, od: prymać – przyjmować, zięć, który po ślubie mieszka w domu rodziców panny młodej

⁸⁵ Kontekst: *Białoruś, Białoruś. Dlaczego nazywasz się Białoruś, jeśli nie masz w sobie bieli, jeśli bielą twoją są rude rżyska jesienne, jeśli bielą twoją są postawy szarego płótna wyłożone na słońcu, jeśli bielą twoją jest gorący pot umęczonych ludzi. Powinnaś się nazywać Dobroruś, powinnaś się nazywać Dobrą Ziemią Dobrych Ludzi. (...) Nie wryłaś się w ludzką pamięć, Białorusi. Nie odbierałaś innym wolności, nie rabowałaś cudzej ziemi, nie mordowałaś ludzi z sąsiedzkiej między. Miałaś dla obcych szacunek i gościnny kołacz, miałaś dla rabusiów ostatnią krowę i ostatnią kromkę żytniego chleba ze znakiem krzyża, miałaś dla nieszczęśliwych krwawiące serce i biedne niepieszczone życie do oddania. Dlatego mało kto Ciebie pamięta.* [Tadeusz Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, 1976 r., str.20]

⁸⁶ pylnuć – wyciąć, udaryć [<https://uploads.philology.by/contents/uvodziny-1960.pdf>]

⁸⁷ wschbiał. świtka – sukmana, siermięga

⁸⁸ duga – (wschbiał. duhá) drewniany kabłak rozpierający hołoble nad chomątem

⁸⁹ W jęz. polskim *wyżka* to piętrowa nadbudowa chałupy w wieńcowej konstrukcji (w jęz. białor. w l.mn. *wyszki*); powierzchnia z żerdzi i desek pod strzechą w chlewie lub wysoko w stodole, przeznaczona na siano, itp., lub do przechowywania narzędzi (analogiczna do strychu w chałupie, lecz o mniej szczelnej konstrukcji i wymagająca wchodzenia po drabinie od wewnątrz lub z zewnątrz przez drzwiczki w szczycie)

⁹⁰ zejście z wyżki jako szerzej (symbolicznie, aż do Domu) pojęta czynność; opucha – obszywka futrzana

⁹¹ koszel – duży kosz

⁹² KPZB-owcy – członkowie Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi

⁹³ „Nieładnie tak mówić, towarzyszu!”

⁹⁴ zabiegałka, zabiegałówka (zabiahá[j]łaũka) – prymitywna mała knajpa-bufet-sklepik, dla zwiększenia przepustowości bez stołków lub krzeseł, stąd nazwa

⁹⁵ W wolnym przekładzie z biał.: *Obuci w gumę chodzimy, Stalina-Gruzina chwalimy.*

⁹⁶ szarwark – przymusowe świadczenie nakładane na ludność wiejską w postaci robót publicznych, głównie na rzecz budowy i utrzymania dróg i mostów. *Prócz robocizny, stróży, szarwarków, daniny, przędzenia, jaj i kur [i innej darmochoy], jeszcze wieśniak obowiązany jest tyle a tyle gorzałki koniecznie wypić,*

a jeżeli nie wypije, wszelako musi ją zapłacić. Przeto zawsze w nędzy żyje, zdarty od pana, ekonoma, żołnierza, Żyda i księdza, prócz tego do publicznych należąc jeszcze podatków. [...] Wolno go sprzedać, zamieniać, darować i zabić. Tego ostatniego zabroniło dopiero Stanisława Augusta prawo [tylko projekt kodeksu]. [St. Koźmian, *Przegląd Polski*, 1880 r., str. 186] *Szarwark zniesiono w 1958 r.* [Wikipedia]

⁹⁷ ścianówka (wschbiał. ścianoŭka) – podlaski piec pokojowy ustawiony w otworze w ścianie i dzięki temu ogrzewający 2 lub 3 pomieszczenia

⁹⁸ To potwierdza, że jakoby „internacjonalistyczny” komunizm był w istocie kontynuacją rosyjskiego imperializmu. Analogicznie po zdobyciu Krymu w XVIII w. Rosjanie – sami będąc chrześcijanami – wysiedlili stamtąd *całą ludność chrześcijańską* (stanowiącą wówczas zaledwie niecały 1% ludności półwyspu) [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=P%C3%B3%C5%82wysep_Krymski&oldid=67167505], pewnie jako konkurentów do „naczelnicznych posad nowo nastającej władzy” – mużulmanie takimi nie byli.

⁹⁹ wastocznik – (z ros. wastok – wschód) tutaj: człowiek z terenów na wschód od granicy II RP, „wschodniak”

¹⁰⁰ łęzek – mały łęg (ług), mała podmokła łąka

¹⁰¹ „Słuchaj, gospodarzu, rzuć to wszystko, bo inaczej przepadniesz!”

¹⁰² barysznia – ros. panna, panienska

¹⁰³ Gorzej miały „bękarty znalezione”, anonimowe: *Znalezione chowane były najczęściej na służących, prawie niewolników całkowicie zdanych na łaskę dobroczyńców.* [Dorota Żołądz-Strzelczyk, *Dziecko w dawnej Polsce*, 2002, str. 270]

¹⁰⁴ Owe starania sowieckiej władzy, *by nie została tu pamięć o chlebie i słońcie*, podejmowane były także w inny sposób. W miarę przesuwania się frontu na zachód na odzyskiwanych terenach *niezwłocznie mobilizowano do wojska miejscowych mężczyzn* i – często bez odpowiedniego uzbrojenia, z *jednym karabinem na pięciu, z gołymi rękami albo saperkami i kijami* wysyłano ich do natarcia, strzelając do tych, którzy zawracali. Broń mieli – ewentualnie! – *zdobyć na Niemcach*, którzy nazywali ich *czarnymi wronami*, gdyż ci „żołnierze” często do „walki” *szli po cywilnemu* (dla takich stracenców szkoda było munduru?) – tak to relacjonuje rosyjski historyk Borys Sokołow w telewizyjnym reportażu Barbary Włodarczyk z 2015 r. pt. *Święta wojna Rosji*. Nic dziwnego że ów historyk szacuje proporcję strat osobowych na froncie na 1:10 na korzyść Niemców. W istocie była to likwidacja „podejrzanego elementu” niemieckimi rękami, gdyż w mniemaniu komunistów obywatel, który przebywał poza systemem sowieckim parę lat, „nie wiadomo jakimi ideami, przekonaniem mógł nasiąknąć”. (Podejrzliwość, sekurytyzacja, to – niestety – w jakimś stopniu cecha każdej władzy, ale sowieci doszli w tym do skrajności). Na początku reportażu pada stwierdzenie innego Rosjanina, że wygrali oni II wojnę światową, *bo mniej niż Europejczycy boją się śmierci*. Jak widać także cudzej.

¹⁰⁵ rajcentrum – skrót od *rajon* i *centr* (centrum), białor. rajcént(a)r; stolica rejonu; rejon w Białorusi odpowiada obszarowo polskiemu powiatowi

¹⁰⁶ W wolnym przekładzie: *Za cara bułki jadano, herbatą popijano. Jak przyszli Polacy, chleb jedli trojaki: biały, czarny, i nijaki. Nastali sowieci – dupa przez*

gacie świeci. [lub: *Sowiecki nastał ład – dupa ogląda świat.*] Inna miejscowa wersja: *Za carom pili czaj ź pirahom! Jak pryjszli palaki, chleb jeli trajaki: czorny, bieły, i nijaki. A kali pryjszoŭ sawiet – ahleđziela sraka świet...*

¹⁰⁷ – U nas, towarzysze, będzie robota, wystarczy wszystkim, od rana do wieczora.

¹⁰⁸ *Centra* – marka baterii

¹⁰⁹ Besarabia – obecnie Mołdawia (z Naddniestrzem) oraz część Ukrainy; zajęta w lipcu 1940 r. bez walki przez ZSRR po wystosowaniu ultimatum wobec Rumunii.

¹¹⁰ statek – zwierzęta domowe, bydło

¹¹¹ por.: *Papież* [Franciszek] *piętnował globalizację, ganił elity i wychwalał ludowe masy, nazywając chrześcijaństwo „wiarą rewolucyjną”, a pieniądze „łajnem szatana”.* [...] *Świat obiegło także zdjęcie, na którym promieniejący [boliwijski dyktator] Morales [z niemal Chrystusowym wizerunkiem Che Guevary w klapie rewolucyjnej kurtki] wręcza papieżowi figurę Jezusa ukrzyżowanego na sierp i młocie.* [Jan Maria Rokita, *Znak wyzwolenia i postępu*, 17 lipca 2015 <https://dziennikpolski24.pl/znak-wyzwolenia-i-postepu/ar/3939363>]

¹¹² bumaga – ros. papier

¹¹³ *Związek Wojujących Bezbożników* – organizacja propagująca ateizm, powstała w ZSRR w 1925 r. jako *Liga Bezbożników*. Przyjęta w ZSRR w 1929r. *ustawa antyreligijna ułatwiała zwalczanie religii w czasach kolektywizacji – bolszewicy uważali, iż zwalczanie wpływów Cerkwi na wsi ułatwi walkę z chłopami. Organizacja zajmowała się w latach 30. i 40. organizowaniem muzeów ateizmu (m.in. w likwidowanych masowo kościołach różnych wyznań religijnych), ekspozycji antyreligijnych w domach kultury oraz szkoleń i kursów z zakresu ateizacji. W 1941 w ZWB było 3,5 mln członków, pozyskanych w większości metodami przymusu administracyjnego. Organizacja nieoficjalnie została rozwiązana w 1941, po napaści Niemiec na ZSRR – ówczesne działania WKP(b) zmierzały do wyciszenia ateistycznej propagandy i wykorzystania religii prawosławnej jako czynnika jednoczącego społeczeństwo radzieckie w obliczu agresji. Równoległe propagowano kremację zwłok (potępianą przez Cerkiew jako działanie przeciw zmartwychwstaniu). W PRL odpowiednikiem ZWB było „Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej” powstałe w 1969 r. z połączenia „Towarzystwa Szkoły Świeckiej” i „Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli”.* [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Związek_Wojujących_Bezbożników&oldid=61766461] [https://ru.wikipedia.org/w/index.php?title=Союз_воинствующих_безбожников&oldid=112025069]

¹¹⁴ nagan – Nagant wz. 1895 – belgijski rewolwer kalibru 7,62 mm o dosyć dużych gabarytach, potocznie zwany *naganem* od jego rosyjskiej pisowni i wymowy fonetycznej; w 1929 tłumik do rewolweru wymyślili Rosjanie, bracia Mitin [Wikipedia]

¹¹⁵ – Towaryszu dowódco, dobrze, żeście się ożenili! Będziemy grać szlachciankę!

– No, nie wszyscy. Nie wszyscy.

¹¹⁶ ros. – To manewry.

¹¹⁷ – Zostaw konia, padnij!

¹¹⁸ okrażeniec – wschbiał. akrużeniec: jeniec pojmany w wyniku okrażenia

¹¹⁹ (czyt.: - Halt! Achtun, zoldaten! Zowjetisze frau – zyfilis! Wek! Sznela!) – Stać! Uwaga, żołnierze! Sowiecka kobieta to syfilis! Precz stąd! Szybciej!

¹²⁰ Komm – niem. chodź

¹²¹ amtskomisarz – (z niem. Amtskommissar) komisarz urzędowy, Amtskommissariat obejmował kilka dotychczasowych gmin

¹²² wschbiał. kul – wiązka słomy z paru wymłóconych snopów

¹²³ niem. – Wracaj, Żydzie!

¹²⁴ ciasto (wschbiał. ciesto) – papka, karma dla świń

¹²⁵ słoninnik (wschbiał. słanińnik) – tucznik

¹²⁶ giry – tutaj: obciążniki zawieszane na łańcuszkach w zegarze ściennym, często w kształcie szyszek świerkowych, po przesunięciu do góry swoim ciężarem wprowadzające w ruch mechanizm zegara

¹²⁷ ogólnopolski kontekst: AK-owski "Biuletyn Informacyjny" opisywał sytuację w Otwocku, Rembertowie i Miedzeszynie w lecie 1942 roku: "W pamiętnym dniu likwidacji getta w Otwocku w parę godzin po tym barbarzyńskim fakcie, [ludność] w nocy zaraz zjechała furmankami i rozpoczęła grabież pozostałego mienia żydowskiego. Wywożono wszystko, co pod rękę popadło, wylamywano drzwi i okna, półki, deski z podłóg, nie mówiąc o meblach, ubraniach i bieliźnie, które pierwsze padły ofiarą rabunku." [1.06.2017 r., <https://geekweek.interia.pl/historia/news-niemcy-mordowali-zydow-a-polacy-rabowali-wszystko-co-po-nich,nld,2400446>] Każde dobro musi być albo wspólne (jeżeli istnieje własne państwo), albo czyjeś; rzecz niczyja to stan nietrwały. Mewa opiekuje się troskliwie pisklęciem, ale martwe zjada, gdyż śmierć pisklęcia zmienia całkowicie jego „status”, definicję.

¹²⁸ brukowanka – tu: brukowana droga

¹²⁹ niem.: „Precz, idioci!”

¹³⁰ kozia nóżka – papieros własnej roboty, skręt

¹³¹ Jednak aresztowani przez NKWD nie byli automatycznie winni – przynajmniej w teorii, jeśli zaś przeżyli („śledztwo” i ewentualną karę), mogli być „resocjalizowani”. Ponadto NKWD obowiązywały normy ilościowe, plan do wykonania, potrzebni byli niewolnicy do pracy na Syberii: *Ilu trzeba było wykryć polskich szpiegów, tylu ich wykrywano.* [Siarhiej Dubawiec, 11.08.2017; <https://naviny.belsat.eu/pl/news/lepiej-zabic-za-duzo-niz-za-malo-80-lat-temu-ruszyła-operacja-polska-nkwd-wywiad/>] Wszystko to wymagało prowadzenia „księgowości”, akt osobowych.

¹³² sznaps – pot. wódka, porcja wódki

¹³³ Hilfspolizei – policja pomocnicza

¹³⁴ kulsza – kość biodrowa

¹³⁵ szmajser – pistolet maszynowy niemieckiej konstrukcji

¹³⁶ chachłacki – potocznie: ukraiński

¹³⁷ Przykład: brak masek przeciwgazowych i mimo to „atak umarłych” w twierdzy Osowiec [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Twierdza_Osowiec&oldid=67551376]

¹³⁸ wschbiał. *spapaści* – *uspaści na kaho*, par. Serbo-Croatian *spopasti* – to seize, overcome

¹³⁹ smurhiel – od: smurgis – por. lit. ap. smùrgis, smurgas, smurgè 'smark; sopel lodu; (wulg.) pysk, ryj, morda; (wulg. o człowieku, zwł. dziecku) **smarkacz**, smark, zasmarkaniec'. [Justyna B. Walkowiak, *Litewskie nazwiska Polaków, Słownik etymologiczno-frekwencyjny*, Poznań 2019]

¹⁴⁰ Prafitka – nazwa pochodzi od niem. *Profitchen*, wkleśły kołnierzyk, okapnik do świecy, służący do zbierania wosku skapującego z niej; w czerwcu 1941, wskutek upadku niemieckiej bomby, powstał tam lej o średnicy ok. 8 m, głębokości ok. 3 m; potem Niemcy rozstrzelali tam mieszkańców Krynek [https://shtetlroutes.eu/uk/krynki-karta-dziedzictwa-kulturowego/]

¹⁴¹ Wierchlas – (wschbiał. Wiarchlės); prawidłowa nazwa miejscowości według Komisji Nazw Miejscowości; obecnie Wierzchlesie [w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediach” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*]

¹⁴² ros. „w imię Ojczyzny”; à propos „importu” rosyjskiej partyzantki: *Na teren Białostoczczyzny w końcu 1943 r. i na początku 1944 r. przeniosły się liczne oddziały radzieckie, uprzednio operujące na zachodniej Białorusi, m.in. brygada „Wo imia Rodiny” (W imię Ojczyzny).* [Stanisław Okęcki, *Cudzoziemcy w polskim ruchu oporu: 1939-1945*, str. 176]

¹⁴³ stojło – obozowisko

¹⁴⁴ *Choinę wyrąbą w lesie, choinę do szkoły przyniosę.*

¹⁴⁵ suchoręki (z uschniętą ręką) – Stalin miał jedną rękę częściowo bezwładną; czasem, by to ukryć, trzymał w niej gazetę

¹⁴⁶ chachłaczkowie – potocznie i żartobliwie: Ukraińcy

¹⁴⁷ siemianowski – przym. od nazwy miejscowości Siemianówka

¹⁴⁸ łamaną niemczyzną: „Jeden kilogram cukru dla dzieci dla każdej kobiety”.

¹⁴⁹ może tu chodzić o ludzi związanych z działającą w II RP prohitlerowską partią *Jungdeutsche Partei in Polen* [Richard Blanke, *Orphans of Versailles: The Germans in Western Poland, 1918-1939*, str.170]

¹⁵⁰ niem. „Niegłupiś, chłopie!”

¹⁵¹ okołot – (wschbiał. akałot) tu: wymłócony snop

¹⁵² Zdarzeniom takim sprzyjał ogólny nastrój, opisywany następująco:

Do partii przyjmowano tylko tych żołnierzy, którzy wyróżnili się w bitwie.[...] Jedynym przywilejem tych, którzy naprawdę zasłużyli, by ich nazywać komunistami, było podrywanie się jako pierwszy do ataku i ruszanie w nieprzyjacielski ogień. [Aleksandr Vasil'evič Pyl'cyn, *Byłem dowódcą oficerskiej kompanii karnej Armii Czerwonej*, 2009] Opisuje takie sytuacje również Pimięn Panczanka: *Ze złością powiedział: „Wstawaj, piechoto! My nie na plaży, a na wojnie!”/I leż na żmijowe zwoje drutu./I dwieście żołnierskich zakurzonych butów/Przeszło po jego plecach.* Widzimy, jak bardzo owi żołnierze pragnęli ten sposób zostać „lepszymi ludźmi”, jednak nie poprzez – niemożliwy w tamtym systemie – akces do „pańskości” ani przez „bohaterstwo codziennej pracy” (od której w końcu wszystko boli, a jej wynik zależy również od „kolektywu”). I być może dlatego rewolucje upadają „z wyczerpania”, jak zatrzymany rower; w dłuższym terminie wygrywa kapitalistyczny „spokojny, efektywny, niegierojski profesjonalizm”, oszczędzający też własne zasoby ludnościowe, nie popierający rzezi własnych obywateli czy ich eksterminacji w obozach. Dziś we Francji na ogół ludzie mają żyłaki i są niscy – najzdrowszych, najroślejszych wyeliminował z puli genowej Napoleon, prowadząc wojny (w sumie nie zwycięskie).

¹⁵³ Od 4 marca 1940 r. w ten sposób nazywano obywateli innych państw, którzy zostali wpisani na niemiecką listę narodowościową.

¹⁵⁴ Współczesny kontekst: *W owych dniach bowiem, w Szarm el-Szejk, imię naszego polskiego Boga było wzywane co chwilę nadaremno, głównie z powodu „klątwy faraona” - przypadku, na którą zapadają w egipskich kurortach wiecznie głodni Polacy, [...][co] cierpiąc na potężne rozwolnienia z przejedzenia serwowaną*

w hotelach żywnością bez limitu ilościowego, nie potrafią sobie dalszej konsumpcji odmówić. Prosto z toalet, którym powierzają dojrzałe melony, kebabomięso, hummusy i oberżyny, biegną slalomem do swojego stolika, żeby pochłonąć całą resztę, jakby ich brzuchy miały za zadanie zassać z owych suto zastawionych stołów każdy kęs, jakby jutra miało nie być. [Agnieszka Szpila, *Bardo*, 2018, <https://books.google.pl/...>] Komunizm zawsze szkodzi; również taki wakacyjny system, w którym - poza zdrowiem – umiarkowanie nie daje żadnej korzyści, a powinno. Przy okazji: to niemal oczywiste, że *Bóg* jest *polski*, jest naszym królem, oczywiste też, kto jest królową Polski. To do tego stopnia „domyślne”, że przejawia się mimoходом w tekstach na zupełnie inny temat; takie przekonanie to nie tylko *folklor* (by użyć określenia Sokrata), bywało ono także uzasadnieniem różnych działań (pod hasłem *Bóg z nami*, ale z kim on nie bywał? – nawet sowiecka pieśń Aleksandrowa ma tytuł *Święta wojna*; dla wielu *Bóg* to jakby „kolega *Bóg*”). Można też zauważyć, że wobec powyższego cytatu, pełnego barokowej przesady, styl Sokrata, *możliwie przedtem* uważany za podobnie przerysowany, jawi się jako klasycznie powściągliwy, oszczędny, konkretny.

¹⁵⁵ czerń węglowa – węgiel drzewny

¹⁵⁶ „Nam nawet kobiety nie odmawiają rozkoszy za wyzwolenie od faszystów!”

¹⁵⁷ bahonnik – (*bahonnik*) „*bagiennik*”, *bagienko*; stąd miejscowość *Bahonniki*, oficjalnie Bohoniki. (Etymologicznego *a* nie ma w obecnej nazwie oficjalnej, gdyż zapisujący nazwę nie rozumieli jej znaczenia, biorąc *a* w miejscowej wymowie za *a* „akające” (tj. powstałe z nieakcentowanego *o*). Obok miejscowości jest na mapie zaznaczony na niebiesko krąg, zapewne dawne jezioro).

¹⁵⁸ Aczkolwiek formalnie mieli na to tylko 19 dni, gdyż 19.01.1945 r. AK rozwiązała się. Tutaj daje o sobie znać „płynność osobowa i znaczeniowa” pomiędzy AK, WiN i NSZ.

¹⁵⁹ dniówka – jednodniowy wypoczynek, postój w trakcie nocnego pochodu (ale biały).

dniówka to odpoczynek tylko za dnia)

¹⁶⁰ gallifet – (wym.: galifet) pękate spodnie (bryczesy), zwane tak od nazwiska generała de Gallifet

¹⁶¹ ros.: „Głupstwa, gospodarzu!”

¹⁶² *Niezadowolone potęgowało obsadzenie administracji, kolei, urzędów pocztowych i służb porządkowych niemal w całości przez Polaków. Często byli to ludzie z innych dzielnic Polski.[...] Ogólnie wśród władz administracyjnych panowało przekonanie, że Polska racja stanu w województwach wschodnich bazuje na miastach, dworach i kościołach [...]: „Bez Lwowa i Wilna, bez polskiego ziemiaństwa, bez kościołów w województwach wschodnich bylibyśmy tylko okupantami, ponieważ wieś nie jest polska”.* [Tadeusz Kmiecik, *Traktat ryski i jego konsekwencje 1919-1923*, Studia z dziejów wojskowości, t. III, 2014, str. 246] W Rosji carskiej przeciwnie: kariery Polaków były porównawczo łatwiejsze – przykładem: Romuald Traugutt, zasłużony, szczerze i wielokrotnie nagradzany oficer carski, albo komendant twierdzy w Osowcu, generał major Mikołaj Brzozowski (jeden ze 143 *Polaków - generałów Imperium Rosyjskiego polskiego pochodzenia* według Wikipedii). (A także powieściowy *zjadły katolik, z byłych carskich oficerów, z wielce polskim imieniem i nazwiskiem, który wydawał rozkazy po rosyjsku, a kaprale tłumaczyli*).

¹⁶³ *Ostatecznie wojnę z Francuzami zakończyli Rosjanie w marcu 1814 w Paryżu. Aleksander I spędził w stolicy Francji dwa miesiące, goszcząc w pałacu księcia Talleyranda, który przy jego pomocy organizował życie polityczne Francji*

po upadku Napoleona I Bonaparte. Później udał się do Anglii, Petersburga i do Wiednia na kongres pokojowy. Jako „wyzwoliciel Europy” był jednym z głównych autorów postanowień kongresu. [Wikipedia]

¹⁶⁴ smerd, smerda – dawniej: człowiek o niskim statusie społecznym, kmieć, chłop, również młokos

¹⁶⁵ *Zamiast poprawić skuteczność na froncie fińskim, Woroszyłow wpadł na pomysł, aby każdy żołnierz na tzw. rozgrzewkę dostawał 100 gramów wódki i 50 gramów słoniny dziennie. Stalin wykreślił słoninę [...]. Zgodził się z dowódcami, że pijany żołnierz nie odczuje głodu i mrozu. Przede wszystkim wódka zabije w nim uczucie strachu podczas wykonywania bezmyślnych rozkazów atakowania za wszelką cenę. W ten sposób podczas czteromiesięcznej kampanii fińskiej sowiecka armia straciła co najmniej 250 tys. żołnierzy, z czego wielu padło ofiarą odmrożeń. W tym samym czasie walczące oddziały wypily 10 mln litrów wódki i 88 tys. litrów koniaku dostarczanego siłom powietrznym. Powstała wówczas nowa służba dystrybucji alkoholu, znana wśród żołnierzy pod nazwą woroszyłowskich taborów. Na front przybywały cysterny kolejowe pełne spirytusu. [...]Później bywało, że pijani żołnierze kładli się pokotem pod ogniem niemieckich karabinów maszynowych.* [https://www.rp.pl/historia/art530901-historia-frontowych-100-gramow-jak-pila-rosyjska-armia] Wszystko to działo się, jak przystało na epokę (ponadprzeciętnego, bo w sumie nic nowego) „oszołomstwa i ściemy”.

¹⁶⁶ ambrazura – strzelnica w murze

¹⁶⁷ czubaryk – pogardliwie: żołnierz bolszewicki (niegdyś w czubatej czapce)

¹⁶⁸ 21.01.1721 r. został opublikowany ukaz cara Piotra I, zatytułowany „Reglamient ili ustaw Duchownoj Kollegii”, który otwierał nowy etap historii Cerkwi rosyjskiej, w literaturze określany mianem synodalnego. Charakteryzował się on podporządkowaniem organizacji kościelnej i całego duchowieństwa najwyższej władzy sprawowanej przez świecki organ. Na wstępie ukazu zamieszczono „Manifest”, w którym czytamy: [...] patrząc na stan duchowny i dostrzegając w nim wiele zamętu i wielkie w sprawach jego niedostatki [...], ustanawiamy Duchowne Kolegium, to jest Duchowny Zbiorowy Zarząd (Sobornoje Prawitielstwo). Manifest wyrażał obawę przed powierzeniem spraw tak istotnych, jak kierowanie Cerkwią, jednej osobie (patriarsze). [Krystyna Chojnicka, Cerkiew prawosławna w reformach Piotra Wielkiego, Krakowskie Studia z Historii Państwa i Prawa, vol.3, 2010, https://www.ejournals.eu/pliki/art/1791/]

¹⁶⁹ 6.01.1943 r. w umundurowaniu Armii Czerwonej przywrócono pagony (naramienniki), zniesione przez bolszewików w 1917 r. (jako podkreślające zbyt ostentacyjnie szarzę wśród „równych sobie” żołnierzy?). [ru.wikipedia.org/wiki/Погоны] Podnosiło to trochę autorytet dowódców, jednak komisarze (oficerowie polityczni - politrucy) nadal mieli równą im władzę i zwykle nie mając wojskowego wykształcenia często po prostu przeszkadzali dowódcom normalnie zarządzać pododdziałami. [Ru.wikipedia... Комиссар...]

¹⁷⁰ pas kontrolno-śladowy, (błrs. kontrolna-ślędawaja pałasa) – pas zaoranej i bronowanej ziemi, na którym pozostawiają ślady przekraczający nielegalnie granicę

¹⁷¹ ros. „Wybieraj, gospodarzu!”

- ¹⁷² ros. „Patrz, gospodarzu!”
- ¹⁷³ zwyciężczyzna (pol. regionalizm wileński) – zdobycz wojenna
- ¹⁷⁴ podpolski – pod polskim panowaniem (przez analogię do *padniemiecki Minsk 1943* [Niwa 12.08.2007: <https://kamunikat.org/download.php?item=2474-1.pdf&pubref=2474>])
- ¹⁷⁵ kasza ziemniaczana – wyrabiana z utartych ziemniaków zmieszanych z kaszą gryczaną lub jęczmienną i pieczona w piekarniku
- ¹⁷⁶ ros. *Ale Polacy tutaj będą was uciskać.*
- ¹⁷⁷ *astrawina* – słowo zapożyczone z kaszubskiego [<https://csb.wikipedia.org/wiki/%C3%92strowina>]
- ¹⁷⁸ manić – działać przyciągająco; w łowiectwie wabić ptaki podczas polowania na nie
- ¹⁷⁹ Starosta sokólski w 1946 r. informował, że na terenie powiatu zlikwidowano trzy *bandy rabunkowo-terrorystyczne o przynależności WiN i NSZ*. Wskutek ich działalności, „przekonującej” prawosławnych do repatriacji poprzez rabunek, w samych Plantach (Świdziałówce) (wspomnianych na str.27,175,181) opustoszało 26 gospodarstw, których właściciele wyjechali do ZSRR, a na ich miejsce przybyli repatrianci-katolicy ze wschodu. [J.Chmielewski, <https://czasopis.pl/placz-zwanou-25/> ; 20.05.2022]. 19 stycznia 1945 roku rozwiązano Armię Krajową, ale część akowców odmówiła dokonania demobilizacji i kontynuowała walkę m.in. w ramach *Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość* oraz *Narodowych Sił Zbrojnych*, stąd formalnie można twierdzić, że AK nie prześladowała białoruskiej mniejszości (robili to jedynie byli akowcy). [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Armia_Krajowa&oldid=67020933]. Ponadto wykluczając (jednostronnie, arbitralnie) antymniejszościowych dowódców „żołnierzy wyklętych” z grona (wojskowych czy politycznych?) *profesjonalistów*, możemy twierdzić, że profesjonaliści „mają czyste ręce” (czyste, czy „umywane?”). (Powstaje jednak problem, czy Grabscy, prokuratura, ministrowie, ustawodawca, nazwoznawcy [także ci od ulic], itd. to także nieprofesjonaliści – bo pod jakim względem? Czy „nieprofesjonalista” to synonim przeciwnika politycznego Białorusinów? A może zbrodnia i „nieprofesjonalizm” to tylko rodzaj polityki?). Analogia: *Jeśli jeszcze do 1911 r. można mówić o resztkach ujętego w dyscyplinę terroru [ze strony PPS], tak od tego momentu pozostał czysty bandytyzm.* [Wojciech Lada, <https://histmag.org/Jozef-Pilsudski-terrorysta-mimo-woli-10915> ; 2015-04-16] [także: Paweł Rzewuski, histmag.org/Czy-bojowcy-PPS-to-zolnierze-wykleci-9057; 2014-02-11]
- ¹⁸⁰ Odnosnie tej walki miast (centrów decyzyjnych) bezpośrednio na koszt wsi – np. na „smoleńskiej drodze” z Warszawy do Moskwy – w ostatnim akapicie na str. 296.
- ¹⁸¹ Podobne zjawisko, niczym „zatrzymany kadr” – ogromny ptak (z włókna szklanego i żywicy?, twór neo-PRL-u?), można oglądać przy szosie do Michałowa, koło amfiteatru. Czy ono i obecnie coś znaczy, intymiduje? Może przypomina słowa burmistrza Michałowa: *Myślę, że znaleźliby się jacyś ludzie, którym mogłyby się takie tablice [dwujęzyczne albo prawidłowa nazwa Juszkowy Hrud] nie podobać. I już jest pole do konfliktu.* [Rozmowa z burmistrzem Michałowa, Czasopis nr 3/2009]. W ten sposób twarda przemoc totalitarnej władzy zamienia się (słownie) w miękką przemoc „pięknej idei niekonfliktu, spokoju”, którego pilnuje najsilniejszy z ptaków; w „demokratyczną dyktaturę” większości wobec mniejszości i zarazem przemoc symboliczną, tutaj „ornitologiczną”, albo z użyciem „świętych wersetów” (w powieści Sokrata: *święty wiersz*). Chciałoby się wierzyć, że to „instalacja” jakich wiele; typowa, więc jako taka bez „szczególnego intymidującego przesłania”, ale typowa nie jest. A przecież mógłby to być ptak wesoly i „tolerancyjny”, nieksenofobiczny (choć drapieznik, ale już syty, zrelaksowany i przyjazny). (W Krynkach była parę lat temu prezentacja weselszych orłów, w różnych kolorach – w miejscowej galerii).

¹⁸² śreżoga – promienie słoneczne przechodzące przez falujące rozgrzane powietrze podczas upału, z daleka powodujące wrażenie mgły

¹⁸³ grand-danse – dosłownie po francusku: wielki taniec; prawdopodobnie jest to określenie tańca, w którym wiele par wykonuje te same figury albo tańczy tworząc okrąg (okręgi), jak np. w polonezie

¹⁸⁴ kozyrkowy – tu: „w czapce z daszkiem”, od regionalnego kozyrek (wschbiał. kazyrok) 'daszek u czapki'.

¹⁸⁵ wschbiał. bambiza (banbiza) – hultaj, leń

¹⁸⁶ franca (francuska choroba) – potocznie: syfilis

¹⁸⁷ po rosyjsku, ale z wymową wschbiał.: „Rozkwitały jabłonie i grusze, popłynęły mgły nad rzeką...”

¹⁸⁸ „Ciemna noc, tylko kule gwiazdzą po stepie...”

¹⁸⁹ „Szumiały trzciny, drzewa się wyginały...”

¹⁹⁰ „Pudełeczko” (puzderko)

¹⁹¹ „Wszędzie chabry, chabry, mnóstwo ich migocze w polu... Ala lubiła rzekę, wcale się jej nie bała, całymi nocami z miłym łódką pływała...”

¹⁹² „Śpią ciemne kurhany, słońcem opalone, i wyszedł w step doniecki młody chłopiec...”

¹⁹³ „Trzej czołgiści, trzej weseli przyjaciele, załoga maszyny bojowej...”

¹⁹⁴ „Wyprzęgajcie, chłopcy, konie i legajcie odpoczywać...”

¹⁹⁵ „Wyje i jęczy Dniepr szeroki...”

¹⁹⁶ „Wyjdę ja, wyjdę w żyto wysokie...”

¹⁹⁷ „Łodzie rybackie [żaglowe] pełne mugila [gatunek ryby], kasztan nad miastem kwitnie, a Konstanty bierze gitarę, i cichym głosem śpiewa. Ja wam nie opowiem o całej Odessie, Odessa bardzo wielka...”

¹⁹⁸ „I na Oceanie Spokojnym zakończyli swój pochód!”

¹⁹⁹ fachówka (wschbiał. fachoŭka) – tu młoda, „postępowa, nowoczesna” kobieta, potrafiąca uprawiać „bezpieczny seks”

²⁰⁰ z wschbiał. *kaluha* – wyjeżdżony dół na drodze gruntowej, pełny błota; kałuża

²⁰¹ skolec (wschbiał. akaléc) – zeszywnieć (tu: z zimna) jak kół

²⁰² miodowa rosa – słodka ciecz występująca na kłosach zbóż, zwłaszcza żyta, oraz kłosach i wiechach licznych gatunków traw, spadz

²⁰³ nieczyścik – (wschbiał. niaczyścik) nieczysta siła, czart

²⁰⁴ plantański gościniec – droga bita prowadząca do miejscowości Planty (oficjalnie: Świdziałówka)

²⁰⁵ batarejka – pa „krynsku”: lichtaryk

²⁰⁶ toczka – regionalizm białostocki, inaczej: *kołchoźnik*; głośnik radiowęzłowy, podłączony przewodem do stacji bazowej na poczcie, gdzie grał odbiornik radiowy ustawiony zwykle na program I Polskiego Radia (zresztą do jesieni 1949 r. nadawano z Warszawy tylko jeden); toczka była niewyłączalna, można ją było jedynie ściszać (później montowano gniazdko); głośniki takie, produkowane od 1945 r., wisały w prawie wszystkich domach nie tylko na Podlasiu, służąc również oficjalnej propagandzie; w późniejszych modelach i po pojawieniu się kolejnych programów można było je zmieniać.

²⁰⁷ ros.: „Żyje nam się dobrze i spodziewamy się poprawy”.

²⁰⁸ kużel – cienkie płótno lniane wyrabiane przez chłopów

²⁰⁹ korowaj – rodzaj kołacza weselnego

²¹⁰ Kozłowy Łuh – prawidłowa według Komisji NMiOF oficjalna nazwa tej miejscowości; nielegalnie zmieniona przez Komisję około 1967 r. na Kozłowy Ług

[figuruje w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediach” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*]

²¹¹ łęciny – (łęty, łętowiny) łodygi ziemniaków

²¹² gimnastiorka – po rosyjsku: letni, biały mundur (tunika) w armii carskiej

²¹³ niem.: „Dobre dziecko!” „Bardzo dobrze!”

²¹⁴ Mamy tu kontynuację dawnych praktyk: *Turkom w niczym nie ustępowali żołnierze cesarscy, których okrucieństwo i swawola doprowadziły Węgrów do powstania. Ci ostatni usprawiedliwiali się tak: "Gwałty Niemców przeszły już [wszelkie] granice: na naszych oczach poczynają sobie z naszymi żonami i dziećmi niby z wszetecznicami, a nam każą je przytrzymywać za głowy. Umrzeć by lepiej niż takie rzeczy oglądać."* [Radosław Sikora, 11-12-2013, <https://opinie.wp.pl/lisowczycy-czarna-legenda-najszybszych-wojsk-xvii-wieku-6125757286495873a>]

²¹⁵ Z dniem 1.01.1972 zniesiono obowiązkowe *dostawy zbóż, ziemniaków i zwierząt rzeźnych z gospodarstw rolnych*, zamieniając je na ekwiwalent pieniężny (podatek).

²¹⁶ wioskowcy – sielanie, mieszkańcy wsi

²¹⁷ Wszelkie przydomki, przezwiska w tekście, jakkolwiek mogą się wydawać nieprawdopodobne, są autentyczne; podobnie jak postaci (szkolny woźny, Taduł) i być może dlatego w powieści asekuracyjnie jest mowa o *miasteczku*, nie o Krynkach.

²¹⁸ bezpiecznik – żartobliwie: pracownik Urzędu Bezpieczeństwa

²¹⁹ spuhnũ = spużañũ

²²⁰ kanka – naczynie metalowe, zwykle emaliowane, w kształcie pionowego walca, zawieszane na uchu z drutu przenizującego drewniany uchwyt (jak w emaliowanym wiadrze), z pokrywką wklęsłą na parę centymetrów, co zapobiegało wychłapywaniu zawartości.

²²¹ pierocioski las – las na uroczysku Pierociosy w gm. Krynki (biał. Pieraciosy)

²²² trasianka – (od wschbiał. traścĩ – trząśc) mieszanka siana z sieczką (posiekaną słomą)

²²³ kątnik – mieszkający kątem u gospodarza

²²⁴ Zupełnie jak w 2022 r. w Ukrainie.

²²⁵ W 1974 r. było 6 wolnych sobót rocznie, w 1975 – 12, czyli jedna wolna sobota w miesiącu, w 1979 – 14. Od 1981 r. były 3 wolne soboty w miesiącu. W ZSRR wolne soboty zaczęto wprowadzać 5 lat wcześniej, jednak i tam próbowano je wypełniać „czynami społecznymi”. [<https://dzieje.pl/aktualnosci/45-lat-temu-polacy-otrzymali-dodatkowy-dzien-wolny-od-pracy>]

²²⁶ bakszysz – pot. datek, łąpówka

²²⁷ Początkowo telewizory kolorowe i duże lodówki w Polsce były wyłącznie radzieckie (co trochę, choć wbrew uprzedzeniom, podnosiło autorytet ZSRR), podczas gdy władze PRL akurat „chorowały” na produkcję – również bardzo pożądaną, przydzielaną według kolejki i poza kolejką na bony lub za zachodnie waluty – aut na licencji Fiata. [*Marzeniem wszystkich był wtedy radziecki Rubin. Niektórzy tak bardzo pragnęli kolorowego telewizora, że jechali po niego aż do ZSRR. - Wsiadało się do pociągu i jechało po telewizor.*] [(największa) *Lodówka Mińsk – kultowy sprzęt z czasów PRL*] [<https://tvn24.pl/wroclaw/pierwszy-telewizor-kolorowy-we-wroclawiu-pojawil-sie-w-1971-roku-ra596479-3318672>] [<https://www.trojmiasto.pl/wiadomosci/Tak-wygladal->

sklep-AGD-w-PRL-u-n82622.html] [<https://histmag.org/Kapy-do-Bulgarii-kozuchy-z-Turcji...-Wakacyjno-handlowe-przygody-turystow-z-PRL-7006>] Ten przypis ma na celu również sprostowanie często spotykanej, uproszczonej narracji, według której PRL był przez ZSRR wyłącznie ogałacany (i to ze „wszystkiego”) przy pomocy szerokiego toru z Katowic (którym też przywożono: rudę żelaza, ale nie wywożono masowo np. samochodów: np. wywieziono do ZSRR ledwie kilkadziesiąt sztuk fiata 125p <https://www.auto-swiat.pl/wiadomosci/aktualnosci/50-lat-temu-w-fso-powstal-pierwszy-fiat-125p/40fm8nz>), podczas gdy do innych krajów, w tym kapitalistycznych, około 580 tysięcy. [<https://forsal.pl/galeria/731474,najwieksze-hity-eksportowe-prl-u-co-swiat-kupowal-od-polski-ludowej.html>] *Nikołaj Iwanow: Skoro jesteś przy kwestii relacji między ZSRR a Polską, to powiem coś, co **na pewno** w Polsce nie zostanie dobrze przyjęte. Otóż, jestem przekonany – Norman [Davies] może się ze mną nie zgodzić – że Kreml świadomie dopłacał do polskiego komunizmu, tak jak dopłacał do innych komunizmów, np. w NRD. Nie ma – o ile wiem – żadnej pracy naukowej, w której znaleźlibyśmy tego rodzaju wyliczenia w cenach wolnorynkowych, ale Polacy do ostatniego dnia dostawali ropę, benzynę i uzbrojenie po cenach niższych od rynkowych. Dla ZSRR to była kwestia polityki ekspansji komunizmu, imperializmu sowieckiego.* [<https://histmag.org/PRL-kolonia-ZSRR-czy-totalitaryzm-o-ludzkiej-twarzy-8440>]

²²⁸ Wiele osób, korzystając z możliwości przewidzianych przez prawo od 1962 r., przekazywało gospodarstwo rolne na rzecz Skarbu Państwa w zamian za rentę lub emeryturę. W 1977 r. dodatkowym warunkiem była uprzednia sprzedaż po urzędowych cenach jednostkom gospodarki uspołecznionej produktów rolnych o wartości nie mniejszej niż 15 tys. zł rocznie, przez okres co najmniej 25 lat (mężczyźni) lub 20 lat (kobiety) i opłacanie składek emerytalnych. Rolnik mógł pozostać właścicielem budynków mieszkalnych i gospodarczych, natomiast prawo własności gruntu pod tymi budynkami przechodziło na Skarb Państwa. Później pojawiła się możliwość odzyskania prawa własności gruntu na działce siedliskowej. W 1974 r. następców nie posiadało 341,5 tys. gospodarstw prowadzonych przez rolników w wieku 60 lat i więcej, co stanowiło 36% ogółu gospodarstw użytkowanych przez rolników w tym wieku. Zob. Ernest Nasternak, *Prawo do emerytury rolniczej*, Warszawa 2017, s.55, 61.

²²⁹ *biały świat* – biały. *biały świat*, daleki, szeroki, nieznany świat; prawdopodobnie od tego, że w sposób charakterystyczny dla otwartej przestrzeni jasny, rozświetlony lub zamglony jak horyzont

²³⁰ W tym kontekście przypominają się słowa z filmowego reportażu [o białoruskiej wsi:] *Almany: Ja kryczę, śpiawaju, a moža tu niama nizie nikoha... (Ja krzyczę, śpiwam, [albo: modłę się] a može tu nigdzie nikogo nie ma...)*

²³¹ ciałatnik – (por. pol. cielętnik) obora, zagroda lub pastwisko dla cieląt, ale w jęz. białoruskim ciałatnik to także osoba doglądająca cieląt

²³² Te dwa akapity przetłumaczono uwzględniając ogólne zalecenie Jacka Kuronia dla autora z dn.6.10.1999 r.

²³³ Gräfin – niem. hrabina

²³⁴ Autor ma tu zapewne na myśli tzw. syndrom sztokholmski.

²³⁵ Wydawać by się mogło, że autor popada tu w przesadę, ale przecież – w miejsce farm produkujących żywność – coraz liczniej powstają „farmy” cyfrowych kryptowalut „odpowiadające” swoją „produkcją” na zalew pieniądza fiducyjnego. (Za ich „produkt” można kupować, także żywność). Są one energochłonne, wysokoemisyjne (CO₂), więc niszczą środowisko, i w sumie „produkują” pieniądź

również oparty na *pogańskiej* wierze, fiducjarny inaczej, i chyba ten kierunek „rozwoju” nie stanowi dobrej alternatywy dla życia „dzikich”. Rozwoju chyba w ogóle nie ma, jest zmiana.

²³⁶ miotlica – mietlica, dzika, mało wartościowa trawa

²³⁷ żywica – perz [?]

Źródła niewymienione w przypisach:

Encyklopedia PWN [internetowa]

Jarosław Janowicz, *Likwidacja oficjalnego nazewnictwa miejscowości Białostoczczyzny pochodzenia białoruskiego przez administrację rządową w latach 1921-2004*, Scripta Manent 2004. [dostępne również na stronie: <https://kamunikat.org/download.php?item=11994-1.pdf&pubref=11994>]

Słownik języka polskiego, red. W. Doroszewski, Warszawa 1958-1969

Słownik języka polskiego, Warszawa 1900–1927, red. Jan Karłowicz, Adam Antoni Kryński, Władysław Niedźwiedzki

Wikipedia

Wykaz 62 nazw miejscowości Białostoczczyzny uznanych w 2009 r. przez Komisję Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych za nieprawidłowe i wprowadzone z naruszeniem prawa

[w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediach” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*] [https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:WYKAZ_62_nazw_woj._podlaskiego_do_weryfikacji_w_2009_r..pdf]

Tekst składa się z nieco skróconej i oczyszczonej z licznych drobnych błędów powieści Sokrata Janowicza *Chatniaje stahodździe* [Domowe stulecie], Villa Sokrates, Krynki 2008 [<http://kamunikat.org/halounaja.html?pubid=12069>], fragmentów tekstu-dopowiedzenia *Krynki ů 45-tym* [Krynki w czterdziestym piątym] opublikowanego w: „Czasopis” nr 1/2011 [<http://kamunikat.org/download.php?item=15784-2.pdf&pubref=15784>] oraz jednoakapitowego tekstu *Żnikniennie* [Zniknięcie] opublikowanego w: *Termapiły*, nr 7, str.24, Białystok 2003 [<http://kamunikat.org/download.php?item=3611-1.pdf&pubref=3611>], a także jednego zdania z książki *Nia żal prażytaha* (Nie żal lat minionych), Białystok 2002. Taka konstrukcja tekstu miała na celu m.in. wypełnienie pewnych „braków”, jak pojawienie się szkoły białoruskiej przy braku wzmianki o jej zamknięciu rok później, czy przejście do rozważań o polonizacji bez uprzednich opisów tego zjawiska. W sumie nie jest to koncepcja nowa, niespotykana, gdyż np. filmowa adaptacja „Komediantki”, zachowująca tytuł jednego tylko tekstu W. Reymonta, opiera się na dwóch tekstach tego samego autora. Przy tym nie jest to koncepcja „dzieła całkiem otwartego”, gdyż każde zdanie w tekście pochodzi od Sokrata Janowicza (określanego wszakże mianem autora „jednego tekstu, tematu”. Mimo to okazała się ona redakcyjnie zbyt pionierska, nietypowa wobec uniwersyteckich norm RID i musiała zrealizować się poza nim. Zresztą były i przeszkody formalne. W tym miejscu bardzo dziękuję Dariuszowi Kuleszy za konsultacje i – mimo wszystko – wiarę w sens tego, mówiąc żartem, „dzikiego, anarchistyczno-pacyfistycznego” (jak cała tematyka) projektu. Fragmenty pierwszej wersji przekładu były opublikowane w tomie *Sokrat Janowicz. Pisarz transgraniczny*, Białystok 2014 [<https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/handle/11320/3130>]

I/s.13 Oczywiście może być tu mowa jedynie o byłej kaplicy unickiej, gdyż również po 1918 r., w wolnej Polsce, władze państwowe i kościelne – trochę na przekór Watykanowi – były przeciwne odtworzeniu struktur Kościoła greckokatolickiego na Białostocczyźnie, uznając za *sensowną i trwałą jedynie konwersję wiernych na obrządek łaciński*. Próby przywrócenia hierarchii Kościoła unickiego tutaj spotkały się ze sprzeciwem władz jako inicjatywa *działająca na korzyść ruchu narodowego Białorusinów*. [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Ko%C5%9Bci%C3%B3%C5%82_katolicki_obrz%C4%85dku_bizantyjskos%C5%82owia%C5%84skiego_w_Polsce&oldid=66465047] Spowodowało to ostateczny rozbiór ludności dawniej unickiej między Kościół rzymskokatolicki i Cerkiew prawosławną. Wpisywało się to w szerszy proces „demontażu jagiellońskiego projektu” – ostatecznego rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów między Polskę i Rosję (sfinalizowanego traktatem ryskim z 1921 r., określanym później – choć nie w tym kontekście – jako *układ rozrachunkowo-likwidacyjny*). W II RP Kościół prawosławny – jako autokefaliczny – był całkowicie zależny od polskich władz, podczas gdy Cerkiew unicka była(by) tutaj jednoznacznie białoruska (*nowoczesna*, rozumiała, białoruskojęzyczna, nie zaś tylko *słowiańska*, archaiczna, w sytuacji kiedy Słowian jako nacji już nie ma) i podlegałaby przede wszystkim Watykanowi, co władzom wydawało się nie do przyjęcia.

II/s.25 Odpowiednim kontekstem dla tego fragmentu powieści mogą być wspomnienia Michała Więcko z katolickiej wsi Pomigacze (historycznie: Pomihacze 1558, 1616, 1775, 1789 r.) [*Kronika wsi Pomygacze*, „Regiony” nr 1/1987 r.]: *Ogólny las[...]ma nazwę [...]użówki (nazwę swą bierze od węży, w narzeczu prostym, czyli białoruskim „uże”, „użówki”)*. *Bo najprawdopodobniej przodkami naszymi byli Białorusy.[...] nazwy uroczysk:[...] Poletok zahumienny, Preczki na Sacharowej horcy, zahancki, miśkinouszczyna, hrud, douha za borom, rudawina[...]*[Nauczyciel, choć to w czasach rusyfikacji] *uczył wyłącznie po polsku. Pracował w roku 1905.[...]Inny uczył w latach 1908-1909.[...]pięknie mówił po polsku, co należy mu zapisać na plus, gdyż w tym czasie ludność mówiła przeważnie językiem prostym[...]**Od dziecka to my howoryli...howoryli...po naszymu, to jak pojechałem do wojska, to [nadal, po 15 latach licząc od 1905 r.] nie umiałem mówić po polsku. Poznaniacy na mnie mówili: „Ty chachle [Ukraińcu] pierdolony, polski karabin nosisz, a po polsku mówić nie potrafisz”*. Powyższa wypowiedź katolika z Pomihacz odpowiada w jakimś stopniu na pytanie, czy odpowiedni fragment powieści Janowicza jest prawdopodobny.

III/s.29 D.K. stwierdził, że „prawdziwość istnienia czegoś kiedyś, wymaga istnienia tego obecnie”. Choć to teza dla fizyka czy chemika oczywista, wydaje się, że wzmiankowany przez Sokrata prorok „poległ” na zastosowaniu tej zasady wprost w życiu (nie zaś tylko w teatralnym czy rytualnym odtwarzaniu, „ożywianiu zdarzeń” bądź ich dokumentowaniu). I niepotrzebnie, bo w sumie wartość

chrześcijaństwa jako szerzej pojętej prawdy „jak żyć”, jego społeczna „przydatność” nie zależy od takich „dowodów”, choć wielu może się tak wydawać. Z kolei cudowna, nadprzyrodzona otoczka religii jest nieunikniona, gdyż nikt nie przyjdzie do świątyni by słuchać o tym, że dwa razy dwa równa się cztery (albo że kamień spada w dół, a nie odwrotnie) – od tego są politechniki.

^{IV/s.45} W jednym ze swoich tekstów Sokrat użył metafory *dziewiąta fala*; kiedy zapytałem jej sens, wyjaśnił mi, że podobno każda dziewiąta fala jest większa od pozostałych i na piasku plaży sięga najdalej. Nie udało mi się tego w żaden sposób potwierdzić, zatem bez komentarza jest to albo nieczytelne, albo odczytywane dowolnie – jak słowna muzyka. Zatem i tu wypadałoby się zgodzić ze stwierdzeniem, że *kultura i sztuka w ramach płynnej nowoczesności jest stale poddawana dekonstrukcji jej znaczeń. Jej sens zawiera się w zmiennej krytyce oraz interpretacji i wraz z nimi umiera.* (Stąd niniejszy aneks-komentarze, dopowiedzenia-interpretacje).

[[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=P%C5%82ynna_nowoczesno%C5%9B%C4%87_\(filozofia\)&oldid=61032812](https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=P%C5%82ynna_nowoczesno%C5%9B%C4%87_(filozofia)&oldid=61032812)]

Jednak również każde (życiowe lub historyczne) zdarzenie może podlegać takiej dekonstrukcji. Na przykład, kiedy dzieciaki nadmuchaną przez słomkę żabę uderzają kamieniem i stworzenie eksploduje, mamy do czynienia albo z brutalnym morderstwem, albo żartem, zależnie od tego, kto i w ramach jakiej konwencji-narracji na to patrzy. Podobnie z mowami Hitlera: jednych zachwycały, innych przerażały (choć teraz – zwłaszcza po ponowoczesnej *dekonstrukcji* „tych samych” zdarzeń – głównie śmieszą).

Alik, od pierwszych stron powieści, kiedy wszystko go dziwi (m.in. to, że kozacy turlają *ciotki, a nie wujków, których bili*) i mając *wątpliwości* wobec serwowanych mu objaśnień świata, stopniowo ewoluje ku głębszym analizom-dekonstrukjom rzeczywistości. Tak też może być z ideą miłości (w powieści dekonstruowaną w *Hrabszowym Lesie* lub „demaskowaną” jako *wymyślanie sobie eleganckich tragedii*, gdyż nie ma jednego jej sensu ani *konwencji możliwej do przyjęcia na stałe (lub nie zanadto skomplikowanej)* nawet dla jednej osoby.

Stąd konwencje-konstrukcje tymczasowe, jak wszelkie bachanalia czy wspomniane w powieści *nieuniknione puszczalstwo* jako epizod-wstęp do innej, „dojralszej” konwencji, *dekonstrukcji*, do ułożenia sobie na nowo „co to ma być” – również poprzez dodawanie nowych *szczegółów*. Tak jak wszystko, tak też miłość może czasem śmieszyć i to nie musi być złe: wszak pełna dystansu opowieść lub metafora – i dekonstrukcja – mogą mieć znaczenie terapeutyczne, zredukować lęki [<https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Metafora&oldid=62896488>], a zbyt poważne traktowanie wszystkiego może być nie do zniesienia, utrudniając najprostsze rzeczy. Np. powiedzenie serio czegośkolwiek po białorusku publicznie („ze wszystkimi „strasznymi” konsekwencjami” tego czynu) może okazać się niemal niemożliwe; co innego kiedy słowa „w języku prostym” padają „na luzie”: wtedy nikt nie pobije „nacjonalisty”. Niestety, akurat państwo nie ma poczucia humoru: skoro redakcja lokalnej gazety czy nauczycielka z Krynek (o których będzie mowa dalej, na str. 275 i 276, w pierwszych akapitach) nie tolerowały słów białoruskich wypowiedzianych właśnie tylko mimochodem. Podobnie w sowieckiej, a pewnie i w

dzisiejszej, Białorusi: wchodzisz do sklepu w mieście i prosisz o coś po białorusku, i jeśli poważnie – bo nie o wódkę i nie po pijanemu – to widocznieś nacjonalista, faszysta, więc „mówże po ludzku, pa czieławiećzieski!”. Ale gazety czy gminne szkoły to także instytucje „ekspozytury” miasta, o którym Dariusz Kulesza pisze tak: *Z jednej strony wieś — macecznik definiujący tożsamość i polapka skazująca na niewynagradzany trud; miejsce decydujące o tym, kim jestem i naznaczona biedą dolegliwość zmuszająca do ucieczki. A z drugiej strony wielkie miasto Białystok — urzędniczo-biurokratyczna, peerelowska otchłań, zbudowana przez tych, którzy ze wsi uciekli; **zurbanizowana katastrofa**, bo przecież niczym innym nie może być to, co powstało wyłącznie z pragnienia lepszego, łatwiejszego życia. [To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza, W poszukiwaniu istoty rzeczy, Studia i portrety, Białystok 2015, str. 220]*

Przy tym miasto jest „sprytne”: nawet jeśli godzi się na pewne przejawy tożsamości swojego „przeciwnika-wsi” — np. na dwujęzyczne nazwy miejscowości w języku 20-procentowej mniejszości — to za zgodą większości (ponad 50% radnych), nie 20% lub na podstawie samych wyników spisu powszechnego — aby „niekorzystne zjawisko” nie szerzyło się „nadmiernie”. Nadal zatem *bez pana nie ma Polaka* i dwudziestoprocentowa mniejszość, nawet idealnie-modelowo posiadająca 20% radnych w radzie gminy, nie ma szans na to, co socjologzy nazywają „**dystrybucją godności, prestiżu**” (analogiczną lub współistniejącą z tym, co Sokrat nazywa w powieści miejską *polityką podziału pieniędzy*). Jeżeli – ustawowo! – godność ponad 20%-wej mniejszości nie jest jej przyznawana automatycznie w postaci nazw dwujęzycznych, to tych nazw (z nielicznymi wyjątkami) tutaj nie ma. A co, jeśli nawet sześćdziesięcioprocentowa w danej gminie mniejszość białoruska ma tylko 40% radnych (a tych odważnych, niezakompleksionych jeszcze mniej), a 20-toprocentowa zero?... Ustawodawca na to: ano nic, nie ma problemu, to pozytywne (bo przecież ustawę uważa za pozytywną, postępową!). (Cały czas **mówimy o godności**, bo przecież nazwy dwujęzyczne **jedynie to** mają na celu, funkcje użytkowe spełniają już polskie drogowskazy). Zatem w odniesieniu do „(biało)ruskich chamów” nie ma *polskiej-pańskiej zgody „tylko”* na ich godność (taki „drobiazg”).

Chytrość i brak poczucia humoru – to ważne atrybuty państwa. I „nieomyślność”, co powoduje, że przewrotnie przedstawia ono swoje kardynalne błędy i porażki jako opomnikowaną chwałę, by obywatel się nie wahał – jak Alik – gdy państwo (w tym podziemne, powstańcze) zawezwie go do udziału w kolejnym przedsięwzięciu – niezależnie od wyniku zawsze „zwycięskim”, bo „władza zawsze ma rację” (jeśli nie, to po co komu taka władza?).

^{V/s.79} *W 1609 r. wybuchła wojna Rzeczypospolitej z Rosją. Na początku 1610 r. bojarowie, niezadowoleni z rządów cara Wasyla Szuijskiego, ofiarowali koronę carską [polskiemu królewiczowi] Władysławowi. Rokowania w tej kwestii prowadził hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski. [...] Koronacja Władysława na cara miała przypieczętować unię Rzeczypospolitej i Rosji. [...] Jednak niechęć [króla] Zygmunta III wobec przyjęcia przez syna prawosławia – co było warunkiem bojarów rosyjskich do objęcia tronu cara Rosji – przekreśliła te plany. [...] Rosjanie, zrażeni polską polityką, wybrali [w 1613 r.] innego władcę – Michała Romanowa [...], który na początku panowania przede wszystkim musiał*

rozprawić się z szajkami i bandami, grasującymi po całej Rosji. Należały do nich również oddziały polskich lisowczyków Aleksandra Lisowskiego, służących w pierw drugiemu Dymitrowi Samozwańcowi, a potem trudniących się rozbojem. (W 1610 Lisowski został powołany przez hetmana J.K.Chodkiewicza do stworzenia lekkiej jazdy, **nieobciążającej skarbu Rzeczypospolitej, co oznaczało przyzwolenie na rabunek**). [o lisowczykach także w ostatnim akapicie na str.296]

Dla Żółkiewskiego – wizjonera – ojczyzną była republika, demokracja, jej poszerzanie, gdy dla króla Zygmunta III katolicyzm i jego ekspansja. (Natomiast naród w znaczeniu etnicznym nie był jeszcze wartością, zatem obowiązujący do końca XVII w. w Wielkim Księstwie Litewskim nakaz sporządzania dokumentów urzędowych wyłącznie w ówczesnym języku białoruskim był uzasadniony raczej kwestiami praktycznymi – zrozumiałością tychże). Do wzmiankowanej koronacji królewicza Władysława nigdy nie doszło, lecz on *sam siebie* tytułował carem aż do 1635 r. *4 kwietnia 1617 Władysław, występując jako car rosyjski, podpisał poufny akt, w którym zobowiązywał się do zawarcia wieczystego przymierza z Polską, do walki z Turcją i Tatarami. Zapowiadał znaczne ustępstwa terytorialne na korzyść Rzeczypospolitej: Rosja miała jej oddać Briańsk, Kursk, Nowel, Nowogród Siewierski, Poczep, Putywl, Rylsk, Siebież, Smoleńsk, Starodub i Wieliz.* [https://pl.wikipedia.org/wiki/W%C5%82adys%C5%82aw_IV_Waza][https://pl.wikipedia.org/wiki/Micha%C5%82_I_Romanow][https://pl.wikipedia.org/wiki/Aleksander_J%C3%B3zef_Lisowski] Władysław Waza, sygnujący ów dokument, jest urzędnikiem państwa, Lisowski również działa w służbie Republiki – niczym dochodowi korsarze na służbie królów Francji i Anglii do 1856 r., mamy więc tutaj „zwykłość, powszedniość rabunku” w działaniach państwa. Jak pisze Sokrat: *Politykę państw najłatwiej zrozumieć patrząc na wiejskie gospodarki: jeśli kto kogo może połknąć, to niechybnie połknie. Małą gospodarkę wessie wielka, jak Polskę Rosja.* (Albo odwrotnie – jak miało być kiedyś). Wcześniejsza unia polsko-litewska z 1385 r. także oznaczała rychłe cesje terytorialne Wlk. Ks. Litewskiego na rzecz Polski. Tymczasem późniejsze, drugie podejście do unii Rzeczypospolitej z Rosją poprzez protektorat rosyjski nad Rzeczpospolitą ustanowiony w 1768 r. (mimo że bez żadnych cesji terytorialnych, tym razem na rzecz Rosji) okazał się dla Polaków nie do przyjęcia. (Gdzie indziej był środek ciężkości tego projektu, to urażało polską dumę?). Jednakże Polska mogła była uniknąć rozbiorów tylko mając za sojusznika-protektora państwo dostatecznie silne (czyli Rosję), co po dodaniu własnych, polskich sił stanowiłoby wystarczającą przeciwwagę dla zakusów na polskie terytorium ze strony Prus i Austrii. Taki (lustrzany względem poprzedniego projektu Zygmunta III Wazy) projekt unii Rzeczypospolitej z Rosją (aż po Gdańsk i Poznań – skoro bez rozbiorów) wymagałby stałego uwzględniania interesów Polski przez Rosję (gdyż tylko razem z Polakami można byłoby skutecznie bronić całości rosyjskiego protektoratu przed Prusami i Austrią). Tymczasem po zawiązaniu konfederacji barskiej Rosja musiałaby gwarantować integralność terytorialną Rzeczypospolitej-protektoratu samodzielnie (bez poparcia Polaków), a na to już była zbyt słaba. Ostatecznie Polacy – nieświadomi tego, że może być jeszcze gorzej – wybrali bliższego mentalnie, „łacińskiego” sojusznika: Prusy,

choć te nie były zainteresowane ani nie były w stanie gwarantować integralności terytorialnej ogromnej wówczas Rzeczypospolitej. Skoro całkowita niepodległość Rzeczypospolitej nie była wówczas możliwa, tę kwestię należało odłożyć do stosowniejszego czasu, przeczekać zachowując przynajmniej formalnie własne państwo. Słowo *protektorat*, choć upokarzające dla byłych imperiów, w sumie w swojej wymowie nie jest tragiczne, bo przecież i współczesna Polska jest protektoratem: „brukselskim”, europejskim, cała Europa zaś amerykańskim. Ta perspektywa kolejnego po unii polsko-litewskiej terytorialnego rozproszenia tożsamości, płytkiego, ale szerokiego rozlania się kultury polskiej (idea państwa polsko-litewsko-rosyjskiego, dostęp do jeszcze większych przestrzeni na wschodzie) musiała się jednak wielu Polakom jawić atrakcyjnie (niczym Mickiewiczowi wycieczki po Krymie i stepach akermaskich), skoro Polonia np. w Odessie nieprzerwanie rosła i na początku XX w. sięgnęła ok. 26 tys. osób. [https://www.hor.net.ua/?page_id=1260&lang=pl] Oczywiście każdy może argumentować, że dla Polski status protektoratu nie był dobrą alternatywą (ale czy w żadnym czasie, nawet jako sposób na doczekanie do czasów napoleońskich?), Rosji zaś (z jej imperializmem – w kontrze do polskiego) protektorat i tak by nie „ucywilił”; jednak co do tego nigdy nie będzie pewności, bo – jak pisał Stanisław Mackiewicz - *historia jest sztuką wielkich porównań*. (W tym identyfikacji i porównywaniu mniejszego zła i mniejszych błędów z większymi). Pisząc o (ewentualnym) „ucywiliwaniu” Rosji przez jej polski protektorat mam na myśli jej docywiliwienie (którego nigdy za wiele), demokratyzację (poprzez ustrój państwa inny w protektoracie niż w Rosji), gdyż pod wieloma względami Rosja i bez tego się modernizowała, jej późniejszy rozkwit kulturalny (pod wpływem Francji – tak jak w Prusach) był godny pozazdroszczenia (także uniwersytet w Wilnie reaktywowano, w Warszawie utworzono, itd.; modernizacja – włącznie ze zniesieniem pańszczyzny w Polsce – szła również ze Wschodu).

Unia polsko-litewska z 1385 r., zawarta pod warunkiem konwersji Jagiełły na katolicyzm, niepowodzenie unii z Moskwą w czasach Zygmunta III (z braku konwersji królewicza Władysława, ale w drugą stronę niż w przypadku Jagiełły: na prawosławie), późniejsze odrzucenie (wskutek konfederacji barskiej) rosyjskiego protektoratu na „kompromisowych” zasadach równouprawnienia wyznań (choć pewnie protektorat byłby z entuzjazmem przyjęty, gdyby carowie byli katolikami) – wszystko to świadczy o tym, że faktycznie nie narody, lecz cywilizacje mają historię (reszta to szczegóły). Powiększanie terytorium Rzeczypospolitej na wschód mogło się odbywać tylko pod warunkiem uprzywilejowania katolicyzmu na nowych terenach na wschodzie i kiedy na początku XVII w. rozszerzanie zasięgu owego uprzywilejowania okazało się niemożliwe, ekspansja zatrzymała się. Po wahnięciu wahała historii w jedną stronę (Bizancjum aż po Rawennę, Korsykę i samo miasto Rzym), potem w drugą („łacińskość” aż po Moskwę w czasach Zygmunta III), mieliśmy sowietyzm aż po Łabę, a teraz mamy kolejne wahnięcie („rzymskość”- UE z kuszącą perspektywą aż po Krym, choć nie po Moskwę, jak w pocz. XVII w.).

Teraz zamiast dawnych linii podziału cywilizacji i religii dzielących, pojawiają się nowe „religie”, jednoczące globalnie (antyCO₂; Bitcoin ze swoimi „kopalniami” aż w Chinach, cóż z tego, że dla odmiany emitującymi CO₂: byleby biznes się kręcił?). Parafrazując Sokrata: Rzym i Bizancjum *miały także swoją przyszłość, którą odgadujemy*. To *odgadywanie*, w wykonaniu Adama Krzemińskiego, może wyglądać tak:

Od ugody między Zakonem i Kazimierzem Wielkim w 1343[...] przez pół wieku stosunki polsko-krzyżackie były pokojowe. Unia z Litwą w 1385 r. była z polskiej strony posunięciem wymierzonym nie w Krzyżaków, lecz w Habsburgów i w Moskwę, groziło bowiem przyjęcie na Litwie prawosławia. [Na obecnej Litwie, bo poza nią, czyli w 90% Wielkiego Księstwa Litewskiego (WKL), tj. w Białorusi i Ukrainie, to przyjęcie prawosławia już dawno się dokonało.][Adam Krzemiński, *Winnietou* [czyli: naiwniak Jagiełło?] *pod Grunwaldem*, Polityka 5.08.2000] (To „sorry *Winnietou*” świetnie nawiązuje do *Indii* Batorego w Wielkim Księstwie Litewskim – na str.266-7 – i do Sokratowych *ostatnich Indian Europy po obu stronach plotu* – na str.205].

Co to oznacza? Chyba i to, że mamy co najmniej dwie wersje historii: jedną, szkolną, eksponującą „widowiskowy-kostiumowy” konflikt z Krzyżakami, i drugą, z której wynika, że główne starcie odbywało się – pomijając szczegóły – jednak między dwiema różnymi cywilizacjami-religiami. Owo najbardziej widoczne zmaganie – między Polakami i Krzyżakami, było zaledwie „powierzchniowe”, poboczne i w sumie sprowadzało się do „ustalenia”, kto najlepiej, najefektywniej reprezentować będzie interesy katolicyzmu-Zachodu na Wschodzie (papież po prostu jedynie się wahał, na kogo w tym względzie postawić).

W polskiej polityce po 1768 roku (po ustanowieniu rosyjskiego protektoratu nad Rzeczpospolitą, odrzuconego przez czteroletnią konfederację barską, która doprowadziła do I rozbioru Rzeczypospolitej) jest podejrzanie dużo działań samobójczych i porażek, co skłania do poszukiwania innego ich wytłumaczenia (i szukania innych centrów decyzyjnych). I tak jeżeli za punkt wyjścia (kolejny punkt zwrotny, początek nowego wątku-subhistorii) przyjmujemy nie państwo króla Jagiełły, lecz właśnie ustanowienie protektoratu, czyli polityczne wpływy *Wschodu* aż po Poznań i (ciągle niezależny od Prus) Gdańsk, to ich odrzucenie (w wyniku rozbiorów) za późniejszą linię Curzona (a nawet za Zachodnią Ukrainę) jawi się jednak jako... sukces: tyle że nie Rzeczypospolitej, a całego Zachodu, chcącego okroić rosyjski protektorat z korzyścią dla siebie.

Nie można – niestety! – w rozważaniach o sprawach białoruskich pominąć kwestii polsko-rosyjskich, gdyż każdy wymierzony w Rosję cios trafia przede wszystkim w Białorusinów (czy Łemków, jak po 1768-tym i 1945-tym roku, jak w 1938-mym podczas burzenia cerkwi na Chełmszczyźnie, itd.). Gdyż nasi prawosławni są niejako „po drodze” w tym zmaganiu. No i są tym niechcianym Wschodem. Dopiero teraz, kiedy Białoruś nie jest w polskiej strefie wpływów, a drugiej Polski zrobić tam się nie da z braku polonizujących instytucji, katolicyzm – chcąc nie chcąc – sprzyja na Wschodzie zachowaniu białoruskiej świadomości i języka, natomiast w Polsce zwycięża „prostsza” „dla tutejszych katolików alternatywa”: wyniesiona ze szkoły „standaryzowana polskość” (nie można

powiedzieć, że „pełna”, raczej jedynie „polskojęzyczność”; bez regionalizmu, bo ten musiałby odwoływać się do historii Wielkiego Księstwa Litewskiego, do języka prostego-białoruskiego). *Białorusini-katolicy* na Białostoczczyźnie, Sokolszczyźnie są *dziś już niemal całkowicie spolonizowani*. [T.A.Olszański, *Mniejszości narodowe w społeczeństwie polskim*, Magazyn Literacki nr 1(5) 1993 r., str.16]

W tym komentarzu częściej jest mowa o Rosji niż o Białorusi, ale to tak, jak w powieści, gdzie na przykład postać białoruskiego kapitana Horasza prawie nie istnieje, gdyż w tutejszych, „kresowych” dziejach wszystko rozgrywa się pomiędzy *olbrzymami* geopolityki, Białorusin zaś jedynie usiłuje „nie być na linii ognia”, *przetrwać*, jak główny bohater Alik. (Na zasadzie: *sztó choczasz rabi, tolki u piecz nie sadzi – rób co chcesz, tylko do pieca nie wsadzaj!*).

W tej walce Polaków z Moskałami tutejsza „ruskość” pada ofiarą niejako **zastępczo**, bo i cóż to za przeciwnik: tutejsi Białorusini, ta garść Łemków, trochę cerkiewek na Chełmszczyźnie („niesłusznie”, bo na zachód od linii Curzona istniejących), albo jakaś – w urzędniczym odczuciu „dzika” – nazwa miejscowości (*Dubnica* czy *Samohrud*). Na zasadzie: skoro można „przynajmniej z tą ruskością” zrobić trochę „ogrodniczego porządku”, u siebie wyrwać „chwasty”, bo „tutaj jest Polska” – to „dlaczego nie, dobre i to?”. (Wyrwać, bo może będą za to jakieś „punkty” w katolickim niebie? – wbrew pozorom człowiek wszystko robi w kontekście wieczności i „wszechświatowego porządku”, inaczej żadna destrukcja nie miałaby sensu.

VI/s.⁸⁵ Autorskie [i nie tylko] określenie *imperium* w kontekście II RP prawdopodobnie nawiązuje m.in. do następujących okoliczności:

1. Ostateczny rozbiór dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w tym Wielkiego Księstwa Litewskiego (WKL) – tym razem między Polskę i Rosję, w wyniku traktatu ryskiego z marca 1921 r., czyli *jednostronna rezygnacja delegacji polskiej z włączenia w granice RP Mińska, przeforsowana przez Stanisława Grabskiego w celu uniemożliwienia stworzenia białoruskiego kantonu sfederowanego z Polską*.

[[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Traktat_ryski_\(1921\)&oldid=61519821](https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Traktat_ryski_(1921)&oldid=61519821)]

O losie państw trzecich decydują zwykle państwa o ambicjach *imperialnych*. Zanim podpisano traktat, po rozejmie zawartym z Rosją w październiku 1920 r. polskie władze internowały sprzymierzonych białoruskich żołnierzy gen. Bałachowicza (około 12 tys.), by nie dochodziło do dalszych prób deklaracji niepodległości Białorusi (jak ta w listopadzie 1920 r. w Mozyrzcu, samodzielnie odbitym na krótko z rąk bolszewików przez Bałachowicza). Aby podobne próby trwale uniemożliwić, władze II RP niespełna pół roku później oficjalnie zrezygnowały z Mińska na rzecz Rosji. „Ręce zostały umyte”, lecz zanim to formalnie, w formie traktatu nastąpiło, już 24 listopada 1920 r. *wojska polskie rozpoczęły wycofywanie się ze Słuczczyzny. Wkraczające tam oddziały Armii Czerwonej toczyły walki już tylko z oddziałami białoruskimi*.[...]Władze polskie

wykorzystały powstanie słuckie jako **dywersję** antybolszewicką w czasie negocjacji przebiegu granicy polsko radzieckiej (na jedynie ważnym dla nich odcinku: w Ukrainie; chociaż oddanie Mińska także było ważne-znaczące, ale inaczej, gdyż nie wymagało negocjacji z bolszewikami).

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Powstanie_s%C5%82uckie&oldid=61982635]

Był to prawdziwy „cios w plecy” dla aspiracji białoruskich – bo rzeczywiście rozstrzygający i ze strony sojusznika. Państwo białoruskie, resztówka Wielkiego Ks. Litewskiego, wtedy już posiadało siły zbrojne i terytorium – ze stolicą włącznie; traktat ryski to przekreślił. Wielka romantyczna tradycja Polski walczącej o dobro całego świata, *cierpiącej za miliony i tu* okazała się – jak to określił Marian Pilot, *monstrualną obłudą*, „ściemą i jedynie zmorą maturzystów”. Traktat był politycznym błędem, skutkiem którego i dziś nie ma niepodległej Białorusi. (A było to realne, jeżeli byli ludzie gotowi za to ginąć, a Rosja oferowała Polsce całą Białoruś). Wielkie Ks. Litewskie jeszcze przed osiemnastowiecznymi rozbiorami Rzeczypospolitej wielokrotnie musiało dokonywać cesji części swego terytorium na rzecz Polski, jednak w 1921 r. po raz pierwszy nastąpiła cesja jego terytorium dokonana nie przez samo WKŁ i nie na rzecz Polski, lecz przez Polskę i na rzecz państwa trzeciego – tj. Rosji. Można to określić jako IV rozbiór Rzeczypospolitej (nietypowy, bo pomiędzy Polskę i Rosję). Jeśli wziąć pod uwagę dalsze wypadki – likwidację Litwy Środkowej (ustanowionej tylko dla przyłączenia Wilna do Polski po raz pierwszy w jego historii), następnie próbę zdobycia przez Polaków Kowna oraz faktyczną, choć nie formalną, likwidację Sejmu Śląskiego po 1935 r. – to początkowe w tym szeregu zdarzeń polskie niepowodzenie z zaistnieniem Ukrainy sfederowanej z Polską trudno uznać za całkiem niezamierzone. Raczej od początku stawiano na utworzenie Polski jako państwa unitarnego, na walkę „o wolność naszą, nie waszą”. Co można by nawet uznać za „zdrowy, naturalny” egoizm, gdyby nie to, że ostatecznie nie posłużył on Polsce. Po dziejach początkowo tylko „mocnego” i pluralistycznego Sejmu Śląskiego widać też to, że nie „słabość” ruchu białoruskiego była jego głównym (czy jedynym) problemem.

2. Plany kolonialne Polski względem Madagaskaru, a nawet części Argentyny. [<https://tvn24.pl/magazyn-tvn24/zydzi-kawa-i-lemury-tak-polacy-mieli-skolonizowac-madagaskar,246,4257>] *W 1939 roku Liga Morska i Kolonialna liczyła niemal **milion** członków. Jednym z celów organizacji było pozyskiwanie terenów dla polskiego osadnictwa. Minister Józef Beck mówił, że „polskie kolonie zaczynają się za... Rembertowem” i przestrzegał przed kolonialnymi mrzonkami.* [<https://www.focusnauka.pl/artykul/polski-sen-o-koloniach>]

3. Osadnictwo wojskowe na tzw. kresach, analogiczne do osadnictwa legionistów w imperium rzymskim; o czymś podobnym – o osadnictwie

kurpiowskim – pisze Józef Rybiński z katolickich Saczkowców [*Słońce na miedzy*, Wydawnictwo Pojezierze, 1979]: *Od niepamiętnych czasów Puszcza Dubnicka była nasza. **Dubnica** nie tylko z racji wielowiekowej zasiedloności [...] nie jakichś tam Kurpiów, których jeszcze tu nie ma, jeszcze ich nie widzieliśmy, a już tę **naszą Dubnicę „Kurpiowską” w rządowych papierach nazywają [...] Dziś porasta tam prawie pięćdziesięcioletni las. Półwiekowa Puszcza... **Dubnicka, a nie Kurpiowska.***** Co ciekawe, administracja rządowa ustanowiła oficjalną nazwę miejscowości Dubnica *Kurpiowska* (nielegalnie: bez ustawowej procedury i ogłoszenia w „Monitorze Polskim”) dopiero w 1980 r. – choć Kurpiów tam nie było już od 40 lat (jak przystało na PRL – endecki ideał państwa jednonarodowego); parafrazując Mariana Pilota: „Kurpiów tam nie ma, ale sprawa kurpiowska pozostała” (sprawa endeckiej polityki nazewniczej) – niepowstrzymana jak każda głęboka „tektonika” procesu geologicznego, który może postępować zaledwie 1 cm rocznie, ale spróbuj go zatrzymać albo cofnąć! Próbowano, owszem, ale w 1995 r. naukowa Komisja Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych potwierdziła (swoją) poprzednią decyzję, przeprowadziwszy tzw. „weryfikację w terenie”. („Terenem” nazwano urząd gminy, który zresztą odpowiedział, że w kol. *Dubnica zamieszkują 4 rodziny*, nie używając – jak zwykle! – przymiotnika *Kurpiowski*; nie wiadomo tam, że taki przymiotnik obowiązuje, skoro swego czasu nie było w tej sprawie ogłoszenia w „Monitorze Polskim”). Materiały z kolejnej „weryfikacji” – z 2009 r. – utajniono, podając jedynie jej „wynik”: rzekomo wszyscy już nie tylko **w rządowych papierach**, ale także w gminnych, i w ogóle „tradycyjnie, od zawsze” używają nazwy *Kurpiowska*.) W Polsce nie ma innej miejscowości z tym przymiotnikiem, więc użytkownicy map – wskutek tej profesorskiej (bo przecież nie gminnej) „inżynierii tożsamościowej” – lokalizują Kurpie... koło Kuźnicy Białostockiej. (To relikw z czasów PRL, kiedy pokazowym zespołem folklorystycznym woj. białostockiego były *Kurpie Zielone*, choć do województwa nie należał wówczas ani kawałek Kurpi. To jednak miała być białostocka „nowa świecka tradycja”, tożsamość regionalna, „odwieczna”, choć nowa. Na „akademiach” w podstawówce kazano śpiewać piosenkę kurpiowską, zapamiętałem z niej niesłyszane dotąd słowo *jesce*, które, o dziwo, wygłoszone-zapodane z całą powagą przez nauczycielkę, nie śmieszyło – jako kulturowo łacińskie – choć nie *jeszcze*).

Tak jak w kwestii przytoczonych naruszeń prawa poprzez fakty dokonane w dziedzinie nazw oficjalnych widać „tektonikę” procesu, tak też widać ją w samym prawie odnośnie dwujęzycznych nazw miejscowości: mamy tu okoliczność oficjalnie eksponowaną, powierzchniową, czyli to, że dla ich ustanowienia wystarczy 20% mniejszości w danej gminie, oraz mniej widoczną, głębszą tektonikę trzymającą ten temat „w zamrożeniu, permafroście” w ten sposób, że dla ustanowienia takich nazw wymagana jest uchwała rady gminy podjęta zwykłą większością głosów, bynajmniej nie zaledwie 20%. (Miało być inaczej, a „wyszło” jak zwykle). To taka „zapobiegliwość ustawodawcy”, więc niby jest odwilż, słońce

świeci, ale „tektoniczny” (głęboki) lód trzyma mocno. [J.Janowicz, *Jak Kruhle Kraglym się stało*, Czasopis 7-8, 2011 <http://pdf.kamunikat.org/21659-1.pdf>]

O przejmowaniu przez PRL innych, nie tylko „kurpiowskich”, *fikcji*:

Co zostało nam w głowach z czasów komunizmu?

*Norman Davies: Całkiem sporo. Na przykład **niechęć do pluralizmu** [np.w nazewnictwie miejscowości: koniecznie tylko polskim] i kształt polskiej prawicy, która zasadniczo jest nacjonalistyczna i uważa, że wszyscy Polacy są katolikami. To wszystko spadek po PRL-u. Rzadko się o tym mówi, ale PRL po wojnie de facto przyjął zasady endecji, po 1945 r. Dmowski zwyciężył pośmiertnie. Polska stała się **krajem jednego narodu** i partia komunistyczna – od PPR do PZPR – popierała wszystkie fikcje Polski piastowskiej, Ziemi Odzyskanych, polskiej tysiącletniej obecności nad Odrą, itd. To są – jak mówię – fikcje, ale to jest PRL. To bardzo ciekawe, bo **Polska komunistyczna była generalnie w tej dziedzinie bardzo prawicowa**, cała historiografia PRL-u była zbudowana na schemacie Polaka-katolika, Polski piastowskiej. Dziś to przetrwało w głowach wielu ludzi, np. wyborców PiS-u. Podam jeszcze inny przykład – mówi się o „Polsce solidarnej”. Co to znaczy? Polska solidarna, czyli socjalistyczna. Taka, w której służba zdrowia jest w rękach państwa, w której prywatyzacja jest złem, rynek jest złem. **Obiektywnie rzecz biorąc Polska przeżywa w tej chwili swój najlepszy okres od XVII wieku, a mimo to ciągle słyszymy, że rząd znajduje się w rękach Putina i Merkel.** [<https://histmag.org/PRL-kolonia-ZSRR-czy-totalitaryzm-o-ludzkiej-twarzy-8440>]*

^{VII}s.⁸⁹ Postać Alika jest połączeniem kilku realnie istniejących postaci. Jednym z jej podstawowych pierwowzorów jest ojciec autora, z zawodu szewc. Jednak w tym miejscu akcji pojawia się znaczniejsza rozbieżność między tym pierwowzorem a Alikiem: Alik nie uczestniczy w wojnie 1939 r., podczas gdy ojciec autora był ułanem (wysokim, jak Alik), walczył pod Częstochową, gdzie wzięto go do niewoli („oficerowie uciekli”, co można zrozumieć, gdyż tylko szeregowych żołnierzy Niemcy prędko zwalniali do domu). Dzieje Alika są też po części zmodyfikowanym losem pisarza, który był „niepodatny na polonizację” (*nie imponowało mu polskie imperium*) i czytał książki z matczynego kufra (zaś Alik te *pożyczone od Kiszkielanek i Anisimowiczów*). Również radio w powieści to zarazem solidny odbiornik w pracowni szewskiej i niewyłączalna toczka w kuchni.

^{VIII}s.⁹⁷ *Sowiecka potęga, jakiej świat nie widział*, to nie tylko wyolbrzymione wrażenie małego dziecka (z Sokratowego rocznika 1936). Również niemieckich żołnierzy – choć w 1941 roku jeszcze w zwycięskim marszu przez bezkres bolszewickiego „bezhołowia” – *deprymowały* niektóre techniczne przewagi sowieckiego uzbrojenia, m.in. ciężkie czołgi KW, wówczas jedynie na świecie i praktycznie nie do zniszczenia przez ówczesne działa, aczkolwiek i te maszyny

ustawicznie się psuły i więcej ich egzemplarzy utracono z powodu awarii niż w walce. [Marsz wyzwolicieli, reżyser: Grzegorz Braun, 2009; [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=KW_\(czo%C5%82g\)&oldid=63746180](https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=KW_(czo%C5%82g)&oldid=63746180)]

Wydaje się, że zdarzające się często niedopracowanie i niesolidność wykonania były skutkiem antyinteligentnego terroru, odsuwania od zarządzania starych, przedrewolucyjnych kadr (na zasadzie: „Nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie inżyniera”). Trzeba też przyznać, że awaryjność sowieckiej produkcji nie była jej cechą „obowiązkową”: np. karabin Kałasznikowa *oceniany jest jako broń bardzo trwała, niezawodna oraz bardzo odporna na zanieczyszczenia i zaniedbania eksploatacyjne*.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Karabinek_AK&oldid=63753691]

Również radziecki czołg średni T-34 – produkowany w latach 1941–1958. W chwili pojawienia się na froncie II wojny światowej stanowił zaskoczenie dla Niemców ze względu na duży kaliber armaty i grubość pancerza. Miał opinię pojazdu, którego wykorzystanie znacząco wpłynęło na przebieg wojny.[...] T-34/76 był w 1941 pod wieloma względami najlepszym czołgiem na świecie, ale miał też wady, szczególnie problemy z niezawodnością mechaniczną. W 1996 roku T-34 był nadal używany przez 27 krajów świata. Średni przebieg międzyremontowy T-34 podczas wojny nie przekraczał 200 km. Uważano to za wystarczające, gdyż średni czas życia czołgu [przed trafieniem go] na froncie był znacząco krótszy. Na przykład w 1942 wynosił zaledwie 66 km. To usprawiedliwiało ich produkcję zgodnie z zasadą, że „Ilość jest jakością samą w sobie”. (Stosowaną również przy niefrasobliwym podejściu do strat ludzkich).

[<https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=T-34&oldid=66119708>]Upadek komunizmu odwlekał się, gdyż nie wszystko się w nim nie udawało (dzięki naiwnym entuzjastom, choć ci również trafiali na Sybir).

^{IX/s.109} Alik (albo autor) zdaje się stawiać tezę, że cierpienie w ogóle nie ma sensu (sens jest cierpieniu nadawany) i wyobraża sobie w szczęśliwym świecie poza historią (niczym jakiś hipis na Syberii, bo sceptycyzm wobec pieniądza, wojny, szkoły to elementy hipisowskie). W telewizyjnym programie „Kronos” zastanawiano się, „po co w ogóle są Czesi – bez misji”. Taki trochę „śmieszny”, niepoważny naród. (A nawet „bez honoru” – gdyż pozbawieni jakiegokolwiek pomocy w 1938 r. „mogli przynajmniej ładnie, z fasonem w obronie kraju zginąć”). Podobnie Białorusini? Jednak misja nie musi być niczym pozytywnym: konkwistadorzy i Hitler, Krzyżacy i krzyżowcy mieli swoje „misje”, które jedynie maskowały zbrodnię i rabunek. Sens cierpieniu nadawany jest także poprzez przyrodzone człowiekowi poszukiwanie związków przyczynowych również tam, gdzie ich nie ma. Wtedy pilnie potrzebny jest Bóg-sprawca (również zła, jeżeli ... dla czyjśgo dobra), skoro coś się stało, a przyczyny nie widać. *W czymże wiekopomność ludzkiego istnienia? [więc i cierpienia] – pyta autor.*

Cierpienie jest jednak potrzebne, przydatne (?) jako „budulec” przynajmniej w życiu społecznym (i w kulturze): np. odkryto, że (co najmniej) jedną piramidę w Ameryce

pobudowano nad miejscem pogrzebania żywcem kilku osób (zapewne znaczniejszych, takich, których cierpienie ma większą wartość jako „mocna” wersja tzw. ofiary zakładzinowej). Przeraza to, iż – przez swoją późniejszą niewidoczność, niewyeksponowanie – był to niejako element „konstrukcyjny” budowli, z premedytacją, planowo „wykonany” niczym fundament, położenie pod ścianę papy, której później nie widać. Ale czyż np. wyprawa przyszłego św. Wojciecha do Prus nie odbyła się podobnie, razem z religijną „nadbudową” na niej? (By nie szukać jeszcze dalej). Możliwe, że szczęśliwość byłaby nieznośnie nudna – przez brak kontrastu, jak w sztuce? Przez brak zmiennej dynamiki, zróżnicowania barwy? Muszą być jacyś cierpięcicy, święci, „gladiatorzy ducha”?

Poza tym cierpienie bywa atrakcyjne (zwłaszcza dla grupy – służąc jej konsolidacji; również w szkołach przetrwania – narkotyzując adrenaliną); podobnie atrakcyjny bywa smutek (szczególnie w muzyce, w malarstwie; architektura to przeważnie optymizm, jak każde budowanie, ta okazalsza to także symbol władzy).

^{X/s.101} Podczas II wojny światowej sowieccy partyzanci działający na Białorusi celowo dokonywali dywersji, aby następujące po niej niemieckie represje dotykały ludność cywilną, skłaniając ją do pomocy partyzantom. Skutek był taki, że w tamtej wojnie Białoruś straciła ¼ ludności (pewnie i wskutek wywózek na Sybir, ale w końcowym efekcie to niczego nie zmienia). Tyle Białoruś ***zainwestowała w nie swój los*** [sformułowanie z powieści], stając się ludnościową wydmuszką. Większość inteligencji zginęła na Syberii albo musiała uciekać z Niemcami (niektórzy próbowali zamieszkać pod zmienionym nazwiskiem na polskich Ziemiach Odzyskanych, gdzie nikt nikogo nie znał).

Ale **nie tylko to** można zakwalifikować jako pozbawianie Białorusi *ostatnich kapitałów* [tak to określa Sokrat na ostatniej stronie powieści]. Oprócz bowiem „kapitału ludzkiego” pojmowanego ogólnie jest jeszcze kapitał autorytetów i reprezentowanych przez nich idei „jak żyć, jak być”. I tak, nie mając swojego Janusza Tazbira, Białoruś pozwoliła również na to, by słynna tolerancja i wszelka społeczna postępowość była ‘polska’, Tatarzy – polscy, Kościuszko – wyłącznie Polakiem, by rozbiory Rzeczypospolitej (Obojga Narodów) nazywano *rozbiorami Polski*, by Wielkie Księstwo Litewskie w powszechnej polskiej świadomości było po prostu „taką drugą Polską, jak Mazowsze”, bo tak przecież „pokazywali to w telewizji”. (Tylko w serialu o królowej Bonie jest kilka słów po białorusku, co pewnie mało kto zauważył). W ten sposób Białoruś utraciła także swój **kapitał historyczny, kulturowy**, także w tym względzie stając się *pozanarodowościową* wydmuszką. *Schylaj się i bierz* z Białorusi – jak pisze Sokrat.

Najbardziej dziwi to, że odbywa się to nadal... w niepodległej Polsce, tej po 1989 r. W 2011 r. doprowadzono do aresztowania demokratycznego opozycjonisty Bialackiego (w Białorusi, ale dzięki Polsce). Cóż z tego, że niby niechcący, niezamierzenie, skoro wiele innych działań osłabiających demokratyczną opozycję w Białorusi podjęto świadomie poprzez antybiałoruskie działania w Polsce. Np. IPN obstawał, że Bronisław Taraszkiewicz (tłumacz „Pana Tadeusza” na język białoruski) nie powinien być patronem liceum w Bielsku (choć był ofiarą NKWD) [<https://bialystok.wyborcza.pl/bialystok/7,35241,22657770,bronislaw-taraszkiewicz-ofiara->

[stalina-i-ipn-atak-na-mniejszosc.html](#)]. Podobnie podważano zasadność nazwania ulicy imieniem poety Janki Kupały (również zabitego przez NKWD), tak jak (ewentualnie) podważano by zasadność jako patrona ulicy w Krynkach Sokrata Janowicza (represjonowanego już od 1970 r., nie dopiero po 13 grudnia 1981, jak wielu znanych opozycjonistów). [Maciej Chołodowski, *Gajcy za Kruczkowskiego. Kupała się uchował. Wojewoda zmienił nazwy ulic*, Gazeta Wyborcza, Białystok 13.12.2017] „Zamach” na Taraszkiewicza wpisuje się w niechlubny ciąg wrogich gestów i jest niezasłużonym ciosem w godność naszej tożsamości. [Aleksandra Czerniawska o szkodliwej dekomunizacji ulicy Taraszkiewicza, Gaz.Wyb. 18.11.2017] Taraszkiewicz czy Sokrat muszą być elementem białoruskiej tożsamości, bo nie ma innego wyjścia, zatem skutek jest tylko taki, że tożsamość białoruską en bloc przedstawia się jako „podejrzaną”, niegodną, niewartą tego, by w niej trwać.

Pośrednio (przez długoletni, sfingowany proces sądowy w Białymstoku) doprowadzono do rezygnacji prof.Mironowicza ze stanowiska redaktora naczelnego białoruskiego tygodnika *Niwa* (choć ostatecznie został on uniewinniony). Nawet metropolity nie oszczędzono, by lista „zneutralizowanych, poddanych w wątpliwość autorytetów” była możliwie kompletna i dotyczyła wielu dziedzin i epok historycznych. Oczywiście wszystko to (jakby) mimochodem, „w ramach rutynowych, standardowych procedur” (tak jak niemal całkowity brak tutaj nazw dwujęzycznych wynika – oficjalnie – „jedynie ze stosowania odnośnej ustawy”, z prawnego porządku-„rozsądku”).

W przypadku procesu dziewięciu dziennikarzy tygodnika „Niwa” tak to potem opisywano: *Zaczęło się od raportu Najwyższej Izby Kontroli [...] - **Próżno szukać**, na jakiej podstawie prokurator przyjął, że oskarżonym można przypisać winę umyślną. Nie usłyszeliśmy tego nawet, kiedy wygłaszał mowę końcową - wytykał sędzia. [i kontynuował:] - Skoro instytucje, które przyznawały dotacje nie są zainteresowane zwrotem wyłożonych pieniędzy, a taka praktyka jest stosowana także przez inne organizacje, to trzeba stwierdzić, że najwyraźniej **poza prokuratorem i osobami nieprzychylnymi oskarżonym nikt nie jest zainteresowany ukaraniem przewodniczącego rady programowej Niwy i jej księgowej. [...] Specjalnie na ogłoszenie wyroku przyjechał z Białorusi Aleksander Milinkiewicz z żoną, były opozycyjny kandydat na prezydenta. [...] Prokuratura nie chciała wczoraj wyroku komentować.- Najpierw zażądamy wyroku na piśmie, a potem podejmiemy decyzję co do ewentualnej apelacji - usłyszeliśmy od prokuratora Artura Sztachelskiego [twardziel!]. [https://poranny.pl/niwa-niewinna/ar/5043768] [17 maja 2006, 7:59]. Sprawie „Niwy” towarzyszył szereg nieprzychylnych tygodnikowi artykułów w prasie lokalnej oraz atmosfera nagonki w dyskusjach internetowych.***

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Niwa_(tygodnik)&oldid=65651037]

Jeśli wszystko zaczęło się w 2003 roku, to prokurator miał 3 lata na umorzenie sprawy bez procesu sądowego, ale w przypadku takiej polityki chodzi także o to, by nawet nie likwidując całkiem „przeciwnika” wycieńczyć go, osłabić, trwale zmienić jego zachowanie. Ponieważ przed całą „afetą” dotacja na kolejny rok spóźniła się, a tygodnik „Niwa” mimo to przez 3 miesiące nadal ukazywał się – i

tego uchwyciło się oskarżenie – prokuratorski atak na nieprzerwane istnienie czasopisma mimo chwilowego braku środków trudno w opisie sytuacji mniejszości przecenić. (Wśród Białorusinów *strach białoruski* pozostał: nawet fundacja VS przy terminie wydania książki do 30.11.2021 obawiała się wydrukować ją w połowie listopada; obawa niby absurdalna, ale tylko w takim stopniu... jak ów proces redaktorów „Niwy”, ministerstwo zaś ze swojej strony również nie chciało potwierdzić, że wydrukować można). „Afera” „Niwy” wybrzmiała za rządów lewicy, co – oczywiście! – nie ma znaczenia dla „głębszej, ponadpartyjnej tektoniki” procesu, jest tylko szczegółem; władza każdej opcji – mniej lub bardziej – dąży do tzw. *nowoczesności*, postępu, i to, co białoruskie jest dla niej jakby „przestarzałe”; jest czymś, co (przynajmniej z tego powodu) „trzeba” tępić.

Ciekawe, że cel likwidacji „Niwy” jest teraz osiągnany inaczej, dyskretniej: narzucono opłatę 3 zł za każdy pobrany numer archiwalny. To uderza w „pamięć społeczną”, bo jeśli np. chcę sprawdzić, co w tygodniku napisano o danej miejscowości w dwustu ostatnich numerach, metodą „pobierz PDF, otwórz, Ctrl+F, czyli szukaj zadanego słowa”, to musiałbym na to wyłożyć 600 zł. To nie ma uzasadnienia finansowego, bo ile można na tym zarobić? 100 zł miesięcznie? Uzasadnienie zatem jest inne: odciąć „Niwę” od niezamożnych przecież czytelników, a następnie zlikwidować ją jako „nikomu niepotrzebną”, zamieniwszy *misję publiczną* w – nierentowny - sklep@e-niva.org . Zamieniwszy sytuację: „mało płatnych czytelników” na „zupełny brak czytelników”. Chociaż budżet „Niwy”, całego mikrokosmosu spraw, równy jest części wynagrodzenia jednego europosła czy polityka „dojnej zmiany”. Ów **sklep** do likwidacji wykreował za niemałe pieniądze Narodowy Instytut Wolności - Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich na lata 2018 – 2030. Na pewno nie chodziło tu o Wolność w Internecie. **Powszechną praktyką jest to, że i w sieci, i w rtv znacznie kosztowniejsze treści są za darmo.** Podobnie jak Bielsacie, ale na Wschodzie państwu faktycznie na „misji”, na Wolności zależy. „Niwa”, krytykując Łukaszenkę, miała też „misję” na Wschodzie. **Teraz już nie ma.**

Dla odmiany polski „kapitał autorytetów” jest chroniony; według słusznej skądinąd – ale niestosowanej w przypadku autorytetów białoruskich – zasady, że najbardziej liczy się finał drogi życiowej danej postaci, czyli kto przeciw czemu ostatecznie walczył, nie zaś błędne wybory w młodości „durnej i chmurnej”. Dlatego np. Traugutt może być patronem ulicy, choć niegdyś jako oficer carski w armii gen. Paskiewicza tłumił powstanie na Węgrzech, walczył tam przeciw polskim oddziałom Józefa Bema, potem skutecznie bronił przeciw reszcie Europy Krymu dla Rosji, w obu tych przypadkach zasłużywszy na order, nagrody pieniężne i inne profity. Podobnie z Pułaskim: mimo że brał on udział w szkodliwej dla Polski i Białorusi konfederacji barskiej, ma swoje ulice, zupełnie jak Józef Wybicki (autor polskiego hymnu), który uczestniczył i w tej targowickiej. Ma swoje ulice i Piłsudski, choć z początku trzymał z lewicowymi terrorystami-rabusiami, czyli ludźmi akceptującymi śmierć ludzi postronnych, niewinnych – ale to było w młodości. [<https://histmag.org/Jozef-Pilsudski-terrorysta-mimo-woli-10915>; kreowanie „świętych” w: <https://teologiapolityczna.pl/pawel-rzewuski-porzucony-socjalizm>] Widocznie tylko Białorusinom ich dotychczasowe i nieliczne autorytety w polskim mniemaniu „nie są potrzebne” (wystarczy dziarski Jozafat Kuncewicz?). Samo poddanie ich w wątpliwość, bez dowodów, jak w przypadku Aleksandra Wołkowyckiego, może się dla autorytetu skończyć *zniknięciem*, tak „na wszelki wypadek”. Zamiast namysłu nad tym, dlaczego ów człowiek mógł nauczać języka białoruskiego „za pierwszego Niemca”, za sowietów, i „za drugiego Niemca”, ale czemuś nie za Polski, skazano go na

IPN-owskie zapomnienie.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Aleksander_Wo%C5%82kowycy&oldid=65505476] Białoruska mniejszość – inaczej niż Polacy – ma prawo tylko do autorytetów „niekontrowersyjnych”, czyli (w praktyce) do żadnych naprawde istotnych, gdyż samo bycie nie-Polakiem tutaj budzi „wątpliwości”.

Świetnie za to mają się nazwy ulic związane z nazwiskami Polaków, kojarzonych z haniebnymi postanowieniami traktatu ryskiego, o którym wspomina się tak: W 1921 r. w *sprawie oddania pod wpływ polskie Białorusi delegacja sowiecka była bardziej ustępliwa, na co z kolei strona polska się nie godziła.*

[Tadeusz Kmiecik, *Traktat ryski i jego konsekwencje 1919-1923*, Studia z dziejów wojskowości, t. III, 2014, str. 226]

Jak wspominał Dąbski: [...] w poufnych rozmowach Sowietci zgłaszali gotowość rezygnacji na rzecz Polski z całej Białorusi, podczas gdy większość członków polskiej delegacji z Grabskim na czele stanowczo się temu przeciwstawiała! [...] „Próby postawienia tej sprawy w Rydze natrafiły na zdecydowany opór ze strony polskiej”.[...] Grabski obawiał się bowiem, iż przyłączenie całej Białorusi umożliwi Piłsudskiemu częściową realizację programu federacyjnego, poprzez utworzenie z Białorusi państwa buforowego i sfederowanego z Polską. Na to zaś przedstawiciel endecji nie mógł pozwolić. Skłonił więc większość polskiej delegacji do podziału [rozbioru] Białorusi. [<https://jpilsudski.org/artykuly-ii-rzeczpospolita-dwudziestolecie-miedzywojnie/polityka-zagraniczna-dyplomacja/item/2133-traktat-ryski-sukces-czy-porazka>]

Po 1921 r. nie powstało państwo ukraińskie sfederowane z Polską rzekomo tylko dlatego, że Polakom i sprzymierzonym Ukraińcom nie udało się opanować całej Ukrainy. Jednak w przypadku Białorusi, przed podpisaniem traktatu ryskiego, wojska polskie i sprzymierzone białoruskie (gen. Bałachowicza) zajmowały większość jej terytorium z jej stolicą włącznie, a resztę proponowali Polakom sowieci, i zrzeczenie się przez Polaków połowy Białorusi na rzecz sowietów to zdrada w najgorszym wydaniu. (W najgorszym, bo chociaż w historii zdarza się w trudnej sytuacji porzucenie sojusznika i małoduszne ratowanie własnej skóry, to uczynienie tego w warunkach zwycięstwa oznacza skrajną głupotę i upadek moralny). Widzimy tu awanturniczość polskiej polityki, „po pańsku” ostentacyjną, od traktatu ryskiego po proces redakcji „Niwy”. (W tym drugim przypadku nawet 3 lata – albo jak kto woli ponad 80 lat po 1921 r. – do namysłu i „bezprocesowej” zmiany nastawienia wobec Białorusinów nie pomogło). Endecji zależało na tym, by ośrodek idei państwa białoruskiego z jego stolicą, Mińskiem, umieścić poza strefą wpływów Polski, co pozwalałoby w Polsce białoruskość zwalczać jako ideę sowiecką, wrogą. Polska sprezentowała Białoruś Rosji, choć sowieci wzbraniali się jak mogli. Dlatego dzisiaj nie ma niepodległego państwa białoruskiego (takiego, w którym język białoruski byłby – nie tylko incydentalnie – językiem władzy, szkoły i mediów).

Jednak sprawcy tego nieszczęścia o dziwo mają swoje ulice, ich patronami są endecy (np. Grabski, Dmowski), czyli co najmniej tzw. „pożyteczni idioci”, choć ulice te w...pierwszym rządzie nadają się do „rozszerzonej dekomunizacji”. (Nie te, których patronami są ofiary ich krótkowzrocznej polityki).

Mamy zatem tutaj znamienną sytuację: Stanisław Grabski w 1921 r. w traktacie

ryskim oddaje wschodnią Białoruś sowietom, to dzięki niemu Białorusi potem nie ma, to Grabski stwarza taką sytuację, że niejako na jego polecenie, „zagonieni w kozi róg” Kupała, Kołas, Taraszkiewicz tam, na wschodzie próbowali coś zdziałać (zwłaszcza, że z początku wydawało się to możliwe), a jednak to właśnie Grabski (Stanisław) – jeden z twórców całego nieszczęścia – bezproblemowo ma swoją ulicę w Polsce, podczas gdy Taraszkiewicz i teraz ma kłopoty, a np. „*nad Kołasem jeszcze pracujemy*” – jak *powiedział dr Korkuć* z IPN. Doktor ma za złe Taraszkiewiczowi, że był on na etacie w sowieckim *Instytucie Rolnym*, nie rozumiejąc, że „zaparkowanie” tam wybitnego filologa służyło tylko temu, by (przed późniejszą egzekucją) „unieszkodliwić” go w kontekście prowadzonej przez władze rusyfikacji, w tym „reformy” białoruskiej ortografii. (Poszła ona wtedy w tym kierunku, by np. zamiast *śmiech, lampa* pisać *smiech, lampa*, choć akurat to drugie słowo ostatecznie oszczędzono). Doktora to nie zraża: *Mamy w Polsce mnóstwo przyzwoitych uczonych, w tym i autorów polskiej gramatyki, którzy nie mają swoich ulic*. [16.11.2017, <https://dzieje.pl/aktualnosci/dr-korkuc-z-ipn-o-dekomunizacji-ulicy-bronislawa-taraszkiewicza-w-bielsku-podlaskim>] Jednak w języku polskim tak drastycznych „reform” komuniści nie przeprowadzali, gramatyka nie była obszarem polityki i stąd może polscy gramatycy na ogół nie mają swoich ulic.

Po rozwiązaniu ZSRR przez jakiś czas prywatne gazety (np. „Nasza Niwa”) używały ortografii Taraszkiewicza, czyli tej sprzed stalinowskiej reformy). Potem Łukaszenka im tego zabronił. Ciekawe, że teraz i po polskiej stronie muru jest (trochę) podobnie, bo w nazwach dwujęzycznych polsko-białoruskich nie wolno używać pisowni Taraszkiewicza, ani ... alfabetu łacińskiego (co nie musi być niedopatrzaniem, gdyż „zabezpiecza” katolicką Sokolszczyznę przed takimi nazwami, a o cyrylicy tam nie ma mowy). W sumie w tej sprawie to nic nowego, włącznie z atakiem na nazwę ulicy Taraszkiewicza, bo... podobnie sprzyjał rusyfikacji Władysław Grabski [ten ma wiele swoich ulic!]:

W Polsce wewnątrz Cerkwi prawosławnej rząd [Grabskiego] starał się umocnić jej rosyjski charakter, uznając jej ewentualną ukrainizację i białorutenizację za bardziej destabilizującą dla państwa.

[Wojciech Morawski, *Władysław Grabski, polityk, mąż stanu, reformator*, str. 27; https://www.nbp.pl/publikacje/historia/grabski_ksiazka.pdf]

Nie dziwi zatem, że Polska po traktacie ryskim przegrała również w obszarze wizerunkowym, bowiem w zachodniej publicystyce podkreślano przede wszystkim awanturniczy charakter polskiej polityki wschodniej. [egoistyczny, konkwistadorski, imperialny, polonizacyjno-rusyfikacyjny, bez miejsca na Białoruś, z ducha lisowczykowski, nastawiony na „zdobycz”, nie na tworzenie nowego, trwałego porządku] [<https://histmag.org/Traktat-ryski-hanba-czy-filar-bezpieczenstwa-na-wschodzie-22131>]

To *awanturnictwo*, lisowczykowskie nastawienie na łup widać też w kontekście zabytku zabranego Białowieży: posągu żubra z pomnika upamiętniającego polowanie cara. Pomnik wprawdzie powstał jako carski, ale Polacy – słusznie! – argumentowali, że z mocy prawa pomnik przynależy nie do kraju, który go

wytworzył (więc nie do Rosji), tylko do konkretnego miejsca (dokładnie, według współrzędnych GPS, czyli do okolic Białowieży). [http://www.dioblina.eu/Zubr_spalski] Kiedy jednak sowieci pomnik zwrócili (zgodnie z zapisami traktatu ryskiego o dobrach kultury) razem z pomnikiem polowania króla polskiego, tylko ten drugi wrócił do Białowieży (czyli precyzyjnie na swoje miejsce), natomiast posąg żubra potraktowano jak łup zdobyty na wrogim terenie (czyli taki, który łupieżca-lisowczyk może umieścić gdzie chce), i ustawiono go na placu zabaw dla dzieci w Spale. Tam on nie jest już pomnikiem, a jedynie zabawką (w 1935 r. na krótko został symbolem ZHP). *Białowieża upominała się o zwrot rzeźby, ale żubr tak już zadomowił się w Spale, że mieszkańcy nie wyobrażali sobie, by mógł to miejsce opuścić.[...] W Spale chyba jednak nie byli do końca pewni, jak się ta sprawa zakończy, bo postawili sobie w pobliżu drugiego żubra, tak na wszelki wypadek. Mało tego, ten nowy jest dużo bardziej widoczny od zabytkowego, stoi bowiem tuż przy głównej, przelotowej ulicy, Alei Prezydenta Ignacego Mościckiego, przy najważniejszym spalskim skrzyżowaniu.*

[<https://klubglobtrotterawarszawa.com/2020/04/27/zubr-ze-spaly/>] I tak do Białowieży wrócił tylko pomnik upamiętniający polowanie polskiego króla. Ale w czym (poza „łacińskością”) owo polowanie było „lepsze” od cesarskiego, skoro:

*„Polowano” w następujący sposób: służba leśna napędzała z zagrody zwierzęta do korytarza i gdy pojedyncze sztuki, widząc przed sobą otwartą przestrzeń, przyśpieszały biegu, padały od strzałów króla i jego żony Marii Józefy, siedzących wygodnie w altanie. Każdemu celnemu strzałowi towarzyszyły dźwięki fanfar. [...] Znana z pobożności królowa w trakcie łowów umilała czas... czytaniem książki. Rękę po strzelbę wyciągała tylko wtedy, gdy u wylotu korytarza pojawiło się zwierzę. Bez wysiłku zatem - jak podawał naoczny świadek - położyła trupem samych tylko żubrów 20 sztuk. Rezultat tego dziwnego „polowania” był następujący: 42 żubry, 13 łosi i 2 sarny. [...] August III był istotnie głupi jak stołowe nogi, ale Polska go **ubóstwiała**. [<https://bielsk.eu/hajnowka/36346-taka-historia-jak-krol-august-iii-sas-polowal-pomnik-masakry-zwierzat-w-puszczy-bialowieskiej>] Zaiste słusznie zauważył Dionizy Sidorski, że *wątpliwy jest urok arystokracji*. [*Nowe Kontrasty*, nr 1/1996]*

Jak widać polowanie Augusta III nie było bardziej godne szacunku, niż polowanie carskie, jednak raczej Białowieży, obszaru nieco „bizantyjskiego” (już od czasów Wlk. Ks. Litewskiego) musiały przegrać z postulatami Spawy, obszaru czysto „łacińskiego”; dlatego tylko to jedno, „wspaniałe, bo łacińskie” polowanie ma w Białowieży swój pomnik. Taka kolejna odsłona łacińsko-bizantyjskiego *konfliktu* (o ile tak ogólnie można nazwać ten pomnikowy rabunek lub polski rozbiór Białorusi w 1921 r.).

Tymczasem inni nie mają problemów nawet z rosyjską historią – po co udawać, że czegoś nie było, skoro było? Taka *Fascynacja* historią, *ale w ...Łodzi: do dziś jest Napis na Banku Handlowym w Łodzi - Волжско-Камскій ком. (коммерческій) банк* (od strony poczty) albo (odnowiony!) *Napis na sklepie ogrodniczym w Łodzi - J.K.Stoińscy - I. Стоинскіі 1895* [oba w: Wikimedia Commons]. A na Białostocczyźnie: „po co” kilkusetletni *Juszkowy Hrud, Hurynowszczyzna, Samohrud* – to wprawdzie nie rosyjskie, a swojejskie,

białoruskie z Wielkiego Księstwa Litewskiego, jednak i tak „bizantyjskie”, więc Polacy wolą „nowonazwy”, *grody* – „Dobre, bo polskie-katolickie”. Historia WKL tutaj boli?

Zatem również tak może wyglądać *wyprowadzanie ostatnich kapitałów*, w tym przypadku kulturowych, ze wsi do miasta, z prowincji do centrum. Można też wspomnieć o zlikwidowaniu – jeszcze w PRL – Białoruskiego Muzeum Etnograficznego w Białowieży (z zakazem jego odnowienia tamże) i przekazaniu jego eksponatów do Ciechanowca. (*W Ciechanowcu eksponatom zmieniono nazwy i pokazywano je jako zabytki kultury materialnej rękodziela ludowego Polski północno-wschodniej. Jedyne ślady po białoruskim muzeum zostały 2 księgi inwentarzowe, metryczki eksponatów, księga pamiątkowa i parę zapisków-dokumentów, ale i te z czasem gdzieś przepadły.*

[<http://www.encyklopedia.puszcza-bialowieska.eu/index.php?dzial=haslo&id=557>]

Skutek: Teresa Romanowska w artykule *Kultura wsi Mazowska i Podlasia w zbiorach Muzeum Rolnictwa im. K.Kluka w Ciechanowcu* zamieszczonym w „Etnografii Polskiej” nr 1/1986 r. pisze: *W zbiorach [...] znajduje się strój ludowy z okolic Bielska Podlaskiego podobny do stroju białoruskiego*. W sumie i posąg żubra obecnie jest *podobny* do tego, który stał i powinien stać koło Białowieży, gdyż w Spale nie ma on ujawnionej historii i mieć nie może, bo to byłoby tak, jakby w jego obecnym „miejscu pobytu” ustawić obok tablicę z napisem „Kradzione!”. Jest on zaledwie *podobny* do samego siebie przez swoją anonimowość, obecność „incognito”, niepełną, bo inna tam, w Spale, jest niemożliwa. I chociaż wyżej wspomniany *strój ludowy* jest białoruski, posąg zaś rosyjski, to „polityka historyczna” wobec nich jest jedna, jako polityka wobec tego, co kulturowo „bizantyjskie”.

Dlatego w kontekście tej (jednej-„antybizantyjskiej”) polityki można też widzieć również kosztowne wysadzanie dynamitem w 1961 r. cesarskiego pałacu myśliwskiego w Białowieży zamiast jego renowacji. Rzeczy ruchome – posąg żubra, eksponaty obecne w Ciechanowcu – wprawdzie „uratowały” się, ale tylko dzięki ich delokalizacji i zmianie ich funkcji na wspomnianą zabawkę w Spale albo na eksponaty polskie, gdy pałac nie dał się do Spawy przenieść, a bez tego nie można było dorobić do niego nowej historii, jak w Ciechanowcu, bądź – jak w Spale – po prostu ją przemilczeć. W ten sposób mamy „niby-pomnik-choć-już-nie-pomnik” w Spale, tymczasem koło Białowieży jego „prawie kopię”, choć powinno być akurat odwrotnie; jak widać *białoruskim chamom* zawsze mniej się „od traktatu ryskiego” należało, pod każdym względem. *Nieźmiennie* zatem i w tej sprawie przejawia się małostkowe *cwaniactwo* (tych słów używa w powieści Sokrat w kontekście „miasta zwycięskiego wobec wsi”, „mądrych panów wyprowadzających w pole głupich chamów”, choć w istocie nie tyle głupich, ile nieposiadających władzy). Natomiast pałacu w Białowieży w ogóle nie ma. *Istniał 67 lat. Gdyby nie został rozebrany w 1961 roku byłby jedną z największych atrakcji północno-wschodniej Polski. Niestety znajduje się na czele listy perełek, które przetrwały wojnę, lecz mimo to musiały [?] zniknąć z naszego krajobrazu.* [Przetrwały wojnę, ale nie przetrwały pokoju jako nowej wojny, tej na wyższym, symbolicznym poziomie, czystki]. *Tego losu natomiast nie podzieliła rezydencja*

magnacka w Białymstoku, pałac Branickich (choć notabene w fatalnym, kwalifikującym do rozbiórki stanie w 1944 roku).

[<https://bialystoksubiektywnie.com/blog/2018/06/22/palac-carski-w-bialowiezy/>]

Kiedy burzono pałac w Białowieży, w tym samym czasie remontowano – choć aż w połowie zniszczony, „wrogi” i „emocjonalnie cudzy, choć de iure już nie” – zamek w Malborku, prowadzano wycieczki do bunkra Hitlera koło Kętrzyna (atrakcje trochę „przemocowe”, mroczne, jak z *Pieśni Maldorora* Lautréamonta). Tymczasem to, że pałac w Białowieży był piękny, mogło mu tylko zaszkodzić, bo to, co „bizantyjskie” niemal z „definicji” nie powinno mieć cech pozytywnych, byłby to tzw. dysonans poznawczy, niezgodność z wpajaniem w szkołach poglądem.

W powyższym cytacie niezamierzenie celnie powiedziano: to, co wschodnie, „bizantyjskie” musiało zniknąć z naszego krajobrazu [pańskiego, katolickiego, *naszego*, bo teraz *on nasz*]. *Bez pana* bowiem *nie ma Polaka* [ani w II RP, ani w PRL, ani w III RP]. Jednak (parafrazując dalej Sokrata): „to nie była walka z Rosją ani Białorusią z osobną”, bo to byłoby nielogiczne – wszakże jeśli walczysz z Rosją, to popieraj przeciw niej Białorus i Ukrainę, sprzyjaj istnieniu tygodnika „Niwa” i wprowadzaniu nazw dwujęzycznych na podstawie wyników spisu powszechnego, nie na wniosek większości (radnych gminy), jak teraz. Zatem była to mianowicie walka i z Rosją, i z białoruskością naraz, czyli anachroniczna kontynuacja krucjaty przeciw „Wschodowi-Bizancjum” (tak więc tutejsi „polscy” Tatarzy, jak przedtem Turcy, mogą być spokojni); anachroniczne zmaganie przeciw „schizmatyckiemu” (na życzenie Rzymu) Wschodowi (Wschodowi „obrzydliwie bogatemu”, co już od XIII w. „wołało” o siłową „korektę-odbogacenie”, łupienie i bezsensowne, pracochłonne burzenie). W 1961 r. mieliśmy ciąg dalszy (jak przy burzeniu cerkwi w 1938 r. na Chełmszczyźnie) „poprawiania” *naszego krajobrazu-habitusu* na „milszy” dla oka (np. z niemal wyłącznie polskimi nazwami miejscowości). I tylko pośród tej walki przemykają gdzieś *cicho* wzdłuż *niepotrzebnego płotu ostatni Indianie Europy* [jak pisze Sokrat, na str.205].

Skoro jakby *Indianie*, to nie potrzebują oni również elektryczności, więc zdarzyło się, że elektrownia wyłączyła prąd w liceum „białoruskim” w Hajnówce; włączono dopiero po opłaceniu rachunku przez... Jerzego Giedroycia i Daniela Olbrychskiego. [„Niwa” nr 26, 25.06.2000; http://niva.bialystok.pl/issue/2000/26/art_01.htm] (Nie chodziło prz tym o to, że Białorusini są *Indianami*: oni mają nimi być, a od tego, by tak się stało, dysponują „panowie” odpowiednim przełącznikiem – prądu, nazw miejscowości zmienianych nielegalnie, w sposób utajniony po 1945 r., – jak przystało na warstwę „kulturalną, rozwiniętą”). Władze chyba były w szoku, bo widocznie starały się wykorzenić to, co „niewłaściwe” w „wolnej Polsce”, przy tym w tak prosty sposób: nie przyznając środków na elektryczność, a tu jakieś „dziwne” inteligenckie zachowania, jakieś fanaberie, jacyś obrońcy! To przecież Lenin chciał elektryfikować, więc niech tam idą? – porada w stylu Grabskich i traktatu ryskiego. Giedroyc i Olbrychski

uważają, że wielkość narodów mierzy się tym, jak traktują one mniejszości narodowe. [„Niwa” nr 26, 25.06.2000] Skoro tak uważają, to... niech sami płacą?...

Przy tej okazji dodatkowo wyjaśniam, skąd te moje obszernie komentarze. Otóż w powieści Sokrat podsumowuje niejako wszystkie swoje poprzednie wypowiedzi, w tym prasowe, co sprawia, że posługuje się skrótami niejasnymi dla czytającego tylko ten jego tekst (np. *ostatni Indianie Europy*), a już na pewno nie są czytelnikowi znane wszystkie liczne fakty stojące za podobnymi skrótami. To zdegradowanie kultury białoruskiej w Białowieży (szerzej: niegdyś wspaniałej-bizantyjskiej, tam nawet „pałacowej”) do poziomu *indiańskiej* służyło wykreowaniu nowego, „czystego” symbolu: Białowieży jako drugiego Wawelu [były też porównania do Jasnej Góry, zatem ogólnie w duchu *łacińsko-rzymskim*]: *Puszcza Białowieńska jest dla Polski tej rangi obiektem-symboliem, co Wawel*. [<http://las.uni.wroc.pl/index.php/badania-w-lesie/ratujmy-ostatni-las> pierwotny]

[<https://fakty.tvn24.pl/oglada-online,60/puszcza-bialowieska-jak-wawel-artysty-chca-interwencji-wladz-rp,741440.html>] Nie sądzę, by powszechnie miano tu na myśli jakiś nowy-symboliczny Wawel, jagielloński, wielokulturowy, wielowyznaniowy. (Bo ten konkretny jest oczywiście katolicki).

Zatem mamy tu grupki *ludzinów* zaledwie, bo bez kapitału swoich akceptowanych przez polską większość autorytetów, bez obiektywnie – historycznie i językowo – prawidłowych nazw miejscowości. Bez zabytków historii. Niekoniecznie własnej, białoruskiej, ale i tak cennych, tak jak cenny jest dla Polaków – również „biznesowo” – zamek w Malborku, choć cudzej proveniencji (przy tym jednak „łacińskiej”, więc w sumie „swojski”?).

Skoro o „biznesie”, to kiedyś Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne (BTS-K) finansowało się też dzięki spółdzielni „Betesca” (od BTSK), czego jeszcze w PRL-u go pozbawiono, zgodnie z Sokratową zasadą: Którakolwiek nastalaby władza, zawsze ty, Białorusinie, jej nie w smak. Nie ma rządu białoruskiego, to i „nie ma” Białorusinów! To paradoks, że w komunizmie BTS-K miało jakieś własne dochody, a teraz, w kapitalizmie, całkowicie zależne jest od dotacji:

Przełomem stało się założenie w 1963 r. przez BTSK w Warszawie przedsiębiorstwa Betesca, produkującego wyroby plastikowe, aromaty spożywcze i chemię gospodarstwa domowego. Jej dyrektorem był Piotr Łastawka, znany białoruski działacz. Betesca zatrudniała 250 osób i łożyła duże pieniądze na działalność Towarzystwa.[...]W epoce gierkowskiej nastąpił proces rugowania białoruskości ze społecznego życia Białostoczczyzny. W 1976 roku pierwszy sekretarz PZPR Edward Gierek otwarcie powiedział, że PRL to państwo jednolite narodowościowo. Już w 1970 zadano białoruskości ostry cios, zamykając silny jej ośrodek - Liceum Pedagogiczne w Bielsku Podlaskim. [http://archiwum.przekladprawoslawny.pl/articles.php?id_n=1151&id=8]

Przerwano także działalność spółdzielni produkcyjnej „Betesca”, która dawała część środków pieniężnych na utrzymanie Towarzystwa. Władze argumentowały, iż BTS-K jako organizacja kulturalno-oświatowa nie powinna zajmować się działalnością gospodarczą. [Anna Idzior, Białorusini, w: Stowarzyszenia mniejszości narodowych, etnicznych i postulowanych w Polsce po II wojnie światowej, 2013, str.62]

W przypadku prapoczątku wspomnianego „antybizantyjskiego” trendu wyglądało to następująco: *IV krucjata, tak jak i poprzednie, miała błogosławieństwo Rzymu, a duchowieństwo aktywnie w niej uczestniczyło. Bogactwa Bizancjum wywożone były na Zachód przez całe pół wieku. Niemal każdy europejski klasztor i liczne kościoły wzbogaciły się kosztem skarbów bizantyjskich. Muzea szczyły się obrazami i rzeźbami. Grabiono wszystko, nie tylko ogromne ilości złota i rzadkie dzieła sztuki. W pożarach spłonęły bezcenne arcydzieła starożytności wykonane z kości słoniowej czy ze szlachetnych materiałów. Splądrowano zbiory biblioteczne. Zniszczono między innymi komplety dramatów Sofoklesa i Eurypidesa. Wywożono nawet ogromne rzeźby. Na Zachodzie znalazły się też zagrabione ze świątyń Bizancjum bezcenne relikwie: korona cierniowa, [...] płótno pogrzebowe Chrystusa – zwane Całunem Turyńskim [...] oraz mnóstwo relikwii świętych. Eksperci uważają, że 70-75 procent wszystkich tego typu obiektów religijnego kultu i czci w Europie Zachodniej rozsianych po niezliczonych katedrach, kościołach, bazylikach i klasztorach pochodzi właśnie z Konstantynopola. [<https://www.travelman.pl/chwała-i-hańba-wenecji-tajemnica-4-rumaków/>]* Bizancjum „przyswajano”, „przytulano” głównie jako przedmioty, nie kulturę; dlatego nieruchomości bizantyjskie zrujnowano, jako nie dające się wywieźć.

Podział Cesarstwa Rzymskiego na wschodnie i zachodnie nastąpił z potrzeby lepszego zarządzania, obie części współpracowały ze sobą przeciw barbarzyńcom; dopiero później pojawiła się rywalizacja i dobieranie w niej jakiejś trzeciej siły (Turcji), jak to w polityce. W końcu wystąpiło między nimi „na ogromną skalę rozszczepienie”, również wyznaniowe, i tu za symboliczną datę przyjmuje się rok 1054. Nie był to jednorazowy akt, lecz proces, który rozciągał się w szerokich ramach chronologicznych, trwający aż do XIII w. Wtedy wiele osób nie zdawało sobie sprawy z istnienia schizmy.[...] Za jedną z przyczyn rozłamu uznaje się różnice cywilizacyjno-kulturowe (wówczas: bogaty wschód, biedny zachód). [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Wielka_schizma_wschodnia&oldid=67070259] Zawsze najgłębszą „przyczyną” grabieży jest czyjeś bogactwo. Tymczasem sami mieszkańcy Konstantynopola długo unikali nazywania się Grekami, gdyż słowo Helleni brzmiało im jak „poganie”, dlatego nazywanie mieszkańców Cesarstwa przez krzyżowców „Grekami” mogło być dla nich obraźliwe. [Jednak w ten sposób „konflikt” – złodzieja z bogaczem – został już nazwany; idea poprzedza działanie.] Termin *cesarstwo bizantyjskie* został stworzony przez *nowożytnych* historyków i *nigdy* nie był używany podczas istnienia imperium. W języku greckim nazwa cesarstwa brzmiała *Basileia tōn Rōmaïōn* (Βασιλεία τῶν Ρωμαίων) – „Cesarstwo Rzymian” (co było przekładem łacińskiej nazwy Cesarstwa Rzymskiego – „Imperium Romanōrum”), albo po prostu *Rōmania* (Ρωμανία). Sami Bizantyńczycy nazywali się Rzymianami (*hoi Romaioi*) lub zwykle *chrześcijanami*. [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Cesarstwo_Bizanty%C5%84skie&oldid=67063396] Trudno nie odnieść wrażenia, że termin Bizancjum stworzono też po to, by nie „wyszło na to”, by nie raziło, że sam Rzym, niczym kanibal, zniszczył Cesarstwo Rzymskie (jak owi głupi partyzanci w powieści).

Po takim rabowaniu Bizancjum, *psychologicznie traktując*, Zachód mógł Konstantynopola jedynie „nie lubić”: tak jak dłużnik nie lubi wierzyciela, właściciel pożydowskiej kamienicy Żydów, a mieszkaniec Spały spode łba patrzy tych z Białowieży. Wtedy najwygodniej jest przypisywać obrabowanemu lub oszukanemu rozliczne złe cechy, usprawiedliwiające jego uprzednie potraktowanie-łupienie. Jako minimum wad przypisuje się swojej ofierze przynajmniej głupotę, jak niegdyś chłopom pańszczyźnianym: „tyrającym, jak i głupcom się należy”.

Paralela z łańciuską odsieczą Bizancjum, nieoczekiwanie zakończoną jego rozgrabieniem i ruiną, jest aż nazbyt widoczna: polska wyprawa na Białoruś, zakończona traktatem ryskim w 1921 r., również miała ocalić obszar pokrewny kulturowo, tym razem nie przed islamem, lecz przed sowietyzmem. Jednak i ta wojna zakończyła się *awanturniczo*, tj. ostateczną likwidacją tego państwa zamiast jego obrony (choć tutaj łupy były skromniejsze niż te weneckie, takie jak ów żeliwny posąg żubra z fabryki Ogariewa, nasuwający tematyczne skojarzenie z kwadrygą z brązu wywiezioną do Wenecji z Konstantynopola – potem taką chciał mieć i Paryż, i Berlin). (Nie można bagatelizująco twierdzić, że wojna z Rosją zakończyła się w 1921 r. traktatową „likwidacją Białorusi zanim ona kiedykolwiek powstała”, gdyż państwo o języku urzędowym starobiałoruskim wcześniej istniało: było to Wielkie Księstwo Litewskie – pozostające w unii z Koroną, w której w urzędach posługiwano się językiem staropolskim).

Wracając do szyldów z nazwami ulic: kiedyś na nich (np. w Łodzi w PRL) umieszczano pod nazwiskiem krótki opis: *Traugutt*, [jako] *dyktator powstania styczniowego* [nie zaś jako pogromca powstania węgierskiego, bo nie za to go cenimy]; podobnie byłoby: *Stanisław Grabski*, [jako] *minister* [bo jako grabarz Białorusi nie zasługuje na to, by być patronem ulicy]. I takie doprecyzowania były dobre.

Zatem podejście administracji rządowej do kwestii białoruskich patronów ulic polegające na szukaniu w ich życiorysach jakiegokolwiek „haka” nie opiera się na logice, tylko na polonocentryzmie, na zasadzie domniemanej, „domyślnej” „oczywistości” autorytetów polskich (także tych działających niegdyś w warunkach posiadania niepodległego państwa). (*Prawicowa przyjaźń polsko-węgierska to przyjaźń tak zwanych „suwerenistów”, którzy uważają, że ich kraje są najważniejsze na świecie. [Nekropolityka, czyli państwo jako ciało. Rozmowa z Istvánem Révem, Szum, 8.11.2019, w: <https://magazynszum.pl/nekropolityka-czyli-panstwo-jako-cialo-rozmowa-z-istvanem-revem/>] Skoro najważniejsze, to polskich patronów ulic dotyczą inne reguły.*) Tymczasem „autorytety dla Białorusinów” są w polskich oczach „podejrzane” (choć im nie było dane żyć w warunkach luksusu międzywojennej niepodległości, białoruscy działacze nie mogli być „nieskazitelni”, musieli lawirować, próbować coś „ugrać” w sowieckiej Białorusi – gdy z Polakami, z Grabskimi nie wyszło: nie byli zainteresowani). Równie dobrze doktor IPN mógłby powiedzieć: my, Polacy, jesteśmy lepsi, bo mieliśmy wtedy niepodległe państwo. Nauka o takim wywyższaniu się „nie wprost”, ale poprzez rzekomą

„oczywistość” swego uprzywilejowania (czyli nauka o przemocy symbolicznej) ujmuje to następująco:

*Przemoc symboliczna [...] to miękka forma przemocy polegająca na uzyskiwaniu różnymi drogami takiego oddziaływania klas dominujących czy uprzywilejowanych na całość społeczeństwa i na klasy podporządkowane, by podporządkowani postrzegali rzeczywistość, w tym samą relację dominacji, której są ofiarą, w kategoriach percepcji i oceny wyrażających interes klas dominujących. W ten sposób **podporządkowani postrzegają swoją sytuację jako naturalną lub nawet korzystną czy pożądaną dla nich samych**, bo postrzegają rzeczywistość społeczną w kategoriach stworzonych przez klasy dominujące w celu legitymizacji ich dominującej pozycji. Istotą tej przemocy jest narzucanie **arbitralnie dobranych treści kulturowych** przez arbitralną władzę, co przekłada się na kształt relacji społecznych i **sposób emocjonalnego reagowania**. [...] Grupa społeczna może wywierać nacisk symboliczny, **gdy posiada wystarczająco duży kapitał symboliczny**, który uzyskuje w drodze konwersji nań innych odziedziczonych lub zdobytych kapitałów (kulturalnego, społecznego, ekonomicznego). [...] Klasy (lub inne kategorie społeczne zależnie od epoki) rządzące **dobierają** w taki sposób dobra symboliczne, aby **reprodukować własną strukturę**. [...] Przemoc symboliczna jest najskuteczniejszą formą sprawowania władzy nad klasami podporządkowanymi, gdyż z reguły nie dostrzegają one nawet, że jest to forma przemocy. Są one przekonane, że jest to **naturalny porządek**, że osoby i grupy społeczne posiadające duży kapitał symboliczny po prostu są **lepiej i ich lepsze społeczne usytuowanie jest normalne**, nie poddają go więc refleksji. Duży kapitał symboliczny pozwala oddziaływać przemocą symboliczną (lub władzą symboliczną) poprzez:*

*system edukacji i wpajane przezeń treści, poprzez symboliczną otoczkę pola władzy, na którą mogą się składać np.: monumentalna architektura, onieśmielająca „szarego człowieka”, insygnia i atrybuty władzy, od **korony królewskiej po perukę czy młotek sędziego**; specyficzny język, np. prawniczy [np. prokuratora Sztachelskiego], naukowy lub w inny sposób elitarny, np. wyrafinowany literacko i w ten sposób demaskujący „prostactwo” języka przedstawicieli klas podporządkowanych [np. „języka prostego, sokolskiego”]; tytuły szlacheckie, naukowe, prawnicze, kościelne, etykiety VIP, itp., poprzez otaczanie się wyrafinowaną, ekskluzywną (czyli etymologicznie: wykluczającą [„chamów”]) sztuką.*

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Przemoc_symboliczna&oldid=64819922]

Tłumaczy to doskonale, jak można z pozorów tylko „dopilnowywać odnośnych procedur”, a faktycznie sprawować przemoc. W kontekście posągu żubra w samym sformułowaniu, że „przeniósł” go (nie „ukradł”) prezydent Mościcki zawiera się element przemocy symbolicznej: już samo słowo „prezydent” ma onieśmielać (tak jak samo jak określenie „rządowa Komisja” ma „zapewniać”, że w nazwie miejscowości *Samogród* nie ma żadnego – merytorycznego ani „społecznego” – błędu, skoro... słowo „gród” z pewnością tak „się” – również w nazwie

miejscowości – pisze. „Sieć” – jak mawiał Edward Stachura, który *uczył kolejne pokolenia, jak pokochać pogranicza – świata, Polski, ale też te inne, krawędzie rzeczywistości, w której żył on i jemu bliscy.* [https://www.granice.pl/publicystyka/edward-stachura-biografia-zycie-tworczosc/1423/1].

W skali jednostkowej owa utrata kapitałów może mieć charakter bardziej dosłowny: np. przekazuje obywatel dom na (antyłukaszenkowską, jak wszystko, co białoruskie, więc proeuropejską) fundację, płaci 140 tys. zł podatku w latach 2006-2007 (potem koniunktura się zmienia i okazuje się, że w skali 5 lat oddał wtedy państwu cały zysk), ale potem drukować książki i tłumaczyć teksty musi na własny koszt, wydawać jak w PRL, w drugim obiegu, reaktywując B.N.V. (Jak więc się nie domyślić, że świat ewoluuje po spirali, a tyle tej różnicy, że coraz wyżej i wyżej.) W tym kontekście przypomina się Beatlesowskie *You never give me you money (Because: i o tym m.in. jest ta książka)*, albo z książki przysłów sokolskich: *Jak ż jajca, tak da kanca. Abiacanaho więk czakajuć. Służy panu wiernie, jon tabię piernie. Praz paslancaŭ woŭk ni tyja.* (Jon hałodny potym wyja).

Zatem i ja, sceptycznie, nie oczekuję cudu (rzeczywistej przychylności dla kultury białoruskiej), wobec czego i nie obawiam się, że taki cud nie nastąpi; jestem wolny (co oczywiście kosztuje).

Swój sceptycyzm odnośnie państw „anarchistycznie” (?) ujął Sokrat następująco (pisząc o swojej ojczyźnie, którą stanowiły):

dom, matka, ojciec, brat, ciotki, wujkowie, obojście, pies podwórzowy, kury, owce, krowa, lany zbóż, łąka, cerkiew, wesela, chrzciny, pogrzeby, koledzy (potem koleżanki), wieczornice, zabawy na pastwisku, horror folklorystyczny. I tyśiąc innych przedmiotów oraz sytuacji, nigdy zaś posterunek policji czy szkoła albo urząd jakowys, które eksponowały tę drugą, narzuconą, przychodzącą wraz z oddziałem zbrojnych. [S.Janowicz, *Moja mała ojczyzna*, w: tegoż, *Terra incognita: Białoruś*, s. 64]

(Kontekst: *Norwid nie zawahał się oskarżać Adama Mickiewicza o brak patriotyzmu ze względu na jego zbyt ciasne* [„nieimperialne”?] *pojęcie ojczyzny.*

[Ryszard Zajączkowski, *Głos prawdy i sumienie: Kościół w pismach Cypriana Norwida*, 2012, str.46]. *Przeciwnicy polityczni poety zarzucali mu brak patriotyzmu i wywyższanie Rosji.* [Z.P.Kruszewski, J.Pólturzycki, *Adam Mickiewicz: 1798-1855-2005, wielkość-tradycja-pamięć*, 2006, str.53] Takie zarzuty stawiano i Czesławowi Miłoszowi.)

Wszystko to pojawia się i w tej powieści: *lany* [rosistych, po freudowsku] *zbóż, wesela, cerkiew, horror, wujkowie* [w tym obcy, przyszywani, strzelający z naganów], *urzędy* [co najmniej czterech proveniencji], *policja, szkoła*, czasem *straszna* i niczym *kpina z rusińskiej gołoty*, i *przychodzące z różnych kierunków oddziały zbrojnych*, a z nimi nowe *ojczyzny, jednakowo intymidujące i rabujące wieś, nie tylko z tego, co materialne.*

Morał: Polska ma duży problem z zaistniałym zróżnicowaniem, zakłamaniem swojej polityki wobec Białorusinów (*niezmiennie* rozdartej pomiędzy

„nawykowym, nałogowym” szkodzeniem im a polityczną oraz „unijną” koniecznością ich popierania – to ostatnie tylko do czasu obalenia Łukaszenki, nie dłużej?), czyli z niespójnością tej polityki, hipokryzją, a w konsekwencji z jej nieefektywnością, nieskutecznością. Zapewne wydawanie w Mińsku opozycyjnej białoruskojęzycznej gazety „Nasza Niwa” w Białorusi oceniane jest w Polsce jako coś pozytywnego tam, ale wydawanie tygodnika „Niwa” tutaj, na Białostocczyźnie, już niekoniecznie. Podobnie jakimś cudem w Białorusi nazwy miejscowości są białoruskie, ale tutaj Polska dwujęzycznych nie chce, więc wymaga w tej sprawie ponad 50% głosów (czyli większości) w radzie gminy, co przy „kombinacji-współdziałaniu” tego świadomie i zamierzenie „dysfunkcyjnego” przepisu ustawy z efektami przemocy symbolicznej, zgodnie z którą sami tutejsi Białorusini swoje *podporządkowanie* na ogół *postrzegają jako naturalne*, a brak nazw dwujęzycznych jako *nawet korzystny* [!] *czy pożądaný* [!] *dla nich samych* [bo „ratujący” ich przed ksenofobami?], skutkuje niemal całkowitym brakiem takich nazw. Oczywiście nazwy dwujęzyczne teoretycznie nadal są możliwe i na tym właśnie polega niekonsekwentna, niestabilna, płynna nietolerancja zwana „tolerancją” – tak można to określić przez analogię do *płynnej nowoczesności-ponowoczesności*). Zawsze ta *płynność*, niestabilność, niepewność co do tego, jaki stan mniejszości białoruskiej w Polsce władze uważają za pożądaný. Albo inaczej: nie wiadomo, co administracja robi chętnie i z nadzieją na jakiś przewidywany pozytywny efekt, a co tylko dlatego, że w UE „tak wypada”. Przejawia się to w różnych sytuacjach, m.in. w tym, że miesięcznik „Czasopis” wprawdzie otrzymuje dotację, ale kiedyś (w 1999 r.) było to zagrożone, i kto wie, czy by jeszcze istniał, gdyby nie interwencja Jerzego Giedroycia, Czesława Miłosza i „Tygodnika Powszechnego” w ministerstwie. [„Kurier Poranny” z 30.03.1999, a także *Dzienniki Sokrata Janowicza*, w nich zapis z 23.09.1999, 13 i 24.10.1999 oraz z 21.11.1999 r.: *Gdyby nie chodziło tu o Sokrata, to „Czasopisu” już by [z polecenia ministra] nie było!* [https://kamunikat.org/usie_knihi.html?pubid=4049&lang=PL; przycisk „cały tekst”]

Sprawy białoruskie tutaj odzwierciedlają stan spraw polsko-rosyjskich:

W 1921 r.: egoistyczny traktat ryski, podpisywany w przeświadczeniu, że historia polsko-rosyjska „skończyła się, wygasła”, więc można Białoruś „rozebrać” między Polskę i Rosję jako już niepotrzebny bufor.

Po 1989 r. kolejny egoizm: *Od 2002 datuje się ochłodzenie stosunków białorusko-rosyjskich, co znalazło m.in. wyraz w ostrej reakcji Łukaszenki na propozycję Putina włączenia Białorusi jako guberni do Federacji Rosyjskiej.* [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Alaksandr_%C5%81ukaszenka&oldid=66591516] W rzeczywistości Łukaszenka (zdeklarowany moskalofil) jako prezydent nie chciał jedynie być zdegradowany do rangi gubernatora. Jednak najwidoczniej w Polsce naiwnie uznano, że Białoruś jest w miarę „normalnym” państwem, a nawet jeśli niezupełnie, to Rosja jest trwale słaba, niegroźna (w 1999 r. nie mogła zapobiec wejściu Polski, a w 2004 r. państw bałtyckich do NATO), zatem białoruski bufor „jest Polsce albo niepotrzebny, albo już istnieje”. Zrezygnowano w Polsce z popierania demokracji w Białorusi, a więc i ze wspierania

białoruskiej mniejszości narodowej, czyli kultury białoruskiej na tym obszarze, gdzie Polska mogła cokolwiek swobodnie w tym kierunku robić. Zarządzano „remanent likwidacyjny”: wspomnianą likwidację tygodnika *Niwa*, ewentualnie *Czasopisu*, symboliczne zgaszenie światła w „białoruskim” liceum w Hajnówce, w 2011 r. udzielono pomocy prawnej Łukaszence dostarczając dane pomocne w osądzeniu białoruskiego opozycjonisty Alaksandra Bialackiego, itd.

Towarzyszyło temu – *demokratyczne!* – „czyszczenie, odbiałorusianie” historii wstecz: 8.10.1990 r. radni Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” sformułowali tzw. *Protest Radnych Rady Miejskiej w Bielsku Podlaskim*. W *Proteście* padło następujące stwierdzenie: *Ludność prawosławna Podlasia nie jest mniejszością narodową, lecz rdzenną ludnością polską zruszczoną i przypisaną pod przymusem do kościoła prawosławnego podczas zaboru rosyjskiego*. [Czasopis nr 7/1990, str.23]. **Do roku 1989 na tych terenach nie było w ogóle Białorusinów**. Dopiero teraz **trochę na siłę** „niejako stwarza się ich” tutaj... **Problem prawosławia wyrósł na dobre, kiedy odzyskaliśmy wolność**. *A ponieważ rząd tego nie widzi, Kościół musi w tej kwestii zajmować stanowisko i polskość bronić*. [„Gość Niedzielny” nr 35, 29.08.1993, *Problemy z sąsiadami, rozmowa z arcybiskupem białostockim...*] Na czymże może polegać ww. problem prawosławia? Chyba tylko na samym jego istnieniu (jak niegdyś „problem” istnienia – i bogactwa, także kultury – Bizancjum). Rada na to jedna – jak w przypadku Białorusinów: nieistnienie; rzekome lub rzeczywiste (to ostatnie ciągle nieosiągalne). Podobnie: na czymże może polegać ww. obrona polskości w warunkach wyłącznie polskich szkół, urzędów, 99% dominacji polskość w przestrzeni publicznej? Jeśli na obstawaniu przy tym, że bytowanie Białorusinów tutaj jest nieuzasadnione, *trochę na siłę*, to nie byłaby żadna obrona, tylko dorzynanie resztek w ramach „dbania o czystość” przestrzeni publicznej. To niedobrze, że każde polskie *odzyskanie wolności* podnosi „problem istnienia” prawosławia w Polsce.

Wytłumaczenie tego *na widoku*: Biedronka jest dla Żabki złem, „zła” ona jest, i nie z jakichś szczególnych powodów, tylko mianowicie przez sam fakt jej istnienia. W walce pomiędzy sieciami można próbować stygmatyzować-piętnować, rozgrywać to, że np. Dino jest „polskie”, a Biedronka czy Lidl obce (i podobnie czyni się w przypadku konfesji, by podłączyć się, wyzyskać siłę państwa, zaprząć ją na rzecz swojego materialnego wzrostu), ale oczywiście nie jest zadaniem rządu obrona wybranej sieci, więc *rząd tego – „problemu” – (na ogół) nie widzi*. Jednak świeccy władarze to także konkretni ludzie, statystycznie rzecz biorąc katolicy, stąd też mogą oni być w taką walkę firm wciągani. Dlatego Kościół (*ludowy*) nie eksponuje tego, że tak jak prawosławie ma grecką proveniencję, tak katolicyzm ma nie częstochowską, polską, tylko italską. (**Ludowy, obrzędowy, nierefleksyjny** – taki Kościół tworzył prymas Stefan Wyszyński. (...) *Dziś moglibyśmy powiedzieć, że to Wyszyński radiomaryjny, promujący emocjonalny, niepogłębiony przekaz wiary, zredukowany do ludowej, katolickiej bańki. To Wyszyński, który z niepokojem patrzył na konsekwencje II Soboru Watykańskiego. To Wyszyński, który patrzył na środowiska intelektualistów katolickich jako przeszkodę w realizacji jego projektu*

ewangelizacyjnego. I obawiam się, że dziś właśnie to zostało – płytki, **konfrontacyjny przekaz obłęzonej** [tutaj: jakoby przez Białorusinów] **twierdzy**. Podstawą owej konfrontacyjności jest to, że zdaniem prymasa Polak, katolik i obywatel to jedność, której nie można rozdzielić, gdyż taki podział – według Wyszyńskiego – byłby sztuczny. Kościół jest oczywistym przywódcą narodu i państwa. [Piotr Janczarek, Stefan Wyszyński. Prymas z innego tysiąclecia. Twoja Historia, Portal dla tych, którzy wierzą, że przeszłość ma znaczenie. I że historia to sztuka dyskusji, a nie propagandy, <https://twojahistoria.pl/2021/10/23/stefan-wyszynski-prymas-z-innego-tysiaclecia/>] Zatem – konsekwentnie – jeśli Białorusin, to koniecznie prawosławny (nie katolik, jak na Sokolszczyźnie), a jako obywatel tylko „tolerowany”, intymidowany (skoro istniejący *trochę na siłę*, więc w zasadzie „nieistniejący”).

Istnienie Boga wykazał m.in. Bach (choć „szkoda”, że protestant, ale był też Mozart i wielu innych), więc nie o tym tu mówimy, ale i tenże Bach (podobnie jak światło, które ma naturę falową i korpuskularną zarazem) ma podwójną naturę, tak duchową, jak i materialną, biznesową, bo istnieje również jako płyta CD czy nuty o konkretnej cenie w sklepie. Także religia może być także towarem i w trakcie walki między jej „dystrybutorami-firmami” stosowane są różne niedozwolone chwytły: np. ten, że dana firma jest „bardziej polska w Polsce”, więc trzeba jej *bronić*. Jeśli dojdzie do użycia takiego argumentu, rzeczony Dino nie przyzna, że chociaż ma znaczącego polskiego, polskojęzycznego akcjonariusza, etnicznego Polaka, to jednak większość kapitału firmy jest międzynarodowa, anonimowa, kosmopolityczna. Podobnie Kościół rzymskokatolicki nie przyzna, że formalnie, strukturalnie jest nawet mniej polski, mniej zależny od polskiego rządu, niż autokefaliczna Cerkiew w Polsce. Dzięki temu powyższemu porównaniu do firm wiemy, dlaczego takim „niebezpieczeństwem” dla „polskości” (czytaj: Kościoła, który pod „obronę polskości” się „podłącza”) zdawała się białoruskość, pomimo tego, że niebawem może ona tutaj całkiem zniknąć: wszak dla Biedronki czy Żabki samo pojawienie się Dino powodowało alarm najwyższego stopnia nawet wtedy, gdy Dino miało zaledwie 1% rynku, bo to się mogło zmienić (i zmieniło się). Jednak w przypadku białoruskości, znajdującej się w głębokiej defensywie (delikatnie mówiąc!), takie obawy i „obrona polskości” tutaj są nieuzasadnione, absurdalne. Dlatego podkreślam, że problemem białoruskości jest zwalczanie jej ze 100-krotnie większą mocą, niż „zasługuje” na to siła białoruskości, jej dynamizm, raczej jego brak. Przy tym owo państwowo-kościelne przeciwdziałanie „paskudnemu Bizancjum” odbywa się w sposób tylko nieformalny, co najbardziej skuteczny: poprzez intymidację, „zawstydzanie” (że: jak tak można „zabierać” Spale żubra, muzeum w Ciechanowcu odbierać eksponaty, mówić po białorusku na przerwie w szkole, umieszczać w reportażu w polskiej gazecie cytaty w *mowie prostej*, chcieć mieć tę czy inną obiektywnie, historycznie prawidłową nazwę miejscowości albo chcieć mieć w Białowieży „wrogi, bo niekatolicki pałac” – przecież wystarczy, że mamy, „my, wszyscy” Malbork, także nasz-łaciński zamek w Książu, itd.; po co więcej?).

Stan obecny: to stan nijaki, *płynny*, tj. sytuacja, kiedy bufor między Polską a Rosją jednak jest potrzebny, *Niwa* i *Czasopis* uratowane, jest pewna sympatia dla

białoruskiej opozycji, ale tylko tej „za granicznym płotem”, bo tutaj nazw dwujęzycznych „lepiej-rozsądniej nie ustanawiać” (gdyż „u Łukaszenki” to może i dobrze wygląda, ale „bukwy” tutaj? – to „nie pasuje!”). Przypomina to fragment z filmu *Nic śmiesznego: Czterdzieści lat [...] zmarnował mi komunizm. [...] Dzieła zniszczenia dokończyła demokracja.*

[https://pl.wikiquote.org/wiki/Nic_%C5%9Bmiesznego] Jest to bardzo ważny sygnał dla Białorusinów: że w warunkach dyktatury, w Białorusi, w środowisku rusyfikacji-moskalizacji białoruskie nazwy mogą być czymś normalnym nawet jako jedyne, natomiast nazwy zaledwie podwójne, „pluralistyczne”, reprezentujące dwie społeczności, w środowisku demokracji, gdzie głośuje się większością głosów, w praktyce są niemożliwe. (Podkreślam: stan faktyczny więcej mówi o sytuacji, niż – iluzoryczne – „możliwości” ustawowe z jednoczesnym wskazywaniem samych Białorusinów jako „winnych ich niewykorzystania, bo niedostatecznie silnych, dziarskich, z tupetem”. Gdyż nawet jeśli i oni „nie chcą” nazw dwujęzycznych, to dlatego, że najpierw „Wielki Ktoś” ich nie chce. I tym kimś może być nawet... jedna osoba, mówi o tym wprost burmistrz Michałowa – cytowany tutaj na str. 288, w drugim akapicie o „nieformalnym, potencjalnym, ale już działającym liberum veto”).

XI/s.153 Wbrew tym obawom, państwo polskie, przed wojną zamieszkałe w nie więcej niż dwóch trzecich przez Polaków (nawet wg oficjalnych danych), w 1945 r., już jako w założeniu jednonarodowościowe, zmniejszyło się zaledwie o 20%, czyli o obszar woj. wołyńskiego (co trudno kontestować: tylko 16% stanowili tam Polacy), plus drugie tyle, np. woj. poleskie (gdzie Polacy stanowili jedynie 24% ludności). Co więcej gdyby w kolejnym kroku (tj. po odjęciu dwóch ww. województw) nie dokonywać repatriacji-„komasacji ludności” (gdyby nie jej masowa i zrozumiała – również wśród Białorusinów, *co zapisali się jako Polacy* – ucieczka przed bolszewizmem), a jedynie odciąć od II RP pozostałe zwarte wschodnie obszary, na których – oficjalnie – ponad ¾ stanowili Białorusini lub Ukraińcy, to „sprawiedliwa statystycznie” wschodnia granica mogłaby przebiegać niemal tak jak obecnie (tj. zamiast Wileńszczyzny z licznymi obszarami na obecnej „ścianie wschodniej”), ale... bez „Ziem Odzyskanych”, bez tego nadzwyczajnego bonusu od historii. [Opieram się tu na publikacji Biura Edukacji Publicznej IPN, 10.10.2021; <https://www.polska1918-89.pl/spoleczenstwo-ii-rzeczypospolitej,22.html>] Skąd zatem częste w tym kontekście poczucie klęski? Pomijając traumy przesiedleń i ówczesną niepewność co do trwałości polskiej zachodniej granicy, wynikać to może ze zmiany statusu bycia Polakiem: podczas gdy np. w woj. wołyńskim dawało to status osoby niemal wyjątkowej i faworyzowanej (bo administracja kogoś tam zatrudniała, i raczej nie nie-Polaków), to ta sama osoba repatriowana do PGR-u, gdzieś pod Koszalin, albo i nie do PGR-u, ale przeniesiona w otoczenie ludzi sobie podobnych, wyłącznie polskojęzycznych, mogła poczuć się zdegradowana. Szok: wszędzie sami Polacy i bycie Polakiem nie daje żadnych dodatkowych życiowych szans, „punktów”! Była to też katastrofa dla polskiego sarmatyzmu, bo „człowiek szabli”, kultywujący *konkwistadorskie* (jak to określa Janusz Tazbir) tradycje na „Kresach”, jak ma się czuć gdzieś pod Zieloną

Góra? Jak na Księżycu, a nowa polskość, na wzór mieszczański, dopiero się tworzy. Tymczasem nadal, jak pisał Sokrat, *bez pana nie ma Polaka*. Dziś Polskę i Węgry (długo po Batorym) łączy „odkresowienie” ich terytoriów i wynikająca z tego pewna niechęć do Zachodu (który się na to „odkresowienie” zgodził, a nawet tego żądał). (U Węgrów odbyło się ono na daleko gorszych warunkach terytorialnej klęski; nie sukcesu terytorialnego, w tym i polepszenia jakości terytorium, jak w przypadku Polski (bo Węgry nie miały możliwości uszczuplenia obszaru Niemiec z korzyścią dla siebie. Węgrzy nie mieli także swojego Andersa ani Berlinga, a wiadomo, że najlepiej Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, jeśli grają akurat w tej samej – tutaj: zwycięskiej nad Niemcami – drużynie).

Jest to o tyle ważne, że nacja optymistycznie oceniająca swoją sytuację, mniej skłonna jest sekować inne, znajdujące się akurat „pod ręką”. Zatem jeżeli nieprzychylnie nastawienie do nazw dwujęzycznych wynikałoby u wielu Polaków (także) z poczucia doznanej „klęski terytorialnej” (za którą na kimś „trzeba” się „odegrać”), to warto się zastanowić, czy taka klęska miała miejsce.

^{XII/s.155} W roku 2014 przypadkiem spotkany był żołnierz, Pan Lachowicz, opowiedział mi, jak wojsko polskie odprowadzało (w 1945 r.?) grupę niemieckich kobiet z dolnośląskiego miasteczka (koło Nysy?) w stronę radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech. – Zaraz za miejscowością radzieccy żołnierze zawrócili kolumnę: „A wy kuda?! Nazad!”. Rosjanie nie mieliby z kim spać – wyjaśnił oględnie, acz z przekąsem Pan Lachowicz (pochodzący – jak sam to określił – z „zażydzonego” Leonpola).

^{XIII/s.161} Andrzej Stasiuk sytuował ten rodzaj genius loci już na wschód od Wisły, przeciwstawiając swoją „barbarzyńską” Pragę Warszawie: *Wracam do początków, wracam na Wschód, chociaż nigdy go nie opuszczałem, ponieważ tylko głupcom może się wydawać, że prawdziwe życie jest gdzie indziej.* [Wschód, 2014]. Janusz Tazbir zauważył: *Kontrreformacja nie spowodowała załamania się kultury we Francji, w Hiszpanii... Kontrreformacja ugrzezła u nas po prostu w piaskach sarmackiego lenistwa i bezmyślności. Zgadzą się z tym również jezuici, że ich zakon sam uległ sarmatyzacji, zamiast wpłynąć na Polskę w duchu postępu i oświecenia. Dochodziło do takich absurdów, że wydano zarządzenie, by zakonnicy zapraszani na bankiety nie chodzili pojedynczo, ponieważ mnisi upijali się i przewracali, więc potrzebny był towarzysz, by móc się nawzajem odprowadzać i podtrzymywać. Taki świątły zakon doszedł do takiego upadku!* [<https://histmag.org/W-niezmienionym-kształcie-wydaje-sie-tylko-Pismo-swiete.-Wywiad-z-prof.-Januszem-Tazbirem-3762>]

^{XIV/s.161} Litwę [Wielkie Księstwo Litewskie], jak i Moskwę często i chętnie [do tzw. *Indii Wschodnich i Zachodnich*] porównywano. [...] *Pisał Batory* [do jezuitów ks. Piotra Skargi]: „*Nie zazdroście waszym Portugalczykom i Hiszpanom obcych w Azji i Ameryce światów, aby je do Boga nawracać; są tu w pobliżu i Indie, i Japonia w narodzie ruskim połockim, w mieście boskich rzeczy nieświadomym*”.

[...]W Połocku [obecnie Białoruś] nie przyjęto jezuitów najlepiej. Kiedy zaś król polecił przekazać im miejscową cerkiew Świętych Piotra i Pawła [oraz obszerne dobra spasowskie, złożone z 72 wsi i folwarków, będące przedtem własnością Cerkwi prawosławnej], kanclerz litewski i kasztelan wileński Ostafi Wołłowicz odmówił przyłożenia pieczęci, a co więcej podarł królewskie nadanie na strzępy. Również i podkanclerzy litewski Krzysztof Mikołaj Radziwiłł nie chciał podobno opieczętować uniwersału monarchy [...]. W obu przypadkach stanowcza interwencja Batoroego zmusiła dostojników do wydania żądanych dokumentów: [...] "Jeśli nie chcesz opieczętować, już ja sam [ku chwale Bożej] pieczęć znajdę". [...]W Połocku mieszkali bowiem niemal sami prawosławni, a w całym województwie było zaledwie siedem rodzin szlachty katolickiej. Nic dziwnego, iż rozgoryczeni początkowo jezuita pisali o ziemi połockiej: „istne tu **Indie**". [czyli obszar misyjny; do Indii przyrównywano również północ – protestanckie Inflanty] [Janusz Tazbir, Piotr Skarga. *Szermierz kontrreformacji*, Warszawa 1978, str.69, 77-79, 47]

W Inflantach skarżono się, że władze polskie, nie respektując aktu inkorporacyjnego z 1561 r., traktują nową prowincję jako wrogi im kraj, znajdujący się pod wojskową okupacją, jako tabula rasa, na której będzie można zapisać pełny tryumf katolicyzmu. [J.Tazbir, *Propaganda katolicyzmu wśród chłopów inflanckich (1582-1621)*, 1958 r., str. (1, 5)]

(Tak oto powstawali powieściowcy [wspomniani na str.205] **ostatni Indianie Europy**, poczynając od Batorowych **Indii tu w pobliżu**).

Mimo takiej jawnej dyskryminacji, sekowania niekatolików J.Tazbir stwierdził, że **polaska tolerancja była czymś wyjątkowym na tle Europy XVI wieku** [<https://histmag.org/W-niezmienionym-kształcie-wydaje-sie-tylko-Pismo-swiete.-Wywiad-z-prof.-Januszem-Tazbirem-3762/>], choć była ona w istocie tolerancją „litewską”, białoruską, i to – jak widać - poddaną znacznej „koronnej” presji (ukierunkowanej tak na wroga, **Moskwę, jak i na sprzymierzone WKL**). Symbolem tej **polskiej tolerancji**, rozreklamowanej jeszcze w dekadzie Gierka, **nie stały się cerkwie** – bo rządzący w PRL komuniści strasznie zżymali się na kojarzenie ich z „ruskością” – ale meczety w Bahonnikach i Kruszynianach, i tamtejsi tzw. **polscy Tatarzy** (choć, zwłaszcza wówczas, na obszarze Białostoczczyzny, czyli dawnego WKL właśnie, białoruskojęzyczni, co oficjalna, szkolna historia przemilcza. [<https://isokolka.eu/wiadomosci/3-sokolka/721-co-nam-zostalo-z-wielkiego-ksiestwa-litewskiego.html>]).

Podobnie jak z „tolerancją”, także w innych kwestiach lepiej, „postępowiej” było na Litwie-Białorusi: **W Polsce [Koronie] główszczyzna istniała dłużej niż w innych państwach**. [...]W razie zabójstwa chłopca lub mieszczanina przez szlachcica płacił on tylko główszczyznę. [...] Inaczej na Litwie-Białorusi: **Zgodnie z artykułem 1 rozdziału 12 III Statutu Litewskiego z 1588 r. szlachcic za rozmyślne zabójstwo plebejusza karany był śmiercią**.

[<https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=G%C5%82%C3%B3wsczyzna&ol did=66202417>] Tej zasady (w sposób trwały) nie przeniesiono ze Statutu Litewskiego do polskiego prawa aż do końca I Rzeczypospolitej.

Nie tylko litewska-białoruska „tolerancja”, Tatarzy, „postępowość”, itd. są **całkowicie** spolszczani-zawłaszczani przez „polski mit”. Nawet generał Bałachowicz – nigdy nie przyjęty do Wojska Polskiego – to częstokroć... jedynie *polski* ataman. [Jakub Nawrocki, *Ostatni polski ataman*, Polska Zbrojna, 1.04.2016, <http://polska-zbrojna.pl/home/articleinmagazineshow/18972?t=Ostatni-polski-ataman>]

Białoruska demokratyczna opozycja – sprzymierzona z Polską – również chciała zaczerpnąć ze wspólnej historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, wystawiając w Solurze pomnik Tadeuszowi Kościuszce - **jako urodzonemu w Białorusi**. Kościuszko, niczym „świecki święty”, jest takim dobrem, które na dzieleniu się nim, na „upowszechnieniu kultu” zyskuje, nie traci. Zakładał chłopską sukmanę, majątek swój zapisał na wykupienie czarnych niewolników w Ameryce (co długo po jego śmierci odwlekano, bo jakże to, wolność także dla „czarnuchów”?! – nie może to być!); Kościuszko był „wizjonerem”, więc na pewno by się nie wstydził kojarzenia go z – białymi w końcu – Białorusinami; cieszyłby się też z tego, że polonizacja nie jest koniecznym warunkiem identyfikacji z ideałami demokracji. Natomiast co do tablicy na pomniku, to nie może ona być szczegółową notą encyklopedyczną: **fundator pomnika zwykle zwiąże przedstawia jedną przyczynę**, dla której **właśnie on** funduje pomnik, np. bohaterowi spod Saratogi bądź przywódcy powstania albo jako osobie urodzonej w tej samej miejscowości czy w tym samym kraju – jak w tym przypadku. Tego kraju nie można nazwać Polską (również Mickiewicz tak go nie nazywał!) ani też Litwą (bo ta nazwa obecnie odnosi się do Litwy właściwej). Gdzie zatem urodził się Kościuszko? Zdaniem MSZ na pewno nie w Białorusi – nie może to być, co najwyżej w Mereczowszczyźnie. Gdzie zaś ta Mereczowszczyzna? To się dopiero okaże. Kiedyś. (Dzięki polityce MSZ może nawet niebawem w Rosji, kto wie?). Parafrazując Sokrata: polska „polityka wschodnia” niezmiennie „pańska”, sarmacka w swoim charakterze (i przez to nieskuteczna, kontrproduktywna). [<https://bialystok.wyborcza.pl/bialystok/7,35241,22528138,kosciuszko-niewygodny-syn-bialorusi-list-do-prezydenta.html>]

Postać ks. Jerzego Popiełuszki również zyskuje nowy wymiar, jeśli wziąć pod uwagę, że – jak odnotował to w swoim wierszu Wiktor Woroszyński – *ksiądz Jerzy dzieckiem mówił tylko po prostemu / to znaczy po białorusku*. (Zanim – jak to na Sokolszczyźnie – *poliszczyzna ogarnęła go silnym ramieniem*).

[<http://www.zsj.home.pl/autoinstalator/joomla/images/stories/inne/wybr%20poezji%20z wizanej%20%20postaci%20%20b.%20ks.%20jerzego.pdf>]

XV/s.161 Przymiotnikowi *bizantyjski* w Europie Zachodniej nadano zabarwienie pejoratywne (zauważono to w pewnym angielskim wieloodeinkowym programie o Konstantynopolu); pewnie dlatego, że najpierw musimy coś (np. cudzy, „schizmatyczny” przepych, bogactwo) określić-oznaczyć jako „zło”, by następnie móc to niszczyć-lupić – i (z nawiązką) odtwarzać... u siebie (już jako dobro)!

Okazuje się, że Bizancjum ma więcej do historii Polski, niżby się wydawało. Doprowadzenie do jego upadku stworzyło (przynajmniej pod względem idei) nowego przeciwnika Zachodu:

Upadek Bizancjum przyczynił się do swoistej restauracji idei Cesarstwa Bizantyjskiego w byłym państwie moskiewskim. Moskwę postrzegano jako Nowy Konstantynopol, a tym samym i Trzeci Rzym. Zgodnie z tą teorią pojawił się w Moskwie basileus - odpowiednik imperatora bizantyjskiego, którego na Rusi nazwano carem, a następnie patriarcha. Pierwszym carem ruskim został Iwan IV Groźny, patriarchą zaś Hiob (intronizowany w 1589 r. wraz z ustanowieniem patriarchy). [Anna Smyk-Kojło, Sytuacja Cerkwi prawosławnej na Rusi Moskiewskiej od 1581 do 1653 r., Elpis 5/7/8, 2003, str. 237-238] Początkowo rozważano „neutralizowanie” owego „Trzeciego Rzymu” poprzez przyłączenie go do Rzeczypospolitej (i skolonizowanie, zapewne po uprzednim okrojeniu, jak to się stało w przypadku Wielkiego Księstwa Litewskiego). Dlatego Iwan IV po śmierci Zygmunta II Augusta był poważnym kandydatem do korony polskiej. [https://historykon.pl/18-marca-1584-roku-zmarl-iwan-iv-grozny/] Nie wydaje się, by sama osoba cara była tu przeszkodą, gdyż do projektu unii Rzeczypospolitej z Moskwą jeszcze przez pół wieku powracano. (A jeśli wziąć pod uwagę rosyjski protektorat nad Rzeczpospolitą, ustanowiony w 1768 r., to i znacznie później). Jednak już wtedy Zachód postawił na swoistą „ograniczoną przyjaźń” z Turcją z jednoczesnym jej trwałym, wyrazistym i mocnym konfliktem z Rosją o dostęp do Morza Czarnego, jako zabezpieczeniem przed rosyjską ekspansją.

Od czasu upadku Konstantynopola państwom Europy Zachodniej chodziło już tylko o to, by nie dostał się on w ręce Rosji, nawet kosztem rozbioru Rzeczypospolitej:

*Austria, zaniepokojona sukcesami Rosji [...] przygotowywała się do zbrojnego wystąpienia w **obronie Turcji**. [...] dalsza wojna groziła przerodzeniem się w konflikt ogólnoeuropejski. [Ten i tak nastąpił: w postaci późniejszej wojny krymskiej i I wojny światowej]. *Wtedy propozycje rozładowania napięcia politycznego kosztem ziem **polskich** [I rozbioru Rzeczypospolitej] wysunęły ponownie dwory **paryski i berliński**. [...]Rosja nie miała bowiem żadnego zysku z podziału kraju, który uważała za swój protektorat, wręcz przeciwnie, mogła na tym tylko stracić. Dla Prus zaś była to sprawa **priorytetowa**.* [https://pl.wikipedia.org/wiki/I_rozbi%C3%B3r_Polski] Konfederacji barskiej nie*

dopuszcili do równouprawnienia prawosławnych w owym protektoracie, więc dla Rosji jako całość był on nieatrakcyjny „biznesowo”. Choć status – kulturowy i gospodarczy – niepodzielonego protektoratu byłby zapewne zupełnie inny niż późniejszy status jego części, tj. jako ziem zaboru rosyjskiego; Polska mogłaby (pod pewnymi względami) modernizować Rosję, ale nie bez Krakowa, Poznania, Gdańska. (I wtedy... po Białorusinach nie zostałyby wtedy nawet ślad, skoro nawet bez tego, w XIX w., „Kresy” nadal ulegały polonizacji – o czym pisała prof. Elżbieta Smułkowa czy cytowany powyżej w aneksie Michał Więcko?). Jednak owo równouprawnienie bez względu na wyznanie – dziś tak oczywiste! – okazało się „szklanym sufitem” (czymś nie do przeskokienia) od samego początku unii polsko-litewskiej, również w czasach Żółkiewskiego, który planował unię Rzeczypospolitej z Rosją.

*Oczywiście nie zauważono, że to właśnie Moskwa przez długi czas trzymała na wodzy apetyty zaborcze i zamachy na nasze terytorium ze strony Austrii i Prus, co usprawiedliwiało politykę króla [Poniatowskiego] wiązania się z tym państwem i powątpiewania w dobre intencje władcy Prus.[...] Bezkrytyczną wiarę w pomoc pruską, charakteryzującą znaczną część ówczesnego społeczeństwa, opisuje i ostro ocenia Adam Jerzy Czartoryski, pisząc: „lada wątpliwości o dobrej wierze, o szczerości króla pruskiego, najmniejszą uwagę o potrzebie mienia w rezerwie innej pomocy, uważano za sprzedajność Moskwie, za brak patriotyzmu i odstąpienie sprawy krajowej”. [...]Poprzez zawarcie traktatu [z Polską w 1790 r.] Fryderykowi Wilhelmmowi udało się sprowokować **ostateczne** zerwanie z Rosją i **odizolować** Rzeczpospolitą na arenie międzynarodowej. [Marzena Profaska, *Stosunek polskich elit do rosyjskiej polityki wobec Rzeczypospolitej w latach 1788-1792*, Katowice 2008] (Zwróćmy uwagę: wtedy sprawa była jeszcze krajowa, potencjalnie ponadwyznaniowa, nie narodowo-katolicka). Polska szlachta zbyt pogardzała Rosją, by dostrzec swoją szansę – biznesowo-kulturową – w jej dalszym modernizowaniu (choć mogła na tym zyskać, jak niegdyś Grecja, która poddawszy się – ale w całości – „gburowatemu” Rzymowi, rozkwitła potem w Bizancjum, hellenizowała Rzym. Rosja – jak w czasach Zygmunta III – „odtrącona”, powtórnie uznana za „trwale niekompatybilną” z Zachodem, stała się później – jak pisał Sokrat – *nieszczęściem Europy*. Zjawisko analogiczne do narastającej agresji u nieakceptowanych dzieci? Pytanie, czy tę jej ewolucję w kierunku *nieszczęścia Europy* wtedy można było jeszcze odwrócić?). Tymczasem Polska, zamiast uczestniczyć w rosyjskim „cudzie gospodarczym” (i odegrać rolę kulturowego „konja trojańskiego” w Rosji, „oblaskawić” ją, w sposób korzystny dla obu stron), już wtedy (w 1772 r.) traciła swoje ziemie etniczne na rzecz Prus i Austrii, stając się przedmiotem, nie podmiotem w procesie modernizacji Rosji (a późniejsze*

polskie powstania długo, aż do XX w., nie zwalczały wroga w zaborze pruskim i austriackim, bo jakież to wróg: podobna zachodnia kultura, ta sama cywilizacja!). Po I rozbiorze głównym wrogiem w polskim odczuciu była Rosja, choć ta zabierała wtedy obszar nie samej Polski, tylko Rzeczypospolitej (głównie Białorusi, np. Połock), i to taki, do którego późniejsza II RP nie tylko nie pretendowała, ale który był daleko nawet od tego Mińska, którego rząd polski w 1921 r. dobrowolnie i ochoczo się zrzekł. Zaś wojska rosyjskie po 1772 r. zajęły się wojną z Turcją w przekonaniu, że w Polsce „będzie spokój” (zupełnie jak przed powstaniem listopadowym w Królestwie Polskim, kiedy utworzono 27,5 tysięczne wojsko polskie, gotowe siły – jak się okazało – pod... przyszłe antymoskiewskie powstanie; naiwność to podstawowa rosyjska cecha).

Jeszcze przed I rozbiorem Austria i Prusy anektowały niewielkie terytoria pograniczne (Spisz, Podhale, niektóre starostwa Pomorza), sygnalizując niejako Rosji, że jej protektorat nad całą, niepodzielną Rzeczpospolitą – jeśli sprawowany w konflikcie z konfederatami barskimi, Polakami-katolikami – jest niewykonalny i „czas na inne rozwiązanie”; rozbiór od zachodu, po cichu, już się dokonywał, już słyhać tam było łakome kornicze austriacko-pruskie (łacińskie) chrobotanie. (W 1770 r. Austria samorzutnie przejęła Spisz i powiaty nowotarski, nowosądecki i czorsztyński. [...]Późniejszy pierwszy rozbiór Polski nie przewidywał dalszych podziałów Rzeczypospolitej, wręcz przeciwnie, w oczach Petersburga miał im zapobiec na przyszłość.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=I_rozbi%C3%B3r_Polski&oldid=65773936] A jednak paradoksalnie to właśnie Rosja w powszechnym polskim odczuciu była wtedy tym głównym „złym” (choć nawet „dobry” *Voltaire gratulował Fryderykowi II akcji rozbiorowej*); być może dlatego, że terytorium etniczne – zwłaszcza przejęte przez podobną, zachodnią kulturę – więc „nic się nie stało”? – zawsze można jakoś odzyskać (jeśli nie w całości, to prawie, historia to pokazała), natomiast trudniej uczynić to z „koloniami” i ze swoją uprzywilejowaną pozycją tam, utraconą bezpowrotnie (z owym sarmackim „Przeminęło z wiatrem”). Poza tym cierpienie dotyczące nas z „kosmatego” Wschodu łatwo jest „obudowywać” mitologią, „duchową wyższością, misją”, wyższy sens mu nadawać [właściwe słowo!], kopiując w tym Batorego, podczas gdy cierpienie z „łacińskiej ręki” to jakiś absurd, „nieporozumienie”, wobec którego zdradzony Polak jest bezradny.

Ten absurd cierpienia Polaka „z łacińskiej ręki” ma długą tradycję: *W lutym 1339 rozpoczął się proces przeciwko Zakonowi w Warszawie na terytorium neutralnego Mazowsza. Sąd uznał Krzyżaków winnymi i nakazał zwrócić Polsce wszystkie ziemie sporne. Jednak w wyniku apelacji **papież** unieważnił wyrok.*

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Zjazdy_w_Wyszehradzie&oldid=62253570]

Być może „moda” na prawosławie w Czechach (i na Łemkowszczyźnie) po 1918 r. była właśnie próbą wyjścia z podobnego „absurdu” Słowianina-katolika – niszczonego habsbursko-tureckim, katolicko-muzułmańskim sojuszem – poprzez powrót do „zaniechanej wersji” swojej historii, nawiązanie do dzieła Cyryla i Metodego (ruch p.n. *Precz od Wiednia i od Rzymu*). W Polsce to mentalnie niemożliwe, więc szuka się oparcia w sojuszu z Ameryką, która pewnie może pomóc (?) w zachowaniu niepodległości, ale dyskomfort samej potrzeby szukania owego ratunku przed „swoimi” – łacińską Europą – pozostaje.

[Tu ciekawostka: do artykułów *I, II, III rozbiór Polski* w Wikipedii nie udało się wprowadzić na początku tekstu – bo nawet nie hasła – następującego doprecyzowania w nawiasie: „I, II, III rozbiór Polski (*dokładniej: Rzeczypospolitej Obojga Narodów*)” – czyżby „zdecydowana” redakcyjna cenzura, „kresowy sentyment” jakiegoś anonimowego „Wielkiego Moderadora” encyklopedii na to nie pozwalał?].]

W ww. cytacie powraca wzmiankowane przez Sokrata wschodnie *bezholowie* (tym razem nie polskie ani litewskie), mianowicie porażająca nieefektywność rosyjskiej polityki: Rosja już w tamtych czasach kolonizowała Alaskę i posiadała Krym, o który niemal wiek później (!) musiała znowu walczyć z połową Europy (kosztem setek tysięcy zabitych!), i o który – nie tylko dyplomatycznie – walczy do dziś! (gdyż w 1954 r. Chruszczow bezmyślnie podarował go Ukrainie). Alaski zaś Rosja pozbyła się sama i od 1772 r. (tj. od I rozbioru Rzeczypospolitej) jest cały czas w defensywie, z krótką przerwą na ZSRR – po 1945 r. Przecież przedrozbiorowym punktem wyjścia było rosyjskie imperium rozciągające się od granic Kanady aż po Gdańsk i Prusy (pokonane w wojnie siedmioletniej, włącznie z zajęciem Berlina przez Rosjan w 1760 r. kosztem strat 2 tys. razy mniejszych niż te poniesione przed 1945 r.), zanim Zachód okpił Rosję (i zarazem Polaków), kończąc z – nie najgorszym przecież i nadal ogromnym – państwem króla Stasia. Z kolei w utrzymaniu sowieckiego już imperium nie pomogło przekazanie Litwie przez komunistów Wilna czy „wytargowanie” dla Polski „Ziem Odzyskanych” (albo utworzenie wielkiej Ukrainy, od Lwowa i Zakarpacia aż po Krym; z Sewastopolem na dokładkę to już potencjalnie subimperium, a przecież – jak pisze Sokrat – *nie ma miejsca dla dwóch carów na jednym tronie*). Kiedy zachodnia Ukraina spokojnie bytowała w granicach Austrii na przełomie XVIII i XIX w., Rosjanie z mozołem (trzykrotnie) zdobywali Akerman. Wtedy dla swojej Noworosji, ale ostatecznie nie dla siebie, tylko najpierw dla po części ukraińskiego osadnictwa, a potem dla współczesnej Ukrainy (tej włącznie z nowym, „rozwojowym” typem tamtejszego językowego Rosjanina, mającego jednak dość skansenu imperialnej, pełnej korupcji rosyjskości, chcącego do EU, do demokracji,

nawet pośpiesznie uczącego się języka ukraińskiego [jak prezydent Zełenski czy mer Kijowa Kliczko]; dotyczy to nawet miliardów, którzy w niedemokratycznej, monarchicznej Rosji Putina mogą być pozbawiani majątków – nawet życia – w jeden dzień). Dzieje Akermanu podobne trochę do tych wyspy Rodos, którą Włosi, zdobywszy w 1912 r. (i również w wojnie z Turcją), z żalem musieli w 1947 r. oddać (z całym Dodekanezem), ale już nie Turcji, tylko Grecji (i słusznie). Po wysiłku wojennym, po *modernizacji infrastruktury na wyspie, budowie szpitali, wodociągów, elektrowni, remoncie zabytków, ograniczeniu malarii i wzniesieniu licznych budynków*.

[[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Rodos_\(wyspa\)&oldid=64856219](https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Rodos_(wyspa)&oldid=64856219)] Zatem również włoska „inwestycja” przepadła. Kolonie (kiedy już nie tylko łupione) są kosztowne. W tym kontekście przypomina się zdanie z powieści: *Dzieci dziękują, choć mają rodziców za frajerów* (i idą w swoją stronę). Podarki terytorialne – wszak jednorazowe!, jak ten Krym przekazany Ukrainie w 1954 r. – niczego darczyńcy nie gwarantują; tu trzeba sprawnego, demokratycznego państwa i wabienia technologicznym postępem, dobrobytem w miejsce odstręczającego *bezholowia*. Tak jak – anglojęzyczni przecież! – Irlandczycy nie chcą być częścią Wielkiej Brytanii, tak rosyjskojęzyczni Ukraińcy często (jak często – tego nie wiem) nie chcą być częścią Rosji. Może doczekamy kiedyś także etnicznych Rosjan w Białorusi uczących się białoruskiego, byleby uciec od rosyjskiego imperium, od „rosyjskiego (etanolowego) świata”, nieszanującego niczego i nikogo, nawet własnych obywateli. (Dla jasności: tutaj mowa jest nie o tym, jakie terytorium się komu „należy”, to całkiem inna kwestia; chodzi o „zasadniczą, systemową” i narastającą nieatrakcyjność *bezholowej* Rosji jako – co najmniej nieporadnego, systemowo archaicznego – sojusznika czy *protektora*).

I tu poświęcam sporo miejsca Rosji, gdyż odwieczne polsko-litewskie zmaganie z Moskwą ma wpływ i na sprawy białoruskie tutaj. To od wypraw krzyżowych (front zewnętrzny) zaczęły się pogromy Żydów w Europie (w ramach „ludowego frontu wewnętrznego”, otworzonego przez plebejuszy, którzy – nie będąc rycerzami – też chcieli jakoś, przynajmniej „tu, na miejscu”, zasłużyć się „w obronie wiary katolickiej”). Podobnie od zmagania Batorego z prawosławną Rosją zaczęły się kłopoty prawosławia w Wielkim Księstwie Litewskim. To walka Pułaskiego z Moskalami „natchnęła” go ponoć do sekowania także „swojskich” (?) Łemków. [<https://krakow.wyborcza.pl/krakow/7,44425,8147782,lemkowie-nie-chca-pomnika-kazimierza-pulaskiego.html> ; 10.07.2010]

A w przypadku Łemków jest to o tyle prawdopodobne, że nawet (i tak nie przestrzegane) *Punkta obowiązków sprzyśiężonych* konfederacji barskiej nie chroniły prawosławnych (czyli *szymatyków*): *Żadnych gwałtów, rabunków między katolikami, żydami, lutrami, ani osobiście, ani przez subordynowane osoby konfederata nie powinien czynić*.

[https://pl.wikisource.org/wiki/Akt_za%C5%82o%C5%BCenia_konfederacji_barskiej] O ludziach *greckiej* (bizantyjskiej) *wiary* ani słowa.

Jak pisze tutaj Sokrates z Krynek: *Życie smętne jest, szlampowe; te same kojce, tylko trzoda coraz to inna*. Bowiem aktorzy są bardzo różni (w przypadku Łemków Pułaski oraz – dwa wieki później! – Świerczewski, przed „Akcją Wisła”) i tematy rozmaite (np. czy nazwa dwujęzyczna „obraża, *nadweręza* honor” Polaka, narusza jego prawa – niczym równouprawnienie innowierców), ale „sztuka” grana jest ciągle ta sama: o ekspansji i nietolerancji zwanej *obroną*. Odra jako w skali tysiąclecia „szklany sufit”, nie do przeskoczenia dla Niemiec; środkowy Bug dla Polski, albo Łemkowszczyzna czy Krym jako do znudzenia *niezmiennie miejsca* i *tło* akcji na przestrzeni niemal trzech wieków. A tymczasem i teraz podlaskim Białorusinom dostaje się rykoszetem, jak tym Żydom w epoce wypraw krzyżowych, bo nie tylko liczny *nie-rycerz, sarmatyzowany w PRL plebejusz*, ale też inteligent (*jak ów prokurator od „Niwy”*), tu i teraz, nie odróżniając jednych „ruskich” od drugich, chciał się przeciw „obcym” „zasłużyć”? Jak to w Białymstoku, gdzie *gdyby nie Sokrat Janowicz [...] literatura dostępna w języku polskim nie wiedziałaby, skąd się to wielkie miasto wzięło, jakie było (jest?) i dlaczego tak trudno zmienia się w nim coś więcej niż tylko place, przystosowywane do masowych zabaw i ulice, coraz szersze, na pewno ułatwiające życie*. [DK, <https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/3130/1/JANOWICZ-EBOOK.pdf>]

W tym opisie *dawnej* sytuacji niczego nie zmienia niedawne przyjęcie w Polsce uchodźców z Ukrainy, gdyż odbywa się ono w kontekście prowadzonej *przez Ukrainę* (szerzej: przez Zachód) walki z Rosją, nie zaś Ukraińców jako mniejszości narodowej (bo z tą zrobiono już *nowoczesny*, w znaczeniu baumanowskim, „ogrodniczy porządek”: w latach 1938 [akcja burzenia cerkwi z udziałem wojska polskiego] i 1947 [Akcja „Wisła”]). W tym historycznym „nowym rozdaniu” ukraiński uchodźca to **tylko** przyszły *pozanarodowościowy*, często rosyjskojęzyczny, rozproszony w Polsce i UE **pracownik i podatnik**.

Uchodźcy z Ukrainy nie chcą przyjeżdżać do wyznaczonych dla nich miejsc na Warmii i Mazurach. [...] "Czekaliśmy na tę grupę, było w to zaangażowanych wielu wolontariuszy, [...] wolontariusze z parafii greckokatolickiej i pracownicy Urzędu Wojewódzkiego. Mieliśmy gotowe pakiety powitalne z żywnością i środkami higienicznymi, ale uchodźcy zdecydowali inaczej i nie dojechali. [...] Wiele ośrodków w regionie, które są gotowe na przyjęcie uchodźców, znajduje się w lasach nad jeziorami. Uchodźcy kategorycznie odmawiają zamieszkania tam, mówiąc, że w takim miejscu są bez szans na znalezienie pracy. "Wszyscy chcą być w dużych miastach" - przyznał Guzek. [https://olsztyn.tvp.pl/58906434/nie-chca-przyjezdzac-na-warmie-i-mazury-boja-sie-bliskosci-rosji]

XVI^{s.167} W latach tuż po wojnie, w Ostrowie Południowym (wschbiał. *Pałudniowaja Wostrawo*), banda rabusiów zabrała żonie autora jej dziecięce buty,

które potem pokazały się na nogach uczniocy z tej samej szkoły. (Poszkodowana roztropnie nic na to nie powiedziała).

XVII/s.169 Autor, jako polonofil, używa gładkiego określenia *samopolonizacja*, jednak był to proces – w jakimś stopniu, choć „dyskretnie, socjotechnicznie” – nadzorowany, niepozostawiony „bez opieki”, sterowany „pedagogiką wstydu”; poprzez kształtowanie u młodzieży pożądanych nawyków, dzięki którym polonizacja mogła gładko przejść w samopolonizację: *Owszem, zdarzało się, że dzieci mówiły między sobą, na przerwach w mowie krywickiej [białoruskiej]. Wówczas jednak zwracano im uwagę, że tu jest polska szkoła i uczy się polskiej mowy. Jeśli chcą mówić do siebie w swoim języku, niech robią to po lekcjach, w swoich domach* – mówi sumienna nauczycielka kryńskiej szkoły, zapytana przez polskiego publicystę. [A. Hlebowicz, *W Kruszynianach i gdzie indziej*, tygodnik katolicki „Ład” nr 19/1988 r.] Widać tu, jak przemoc symboliczna wiąże się z koncepcją *habitusu* (zbioru trwałych reguł poruszania się w świecie) i jak system edukacyjny *doprowadza do odtworzenia się struktury, do jej reprodukcji*. A także to, że *instytucja edukacji, która miała walczyć z podziałami społecznymi, wzmacnia je*.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Przemoc_symboliczna&oldid=64819922]

W jakim stopniu białoruska mniejszość jest wolna-swobodna w swojej „nieśmiałości”, *cichości*, tj. sama ją „wybiera”? Szósty aksjomat statyki ciekawie ujmuje zarazem wolność i jednoczesny jej brak: *Ciało nieswobodne możemy traktować jak ciało swobodne, jeżeli myślowo uwolni się je od więzów, zastępując ich działanie odpowiednimi reakcjami*.

[<https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Statyka&oldid=64206879>]

Przykład: obciążona belka stropowa albo jest *uwięziona, nieswobodna*, albo *swobodnie* sprężynuje w ramach swoich *odpowiednich* reakcji na nacisk – wybór jednego z tych dwóch opisów należy do nas, jest *myślowy*. Podobnie: jeżeli uczeń (po nauczycielskim pouczeniu) już „samodzielnie” *odpowiednio reaguje* (i nie mówi „po prostemu” na przerwie), to w tej samej chwili *myślowo* możemy przyjąć, że jest w swoim postępowaniu wolny, *swobodny*. Przy takim ujęciu przemoc i niesprawiedliwość nie istnieją, są tylko *odpowiednie*, takie lub inne *reakcje* obu stron. (Tak też powstaje „domowość” języka białoruskiego, wypieranie go nie tylko z „głośnego”, adresowanego do wszystkich obok użytku publicznego, lecz także z prywatnej rozmowy, jeżeli odbywa się ona w przestrzeni publicznej; stąd Sokratowe *Domowe stulecie*; domowe, tj. ograniczone do czterech ścian domu. Jak pisze Sokrat: władza (i szkoła) nawet ta *ludowa, niby swoja-chamska*, patrzy na ciebie z góry).

Prywatna rozmowa uczniów podczas *przerwy* łatwo mogła stać się „rozmową kontrolowaną” (jak w kultowym filmie): ‘szkolny Bóg, Wielki Brat’ wszystko słyszy. Skutek: *Tu* [w Janowszczyźnie] *jeszcze wszyscy tak mówią* [po białorusku], *ale cicho*. [Niwa, 25.12.2011, str. 4] Albo, jak pisze Sokrat: choć *w cerkwi baby* jedynie *przeszeptują się* [str. 217], to i tak – na wszelki wypadek – *po polsku*. Dla

wszelkiej władzy ważne jest, by nie doszło do sytuacji buntu, więc tam, gdzie nie można czegokolwiek skutecznie zabronić, czyli *w domu*, nauczycielka nie naraża swojego autorytetu zakazami.

Teraz, kiedy wyraża się czasem żal z powodu zanikania tradycyjnej kultury, zwykle winą za to obarcza się samych Białorusinów. Jednak kompleks niższości białoruskiej kultury, rzekomo przyrodzony, niezaszczepiony „tutejszym” i występujący wyłącznie wśród nich, był „aktywny” przede wszystkim w czysto polskich środowiskach – zwłaszcza jako (np. szkolny) „impuls początkowy”, wykształciwszy nawet swoje procedury, protokoły gwarantujące jego dalsze, wtórne wśród Białorusinów, choć z pozoru samoistne, funkcjonowanie: *Do niedawna jeszcze wszelkie próby wtrącenia do reportaży paru słów w języku białoruskim napotykały na zdecydowane cięcie redakcyjnych nożyc*. [Stanisław Świerad, *Fascynacja folklorem białoruskim, ale w ...Łodzi*, „Gazeta Współczesna”, nr 7, Białystok 9.01.1987 r.][„Gazeta Współczesna” była dziennikiem PZPR, z winiętą: *Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!*] Pojawianie się (niejako „nieprzyzwoitych, niecenzuralnych”, więc skreślanych **już w redakcji, nie dopiero w cenzurze**) słów białoruskich w reportażach było niemożliwe dlatego, że byłoby to naruszeniem tabu, publicznym potwierdzeniem (poza „gettem”) samego istnienia tutaj języka białoruskiego i błędną sugestią, że jest on przez władze akceptowany i w jej mniemaniu może stanowić jakąś wartość – nawet jako (ewentualnie „modna subkulturowo”) ciekawostka (wobec której można być życzliwym, nienastroszonym albo przynajmniej obojętnym) – jeśli język ten równoprawnie pojawiłby się w polskim druku, czyli wyższej formie istnienia.

Zadziwia (bo nie był to skodyfikowany system?) „niewchodzenie sobie w drogę”, spójność działań szkoły i prasy w tej „kultur walce” oraz głębość „tektoniki” ogólnego procesu polonizacji po 1918 r.: w 1938 r. – niczym wstrząs wtórny po polityce Batorego – wojsko i władze państwowe burzą lub przejmują na kościoły ponad setkę cerkwi na Chełmszczyźnie (w dawnym WKŁ, tolerancyjnym) [https://cerkiew1938.pl/burzenie_cerkwi_w_latach_20-tych.html], następnie w 1947 r. – dwa lata po wojnie! – wysiedla się w ramach „Akcji Wisła” cały naród (łemkowski) z Bieszczad, a przecież te dwa tak podobne w swych motywacjach zdarzenia przedzieliła zasadnicza (choć dla tego procesu najwidoczniej nieistotna, powierzchowna!) zmiana ideologii i kształtu państwa (na „odzyskany neopiastowski”). Również w opisie Sokrata chocholi taniec siermiężnych „przechodźców do innego, pańskiego świata” – *wokół świetlistej jedliny*, w rytm po sarmacku ociężałego „chodzonego” – w „ludowej ojczyźnie” nie różni się od tego sprzed wojny. PRL była w istocie państwem kryptoendeckim, żartobliwie mówiąc: socjalistyczno-narodowym, nie tylko w marcu 1968 roku. (Po 1989 r., zatem po

kolejnej zasadniczej zmianie systemu politycznego, w 70. rocznicę akcji [burzenia cerkwi] poseł SLD E. Czykwin złożył wniosek do Sejmu o podjęcie uchwały potępiającej ją. Pod projektem uchwały podpisało się 34 parlamentarzystów. Projekt uchwały **utknął** w Komisji Kultury Sejmu.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Akcja_polonizacyjno-rewindykacyjna_1938_roku&oldid=54667541]).

XVIII/s.27, s.169 *W Krynkach przedwojenne proporcje się odwróciły. Prawosławni stali się mniejszością. Ale jeszcze długie lata prawie wszyscy rozmawiali „po prostu”. Tylko jeden z repatriantów ostentacyjnie zaczął rozmawiać tylko po polsku. Okrzyknięto go przezwiskiem „Polaczyk”. [Jerzy Chmielewski, <https://doczz.pl/doc/778426/www.kamunikat.org>]*

XIX/s.171 Cytowany już Dariusz Kulesza pisze: *Wiś znana z jego prozy umarła, ale epopei o niej napisać nie sposób, ponieważ podlaska wiś Janowicza umarła niedokończona. [...]Diagnoza ta brzmi dramatycznie. Nie ma wsi i nie ma ocalającej jej istnienie epopei. Czy pozostał tylko folklor i egzotyka?*

Krytykowi chodzi tutaj o to, że *wiś Janowicza* nie miała (nie ma) ‘właściwego, logicznego’ zakończenia, tj. nie uzyskała świadomości narodowej białoruskiej. Co prawda, wyniki spisu powszechnego z 2002 r., który w wielu gminach województwa białostockiego wykazał nawet przewagę Białorusinów, wskazywałyby na to, że są realne podstawy do napisania epopei z ‘właściwym’ zakończeniem, lecz nie wiadomo, jak długo te podstawy będą trwać, zwłaszcza na katolickiej Sokolszczyźnie – *wsi Janowicza*, i czy nie są iluzoryczne. Jednak czy w ogóle warunkiem zaistnienia epopei jest wspomniane ‘właściwe, logiczne, sensowne’ (tryumfalne, zwycięskie?) zakończenie? Przecież *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza jest epopeją, choć zaczawszy się od *Litwo, ojczyzno moja...*, zmierza ku zgoła innemu zawołaniu: *będziem Polakami*, nie Litwinami (i nie Białorusinami). (W Sokratowej epopei również pojawia się sarmacko-peerelowski polonez, rosyjscy oficerowie, itd., ale jego bohater jest tylko krytycznym obserwatorem tego nowego nurtu historii; on go nie porywa, nie *imponuje* mu). Z kolei w *Ulissesie* Jamesa Joyce’a choć i jest mowa o tym, że dawnego języka, irlandzkiego – wiejskiego w mieście – wstyd jest Irlandczykowi nie znać, ale to zaledwie wzmianka (ironiczna zresztą, nie wezwanie do jego obrony), podczas gdy sam poemat napisany jest już – podobnie jak w przypadku epopei Mickiewicza – w ‘nowej, miejskiej mowie’: angielskiej. (A może epopeja na ogół jest zdradą lub o zdradzie jako najgruntowniejszej z przemian? O ile zdrada w ogóle istnieje, bo może to pojęcie nieprecyzyjne, łączące tak różne rzeczy jak asertywność, wyzwolenie oraz nieuczciwość – jedyną w istocie rzecz potępianą jako społecznie nieefektywną we wszelkich dekalogach, choć rozpisywaną na większą liczbę przykazań? Np. nie ma czegoś takiego, jak uczciwe zabójstwo, nawet w pojedynku; zawsze wiąże się ono z podstępem lub inną przewagą, której

przeciwnik „nie ma obowiązku” albo nie może posiadać. Z kolei chrześcijaństwo, dodając zalecenie wybaczenia, również odwołuje się do efektywności i uczciwości, bo – także z ekonomicznego punktu widzenia – szkoda kamienowanej, i ludzie grzeszni nie powinni sądzić innych, bo to nieuczciwe. Wspomaganie biednych, jakaś forma redystrybucji dochodów, to też wymóg uczciwości: bo dzięki komu, czyim kosztem jesteś bogaty? I efektywności: bo po co komu rozpacz głodujących i w jej konsekwencji rewolucja?). Przy okazji: jeśli *Wikipedia* podaje, że Joyce, Yeats byli Irlandczykami „tworzącymi w języku angielskim”, to kim byli Mickiewicz, Miłosz, Kościuszko, Rejtan?). Epopeja [?] Janowicza jest pod tym względem inna niż dwie wyżej wymienione z co najmniej dwóch powodów: jest napisana w ‘starym’, tradycyjnym języku, a jej główny bohater, Alik, nie ulega wynarodowieniu (*nie imponowało mu polskie imperium*). Z kolei rodzeństwo Alika wprawdzie zamieszkało w Białymstoku, ale powieść nie określa ich jako spolonizowanych, pozostawiając tę kwestię otwartą. Autor pisze: *możliwa jest iluzja porażki*, zatem nie wiadomo, czy cała opowieść jest zapisem „historii narodu, która potoczyła się nie tak”, czy przejawem pokory wobec historii i przekonania, że kondycja ludzka w ogóle nie przewiduje innego zakończenia niż ostateczne jednostkowe niepowodzenie, czyli śmierć, podczas gdy zbiorowość zawsze „wygrywa”.

XIXb/s.193 Życie jest (niestabilnym) snem; w tym: imię Anisimowiczanki znika (str. 165, drugi akapit), imię Fania pojawia się (ponownie?).

XX/s.171 *Chorować* na coś (tutaj: *na podpanków*) to tutaj (żartobliwie) bardzo czegoś pragnąć, chcieć coś zdobyć, robić, lub kimś się stać.

Inauguracja awansowania na *podpanków*, przejścia do *iluzji królowania*, przejścia: **skąd, dokąd, kiedy, jak i dlaczego** – według Mariana Pilota:

MP: *Za dobrego króla Władysława [IV Wazy] szlachcic miał prawo swojego chłopca zabić. [...] Miał tylko zwyczajowy obowiązek rzucenia na zwłoki kilku groszy okupu [dla rodziny]. No jak to? Gdzie ksiądz Skarga grzmiący, gdzie Ojciec Święty, gdzie sam Bóg wszechmogący? „Państwo bez stosów”? Lepsze już te stosy [bo przynajmniej] z wyroku sądu. A tu jak psa.[...] Z trwogą, zdumieniem, z jakąś odrazą nawet myślę sobie o naszych wielkich i mniejszych romantykach, Mickiewiczach, Słowackich, Kraśińskich... Ileż to oni lez się nawylewali za milijony. Jak wiadomo, całymi latami od rana do wieczora cierpieli – czy w te milijony wliczony był jakiś zabity pod płotem chłop?[...] **Monstrualna obłuda.** [...] Świat trzyma ich [tamtych romantyków] na dystans i to jest sprawiedliwe.*

Państwo króla Ubu było sielanką w porównaniu z sarmacką Rzeczpospolitą, w której była masa chłopskich niewolników, niemających *innego wyjścia, jak tylko „wszrubować się” prawem czy „lewem” w szlachtę albo też salwować się ucieczką* [...], *gdzie się dało – na Węgry, na Morawy, na Śląsk* [...] *a przede wszystkim na Zaporozie, na Dzikie Pola* [...], by w 1648 roku przejść do otwartej wojny z

opresyjnym państwem sarmackim.[...] **DW:** *Sarmatyzacja klasy chłopskiej nastąpiła głównie w PRL-u.*[...] **MP:** *Chłop, mając do wyboru między kolchozem a dworem, wybrał [...] mniejsze i jakoś już oswojone zło.*[...] *To by nie było w końcu nic strasznego, gdyby etos chłopski stopił się jakoś ze szlacheckim [trochę jak w Ameryce, Francji?], ale okazuje się, że jest to proces jednokierunkowy. Francuska socjolożka Annie Ernaux [noblistka] ukuła termin transfuge culturel [transfuge social, tranfuge de classe – przechodźca, przemalowanie klasowy]. Transfuge to „żołnierz, który przeszedł na stronę wroga, zdrajca”, po rosyjsku „pierebieżczik”.[...] **Polski naród jest dziś narodem „pierebieżczików” właśnie.** [Babelistą jestem i Bogu dziękuję za pomieszanie języków, Z Marianem Pilotem rozmawia Dorota Wodecka, Gazeta Wyborcza DF 6.10.2011]*

O takim masowym przechodzeniu „ludności”, jej przeganianiu na drugą, sarmacką stronę w systemie edukacji, na wesoło: *Jestem pierwszy raz w Muzeum Powstania i od razu mam ochotę nakleić sobie na aucie naklejkę „Pamiętamy”.* *Choć nic nie pamiętam.* [Bo i skąd pierebieżczik miałby pamiętać?] *Mam nudności. Niedobrze mi.* [...] *Proszę, zadaj sobie zrozumienia trud. Kodują się [się?] w tobie traumy przodków.* [Choć nie twoich.] *Szczęk broni, pył bitew przegranych.* *Czy czujesz już to brzemię, słoiku?* [...] *Niech się święci cud postpamięci, postpamięci cud o sile takiej, że słoika zrobi warszawiakiem.* [Max Łubieński, Michał Walczak, *Gorączka powstańczej nocy*, 2014] [*Słoik* to prowincjusz przywożący do wielkiego miasta z wizyt u rodziny zapas żywności domowej roboty mianowicie w słoikach.]

^{XXI/s.197} Matka autora podczas bieżącego przebywania w otoczonej żyznymi polami miejscowości Smyszłajewka nad Wołgą (gdzie też spotkała się z imieniem Sokrat). Według jej relacji (przed rewolucją) pola przydzielano tam co roku rodzinom „demokratycznie” i wedle potrzeb. Nie jest to pewne (może dotyczyło tylko bieżących?), jednak wrażenie wielkich możliwości, wyjątkowej otwartości i „przychylności człowiekowi” tamtejszego środowiska społeczno-przyrodniczego – *głębokiej rosyjskiej ziemi* – jest faktem. Gdyby nie rewolucja, nie byłoby po co wracać, przed czym uciekać?

^{XXII/s.209} Dobre kilkanaście lat przed powstaniem niniejszej powieści *Andrzej Bernat* [...] *rzucił myśl, że Janowicz mógłby stać się białoruskim Marquezem, utrwalając w swej narracji koleje i barwy świata białostockiego pogranicza.* [*Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny*, Białystok 2014, str. 320] Czy zrealizowało się to w tej powieści? Przynajmniej w jej elegijnych fragmentach, pełnych pokory, pogodnej rezygnacji, traktowania z humorem przemijania i rozczarowań. (Np. poseł *Wołoszyn zeskoczył w „końskie jabłko”*; *Alik dał nura w maliny, doskonale bez sensu*; *Wtenczas wszystko było byle*; *Kapitana Horasza* [a razem z nim białoruskość] *ubił z dubeltówki leśniczy...*; *Możliwa jest iluzja porażki...*[gdyż tzw. sukces w ludzkim świecie nie istnieje?]). Oczywiście

fragmentom „anarchistycznym” lub tylko „antyimperialnym” w literaturze musi towarzyszyć humor, często czarny. Totalitaryzm jest także śmieszny.

^{XXIII/s.211} *Istnieje tylko jedno nieszczęście: uświadomienie, że sam sobie się nie podobasz.* [Ale co to znaczy „sam sobie”, skoro nie jesteś:] *w stanie patrzeć na siebie inaczej niż oczami „ludzi” [władców, kolonizatorów, pod których pełnym lekceważenia wzrokiem „cichniesz”].* [Tomasz Mann, *Śmierć w Wenecji*, rozdział XIV] Potwierdza się też pogląd Stanisława Staszica, że człowiek stwarzając sobie nowe szczęścia, swoją nieszczęśliwość powiększył. *Bo im więcej poznał, tym więcej potrzebował.*

^{XXIV/s.217} Odnośnie „oniemiałości”: *Tu [w Janowszczyźnie] jeszcze wszyscy tak [po białorusku] mówią, ale cicho.* [Niwa, 25.12.2011, str. 4] Przypomina się tutaj tytuł tekstu Sokrata w białostockim biuletynie pierwszej „Solidarności”: *Co to jest strach białoruski?* [Wiesław Choruży, *Białoruski drugi obieg w Polsce 1981-1990*, 1994, str. 96] Strach (wstyd, kompleksy, nieśmiałość) jako podstawowa forma istnienia człowieka, zwłaszcza Białorusina? *(Wstyd, to, co przeszkadza nam w jasnym postrzeganiu samych siebie i świata wokół nas, to tematy powracające w twórczości Annie Ernaux. To wstyd w ujęciu Ernaux jest jedyną trwałą cechą tożsamości człowieka. Ernaux powiedziała, że pisanie ma być aktem politycznym, który otwiera oczy na nierówności społeczne.* [https://www.granice.pl/news/annie-ernaux-literacka-nagroda-nobla-2022-kim-jest-noblista/18531]

Książd Stanisław Szyroki [który działał też w Krynkach] w 1936 r. stwierdzał: *Ludność miejscowa od dawna lgnęła do oświaty i zdobywała ją w duchu polskokatolickim.[...] Drugą dodatnią stroną parafii Janowskiej jest jej rdzenność katolicka[...]* **Zniknęły w tej okolicy ludowe zwyczaje [...] słowem cała kultura ludowa. Nic tu bowiem lud swojskiego nie ma, prócz języka białoruskiego, do którego też sam nie wie, czy się przyznawać. Czem wytłumaczyć to dziwne zjawisko?** [Monografia Parafii Janowskiej w dekanacie sokólskim województwa białostockiego, PTK, Białystok 1936, str.11,16,17] (W latach po 1981 r. w miesięczniku *Więź* Marek Karp pisał, że kiedy w okolicach Sokółki jadąc autobusem powiedział miejscowej katoliczce, że to interesujące, iż mówi ona po białorusku [czyli w języku „obcym-cudzym”], ta od razu przeszła na język polski. Zatem lepiej nazywać ten język sokólskim, wschodniobiałostockim, czyli naszym; którym de facto on jest, bo co nas obchodzi, czy jest on używany także gdzie indziej pod inną nazwą? [A gdyby za Kuźnicą kontynent się urywał i dalej był ocean, to czy byłby ten język? – tak trzeba myśleć]. Tym bardziej, że centrum jego istnienia – zgodnego z przedstalinowską ortografią Taraszkiewicza – jest tutaj. Stąd powinna dokonywać się jego „ekspansja” na Białoruś, z gmin Gródek, Szudziałowo, i z Michałowa, nazywającego się *stolicą człowieczeństwa, przyzwoitości i zasad.* Ale nadal nie ma do tego – koniecznej!, jak ze strony pana wobec podwładnego – zachęty, płynącej ze „standaryzowanego na językową ogólnopolskość” i

wypatrującego za to „pochwały z Warszawy” – Białegostoku. Gdyż to nie może być li tylko formalne, „wynikające z obowiązujących przepisów” ustawowe na to przyzwolenie, odbierane w gminach jedynie jako „podpucha-sprawdzanie lojalności państwowej”. Gminy-„petenci województwa” boją się być postrzegane przez wojewódzkich urzędników, od których zależą, jako buntujące się czy wręcz „zdradzieckie wobec [czysto]polskości”. To powinna być – jak to na prowincji nienadążającej z odczytywaniem wymogów współczesności – zachęta na granicy „zalecenia, polecenia”. Pilnego, „na wczoraj”).

Bo już dziś sprawiamy wrażenie ludzi siłą *przesiedlonych* z *obcych* stron, którzy nie mają tu *nic własnego* w sferze duchowej, nie potrafią wskazać swych etnicznych korzeni. A jeszcze w końcu XIX wieku etnografowie uważali nasz folklor za jeden z najbogatszych w Europie! Teraz znika on ostatecznie wraz ze znikaniem naszego języka „prostego”. I nie zostanie nam *nic własnego*, czym moglibyśmy się wyróżnić i pochwalić, jak to robią Kurpie, Kaszubi, Ślązacy czy Górale. [...] Rzeczpospolita Obojga Narodów jest utożsamiana z Polską. *Szkoła w żaden sposób tego nie prostuje*. – Oficjalna historia kłamie? – Raczej przemilcza. (Np. to, że niemal do końca XVII wieku jedynym językiem urzędowym w Wielkim Księstwie Litewskim, więc i na Białostoczczyźnie, był język białoruski). [Rozmowa z A.Harbuszem, Co nam zostało z Wielkiego Księstwa Litewskiego, isokolka.eu, internetowa gazeta powiatu sokolskiego; opublikowano: 16/12/2011; <https://isokolka.eu/wiadomosci/3-sokolka/721-co-nam-zostalo-z-wielkiego-ksiestwa-litewskiego.html>]

Dodałbym, że nie chodzi o to, by zmuszać kogokolwiek do mówienia po *prostemu*, tylko o to, by Polacy nie twierdzili (również poprzez taki a nie inny tekst ustawy o mniejszościach), że nazwa dwujęzyczna do tego stopnia narusza ich prawa (**ciekawe w jaki sposób?**), że żmudna procedura jej ustanowienia „musi” ją czynić w praktyce czymś niewykonalnym (że niemal nieobecnym, to przecież widać!); bo „rzeczy niezabronione, ale niepożądane” **muszą przychodzić z trudem?**

Mamy tu, poza świadectwem, wyznaniem i wyzwaniem, czwarty element książki: wezwanie. Zakończmy optymistycznie: *„Posługiwanie się językiem prostym to warunek skutecznej komunikacji i dobrych relacji z klientami, akcjonariuszami i partnerami biznesowymi” - podkreśliło biuro prasowe ubezpieczyciela. PZU dodało, że chce „pod tym względem wyznaczać najwyższe standardy i zachęcać do tego inne firmy”*. [1.04.2022]

^{XXV/s.215} Z czego wynika owo przeniesienie religii w sferę *folkloru*, patriotyzmu zaś do wykazu *chorób psychicznych*? Chyba również z ich niespójności, wewnętrznej sprzeczności; nieudanego uwikłania religii w politykę, a patriotyzmu (wojska) w religijne spory, co powoduje upadek ich autorytetu. Np. *według badań*

bułgarskiego sławisty Dymitra Kenanowa Jozafat Kuncewicz **świadomie działał w taki sposób**, by zginąć śmiercią męczeńską, pragnąc w ten sposób dostąpić świętości. Dzięki poparciu **królewskiemu**, w ciągu kilkunastu miesięcy [...] zdołał przekształcić większość świątyń prawosławnych w największych miastach swojej diecezji w cerkwie unickie. Znacząca część tych obiektów musiała jednak zostać... zamknięta z braku wiernych lub braku kapłanów. [...]W roku 1621 przeciwko niemu zbuntowały się wszystkie miasta w archidiecezji połockiej. Protesty były tłumione przy pomocy **polskiego wojska**.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Jozafat_Kuncewicz&oldid=61531158]

Mamy tu **odwrócenie ról**, gdyż to władza świecka, choć jedynie litewska, nie koronna (kanclerz Wielkiego Księstwa Litewskiego, Sapieha), próbuje bronić prawosławnych powołując się na... Ewangelie, podczas gdy Kuncewicz (podobnie jak Krzyżacy i Templariusze, „żołnierskie zakony” – oksymoron!) „idzie na skrót”, posługując się – jak władza świecka – ... **wojskiem**. Z jego pomocą przyszły święty poszerzał geograficznie strefę „nieomyślności” papieża, a także przy okazji granice nieznanego prawosławiu świata rozważań o tym, czy Indianie, Hindusi i Murzyni, jako „podludzie”, mają duszę. Z kolei sama „ofiara życia” przyszłego świętego nie odpowiada „standardom ofiary” w kontekście tego, że *miasto, w którym doszło do samosądu na Kuncewiczu, straciło wszystkie przywileje, jego ratusz został zniszczony, na śmierć skazano 19 uczestników samosądu, a prawosławnej ludności odebrano majątki i świątynie*. (To kolejna niespójność, gdyż po „klasycznym” męczeństwie – Chrystusa, świętych Wojciecha, Nepomucena – nie następuje odwet, który – zwłaszcza w takiej skali – niweczy „dobrą nowinę” o dokonanej „ofierze”. Tutaj wszyscy stali się ofiarami sytuacji – w liczbie dwudziestu plus *ludność*. Przy okazji: wprowadzie św. Nepomucen mimo groźby śmierci nie wyjawiał tajemnicy spowiedzi, ale też nie mógł jej wyjawić, gdyż *w rzeczywistości nie był on spowiednikiem królowej i nie pełnił żadnych funkcji na dworze*. (Też pragnął śmierci? Jeśli tak, to za dużo tu patologii i to obniża autorytet religii). [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Jan_Nepomucen&oldid=63617826])

Późniejsze przyspieszenie postępów unii oficjalnie określano przewrotnie jako „cud nawrócenia”, nie jako wynik represji, terroru, strachu. (Podobnie gwałtowne przyspieszenie nastąpiło w 1947 r. w akcji „Wisła”: po zabiciu – najprawdopodobniej przez samych Polaków – „świeckiego świętego”, gen. Świerczewskiego; takim „akceleracjom” sprzyja, daje do nich pretekst „mocne, wyraziste wydarzenie”, mające wpędzić przeciwnika w poczucie winy, a „swoich” skonsolidować i zradycalizować). (*Akcja „Wisła” to efekt stosunków polsko-ukraińskich w całym minionym tysiącleciu. [...] do końca XX wieku tylko jeden cel – niszczenie wszelkimi metodami i środkami wszystkiego, co ma związek z obrządkiem wschodnim. [Barna I, 79] [w: Patrycja Trzeszczyńska, Lęmkowszczyzna zapamiętana. Opowieści o przeszłości i przestrzeni, 2013, str.184,*

Googlebooks] Mimo to *Jan Paweł II* nazwał *Jozafata Kuncewicza* „apostolem pojednania”. Jakby tego pogmatwania i niespójności było mało, po 1918 r. polskie władze (w tym kościelne!) przeciwne były odtworzeniu Cerkwi unickiej na obszarze byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wartość tego „religijnego projektu” – niegdyś wartego męczeństwa i „cudu przyśpieszenia” – po ostatecznej likwidacji WKL (co nastąpiło w suwerennej II RP) – zmalała do zera. Jedność w różnorodności – i federacja – nie były już celem. (Także w Sokratowym *Domowym stuleciu* obecne jest „światowe”, zewnętrzne, ogarniające społeczeństwa i często samobójcze szaleństwo-oszołomstwo świata, oraz bardziej zdroworozsądkowy racjonalizm Domu.)

Podsumowując: nie wzbudzają zaufania źle zarządzane religia i *patriotyzm* (a innych nie ma). Te wartości należałoby „poukładać na nowo, **dekonstruować w prawdzie**”, inaczej zupełnie zanikną. (Według idei Achille Mbembe potrzebne jest *tworzenie więzi opartej na budowaniu wspólnej pamięci, trosce i solidarności.*) Jak pisał 7.07.1994r. prof. K.Rymut, przewodniczący rządowej Komisji Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych:

Sądzę, że na wschodnim pograniczu wiele nazw winno być gruntownie i obiektywnie rozpatrzone. Trochę nazw już [w Komisji] rozpatrzyliśmy i zmiany będą opublikowane w Monitorze. [<http://pdf.kamunikat.org/11994-1.pdf>]

(To miało nastąpić w ramach tworzenia *wspólnej pamięci*. Jednak w *Monitorze Polskim* nic nie ogłoszono, nie zgodził się minister – z SLD, ale to akurat nie miało znaczenia, bo zadziałała ponadpartyjna „tektonika” polonizacji, źle zarządzanego polskiego patriotyzmu... Parafrazując Sokrata, również dzisiaj: *po co komu prawda, jaki pożytek z prawdy* [sumienia]? Choć może zbyt pochopnie stwierdziłem, że SLD-owskość ministra nie miała znaczenia: postkomuniści, chcąc utrzymać się przy władzy, stale muszą „*udowadniać* swoją *polskość-endeckość*”).

XXVI/s.215 Autor porównuje tu państwa do istot żywych, odżywiających się ludźmi (imigrantami). Polacy (w liczbie ok. 1,5 mln) zasilili gospodarki Europy Zachodniej, w to miejsce napłynęli Ukraińcy (najpierw ok. 800 tys., teraz już ze 3 mln), więc ludność przesuwana jest niczym w ogromnym, europejskim przewodzie pokarmowym. Konieczność (?) takiego modelu rozwoju miał zanegować program 500 plus, ale (choć w założeniu demograficzny?) okazał się tylko socjalno-wyborczym, emancypacja kobiet okazała się silniejsza; rozwój antytezy (kultury) nie służy tezie (naturze)? W tym kontekście tyleż archaiczne, co zastanawiające są słowa z powieści, że bez dominacji mężczyzn *nie ma rodziny* (ani „dobrej demografii”, tę zapewnia np. islam – tępiący nieprokreacyjny indywidualizm? W serialu „Czterdziestolatek” jest lekarz, postępowy, rozumiejący też prawa kobiet, ale jednocześnie bezdzietny i raczej „nieodwoalnie” już bezżenny, tak jakby jedno i drugie z tej jego postępowości wynikało. Gdyż nie można mieć wszystkiego

naraz? Podobnie sceptycyzm powieściowego Alika wobec małżeństwa – jako instytucji w sposób nieunikniony pełnej awantur [*nie za tego wyszła!*] – łączy się z jego późniejszą bezdzietnością. (*Dzisiejsi Niemieccy populiści marzą tylko o jednym: [...] żeby kobiety nie pracowały i słuchały mężów, kościoły były pełne, żeby było jak w latach 50. A najlepiej 40.* [Klaus Bachmann, *Takich Niemiec świat nie widział*, Gaz. Wyb., 23-24.09.2017]) Dlatego również w ramach państw bogate miasta (zwłaszcza stolice) wysysają biedną prowincję, *wyprowadzając z niej ostatnie kapitały* (w tym największy kapitał – ludzi, wartych ok. 200 tys. zł każdy, bo tyle ponoć kosztuje wychowanie i wykształcenie pełnoletniego obywatela, i tyle daje nam z każdym swoim emigrantem m.in. Ukraina, czy (bogatej Europie) biedna Afryka. Karta Polaka (choć ogólnie nie można jej potępiać) ma też swoje negatywne (ludnościowo) konsekwencje dla Białorusi (nie możemy rozważać jedynie intencji, skutki są co najmniej równie ważne). Z kolei wskutek konfliktu w Ukrainie UE może wchłonąć kilka milionów emigrantów stamtąd, bardzo potrzebnych Zachodowi ze względów demograficznych. (*Mamy jednorazowe silne pchnięcie demograficzne – dzieci z Ukrainy, przyszłych naszych podatników* – stwierdza prof. Julian Aleytner – *bo lepiej zapomnieć o efekcie demograficznym 500+*. *On został sztucznie dodany do narracji.* [a jego dodatkowym efektem plaga otyłości]

[<https://www.money.pl/gospodarka/wymyslil-500...>]). Byłby to swoisty (niezamierzony?) rozbiór ludnościowy Ukrainy, wynikający z niemożności bezpośredniego zaangażowania się Zachodu przeciw Rosji. (Analogicznie Prusy nie wystąpiły czynnie po stronie Polski po 1790 r., choć obiecały to; NATO Ukrainie nie obiecywało. Wtedy zakończyło się to rozbiorem polskiego terytorium, ale współcześnie najcenniejsi są ludzie – postheroiczni Niemcy coś o tym wiedzą, machnąwszy ręką na obecnie polskie Ziemie Odzyskane). Być może nastąpi przy tym – równoległe do ww. ludnościowego – (nietypowy, bo wynikający z przebiegu wojny, nie z dyplomacji) (niewielki?) „rozbiór” terytorialny całej Ukrainy między Zachodnią Ukrainę i Rosję, między „łacińskość” [w tym unickość] i prawosławie, co wydaje się prawdopodobne, zważywszy, że obie strony konfliktu żądają wszystkiego, więc jakiś kompromis jest nieunikniony. Jako odsunięcie „Bizancjum” spod Lwowa pod Krym byłby to kolejny sukces Zachodu, choć niekoniecznie Ukrainy (zupełnie jak przy rozbiorach Rzeczypospolitej). Chyba że wskutek zacofania i bałaganu w rosyjskiej armii nastąpi jej całkowity odwrót, powtórka z wojny krymskiej z XIX w., i (kolejnego) okrojenia Ukrainy nie będzie.

Zatem i obecnie próbuje się łąpać-zatrzymywać przy sobie ludzi (niczym dawniej czarnych niewolników – skoro na skalę masową, choć oczywiście inaczej, np. wskutek wojny; bo walka o terytorium – to tylko przy okazji, bardziej chodzi o „podatnika”): *Rosja ma spory problem demograficzny. [...] Utrzymanie Ukrainy w swojej sferze wpływów pozwoliłoby na znacznie większy napływ słowiańskich robotników „na wschód”, zamiast „na zachód” – w szczególności do Polski. Ukraińcy są dla Rosji idealnymi migrantami, których stosunkowo łatwo zintegrować w Rosji. Analityk Bruno Tertaits wskazuje, że dla Rosji brak Ukrainy oznacza wymianę europejskiej przyszłości na azjatycką.*

[<https://businessinsider.com.pl/finanse/ukraina-jest-ostatnia-szansa-demograficzna-dla-rosji-inaczej-wchlonie-ja-azja/fzr41qc>]

*Co się dzieje z tożsamością współczesnych **nomadów** po zmianie miejsca zamieszkania? Czy ich korzenie tkwią w rodzimej kulturze, czy zapuszczają szybko nowe, odcinając się od wcześniejszych? Czy idea narodowa stanowi zawsze część ich świadomości, czy tracą ją z oczu razem z domem, sąsiadami, sklepem za rogiem? A może jest tak, jak widzi to Arjun Appadurai, mówiąc o procesie **deterytorializacji**, który oznacza oderwanie się od terytorium. Wiele miejsc na świecie wygląda bowiem tak samo, niezależnie od tego, gdzie się znajdują – choćby lotniska, dworce kolejowe, centra handlowe.* [https://www.ce.uw.edu.pl/pliki/pw/3-2010_pacek.pdf] [Małgorzata Pacek, *Emigracja polska po akcesji do UE – wyjazdy i powroty?*, str.45] Nie dziwi zatem to, że nieeuropejscy emigranci w UE nie asymilują się, bo z czym mieliby się identyfikować? Z historią wypraw krzyżowych na ich przodków, z superkatolickim wyrzuceniem Żydów (w ciągu 4 miesięcy) i Morysków z Hiszpanii (co spowodowało hiszpański kryzys gospodarczy w XVII w., kiedy skończyło się *diabelskie*, narabowane w koloniach złoto), z po-Kolumbowym niewolnictwem, terrorem rewolucji francuskiej, zmaganiem Stalina z Hitlerem? Dla tych emigrantów Europa to tylko **terytorium z infrastrukturą** do zamieszkiwania.

Kwestie swobody przepływu osób jako równoprawnych obywateli (kwestie globalizacji) ciekawie jest rozpatrywać w kontekście dziejów Hiszpanii:

*Historia Hiszpanii [i tam, i w Polsce byli „konkwistadorzy”!] ma w sobie coś z dobrze znanego dziejopisom i historiozofom **polskiej** przeszłości **nieumiarkowania**: sukcesy kolonialne były zbyt wielkie [jak w przypadku Polski na „Kresach”], a zatem i późniejsze kryzysy permanentne, długotrwałe, niemające końca. W opisach przeszłości słabo obecne są kategorie związane z postępowym, powolnym, lecz **systematycznym wzrostem miast**, czy **cywilizowaniem instytucji**, obyczajów. [To zajmuje też Sokrata.] Hiszpania mogła wszystko kupić, zaniechała zmodernizowania własnej gospodarki. Kraj przestał się rozwijać, zaczął działać mechanizm podobny do stworzonego przez polski eksport zboża, zapewniający zyski na dziś i prowadzący do zacofania w przyszłości [...] najpoważniejszą utratę sił przez imperium [hiszpańskie] spowodowało „140 lat bezsensownych wojen” prowadzonych **w imię obrony katolicyzmu**, by bronić chimery: triumfu religii. /.../Na ławie oskarżonych zasiadają więc przede wszystkim „hiszpańskie” **wartości**.[...] Hiszpania [jak Rzeczpospolita w czasach Batorego] musiała podjąć rozpaczliwe wyzwanie — **dokonała samookaleczenia**, by stać się katolicką, a potem **popelniła samobójstwo**, by dowieść, że katolicką pozostaje. [W Rzeczypospolitej: wojna z kozakami Chmielnickiego, konfederacja barska 1768 r. przeciw równouprawnieniu religii, superkatolicka Konstytucja 3 Maja, samookaleczenie poprzez traktat ryski 1921 r. –*

odcięcie od Polski (części) terytoriów najmniej katolickich]. **Nawet najbiedniejsi pogrążyli się w tym micie. Mogli nie mieć co jeść, ale z dumą mówili, że są chrześcijanami katolikami od wieków** [jak podczas Sienkiewiczowskiej sarmatyzacji, przedłużanej i w PRL]. [Magdalena Barbaruk, *Hiszpański kryzys XVII wieku, Mit kryzysu, „Kultura- Historia - Globalizacja”* nr 8/2010, <http://www.khg.uni.wroc.pl/files/3khg8barbaruk.pdf>] **Mogli, wskutek konfederacji barskiej czy Konstytucji 3 Maja, doprowadzić do rozbiorów, ale z dumą mówili, że walczyli Jako katolicy [...] z Boga ordynansu... [rozkazu] Aby wiara [katolicka] słyęła.** [czyli: aby była uprzywilejowana.]

[[https://pl.wikisource.org/wiki/Pie%C5%9B%C5%84_Konfederat%C3%B3w_barskich_\(ok._1770\)](https://pl.wikisource.org/wiki/Pie%C5%9B%C5%84_Konfederat%C3%B3w_barskich_(ok._1770))]

Rzeczpospolita [przed rozbiorami] była jedynym państwem w regionie, które nie było w stanie odeprzeć żadnego konfliktu zbrojnego z innym państwem, ponieważ była całkowicie bezbronna.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=I_rozbi%C3%B3r_Polski&oldid=65773936]

W tej sytuacji w 1768 Rzeczpospolita podpisała z Rosją traktat wieczystej przyjaźni, mocą którego stawała się protektoratem rosyjskim. Katarzyna II gwarantowała **nienaruszalność granic i ustroju wewnętrznego tego państwa**. Potem wpisano równouprawnienie polityczne innowierców jako nienaruszalne prawo Rzeczypospolitej.[...] **Celem konfederacji barskiej było zniesienie ustaw zapewniających równouprawnienie innowiercom [...], zniesienie przyznania im praw politycznych.**

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Konfederacja_barska&oldid=66208467] (Ale o jakim równouprawnieniu my mówimy, skoro – według Janusza Tazbira – w Polsce już od dawna była „tolerancja religijna”? Jednak na czym ona polegała? Na tym, że jeśli nie chciałeś w Polsce nic znaczącego w państwie osiągnąć albo byłeś chłopem pańszczyźnianym, to owszem, wolno ci było nie być katolikiem – nikogo twoje wyznanie nie obchodziło. Zatem była to tylko pozorna tolerancja, podział na obywateli pełnoprawnych (katolików) oraz tych drugiej kategorii, co gwarantowało **stały przepływ ambitniejszych jednostek z innych wyznań do katolicyzmu, nieustający rozbiór ludności niekatolickiej, choć w ramach jednego państwa**. Wszystko to przy mechanizmie „back stop”, który w Konstytucji 3 Maja, uporczywie powtarzającej błąd konfederacji barskiej, przyjmuje postać zakazu zmiany wyznania katolickiego na inne, pod karą wygnania. Tymczasem Prusy od dawna ściągały do siebie innowierców – zupełnie jak dzisiaj? – rozumiejąc, że kapitałem państwa są po prostu ludzie, nie religia.]

Zasadę wyżej wspomnianego „samobójstwa na wzór hiszpański” w przypadku konfederacji barskiej ujęto tak: „*wszystko albo nic*” [<https://www.sprawynauki.edu.pl/archiwum/dzialy-wyd-elektron/317-historia-el/1894-hiszpaski-kryzys-xvii-wieku-czyli-rodakom-ku-przestrodze>]; *Uniwersał wzywał katolików, by wzięli pod siebie to przekonanie, że lepiej przestać żyć, aniżeli patrzeć na nadwerężenie wiary świętej katolickiej, [czyli na:] oczywistą [?] zgubę*

Ojczyzny. [...] *Konfederacja barska, **uniemożliwiająca protektorat** rosyjski nad **całą** [tj. niepodzielną] Polską, wprowadzająca wrogość w stosunki polsko-rosyjskie i **burząca początki dobrego ładu** w Rzeczypospolitej służyła **polityce króla Prus**, [...] który w gruncie rzeczy popierał barzan. [...] W pamięci polskich innowierców barzanie zapisali się bardzo negatywnie. Dobra polskich ewangelików były przez barzan systematycznie łupione [...] zniszczono wiele kościołów, zdarzały się także przypadki zabójstw duchownych (np. pastor Joachim Samuel Majewski w Żychlinie w 1769) czy innowierców. Wielu z nich uciekło albo do Warszawy, albo za granicę w obawie przed prześladowaniami. Jeszcze w połowie XIX wieku wśród nich zachowała się pamięć o antyprotestanckich nastrojach. [...] W świadomości następnych pokoleń Polaków konfederacja pozostawiła jednak po sobie trwałe ślad, stając się **mitem** narodowym. Konfederaci barscy byli **bohaterami** licznych utworów literackich [...] przedstawiani jako **rycerze Maryi**, męczennicy za Wiarę, Wolność i Ojczyznę, pomimo że **następstwem konfederacji był I rozbiór Polski** w 1772 r.*

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Konfederacja_barska&oldid=6532568]

Protektorat – to może nie brzmi najlepiej, ale zabrakło zrozumienia, i często nadal brakuje, że lepiej (mocarstwowej) to już było, że kiedyś musiał być ten szczyt, maksimum polskiego imperium, że trzeba na nowo zastanawiać się *jak być*. Jednak jeśli protektorat dawał ochronę przed zakusami Prus i Austrii, to już nie tak źle to wyglądało, lepiej niż – złudna – oferta Prus. Zwłaszcza w porównaniu z późniejszymi rozbiarami i jako sposób na doczekanie do lepszego czasu na ewentualne odrzucenie protektoratu. Konfederacja była więc samym złem, sprzeciwem wobec przyznania praw politycznych innowiercom (które dziś są standardem), była **samobójstwem - analogicznym do ww. hiszpańskiego** – w obronie katolicyzmu. Mimo to wielu uważa konfederację za zapomniane pierwsze powstanie narodowe w obronie wiary katolickiej i niepodległości Rzeczypospolitej. [<https://historia.wprost.pl/10302035/w-obronie-wiary-i-niepodleglosci-zapomniane-pierwsze-powstanie-narodowe.html>] Powstanie *narodowe*, ale w obronie... *wiary* czy kasty? Kolejna cudowna przemiana w „chwałę” błędu kastowego egoizmu katolickiego narodu szlacheckiego. I w konsekwencji rozbiór Rzeczypospolitej między Kościół-łacińskość (bo że między Austrię i Prusy – to tylko szczegóły) i Rosję. Można powiedzieć, że I Rzeczpospolita nie podołała wyzwaniom pozareligijnej globalizacji, pluralizmu. (Po raz drugi, bo pierwszym, nieudanym podejściem był projekt unii Rzeczypospolitej z Rosją w czasach Zygmunta III, kiedy Polacy zajęli Kreml i początkowo nie byli tam źle widziani).

Niełatwo jest o tym pisać, bo „wymogi” są takie, by – również o dawnej – Rosji mówić wyłącznie źle (jak o diable), a o Polsce wyłącznie dobrze (jak o „Mesjaszu narodów”, bez zastrzeżeń). Czy obecnie Polska popęlnia kolejne,

antypluralistyczne, antyemigranckie *samobójstwo*? Z daleka lepiej widać, teraz [w 2021 r.] jest za blisko, więc nie podejmuję się tego oceniać.

Epilog: Uchwałą z 8 czerwca 2017 Sejm RP zdecydował o ustanowieniu 2018 roku Rokiem Konfederacji Barskiej. (Zatem mechanizm, przemysł „ściemy”, przekuwania błędu – w tym ówczesnej obrony liberum veto – w chwałę, ma się dobrze. W oficjalnej „narracji” bowiem ważne jest tylko to, z kim się walczyło – z Rosją, zaś kiedy (czy w odpowiednim czasie), o co konkretnie i z jakim skutkiem – to w ogóle nieistotne!). Ciekawe, że papież... potępiał konfederatów barskich i popierał króla Poniatowskiego – z daleka lepiej widział?

Jeśli już mowa o liberum veto i o tym, że w istocie historia zatrzymała się i odbywa się w *tych samych kojcach*, to pouczająca jest w tym kontekście wypowiedź burmistrza Michałowa: *Myszę, że znaleźliby się jacyś ludzie, którym mogłyby się takie tablice [dwujęzyczne lub prawidłowa nazwa Juszkowy Hrud] nie podobać. I już jest pole do konfliktu. [Rozmowa z burmistrzem Michałowa, Czasopis nr 3/2009].* Co to znaczy, że znaleźliby się jacyś ludzie? To nic innego, jak czyjeś veto (pan, nawet jeden, a w demokracji ich wielu, jednak rządzi), postulat zaś równouprawnienia, walkę z nietolerancją (o wyjście z getta, o jawność, o pełne istnienie) burmistrz nazywa ... **niepotrzebnym konfliktem**. Jak widać również w sarmatyzowanej demokracji *bez pana nie ma Polaka*. Orwell określał to tak: *są zwierzęta równe i te równiejsze* (te od współczesnego, nieformalnego liberum veto, te kurzowo *białoorle*, od „demokratycznej większości”). Teraz władze tej gminy promują się jako **wielokulturowa stolica przyzwoitości** [<https://michalowo.eu/michalowo-stolica-czlowieczentwa-pryzwoitosci-i-zasad/>], broń Boże **dwukulturowa** (pomagająca tym emigrantom, którym udało się przeskoczyć *niepotrzebny plot*). Nie pierwszy to raz, kiedy hasło **wielokulturowość** ma w istocie **zabezpieczyć** przed białoruskością (tutaj: **dwukulturowością**), bo i... Łukaszenka promuje Białoruś jako państwo „stu kultur”, choć celem jest tam o moskalizacja, **jednokulturowość** (jak tutaj polonizacja).

To typowy polski, „pański” mesjanizm, na zasadzie: zbawimy świat cały, tylko nie kulturę białoruską, nie „chamstwo” i – błagamy! – nie tutaj! I pomyśleć, że kiedyś w liceum w Michałowie nauczano języka białoruskiego. Ale to było w PRL. Chociaż już wtedy, zaraz po „odwilży” 1956 r., zaczął się tam „alergiczny”, antymniejszościowy lament, powstały na zasadzie „głuchego telefonu”, kiedy zbierano podpisy na rzecz utworzenia Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (przed 1956 r. oficjalnie żadne mniejszości w Polsce „nie istniały”, był „nowoczesny-ogrodniczy porządek”). Tak to wspomina Jerzy Wołkowycki:

*Wrócił ze stolicy i objeżdża [czyli strofuje] nas: „Co wy tu śpicie, a w Michałowie Polskę przyłączają do Białorusi!” „My nic nie wiemy...” [...] Mówię o tym, co się działo w Michałowie, w woj. białostockim. Tam po prostu wyrzucili z domu kultury wszystkie książki pisane cyrylicą, także białoruskie. Potem je podpalili, bo poszła pogłoska, że Białorusini zbierają podpisy za przyłączeniem Białostoczczyzny do Związku Radzieckiego. [...] To „przyłączenie” **do dziś** za nami się wlecze i wylazi w różnych sytuacjach przelomowych. [Michał Bołtryk, *Białoruska ruń*, „Tygiel kultury”, nr 7-9 (79-81), Łódź 2002, w: <https://books.google.pl/books?hl=pl&id=56UxAQAAIAAJ&dq=liceum+z+bia%C5%82oruskim+micha%C5%82owo&focus=searchwithinvolume&q=Co+wy+tu+%C5%9Bpicie%2>*

C+a+w+Micha% C5% 82owie+Polsk% C4% 99+przy% C5% 82% C4% 85czaj% C4% 85+]
[Fakt, że cytowany kwartalnik *Tygiel kultury* ukazuje się w Łodzi, świadczyłby o tym, że dopiero kiedy mniejszości znikną, można je cenić; zauważył to już Mickiewicz?] Wtedy bezpodstawnie oskarżono Białorusinów, dzięki czemu i teraz można im nic nie dać, zepchnąć w niebyt; zwłaszcza w tej michałowskiej *stolicy człowieczeństwa, przyzwoitości i zasad*, i jak zwykle pod płaszczykiem jakoby „zaledwie obrony” (*polskości*). Choć jest to obrona nierównoprawnego status quo, a zatem nie tyle polskich praw (te były i będą!), ile polskiego **uprzywilejowania, dominacji**.

Cóż, *niezmiennie życie smętne jest, sztamkowe...*, bo i pół wieku później, w 2002 r., radny i sołtys Juszkowego Hrudu (obecnie nadal Grodu) w tejże gminie, Czesław Barszczewski, wypowiadał się (najwyraźniej serio traktując tamtą – przyklejoną do białoruskiej mniejszości raz na zawsze? – pogłoskę o „przyłączaniu” gminy do ZSRR):

- **Ja wiedziałem, o co tutaj chodzi. To nie chodziło o** [ustalenie nazwy miejscowości]: „Juszkowy Gród czy Hrud”. *Ja po prostu w te sprawy nie wchodziłem. Zarząd [gminy Michałowo] to przedstawił. Ja nawet nie chciałem odzywać się. My wiemy, o co chodziło. Wójt najlepiej to wyjaśni.*

- *O co chodziło?*

- *O to, że w Polsce żyjemy, a „dla” kogo nie podoba się, to wie...*

[Jarosław Janowicz, *Likwidacja oficjalnego nazewnictwa miejscowości Białostockich pochodzenia białoruskiego...*, str. 123]

Widocznie *chodziło* o coś tak strasznego (owo nieszczęsne, „wiecznie żywe” *przyłączenie?*), że nawet nie można o tym wprost, otwartym tekstem mówić. (Ja sam bym się o tym nie dowiedział, ale wpisałem do Google słowa *liceum białoruskie w Michałowie*, następnie wybrałem opcję „szukaj w książkach” i już na pierwszej stronie był intrygujący wynik, ów cytat z „Tygla kultury”). Tym czymś jest zapewne rzekome... podważanie *polskości* tutaj: *tu polskość jest nieustannie kwestionowana i trzeba ją nieustannie udowadniać*. [„Gość Niedzielny” nr 35, 29.08.1993, *Problemy z sąsiadami, rozmowa z arcybiskupem białostockim...*] Tymczasem jeśli postulaty mniejszości cokolwiek *kwestionują*, to nie *polskość*, tylko „czystopolskość”. (*Kwestionują* – to, w tym kontekście, arcyciekawe, stygmatyzujące, dające do myślenia słowo! Podobnie jak *udowadniać*. Co *udowadniać?* – własną *dominację?* Jak? Np. „demokratycznie” odrzucając nazwy dwujęzyczne albo nazwę historyczną Hrud?). Walkę o polski Śląsk, polskie „Mazury” w PRL rozumiano powszechnie jako walkę nie tylko o ich przynależność do Polski, ale – ostatecznie – także o ich etniczną czystopolskość, **skoro taki właśnie zdarzył „się” finał**). **Ten cel**, nie sama przynależność obszaru do Polski, ale i jego „czystopolskość”, **„obowiązuje” również tutaj, wyrok na tożsamość białoruską został wydany**.

O tym, jak w PRL takie wyroki wyglądały, pisał w białostockich „Nowych Kontrastach” nr 1/25 ze stycznia 1996 r. Ryszard Badowski:

*„Z plotkami jest tak, że muszą zawierać pewien element prawdopodobieństwa”. **Tylko wtedy** plotka uzyskuje społeczną nośność, tylko wtedy ludzie w nią wierzą, tylko wtedy ją przekazują. Tezę Marka Karpińskiego o istnieniu 17. [sowieckiej] republiki w Polsce autorzy programu uwierzytnili taśmą filmową... z wręczenia*

przez Edwarda Gierka orderu Mirosławowi Hermaszewskiemu, któremu towarzyszył Piotr Klimuk. Wyszło na to, że Hermaszewski dostał odznaczenie nie za lot w kosmos, lecz za **próbę przyłączenia Polski do ZSRR**. Między kadrami startu rakiety, która wyniosła polskiego kosmonautę na orbitę, a przyjęciem Hermaszewskiego przez Gierka, ukazani zostali w charakterze przebitki czerwonoarmiści z groźnie pochylonymi bagnetami. Posłużono się prostą manipulacją.[...] Tyle z najświeższych dziejów głupoty w Polsce.

Podsumowanie:

Strategia „miasta wobec wsi”.

Paradoks względnej siły białoruskiej tożsamości (m.in. w gm. Michałowo) jako przyczyny jej sekowania, skazania na **niebyt w przestrzeni publicznej**.

SILĄ ARGUMENTÓW ZAWSZE PRZEGRA Z SILĄ PANIKI,

bo panika jest „decyzją” samą w sobie i nieodwołalną.

(Może ją zmienić tylko decyzja kogoś innego).

Problem jest w tym, że postulatom białoruskim zwykle towarzyszy tzw. *panika moralna*. Jak podaje anglojęzyczna Wikipedia, „*panika moralna to rozprzestrzeniająca się w dużej grupie ludzi obawa, że dobro społeczeństwa jest zagrożone*”. [Zygmunt Bauman, *Obcy u naszych drzwi*, PWN, Warszawa 2016, str.8]

Wspomniana względna siła białoruskości w gm. Michałowo (poza samym spolonizowanym miastem-stolicą gminy) przejawiała się i w tym, że kiedy w 1997r. dwudziestu kilku gospodarzy w miejscowości Juszkowy Hrud podpisało (w tej sytuacji – oczywiście – bezskuteczne) poparcie dla ustalenia takiej, historycznej nazwy w miejsce obecnej, nieprawidłowej etymologicznie Juszkowy Gród (powyżej odnosi się do tego radny-sołtys), tylko dwóch gospodarzy odmówiło. Jednak to, co jest atutem, czyli ta żywotność regionalnej tożsamości, umożliwiająca zebranie tylu podpisów, dostarcza też **pewnego elementu prawdopodobieństwa** wspomnianej (pierwszej, michałowskiej) *plotce* (bo tylko liczba i jeszcze nie martwa świadomościowo społeczność mogłaby się czegokolwiek domagać). To zaś jest doskonałą podstawą do kontynuowania strategii nie równoprawności w przestrzeni publicznej, lecz **całkowitej polskiej wyłączności** tam jako rzekomo koniecznej (w tej, jakoby grożącej *przyłączeniem* do Białorusi, sytuacji); w tym podstawą odrzucenia nazwy Juszkowy Hrud, choć obiektywnie prawidłowej, a także nazw dwujęzycznych. Jak bowiem zgodzić się na równouprawnienie kultur, dać tutejszym Białorusinom **cokolwiek trwałego w przestrzeni publicznej**, jeśli miałyby to być jedynie trampoliną do czegoś większego (secesji), jeżeli „oni” *po prostu* są „dla państwa niebezpieczni”?

Kiedy w 1981 r. przywrócono 120 historycznych nazw miejscowości w Bieszczadach, **legalnie** zmienionych 1978 r., za taką decyzją przemawiała „tylko” ich obiektywna prawidłowość. Gdyż Łemków już dawno wysiedlono. Ich nazwy

miejsowości pozostały zamiast nich (jako ersatz). Białorusinów stąd nie wysiedlono, do tego dochodzi nielegalność wielu obecnych nazw, więc podstawy dla nazw dwujęzycznych, argumenty na ich rzecz są mocniejsze, podobnie jak te dla powrotu kilkudziesięciu nazw historycznych, obecnie nieprawidłowych [w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediami” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*]. I... właśnie **dlatego** więcej ich nie będzie, bo **jeśli podstawy mocniejsze to i opór większy**. Mam tu na myśli zarówno opór Polaków, jak i „zainstalowaną” (niczym wirus komputerowy) w umysłach Białorusinów obawę, że znowu oskarży się ich o dążenie do secesji.

To rzekome dążenie do secesji jest pretekstem do „rozpatrywania postulatów mniejszości poprzez automatyczne odrzucanie”, w „trybie paniki”, czyli **bez ich oceny ściśle merytorycznej i moralnej**. Parafrazując Zygmunta Baumana:

*Polityka „sekurytyzacji” [ochrony rzekomo zagrożonego bezpieczeństwa publicznego] pozwala **zawczasu** stłamsić wyrzuty sumienia, które mogłyby się pojawić u obserwatorów patrzących na [niszczony] obiekt tej polityki. Prowadzi ona do „adiaforyzacji” problemu [...] (czyli wyłączenia [metod prowadzenia tej polityki] [...] z moralnej oceny). Gdy opinia publiczna raz zaklasyfikuje [np. Białorusinów w Polsce] jako potencjalnych [wrogów], trafiają [oni] poza granice i zasięg moralnej odpowiedzialności [gminnych i rządowych polityków, a także „sprytnego” ustawodawcy] – oraz przede wszystkim poza przestrzeń współczucia i odruchu odpowiedzialności. W istocie wiele osób **wytrenowanych** przez politykę „sekurytyzacyjną” czuje – świadomie lub nie – że zostali **zwolnieni z odpowiedzialności** za los nieszczęśników oraz z **presji moralnego obowiązku**, który w innych warunkach z pewnością dręczyłby obserwatorów.*

[Zygmunt Bauman, *Obcy u naszych drzwi*, PWN, Warszawa 2016, str.43]

Na poziomie gminnym potransformacyjne (po 1989 r.) zubożenie miejscowych Polaków sprawiło, że **właśnie dlatego ta [polska] część obywateli pragnie jakiegoś zadośćuczynienia** (nawet jeśli jego wartość będzie **niska**, z powodu **ogólnego**, a nie jednostkowego charakteru) z tytułu utraty statusu i **godności**. Tą – niewielką, ale jednak – rekompensatą może być to, że inni są jeszcze mniej **godni**, bo np. ich nazw nie ma na drogowskazach, są „gorsze”. [Z.Bauman, jw., str.42]

Na poziomie rządowym „sekurytyzacja” wygląda np. tak: jeśli obiektywnie prawidłową nazwę kolonii *Samohrud* popiera właściciel obiektu, wszyscy mieszkańcy, Prawosławny Okręg Sokółski, to z **moralnego** punktu widzenia taką nazwę należy ustalić. Wtedy jednak „wkracza” wspomniana „sekurytyzacja”, **wyłączenie problemu** właśnie z **moralnej oceny** (poprzez „sekurytyzacyjne” określenie odgórnego ustalenia takiej nazwy cerkwi *Samohrud* jako „niebezpiecznego” [konkretnie – jak stwierdzono w piśmie Komisji NMiOF – byłby to niebezpieczne dla idei **demokracji**, **czyli dla polskiej większości liczonej w całej gminie**, bo **przecież to synonimy**]. Taka decyzja Komisji o „zastosowaniu” i tutaj „sekurytyzacji” nie jest nakazem ustawowym, gdyż rządowa Komisja zasięga jedynie niewiążących jej opinii, ma **całkowitą** swobodę w ustalaniu nazw. Komisyjna „sekurytyzacja” wynika z tego samego, co (ogarniająca, jak widać,

również „elity”, w tym profesorskie) *przemoc symboliczna*, czyli ze stereotypów (tj. przekonań o „gorszości” lub „zagrożeniach” dla państwa [*demokracji*] ze strony części obywateli; **mniejszość zawsze zagrożeniem dla „tyranii większości”**).

W tym przypadku „sekurytyzację” Komisja wsparła dodatkowo, umieszczając Samogród na liście siedmiu „obiektów nieistniejących” i nie podając żadnego zapisu historycznego poza jednym zapisem w wersji Samogród

[*Nazwy obiektów uznanych w 2009 r. za nieistniejące podczas weryfikacji nazw miejscowości Białostoczczyzny przez Komisję NMiOF*; w: Wikimedia Commons, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?search=nazwy+obiekt%C3%B3w+uznanych&title=Special:MediaSearch&go=Go&type=image>], choć nawet Google podaje polskojęzyczny zapis z 1763 roku na rzecz supraskiego monasteru unickiego: w *dobrach naszych nazywających się Samohrud*.

Z tą koncepcją rzekomego *nieistnienia* Białorusinów zawsze mieliśmy problem: Edward Osóbka-Morawski, już jako minister w latach 1944-49, uważał, że w Puszczy Białowieskiej w ogóle nie ma żadnej ludności, więc także *Białorusinów*. [Tak rodziła się Polska Ludowa, Wywiad z E.Osóbka-Morawskim, Nike nr 12, grudzień 1984] Nie ma ludności, to i nie ma kultury – **pozostawało tylko dopasować do tego rzeczywistość**, by słowo ciałem się stało. (Czyli zburzyć „niepoprawny politycznie” białowieski pałac, internować w Spale („skandaliczny” – jeśli byłby w Białowieży) posąg żubra, zlikwidować tamtejsze Białoruskie Muzeum Etnograficzne [Michał Bajko założył tam potem własne, w nieużywanej chacie]).

Warto było kupić książkę Baumana; m.in. potwierdza on [na str. 90] moje wcześniejsze wnioski o współwystępowaniu – niewykluczaniu się – postaw otwartości [np. na imigrantów] i ksenofobii [np. wobec mniejszości białoruskiej]: *Sęk w tym, że w długich okresach między karnawałami moralności* [np. sympatii dla uchodźców] *wolimy żyć w świecie ostrego i najwidoczniej nieodwracalnego podziału na „nas” oraz na „nich”. Takie pęknięcie nie wymaga „negacji moralności jako takiej”, wręcz przeciwnie: to codzienne, na ogromną skalę rozszczepienie rodzi nerwowe wysiłki, aby zaprzęć moralne odruchy – które nie umierają, ale przez większość czasu trwają w letargu – do służby na rzecz społeczno-politycznych podziałów i antagonizmów* [np. na rzecz antymniejszościowej, **antydwujęzycznościowej paniki moralnej**].

I tak w gminie Michałowo, „ostoi tolerancji”, mamy dwa przeciwstawne zjawiska:
- z jednej strony niesłuchanie napięta, „nadrywną” strunę moralności [<https://michalowo.eu/czlowieczestwo-bez-granic-debaty-w-namiocie-tolerancji-na-dniach-michalowa/>] [<https://michalowo.eu/niezwykle-poruszajace-wystapienie-marka-nazarki-w-czasie-samorzadowego-oraglego-stolu-we-wroclawiu/>] [dostęp: 23.06.2022]
- a drugiej strony – jak poucza Bauman – owo **ratowanie świata całego** (wzorem polskich romantyków, o których wspominał Marian Pilot [w cytowanej na str.278-9 rozmowie]) **jakoby „wymaga” niezgody na nazwy dwujęzyczne, na nazwę oficjalną Juskowy Hrud**, na takie przejawy białoruskiej tożsamości części mieszkańców, jako rzekomo „zagrożające” temu „wyższemu, nadrzędnemu” celowi.

(Ostatnio *moralne odruchy zaprzęgnięto* do masowej zmiany z *dnia na dzień* nazwy pierogów ruskich [choć nie moskiewskich, nie od Moskali, tylko rusińskich]: *ruskie zmieniły się w ukraińskie lub polskie*. [To ostatnie – pierogi *polskie* – daje do myślenia,

„rozwiązanie” rażąco nieprawidłowe, ale co tam – najprostsze, więc też raczej *gród*, nie *hrud?*: <https://finanse.wp.pl/prymat-zmienia-nazwe-musztardy-nowe-etykiety-na-flagowym-produkcje-6760199837928224a>). (Wspomniane wyżej **rozszczerzenie**, to także np. wyrzeczenie się przez Komisję NMiOF ustalania prawidłowego nazewnictwa; **rozszczerzenie ogromne**, skoro ze strony Komisji oznacza ono rezygnację ze swojego... **jedyne!** zadania). (Inny przykład: moralny *karnawał* „*Solidarności*”, a po nim próba likwidacji tygodnika *Niwa*, zaprzęgnięcie **tych samych sił do służby na rzecz społeczno-politycznych podziałów i antagonizmów**; urząd prokuratora, rada gminy czy Komisja NMiOF to właśnie *służba*; *karnawałowe* siły **te same**, więc tylko wystarczy, by nabrały one przekonania, że to mianowicie zachowanie tożsamości białoruskiej tworzy „niepotrzebne” *podziały*, i już można tę tożsamość sekować; ba, nawet „trzeba”. Ta baumanowska dwuetapowość działania jednej siły [jedność przeciwieństw?]: *karnawał* przychylności dla obcych i **równoległe** sekowanie mniejszości. Stąd także w pierwszym, *karnawałowym* etapie próba *tworzenia więzi opartej na budowaniu wspólnej pamięci* i cytowane oświadczenie [Komisji NMiOF z 1994 r.], że *trochę nazw już rozpatrzyliśmy i zmiany będą opublikowane w Monitorze* [<http://pdf.kamunikat.org/11994-1.pdf>], a następnie wycofanie się z tego i obecna sytuacja, że nawet wniosek w sprawie **pojedynczej** nazwy, choć dobrze uzasadniony merytorycznie i „społecznie”, jest odrzucany, bo nastąpił drugi etap: **służby** Komisji **na rzecz społeczno-politycznych podziałów i antagonizmów**. Ta służba odbywa się pod populistycznym hasłem, że przecież gdyby wszyscy w Polsce byli po prostu Polakami „bez żadnej szczególnej historii”, to wtedy byłby *demokratycznie* (większością głosów) ustanowiony „spokój” (także nazewnicy), *pax polonica*, o który „nam wszystkim (jako „*wspólnocie*”) chodzi”.

[dalej z Baumana, str.89:] **Podstępnie**, ale powoli i **nieustępliwie** poszerza się *obszar relacji międzyludzkich i kontaktów wyłączonych z oceny moralnej, ostatecznie traktowanych jako coś „moralnie obojętne”, co znajduje się „poza dobrem i złem”, podlegając wyłącznie ocenie pod kątem skuteczności* „w przynoszeniu **rezultatów**”.

(A rezultatem jest **każdy, jakikolwiek** wynik. O tej zamianie *moralnej* oceny na „ocenę-konstatację”, kto jest **skuteczniejszy**, silniejszy – **i wiadomo, że nie mniejszość** – pisałem już w 2004 r. [w: *Likwidacja oficjalnych nazw miejscowości...*, str. 241: *Skuteczność jako miara słuszności w miejsce oceny moralnej. Zastąpienie argumentacji grą sił, w której uprzywilejowanie silniejszego jest czymś **oczywistym**.*]

Uprzywilejowanie to dobre określenie, skoro oficjalnie są np. nazwy *-gród*, które jako obiektywnie nieprawidłowe **bez uprzywilejowania** właśnie nie ostałyby się. Istnienie nazwy *Samogród* opiera się jedynie na jej *uprzywilejowaniu* „*oczywistości*” w ramach przemocy symbolicznej. Jest ona także kłamstwem. Ciekawie o *istniejących usprawiedliwieniach kłamstwa w etyce stosowanej* pisze Jarosław Kucharski.

[https://depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/6445/USPRAWIEDLIWIONE_KLAMSTWO.pdf?sequence=1&isAllowed=y]

Ja bym nie widział w tym jedynie (wyżej wspomnianej w cytacie) polskiej *głupoty* i *manipulacji*; to rodzaj plebejskiej, populistycznej strategii tutaj, *świadomej lub nie*. Wielu wszakże pamięta (a Sokrat to opisuje), że Białorusini raczej repatriowali się do Polski udając Polaków, nie chcieli przyłączenia ich do sowieckiego „raju”, do kołchozu. Tak jak Korsykanin nie chce do Włoch, francuski Bask nie chce do Hiszpanii, Szwajcar do RFN: każdy chce być tam, gdzie żyje się zamożniej.

Obecne piękne, *przypoite* i pełne *zasad* pomaganie tam wszelkim imigrantom „stu narodowości” (które nigdy nie staną się – tradycyjnie „uwierającą” Polaków – zwartą mniejszością) będzie mszą odkupienia za **unicestwienie tej jednej** (tutejszej, swojskiej!) tożsamości. Ono nastąpi **zamiast** ratowania tej swojskości, wzmocnienia jej, np. poprzez nazwy dwujęzyczne przywracające jej *godność* (odebraną niegdyś za pomocą *pagłosek*); nastąpi zamiast zrównania jej w przestrzeni publicznej, które byłoby także **z korzyścią ekonomiczną** dla regionu, podnosząc jego atrakcyjność turystyczną.

Na *zasadzie*: skoro jesteśmy tacy dobrzy dla wszystkich na świecie (mesjanizm), to niemożliwe, byśmy byli źli dla kogokolwiek. A przecież jeśli w ogóle można być złym, to właśnie dla kogoś pozostającego trwale w naszym zasięgu – dla sąsiada, i **na to** trzeba uważać. Tymczasem **właśnie wtedy** „nie ma zmiłuj!”. (Mówiąc dosadnie: „**Kogo bić, jeśli nie własną żonę i dzieci**; przecież nie cudze!”; tutaj utrudniać „samorządowo” i ustawowo wprowadzanie nazw białoruskich, bo przecież nie w Białorusi; sekować swojską „Niwę”, nie cudzą „Naszą Niwę”, bo tamta za granicą, itd.).

Można to wiązać z – odnotowanym także tutaj przez Sokrata – *globalnym* „utelewidornieniem” „pozaetnicznej ludności”: telewizor „zadaje do głów” określone tematy, np. imigrantów, ludność w to „wchodzi”, a jednocześnie kwestii potrzeby ochrony tutejszej tożsamości w ekraniku nie ma, więc ta niechaj kona. Nawet kiedy robi się tasiemcowy serial w rodzaju *Rolnicy.Podlasie*, to w nim żadne słowo białoruskie nie pojawia się (nawet jedno słowo; całe zdanie to byłby cud; co ja mówię: nawet jedno słowo to byłby cud!). Nie ma w sokolskim discolo słowa *prostego* (pojedynczego!), nawet dla żartu (z którego łatwo byłoby niedoszłemu „nacjonaliscie-faszyście” się „wycofać”). Strach przed odezwaniem się *po prostemu*, niebyt (w przestrzeni publicznej) totalny!

Psychologicznie można ująć to tak: do czasu unii lubelskiej w 1569 r., wobec braku swobody przepływu ludności i kapitału z Polski do Wielkiego Księstwa Litewskiego, gmina Michałowo była zamieszkaana niemal wyłącznie przez prawosławnych Białorusinów, m.in. w Juszkowym Hrudzie, wtedy nie Grodzie. *Ziemie te [...] aż do rozbiorów należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Najsilniej były zasiedlone przez element białoruski. Ludność ta **tylko w nieznacznym stopniu uległa polonizacji***. [poza samym Michałowem] (Opisała to – tutejsza! – Nina Ciwoniuk w artykule *Rozwój osadnictwa w starostwie jałowskim od XVI do końca XVIII wieku w świetle toponimii* [tj. nazw miejscowości] [Kwartalnik Historii Kultury Materialnej, tom 31, nr 1/1983]). Zatem Polacy mogliby mieć tu kompleks młodszego brata i starszego sekować, by go unżyć. „Mogliby mieć”, bo raczej

sami uważają się za tego starszego, a Białorusinów za młodszy „produkt carskiej rusyfikacji”, baumanowski „chwał”, z językiem *prostym*, „nienadającym się” na tablice drogowe, „niegodnym” ich. I na tym **dokładnym odwróceniu** (również przez wspomniane pomówienie, *pogłoskę*, której towarzyszyło *palenie* białoruskich *książek* w czasach PRL) polega strategia obecnej większości wobec mniejszości: masz mocne podstawy, **to właśnie dlatego** musisz przegrać – bo nawet niekoniecznie my sami, ale „niebezpieczna” „sytuacja” tego wymaga; byłeś tu historycznie („narodowościowo i religijnie”) wcześniej, to właśnie dlatego będziemy głosić, że pojawiłeś się później i wobec tego musisz mieć „mniejsze prawa”. Czyli wszystko odwrotnie, jak w lustrze. Ale logika w tym jest; właśnie „logika kontry”, lustra.

Skoro tak, to i rozwiązanie problemu powinno być „lustrzane”:

1. Białorusini nie złożą tu wniosku o nazwy dwujęzyczne, ze strachu przed oskarżeniami o „secesję” (wyżej cytowany radny to wyjaśnił). To jest jasne, więc możemy iść dalej. (Jak szybko nam to idzie!).
2. Wobec tego taki wniosek – zgodnie z „lustrzaną” sytuacją – powinni zgłosić... Polacy. Jako korzystny wizerunkowo i ekonomicznie (turystyka).
3. Jednak tym lokalnym Polakom taka inicjatywa (i to, że byłaby dla wszystkich korzystna) nie przyjdzie do głowy, więc konieczna jest jakaś inspiracja, lobbing ze strony Polaków z Białegostoku (też chyba mało prawdopodobne, zatem raczej z Warszawy albo z Zachodu, jak niegdyś od Giedroycia czy Olbrychskiego).

Powstaje pytanie, czy polityka administracji publicznej (rządowej i samorządowej) wobec *cichej* mniejszości białoruskiej może być aż tak zła, skoro ogólnie władze „są dobre, postępowe”. Jest to możliwe, taki rozdzźwięk, niespójność. Wystarczy przypomnieć, że właśnie za „ogólnie liberalnych” rządów PO firma InPost, aby dostarczać listy musiała przyklejać do każdego z nich 5 dekagramów grubej na milimetr blachy żelaznej, wyrzucanej potem całymi kilogramami na śmietnik. *Jakiś czas temu zamiast metalowych „plomb” stosowano papierowe notesiki, a także woreczki z piaskiem.* [20.05.2011; <https://skierniewice.naszemiasto.pl/listy-dociazane-blachami-jeszcze-przez-dwa-lata/ar/c3-915981>] Władza, choć ogólnie nie tyrańska, nie miała „problemów” ze skazywaniem staruszek na śmierć z żalu, że muszą spłacać ze swoich emeryturk kilkadziesiąt tysięcy kary za wycięcie zasłaniającego światło drzewa pod oknem. *Niestety wycinka taka kończyła się czasem naliczeniem drastycznie wysokiej kary, która przewyższała wartość całej posesji wraz z budynkiem. Chore przepisy zrujnowały już niejednemu człowiekowi w sensie dosłownym całe życie.* [o 60 tys. zł kary, 6.02.2014: <https://kaliszpomorski.eu/drakonskie-oplaty-i-kary-za-wyciecie-drzewa-w-polsce/>] Państwo, nawet „ogólnie postępowe”, jak najbardziej potrafi (w *sensie dosłownym*) „zamordować” obywatela, zabrać mu cały dochód także w zwykłym trybie, nie za karę. Tak też wielkodusznie (i korzystnie dla gospodarki) przyjmując rozproszonych uchodźców „stu narodowości”, może jednocześnie „zabijać, unieobecniać” w przestrzeni publicznej jedną konkretną, zwartą (i przez

to postrzegana jako „groźna”?!)) mniejszość (stąd oskarżenie o coś takiego w tytule jednego z dawnych tekstów w „Czasopisie”: *J'accuse*). I tu niby już bardzo odbiegłem od tematu, ale to nieprawda: bo Sokratowa krytyka „państwa-miasta” jest ogólniejsza, dotyczy nie tylko kontekstu białoruskiego. Świat jest szalony, wariacki; jedynie *Dom* jest *cichą* ostoją normalności, rozsądku.

Wbrew pozorom, niniejsze komentarze dotyczą nie tyle historii tej naszej dziwnej, pokręconej Rzeczypospolitej, ile podstawowego tematu książki: *człowiek prosty* i „miasto” (w tym i ww. Michałowo), jednostka i państwo manipulujące nią przy pomocy różnych mitów-propagand (politycznych, przechodzenia-przechrzczenia się plebejuszy do kasty panującej, kreowania mitów bardzo różnych, w tym *obrazkowo-pięniężno-fiducjarnych*, sarmackich, *mamienia* komunistyczną *iluzją królowania*, mitów pańskości i „chamstwa”, *świętości*, również świeckich, *przemocowo-symbolicznych*, np. ujętych w *święte wiersze*, i innych) jako – w świetle encyklopedycznych faktów – „ściem” na użytek prostego człowieka, „rzeki kłamstwa” w postaci *mówienia sporo przyjemnego jolopom*; by zwykli obywatele zawsze myśleli, że ginęli z sensem i w swoim interesie. Nigdy bez sensu – takiej oficjalnej „narracji” nie znam, co widać i na Łuku Tryumfalnym w Paryżu – bo to dotyczy wszystkich państw.

Podobnie uczy się młodzież, że w „*Pieśni o Rolandzie*” bez większych trudności można się dopatrzeć **starcia pomiędzy cywilizacją chrześcijańską i pogańską**, czyli rzeczy „wielkich”, podczas gdy w rzeczywistości Roland zginął w wyniku odwetu Basków za „**małostkowe**” **złupienie** – m.in. przez chrześcijanina Rolanda – chrześcijańskiej Pampeluny. Ponadto Roland nie ostrzegł głównych oddziałów, więc w zasadzie zasłużył raczej na pośmiertną degradację. [https://www.na6.pl/historia/piesn_o_rolandzie_zabytki_pismienictwa_sredniowiecznego]

Podobne to do „wielkiej, bo przedmurzowej” legendy **lisowczyków**, a faktycznie wyrosłej na rabunkowym **okrucieństwie**. *Palili oni i okradali nawet wsie i miasta należące do Rzeczypospolitej, nie oszczędzając przy tym kościołów i klasztorów. Na przykład w 1622 roku Krzysztof Radziwiłł informował Eustachego Wollowicza: „Lisowczycy staną nam [wystarczą] za Zaporozców [kozaków z Ukrainy], bo tylko wodę a ogień w [Biało-]Rusi zostawują, Sluck i insze przyległe miejscowości wniwecz splądrowali.”* [...] *Rozgoryczony kanclerz litewski, Radziwiłł, o żołnierzach powracających ze zwycięskiej [nad Moskwą] wojny smoleńskiej 1634 roku, pisał: „Litwa najbardziej ucierpiała.[...] Polacy [...] Litwę [Wielkie Księstwo Litewskie] [...] tak dalece spustoszyli, że była prawie jak po napadzie nieprzyjacielskim”*. [<https://opinie.wp.pl/lisowczycy-czarna-legenda-najszybszych-wojsk-xvii-wieku-6125757286495873a>] (Widać, że Moskwa czy Białoruś [„Litwa” albo... Białowieża] – to tak czy inaczej wschodni, „postbizantyjski” teren do łupienia, rujnowania; *schylaj się i bierz*). (Kanclerz WKL nie uważa się tu za **Polaka**, wszak dopiero w *Panu Tadeuszu* pojawia się zawołanie: „będziem Polakami!”). Mimo to sztywnie jest mieć na ścianie obraz z galopującym lisowczykiem, bo jak pisze Sokrat: **imponuje moc oparta na strachu**, choć w istocie... *pogańska*. Pozierając na taki obraz, można miło spędzać czas *na rozmowach o bogactwie*; pod rodzowym herbem marzyć *pod brzęk kieliszków*.

Różne rzekomo propanstwowe narracje o „bohaterach” trzymają się mocno, bo np. – nawet dziś! – nikt nie używa w kontekście konfederacji barskiej określenia: („małostkowa”) „obrona uprzywilejowanego” czy choćby tylko „dotychczasowego statusu” katolików, od razu i zawsze mocno określając ją jako „obronę wiary katolickiej” przed „atakami” na nią.

[[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Historia_Polski_\(1764%E2%80%931795\)&oldid=63103847](https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Historia_Polski_(1764%E2%80%931795)&oldid=63103847)] (Formułując to tak, choć żaden jej upadek wraz z upadkiem konfederacji nie nastąpił. Za to upadek Polski i Białorusi owszem, i w **tym** kontekście tamto barskie *samobójstwo* Polski rozpatruję). Mamy zatem taką anachroniczną sytuację w powszechnej, zmanipulowanej świadomości, jakby w latach 50. XX w. na południu USA wsiadł do tramwaju Afroamerykanin, zajął miejsce oznaczone jako „tylko dla białych” i to byłoby określone jako „atak” na białych nie tylko wtedy, lecz i we współczesnym opisie, wartościowaniu tamtej sytuacji. Podobnie do dziś postulaty wprowadzenia mniejszościowych nazw dwujęzycznych odbierane są jako... „atak” na polską większość, nadwężenie jej statusu, więc wymagają zgody tejże większości w radzie gminy. (Ewentualnie sama mniejszość może je uznać za „nierozsądne”, tak jak rzeczony Afroamerykanin mógł po prostu dla świętego spokoju, „rozsądnie” jechać stojąc). Tak też np. nazwa oficjalna (nie dwujęzyczna) *Samohrud* (w miejsce obiektywnie nieprawidłowej nazwy *Samogród*) byłaby (w mniemaniu Komisji Nazw Miejscowości) „atakami” na resztę gminy, naruszałaby jej prawo do „czystopolskości nazw”, **dlatego** wymagałaby (mentalnie – w Komisji, bo prawoustawa tego nie wymaga) analogicznej zgody „atakowanych tą nazwą” obywateli spoza tej miejscowości, tj. gminnej większości (wymagałaby nie tylko tego, co już od dawna jest, czyli pisemnego poparcia wszystkich mieszkańców i właściciela obiektu oraz zadeklarowanej, również na piśmie, przychylności wójta).

Czy „dzika, nadmierna podejrzliwość i nieufność” jest wyłącznie „wschodnia”?

Sprawy nazw nie można załatwić, bo w odczuciu administracji publicznej w kwestii nazw „nie o nazwy chodzi”.

Jednak **zawsze** i **wszędzie** chodzi o coś „innego”; tutaj np. o tożsamość mniejszości, na którą ze strony postsarmatyzmu nie ma zgody.

Czujesz się, Białorusinie, jak *przestępca*, choć to Komisja zmieniała nielegalnie nazwy...

Andrzej Stasiuk pisze o „wschodniej” mentalności: ***W ogóle czujesz się jak przestępca. Jakbyś się chciał zakraść, wjechać na lewo, coś im tam ukraść, wynieść z tych krajów [na Wschodzie], do których nie jeździ nikt poza kierowcami tirów, księżmi i paroma plecakowcami. Czujesz się, jakby ci robili łaskę, że cię w ogóle wpuszczą na te swoje bezludzka porośnięte krzakami i zasypane piachem. [Osiołkiem, 2016, str. 12] Skoro mowa o Osiołkiem – kiedyś (w PRL-u) w tygodniku Niwa opisano taką sytuację: wchodzi dziadek do sklepu przemysłowego i prosi o osiołku. Młoda sprzedawczyni odpowiada, że tutaj osiołków nie sprzedajemy. Dziadek nie poddaje się, bo zawsze tutaj kupował, więc w końcu ktoś strofuje ekspedientkę i ta sprzedaje osełkę aborygenowi. W tej scenie nie chodzi o***

samą złośliwość sprzedającej. Raczej o jej... przerażenie. Rzecz w tym, że dziadek zwrócił się do niej publicznie, a sprzedająca podając od razu to, o co prosił, czyli osekłę, niejako przyznałaby, że rozumie po białorusku, zatem mogłaby być – o zgrozo! – uznana za Białorusinkę przez innych obecnych w sklepie. Gdyby dziadek był jedynym kupującym, sprzedawczyni (może) nie udawałaby, że nie rozumie. Widać więc, że tzw. strach białoruski obejmuje również Polaków. (To tak jak w PRL-u być publicznie nazwany Żydem; ze złości i bezpodstawnie, ale i tak można było niezwłocznie się „wieszać”. Znam takiego, co długo chorował z tego powodu, a zaprzeczając – klasyczna sytuacja – tylko jeszcze bardziej się pograżał, niczym w ruchomych piaskach). Czyż nie podobnie Komisja boi się, że uruchamiając ewentualnie ustawową procedurę nr 2, byłaby oskarżona o zdradę państwa? *Zdrajca!* – to słowo pojawia się w powieści Sokrata.

Zatem czy rzeczywiście w Polsce (w tym w Komisji) jest inaczej niż w opisie Stasiuka? Nie, taka sama nastroszona podejrzliwość. Wracając do przytoczonego już cytatu z wypowiedzi radnego: - *Ja wiedziałem, o co tutaj chodzi. To nie chodziło o [ustalenie nazwy miejscowości]. Ja po prostu w te sprawy nie wchodziłem. Zarząd [gminy] to przedstawił. Ja nawet nie chciałem odzywać się. My wiemy, o co chodziło. Wójt [gminy Michałowo] najlepiej to wyjaśni.* [Jarosław Janowicz, *Likwidacja oficjalnego nazewnictwa miejscowości Białostoczczyzny pochodzenia białoruskiego...*, str. 123]

Nigdy nie chodzi dokładnie, dosłownie **o to, o co chodzi**: idziesz po rower nie po to, żeby go wziąć, tylko po to, żeby dokądś pojechać; ale też i nie o to chodzi, żeby pojechać, tylko żeby coś załatwić albo dla zdrowia.

- Nazwy dwujęzyczne też nie po to są na świecie, żeby aborygen, znający tu wszystkie ścieżki, trafił dokąd zamierza, tylko po to, żeby było widać (*żeby wszyscy widzieli*), że się nim nie gardzi, **a ci, którzy nadal chcą gardzić, żeby wiedzieli, że nie powinni**, że to już „niemodne”.

- Natomiast pojedyncza oficjalna nazwa oficjalna na drogowskazie, ale historyczna i tradycyjna, poza funkcją praktyczną, mówi(łaby) nam o tym, że po unii lubelskiej z 1569 r. Polacy osiedlali się tutaj nie po to, by świadomie i doszczętnie niszczyć białoruską kulturę, że faktycznie są „tolerancyjni”. (Zresztą dawne, przedrozbiorowe zapisy w polskojęzycznych dokumentach są „białorusko brzmiące”).

Niestety, Komisja NMiOF również odrzuca tradycyjne nazwy nie jako nazwy, tylko **jako „coś więcej”**: jako atak na podstawy państwa polskiego. (Na *demokrację*, z ducha szlachecką, choć teraz głównie w wykonaniu plebejuszy, sarmatyzowanych po peerelowsku w stronę ksenofobii, neopiastowskiej jednolitości etnicznej). Jeśli chodzi o kwestie „społeczne”, nie językowe, bo te są oczywiste, pisemne poparcie wszystkich mieszkańców i właściciela dla nazwy Samohrud powinno być wystarczające, tak na „chłopski rozum”, nawet na sarmacki-przedrozbiorowy (jak w zapisie *Samohrud* z 1763 r.), ale już na rozum postsarmacki, postpeerelowski w Komisji nie jest to wystarczające. Jeśli organizacja mniejszości składa wniosek w sprawie nazw, Komisja NMiOF zaś rozpatruje go jako wniosek w zupełnie innej sprawie (demokracji) i w panice moralnej „robi za Rejtana”, to oczywiście taki wniosek „funkcjonuje” w

zupełnie innej płaszczyźnie, trafia w próżnię. Wiadomo, że gmina Szudziałowo nie złoży wniosku, ale jeśli Komisja ustali nazwę tradycyjną jako oficjalną w drugiej, alternatywnej ustawowej procedurze, to nikt tam lamentować nie będzie (i tak też zapewniał wójt: [Pismo wójta gminy Szudziałowo z 29.03.2013 r. w sprawie postulowanych 3 nazw miejscowości, tj. Samohrud, Litwin Łuh i Hały Łuh][w: Wikimedia Commons, przycisk: Inne Media/Other Media]). Jednak to (takie zapewnienie wójta) miałyby znaczenie, gdyby Komisja NMiOF była przychylna nazwom tradycyjnym tutaj i szukała **możliwości** ich przywracania, a tak nie jest. Komisja – *niezmiennie* – broni „zagrożonego” *łacińskiego* państwa i zdobyczy „demokracji” przed *bizantyjskim-wschodniosłowiańskim* „zagrożeniem”.

Tak ta sprawa wygląda w kolejnym, jeszcze innym przekroju, kontekście: tutaj „dzikiej nieufności”, rzekomo – według Stasiuka – typowo „wschodniej”.

Gdybym miał się tu podpisać, to użyłbym słów z Baumana: komentarz sporządził **rzekomy beneficjent demokracji** – jeden z *bocianów* La Fontaine’a, których uczona Komisja Nazw Miejscowości – przewrotny *lis skąpiec* – „karmi” zupą z talerza polskiej *demokracji*. (*Skąpiec* z tego *lisa*, bo chociaż późniejsze postulaty kierowane do Komisji dotyczyły już nie 62 nazw [w Wikipedii – w dole strony „zobacz w multimediami” – w pliku: *Wykaz 62 nazw woj. podlaskiego do weryfikacji w 2009 r..pdf*], lecz tylko kilku albo nawet jednej i z pisemnym poparciem wszystkich mieszkańców, to i tak zostały odrzucone).

Wynikałoby z tego, że cały Wschód jest trwale i alergicznie niestrawny dla Polaka, nie do zniesienia. Trafnie zaprezentował to Andrzej Stasiuk [w *Osiolkim*, str.66], i jakże autentycznie, bo niemal nieświadomie:

1. W powieści Stasiuka najpierw baumanowski (wspomniany kilka stron wyżej), *karnawał moralności* (czyli: na Wschodzie nie lubimy tylko Rosjan): [właśnie toczy się „pierwsza” wojna w Donbasie, Rosjanie atakują], *Donbas w ogniu, Ukraina krwawi, a Europa „wraża* [tylko] *zaniepokojenie*” – ubolewa Andrzej Stasiuk. Ale od razu dalej (choć może niezamierzenie niezręcznie):
2. *Jak wejść do Białegostoku, żeby upomnieć się o mniejszość białoruską, to też „wyrazi”*.

To czytając przeżywam szok (bo będąc Białorusinem czuję się, *jakbym był przestępcą, chciał coś ukraść* Polakom [tamże, str.12]). I zarazem... olśnienie, wszystko jasne: sami Białorusini wprawdzie chcą żyć w Polsce (jak ci Korsykanie we Francji, nie w biedniejszych Włoszech), obiektywnie **ich** działania niczym nie grożą i nie są antypolskie, ale – uwaga! – ktoś inny może wykorzystać ich istnienie dla swoich celów, więc lepiej, żeby... mniejszości białoruskiej nie było; **samo jej istnienie** jest „niebezpieczne”. Zwyczajnie żyjesz i już jesteś „wrogiem”. Dlatego *Dubnica* musi być (choć nielegalnie, ale *skutecznie!*) *Kurpiowska*, a *Samohrud* *Samogrodem*. Wykorzeniec wszystko co białoruskie, **tak... na wszelki wypadek**.

3. Wydawałoby się, że w tym obrazie (że całego Wschodu nie lubimy) jest jeden defekt: Rosjan nie lubimy, Białorusini (jako mniejszość) są „podejrzani”, ale przynajmniej lubimy Ukraińców. Nic podobnego! Stasiuk tak dokumentuje swoją mentalną sytuację z około 2015 roku na przejściu granicznym słowacko-

ukraińskim): żołnierka *banderówka po ukraińskiej stronie była ładna i pięknie się uśmiechała. Pistolet przyjemnie jej się układał na biodrze* [tamże, str.27]. Choć nie miał *pojęcia, kto to jest* [Bandera], *ale w zasadzie było jasne, że Ukraina i Ukraińcy to nic przyjemnego* [tamże, str. 35, i jak u Sokrata]. Choć *Bandera nikogo* [Stasiukowi, jak sam twierdzi] *nie zabił* [tamże, str. 30]. Tymczasem w przypadku łagodnego Białorusina owo zabicie (Polaka) nie jest konieczne, wystarczy, że Białorusin istnieje i już może się czuć (i w Białorusi i w Polsce) **jak przestępca**.

Zatem raczej ma Bauman stwierdzając, że takie *karnawały moralności* wobec imigrantów zwykle kończą się (jednak!) wzmocnieniem (bo już istniejących) **innych społeczno-politycznych podziałów i antagonizmów**, stereotypów.

Wniosek: Komisja postępuje tak a nie inaczej, naburmusza się na białoruskie postulaty, gdyż dla niej samo istnienie tutaj Białorusinów jest „groźne”. *Ostatni Indianie Europy* (tego określenia używa w powieści [na str.205] Sokrat) są wprawdzie dobrodusznymi i przyjaźni, propolsko i propaństwowo nastawieni, ale – jak mawiano na Dzikim Zachodzie – „najlepszy Indianin to martwy Indianin”; nawet jeśli w sumie był niegroźny i mógł żyć – bo „profilaktyka-sekurytyzacja” przede wszystkim.

Kilka akapitów wyżej jest mowa o *skapstwie* Komisji. Wynika ono z obawy, że przywrócenie nawet kilku nazw (z jej – jeśli chodzi o procedurę – inicjatywy) może spowodować dalsze postulaty mniejszości w tym zakresie, gdyż każda droga zaczyna się od pierwszego kroku, więc **uniemożliwienie początku blokuje ewentualny ciąg dalszy**. Jest to obawa nieuzasadniona nie tylko w tym względzie, że prawidłowe nazewnictwo nie jest niczym złym, ale także dlatego, że czas na takie inicjatywy minął i nastąpiło zniechęcenie, rezygnacja. Dobrym przykładem „zmęczenia przeciwnika” jest tu próba ustawienia tablicy dwujęzycznej *Długi Bród - Douhi Brod* w gminie Dubicze Cerkiewne w 1984 r. Wtedy tablicę skonfiskowała Służba Bezpieczeństwa i... do dziś podobna inicjatywa nie powtórzyła się w tamtejszych kilku gminach. **Czas minął, ale... Komisja NMiOF o tym nie wie**, stąd jej „rejtanowskie” nieprzejednanie, *skapstwo polityczne (polityczne, bo przecież nie o nazwy tu chodzi...)* Kolejne potwierdzenie tego, że problemy z obroną tożsamości białoruskiej biorą się (często) z jej... względnej siły, zatem z inicjatyw zbyt wczesnych, „nie w porę” (one zawsze „nie w porę”...), i z odbierania takich jej przejawów, jak pisemne poparcie (nawet wszystkich) mieszkańców, jako „zagrożenia”, wobec którego pilnie należy uruchomić *panikę moralną* „odnośnych instytucji” (prokuratury w sprawie *Niwy*; Komisji w sprawie nazw po jej *karnawale moralności* z 1994 r. i zmianie jej nastawienia do sprawy o 180 stopni, itp.). Mówiąc o względnej sile białoruskiej tożsamości mam na myśli to, że dla urzędowego ksenofoba nawet jeden Białorusin „w terenie” to za dużo, jak w przypadku wspomnianej *rachmistrzyni* spisowej, która w 2011 r. nie chciała tolerować nawet pojedynczych przypadków podawania przez aborygenów (łagodnej z natury) narodowości białoruskiej w gminie Szudziałowo. [*Szudziałowo, Spis Powszechny*, w: <https://www.youtube.com/watch?v=cEEkmfVACaY>] Bo jeśli nawet pojedynczych, to i tak *przestępczych*, i mamy tutaj taką sytuację, że przy sile

białoruskiej tożsamości, którą możemy oznaczyć liczbą x , przeciwdziałanie jej, w zamierzeniu o sile równej $\text{minus } \frac{1}{2} x$ lub $-x$, w praktyce wynosi $-20x$ (wskutek „pomylenia” niewielkiej przejawianej publicznie siły tej tożsamości z jej wprawdzie znacznie większą, ale nieśmiałą, zahukaną i coraz bardziej zerodowaną „etniczną bazą”). Taka zaś dysproporcja („zagrożenia” względem przeciwdziałania mu) nieodwołalnie niszczy tę tożsamość, między innymi rękami wspomnianych: prokuratury, Komisji NMiOF, rachmistrzyni czy ustawodawcy (ustawa o mniejszościach – próg 50% głosów w radzie gminy dla ustanowienia nazw dwujęzycznych; zakaz reprezentowania mniejszości przez organizacje społeczne, np. przed Komisją NMiOF, która sprawę stawia jasno: jest rada gminy-*wspólnota*, **proszę sobie tam Samohrud i Borsukowinę** z katolicką większością **przegłosowywać, „do woli”**). (Użyłem określenia katolicką, gdyż katolicy, chociaż też mówią *po prostemu*, ale – zwykle – mają z tego powodu, niejako zamontowane im w głowach przez szkołę, niby jakieś czipy, „wyrzuty sumienia”).

Jeśli mamy tu „poprawność polityczną”, „modę, trend”, *globalny* wymóg zachowywania regionalnej tożsamości (teraz zachowuje się rzadkie gatunki dzikich zwierząt, nawet domowych z unijnym wsparciem; także popiera się i rzadkie narodowości – skądinąd w podobnej sytuacji niemal wymarcia), to do takiej sytuacji pasuje chyba następujący fragment z Baumana:

„To, czego nam brak, to kosmopolityczna świadomość idąca w parze z naszą kosmopolityczną kondycją. Dodałbym, że nie mamy też politycznych instytucji, które mogłyby przekuć słowa w czyn.”[*Obcy u naszych drzwi*, str.75]

Komisja NMiOF – jeśli ustala prawidłowe nazwy albo od tego odstępuje – nie jest instytucją tylko fachową (jak mechanik, który zawsze reperuje auto), lecz właśnie polityczną, czyli działającą w jakimś celu, **lub nie**. Dwunarodowościowa *kondycja* „w terenie” też jest, więc brakuje nawet nie samych instytucji (bo Komisja jest i była), tylko *kosmopolitycznej świadomości* w niej.

Wróciłbym w tym kontekście do sprawy posągu żubra, niezwróconego Białowieży: *W Spale chyba jednak nie byli do końca pewni, jak się ta sprawa zakończy, bo postawili sobie w pobliżu drugiego żubra, tak na wszelki wypadek. Mało tego, ten nowy jest dużo bardziej widoczny od zabytkowego, stoi bowiem tuż przy głównej, przelotowej ulicy, Alei Prezydenta Ignacego Mościckiego, przy najważniejszym spalskim skrzyżowaniu.* [<https://klubglobtroterawarszawa.com/2020/04/27/zubr-ze-spaly/>]

Skoro w Spale nie byli do końca pewni, to także „ze względów społecznych” (nie tylko ściśle merytorycznych) można było podjąć decyzję o powrocie zabytku do Białowieży, ale zabrakło *świadomości* w politycznej instytucji. Podobnie, jeśli władze gminy oświadczyły, że mogą być nazwy *Samohrud* i *Borsukowina* (zadeklarowały to półoficjalnie – nie będąc do końca pewne, czy politycznie tak powinno być, czy tak „wypada” – ale jednak na piśmie), a nadrzędna nad nimi Komisja się na te nazwy nie zdecydowała, to świadczy właśnie o braku odpowiedniej dla obecnych czasów (*kosmopolitycznej, wielonarodowościowej*) *świadomości* na samej górze, w administracji rządowej.

Jakaś „świadomość” jest, ale stara, archaiczna, w obu przypadkach, i żubra, i nazw: że chamom należy się mniej niż panom. Nawet kiedy „pańskość” w terenie (w gminie) demokratyzuje się i wprawdzie nadal nie popiera ona aktywnie „chamów”, ale **jest już pogodzona** z ich wygraną przed wyższą *instytucją*, już uważa ją za bardziej prawdopodobną, i – bardzo ważne! – już nawet zaczyna zmieniać się jej świadomość, także historyczna, już żubr prawie wraca do Białowieży, a wójt w Szudziałowie mówi: „a niech będzie *Samohrud*, gmina milcząco to przyjmie” – to w końcu, na finiszu i tak ta **wyższa polityczna instytucja** zawraca wszystko w XX wiek i ową „pańskość” konserwuje: paszli nazad, wsie! (jedni i drudzy, do swoich dotychczasowych *kojców* – jak to określa Sokrat).

„Zbrodnia samego istnienia” mniejszości i „kara” wymierzana jej przez rządową Komisję NMIOf w ramach jej *strategii „wnikliwego rozpatrywania”*

Tendencja do zawieszania i uchylania moralnej odpowiedzialności za innych na granicy pomiędzy „nami” i „nimi” jest całkowicie i bezwarunkowo sprzeczna z „byciem moralnym”, pozostaje z moralnością w konflikcie. [...] W przypadku, o którym mowa, strategia ta przybiera formę przypisywania kategoriom ludzi wyłączonych spod naszej (poza tym bezwarunkowej) moralnej odpowiedzialności cech, które ich zniesławiają, prezentują jako niegodnych uwagi i szacunku. Tym samym pogarda i brak troski zostają usprawiedliwione, stanowią bowiem zasłużoną karę za nieuleczalne skazy lub złe intencje tych, których poniżyliśmy, zignorowaliśmy, potraktowaliśmy surowo czy w sposób rażący zaniedbaliśmy.
[Z.Bauman, tamże, str.93, 94]

Konkretnie:

1. mamy tu np. wniosek o ustalenie oficjalnej nazwy *Samohrud*, wniosek **nie do odrzucenia** wobec udokumentowania historycznego, żywości tej nazwy w potocznym użytku, pisemnego poparcia mieszkańców i właściciela obiektu merytorycznie i „społecznie”,
[w: [Wikimedia Commons](#): *Opinia Dziekana Prawosławnego Okręgu Sokólskiego z dn.20.02.2013 w sprawie postulowanej oficjalnej nazwy kol. (pohostu): Samohrud*].
2. a następnie jednak jego odrzucenie – w trybie zawieszania, uchylenia moralnej odpowiedzialności Komisji NMIOf – niejako *ZA KARE*, za związane z takim wnioskiem rzekome **złe intencje**: za zamach na postszlachecką *demokrację* lub wspomniane przez Andrzeja Stasiuka zagrożenie dla państwa stwarzane przez mniejszość narodową **przez sam fakt jej istnienia** (zaiste **nieuleczalna skaza**). (Dodajmy, że ów sam fakt jej istnienia, ten „etap”, mniejszość ukraińska w Polsce – skoro rozproszona – ma już za sobą, co – jakkolwiek ironicznie by to zabrzmiało – umożliwiał obecny nowy, „zycziwy”, pełny uśmiechów – bo już bez tej „przeszkody-skazy” – rozdział w historii polsko-ukraińskiej. Może to i lepiej, że sprawy polsko-białoruskie ciągle jeszcze nie na tym „etapie”... Owa *skaza* wynika z zasady biblijnej, Tukidydesowej, później i bolszewickiej: „Kto nie jest z nami [tak na 100%, nie „tylko” na 90 – bo ma jeszcze jakąś własną odrębność, tożsamość], ten jest przeciw nam”. Jednak to nie wszystko tłumaczy, gdyż Ateńczycy czasów Tukidydesa nie żądali od swoich sojuszników zmiany tożsamości, a białoruska idea narodowa jest zgodna z polską racją stanu). Można by rzec, że właśnie

rutynowe-ściśle-merytoryczne, „pobieżne” rozpatrzenie wniosków prędzej dałoby efekty, podczas gdy rozpatrywanie „wnikliwie” (jak je określa Komisja) obnaża wspomniane rzekome *złe intencje i nieuleczalne skazy* wnioskodawcy. Nie można ich poprawić ani uzyskując pisemne poparcie mieszkańców (to już jest), ani próbując – jak mówią Rosjanie: *skolko ugodno* i oczywiście bezskutecznie – przegłosować wniosek w radzie gminy. Nie można też skłonić Komisji do zastosowania ustawowej procedury nr 2 w sytuacji, kiedy – jak pisze Bauman – sprawa została przeniesiona (w Warszawie) z poziomu merytorycznego, *ze sfery etyki* i zdroworoządkowego pragmatyzmu (tj. **szukania** proceduralnych **możliwości** na podstawie pisemnego poparcia mieszkańców), do sfery *bezpieczeństwa* państwa (**szukania przeszkód** dla „szkodliwej” – inteligenckiej, więc „niedopuszczalnej”, bo niemuzyckiej, „nieautentycznej, niesamoistnej” inicjatywy). [Bauman, tamże, str. 96] Inteligentów można wysyłać na Sybir albo postępować z nimi bardziej „po ludzku”: ignorować ich. A przecież inicjatywa „czysto chłopska”, zaistniała pomiędzy żniwami, wykopkami i czym tam jeszcze, jest niemożliwa. No i chyba o to chodzi – bo takiej nie będzie, taka administracji rządowej „nie grozi”!

Ma miejsce raczej budowanie „proceduralnego muru” zamiast **merytorycznego** dialogu. W przypadku Komisji ma to postać odrzucenia ww. ustawowej procedury nr 2. Zygmunt Bauman [na str. 126, tamże] pisze o tym tak:

Koncepcję tę [rozwiązywania problemów] rozwinął Richard Sennett w swoim postulatcie, by wszelki dialog miał charakter „nieformalny” – to znaczy, że powinniśmy powstrzymać się przed ustalaniem proceduralnych zasad konwersacji przed jej rozpoczęciem.

Przykładem takiego podejścia są uzgodnienia z wójtem gm. Szudziałowo umożliwiające zmianę 3 nazw w drugiej z ustawowych procedur [*Pismo wójta gminy Szudziałowo z 29.03.2013 r. w sprawie postulowanych 3 nazw miejscowości, tj. Samohrud, Litwin Łuh i Hały Łuh*] [w: [Wikimedia Commons](#), przycisk: [Inne Media](#)]

Inny przykład **ustalania proceduralnych zasad konwersacji przed jej rozpoczęciem**: [*Opinia burmistrza Krynek z 2013 r. w sprawie postulowanej nazwy kolonii Borsukowina*] [w: [Wikimedia Commons](#): przycisk: [Inne Media/Other Media](#)]

Widać po powyższych przykładach, że *postulat, by wszelki dialog miał charakter „nieformalny”*, a dopiero potem stosowano inną właściwą – zresztą już ujętą w ustawie – procedurę, jest postulatem wykonalnym na szczeblu gmin, ale jakoś nie „na szczeblu Warszawy”, gdyż warszawska Komisja najpierw ustawia mur proceduralny (z góry wykluczając jedną z dwóch ustawowych procedur – bo dotyczy to także niezgłoszonych jeszcze postulatów), a następnie, już schowana, okopana za tym murem, udaje, że prowadzi z organizacją mniejszości dialog.

Dzieje się tak, choć nie ma „ryzyka”, iż władze tych gmin – mimo deklarowanej ustawowej 30-dniowej bezczynności w sprawie – jednak wydadzą opinię negatywną, gdyż na podstawie dwóch ww. pism (wójta i burmistrza) wiemy, że taka negatywna opinia i tak byłaby nieuzasadniona (ani merytorycznie, ani „społecznie”) i jako formalnie niewiążąca Komisji mogłaby być bez większych wątpliwości odrzucona.

Jeśli mówimy o „proceduralnym murze” jako „zabezpieczeniu przed merytorycznym dialogiem”, to chociaż uwagi Baumana dotyczą problemu migracyjnego „rozwiązywanego” za pomocą płotów, nie zaś sytuacji mniejszości narodowej, ludności autochtonicznej, to jednak w dziwny sposób pozostają one „w mocy”, gdyż po tym jak w wyniku unii lubelskiej z 1569 r. Polacy zaczęli osiedlać się w Wielkim Księstwie Litewskim, zatem i na Białostocczyźnie, Białorusini spychani są czasem do roli „półlegalnych imigrantów” tutaj. Niczym jacyś *ostatni Indianie Europy*, ale co do tamtych w Ameryce przynajmniej wiadomo, że zawsze tam byli, natomiast ci tutaj „nie wiadomo skąd się wzięli, po co tu ciągle jeszcze są z tą swoją *Niwą*, ani dlaczego się czegoś domagają, bo np. „ten Samohrud to na jakiej podstawie – pyta Komisja, skoro *kolonia Samogród nie istnieje?*...” Także białostocki ksiądz prałat dziwi się: *Do roku 1989 na tych terenach nie było w ogóle Białorusinów.* [„Gość Niedzielny” nr 35, 29.08.1993, *Problemy z sąsiadami, rozmowa z arcybiskupem białostockim...*] Nic dziwnego, że w *Gazecie w Białymstoku* [nr 158 z 1995 r.] czytamy, że *Związek NSZZ Solidarność chciałby walczyć z białoruskobrzmiącymi nazwami wszelkimi metodami.* (Jako z nazwami jakoby „nieistniejącej” mniejszości).

Owo Baumanowskie *pęknięcie, na ogromną skalę rozszczępienie* [np. między fizycznym istnieniem tutaj Białorusinów czy Samohruda a ich oficjalnym „nieistnieniem”] rodzi *nerwowe wysiłki, aby zaprząć* [po karnawale bezrobotne] *moralne odruchy – które nie umierają, także do służby na rzecz* wykorzenia tego, czego – paradoksalnie – i tak rzekomo „nie ma i nigdy nie było”: białoruskiej tożsamości. [W ramach antymniejszościowej, antydwujęzycznościowej *paniki moralnej*]. [Z.Bauman, tamże, str.90] *Zaprząć do tego, aby rzeczywistość zgadzała się z założeniami, żeby nie było „dysonansu poznawczego” (uwierającego kiedy jest tygodnik „Niwa”, kiedy na ulicy słysząc czasem rozmowę ludzi, których „nie ma” i „nigdy nie było”, itd.).* I choć Bauman pisze tak o imigrantach, to Andrzej Harbuz znakomicie dopełnia, że jednak i o tutejszych Białorusinach-autochtonach: *Sprawiamy wrażenie ludzi siłą przesiedlonych z obcych stron* [czyli jakby imigrantów], *którzy nie mają tu nic własnego w sferze duchowej, nie potrafią wskazać swych etnicznych korzeni.* [26.12.2011, <https://isokolka.eu/wiadomosci/3-sokolka/721-co-nam-zostalo-z-wielkiego-ksiestwa-litewskiego.html>]

Status *przesiedleńca*, imigranta, *Indianina*, do którego urzędowy, kulturalny, „proceduralny”, wnikliwy, skrupulatny *biały człowiek* ma pretensję: dlaczego on jeszcze nie znikł, nie wymarł; tym bardziej, że przedtem „nigdy go tutaj *nie było*”. Organizacja *ostatnich Indian Europy* zgłasza postulaty, np. oddajcie ukradziony posąg żubra, ustalcie nazwę *Samohrud*, tę żywą i historyczną, z 1763 roku, a władza wtedy – jak pisze Sokrat: *patrzy na ciebie w urządzie jak na bandytę.*

XXVII/s.219 Autor odnosi się tu do tego, że ludzka *egzystencja w ponowoczesności jest obciążona* ciągłym poszukiwaniem i *niepewnością* odnośnie lepszej przyszłości.[...] *Ponowoczesność przywróciła tradycję nomadyczną, polegającą na*

przemieszczaniu się jednostek, które w epoce nowoczesnej osiadały na dobre w stałym miejscu. [...] Nomad indywidualny nie ma trwałej (przydatnej do „celebrowania” jednorodności grupy i przekazywanej następnym pokoleniom) tożsamości, ani *celu oraz domu, do którego mógłby wrócić z podróży*. Człowiek taki zamienia się w *gracza, którego niestabilność życiowa polega na tym, że musi on nieustannie ryzykować, zdawać się na własną intuicję oraz przewidywać wydarzenia naprzód*.

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Zygmunt_Bauman&oldid=62273067]

Obecnie *nieustanne ryzyko* dotyczy także nie-nomadów. [Również odnośnie głównego bohatera powieści stawiane jest pytanie, *czy nie powinien zająć się spekulacją*.] Jedną z nowych przyczyn owego *nieustannego ryzyka* jest tworzenie przez rządy „środowiska” realnie i nominalnie ujemnych stóp procentowych, co czyni niemożliwym spokojne życie rentiera. (Gotówka podlega nieustannej, stopniowej „inflacyjnej konfiskacie” do tego stopnia, że eksperci zastanawiają się, *na ile tolerancja dla trwale mocno ujemnej realnej stopy procentowej zgodna jest z zapisami konstytucji i ustawy o banku centralnym* [jako rabunek], oszczędności zaś w euro trzeba trzymać w kufrze – jak w powieści! – bo dla większych kwot w tej walucie w bankach oprocentowanie jest ujemne nawet nominalnie. To napędza *ryzykowne* inwestycje w ramach ochrony kapitału – do czego i Biblia *bezlitośnie* zobowiązuje. *Nikt przecież nie zacznie oszczędzać* [„bez ryzyka”, na lokatach bankowych na 1% rocznie] *tylko dlatego, że zamiast tracić 8 proc.* [na inflacji] *będzie tracił 7 proc. i to tylko w skali jednego roku*. [<https://www.rp.pl/opinie-ekonomiczne/art36161921-grabowski-pruski-bankructwo-polityki-pienieznej>]). Państwa, które jeszcze do niedawna starały się równoważyć budżety, idą teraz w monstrualne deficyty śmiało i radośnie, mogąc je bezkosztowo (w takim „środowisku”) obsługiwać. (Wystarczy podnosić limit zadłużenia państwa). To z kolei pozwala na rozrzucanie pieniędzy ze świadczeń socjalnych – również w niechętniej temu Ameryce – nawet „na oślep”, bo bez progów dochodowych. Być może w ten sposób powstaną społeczeństwa bez oszczędności w gotówce (od której same uciekną), ale za to z „programami społecznymi” (nawet 250 zł na nowy telewizor – państwo pomyśli o wszystkim! – oczywiście na koszt wszystkich, więc zamienia się to w typową dla „miasta” zabawę w cyfry, w liczenie, jak to wykpiwano w poemacie Kołasa *Nowa ziemia*, co zresztą miało czynić z niego hymn na cześć minionego... „zacofania”). „Programy” te są finansowane z upadku-konfiskaty pieniądza fiducyjnego jako środka przechowywania wartości (gdyż państwa dzisiaj to legalni „falszerze-drukarze” gotówki), następnym zaś etapem („paliwem” dla państwowych „programów”) będzie społeczeństwo w ogóle bez majątku (jak dzieci), za to całkowicie na utrzymaniu państwa (kompletnie zależne od niego – to nam coś przypomina! – jednak bez „leninowskiego” obowiązku pracy i z „minimalnym dochodem gwarantowanym” – to ostatnie już gdzieś funkcjonuje). Jak pisze Sokrat, mamy świat à rebours – *czas niepodobny*; to, co było *centrum* świata (wiara), staje się jego *folklorem* i *traci wielkie znaczenie*, a **w globalnym mieście nie ma**

ojczyzn, jest tylko polityka podziału pieniędzy. Przy czym nie wiadomo, które pieniądze są jeszcze rządowym długiem (czyli do zwrotu), a które – wskutek niekończącego się rolowania – stały się już de facto przejętym kapitałem (którym na tej zasadzie dysponują tak korporacje, jak i wszelcy – w tym polityczni – *szansownicy*). Skutkiem tego spekulujemy-manipulujemy-ryzykujemy już wszyscy i wszystkim. „Biegnie radosny chłopczyk do piaskownicy, niespodziewanie potyka się, upada i płacze – ot i całe życie człowieka” (ale także państw, z imperiami Napoleona i Hitlera włącznie) i tzw. „niedorzeczność mężczyzn”. Siłą rzeczy nieoptymalne ludzkie wybory w ramach podejmowanego *ryzyka* (podobnego do [nie]trafiania na strzelnicy do ruchomych celów) powodują depresje, a niegdysiejsza „wiesiołość” rolnika idącego spokojnie jedyną dobrą i pewną drogą – pracy dla ojczyzny-ojcowizny – staje się tylko wspomnieniem (mitem „rolniczego” raj, którego ... nigdy nie było, bo był harówką?). W tym ogólnym *ryzykanckim* nastawieniu na wszelaką zdobycz (także na promocję w sklepie, kiedy konsumenta ciągle śledzą i do czegoś namawiają-ponaglają missellingowe smartfonowe „aplikacje”) *moc* zagęszczająca się w miastach *nie może nie kręcić się coraz szybciej*. Autor *A History of Interest Rates* Sidney Homer twierdził, że wysokość oprocentowania obligacji (które obecnie często jest ujemne) pokazuje, czy narody są żywotne, czy umierają. Według jego poglądu, wiele narodów to są **zombie**. Jak pisze Sokrat *globalizacja wysysa już pograniczną Litwę, Łotwę; również Polskę redukuje*. (Ten mój komentarz może znowu trochę przydługi, ale to po to, by zobrazować do jakiego stopnia świat dawnej wsi, świat *egoistycznego* gospodarstwa, odbiega od miejskiego świata *polityki podziału pieniędzy* i państwowych posad). W ogóle państwa cierpią na stały brak wszelkiego kapitału do realizacji swoich celów, dlatego wykorzystanie w latach 1920-21 Białorusinów i Ukraińców do dociągnięcia „tramwaju” z napisem „za wolność naszą i waszą” (albo „socjalizm”) tylko do przystanku „za wolność naszą”, tylko do „przystanku *Polska*”, można postrzegać jako konwersję kapitału zaangażowania i zaufania wielu narodowości na kapitał polityczny, propagandowy i siłę militarną służącą ostatecznie jedynie realizacji celu jednego, polskiego narodu i endecji. Tego typu konwersje to w sumie pożeranie życia każdego z nas.

Początek efektu domina: gigantyczny dodruk pieniądza od 2020 r., obecnie podbijający drożyznę, sprawia, że banki, mając nadpłynność, mimo szalejącej inflacji oferują niemal zerowe oprocentowanie lokat. To powoduje niezadowolenie drobnych ciułaczy, a kolejne wybory trzeba wygrać, zatem rząd (w kapitalistycznym, wolnym kraju) zmusza banki do podnoszenia oprocentowania lokat i obniżenia oprocentowania kredytów, grożąc im nowymi ustawami. [Bankowe lokaty i „perswazja” premiera, Dziennik.pl, 11.05.2022][<https://www.bankier.pl/wiadomosc/Banki-chlopцем-do-bicia-Spowolnienie-i-rzadowe-plany-im-zaszkodza-8334248.html>, 11.05.2022] Kto ponosi koszty takiej polityki częściowego powrotu do socjalizmu? Rząd ma ok. 1/3 akcji banków, których wyniki na tym cierpią, więc i państwo traci, ale głównym stratnym są pozostali akcjonariusze, (znowu „źli”) kapitaliści. Jednak tylko pozornie, bo tracą i

fundusze emerytalne, inwestujące w banki, ale to będzie widoczne dopiero kiedyś i stanie się zmartwieniem innych rządów, dlatego zabawa trwa. W długim terminie nikt na tym nie zyskuje, jak to w grze o sumie zerowej; daje to tylko ogólne zamieszanie i niepewność, co jest cechą charakterystyczną hybrydowej epoki kapitalizmo-socjalizmu z jej „mydleniem oczu maluczkiem”.

^{XXVIII/s.221} Wydaje się, że w tej „hybrydowej wojnie” miasta z wsią – a taką wojną była też amerykańska wojna secesyjna, o uwolnienie niewolników jako pracowników potrzebnych miastom? – teraz następuje w Polsce, przynajmniej chwilowa, kontra wsi, jej „rewanż”: np. od 2022 r. przesunięcie dochodów samorządowych (kwotowo głównie z „libertyńskich” miast) do budżetu centralnego, z myślą o kierowaniu ich na „moralną” prowincję, w ramach „sprawiedliwości dziejowej”. Jeśli tak, to – według Janowicza – powinien towarzyszyć temu *autorytaryzm*, a zatem i konserwatyzm, etatyzm, lojalnościowe „programy społeczne” zapewniające przejęcie władzy przez wieś (plebejuszy) nad klasą średnią, miastem i jego pieniędzmi. Trudno ocenić, czy to ciekawe zjawisko – jako nieglobalne – będzie trwałe i czy może mieć jakikolwiek pozaekonomiczny skutek, tj. wpływ na zachowanie wiejskich tożsamości, wcześniej sarmatyzowanych, a teraz stopniowo włączanych raczej w globalne miasto niż wioskę.

^{XXIX/s.221} Jeżeli ludzie powinni *zmańdrzeć*, to powstaje pytanie, na czym miałyby to polegać. W kontekście tytułu tej powieści głównie na unikaniu wszelkiego oszołomstwa, zwłaszcza imperialnego. Niestety, wszelkie sztandary-religie w tym nie pomagają: jeżeli w ramach danej religii umawiamy „się”, że na przykład przez miesiąc w roku nic nie jemy i nie pijemy od świtu do zmierzchu, nawet – a może zwłaszcza? – podczas upału, by paść potem ofiarą efektu jojo, niszczymy sobie nerki i zdrowie w ogóle, to jaki ma to sens poza tym, że stanowi społeczne spoiwo poprzez cierpienie, poprzez syndrom sztokholmski? Bóg to władza, dlatego tak chętnie konsoliduje ona poddanych do założonych celów także z pomocą wrogów, poprzez (przewidywane!) klęski-baty na nich (np. w postaci powstania warszawskiego czy – spodziewanego! – ataku na Pearl Harbor). (Nawet Stalin – choć ateista – jako władza musiał zostać bogiem). (Dzięki temu, że powstania „bolały”, Polacy pozostali Polakami – tak mnie uczono jeszcze w PRL-u; dzięki czemu Czesi pozostali Czechami – nie wiadomo, choć może właśnie na to coś trzeba było stawiać). Jeżeli jakiś prorok uważa, że muzyka ogłupia, to znaczy, że nie przewidział pojawienia się Bacha, Mozarta, Chopina, zatem najwyraźniej nie miał kontaktu ze wszystkowiedzącym i osobowym Bogiem (albo Bóg nie składa się z samych pozytywnych *-naj*, albo ze sceny przesiadł się na widownię). Jeśli tenże prorok zabrania tłumaczenia „świętego tekstu” (by tekstu nie „wypaczać”), a jest to nieuniknione (bo każde tłumaczenie kolejnego pojedynczego słowa tekstu i tak prowadzi do tłumaczenia całości), to taki zakaz jest absurdalny, więc jak uwierzyć w prorocką nieomyślność? „Ściema za ściemą” na świecie, niestety, choć – jak pisze Sokrates z Krynek – *cokolwiek by myśleć, naród musi tego chcieć*. Co

nie znaczy, że ma tu miejsce wolny wybór – w syndromie sztokholmskim nie ma go, są jego pozory. (Religia im mniej szczegółowa i kategoryczna, tym mniej narażona na zdemaskowanie jej nie-boskiego pochodzenia. Chociaż ogół ludzi nie chce, boi się mianowicie jej zdemaskowania, bo liczy się, ceniona jest tajemnica – nawet jeśli urojona; racjonalizm jest nudny, mało atrakcyjny i na dodatek nie tłumaczy wszystkiego do końca). Jak wyglądają instytucjonalne religie po wymordowaniu Indian na Karaibach, osądzeniu Galileusza, itp. (czy też po współczesnym terroryzmie „w imię Boga”)? Po oszołomach i okrutnikach pozostało jedno wielkie gruzowisko idei. (Znów parafrazując Sokrata: do każdego *ruchu*, przyłączają się ludzie z marginesu, przekształcając owe grupy w bandy, które coraz to kogoś zabijają, rabują i wiadomo, że nie dla idei). Albo jak wygląda polska polityka wschodnia (też rodzaj religii-misji, teraz bardziej świeckiej) po Batorym, po Kuncewiczu (i po likwidacji „litewskiej” części jego unii cerkiewnej w suwerennej już II RP, kiedy unia wreszcie mogłaby zadziałać na korzyść odrodzenia narodowego Białorusinów – a więc, w rozumieniu endecji, na niekorzyść Polski), po rozbiórce Białorusi w traktacie ryskim, po burzeniu cerkwi na Chełmszczyźnie w 1938 r., po wysiedleniu Łemków w 1947 r., po uniemożliwieniu ustanowienia dwujęzycznych nazw miejscowości na podstawie spisu powszechnego, ani nawet na wniosek 20% (radnych), i dalszym rujnowaniu oficjalnego nazewnictwa, po niefrasobliwym wydaniu Białackiego w ręce reżymu Łukaszenki

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Alaksandr_Bialacki&oldid=64278293], po rządowej „wygranej” z Białorusinami w walce o pomnik Kościuszki w Solurze? Wszędzie festiwal jak nie oszołomstwa, to nieporadności, małostkowości. A wszystko opiera się na kilku „zakłęciach” z repertuaru polityki historycznej, w rodzaju „postępowej Konstytucji 3 Maja” (choć gdyby obowiązywała, Piłsudskiego wygnano by z kraju, Dmowski by został: dlaczego? – ano trzeba ją czytać, ale nikt nie czyta, „zażywszy” w szkole i w telewizji gotowy na nią pogląd; nic dziwnego, że *Cesarz Napoleon nie zgodził się na przywrócenie* w Księstwie Warszawskim *Konstytucji 3 Maja, jako zbyt konserwatywnej*).

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Ksi%C4%99stwo_Warszawskie&oldid=65923359]. Konstytucja miała dać Polsce wolność od rosyjskiego protektoratu, czy była recydywą konfederacji barskiej – z podobnym skutkiem; zamachem stanu, po którym Polska – i Białoruś – wolność straciła?)

Historyczne „ściemy” są tylko szczególnym przypadkiem *politycznego iluzjonizmu*, sztuczek (choć Robert Reich chyba niezupełnie to określał tym mianem). Są one odpowiedzią na ludowe „zapotrzebowanie” (?) na bohaterów i na potrzebę legitymizacji władzy poprzez nich (jako kompetentnej, „wytwarzającej” wybitne jednostki i przez to „nadprzyrodzonej”). Zaczniemy od pilotów: mit zaczyna się od faktów (np. jak legenda dywizjonu 303), po czym następuje jego konserwowanie, jako cennego, już niezależnie od faktów. I tak premier Leszek Miller w 2003 r. spadł w śmigłowcu, ale w sposób „trochę” kontrolowany; przeżył; *major Miłosz, który później awansuje na podpułkownika, zostaje bohaterem, człowiekiem, który uratował życie 14 osobom.[...] Po niespełna dwóch miesiącach pracy Komisja [wypadków lotniczych] ogłasza: błąd popełnił pilot, który nie*

uruchomił właściwie instalacji przeciwołodzeniowej. Doprowadziło to do oblodzenia wlotów silników, odcięcia dopływu powietrza, a w konsekwencji ich wyłączenia (badania po wypadku wykazały, że oba były w pełni sprawne w momencie katastrofy).[...] Piloci niezbyt sumiennie kontrolowali przyrządy. A te przez dwie minuty przed wyłączeniem pierwszego silnika pokazywały spadające obroty wirnika, co świadczyło o tym, że lód zaczął się odkładać. – „**Praca Komisji to nie było badanie** wypadku. To była wojskowa **fikcja na rozkaz**.” Do opinii publicznej przebija się więc taki przekaz: pilot zachował się jak mistrz. [<https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kraj/1563319,1,10-lat-po-wypadku-smiglowca-leszka-millera.read>] Musiał zostać „mistrzem”, bo gdyby nim nie był, to jakże zarządza państwem premier? Z kolei wojskowy samolot transportowy CASA C-295 M rozbił się w Mirosławcu w 2008 r., bo *załoga nie podjęła żadnych działań adekwatnych do zaistniałej sytuacji, gdyż prawdopodobnie do końca nie była świadoma położenia samolotu w przestrzeni.*[tj. ustawienia skrzydeł niemal w pionie podczas przyziemienia] Finał: awansowano na kolejne stopnie wojskowe lotników poległych w katastrofie. [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Katastrofa_lotnicza_w_Miros%C5%82awcu&oldid=66810682] Inny przykład, z 2011 r.: *Na pokładzie samolotu znajdowało się 220 pasażerów oraz 11 członków załogi. Dzięki odważnemu manewrowi kpt. Wrony [ładowaniu bez podwozia] nikt z podróżujących nie odniósł obrażeń. Pilot został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, przyznany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego.*[...] Jednak później ustalono, że boeing 767 [który po takim lądowaniu trafił do kasacji] *nie miał zasilania podwozia, za sprawą... wyłączonego [kopniętego] niewielkiego bezpiecznika C829, który znajdował się za plecami pilotów tuż przy podłodze kabiny.*[<https://podroze.onet.pl/aktualnosci/10-rocznica-ladowania-kapitana-wrony-w-warszawie-przyczyny-wypadku/gjh6x8q>] Niekompetencję instytucji przykrywa się, przymalowuje się, „zabohaterza” niezwłocznie, to jest pilnie, bo potem wychodzą na jaw „nowe” fakty i może być za późno. (Jak pisze Sokrat, rządzenie polega na *mówieniu sporo przyjemnego jolopom*. „Bohaterowie” – jak Woroszyłow czy piloci – są *przyjemni*). Z innej dziedziny. Czasem osoba dokonująca „wyczynu” i nagradzający to ta sama osoba: *„Prezes NBP „otrzymał” [sam sobie przyznał] rekordową premię (600 tysięcy!) za jeszcze bardziej rekordową inflację (10,9%).* [<https://www.polsatnews.pl/wiadomosc/2022-04-01/prezes-nbp-zarobil-ponad-milion-zlotych-donald-tusk-komentuje/>] No i wracamy do tematów lokalnych: jest wniosek o ustalenie nazwy kolonii *Samohrud*, a rządowa Komisja, no niby „fachowcy!” – dwukrotnie, w 1998 i 2009 r. – odpowiada, że taki obiekt (oficjalnie jako Samogród) *nie istnieje*. [*Nazwy obiektów uznanych w 2009 r. za nieistniejące podczas weryfikacji nazw miejscowości Białostoczczyzny przez Komisję NMiOF*; w: Wikimedia Commons] Także tu *nie było badania* przypadku, tylko – dwukrotna – **fikcja** na polecenie... Jakże **daleka nawet od rozpoczęcia** analizowania nazwy obiektu. Leci ten nasz świat, a z nim Białostoczczyzna, przez kosmos, tylko „Czy leci z nami (kompetentny) pilot???” Każda katastrofa i błąd (jak niegdyś konfederacja barska czy powstania nie w porę) musi stać się „sukcesem”, niemal zwycięstwem; to ABC władzy, „nieomyślnej”. Tak też z mitem polskiej tolerancji: mit zaczyna się od faktów (np. od konfederacji warszawskiej), po czym następuje jego konserwowanie już niezależnie od nich, od późniejszych katastrof tolerancji. Zaczyna się już od samego (częstego) przemilczania, że konfederacja dawała wolność wyznania jedynie szlachcie. Również rządowa Komisja NMiOF swoje katastrofy, błędy (wyżej opisane) określa mianem zwycięstwa roztropności, umiarkowania, nawet *wnikliwości* – jak powyżej, w piśmie z 4.05.1998 r. Na jakiej podstawie? Właśnie na podstawie mitu. Mit obowiązuje stale, więc Komisja jest **uodporniona** [jak pisze Bauman] na konkretne zarzuty zaniedbań. Nawet dotyczących

zaledwie kilku przypadków. Najpierw są jakieś odległe fakty, powstaje mit, a potem pilnują jego trwania rozmaite instytucje, inkwizycje. Pilnują samego mitu, nie faktycznej jego kontynuacji. „Kapitał mitu” można zachować inaczej, bez „cenzury rzeczywistości”, ale nie zawsze pozwalają na to same fakty, które są jakie są. W przypadku Komisji NMIoF kapitał mitu osłania ona odpowiednio dobranym – w ramach przemocy symbolicznej – słownictwem (obrona niemal szlacheckiej, z ducha niezmiennie pańskiej, choć i gminnej, demokracji, „wspólnota” samorządowa, każdy przypadek wnikliwie rozpatrzone, itp.)

Jak pisze Janowicz w powieści *Ściana*:

– *Być dyrektorem [włodarzem], wiecie, znaczy to umieć oszukiwać[...]* Tak, tak! *Bez żartów to mówię. Sprawa, zresztą, nie polega na oszustwie [...]*[również odnośnie politycznych „ściem”, pochodzenia religii?] *Jeśli wszyscy wokół, wzdłuż i wszerek o tym wiedzą, czy więc można to nazwać oszustwem?* [raczej przedstawieniem, teatrem] *Kierownik bezwzględnie powinien podążać mianowicie na spotkanie ludzkim oczekiwaniom. [...]* *Chętnie szermujemy sprawiedliwością wobec naszych wrogów.*

Powieściowcy Alik pod koniec życia uzyskuje wewnętrzny spokój, wie, że *porażka jest iluzją*; jego stan ducha można by wyrazić (zmodyfikowanymi) słowami z Kazantzakisa: „Nie oczekuję cudu, niczego się nie obawiam [również tego, że cud nie nastąpi], jestem wolny”. (To chyba nie jest niewiara, tylko przekonanie, że cud jest tu i teraz, a potem – jak rzekł Sokrat – *będzie jak będzie*).

^{XXX/s.209} Ciekawe, że przemocowy, scholastyczny i endecki charakter szkoły (odnotowany już tutaj przy okazji nauczycielki z Krynek) utrzymał się przynajmniej do końca PRL-u. Jednego razu w 4. klasie podstawówki doszedłem do wniosku, że jeśli ktoś mnie zaczepia na przerwie, to powinienem przynajmniej go dogonić i symbolicznie „od-klapsnąć”, żeby dał spokój. Zaraz dopadła mnie dyżurująca nauczycielka i chwyciwszy mnie za ucho wykręcała je (niczym krokodyl, dopadłszy ofiarę), aż niemal zawisłem na nim. (Nawet ów uczeń, co był mi się uprzykrzał jak mucha, był zażenowany takim obrotem sprawy). Wtedy rozumiałem, że „hierarchie” szkolne nie ustalają się same w gronie rówieśników, bo jest jeszcze trzecia siła – szkolny Bóg, nauczycielka, która nie będzie słuchać „kto zaczął”, tylko wyładuje na „bachorze” swoje frustracje. Potem trzeba było długo smarować ucho specjalną maścią, żeby płatek przyrósł. Inna nauczycielka potrafiła jedenastolatków nazywać kabotynami (było to modne, wyszukane słowo, mające świadczyć o wysokim poziomie je wypowiadającego), choć wiemy, że takie określenia są – co najmniej – jałowe, bezproduktywne, dzieci zaś jednak coś czują, myślą, słysząc coś takiego pod swoim adresem od autorytetu. Kiedyś nauczyciel muzyki za gadanie podczas lekcji wyciągnął ucznia z ławki podnosząc go jedną ręką za kłapy – dziwiłem się potem, jak mu się to udało, skoro ławka zespolona z siedziskiem, a uczniowskie nogi nie w tę stronę się zginają, by go w ten sposób ku sobie wyciągnąć. Wymagał nauczyciel znajomości nazw nut, bezsensownie bardzo biegłej, choć oczywiście nietrwałej – jak cała owa nauka. Groziła mi dwójka z muzyki i powtarzanie z tego powodu ósmej klasy i jeśli to był tylko błąd – chyba był, z tym powtarzaniem? – to ja o tym nie wiedziałem;

ostateczny, „ratunkowy” egzamin odbył się przy parapecie na korytarzu. (Nie mogłem zamiast tego czegoś zaśpiewać – to byłoby zbyt „dosłowne”, muzyka nie na tym polega?...: *nuty, nuty, ich nazwy podawaj, za wolno, szybciej; a teraz w kluczu basowym!* – ponaglał, choć sam pośpiech, ponaglanie odejmuje połowę umiejętności). Jakże absurdalnie musi czuć się w takiej sytuacji uczeń mający piątki z matematyki, polskiego, chemii, fizyki – z nieba trafiłem do piekła. (Miało to poważne konsekwencje – tak mnie to zakompleksiło, że nie składałem podania o przyjęcie do lepszego ogólniaka, w przeciwieństwie do kolegi, i samotność egzystencjalna otworzyła się przede mną szeroko). Nie wystarczyło nauczycielowi, że wiesz i zawsze będziesz wiedzieć, gdzie na pięciolinii jest *c*, i według tego znajdziesz i nazwiesz każdą inną nutę – bo dokonasz tego w ciągu pięciu sekund, a on wymaga w ciągu sekundy. Bardziej celowy byłby wykład o rozumieniu muzyki, narracji, stylach, kompozytorach. Kiedy w ósmej klasie miałem przygotować wystąpienie o białostockich pisarzach i zacząłem przy okazji mówić o sensie i zadaniach literatury w ogóle, polonistka skrzywiła się, jakby było to za trudne dla owych „kabotynów”; miałem tylko wyliczyć nazwiska białostockich pisarzy i kilka tytułów, co też zrobiłem. Chociaż stwierdzenie, że literatura uczy jak żyć, nie wydawało mi się zbyt dorosłe, niezrozumiałe – wszakże wśród różnych problemów „egzystencjalnych” w świecie uczniowskim żyło się już od wielu lat; jednak nas „upupiano” (w znaczeniu gombrowiczowskim, infantylizowano). Chociaż niektórzy koledzy mieli ciekawe uogólnienia odnośnie różnych, rzekomo ważnych dorosłych celebracji, podsumowując je następująco: *Gada łysy do obrazu, choć obraz doń ani razu*. Toć to podsumowanie połowy świata, i to tej jakoby „najważniejszej”! Nic dziwnego, że w *dorosłości szkoły tej nie pamiętałem*. Moja późniejsza w PRL-u amnezja dziecięca obejmowała nawet ogólniak. Kiedyś nauczyciel angielskiego zapytał uczniów, czy ktoś ma do pożyczenia płytę z wiadomą muzyką Vivaldiego. (Ja wówczas narkotyzowałem się koncertami „towarzysza Bacha”, czołowego kompozytora NRD, bardzo tam eksponowanego, włącznie z jego muzyką religijną – przecież i komunizm *mamił czymś chrześcijańskim*; Bacha dawkowałem sobie tak, by i sąsiedzi – trochę – z tego mieli, jak na wspólnej, rytualnej wieszce; wszak na tym polega kultura, na współuczestnictwie; Sokrat wspomina o innym *towarzyszu: Puszkynie*). Zostawiłem nauczycielowi notatkę – po angielsku, że może zadzwonić pod mój nr telefonu, jeżeli płyta z Vivaldim nadal go interesuje. Ale napisałem to z błędami i potem musiałem za karę na każdą lekcję samodzielnie przygotowywać na pamięć kolejny tekst z podręcznika Alexandra, z czego byłem – ku zdziwieniu całej klasy – odpytywany przy jego biurku na początku każdej lekcji, niczym przestępca przy pręgierzu. A angielski był codziennie. Najpierw myślałem, że dam radę, bo lubiłem angielski, ale w końcu zacząłem przez to zawałać inne przedmioty. Gdyż to nie to samo, co w domu utrzymywać jedynie materiał z lekcji. Trwało to tak długo, tygodniami, że rodzice załatwili mi przeniesienie do innego ogólniaka i znowu mogłem uczyć się razem – ale nie w jednej klasie – z koleżką, którego oddzielono ode mnie w 5. klasie podstawówki – także do innej klasy, dla mojego „dobra”.

Oddzielono, bo on kiedyś na szkolnej wycieczce w Katryncie w czwartej klasie podstawówki, w piwnicy rodziców uczniacy stamtąd, urwawszy się ze spacerowej kolumny uczniów, samowolnie dopadł do niepilnowanej baterii butelek kwasu chlebowego w ogrodowej piwnicy, namawiając i mnie do tej eskapady i spożycia owego boskiego w upalny dzień napoju. Tutaj przypomina mi się, jak wiele lat później, kiedy pracowałem razem z nim podczas wakacji w fabryce gaźników we wschodnim Berlinie (żeby zarobić i kupić tam gitarę), wybraliśmy się w weekend do muzeum za mostami Janowitza i tam ów kolega – wyszedłszy z muzeum zabronionym korytarzem – migiem wyjął z gabloty („czemuś” niezamykanej, bo to Niemcy!) album ze zdjęciami eksponatów. Może i eksponat jakiś by wyniósł, ale chodziło mu tylko o żart, „łakome” testowanie świata, jego granic, nie o poważne działania, sama „zdobycz” była nieistotna. (Energiczny był, został potem szefem klubu „Herkulesy”; dziewczyny przepadały za nim już w podstawówce, jedna blondynka nawet ostrzygła się na łyso – bo chciała się do niego taką mocno nietypową fryzurą upodobnić, przykolegować, ale nie wiem, czy to zwiększyło jej szanse; jednak sensacja była). Wtedy zrozumiałem, że Polacy są bardzo „przebojowi” w osiągnięciu celu (np. nawet nielegalnie, „na skróty” zmieniając nazwy miejscowości – a ty się potem martw, niezaradny Białorusinie!). Zresztą w kulturze zachodu Europy, zwłaszcza filmowej (w polskiej bardzo!), obecna jest fascynacja postacią zdolnego włamywacza (w powieści: *zdolnego szansownika*), gangstera (na koniec go – czasem – sadzają, ale tylko dla odpowiedniego „morału”); tego jakoś nie ma u (zbyt strachliwych?) prawosławnych i u...Niemców (u protestantów?). Zauważyłem też, że Niemcy są „chorobliwie” uczciwi: przed wejściem do enerdowskiego metra trzeba było wrzucić monety do puszek i pobrać bilet z rolki, i choć wrzucić mogłeś cokolwiek, guzik albo nic, a biletów wziąć ile chciałeś, to oni jednak wrzucali monety! I o dziwo ja... też, bo jakżeż inaczej, skoro oni tak? Ciekawa idea: **wspólnota poprzez uczciwość** – jedyne przykazanie, dzięki któremu w Niemczech dodatkowe nazwy serbołużyckie są wszędzie tam, gdzie powinny być, a nie tylko tam, gdzie nikt się nie boi o nie wystąpić.

W nowym ogólniaku nadal każdy poniedziałek zaczynał się odśpiewaniem hymnu narodowego o 7.45, co oznaczało krótsze spanie tego dnia (i związany z tym syndrom sztokholmski?). Raz się spóźniłem, PO-wiec (od Przystosowania Obronnego) od razu do mnie: „Co to ma znaczyć? Postawa zasadnicza! Bacność!”. Teraz w szkołach nie ma (!) takiego poniedziałkowego zwyczaju (z hymnem), więc widocznie było to na swój sposób po peerelowsku przesadne, endeckie (jedynie w „dziarskiej” Turcji widziałem coś podobnego, razem z flagami co kilka metrów tam), *ale wtedy nikt tak nie myślał*. Pewnego dnia wróciła z londyńskiego stypendium fajna anglistka. Pierwsza lekcja z nią – mimo że w szkole dwuzmianowej (był wyż demograficzny!), odbyła się, z braku wolnych sal, w klasie w piwnicy – z okienkami pod sufitem i zielonymi ławkami zespolonymi, jak dla małych dzieci. Nauczycielka usiadła przede mną na biurku, by pochwalić się przed klasą džinsami kupionymi w Londynie. (Z bliska widać było podwójne szwy, podobne falującym poziomicom na mapie, prowadzącym w nieznane rejony.

Tylko pomarzyć!...) Któregoś dnia okazało się, że klasa nie nauczyła się piosenki z poprzedniej lekcji i niemal młodociana anglistka w dżinsach rozpląkała się, jakby jej marzenia, wizje nauczania zrujnowała „półwsiowa” klasa w prawie *domatkanych* ubraniach, „nieśpiewna”, nieśmiała – wszak tylko nazw nut ją przedtem uczono, zresztą bezskutecznie, i oto efekt. (Kolejna ofiara mojego nauczyciela muzyki z podstawówki, tym razem za pośrednictwem tak „wykształconych” muzycznie uczniów?). Później zacząłem pisać po angielsku również w pozostałych zeszytach, m.in. do historii, jak to teraz w szkołach językowych, żeby nie zapominać słówek zaraz po wyjściu z lekcji angielskiego. (Ten mój zwyczaj był efektem ubocznym zainteresowania jazzem i Beatlesami). Wybuchła szkolna afera: uznano to za „postawę niepatriotyczną”; ja, *zdrajca* ideałów PRL-u, musiałem *święty* zeszyt do historii (jak u Sokrata *święty wiersz*) – ubrudzony „obcymi słowami” – przepisać, wyprosiwszy wzorcowy kajet od ponętnej prymuski. (Polonistka jakoś przepisywania zeszytu do polskiego nie zażądała). Anglistka nic na ten temat nie mówiła, tylko chodziła jakaś zamyślona, przez pewien czas. Maturę zdawałem z angielskiego i z chemii. (Gdzie indziej Jana Maksymiuka też „wciągnął” angielski i literatura, bo nauki ścisłe nie tłumaczą świata; tego, co najważniejsze). Dziś można nawet jeździć rowerem po chodniku, jeśli nie ma ścieżki rowerowej, a w PRL-u trzeba było ryzykować życiem jadąc ulicą; są i szkoły angielskie w Polsce, i nazw nut na wrywki w obu kluczach nie trzeba już znać – więc historia przyznała mi rację, ale wtedy dominowało „kwadratowe” myślenie.

Pewnego dnia „kolega” (z ławki) „odkrył” (przy pomocy słownika pisarzy), że jestem Białorusinem (że zarazem i synem pisarza, to mu nie imponowało, bo w przypadku „podludzi” to bez znaczenia), i zaczął wrzeszczeć o tym na całą klasę, po czym przesiadł się. Nikogo poza nim to nie obchodziło, więc „sensacja” okazała się kapiszonem, ale zapamiętałem: komuchy, milicjanci synowie (socjalistyczno-endeccy neofici) to jest to, czego muszę się wystrzegać najbardziej.

Tamto przeniesienie do innego ogólniaka obrazuje też ówczesne realia, mianowicie to, że nawet rodzice byli dla nauczyciela tylko niemal kolejnym uczniakiem i też nie mogli w sporze z nauczycielem „wygrać”, można było jedynie zmienić szkołę. W nowej szkole piątkę z matematyki musiałem odzyskiwać stopniowo: najpierw mi się „nie należała”, nawet za bezbłędne klasówki, jako przeniesionemu z innej szkoły, więc... „najpewniej chuliganowi” (może ściągał?).

W ten sposób omówiłem aż 3 szkoły, więc problem jest ogólniejszy. Zresztą do dziś wiele osób przechodząc obok swojej dawnej „budy” ma dreszcze, *zdaje im się ona czymś strasznym*. To wszystko było już we mnie doskonale zapomniane, wyparte, ale wiele lat później, w *doradłości*, tnąc żywo płót zahaczyłem płatkami ucha o gałąź, rana się na chwilę odnowiła i wszystko przypomniało. No, nie wszystko, bo niegdysiejszy stres był widocznie tak wielki, że żadna siła już nie sprawi, bym przypomniał sobie – tak ważną rzecz! – jak to, kto i jak zainicjował przeniesienie mnie wtedy do innego ogólniaka. Najpierw pomyślałem, że ten komentarz jest zbyt osobisty, ale jednak warto, by temat szkolnych „rzezi” miał

liczniesze komentarze, świadectwa, gdyż zdaje się, że jest on masowo „traumatycznie zamilczany”. To przemilczanie (wskutek dotkliwych przeżyć) przypomina mi następujące zdarzenie: w czasach stanu wojennego (razem z innym konspiratorem) zaproponowaliśmy Józefowi Aleksandrowiczowi by napisał historię Białorusi, ze szczególnym uwzględnieniem lat międzywojennych i wojennych, prób utworzenia niepodległej Białorusi. Autor przyniósł rękopis, ale nic szczególnego w nim o tych latach nie było. Zapytaliśmy o to autora, a on na to: „nie mogę o tym pisać, taki żal mnie chwyta, że nie mogę!!!”. (Może też strach i obawa, by kogoś nie wydać, w ciągle jeszcze PRL-u?). No i został nam „oniemiały” Aleksandrowicz, autor głównie... przewodnika po Inowrocławiu! (To jego pseudonim, bo i on musiał *wyjechać* nad Wisłę – jak pisze Sokrat – *zmieniwszy nazwisko i postarawszy się o dobre dokumenty*).

W ten sposób zapomniałbym o niezwykłym nauczycielu od prac technicznych w podstawówce, Topolewiczu. Jakimś cudem (bo nie dotyczyło to zajęć) propagował on książki Daenikena o paleoastronautyce, a raz nawet zorganizował trening rowerowy dla kilku osób, po lekcjach, bez żadnych postojów, ale jakoś dałem radę. (Zamiast *można* mówił *możno*, o czym wspominam jedynie po to, by go jakoś „zdefiniować”, ożywić, zanim ewentualnie jedynie ta notka po nim zostanie, bo w *czymże wiekopomność ludzkiego istnienia?*). Świetnym nauczycielem w szkole muzycznej był gitarzysta Zbyszek Pieńkos, potrafił przekonać ucznia, że wszystko jest osiągalne. Rzucił potem szkołę, by naprawdę – nie na niby – zarabiać (w Dubaju). Moje granie zaczęło się od przypadkowego uderzenia strun gitary, intrygującej radiowej muzycznej „rozmowy poprzez dźwięki” w wykonaniu Segovii oraz zaciekawienia, co też można z dźwięków wyczarować; a potem są życiowe nagrody, bo okazuje się, że (faktycznie!): „gitarzyści, nawet najbardziej pokręceni, mają fajne dziewczyny”. Zauważyłem to już w podstawówce: wracam z wycieczki pieszej do młyna w Dzikich (gdzie do jego tajemniczego, zakurzonego wnętrza ledwo dało się wleźć przez okienko nad drzwiami), wsiadamy z kolegą do puściutkiego autobusu na krańcówce przy „domku Napoleona”, zajmujemy miejsca przy jego odpoczywającym autobusowym silniku z przodu w kształcie odwróconej wanny, a tu raptem znikąd, jak wykrystalizowana z powietrza, pojawia się i wchodzi dziwna para, Cygan z gitarą i Cyganka. Patrzę i szukam wzrokiem, gdzie jakaś reszta, jakieś pakunki, torby, prozaiczne przedmioty potrzebne do życia, a tu okazuje się, że nic więcej człowiekowi nie potrzeba. I tylko my jesteśmy w tym autobusie, więc może to sen? Wtedy moje łakomstwo na świat przejawiało się w zainteresowaniu fotografią i chemią, ale między innymi to zdarzenie zasygnalizowało mi, że są rzeczy ciekawsze – sztuka jako dialog i emocje. (W szkole *jak w życiu, wszystkiego po trochu*, nie ma co narzekać – więc i ja nie narzekam, tylko opisuję. Los powieściowego Alika także jest po części unikaniem „rzezi” marzeń).

Co ten komentarz ma do powieści Sokrata? Otóż czytelnik może odnieść wrażenie, że choć jeszcze na początku XX wieku szkoła była *straszna*, to potem już jakoby nie, co nie jest prawdą. Ponadto obrazuje nadużywanie wobec ucznia

nauczycielskiej pod każdym względem przewagi, podsumowanej (wprost) w serialu „Czterdziestolatek”: jeżeli uczeń o czymś marzy, to szkoła zrobi wszystko, żeby mu to wybić z głowy. (Np. marzy o swoim równoprawnym statusie wśród rówieśników na zasadzie: jeden go klapśnie, to mu oddać, tak samo słabiotko, bo to tylko zabawa w niebycie „ofiara”; cóż, kiedy nauczyciel staje po stronie „agresora” i „władza” to dopiero da ci wycisk, więc trzeba kombinować inaczej, uciekać w wiedzę. Marzy się uczniowi szkoła anglojęzyczna, robi notatki – w końcu dla siebie, więc ma prawo! – po angielsku, to niech za karę przepisuje zeszyt; ale nie tak po prostu, tylko w atmosferze szkolnego skandalu: zeszyt jest najpierw skonfiskowany i zaniesiony do pokoju nauczycielskiego, jako „dowód”. Właśnie tylko tak skrótowo, jako „dowód”, bo nie wiadomo czego, chociaż na pewno czegoś strasznego. No, a potem baw się uczniu z nauczycielami na studniówce z polonezem, jakby nic się nie stało! Studniówka przepadła. Ale zapłacić trzeba było, bo do końca była presja: masz przyjść i robić dobrą minę chwalącą PRL, który daje ci „kaganiec” oświaty).

„Kuksańcowa przemoc” w gronie rówieśników to żarty w porównaniu z „Rzezią” na linii nauczyciel – uczeń. Jak pisał Tadeusz Dołęga-Mostowicz [w *Kiwonach*]: *zadaniem [szkoły] było **pogruchotać nasze charaktery, nauczyć pęłać, spodlić nas, zabić indywidualizm**...* (Alik też jest uczony pęłać: w błocie, przez kaprała Wodeckiego), ale to nie było tylko w XIX wieku, bo także i sto lat później. Jednak nawet Mostowicz przechodzi od razu do podsumowania, którego nie poprzedzają żadne konkrety, tak jakby wszyscy wiedzieli o co chodzi (jeśli tak, to makabra!), **dlatego** postanowiłem podać trochę przykładów. Ogół byłych uczniów boi się – zbyt drastycznych – szczegółów, więc nie ma ich również w tekście rozmowy pt. *Studenci reagowali jak bite dzieci z domu dziecka* [Gaz. Wyborcza, 25.03.2021]. *Kiwonów* Dołęgi-Mostowicza nie zekranizowano być może i dlatego, że wyraźnie zaznacza on, że krytyka szkoły tam zawarta nie ma związku z tym, że powieściowe *gimnazjum jest rosyjskie*. (Świat – okoliczny – to też wielka intymidacyjna szkoła, w której [także instytucjonalnie – o czym na str. 343] Białorusinów uczy się *pęłać?*).

Sokrates z Krynek pisze: *Wszystko na świecie ma swoją cenę, jak dzieciństwo, które się słodko wspomina, zupełnie zapomniawszy o tym, iż mały człowiek nie ma żadnych praw.[...] I raptem, w czas usychania rodu Kiszkielów, dla wszystkich stało się jasne, że dzieci są ważne. Najważniejsze! Że dzieciństwo – to osobny kawałek albo i początek losu człowieka na ogół. W dzieciństwie kształtuje się charakter osoby, dusza. Wcześniej tak nie myślano.* W powieści wszystko zaczyna się od dziecięcej magii świata, marzeń, potem zaczyna się ich „rzeź”.

Ten komentarz dotyczy i tego, jak wspomniany uprzednio zakaz mówienia po białorusku na przerwach w kryńskiej szkole wynika(ł) także z ogólnej represyjności szkolnego systemu.

^{XXXI/s.215} Podobne zjawisko (dochodzenie do białoruskiej świadomości wskutek lektury książek rosyjskich – możliwe tylko w Polsce) opisuje na własnym

przykładzie Jan Maksymiuk, autor przekładu *Ulissesa* na język białoruski.

XXXII/s.51 Autor sporo rozważań poświęca kwestiom „niższości-wyższości”, pańskości (w której trzeba się urodzić), dążeniu do bogactwa (co przejawia się też w opowieści o fałszowanym złocie, którym *diabli lubią nasrać*, a które przynosi nieszczęście, bo – jak to było tematem jednego z francuskich czarno-białych jeszcze filmów – bogatego nie sposób lubić, gdyż na ogół nie ma z nim prawdziwej, szczerzej relacji (we wspomnianym filmie „rozpracowywał” ten problem detektyw wynajęty przez zasmuconego tym bogacza-dyrektora). Sam Janowicz szuka tej autentycznej, pierwotnej relacji, m.in. wybierając język „prosty” jako tworzywo. Może dlatego, że „niższość, niedojrzałość” ma lepsze perspektywy rozwoju, niż kultury „schyłkowe, sklerotyczne”? Diabelskość pieniądza fiducyjnego (w który się wierzy jak w *ikonkę*) można widzieć także w tym, że poprzez nieustanny dodruk *bezdusznych obrazków* przez państwa (jako legalnych fałszerzy, również sensu historii, nawet nazw miejscowości, choć tu sporo odbyło się i nielegalnie) staje się ów pieniądz koniem trojańskim wielokrotnego użytku, umożliwiającym stałe rabowanie *domowych* budżetów, oszczędności. Można to porównać do – z początku bardzo rzadkich i cennych – znaczków pocztowych, które potem ktoś dodrukowuje z oryginalnej matrycy (więc formalnie fałszerstwa nie ma, tylko ich wartość spada). Z tego – legalnego! – *rabunku* (tego słowa używa Sokrat) pojawia się następnie – całkiem realne – złoto i rosnące rezerwy w bankach centralnych. W sposób niemalże cudowny, bo przecież zamki w domach i sejfach obywateli nienaruszone, „nikt” się nie włamał. Oczywiście taka polityka wymaga odpowiedniej tzw. „komunikacji”, tj. mydlenia oczu społeczeństwu, *mówienia sporo przyjemnego jolopom*. (Wszakże „kto mówi, ten nie wie; kto wie, ten nie mówi” – bo jeśli naprawdę wie, a rozpowiada, to jakby rozdawał pieniądze: wiedza – jako ważna i nieznaną innym informacja – jest wartością). W skrajnym przypadku rabunek ów przyjmuje postać już całkiem bezwartościowych (wskutek monetarnego „resetu”) *biletów* (banknotów)-*obrazków z portretem imperatora*, śpiących wiecznym snem w kufrze na strychu lub jedynie „kolekcyjnerskich”, czyli nic nie wartych, przedwojennych obligacji RP, choć niegdyś formalnie „zabezpieczonych”, a jakże: *złotem*. Nikt z nas nie upoważniłby do konta w banku nieznanym osobom, a przecież... bez przerwy to robimy. Jak powiedziała powieściowa matka Olga: *świat to kolchoz* (np. wszystkie dzieci są nasze: bo jest 500+, i pieniądze też są nasze, wspólne, tj. równo dla wszystkich dewaluowane lub marnotrawione). Ta tajemna, pieniężna nić łącząca obywatela z państwem (w społeczeństwie wymuszonej „nieustannej aktywności”) przypomina łańcuch galernika (na szczęście nie dosłownie, aczkolwiek podobne takiej sytuacji są ciągle i daremne obywatelskie wysiłki – nawet w USA – by jakoś odtwarzać realną wartość posiadanych oszczędności). Kiedy zaś wybuchają różne afery, np. obligacyjne, nigdy nie jest winne państwo, państwowy nadzór; ten zawsze ma rację i tylko pobiera sowite pensje, winien jest jedynie „głupi, najwidoczniej niedostatecznie ostrożny” obywatel. Jak pisze Sokrat w powieści *Ściana: Milicja arestuje cię nie za to, że ukradłeś, ale za to, że nie umiałeś ukraść*. Państwo

zawsze umie, dla wspólnego i „mniej wspólnego” dobra.

Temat *zlota, pieniędzy (szansownictwa, szabrownictwa, falszerstwa, bogatej Ameryki, nawet rabowania Amazonii, snów o bogactwie)* przeziara często w powieści także dlatego, że i wyrzekanie się białoruskości, tutejszości, neoficka „standaryzowana ogólnopolskość” to w istocie – jak w powieści – sny o *dolarach*. Na szczęście jest inne wyjście: *Nie być chciwym to już bogactwo* [jak mawiał Cyceeron; ale Rzymianin nie wiedział, co to strach przed niedostatkiem i odrzuceniem, łatwy do pomylenia z chciwością]. W powieści alternatywą dla bogacenia się jest sen głównego bohatera o miłości, z wielu względów trudny w realizacji, często właśnie z powodu... *niezamożności* i powszechnej plagi *bezemocyjności* (jeśli nie liczyć, teraz nawet instytucjonalnego, hejtu), braku odpowiednio pięknego, *niegębatego* obiektu uczuć, w końcu też ogólnego przekwalifikowania miłości (podobnie jak *lojalności*) do *wykazu chorób psychicznych*. (To przekwalifikowanie dotyczy też *sentymentów narodowych*: Białorusin? – znaczy „nienormalny”, po obu stronach granicy; tak też widziana jest jego tradycyjna, ale nieobecna tutaj na drogowskaziu nazwa miejscowości, której domaganie się jest – co najmniej! – „nierozsądne”, „wariackie”, bo po co komu, nam wszystkim, rzekomo tolerancyjnej „wspólnocie”, „kłopoty”? Nienormalny – konkretnie: *nawiedzony* – to słowo typowe dla „dialogu kolonialnego”; padło ono w druku w miejscowej prasie w 1995 r., odnośnie pierwszej próby przywrócenia kilkudziesięciu historycznych i żywych nazw miejscowości, legalnych i – według Komisji NMiOF, nawet obecnej, – prawidłowych. W innym białostockim dzienniku napisano, że wniosek organizacji mniejszości w sprawie nazw NSA uznał za *nieuzasadniony* [zamiast: *niedopuszczalny*, czyli niepodlegający rozstrzygnięciu przez sąd jako „akt normatywny”]. Oba określenia – *nawiedzony, nieuzasadniony*, pojawiły się „w samą porę”, bo podczas tzw. konsultacji społecznych. To, że w liberalnej, postępowej prasie, to akurat było bez znaczenia, bo... przecież właśnie postęp wymaga „zniknięcia zacofania”, tj. białoruskości. Także „oświeceniowa” i porewolucyjna „paryska” władza (by użyć określenia Sokrata: władza największego miasta) sekowała język bretoński czy prowansalski, też chciała być postępową, ale obecnie postęp powinien znaczyć co innego, w tym „ekologię kultury”.

^{XXXIII/s.71} Być może w tym fragmencie chodzi i o to, że jeśli coś obiektywnie mogło się zdarzyć, było „technicznie możliwe”, to wobec mnogości ludzi na świecie najpewniej się zdarzyło, a różnica między tzw. fikcją literacką a faktami jest tylko taka, że niektóre zdarzenia nie zostały opisane, odnotowane. Ciekawe w tym kontekście jest to, że z kolei zdarzenia obiektywnie niemożliwe, mity mają... największe znaczenie kulturotwórcze (i religiotwórcze). W polityce: wykorzystywane są populistyczne „ściemy”.

^{XXXIV/s.153} *Zdławiwszy powstanie Polaków w Warszawie, mogą wrócić Niemcy, a wtedy znów nic nie da się ukraść...* - w tym zdaniu z powieści może „razić” (?) pewna „oschłość” w kontekście powstania warszawskiego. Ta rezerwa bynajmniej nie wynika z narodowości autora, lecz z tego, o czym wspomniał Marian Pilot [w

wyżej cytowanej rozmowie]): zdrowy rozsądek nie pozwoliłby włościanom wziąć udziału w takim *samobójczym* powstaniu (choć inni je chwala, gdyż *historie narodów są domeną mitu i mityzacji*. [<http://www.khg.uni.wroc.pl/files/3khg8barbaruk.pdf>])

Wiele tu wyjaśnia eksperyment pewnego socjologa w zakresie dysonansu poznawczego (niezgodności rzeczywistości z przewidywaniami). Kiedy oto jakaś sekta ogłosiła dokładną datę końca świata, a ten w terminie nie nastąpił, sekta bynajmniej nie rozpadła się! Przeciwnie: ten dysonans wzmocnił sektę wskutek przekonania, iż widocznie to jej wiara (lub ofiara) ocaliła świat. Naukowiec doszedł do wniosku, że czym trudniejsze jest wejście do jakiegoś kręgu wtajemniczonych (np. poprzez obrzędy, wyrzeczenia, cenzus, konspirację), tym bardziej niezachwiana jest, bez względu na niepowodzenia!, wiara w obraną drogę i – paradoksalnie – przekonanie o jednak ostatecznie... odniesionym sukcesie! Wynika to z tego, że człowiek, tak jak instytucja państwa, nieprzyznawaniem się do błędu broni się przed utratą autorytetu, nie mogąc bez niego funkcjonować. Porażające jest to, że chociaż ludzie zaangażowani w takie jakoby ocalające świat misje w sposób naturalny odchodzą, to ich rzekome „sukcesy” (pomimo wspomnianego dysonansu poznawczego!) stają się podstawą już nie tylko „sekciarskiego”, ale powszechnie przekazywanego w szkołach wykładu, np. o „ocalającym” charakterze konfederacji barskiej (jako niby pierwszego, zapomnianego powstania narodowego), Konstytucji 3 maja, powstania listopadowego (zapoczątkowanego również przez elitarny, wąski krąg), które – jak i mnie uczono – pomimo przegranej nie tylko chciało zbawić, ale... ponoć faktycznie zbawiło (choć nie wiadomo kogo, jak i przed czym), gdyż były to swoiste „sukcesy inaczej”.

Dysponentem tych mitów, zarządcą wspomnianego wykładu o „sukcesach” władzy, które nic nie dają „człowiekowi prostemu”, jest miasto, które (na podstawie tekstów Janowicza) Dariusz Kulesza określa następująco:

*Białystok jest dla Janowicza kolejnym wyrokiem, jaki pozbawiona zmysłu moralnego historia wydała na jego naród.[...] Białystok to urbanizująca się pustynia pozbawiona sumienia, niszcząca tych, którzy do miasta przybywają, zmieniająca ich w posłuszne swym regułom narzędzia.[...] To pozbawione przeszłości, przypalacowe miasteczko okazało się trwalsze niż tak ważne w przeszłości miejsca jak Krynki, Zabłudów, Gródek, Bielsk czy Supraśl. Jeszcze raz ekonomia i polityka wyniosły to, co mierne, a pogrzebały to, co białoruskie. Trudno pogodzić się z takim faktem. Tym bardziej, że Białystok zamieszkali ci, którzy porzucili dla niego nie tylko swoje wsie i pozbawione znaczenia miasteczka, ale również tożsamość. **Pokonana białoruskość** także w ten sposób, podporządkowując się regułom życia sformułowanym przez zurbanizowanego, **polonizującego zwycięzcę** — wielkie miasto Białystok, potwierdziła swoją klęskę. Trudno o bardziej przynębiającą porażkę. [...] Z jednej strony **dobra, bo rzeczywista**, zakorzeniona w tragicznym ludzkim losie białoruskość, a z drugiej **zła, bo fałszywa**, zdegenerowana białostockość, która nie jest niczym innym jak peerelowską otchłanią miejską, **przestrzenią infernalną**, miejscem zraty*

Białorusinów, porzucających swoje naturalne, wiejskie enklawy. [To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza, W poszukiwaniu istoty rzeczy, Studia i portrety, Białystok 2015, str. 206-207]

XXXV/s.179 U Janowicza wszystko, co kojarzy się z przemocą państwa, w tym z „kpiną z języka prostego”, jest (i rzeczywiście było) „wielgachne” (m.in. budynek szkoły albo ogromne sowieckie maszyny-potwory, niczym podczas inwazji *Marsjan* – tego słowa używa Sokrat).

XXXVI

Komentarz do okładki:

(Mapa „wyjścia z rajů”, z Wierszalinem-*Hrybouszczyzną* w centrum, z uroczyskiem *Chomotowszczyzna* (biał. *Komatauszczyzna*, od Komat – wódz Jaćwingów [jest też w innej gminie miejscowość *Komatowce* – *Komataucy*; do niedawna oficjalnie *Chomentowce*, obecnie urzędowo-drwiąco: *Chomontowce*, choć to nazwa nielegalna; wódz-Komat sięgnął *chomąta*])

Jednostka i instytucje państwa (szkoła, urzędy) to temat bardzo zajmujący autora. Jak to wygląda w **zarządzaniu przestrzenią publiczną**, jaki jest przekaz tego zarządzania? Prezentowany na okładce fragment urzędowej mapy, przygotowanej w latach 1963-1978, jest swoistą kapsułą czasu, dokumentem spotkania z tubylcami polskich geodetów, którzy zapisywali miejscowe nazwy jak potrafili, nie próbując specjalnie ich przetwarzać ani tłumaczyć na język polski. Jak przystało na Polaków z daleka (choć na pewno nie ze Śląska), nie zauważali różnicy między *h* i *ch*, notując nazwy gór: *Sakowa Chara*, *Kaszacza Chara* (u Sokrata *Kaszecza Hara*, *Horka*), *Charada* (zamiast *Harada*). Nie rozróżniali również *a* etymologicznego i nieakcentowanego *a* („akającego *o*”), z którego to rozróżnienia wynikałby „wpół spolszczony” zapis *Horoda* (nawiasem mówiąc obecny na innej mapie z terenu Sokolszczyzny). Notując nazwę *G.[óra] Azercowa* (*Azercowa Hara*), zmienili *ż* w *z*, nie wnikając przy tym w związek etymologiczny z nazwą sąsiedniej wsi o spolszczonej nazwie *Jeziorek* (wschbiał. *Aziarok*) ani w to, że początkowe *A* jest tu „akające” (i dlatego nie ma go w oficjalnych nazwach wsi *Ozierskie* (wschbiał. *Azierskija*, *-kich*) i *Ozierany* (*Aziaranie*, *-an*). Także w nazwie *Anoprawik* nie zamienili początkowego *a* akającego na *o*. Bo i po co? (Chociaż jeszcze sporo później, po wydaniu eseju *Białoruś, Białoruś*, krytykowano Sokrata za to, że czyni podobnie – zapisując nazwy i nazwiska fonetycznie, z *a* akającym, jak jakiś „dzikus”. Nawet teraz nie można skłonić mediów, by pisały i mówiły Światłana Cichanouska, nie z rosyjska Światłana). Czasem owe geodeckie niedosłyszzenia są komiczne, np. *Kryńską Trybę* (drogę leśną) zamienili w *Kryńską Trąbę* (choć tutaj równie dobrze mógł się pomylić zecer, może chcąc zamienić to słowo na zrozumiałe dla niego). Jest też na mapie „pionierska” nazwa, może nie całkiem dwujęzyczna, ale podwójna, bliższa tradycyjnej: *Hrybouszczyzna* (wschbiał. *Hrybouszczyzna*) obok urzędowej: *Stara Grzybouszczyzna* (Wierszalin). Wprawdzie PRL była państwem kryptoendeckim, ale geodeci najwidoczniej o tym nie wiedzieli, działając jeszcze w „**rajskim świecie sprzed grzechu ksenofobii**”, niczym życzliwi wobec miejscowych odmienności hippiesi w Indiach (inaczej niż jezuici w „indyjskim” Połocku czasów Batorego, a podobnie jak jezuici w

Paragwaju, promujący miejscową kulturę i język). Nie wiedząc o tym, byli **prawdziwymi intelektualistami, bez poczucia wyższości wobec tubylców**. Spożywając z nimi *taukanicę* ze zsiadłym mlekiem (może i w *Czortowej Chacie* bez prądu? Inna „rubaszna” nazwa: *Trybuszoch* [*trybuszok* – pieczony barani żołądek nadziewany mięsem i tartymi ziemniakami]. Nazwa im bardziej „terenowa”, tym „dziksza”, bo choć przez swoją białoruskość „niegodna” oficjalnego uznania, to jako „mikronazwa”, „niedrogowskazowa” (nieistniejąca w przestrzeni publicznej) Polaków (tych endeckich) nie drażni.

Ów „bezgrzeszny raj” skończył się (definitywnie w roku 1995) i powróciła epoka nazewniczego kulturkampfu. Przejawy tego były m.in. następujące:

1. Do naukowej, profesorskiej Komisji Nazw Miejscowości wpłynął w roku 2013 (kolejny już!) wniosek o zaniechanie forsowania przez Komisję w urzędowym spisie nazwy *Borsukowizna* dla kolonii i leśniczówki w woj. podlaskim. Przedstawione argumenty to: pisemne poparcie wszystkich mieszkańców (znane Komisji od roku 1998) i wójta gm. Krynki dla nazwy tradycyjnej *Borsukowina* (wschbiał. *Barsukowina*), nazwa *Borsukowina* w dowodach osobistych, w rejonie energetycznym, w zarządzie lasów, nawet na mapie geodezyjnej (w gm. Zabłudów). Wszystko udokumentowane fotografiami szyldów na budynkach: *Nadleśnictwo Krynki*, *Leśnictwo Borsukowina* i *SGGW-AR, leśniczówka Borsukowina*. [dostępne w: Wikimedia Commons: przycisk: Inne Media/Other Media: *Opinia burmistrza Krynek z 2013 r. w sprawie postulowanej nazwy kolonii Borsukowina*]

Przy tym chodziło o poprawkę jedynie w rządowym-komisijnym-profesorskim Wykazie, gdyż „w terenie” nazwa *Borsukowina* była wówczas oficjalnie używana, zatem jej „zbytnia białoruskość” – chyba tylko w oczach przerażonej nią Komisji? – nie budziłaby sprzeciwu nawet (wszak przyzwyczajonych do niej!) gminnych ksenofobów. Jednak Komisja odmawia: jej nazwa jest lepsza, bardziej polska.

2. Inny przykład: *Samohrud*, obecnie oficjalnie *kolonia Samogród* (dawniej też *Samogruda*, wschbiał. *Samahrud*), *pohost* (czyli zabudowania z cerkwią). (Nazwa pochodzi od *hrud* – suche, wysokie miejsce). Jest pisemne poparcie wszystkich mieszkańców dla nazwy tradycyjnej (od roku 1998), jest udokumentowane użycie nazwy *Samohrud* w *Przeglądzie Prawosławnym*, jest i zapis z urzędowego dokumentu z 1763 r. w *dobrach naszych nazywających się Samohrud* [w Google], jest też pisemne poparcie prawosławnego ks. mitrata, dziekana okręgu sokolskiego. [w: Wikimedia Commons: *Opinia Dziekana Prawosławnego Okręgu Sokólskiego z dn.20.02.2013 w sprawie postulowanej oficjalnej nazwy kol. (pohostu): Samohrud*].

[[https://commons.wikimedia.org/w/index.php?title=File:Opinia_Dziekana_Prawos%C5%82awnego_Okr%C4%99gu_Sok%C3%B3lskiego_z_dn.20.02.2013_w_sprawie_postulowanej_oficjalnej_nazwy_kol._\(pohostu\)_Samohrud.tif&oldid=641398318](https://commons.wikimedia.org/w/index.php?title=File:Opinia_Dziekana_Prawos%C5%82awnego_Okr%C4%99gu_Sok%C3%B3lskiego_z_dn.20.02.2013_w_sprawie_postulowanej_oficjalnej_nazwy_kol._(pohostu)_Samohrud.tif&oldid=641398318)]

Ale i w tym przypadku Komisja odmawia. A że jednocześnie nie zaprzecza, iż wynik głosowań w radzie gminy nie jest dla Komisji wiążący i może ona decydować **swobodnie** na podstawie innych przesłanek, jak więc taką postawę Komisji rozumieć, ogarnąć?

Wygląda na to, że doświadczamy tu w pełnej krasie baumanowskiej „płynnej (niespójnej) nowoczesności”, obserwując rządy ksenofobów sprawowane rękami świątłych, lecz zakompleksionych, niezdecydowanych ludzi. (Profesorów nawet. A może wcale nie świątłych, tylko „wykształciuchów” na – rządowych w końcu, więc podlegających politycznym presjom – posadach? Tu wyjątkiem był prof. Rymut, przewodniczący Komisji w 1994 r., jednak jego przychylność dla nazw historycznych tutaj prędko „zneutralizowano”, zakazując kontaktować się listownie z organizacjami mniejszości). Wójt gm. Szudziałowo pragmatycznie pisał, że coś jednak można robić, np. nazwy miejscowości formalnie niezamieszkałych [mieszkańców melduje się ...w sąsiednich miejscowościach] *Hały Łuh* i *Litwin Łuh* (obecnie *Litwinowy Ług* – nazwa nielegalna), a także *Samohrud*, można ustanowić od ręki, ale: niech to zaproponuje Komisja, a on tylko w ustawowym terminie nie zaprotestuje (jest taka jego deklaracja na piśmie, znana Komisji), tylko nie kaźcie mu wychodzić z inicjatywą, bo tutaj wygrywa się wybory nawet kilkunastoma głosami (np. ksenofobów). Ale **Komisja nie chce sukcesu**, ani swego, ani – takiego, w sumie pragmatycznie przychylnego tradycyjnej kulturze – wójta. [*Pismo wójta gminy Szudziałowo z 29.03.2013 r. w sprawie postulowanych 3 nazw miejscowości, tj. Samohrud, Litwin Łuh i Hały Łuh*][w: Wikimedia Commons, przycisk: Inne Media] Komisja powołuje się tu często na swoją – obecnie dla niej modelową – rezygnację z przywrócenia (gdzie indziej w Polsce) nazwy Wola Żarczycka, jednak tam nie było mowy o poparciu ze strony mieszkańców, właściciela obiektu czy wójta dla nazwy obiektywnie prawidłowej ani o „nazwie gwarowej” zgodnej z postulowaną. (Aż trzy różnice!). Tam – poza obiektywną racją – nie było na czym się oprzeć, tutaj jest. I to w sytuacji, gdy nie chodzi o to, by mieć wszystkie możliwe atuty w sprawie (np. jeszcze i pozytywną opinię rady gminy), tylko wystarczająco istotne. Czy „wnikliwi” profesorowie mogli nie zauważyć tych trzech istotnych różnic między przypadkiem Woli Żarczyckiej a Samohrudem? Raczej zaważyło co innego: uprzywilejowanie polskości w nazewnictwie, jej – w ramach przemocy symbolicznej – „oczywistość”.

Widzimy zatem, że obecna marginalizacja „elit” jest poniekąd słuszna, a tak czy owak nastąpiła na ich własne życzenie, gdyż poprzedzona została głębszą „tektoniką” ich **samomarginalizacji**, tutaj ich wewnętrznym „pęknięciem”, wycofaniem się ze skutecznej, stanowczej, nie półgębkiem obrony mniejszości (podczas gdy silnych, mocnych swoją liczebnością, choć nie obiektywną racją, broni – w tej sprawie – sama przewaga w radzie gminy, wobec czego dodawanie im jeszcze przez Komisję punktów w sprawie – politycznymi w istocie, nie merytorycznymi – zachwytami nad dziarską *demokracją* jest wręcz tragikomiczne).

W dramacie Mrożka *Ambasador* rozważane jest pytanie, czy *totalitarny knebel i drut kolczasty to tak naprawdę dalecy krewni demokratyczno-liberalnej pustki i chaosu*. [<https://filmpolski.pl/fp/index.php?film=52942>] Podobnie: czy totalitarny (PRL-owski) całkowity zakaz nazw dwujęzycznych nie jest **dalekim krewnym** obecnie obowiązującej, rzekomo „postępowej” ustawowej normy, zgodnie z którą jeśli 20-procentowa mniejszość narodowa chce nazw

dwujęzycznych (lub tylko prawidłowej nazwy oficjalnej), to niech je ... sobie przegłosuje zwykłą (ponad 50%) **większością** głosów w radzie gminy? Ciekawe, że w PRL w sprawach nazewniczych (nazw oficjalnych, nie dwujęzycznych) odnośna ustawa wspominała jedynie o opinii mieszkańców danej miejscowości, nie całej gminy, nie lokalnego Wielkiego Brata (czyżby PRL-owskiego „centralnego stróża” ma zastąpić teraz „kolektyw *demokratyczno-liberalny*”?). Oczywiście, tak jak i teraz, tak i wówczas nie ograniczało to Komisji w swobodzie podjęcia obiektywnie słusznej decyzji.

To, że różnorodność i tolerancja są dobre, to widocznie „ponowoczesny wymysł elit”, skoro **jednocześnie** na poziomie gmin można *demokratyczno-liberalnie, lokalnie* przegłosować, że tolerancja jest zła. Podobnie: w skali całego kraju wszelka napaść jest wprawdzie zakazana, ale w jakiejś bramie dwóch może pobić trzeciego, jednocześnie przegłosowując, 2 do 1, że to jest w porządku. I to nie żart, bo poszkodowany często nie wnosi oskarżenia (zwłaszcza, jeśli byli to jego znajomi, „wspólnota syndromu sztokholmskiego”). Tak też rada gminy może przegłosować, że nazwy dwujęzyczne „obrażałyby” państwową większość, naruszałyby jej prawa (oczywiście tak tego nie ujmując, podając jedynie wynik głosowania, analogiczny do tego „w bramie”).

Kiedy powstawała ustawa o mniejszościach narodowych, przedstawiciele mniejszości podkreślali, że kluczowe będzie to, czy organizacjom wolno będzie reprezentować mniejszości. Jednak ustawodawca zadbał to, by nie było takiej możliwości. Ma to i ten skutek, że jeśli przedstawiciel takiej organizacji uzyska pisemne poparcie wszystkich mieszkańców dla nazwy *Samohrud*, czy też większości gospodarzy dla nazwy *Juszkowy Hrud*, to dla Komisji NMiOF jest ono „nieważne”, gdyż nie powstało ono jako spontaniczna inicjatywa aborygenów poddana następnie głosowaniu w radzie gminy, we „wspólnocie z mocy prawa”. Znowu „mądre, postępowe” miasto (ustawodawca) okpiło „głupią, zacofaną, wsteczną, **reakcyjną**” wieś.

Dlatego białoruscy inteligeni już tylko piszą prace naukowe, a „pod strzechy” nikt nie chodzi z żadnymi „petycjami do podpisania” – jako postulatami „z mocy prawa” do odrzucenia, bez dalszego biegu; **bo powstałymi wprawdzie też we wspólnocie, ale innej**. Typowe „dziel i rządź”. Mieszkańcy mówią: my tylko popieramy, podpisujemy, ale dalej ma to „ciągnąć” organizacja mniejszości, bo my mamy i prace w polu, i nie chcemy, by nas nazywano „antypolskimi buntownikami” – taka jest zwykle postawa mieszkańców. Ale jeżeli organizacji nie wolno reprezentować mniejszości (dzięki ustawodawcy), wszystko co białoruskie w przestrzeni publicznej umiera.

Komisja zapomniała o tym, że jest powołana do **skrupulatności**, wnikliwości. Bo tak „mniej więcej” to przecież każdy wie, że jest Bukowizna Tatrzańska albo Bukowina, ale Komisja ma dbać o to, by było jednak to drugie. Tymczasem tutaj, na Białostocczyźnie, Komisji jest – w najlepszym razie – wszystko jedno. Dla niej Borsukowina to tylko „nazwa dzikich”, taka **na pożarcie endekom – poprzez dołączenie ich do mieszkańców miejscowości w „głosowaniu całą gminą”, kupą, mości panowie, takie swoiste manipulowanie obszarem obwodu głosowania?** A przecież ustanowienie nazwy tradycyjnej jako urzędowej na podstawie pisemnego poparcia mieszkańców, wójta, właściciela obiektu i praktyki w terenie – pomimo (ewentualnie!) negatywnej opinii rady gminy, opinii owej „reszty

gminnego świata” – **nie byłoby aktem jakiejś nadzwyczajnej odwagi** w obronie racji merytorycznych i moralnych. Tymczasem w warunkach *demokratyczno-liberalnej pustki i chaosu* Komisja nie wnika w to, czy hasło „Polska dla Polaków” jest słuszne, **wie tylko, czy je przegłosowano; i nie wnika, czy w nie nazbyt szerokim – merytorycznie – gronie** (całej rady gminy, nie zaś tylko danej miejscowości).

W porywającym eseju Achille Mbembe analizuje mechanizmy wykluczenia, ukazując dwa skrajnie odmienne oblicza demokratycznego porządku. Jego zdaniem nie da się myśleć o liberalnej demokracji w oderwaniu od historii kolonializmu. Filozof historii analizuje ich wzajemne powiązania i konsekwencje tej relacji w dzisiejszym zglobalizowanym świecie, w którym wrogość staje się głównym sposobem przeżywania Innego. [https://www.empik.com/polityka-wrogosci-mbembe-achille,p1184964883,ksiazka-p]

Tymczasem Komisja rozumuje, zapatrzona w **demokrację**, właśnie **w oderwaniu od historii kolonializmu**, tak jakby świat zaczął się dopiero w przeddzień głosowania w radzie gminy, jakby nie było żadnych zaszłości, żadnych uwarunkowań, nic do rozpatrywania poza wynikiem owej „demokracji”, wynikiem głosowania; czyjego, w jakim gronie, **czy adekwatnym do zakresu sprawy i skutków** decyzji w sprawie – to „nieistotne”. Przybyli radni, zagłosowali i nie ma o czym mówić... Tak też ujmuje to pismo przewodniczącej Komisji NMiOF do Białoruskiego Towarzystwa Historycznego w Białymstoku z dn. 23.03.2011 r. (w sprawie kilku ww. nazw) stwierdzające, że dla Komisji nazwy ustala (*de facto*, choć nie *de iure*) rada gminy w *demokratycznym* głosowaniu **z własnej inicjatywy i druga procedura (z inicjatywy Komisji) nie będzie stosowana**, nie będzie rozpatrywania prawidłowości nazw z uwzględnieniem **historii kolonializmu...**

Nazw terenowych aborygeńskich jest – a może było? – sporo, ale na co dzień nie wzbogacają one potencjału *Idei dla miasteczek* [M. Wróblewski, *Annus Albaruthenicus* 2010, str.126], gdyż nie są to nazwy miejscowości, więc nie ma ich na drogowskazach. Te zaś, które są, mają na ogół postać spolonizowaną (głównie po 1945 r., zresztą nielegalnie, po cichu, nawet bez ogłoszenia w *Monitorze Polskim*).

W 2012 i 2013 roku – wskutek takiego (faktycznego) przekazania przez Komisję swoich kompetencji konformistycznym urzędom gmin – przybyły jeszcze dwie nazwy spolszczone: *Gramotne* i *Radunin* (poprzednio: *Hramotne* i *Radulin*). Jest to niezgodne z prawem, gdyż ktoś, komu przyznano kompetencje (czyli Komisja), nie może dowolnie ich przekazywać w dół – władzom gminy. Tymczasem **stwierdzenie Komisji, że (niewiążąca jej) opinia władz gminy jednak w praktyce rozstrzyga, jest takim bezprawnym przekazaniem kompetencji**. Nawet jeśli Komisja nazywa to „zmianą metodologii”, bo jakąż wartość **naukową** ma stwierdzenie referenta urzędu gminy, że nazwy *Hramotne*, *Radulin* „nie są używane” „w terenie”? (Bo tak urzędowi wygodniej). Ja bym na to nie postawił

złamanego grosza, ale Komisja (chętnie) to „kupuje”. No i jak się to ma do słów Stanisława Rosponda, znanego językoznawcy, że nazwy miejscowe są zabytkiem, żywą historią, i podlegają ochronie (co zresztą cytowane jest na stronie internetowej Komisji)? Ale żeby być żywą historią nazwa musi być na drogowskazie.

Zatem gdyby to rozpatrywał sąd, to:

1. albo Komisja naruszyła prawo przekazując nieformalnie kompetencje w dół (i dlatego materiały, argumenty i pisemne poparcie na rzecz nazw tradycyjnych przedstawione Komisji przez organizację społeczną nie miały dla niej znaczenia),

2. albo Komisja jednak je rozpatrywała, ale to oznaczałoby, że popełniła rażące błędy. I dlatego np. *protokół z posiedzenia Komisji NMiOF w dniach 25-26.11.2013 r.*

[teraz jest on dostępny pod ww. nazwą w: Wikimedia Commons, przycisk: Inne Media: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Protok%C3%B3%C5%82_z_posiedzenia_Komisji_NMiOF_w_dniach_25-26.11._2013_r..pdf] nie wymienia konkretnych nazw, których odpowiedź Komisji dotyczy. Komisja deklaruje w nim jedynie, że nie skorzysta z drugiego ustawowego trybu, tj. prawa do zmian z inicjatywy Komisji. Wymienianie konkretnych nazw jest niebezpieczne? Poprzedni link, z którego można było ściągnąć protokół

[<http://knmiof.mac.gov.pl/kn/aktualnosci/kalendarium/2013/7580.Kom-6-25-26112013-r.html>],

usunięto, ślady zatarte, choć nazw i tak w tekście nie wymieniono; i to pomimo że łatwiej było protokół zostawić w sieci, niż trudzić się jego dezaktywacją.

Niestety – jak pouczył NSA w 1994 r. – nie ma możliwości zaskarżenia „aktu normatywnego”, np. ustalenia nazwy. Zatem mamy w tej sprawie pełną bezkarność ksenofobów, ich czas. Jeszcze w 1994 r. dla prof. Rymuta ówczesne orzeczenie NSA – choć gwarantujące bezkarność Komisji! – stanowiło impuls do działania (wynikający ze świadomości, że **tylko on i Komisja** mogą coś zrobić, więc powinni). Natomiast dla późniejszych, samomarginalizujących się „elit” to wygodna sytuacja. Co gorsza, obecne „komisyjne elity” są z zachowania nieprawidłowych nazw... dumne! Z obu *Borsukowizn*, *Samogródu*, *Gramotnego* czy *Radunina*. Traktują te nazwy jako przejaw ich „szacunku dla demokracji”, „roztropności, umiarkowania”. Szczycą się swoją „**otwartością**” na *Samogród*, itd., „**tolerancją**” (również dla... ksenofobii, nazewniczego niedbalstwa jako **opcji równoprawnej!**; bo **dla obecnych elit nie ma już opcji pożądanых i niepożądanых**: wszystkie są... „dobre”).

Stąd ta ambiwalencja, kiedy czytam słowa prof. Ewy Wolnicz-Pawłowskiej z Komisji:

Czasem chodzi o [...] błędy ortograficzne wynikające m.in. z zapisu potocznej wymowy, jak [...] Hród (zamiast Hrud). [Onomastica LXIV, 2020 rok]

Komisja tutaj, w naukowej publikacji (!), niejako „wybucha śmiechem” nad ciągle nieuznaną przez nią nazwą z języka „prostego” *Samohrud*: gdyż – zgodnie z powyższym cytatem byłaby ona – od ręki! – ustanowiona, gdyby obecnie miała oficjalnie postać *Samohród* albo *Samogrud*, ale że obecnie jest *Samogród*, a

przecież... jest takie słowo gród, to wie każdy uczeń podstawówki, i ta ortografia jest prawidłowa, gród to miasto, nawet bez odpowiednio licznych mieszkańców (kilku, a formalnie w ogóle), to ta nazwa dla Komisji jest O.K., błędu nie ma!

Jak pisze Sokrat, wszystko rozwija się *po spirali*: najpierw, na poziomie ulicy, polonizacja nazw jest „oczywista, bo tutaj, panie, jest Polska, a komu się nie podoba, to droga wolna...”; potem na poziomie „studenckim, magisterskim”, Iwazkiewiczowskim ta nielegalna polonizacja nazewnictwa to jednak skandal, a następnie na poziomie najwyższym, profesorskim, znowu stan obecny jest O.K, bo „skoro tak się stało, że jest gród, to widocznie musiało”. Na co można jeszcze liczyć? Chyba tylko na to, że cytowana wypowiedź prof. Wolnicz-Pawłowskiej nie kończy się: *Hród (zamiast Gród)*, tylko: (zamiast *Hrud*).

Podobnie: była w przedwojennym Skorowidzu nazwa oficjalna *Górny Grud*, zmieniona nielegalnie, bez procedury, bez ogłoszenia w *Monitorze Polskim* na *Górny Gród*. Zatem *Gród* to błąd niby oczywisty, ale tak po prostu poprawić to na ów ww. *Hrud*, to dla „wycofanego, zakompleksionego po 1989 r.” inteligenta z Komisji nie do pomyslenia. Bowiem na tych błędach robi się habilitacje, pisze naukowe artykuły, to są „cenne błędy”; **błąd jest do naukowego delektowania się nim, wykorzystania go, nie do „prostackiego” poprawienia**, jakoby „zbyt brutalnego społecznie”. (**Ale „brutalnego” wobec kogo?; Komisja nie zastanawia się, wobec kogo byłoby to „brutalne”, wobec kogo „osobowo” i wobec jakich wartości, a warto zastanowić się nad tym, skoro nie byłoby to „brutalne” wobec samych mieszkańców kolonii ani właściciela obiektu.** Wniosek na rzecz *Samohrudu* widziany jest w Komisji jako wniosek „dziki i dzikich” (dawniej mówiono „chamów”), oficjalnie określany ogólnie jako *nieprawidłowy, niekompletny, choć to do Komisji* – z urzędu dbającej o prawidłowość nazw – **należy, by go ewentualnie uzupełnić o opinię rady gminy i tę niewiążącą (ewentualnie negatywną) opinię odrzucić, jako nieuzasadnioną – pod względem „osobowym” i „wartościowym”.** (Organizacja społeczna mniejszości nie może **skutecznie** zażądać wydania opinii ani doprowadzić do upływu ustawowego terminu na jej wydanie). Zresztą niewydanie opinii w terminie, zdaniem wójta gm. Szudziałowo, byłoby najlepszą opcją – bo nie wstrzymuje procedury, a gminni ksenofobowie (dołączeni do sprawy „na siłę”, jeśli porównamy **ustawę z czasów PRL i obecną**) są wtedy na przegranej pozycji. Dokładniej **byliby, bo nie mają z kim przegrać**, nie z „wycofaną” Komisją.

Jest tu mowa o „dzikości” postulatów mniejszości, gdyż mamy tutaj typowy „dialog kolonialny”:

- gdzie tubylcy ze swoimi postulatami są rzekomo „bez powodu” zbyt nieśmiali wobec władz (w tym wójtowie-katolicy, ale obawiający się przedwyborczej konfrontacji z ksenofobami na szerszym forum rady gminy),

- a Komisja oficjalnie jest „przychylna nazwom potocznym”, ale jakoby „musi” (?) odrzucać mniejszościowe postulaty jako zgłaszane w „niecywilizowany” sposób, to jest bez **politycznej** debaty na forum rady gminy, bez ustawienia

mniejszości pod pręgierzem i głosowania w **szerokim**, większościowym gronie na temat „czy Polska dla Polaków, czy nie tylko” – z nietrudnym do przewidzenia wynikiem.

Dialog kolonialny polega na tym, że kolejne pokolenia, choć przebrane w nowe, „postępowe” kostiumy, wyposażone w nowe, gładkie „ofrazowanie” sytuacji (demokracja, wnioski do Komisji „niekompletne”, bo brak zgody „wspólnoty z mocy prawa”) i pełne dobrego mniemania o sobie, odgrywają stare role (zwykle nieświadomie, jak w przypadku Komisji).

Konserwują dawne podporządkowania, nadal sprawują tzw. przemoc *symboliczną*. Jak ów rzekomo nie-rasista, który na wieść, że córka wychodzi za mąż za Murzyna, idzie się wieszać. (Bo to z jej strony „tylko” *nierozsądne*). Dla „światłej” Komisji nazwy *Samohrud, Borsukowina, Litwin Łuh*, itp. to też nazwy „tylko” **„nierozsądne”** (z których „dla własnego dobra mniejszości i ogólnego dobra-spokoju” lepiej zrezygnować; dla spokoju mianowicie „ogólnego”, bo choć sami mieszkańcy tych miejscowości nie byłiby w rozpacz, to może jednak *ktos* wśród *ogółu* w gminie?)

Przy tym dla ksenofobów najlepiej, żeby ta rezygnacja z nazw tradycyjnych odbyła się to w ramach *świętego, demokratyczno-liberalnego*, „uzdrawiającego” obrzędu (egzorcyzmu?): posiedzenia rady gminy, podczas którego poparcie mieszkańców i właściciela obiektu dla żywej nazwy „gwarowej” „zasłużenie” przegra z matematyką głosowania w szerszym gronie, złożonym z mieszkańców innych miejscowości, z gminnym Wielkim Bratem, co sprawi, że popierający nazwę Samohrud nie będą mieli (nie powinni mieć!) poczucia, że ktos ich tłamsi, tylko że nastąpił „demokratyczny konsensus” w ramach ogarniającej ich „*silnym ramieniem*” *wspólnoty samorządowej z mocy prawa*. (Wspólnoty syndromu sztokholmskiego. Również Sokrat pisze ironicznie (w kontekście władzy) o *świętym wierszu*, o obywatelach jako „z mocy prawa” własności państwa (lub gminy?) – na wzór żony jako „z mocy prawa” własności męża; podobnie myśli Komisja o *Samogrodzie* jako „z mocy prawa” należącym nie do właściciela i mieszkańców, tylko do „po sztokholmsku” miłującej ich gminy – co ze strony Komisji jest także bezprawne).

Oczywiście taka „przegrana” nazwy „gwarowej” na posiedzeniu rady gminy w ramach „demokratycznego (pseudo)konsensusu” jest do przewidzenia, więc obrońcy nazwy tradycyjnej i „gwarowej” w ogóle nie przyjdą na takie posiedzenie albo nie zaborą głosu (w tym gminni wójtowie – ostrożni politycy, którzy nie po to nimi są, by „głupio” przegrywać). Niestety: dla Komisji jest to wygodne, gdyż oznacza, że problemu – formalnie – nie ma i nigdy nie było, a nie nazwy, lecz „demokracja, o którą walczyliśmy”, została przez nią „obroniona, uszanowana”. (Komisja w swoim nowym „ofrazowaniu” kreuje się mianowicie na instytucję ds. ochrony *demokracji*, nie nazewnictwa, zapominając o tym, że wprawdzie opinii

radę gminy nie można wydać w inny sposób niż przez głosowanie, ale zgodnie z prawem nie musi to i nie powinno zamykać drogi do ustanowienia żywej nazwy tradycyjnej jako oficjalnej).

Kiedyś zaproponowałem pewnemu socjologowi, by rozwinąć temat uczestnictwa elit, nawet profesorów w przemocy symbolicznej. Odmówił: „Nie byłoby w tym nic odkrywczego, to jest właśnie samą jej istotą, że ogarnia ona wszystkich jej uczestników, w tym współczujące prześladowcom ofiary, i uczestniczą oni w niej nieświadomie” (może z wyjątkiem polityków). Ofiary współczują urzędnikom, że np. musieliby oni zmieniać z powrotem w dokumentacji nielegalnie wprowadzone *Krągłe* na *Kruhłe* (po tym, jak raz „namęczyli się” polonizując nazwy: *To i państwa, i urzędów szkoda* [syndrom sztokholmski?], *nie tylko nas...*). Jest i inny wątek: państwo *chce po prostu przy takiej okazji zarobić. – Dowody zmieniać i inne papiery, a to przecież kosztuje. DLATEGO to wymyślili – uważa Paulina Karczewska. – DLATEGO NIKT się nie zgadza (nie dlatego, że nie lubią nazw tradycyjnych!)* [Kurier Poranny, Białystok, 21 lipca 2009].) (Dopiero teraz zmiana adresu nie powoduje kłopotliwej i kosztownej zmiany dokumentów, ale wtedy miał „zastosowanie” następujący cytat: *Argumenty natury ekonomicznej mają tę zaletę, że natychmiast trafiają do przekonania ludziom rozsądnym.* [Tadeusz Dołęga-Mostowicz, *Kiwony*]

Podobnie jest i teraz: gmina we wniosku o ewentualny powrót nazwy tradycyjnej, legalnej musi przedstawić wykaz przewidywanych w związku z tym kosztów, czyli argumenty na rzecz... status quo, co ulega następnie **konwersji** na sprzeciw rady gminy wobec powrotu nazwy tradycyjnej. Następnie Komisja UNMiOF stwierdza, że nie przywróci nazwy tradycyjnej, bo szanuje „demokratyczny wybór” (jakoby niczym nieskrępowany, żadnymi kosztami, itd.). Oczywiście wymaga to też zmiany zadań samej Komisji: z dbania o prawidłowość nazewnictwa na dbałość nienarażanie gmin na koszty (ale z tym, z taką nieformalną „konwersją” swoich zadań i priorytetów Komisja nie ma problemu). Gmina na tym nie *zarabia*, jednak dla gminnego urzędnika byłaby robota z ewentualną zmianą nazwy, bez dodatkowego wynagrodzenia, więc jakoś trudno uwierzyć, że poprowadzi on zebranie mieszkańców czy rady gminy, i w ogóle „obieg papierów” w kierunku ustanowienia nazwy tradycyjnej jako oficjalnej, że sam to na wstępie zarekomenduje. Natomiast komisyjne elity jedynie inaczej, „wzniośle” tłumaczą sobie swój współudział w tym rodzaju polonizacyjnej przemocy (czyli np. dziwne spotkanie się w tym samym punkcie, w *Samogródzie*, nie *Samohrudzie*, co idący – niby z przeciwnej strony! – ksenofobowie). Elity swoje zaniechania tłumaczą szacunkiem dla *demokracji*, wspólnotą (?) „z mocy prawa”, a w końcu swoim rzekomym „rozsądkiem, umiłowaniem spokoju”. Choć tylko one (Komisja) są – zgodnie z ustawą – całkowicie swobodne w swojej ostatecznej decyzji (nie mieszkańcy – o czym mówi cytowana wyżej Paulina Karczewska). Z punktu widzenia konkretnej osoby rozsądne jest i ścigać złoczyńcę na ulicy, i nie ścigać, ale kiedy państwo daje sobie taki wybór, coś jest nie tak.

Mamy obecnie czas *niepodobny*: kiedyś Komisja byłaby dumna z ustanowienia

nazw *Samohrud*, *Borsukowina* i innych, teraz jest dumna z tego, że tych nazw nie ma, że „oparła się pokusie”, wykazała „dojrzałość”. (Jesteśmy tzw. „dojrzałą demokracją”).

Jak mawiał Sokrat: wszyscy ci naukowcy, językoznawcy, specjaliści robią sobie doktoraty na opisywaniu konania naszej, wschodniobiałostockiej kultury i na jej intymidacji przez „ogólnopolską-wszechpolską”, ale pomoc nie pomogą... (I faktycznie: nazwy tzw. bieszczadzkie – bo inaczej nie wolno było ich nazywać, by „nierozważnie” nie drażnić ksenofobów – przywrócił laik, Iwaskiewicz... Jak przy typowym starzeniu się (społeczeństwa): króluje *bezemocyjność*, tzw. *rozsądek*, tak to się teraz nazywa).

TINA

W oczach coraz większej grupy rzekomych beneficjentów demokracji [mniejszości jako „beneficjentów” „wspólnoty?” samorządowej z mocy prawa - ulubione słowa, „kpina” ze strony Komisji NMIOf] *jej* [administracji rządowej] **niewybaczalnym grzechem jest to, że nie zdołała wywiązać się ze swoich obietnic** [deklarowanego szacunku dla regionalnych odrębności], *a wytłumaczenia tej porażki szukała w haśle TINA (There is No Alternative, które oznacza „nie możemy zrobić nic innego”* [...]

Władza znajdująca się wysoko ponad swoimi poddanymi uodporniła się na ich prośby, nie mówiąc już o żądaniach. Większość obywateli jest odcięta od komunikacji – coraz więcej z nich albo już utraciło, albo właśnie traci wszelką nadzieję na sensowną komunikację z ludźmi władzy.

[Zygmunt Bauman, *Obcy u naszych drzwi*, PWN, Warszawa 2016, str.77, 72] (U Sokrata [Dzienniki, 27.08.1998, w: <http://kamunikat.info/download.php?item=4049-1.html&pubref=4049>]

Perspektywa polsko-białoruskiego dialogu: głucha ściana.

„Niekomunikacja” z władzą,

brak *nadziei na sensowną komunikację z ludźmi władzy*

Mieszkańcy używają nazwy *Borsukowina* i w 1998 r. podpisali poparcie dla takiej nazwy jako oficjalnej. Podobnie w gm. Zabłudów, tam używa się nazwy *Borsukowina*, więc **kogo** komisja nie chce krzywdzić ustanawiając ewentualnie takie nazwy? Nielicznych, ale **wplywowych**, jak widać, ksenofobów? [*Likwidacja oficjalnych nazw miejscowości...*, str. 179, 180, 237] Linki według stanu z kwietnia 2022 r.!

https://krynki.bialystok.lasy.gov.pl/de/lesnictwa/-/56_INSTANCE_7YyF

Leśnictwa - Nadleśnictwo Krynki

<https://krynki.bialystok.lasy.gov.pl/de/lesnictwa>

Leśnictwo **Borsukowina**. Leśniczy Antoni Dymowicz. 533391060. Poczopok 7A/2 16-113 Szudziałowo antoni.dymowicz@bialystok.lasy.gov.pl ...

E-mail: borsukowina@gmail.com. **Adres: Nowa Świdziałówka 36 16-120 Krynki. Typ obiektu: kwatery prywatne.** Strona i media społecznościowe:

To miłe i budujące, że po tak długoletnim niszczeniu tradycyjnego nazewnictwa nawet jeszcze w 2022 roku mieszkańcy obstają przy tym, że sufix *-ina* jest miłszy

dla ucha (jak Bukowina, nie -izna) – co widać w powyższych adresach e-mail. Pomimo drogowej tablicy (kiedyś nie było jej w ogóle) z *-izna*. Obstają **tak jak umieją**, jak „aborigeni-tubylcy”, i to nie ich „wina”, że „tylko” tak, a Komisja to neguje – też tak jak potrafi, ale dla odmiany jak profesjonaliści, wykorzystując od 27 lat wszelkie możliwości zamykania swych uszu na to. (Możliwości, których Komisja NMiOF – jeśli sprzyja nazwom tradycyjnym – **w zasadzie nie ma**, jako posiadająca całkowitą swobodę w ustalaniu nazw. Chyba że... nie sprzyja i nieprzejednanie „ratuje” polskość nazewnictwa (oczywiście „w trosce” o miejscową ludność i o ksenofobiczną – *demokratyczną*, a jakże! – „czapę”; w trosce o strażnika nad zbuntowaną *kolonią* Borsukowina, strażnika w postaci rady gminy). Podczas „weryfikacji” w 2009 r. Komisja w ogóle nawet wstępnie nie zakwalifikowała obu nazw Borsukowizna ani trzeciej: Samogród do zweryfikowania (w gm. Krynki i w gm. Zabłudów). [Przy okazji: i w Borsukowinie w gm. Krynki występuje częste zjawisko meldowania mieszkańców w sąsiedniej, większej miejscowości, tutaj – jak widać powyżej – pod adresem *Nowa Świdziałówka 36*, dzięki czemu i ta miejscowość formalnie jest „niezamieszkała”. Ale nawet w gm. Zabłudów „obiekt” – choć bez stałych mieszkańców – jest, istnieje, więc musi mieć nazwę.]

Inny przykład „niekomunikacji, albo [jak to ujmuje Bauman]

uodpornienia się władzy na prośby rzekomych beneficjentów demokracji, nowego, wolnego „polskiego świata”: *Samohrud*, obecnie *Samogród*

W 1998 r. pisemnie poparli ustalenie nazwy *Samohrud* jako nazwy oficjalnej wszyscy mieszkańcy tej „kolonii”. Są oni meldowani pod adresem Suchynicze 86, więc 4.05.1998 r. minister, po *wnikliwym przeanalizowaniu i weryfikacji nazw w terenie* [to nie żart, to cytat], odpowiedział: *Kolonia Samogród według uzyskanych informacji jest niezamieszkała. [Likwidacja oficjalnych nazw miejscowości..., str. 228, 74]*

W 2009 r. Komisja również zakwalifikowała ten obiekt nie tylko do niezamieszkałych, ale nawet do *...nieistniejących*.

[*Nazwy obiektów uznanych w 2009 r. za nieistniejące podczas weryfikacji nazw miejscowości Białostocczyzny przez Komisję NMiOF; w: Wikimedia Commons*] Zatem ww. 3 miejscowości **w ogóle nie były w 2009 r. poddane „weryfikacji”**, więc stanowcze odmawianie później zweryfikowania ich osobno, dodatkowo, o czym świadczy? Właśnie o **uodpornieniu się** nowego, wolnego po 1989 r. „polskiego świata” **na prośby rzekomych beneficjentów demokracji**

Sokratowa *iluzja porażki*, choć faktyczna porażka, ale „polskiego świata”?

Czyją porażką jest wyżej opisana sytuacja? Nie Białorusinów, którzy z atencją, szczegółowo opisali dotychczasowe nielegalne spolszczanie nazewnictwa (prof. M.Kondratiuk, N. Ciwoniuk, J.Janowicz), nie jest przecież porażką uzyskanie pisemnego poparcia wszystkich mieszkańców ww. miejscowości, i nie jest też nią taki a nie inny, negatywny dla mniejszości, wynik głosowania z większością w

radach gmin; wynik, którego – **według praw matematyki** – należało się spodziewać. Porażką – polską! – jest notoryczna „niekomunikacja” mniejszości z polskimi „elitami” (inna rzecz, że te elity same ze sobą nie mogą się dogadać), z polskim światem, z jego dziwną (niczym senatora R. z kibolami) symbiozą ksenofobicznej „ulicy” ze „światłymi” instytucjami, dla których ksenofobia jest już „zjawiskiem jak każde inne”, równoprawnym, „ciekawym” (bo można je opisać, doktorat z tego zrobić, „zrozumieć”, ale zrozumieć w znaczeniu: zaakceptować; nawet popierać, bo tak należy odczytywać niedopuszczenie już na etapie wstępnym do weryfikacji ww. nazw *Samohrud* i *Borsukowina*).

Kiedy to się dokonało? Pierwszym symptomem ogólnego „obniżania poziomu” były chyba w telewizji chłopackie reportaże W. Cejrowskiego głoszące (z „dowodami”) kreacjonizm, także macyzm (a więc *skuteczność* ponad racją), antyunijność („anty UE”). (Czasem one śmieszają: kiedy podróżnikowi udaje się w końcu wcisnąć nóż między kamienie inkaskiej budowli, ale nie zauważa, że cały kamień – jako narożny i na samej górze – został nieco odsunięty. Czasem tylko ma śmieszyć – kiedy „antropolog mówi”, że wydałby niemieckich turystów na pastwę ludożercom, by sprawdzić polinezyjskie zwyczaje kulinarne; albo odnotowuje – z oburzeniem, niesmakiem – że jakaś roślina ma (łacińską) nazwę od nazwiska jakiegoś Austriaka [odc.29]. Choć pewnie podróżnik chciałby, aby jego reportaże emitowano na całym świecie, również w krajach niemieckojęzycznych. W odcinkach nr 109-110 ogłasza, że „biały” człowiek przyszedł do Indian z darem *demokracji-republiki* – jak Komisja do Krynek!). Takim symptomem było także promowanie-wzmacnianie w TVP zaniku wymowy końcowego -ę (tego zaniku, jako obecnie niemal obowiązkowego, w spikerskim wzorcu w PRL nie było), czy emitowanie w telewizyjnych wiadomościach podsłuchanych prywatnych rozmów, od których „wiedły uszy” (bądź też – głośne – odkrycie „polityków”, że „to my nauczyliśmy Francuzów jeść widelcem”, a także powszechne „bezkarne” wymawianie francuskiego *a* nosowego jako polskiego *ą*, czego będziemy słuchać wieki całe, bo nagrali tego mnóstwo, tysiące godzin nasi „wybitni lektorzy”; co też jest wyrazem lekceważenia „przemądrzałych” Francuzów, razem z Niemcami, i tzw. resentymentu? Telewizyjni dziennikarze nie po to dobrze zarabiają, aby wiedzieć, że po białorusku wprawdzie pisze się – po stalinowskiej reformie – Światłana, Kalesnik, ale czyta się – nadal, bez zmian – Światłana, Kaleśnik; nawet ich informowałem – e-mailami, ale oni też są *uodpornieni*, mają widocznie „swoje, ważniejsze” sprawy, jak Komisja. Przy czym te „swoje i ważniejsze sprawy” w Komisji NMiOF to o dziwo nie nazewnictwo, tylko księgowanie wyników gminnej *demokracji*, zauroczenie właśnie jej siłą, *skutecznością*. Chociaż to, czy jest ona skuteczna również wobec Komisji, zależy wyłącznie od stopnia owego jej zauroczenia, nie od ustawy). Tylko pozornie ten akapit nie ma związku z nazewnictwem, bo jednak dbałość o nie jest typowo inteligencka i cierpi wraz z narastającym kompleksem inteligenta wobec ludzi silnych, wręcz umięśnionych (jak na plakatach w PRL-u – bo świat rozwija się *po spirali*); nawet jeśli „umięśnionych” tylko „mięśniami piwnymi”, bo i taki człowiek, kiedy się rozpędzi, ma sporą „siłę przebicia”. Obecne czasy to wyniesienie na piedestał zsarmatyzowanego i lubiącego futbol „szarego człowieka”. Białorusini też są zsarmatyzowani, ale nie zsarmatyzowani, więc na tym wyniesieniu nie korzystają.

To ogólnie antyinteligentkie nastawienie w Polsce po PRL jest tu istotne, gdyż np. Jerzy Giedroyc i Daniel Olbrychski, płacąc kiedyś rachunki za prąd w białoruskim liceum, uwidocznili, że powszechnym polskim przekonaniu także istnienie białoruskiej mniejszości jest czymś na kształt inteligentkiej „fanaberii”.

Zatem jeśli dobre traktowanie mniejszości białoruskiej w Polsce leży w interesie Polski, a różnie z tym bywa, to być może *współcześnie przez większość czasu przebywamy we wskrzeszonym hobbesowskim świecie wojny **wszystkich przeciw wszystkim*** [zatem również przeciw sojusznikom]. *Być może tak naprawdę w nim nie jesteśmy, ale mamy wrażenie, że tak jest. Strach ma wiele oczu* [np. strach przed nazwami dwujęzycznymi, w tym strach ustawodawcy, utrudniający ich wprowadzanie], *a niebezpieczeństwo nadchodzi z różnych stron* [w tym np. rzekome „niebezpieczeństwo” związane z ustaleniem nazw *Samohrud* czy *Borsukowina*]. [Bauman, tamże, str.122] (Ta walka *wszystkich przeciw wszystkim* przywodzi na myśl walkę Traugutta z Bemem w roku 1849 na Węgrzech czy zwalczanie Rosji na Krymie przez Chruszczowa w 1954 r. – poprzez przekazanie Krymu Ukrainie).

Bezpośrednim skutkiem uprzednio wspomnianego braku *komunikacji* jest zbyt duża obszerność kilku komentarzy tutaj, jednak **jeśli nic nie można po prostu przegłosować, to trzeba przekonać**, i stąd to wynika. Jak bowiem przekonać, czym? Co akurat trafi do przekonania? – nie wiadomo, więc trzeba napisać o wszystkim i możliwie dokładnie, od podstaw, czyli właśnie obszernie. Tutaj muszę stawiać na informację, nie na łączenie podobnych wątków w jeden komentarz i zwięzłość stylu. Daje też o sobie znać *wyczerpanie*, o którym mowa na str. 343.

Przy czym działam trochę „w ciemno”, bo nie wiadomo, kogo jeszcze zarazem należałoby i można przekonać do zmiany obecnej sytuacji. Np. w przywróceniu nazw tzw. bieszczadzkich w 1981 r. kluczowe okazało się poparcie Jarosława Iwaszkiewicza i ówczesny ogólny, solidarnościowy, „moralny nastrój”. Trudno powiedzieć, kto i co mogłoby teraz pomóc.

^{xxxvii/s.199} *Nastąpiła epoka narodowości, w którą wieś wchodziła zupełnie nieświadomie, jak dziecko, które wchodzi w dorosłość ni trochę nie pojmując, co to znaczy.* Zilustrujmy to na przykładzie Sokolszczyzny. Według spisu z 1897 r. powiat sokolski w ponad 80 procentach zamieszkiwali Białorusini i był to najbardziej białoruski z powiatów obecnej Białostocczyzny. [Tomasz Czapko, *Mniejszość białoruska w Narodowym Spisie Powszechnym z 2002 roku*, Facta Simonidis, 2009 nr 2 (1)] Ustawa szkolna z 1924 r. (utrwalając zapewne dotychczasową praktykę) nie przewidywała tam (czyli na zachód od – skądinąd nieuznawanej! – linii Curzona) możliwości szkolnictwa białoruskiego lub dwujęzycznego. (Dla języka polskiego w ustawie znaleziono „synonim”: *język państwowy*, co miało oznaczać, że jego preferowanie jest „neutralne”, *propaństwowe*, czyli nie jest zamierzoną polonizacją, wynarodowianiem). To przygotowywało do owej sytuacji *wejścia w epokę narodowości zupełnie nieświadomie*. W spisie z 1921 r. białoruską narodowość zadeklarowało na Sokolszczyźnie już tylko 5% ludności, choć sami prawosławni stanowili tam ponad

10%. Mogła mieć na to wpływ „intymidująca metodologia” podobna do tej zastosowanej w 2011 roku, kiedy urzędniczka spisowa w ogóle nie pytała o narodowość („bo przecież tutaj jest Polska”), w końcu zgodziła się wpisać białoruską (ołówkiem na formularzu), ale ostatecznie, już „na spokojnie, w domu” do systemu wpisała jednak... polską. [Szudziałowo, *Spis Powszechny*, w: <https://www.youtube.com/watch?v=cEEkmfVACaY>] I tutaj mamy do czynienia ze wspomnianą już paniką moralną, czyli działaniem urzędniczki niewspółmiernym do „zagrożenia”, „patriotyczną walką” z – jakże mizernym! – „zagrożeniem”, że pojawi się kilka procent Białorusinów w oficjalnym spisie, bo przecież większość z nich ze strachu przed urzędnikiem i tak poda narodowość polską.

We wspomnianej gminie Szudziałowo (nietyposwej w powiecie sokolskim) w 1921 r. wg spisu 54 % mieszkańców stanowili prawosławni, choć Białorusini oficjalnie mniej, bo 35%; w 2002 r. już tylko 5% stanowili Białorusini i najbardziej zastanawia to, że w sytuacji tych katastrofalnych (widocznie jak dla kogo) zaledwie pięciu procent w oficjalnym spisie tak ważne było w 2011 roku, by zajadle zbijać tę statystykę jeszcze niżej. Podobnie w sytuacji katastrofy nazewniczej (po tym jak administracja rządowa do 1980 r. zmieniła tam, spolszczyła nielegalnie **kilkanaście** nazw miejscowości) tak ważne było w roku 2013 dla Komisji UNMiOF, by nie przywrócić w tej gminie nawet jednej z nazw „białoruskobrzmiących”! Słusznie Zygmunt Bauman nazywa takie państwa „ogrodniczymi”, bo tylko „nowoczesny” ogrodnik po usunięciu 95% chwastów będzie nadal dążyć do wyniku stuprocentowego. Píše Sokrat: *Onegdaj były kontynenty z niezliczonymi stadami grubej zwierzyny. Bizony. Antylopy. I gdzie się to bogactwo podziało? Przyszedł człowiek z karabinem*. Parafrazując to w duchu „ekologii kultury”: Była kiedyś tutaj różnorodność etniczna i gdzie się ona podziała? Przyszedł urzędnik w 2011 r. ze spisem powszechnym i nowymi nazwami dla „dzikich”.

Jest to o tyle rozczarowujące, że zwłaszcza nietutejsi Polacy zwykle są przychylni miejscowej tożsamości. Przykładem tu może być nauczycielka z Augustowa, która przeniósłszy się do Suchowoli wydała dla swoich uczniów słowniczek „prostej mowy”: *Haworym pa prostu*. [<https://isokolka.eu/suchowola/4118-haworym-pa-prostu>] Zatem podobnej przychylności można było spodziewać się i po Komisji NMiOF i dlatego jej postawa jest rozczarowująca. (Wspominałem już o tym, ale nie w kontekście postawy Komisji jako niewspółmiernie, alergicznie wręcz ostrej w zestawieniu ze słabością białoruskiego „przeciwnika”, znikomością „zagrożenia” z jego strony; tak jakby „cud” jakichkolwiek nielicznych inicjatyw ze strony pokonanego wywoływał jedynie rozdrażnienie, irytację, bo „już załatwiono” sprawę, a tu okazuje się, że jednak nie: „Oni ciągle jeszcze są i w dodatku czegoś chcą!? Jak to możliwe!?...). Ta walka „cywilizacji z dzikością” mogłaby się dziać, i działa się, gdzieś na dalekich *kontynentach*, ale działa i dzieje się również tutaj.

Jeszcze, bo to (podlaskie) „zwycięstwo” nad „dzikimi” już blisko.

Gdzie łączy się Wschód z Zachodem? Podobno nigdzie (może kiedyś w Wielkim Księstwie Litewskim, ale tylko przed Batorym; potem wszystko zaczęło się rozwarstwiać, jak olej zmieszany z wodą). Jednak UE łatwo przyswaja prawosławną Rumunię, Bułgarię, Grecję, więc tam i teraz jest to możliwe.

XXXVIII/s.²²¹ W tym fragmencie mamy coś w rodzaju niemal rytualnej „destrukcji na pożegnanie starego życia (i dawnych wartości)”. Jak to wyglądało dawniej? Na przykład, kiedy konkwistadorzy pojмали władcę Inków Atahualpę i zainkasowali ogromny złoty okup za uwolnienie go, ten w końcu przyjął chrzest, tym samym na moment zrównując się z konkwistadorami i pozbawiając ich argumentu na rzecz pozbawienia go życia. Mimo to jednak (po sfingowanym procesie) skazano go na śmierć. I wtedy świątynie Inków zaczęli demolować również sami inkascy kapłani, widząc, że ich bóg przegrał, okazał się słabszy. Skoro i tutaj, na Białostocczyźnie, mamy sytuację „konkwistadorsko-kolonialną”, bo rzecz dzieje się w owych „Indiach” Batorego, w dawnym WKL, to analogicznie widzimy, jak Sokolszczyzna, do niedawna mówiąca przeważnie *po prostemu*, przeszła ponad stulecie temu z wyznania unickiego na katolicyzm, także na moment zrównując się z Polakami-katolikami. I tu również powstała chwila zawieszenia, przyczajenia i pytanie co dalej? Jak pisał ks. Stanisław Szyroki:

[...] *dotadnią stroną parafii Janowskiej jest jej rdzenność katolicka*[...] **Zniknęły w tej okolicy ludowe zwyczaje** [...] **słowem cała kultura ludowa. Nic tu bowiem lud swojskiego nie ma, prócz języka białoruskiego, do którego też sam nie wie, czy się przyznawać.** [Monografia Parafii Janowskiej w dekanacie sokólskim województwa białostockiego, PTK, Białystok 1936, str.11,16,17]

Zatem i tu, po chwilowym zrównaniu się z „konkwistadorami”, by użyć w tym kontekście określenia Janusza Tazbira (nawet ludu ze szlachtą, ale tylko na płaszczyźnie religii), przez jakiś czas tubylcy nie wiedzą, co robić, w tym *nie wiedzą, czy się przyznawać* do swojej „prostej mowy”. Jednak po tym stanie „zawieszenia”, niepewności przeważa odgórne (subiektywne) przekonanie o niekompatybilności wschodniosłowiańskości z rzymskim katolicyzmem jako kulturą, nie religią, po czym następuje wspomniana na wstępie „pożegnalna destrukcja”, poprzedzona licznymi, usprawiedliwiającymi tę destrukcję, wydawanymi ad hoc „wyrokami”, jak ten:

[...] *język prosty [jest] smutną spuścizną po niesławnym okresie zaboru rosyjskiego, [...] posługują się [nim] jeszcze dotąd starzy mieszkańcy, nawet młodzież.* [Stanisław Szczerba, *Aby czas nie zatarał śladów przeszłości*, Gazeta Współczesna, dziennik **PZPR**, Białystok 19-20.01.1982 r.][Tytuł tej prasowej notatki zaiste

przewrotny.]

Jeśli kultura regionalna, a w tym przypadku *język* prosty, nigdyś urzędowy w Wielkim Księstwie Litewskim, jest wartością, kapitałem, to i tutaj mamy do czynienia z pozbawianiem tego kapitału, dokładniej z jego umniejszaniem, intymidacją, *uciszeniem*, destrukcją.

Dalej Sokrat pisze: *Bez skonania wsi miejski dobrobyt dzieci pozostałby utopią. Ciekawe, na czym zasadzać się będzie rozkoszny byt wnuków? Już bez wsi. Porosłej tymczasem lasem.* To postrzeganie przyszłych czasów jako *rozkosznych* może okazać się nie do końca trafne (nawet pomijając nową rosyjską agresję na Ukrainę z jej globalnymi gospodarczymi konsekwencjami): „*Stać ich na egzotyczne wakacje i auto w leasingu. Ale życie klasy średniej podszyte jest nieustannym lękiem*” [...] *Dzisiejsi 30 i 40 latkowie* [...] *zdają sobie sprawę z kruchości tego stanu.* [Jacek Tomczuk, „Newsweek”, 14.02.2022]

XXXIX/s.¹⁶¹ Ta naiwność – dobra u tego *narodu* w przypadku jego *poetów i śpiewaków* – może też być przyczyną rozczarowań, poczucia, że jest się „oszukany”, co może skutkować napadami złości, agresji, a w końcu okrucieństwa. Najpierw było bez agresji – po tym, jak Władysław Waza nie koronował się na cara we wzgardzonym przez Polaków „bizantyjskim obrządku chamów” (oksymoron – sprzeczność) – „mówi się: trudno, trzeba Rosjanom albo przejść na katolicyzm, albo wzrastać przeciw Zachodowi”. Potem rozczarowujące odrzucenie rosyjskiego protektoratu nad Rzeczpospolitą i utrata najcenniejszych jego części na rzecz Prus i Austrii, ale nadal bez szczególnego w ówczesnej epoce rosyjskiego okrucieństwa. Następnie zafascynowanie Francją, jednak ta przyszła później w postaci armii Napoleona – kolejne rozczarowanie. Tę pokonano, ratując przy tym Anglię, lecz niedługo potem, w 1855 r., ta sama Anglia (oj, niewdzięczna!) już razem z Francją odbiera Rosji Krym i tamtejszy port Sewastopol, tym samym ratując na Bałkanach turecki islam; ginie w tamtej wojnie krymskiej około pół mln żołnierzy. Jednak kilkanaście lat później, po klęsce Francuzów i powstaniu Cesarstwa Niemieckiego w 1871 r., Rosja – jako przeciwwaga dla Niemiec i Austrii – staje się niezwykle potrzebna tejże Anglii i Francji, więc te łaskawie zezwalają Rosji na odbudowę portu wojennego w Sewastopolu i na wypieranie Turcji z Bałkanów. Potem następuje „przerywnik” w postaci sowietyzmu, epoka sama w sobie, więc nietypowa, i najnowszy wątek: reaktywacja dziewiętnastowiecznej wojny krymskiej i „wokółkrymskiej”. „Gdzie Rzym, gdzie Krym” – powiedzenie *zwykle używane, gdy chcemy wyrazić zdziwienie, że tak różne - naszym zdaniem - rzeczy są ze sobą łączone* – objaśnia słownik WSJP [Ale to było kiedyś, bo czy *różne, to się jeszcze okaże* – mówią odważni Ukraińcy – „Krym to Ukraina” (a niebawem i NATO, *Zachód-Rzym?*)]. Cóż, jeżeli celem-wartością jest rozwój kultury rosyjskiej, także poza Rosją, to dla Rosjan w Rosji niepodległość Ukrainy nie powinna być żadną tragedią ani powodem do agresji na Ukrainę; wszakże Niemcy i Francuzi żyją w trzech państwach w Europie, nie w „jednym niepodzielnym”, i mimo to rozkwitają.

Ale jeżeli dla Rosji ideą fixe jest imperium (nie *dobrobyt*, którego w nim – jak pisze Sokrat – *nie ma i nigdy nie będzie*, i dlatego Ukraina, razem z tamtejszymi „językowymi Rosjanami”, ze „świata rosyjskiego” „się wypisuje”), to taki obrót spraw w Ukrainie staje się dla (imperialnej) Rosji „nie do przyjęcia” i stwarza doskonale „mentalne” warunki do wariacko okrutnej agresji na nią, także w celu „doprowadzenia siłą” tamtejszych rosyjskojęzycznych w zasięg putinowskiej monarchii. To okrucieństwo, desperacko szalone, analogiczne do tureckiego wobec Bułgarów, Ormian i Greków w czasach schyłku Imperium Osmańskiego, pozwala patrzeć na Rosję jako wkrótce byłe imperium (gospodarczo, bo niekoniecznie pod względem granic). Niestety, okrucieństwo importowano także z Zachodu: od lisowczyków, gilotyniastej rewolucji francuskiej, od wojny krymskiej, od wojny kolonialnej opisaną przez Conrada, od „Marksa-Engelsa”, od Hitlera, „apokaliptycznej”, napalmowej wojny w Wietnamie. Ale najbardziej wynika ono z własnej bezsilności wobec („wiecznie żywego”) sojuszu łańcińsko-muzułmańskiego (zachodnioeuropejsko-tureckiego, choć pod hasłem... „przedmurza chrześcijaństwa”), z nieporadności wynikłej z rosyjskiego bałaganiarstwa i złego zarządzania państwem (bo skąd to lepsze zarządzanie, przy wielowiekowym zapóźnieniu, miałyby się wziąć?). Okrucieństwo Rosjan w obecnej wojnie z Ukrainą wynika także z tego, że oni traktują ją jako wojnę domową, wewnętrzną, czyli co do zasady bezlitosną, jak w Hiszpanii podczas wojny dwóch systemów (bo przecież nie narodowości) w latach 1936-1944. Bowiem o ile po typowej wojnie (z obcymi) jeńcy obu stron są wypuszczani, o tyle po wojnie domowej (ze „swoimi”, co „zblądzili”) byliby oni nadal więzieni i niszczeni jako „zdraycy”, więc niejako „prościej” jest od razu terytoria „secesjonistów” zrównywać z ziemią, a „zdradziecką” ludność głodzić. O jej późniejszą niechęć, urazę do Rosji nie ma obawy: ważne, że zagarnięta ludność jest w znacznej części rosyjskojęzyczna, a resztę „załatwiają” syndrom sztokholmski i świadomość, że „jakoś trzeba żyć”, a później także zmiany pokoleń i moskalizacja.

Rzecz jasna, dobrze byłoby, gdyby Rosja – jako również okupant Białorusi – wojnę przegrała, ale oczekując tego warto też dociekać, co stworzyło obecną groźną sytuację. Tak jak w poprzedniej wojnie krymskiej, mamy blokadę eksportu Rosji (jakbyśmy podróżowali wehikułem czasu do połowy XIX w.), natomiast nie widać na horyzoncie nic analogicznego do francuskiej klęski pod Sedanem, dzięki czemu Rosja mogłaby na powrót być potrzebna kilku znaczniejszym państwom w Europie przeciw innym, kosztem poświęcenia europejskich aspiracji Ukrainy (chyba że tym czynnikiem już są – albo jeszcze? – rosyjski gaz i ropa). W całej genezie obecnej wojny ukraińsko-rosyjskiej najbardziej martwi to, że analitycy twierdzą, iż na obecność Ukrainy w NATO nie zgodzi się żadna Rosja, nie tylko ta putinowska, [\[https://wiadomosci.onet.pl/politico/zabicie-putina-nic-nie-da-w-ameryce-wiemy-o-tym-dobrze/1rffng?utm_source=wiadomosci.onet.pl_viasg_wiadomosci&utm_medium=referral&utm_campaign=leo_automatic&srcc=ucs&utm_v=2\]](https://wiadomosci.onet.pl/politico/zabicie-putina-nic-nie-da-w-ameryce-wiemy-o-tym-dobrze/1rffng?utm_source=wiadomosci.onet.pl_viasg_wiadomosci&utm_medium=referral&utm_campaign=leo_automatic&srcc=ucs&utm_v=2) co oznaczałoby, że Zachód (oficjalnie) godząc się na Ukrainę (z Krymem) w NATO celowo daje Rosji (więc niekoniecznie Putinowi) przynajmniej ten pretekst do agresji (a to niemało, bo propaganda wiele w Rosji znaczy). Propagandowo pozwala to Moskwie realizować cele bardziej ambitne niż

(łatwe z oczywistych względów) zajęcie Krymu; cele wykraczające poza ramy obrony przed czymś, co... i tak by nie nastąpiło (tj. poza rzekomą groźbę przyjęcia Ukrainy do NATO i UE, skoro tak naprawdę – „decyzyjnie”, przy wymogu jednomyślności – Zachód nie chce Ukrainy w UE ani w NATO. Po co więc to „drażnienie rosyjskiego niedźwiedzia” taką – niemiłą dla niego, ale przecież nierealną – perspektywą?). [Dopisek: dziś, 12.04.2022, w *Newsweeku* widzę, że historyk Niall Ferguson wyjaśnia to tak: *Stany Zjednoczone chcą, by ta wojna, której można było zapobiec, trwała.*] Zatem wojna w Ukrainie to ze strony Zachodu tylko dywersja, dokonywana cudzymi rękami (i im dłużej, tym lepiej), i jako taka skazana na porażkę, albo przeciwnie: przewiduje się wielką wygraną metodycznego Zachodu nad – nawet już nie „gierojską” – Rosją, i dlatego odpowiada mu to, że Rosja ma pretekst do ataku. Może kiedyś się tego dowiemy, choć najpewniej nigdy, bo późniejsze wyjaśnienia mogą być dopasowywane do tego, „kto wygrał” (czy raczej co osiągnął i na jak długo). Wygrana Ukrainy (jako zwycięstwo – choć oligarchicznej i skorumpowanej, to mimo wszystko demokracji – nad monarchią) oznaczałaby też wolność dla Białorusi. Na razie świat anglosaski (jako producent gazu, ropy i węgla) ma się dobrze, gorzej z nami; ale nam musi wystarczyć idea unieszkodliwienia rosyjskiej monarchii, skoro jesteśmy bliżej zagrożenia i nam bardziej zależy. Pozornie te komentarze zanadto wykraczają poza sprawę Białorusi, ale i w powieści pojawia się temat niepodległości Ukrainy. Przy tym, jak ktoś powiedział, małe narody (walcząc o utrzymanie się na powierzchni?) muszą interesować się wszystkim, jak drobniejsza zwierzyna na sawannie; tylko większe nacje (w miarę bezpieczne) mogą zawęzić krąg swoich zainteresowań.

^{XL/s.107} *Dawny świat przypominają ocalałe od całkowitego zniszczenia przedmioty, budynki, cmentarze. Istnieją ponadto rozliczne [...] analogie między dawnym i nowym systemem pracy, dawną i „współczesną pańszczyzną”, między folwarkiem i kolchozem, między niegdysiejszymi i „współczesnymi panami”, pełniącymi kierownicze funkcje w kolchozach [w gminach?]. [...] Kolchoźnicy oswojali kolchozową rzeczywistość stosując różne strategie przetrwania. [...] Propaganda, mająca m.in. na celu zakwestionowanie świata dawnych wartości, nie odniosła spodziewanego sukcesu. Wielu kolchoźników konfrontowało propagandowe treści z własnymi doświadczeniami. Pozwoliło to im np. na zaniegowanie karykaturalnych obrazów dawnych panów, przedstawianych przez zwolenników nowego systemu jako ciemiężcy, wrogowie ludu, poddanie w wątpliwość informacji o tym, że w „majątkach” żyło się gorzej niż w kolchozach. Kolchozy nie są postrzegane jako sposób realizacji, bliskiego ludności wiejskiej, ideału równości. Okazuje się też, że dawny pan nie jest wrogiem ani „obcym”, stanowi ponadto wzór dobrego gospodarza. Takim wzorem są również - wbrew propagandzie - kulacy, przedstawiani w narracjach współczesnych kolchoźników jako „pracowici, zapobiegliwi i zaradni chłopci-gospodarze, stanowiący wcielenie chłopskiego ideału moralności pracy”. Ich dramatyczne losy budzą współczucie.* [Iwona Kabzińska, „Etnografia Polska”, t. LVII, 2013, recenzja książki: Anna Engelking, *Kolchoźnicy. Antropologiczne studium tożsamości wsi białoruskiej przełomu XX i XXI wieku*, Fundacja na rzecz Nauki Polskiej, Toruń 2012]

XLI/s.199 *Zbójnictwo wynikało z pragmatyki, bogatego okrada się, bo jest go z czego okraść. A z drugiej strony taki herszt potrzebował lokalnej informacji, zaufanego wsparcia, musiał mieć gdzie przezimować...-A skąd legendy, że [zbójnicy] to byli wyzwoliciele ludu? -W rzeczywistości byli pospolitymi przestępcami, często okradali co bogatszych chłopów, nie tylko szlachtę. Ale każda społeczność **podporządkowana** zaczyna sobie projektować superbohaterów – przecież te same wzorce znajdziemy wśród Czarnych, Latynosów w Kalifornii czy Irlandczyków. Takie mity miały zawsze dwie funkcje. Po pierwsze, dokonywały wyobrazeniowego zadośćuczynienia za wiekowe krzywdy. [...]W buntach chłopskich mamy niemal wyłącznie liderów wewnętrznych, bo **podporządkowani nie są w stanie zaufać nikomu spoza ich grupy**. [Tym więcej znaczy wspomniane w innych komentarzach uzyskanie pisemnego poparcia *podporządkowanych* ws. nazw miejscowości.] [...]*Odwolanie się do wyższej instancji, do wyższego autorytetu nad lokalnym panem miało za cel legalizację buntu lub ograniczenie jego konsekwencji. Czasem też dosłownie odwoływali się do tego autorytetu, bo kiedy car Rosji wizytował Królestwo Polskie, to spotykał się z niesłychaną czolobitnością. I faktycznie zaczął się zastanawiać, czy dałoby się polepszyć jakoś ten chłopski los. [...] Chłopi **rozumieli, że muszą z władzą grać bardzo ostrożnie**. [Michał Sutowski, *Sabotaż, uchylanie się od pracy, kpiny z panów, czasem krwawy bunt – bez tego nie zrozumiemy dzisiejszej Polski*, 18.11.2020 r., <https://krytykapolityczna.pl/kultura/historia/sutowski-rauszer-bekarty-panszczyzny-historia-buntow-chlopskich/>]**

XLII/s.171

Pomiędzy oczywistością i skandalem.

Obiektywna (rozumowa, naukowa) oczywistość postrzegana jako coś (emocjonalnie) niedopuszczalnego, niestosownego, czyli stan charakterystyczny dla polityki (jako skuteczności w osiągnięciu założonego celu, nie obiektywnej racji) w otoczeniu postkolonialnym oraz nieakceptowania grupy jako całości.

Najpierw definicje: sytuacja kolonialna jest wtedy, kiedy czarny niewolnik jest podczłowiekiem, choć z naukowego punktu widzenia tak nie powinno być, a sytuacja postkolonialna jest wtedy, kiedy czarny – choć już nie niewolnik – nie jest traktowany równoprawnie, bo choć „rozumowo” oczywiste jest, że tak powinno być, to jednocześnie „emocjonalnie” jest to nie do przyjęcia. Przykłady takich postkolonialnych sytuacji mamy na Białostocczyźnie (od czasów *Indii* widzianych przez Piotra Skargę w Wielkim Księstwie Litewskim, czyli tutaj).

W Krynkach szkołę białoruską, funkcjonującą obok polskiej, zamknięto już w 1945 r. Sprzyjała temu mieszana struktura ludnościowa, gdzie jest zarówno ludność katolicka, *panująca* (by użyć sformułowania z początku tekstu Konstytucji 3 Maja) oraz podporządkowana, prawosławna, „tolerowana” (tak podlegająca unifikacyjnej presji ze strony tej pierwszej, jak i chcąca – choć nie konfesyjnie – dołączyć do *iluzji panowania* [jak pisze Sokrat] – co jest zrozumiałe). Ponadto łatwiej jest zarządzać jedną szkołą. Ale np. w gminie Czyże, gdzie praktycznie sami prawosławni, jeszcze w roku 1955 [a może i później] istniała szkoła podstawowa z białoruskim językiem nauczania, w której w klasach początkowych uczniowie nie mieli języka polskiego nawet jako jednego z przedmiotów. [w:

Wikimedia Commons, przycisk: Inne Media/Other Media: Świadectwo ukończenia I klasy szkoły podstawowej z bjn w Czyżach z 1955 r.

[https://commons.wikimedia.org/wiki/File:C5%9Awiadectwo_uko%C5%84czenia_I_klasy_szko%C5%82y_podstawowej_z_bjn_w_Czy%C5%BCach_z_1955_r.pdf]

Z jednej strony może to kogoś szokować, ale z drugiej strony było to tylko zastosowaniem się do podstawowej, naukowo oczywistej zasady pedagogiki, zgodnie z którą w szkole podstawowej w pierwszych klasach należy się posługiwać wyłącznie językiem znanym już uczniowi (by nie pogłębiać stresu; ja sam pewnie bym nie pamiętał pierwszego dnia w szkole, gdyby nie straszliwy płacz jakiejś dziewczynki, kiedy uczniowie stali w szeregu przed tablicą). Czyli mamy tu zderzenie naukowej, rozumowej oczywistości z odbiorem jej z warszawskiej perspektywy jako czegoś niedopuszczalnego, niewyobrażalnego, skandalicznego, „bo to było przecież w polskiej szkole, tutaj jest Polska!”. Skutek: według spisów powszechnych w XXI w. narodowość białoruską w gm. Czyże deklaruje ok.80% mieszkańców. Sokrat pisze o tym z humorem: *my* (w białoruskiej szkole) *mieliśmy lepiej, bo* (w przeciwieństwie do katolików w polskiej) *rozumieliśmy, co się do nas mówi* (ale w Krynkach trwało to tylko rok, więc skutek jest zupełnie inny niż w Czyżach: teraz oficjalnie Białorusinów w Krynkach prawie nie ma; możesz tylko czasem usłyszeć język białoruski, jeżeli ciebie samego nie widzą – bo każdy, zwłaszcza nietamtejszy, Polak postrzegany jest tam, czy tego chce, czy nie, jako mimowolny inspektor sprawdzający stopień implementacji „języka państwowego”). Podobnie: prywatne rozmowy uczniów podczas przerwy mogą odbywać się w dowolnym języku, jeśli jednak w białoruskim, to od razu wybucha skandal i nauczycielka w Krynkach „musi” interweniować: tak to możecie mówić tylko w domu (nawet nie na ulicy), *tutaj jest polska szkoła* (tu się „cywilizuje” – jak to określił Sokrat). Można to po baumanowsku nazwać ‘prywatyzacją’ tożsamości białoruskiej, ograniczaniem jej do czterech ścian domu (także intymidacją), dlatego też prawie nie ma „szizmatycznych” nazw dwujęzycznych na Białostocczyźnie. [O tym także w komentarzu XVII, str.275]. Ukazywanie się tygodnika co tydzień to rzecz najzwyczajniejsza, ale w kontekście białoruskim (tygodnika „Niwa”) może być uznana (znowu przez instytucję państwa) za skandaliczną, nieprzynależną „dzikim, nieorganizowanym” *Indianom*. [komentarz na str.250]. Jak i skandalem może stać się nawet pojedyncze słowo białoruskie w polskiej (także państwowej!) prasie [komentarz na str. 276]. Białorusin – urodzony skandalista mimo woli?

Nie inaczej z *posągiem żubra* zrabowanym z Białowieży i przewiezionym do Spały: *oczywiste* jest (rozumowo, naukowo, etycznie, dekalogowo), że kradzione należy zwrócić, trudno o prostszą zasadę, ale *emocjonalnie* (i to na najwyższym, elitarnym krajowym szczeblu, bo nie w Spale – o tym pisałem) byłoby to „skandaliczne” (bo jak to, oddać kradzione?; ale czy warto, może nie warto, na pewno nie warto, bo komu, tym gorszym i „niezbyt naszym” ludziom?; czy oni na to zasługują?; szlachcic nie pojedynkuje się z chłopem, więc i tak też nie może mu nic być winien; jeżeli wziął, to takie jego prawo panującego, a obowiązkiem „tolerancyjnie tolerowanego” chłopca jest dać). *Po 1981 r. o sprawie zaczęła pisać prasa. [...]żądania białowieżan nazwano skandalicznymi. Sprawy do dzisiaj nie załatwiono.* [Niwa nr 41, 10.10.1993] Te (archaiczne) podporządkowania są konserwowane na szczytach władzy, bo w terenie wszyscy są tylko włościanami;

ale w Warszawie już – jakby – nie są, tam wymyśla się postszlacheckie, sarmatyzacyjne „strategie”, są lepsi i gorsi, w czym nawet PRL nie przeszkodził; przeciwnie: doskwierał wtedy głód „żeby Polska była polską”. (W pierwszym akapicie na str. 276 i w dole str. 333 jest mowa o *smutnej* skandaliczności, „nieprzyzwoitości, niecenzuralności” języka prostego – białoruskiego tutaj, także w czasach PRL).

W innej gminie Komisja NMiOF w czasach PRL zmieniła (nielegalnie, bez procedury – i w sposób utajniony, bo bez ogłoszenia w „Monitorze Polskim”) nazwę *Górny Grud* na *Górny Gród* (że niby tam jest miasto, choć to bez sensu, bo kilka chałup, ale przynajmniej teraz wieś neopiastowska, jak cały PRL – nie jagiellońska, co wówczas było niemile widziane). Komisja nadal odmawia powrotu do poprzedniej nazwy przynajmniej trochę nawiązującej do *hrud* – wysokie, suchsze miejsce, choć w terenie nazwa tradycyjna jeszcze funkcjonuje. Komisja odmawia, gdyż prawidłową i historyczną nazwą byłaby nazwa *Hurynow Hrud*, więc nie ma sensu przywracać nazwy *Górny Grud*. Zatem przesłano do Komisji, w 1998 r., pismem poparcie co najmniej połowy właścicieli tamtejszych zabudowań na rzecz nazwy *Hurynow Hrud* (gwarowo: *Hur[yn]n[ow]szczyzna*, od imienia Huryn), ale odpowiedź była następująca: to nie obecna nieprawidłowa nazwa jest zarazem nielegalna, tylko podpisy na rzecz jej poprawienia są nieważne-nielegalne. Mamy tu zatem kolejne zderzenie rozumowej oczywistości z emocjonalnym nieprzygotowaniem elit do tematu (bo nie tych, co podpisywali i używają nazwy *Gurny Grud* – oni byli na to gotowi, mentalnie, choć wtedy – teraz nie – wiązałoby się to z wymianą dokumentów; ale oni emocjonalnie podołali). Obecne stanowisko Komisji jest następujące: gdyby powrócić do nazwy *Górny Grud*, trzeba by natychmiast zmienić ją na *Hrud*, a przecież nie nadal *Górny*, tylko *Hurynow*, albo *Hurynowszczyzna*, a to już jest do tego stopnia emocjonalnie (bo przecie nie rozumowo) przeróżające (jako „Bizancjum” w „Rzymie”), że dla warszawiaka aż nie do pomyślenia. To jakby ktoś wołał tam na cały głos: jestem Białorusinem (albo opuścił spodnie i siusiał publicznie, co jak wiadomo możliwe jest tylko w „zdegenerowanej” Brukseli, nie obok *stolicy przyzwoitości*, ostoji wyższej, zachodniej kultury. W takiej sytuacji odgórna dezaprobata (Ależ Jasiu!Jasiu!..) jest tak wielka, że z siusiania nic nie wychodzi, choć płyn jest; skutek: tryumfalnie ogłasza się: „Rzekomo chcący siusiać, wcale siusiać nie chciał i dlatego jest przy nim sucho, jak to na *hrudzie*, pardon, *grodzie*...”). Największym problemem tożsamości białoruskiej jest to, że bycie Białorusinem postrzegane jest jako nieprzyzwoite, niekulturalne, dzikie, hipisowskie, „skandaliczne”. Wolność obywatela w kwestii nazwy jest czysto teoretyczna: kiedy odbiera on w gminie dokument z nazwą Gród, to zaraz śpieszy w innych, gospodarskich sprawach i nie ma czasu „kłócić się o nazwę”, już jest „po temacie”; poza tym „kłócenie się” w ogóle nie wchodzi w grę, gdyż jest to ludność – by użyć określenia z poprzedniego komentarza – *podporządkowana*, w oczach władzy drugiej kategorii. Dlatego wiele mówi sytuacja, kiedy aborygeni (czyli tubylcy) na spokojnie i w sposób może nie całkowicie swobodny (o tym dalej), ale swobodniejszy, nie urzędowy, ustalają napis na tamtejszym pomniku wotywnym w postaci: *Gurny Grud* [pomnik z

krzyżem za zdrowie mieszkańców *Gurnoho Gruda i kolonii Klakowo* – tak napisano alfabetem łacińskim, zdjęcie napisu z 2001 r. w: „Czasopis” nr 7-8, 2011 r., str.42, <http://pdf.kamunikat.org/21659-1.pdf>]). Gdyż składając się na pomnik wiedzą jedno: że na pewno nie *Górny Gród*, więc i odpowiednio nie *Horny Horod*, choć właśnie nazwę *Gród* widzą codziennie na oficjalnej tablicy przed miejscowością. A nie mogą jeszcze całkiem swobodnie, „na full” napisać np. *Hurynowszyzna-Hurynouszczyna*, gdyż wtedy nie byłoby jasne (tak dla wszystkich), o którą miejscowość chodzi. Nazwy oficjalnej *Górny Gród* nie akceptują, ale ona jednak wpływa na nich, zaburza ich własną nazewniczą świadomość (*miejscową grawitację* - by użyć określenia pisarza Michała Androsiuka, nawiązującego do teorii Einsteina).

Zdeformowany zapis: *Gurnoho Gruda* to typowy produkt sytuacji, kiedy – jak pisze Ulrich Beck – *obecnie to jednostki* wskutek *zrzucania na nie odpowiedzialności* [np. przez Komisję] *muszą mierzyć się z praktycznie niemożliwym zadaniem znalezienia przez nie rozwiązań problemów generowanych społecznie*. [Zygmunt Bauman, *Obcy u naszych drzwi*, str.65]

Tak też jeśli ustawa dopuszcza dwujęzyczne nazwy miejscowości w gminach, gdzie zamieszkuje co najmniej 20% mniejszości, to jest *oczywiste*, niejako domyślne (rozumowo-naukowo-logicznie), że powinno to albo wymagać uchwały rady gminy podjętej wyjątkowo także tylko dwudziestoma procentami głosów, albo nawet następować w sposób jeszcze bardziej „skandaliczny”: automatycznie, z mocy prawa na podstawie danych statystycznych (gdyż skład osobowy rady gminy w sumie powierza sprawę przypadkowi indywidualnych zapatrywań, kompleksów niższości i lęków, nie szerszej, obiektywniejszej, spisowej statystyce). Mimo to nadal wymaga się do tego 50% większości w radzie gminy, co z punktu widzenia logiki jest absurdem, baumanowską „proceduralną zaporą” (i polityką, czyli nie realizowaniem racji obiektywnej, tylko pozarozumowej, emocjonalnej).

To oznacza, że tutaj *rozum* ustawodawcy „*śpi*” (zamierzenie), a *kiedy rozum śpi, budzą się demony*, nietolerancji, ksenofobii. [*Seria rycin pt. „Kaprysy”* (w tym *Kiedy rozum śpi, budzą się demony*), *stworzona przez Francisco de Goyę w latach 1797-1799, miała wyrażać jego strach przed tkwiącym w społeczeństwie złem, zabobonami i absurdami, a zarazem szydzić z nich, oskarżać je. Dzieła te przedstawiają głównie potwory, gobliny, czarownice oraz inne tajemnicze i groźne istoty, symbolizujące nienawiść, pogardę i przerażenie. Artysta odwoływał się do nich, aby wykpić słabości ludzkiego umysłu, zamieszczał również rozmaite aluzje dotyczące sytuacji politycznej i społecznej Hiszpanii. Jego prace spotkały się z ostrą krytyką, wskutek czego Goya musiał wycofać je ze sprzedaży.* https://sciaga.pl/tekst/27857-28-gdy_rozum_spi_budza_sie_demony_francisco_de_goya]

Ignacy Paderewski pisał, że postawa Romana Dmowskiego wyrządziła sprawie polskiej *ogromną szkodę*. [John Connelly, *Roman Dmowski – szkodnik stulecia*, *Gaz.Wyb.*, 18.09.2021] (Może dlatego jest Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego? Paderewski jako „przepustka” dla Dmowskiego?). Jednak mimo to *Roman Dmowski został 8 stycznia 1999 roku, w 60. rocznicę śmierci uczczony przez Sejm RP jako mąż stanu, specjalną uchwałą. W dokumencie zapisano: [...] Sejm [...]*

stwierdza, że dobrze przysłużył się Ojczyźnie [...]formułując pojęcie narodowego interesu. Oznaczało to zjednoczenie wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej zamieszkałych przez polską większość. Podkreślał ścisły związek katolicyzmu z polskością dla przetrwania Narodu i odbudowania Państwa. Sejm wyraża uznanie dla wybitnego Polaka Romana Dmowskiego. [https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Roman_Dmowski&oldid=67479506] (Było to za rządów SLD-PSL). I tu odnośnie ww. polskiej większości: (w I RP, przed 1939 r.) nie było jej w województwie poleskim (24% Polaków) czy wołyńskim (16%), więc chyba chodzi tu o „dobieranie” do terytorium państwa tyle obszaru, żeby w nim jako całości Polacy stanowili ww. większość. Jednak podobnie czyni obecnie nasz północny sąsiad wobec wschodniego, czego przecież nie pochwalamy. (Zatem ta uchwała to kłamstwo albo pochwalanie ekspansji). Ten akapit wynika stąd, że z podobnego ducha wywodzi się obecny (prawie całkowity względem obiektywnego, językowego potencjału) brak nazw dwujęzycznych tutaj, brak zapisu ustanawiającego takie nazwy z mocy ustawy o mniejszościach na podstawie samego spisu powszechnego, tj. bez uchwały rady gminy podjętej większością głosów [rada powinna jedynie pomóc określić brzmienie nazw]). I tutaj bowiem mamy element „paderewski” (PR-owską „przepustkę”: 20% mniejszości dla ustanowienia nazw dwujęzycznych), oraz właściwy, istotniejszy element ustawy: „dmowski” z ducha warunek podjęcia uchwały przez całą gminę(radę) większością głosów.

Jeśli ustawa dopuszcza nazewnictwo dwujęzyczne tam, gdzie mniejszość stanowi minimum 20% ludności, to nawet wymóg podjęcia uchwały w tej sprawie – wyjątkowo – tylko dwudziestoma procentami głosów w radzie gminy byłby nadal zbyt restrykcyjny, sekurytyzujący; byłby poluzowanym (poniewczasie, bo „temat wygasł, znużył się”) kagańcem nałożonym na ustawę, sugestią że tak naprawdę „umożliwia” ona coś, co „między nami posłami mówiąc” (albo: z punktu „widzenia państwa”) **nie jest pożądane, „psuje” ludzi, społeczeństwo (!)**. Bowiem nawet tak złagodzony warunek natrafiałby na przeszkodę tego rodzaju, że często przedstawiciele mniejszości wybierają na radnych Polaków, ze względu np. na to, że dana osoba zna się na budowie dróg, pozyskiwaniu dotacji, itd. Albo wybiorą nawet etnicznych Białorusinów, ale akurat tych prerażonych wizją napisu dwujęzycznego jako informacji: „tutaj mieszkają Białorusini”, czytaj: „element podejrzany”. I tutaj ustawodawca może radośnie wykrzyknąć: „no właśnie, ustawa daje mieszkańcom możliwość uniknięcia takiego stresu, wycofania się z białoruskości, dzięki sekurytyzacyjnym zapisom ustawy, która niejako lituje się nad nimi, „wybawia ich od nieszczęścia tożsamości, dając im święty spokój przynależności (do narodu polskiego)”. Prawo do strachu: święte prawo obywatela, zwłaszcza Białorusina. Zaiste ludzki ten nowy, demokratyczny pan. (Strach nie urojony, bo i proces tygodnika „Niwa” to nie fikcja, i to nie było sto lat temu! [patrz: str. 250]). Taka argumentacja byłaby zgodna z zasadami przemocy symbolicznej, gdzie instytucje, które miały walczyć z podziałami społecznymi, wzmacniają je (doprowadzają do odtworzenia się sytuacji podporządkowania).

[https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Przemoc_symboliczna&oldid=66742667], Tak też sekurytyzowana w ww. sposób ustawa oddala - obecnie - możliwość nazw dwujęzycznych, **sprytnie obarczając winą za taki stan rzeczy samą mniejszość**. Ponadto ci mieszkańcy, którzy ze strachu „nie chcą” (w sposób jakoby „nieskrępowany”?) nazw dwujęzycznych (stan *a*), mogliby zmienić zdanie (stan *b*), gdyby się takie nazwy pojawiły; zobaczywszy, że żadna z tego powodu agresja ze strony polskiej większości nie nastąpiła. Jednak w takim ciągu zdarzeń ów stan *b*

nie może nastąpić bez poprzedzającego go ustanowienia nazw dwujęzycznych „w środowisku stanu *a*”. Stan *a* nie musi oznaczać kategorycznej, raz na zawsze, niezmiennej niezgody na takie nazwy, bo może oznaczać jedynie obawę przed byciem inicjatorem takowych. Jeszcze do niedawna w kręgach rządowych uważano, że „ze względów kulturowych”, zwyczajowych nie jest możliwe wprowadzenie w Polsce zasady „pierwszeństwa pieszych nawet przed wejściem na jezdnię”. Jednak ktoś podjął decyzję i wprowadzono tę zasadę z powodzeniem. Choć „klimat społeczny” dla takiej decyzji nie zmienił się; **a dokładniej zmienił się... właśnie wskutek podjęcia decyzji**. Teraz kierownicy niemal współzawodniczą w zatrzymywaniu się na widok pieszego, jakby jakaś nowa moda się pojawiła. **Tylko to, czego nie ma, jest nie do pomyslenia**.

Kiedy wszyscy w terenie używają nazwy *Borsukowina*, i leśnictwo, i gmina, i zakład energetyczny, i popierają to wszyscy mieszkańcy, i wójt, natomiast rządowa Komisja Nazw Miejscowości nie chce ustąpić i forsuje nazwę *Borsukowizna*, to też mamy tu zderzenie zdroworozsądkowej, naukowej oczywistości nazwy *Borsukowina* z jednoczesnym jej odbiorem na samym szczycie krajowych elit jako czegoś skandalicznego, niedopuszczalnego. [w: Wikimedia Commons: przycisk: Inne Media: *Opinia burmistrza Krynek z 2013 r. w sprawie postulowanej nazwy kolonii Borsukowina*][https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Opinia_burmistrza_Krynek_z_2013_r._w_sprawie_postulowanej_nazwy_kolonii_Borsukowina.pdf]

Przy czym nie jest to nazwa dosłownie białoruska (taką byłaby *Barsukowina*), podobnie jak *Samohrud* (po białorusku: *Samahrud*). Jednak wystarczająco *białoruskobrzmiąca*, by ją politycznie zwalczać, sekurytyzować. Politycznie, to znaczy: nie w duchu obiektywnej racji-oczywistości i nawet nie powołując się na obiektywną zaporę w postaci jakiejś ustawy, tylko na zaporę subiektywną: Komisja „sama słyszała jak uchwaliła”, że z dwóch możliwych ustawowych procedur stosować będzie tylko jedną, więc nazw białoruskobrzmiących nie ustali, bo – w tej „sytuacji” – (w praktyce) jest to... niemożliwe.

Nie postulaty są ważne, tylko powody, dla których są stawiane. [Robert Krool, *Gaz.Wyb.*, 23-24.09.2017] Jeżeli postulat jest stawiany w celu emancypacji tożsamości białoruskiej tutaj, to jego odrzucenie jest odrzuceniem tej tożsamości, nie zaś tylko „techniczną” decyzją Komisji NMiOF w sprawie konkretnej nazwy wynikającą z analizy „lingwistyczno-historycznej”. Tym bardziej, że z takiej analizy wynikałoby raczej uznanie postulatów.

Po tym jak administracja rządowa nielegalnie w PRL spolszczała nazewnictwo miejscowości, próby „odkręcania” tego są teraz w jej oczach aborygeńskim zamachem na *demokrację*, na cywilizacyjną zdobycz... „praworządności”. (Specyficznie rozumianej: bo ograniczonej do tylko jednej procedury naprawczej z dwóch ustawowo możliwych). Z kolei dla ustawodawcy ustanawianie z mocy prawa czegoś tak „społecznie i ustrojowo szkodliwego” (i dlatego wymagającego ustawowych barier) jak nazewnictwo dwujęzyczne jedynie na podstawie spisu powszechnego okazało się niewyobrażalne, gdyż uniemożliwiałoby „opcje rezygnacji” z takiego nazewnictwa przez samą mniejszość, ze strachu przed większością, przed jej – by użyć gombrowiczowskiego sformułowania – „niezadowoloną miną”, wyrażającą ogólny pogląd „nacji państwowej”, że samo bycie Białorusinem tutaj jest czymś *skandalicznym*, „kontrowersyjnym” (i

„nielogicznym”, niepojętym, jak dla owej urzędniczki spisowej. [PODLASKIE, SPIS POWSZECHNY, SZUDZIAŁOWO 7.06.2011 r. w: <https://www.youtube.com/watch?v=cEEkmfVACaY>]. Również burmistrz Michałowa (nieświadomie) określił istnienie mniejszości białoruskiej jako skandal (*konflikt*), którego on umiejętnie-roztropnie unika; w prosty sposób: umówmy się, że w sferze publicznej Białorusinów nie ma – i niech sobie żyją (przypis ¹⁸¹ na str.233).

Ten (obustronny, wszechobecny) strach Zygmunt Bauman opisałby następująco: Białorusini – niczym „wewnętrzni emigranci” – są **zdani sami na siebie**, zżera ich rozproszony, rozbity i rozsiany **strach** [przed nieprzyzwoitością, skandalicznością ich istnienia], który przenika, penetruje całe ich otoczenie [włącznie z „broniącymi się” przed nimi Polakami] oraz wszystkie ich narodowościowe dążenia, tak jak nacznia włosowate oplatają każdy milimetr ciała. Ich zasoby [rozkradziony, przewłaszczony, blokowany poprzez intymidację kapitał symboliczny] są znikome i mizernie niestabilne [co poniżej odnotowuje starosta białostocki] w porównaniu do ogromu życiowych [w tym tożsamościowych] wyzwań, moralnych zobowiązań [np. godnej obecności w przestrzeni publicznej i wobec przeciwdziałania – w bardzo różny sposób – ich realizacji]. To sprawia, że „znużyli się [bądź odeszli] bogowie [białoruskiej tożsamości], znużyły się [wielgachne] orły [traktatu ryskiego, prokuratorskie-sztachelskie, ustawodawcze, komisyjne i IPN walczące z nią; intymidujące, prywatyzujące białoruskość do czterech ścian domu, „przyzwoite i pełne człowieczeństwa”]; odpoczywają, nie wyszarpują już tak bardzo wątroby, kiedy wszystko „cichnie w bezemocyjności”, zamyka się w znużeniu rana” [„wojny polsko-białoruskiej”, od Indii Batorego po *ostatnich Indian Europy*]. [...] Przyszło zmęczenie, wyczerpanie, wycieńczenie [„gasną podłogi i powietrza” po – tyleż upragnionym, ile tutaj niepotrzebnym i szkodliwym – „zwycięstwie Rzymu nad Bizancjum”; gasną one dosłownie: rozpadają się, a w nich „krzewi się bujnie czarny bez”]. [Zygmunt Bauman, *Obcy u naszych drzwi*, str.65].

Owo zmęczenie, wyczerpanie celnie ujął mieszkaniec Janowszczyzny [Niwa 25.12.2011, str. 4] *Tutaj* [w Janowszczyźnie] *jeszcze wszyscy tak mówią* [po białorusku], *ale cicho*. Że wszyscy, to dobra wiadomość, ale zarazem i zła, bo aktywizuje (bardzo różne w swoim charakterze, „wielotorowe”) przeciwdziałanie (głównie intymidację, o której mowa w komentarzu na str. 275). *Cisi* nie wystąpią z żadnymi postulatami. Białoruskie „zagrożenie” w Polsce ujęte w karby, opanowane, „role” (cichych i głośnych) przydzielone.[12.10.2022]

* * *

Wielu Białorusinów poddało się polonizacji lub (w Białorusi) rusyfikacji, gdyż człowiek ma na ogół także inne zainteresowania i ważne sprawy (tożsamość narodowa jest raczej na końcu w hierarchii ważności). George Orwell [*Rok 1984*] ująłby takie poddanie się następująco: *Ale wszystko już dobrze, wreszcie dobrze; walka się skończyła. Odniosł zwycięstwo nad samym sobą. Kochał Wielkiego Brata*.

Trochę inaczej to ujmował starosta białostocki w 1948 r., meldując: *Z mniejszości narodowych zasadniczo na terenie powiatu nie został nikt*. [Główną cechą Białorusinów jest ich „nieistnienie”?] *Jest pewna liczba ludności, która możliwie przedtem była uważana za Białorusinów, lecz w obecnej*

chwili we wszystkich wypadkach służbowych podkreśla swą polskość.[Coś w rodzaju mimikry, przecież trwały już wywózki ludności z Bieszczad.] **Elementy** te zamieszkują w większości wypadków nadgraniczne gminy we wschodniej części powiatu.

[o.Grzegorz Sosna, *Sprawy narodowościowe i wyznaniowe na Białostocczyźnie 1944-1948 w ocenie władz Rzeczypospolitej Polskiej. Wybór dokumentów*, Ryboły 1996]

Polak albo Rosjanin – wiadomo, kto jest, natomiast (mniejszościowy) Białorusin czy Ukraińiec to zawsze był podejrzany *element* (tak dla polskiej, choć wówczas „ludowej, chamskiej” władzy, jak i dla rosyjskiej za granicą).

Nic dziwnego, że w powszechnym polskim odczuciu *do roku 1989 na tych terenach nie było w ogóle Białorusinów*. Pojawili się „potem”: *trochę na siłę*, „znikąd” ze swoimi „skandalicznymi” postulatami emancypacji, wobec czego zagrożonej (czysto-)polskości na Białostocczyźnie *trzeba bronić*. [„Gość Niedzielny” nr 35, 29.08.1993, *Problemy z sąsiadami, rozmowa z arcybiskupem białostockim...*]. W „środowisku sarmatyzacji”, PRL-owskiej i późniejszej, mentalność imperialna ma się dobrze dlatego, że obecnie „musi” ona zastępować sam „projekt imperialny”, zarzucony bądź absurdalnie realizowany na tak małym obszarze, że zwiększa to jego „ciśnienie”. Do 1939 r. (legalne) białoruskobrzmiące oficjalne nazwy miejscowości tutaj miały się całkiem dobrze, ale wtedy ważny był sam projekt, nie jego ersatz. (Również przymiotnik *Kurpiowska*, dodany nielegalnie w 1980 r. do nazwy *Dubnica*, miał – po 40 latach – i nadal ma – po 80 latach – zastąpić sam ów, ostatecznie niewykonany, projekt. Podobną rolę odgrywają inne spolszczone, nielegalne nazwy czy „odpowiednio” zredagowany tekst ustawy o mniejszościach w kwestii nazw dwujęzycznych). Kiedy wzrok jest zakomodowany do *imperialnego* blasku, od którego zwężają się źrenice, często nie dostrzega on bytujących niepewnie na brzegu cienia. Jak to ujął Bolesław Leśmian (w stylu białoruskiego poety Kupały): *Szli ubogiego brzegiem cienia – I nikt nie stwierdził ich istnienia*. Nie „nie dostrzegł”, lecz *nie stwierdził*, czyli w sposób urzędowy, formalny. Jak czynił to wyżej cytowany starosta tudzież różne „komisje”, protokołując, że czasem wystarczy podejrzane *elementy* zapytać powtórnie, czy aby „na pewno na pewno” czegoś chcą w kwestii ich tożsamości (lub czy – z „propozycji” dla nich – na pewno czegoś nie chcą, np. tożsamości kurpiowskiej), i do tego z odpowiednio nastroszoną miną (jak u Gombrowicza), a ich postulaty *możliwie przedtem* do rozpatrzenia gładko przechodzą do kategorii *ad acta*. Jednak tak zwyczajnie, po ludzku tamci „nieistniejący” zostali zauważeni i opisani, między innymi przez autora tej powieści.

Mamy tylko jednego Sokrata. Boję się, że nie będziemy mieli drugiego pisarza takiego formatu. Bowiem nasz świat w XXI wieku zamiast zdrowego ziarna rozsiewa puste plewy, z których nic nie wyrasta na zagonach naszej pamięci.

[Jan Maksymiuk, w: *Sokrat Janowicz. Pisarz transgraniczny*, Białystok 2014, str. 318]

